

HANNI MÜNZER

MIŁOŚĆ W CZASACH ZAGŁADY



*Jak daleko posunie się matka, by ratować swoje dzieci?
Do czego jest zdolna córka, by pomścić ojca?*

Hanni Münzer

**MIŁOŚĆ
W CZASACH ZAGŁADY**

z niemieckiego przełożył
Łukasz Kuć

Dla Simona –
małego aniołka, który bawił na ziemi
o wiele za krótko

Kiedy umierają pszczoły

*Od zarania rój obrotny
Bezustannie pośród pól
Skarb ich złoty i ulotny
Zbiera i napęlnia ul.*

*Bóg z radością z nieba patrzy
Na to dzieło swoich rąk.
Tańczy orszak jak w teatrze
złoto-czarny rojny krąg.*

*Tańczy wokół swej królowej
W takt stworzenia pieśni nowej.
To Debora, pani-matka
Potężnego roju pszczół,
W swoim majestacie władcza,
Nieprzystępna dla swych sług.*

*Raptem wyczuł orszak złoty
Zapach obcy, groźny, mdły
I rozpierzcha się na boki,
Gdy na scenę wkracza Zły.*

*Tylko matka z rzezi uszła,
Oszalała pomsty łaknąc.
W mrok spowita dziś jej dusza,
Gdy jej dzieci nagle brakło.*

*W cieniu śmierci żyje dotąd,
Z dala od zapachu łąk,
Pogrążona w kniei, bagnie.
Zapomniała tę naukę,
Że kto zemsty tylko pragnie,
Ten swą własną duszę bruka.*

Zła skłonność najpierw jest jak przechodzień, potem jak gość,
na koniec zaś staje się gospodarzem domu.

Talmud Babiloński, Suka 52

Prolog

Powiadają, że brzemień prawdy jest cięższe, niż zdołałby udźwignąć sam Bóg.

A przecież prawda zawsze rządzi się własnymi prawami. Kiedy najmniej się tego spodziewamy, wypływa na powierzchnię jak pęcherzyk powietrza, by rzucić nam w twarz oskarżenie.

To właśnie spotkało moją rodzinę w dniu, w którym zmarła moja babcia, a moja matka zniknęła bez śladu. Wtedy dościgła nas przeszłość, zapisana w pożółkłym zeszycie ukrytym w pewnym zapomnianym pudełku.

Część I

Felicity

Współczesność

1

Seattle, Waszyngton, USA, maj 2012 roku

– Jesteś pewna, że dobrze robisz? – spytała Olivia po raz setny w ciągu ostatniej godziny, choć przez ten czas ton oburzenia w jej głosie nieco przygasł.

Felicity, która nie miała najmniejszej ochoty odpowiadać w kółko na to samo pytanie, w skupieniu zapełniała swym dobytkiem monstrualną walizę, którą dostała w prezencie od swojej tyleż oderwanej od rzeczywistości, co niepraktycznej matki.

Olivia leżała na brzuchu i chrupiąc jabłko, z ponurą miną przyglądała się wysiłkom gospodyni.

Felicity domyślała się, że przyjaciółka nie odpuści tak łatwo. I nie myliła się.

– Naprawdę nie mogę pojąć, że mi to robisz. I to jeszcze w tajemnicy, za moimi plecami! Co ci w ogóle strzeliło do głowy?

A więc o to tak naprawdę chodzi!, pomyślała Felicity, z trudem powstrzymując uśmiech. Oliwię denerwowało nie to, co robi jej najbliższa przyjaciółka, lecz fakt, że Felicity zdołała utrzymać to w tajemnicy przed nią, swoją powiernicą, a przy okazji najbardziej wścibską osobą na tej planecie.

Gospodyni konsekwentnie zignorowała również ten wyrzut.

– Gotowe! – zawołała i zamasyście zamknęła walizkę. Odgłos zatrzaszkiwanego wieka miał w sobie coś definitywnego. Koniec dyskusji!

Niestety, nie dla Olivii, która postanowiła sięgnąć po ostateczny argument.

– Czy chociaż przez chwilę pomyślałaś o Richardzie?

Felicity odwróciła się gwałtownie. Tym razem Olivia trafiła w jej czuły punkt. *Richard!* Solidny, zdolny, ze wspaniałymi perspektywami, a do tego jeszcze szalenie przystojny. Brat Olivii był starszy od Felicity o dziesięć lat i zdążył już sobie wyrobić świetną opinię w środowisku chirurgów, podczas gdy na dyplomach dwóch świeżo upieczonych lekarek – jego siostry i jej najbliższej przyjaciółki – jeszcze nie zdążył wyschnąć atrament. Cała żeńska część personelu Seattle Children's Hospital leżała u jego stóp, podczas gdy ona, Felicity, ma zamiar go zostawić i pozwolić, by rozdzielił ich cały kontynent.

– On cię naprawdę kocha, wiesz? – W głosie Olivii pobrzmiwała teraz niespodziewanie łagodna nuta.

– Wiem.

Sam jej to wyznał. Wczoraj, kiedy się z nim żegnała. Nie chciał, by wyjeżdżała. Robił wszystko, żeby nakłonić ją do pozostania, nawet się jej oświadczył. Nie mogła i nie chciała myśleć teraz o smutku malującym się na jego twarzy i o rozczarowaniu w oczach, kiedy odrzuciła oświadczenia. Rozstanie niemal rozdarło jej serce. Miała wrażenie, że od wczoraj w jej piersi bije jakaś bezkształtna bryła. Sama nie rozumiała tego, co robi, ale po prostu nie mogła inaczej.

Zresztą tak było zawsze. Wewnętrzne rozedrganie wciąż kazało jej gnać przed siebie. W końcu zaczęła wątpić, czy to się kiedykolwiek zmieni. Miała nadzieję, że uda jej się wyzwolić z tego wewnętrznego przymusu, kiedy osiągnie swój wielki cel i zostanie lekarką. Im bliżej jednak była końca studiów, tym silniej dochodziła w niej do głosu potrzeba obrania nowej drogi, wyrwania się z uregulowanego życia.

A przecież niczego nie pragnęła bardziej, niż zatrzymać się, znaleźć sobie jakieś stałe miejsce w życiu. Tymczasem wciąż działała wbrew tej tęsknocie, pędzona wewnętrznym niepokojem, który zdawał się

wypływać wprost z jej duszy. Wyglądało to tak, jakby pragnęła jednego życia, ale musiała prowadzić inne, w wiecznym konflikcie z samą sobą. Próbowała to wyjaśnić Richardowi, ale jak wytłumaczyć coś, czego się samemu do końca nie rozumie? Nie potrafiła ubrać swych uczuć w słowa i Richard w końcu wyszedł niepokieszony.

Nagle, nie wiadomo skąd, przemknęło jej przez głowę sentymentalne zdanie: *Nigdy nie wejdę do krainy miłości*. Słowa te pozostawiły w jej sercu poczucie zagubienia, a w ustach posmak strachu.

– Słucham? – Olivia wlepiła w przyjaciółkę zdumione spojrzenie.

Felicity zdała sobie sprawę, że najwyraźniej wypowiedziała te słowa na głos. I wtedy przypomniała sobie, gdzie, a właściwie z czyich ust je usłyszała. Wiele lat temu wypowiedziała je do niej babcia, na krótko przed tym, jak zachorowała na alzheimera. Dziwne, że to zdanie przyszło jej do głowy właśnie teraz. Chociaż z drugiej strony to całkiem zrozumiałe: babcia zmarła sześć dni temu, w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat, a jej śmierć była wybawieniem nie tylko dla niej samej, ale też dla całej rodziny.

To ze względu na pogrzeb Felicity przełożyła wylot do Kabulu, gdzie miała rozpocząć pracę w organizacji Lekarze bez Granic.

Zadzwoniła komórka Felicity. *To na pewno mama*, pomyślała. W zasadzie dawno już powinna tu być, skoro uparła się, że osobiście odwiezie córkę na lotnisko.

Felicity westchnęła ciężko. Już teraz przechodziły ją ciarki na myśl o niemal godzinnej podróży, którą matka z pewnością wykorzysta, by po raz kolejny wybić jej z głowy ten szalony pomysł. „Boże drogi, czemu akurat Afganistan? Chyba oszalałaś, Felicity, naprawdę. Czy po to tyle lat studiowałaś, żeby na koniec chodzić z welonem na twarzy w jakimś zapyziałym kraju na końcu świata? Jak możesz? Nie mówiąc już o tym, że ci talibowie bez przerwy wysadzają się w powietrze. Coś okropnego!”

Dzwonił jednak ojciec, a nie matka. Od wylewu, który przeszedł w zeszłym roku, poruszał się na wózku inwalidzkim. Na szczęście dochodził już powoli do siebie i wszystko wskazywało na to, że nie będzie skazany na wózek do końca życia.

– Cześć, kotku – usłyszała w słuchawce głos ojca. – Słuchaj, czy mama jest u ciebie?

– Cześć, tato. Nie, jeszcze nie dojechała. Prawdę mówiąc, to właśnie miałam do was dzwonić, by spytać, gdzie ona się tak długo podziewa. Kiedy wyjechała?

– No właśnie to jest najdziwniejsze, bo wygląda na to, że w ogóle nie wróciła na noc do domu. Nigdy w życiu coś takiego jej się nie zdarzyło. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że jest u ciebie.

– Co takiego? Mama nie wróciła na noc do domu? – Felicity nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Matka miała swoje wady, ale była uosobieniem solidności i nie było mowy, żeby zostawiła ojca samego na noc, zwłaszcza po wylewie.

– Może dzwoniła, a ty nie słyszałeś?

– Nie, odsłuchałem automatyczną sekretarkę. Nikt nie dzwonił, nikt nie zostawił wiadomości. A komórkę ma wyłączoną. Gdzie ona może się podziewać?

– Nie wiesz, dokąd się wczoraj wybierała? Może na posiedzenie komitetu? Mają tam chyba jakiś telefon?

Martha Benedict była znana w okolicy z tego, że działała w licznych towarzystwach dobroczynnych, a treścią jej życia jest troska o innych. *Tylko nie o własną rodzinę*, przemknęło Felicity przez głowę, lecz natychmiast się zganiła. *Przestań, nie bądź niesprawiedliwa. W ostatnich latach znacznie się pod tym względem poprawiła*.

– Nie, nie zjawiała się na zebraniu. Ale wczoraj w południe zadzwonili do niej z domu opieki. Prosilili, żeby przyjechała zabrać rzeczy babci. Podobno pokój jest pilnie potrzebny dla następnej pacjentki.

– Dzwoniłeś już tam?

– Oczywiście. Powiedzieli, że była po południu, ale spędziła w pokoju babci niecałe pół godziny i zaraz wyszła. Jeden z pielęgniarzy twierdzi, że widział, jak w pośpiechu wybiegła, ściskając pod pachą jakieś pudełko.

– Wybiegła? Mama? Nie, nie, to do niej raczej niepodobne.

– To prawda. Ale najdziwniejsze, że nie zadzwoniła do domu. Myślisz, że coś jej się stało? Może miała wypadek?

Felicity słyszała lęk w głosie ojca.

– Nie, o tym już dawno byśmy wiedzieli. Wiesz co, tato? Zaraz do ciebie przyjadę. Na początek obdzwonimy ludzi z tych wszystkich komitetów, do których mama należy. Na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Może znowu wpadła w ten swój pokutny amok i zapomniała o bożym świecie?

Albo to jej najnowszy pomysł, żeby uniemożliwić mi wyjazd do Kabulu...

– Ale co z twoim lotem? – przypomniał sobie ojciec.

– Nie martw się, to żaden problem, mogę go jeszcze przełożyć. Pracę zaczynam dopiero za tydzień. Będę u ciebie za pół godziny, a ty przez ten czas spróbuj się dodzwonić do mamy. No to pa, do zobaczenia.

– Twoja matka zaginęła? – spytała z niedowierzaniem Olivia.

– Na to wygląda. I to już wczoraj po południu. W każdym razie od tamtej pory nie pokazała się u ojca. Od czasu jego wylewu śpią w oddzielnych pokojach. Te wszystkie lekarstwa, które tata musi zażywać, powodują znużenie i bardzo często kładzie się wcześniej spać. Dlatego dopiero dzisiaj rano zauważył jej nieobecność.

Olivia zeskoczyła z łóżka i wyrzuciła do śmieci ledwie co nadgryzione jabłko.

– Chodź, zawiozę cię. Sama jestem ciekawa, co się dzieje z twoją matką – zakomenderowała, a potem, już w drodze, dodała w zamyśleniu: – Wspomniałaś coś o pokutnym amoku. Myślisz, że znowu się zaczęło? Zdaje się, że już dawno nie miała tego religijnego napadu, prawda? – Olivia знаła Felicity od przedszkola, stąd doskonale wiedziała o fazach wybujałej pobożności nawiedzających Marthę Benedict. Felicity zastanowiła się przez chwilę. Tak, to prawda. Już chyba jakieś osiem lat minęło od czasu, jak była siostra zakonna Martha Benedict po raz ostatni zamknęła się na kilka dni, by błagać Boga o wybaczenie. Wcześniej zdarzało się to regularnie mniej więcej co pół roku. Dopiero teraz Felicity uświadomiła sobie, że w ostatnich latach niemal fanatyczna ongiś pobożność matki z roku na rok słabła. Dziewczyna zmarszczyła czoło. Te pozytywne zmiany zaczęły się u Marthy dokładnie wtedy, gdy jej matka – a babcia Felicity – z powodu postępującej choroby Alzheimera musiała pójść do domu opieki. Felicity podzieliła się tym spostrzeżeniem z Olivią i dodała:

– Niewykluczone, że śmierć babci, spowodowała u niej nawrót dawnych nawyków. Mam jednak nadzieję, że to nie to. Dla ojca miałyby to fatalne skutki, bo tylko otworzyłyby stare rany. Znow by się zadreczał, że zmarnował mamie życie.

– Wiesz, tak właściwie, to twoja matka zmarnowała życie wam. Wybacz, mówię szczerze. – Olivia nigdy nie przebierała w słowach. – Zawsze podziwiałam ciebie i twojego tatę, że wytrzymujecie te jej dziwactwa. Ciągle mam jeszcze w uszach to jej bezustanne *mea culpa, mea maxima culpa*. Przecież ona jest co najmniej dwa razy pobożniejsza niż Fred. Tyle że on jednak jest jezuitą.

Felicity skrzywiła się. Nie pierwszy raz Olivia podejmowała ten temat. To prawda, że jej ojciec bezgranicznie kochał swą zwariowaną żonę i wybaczał jej wszelkie dziwactwa i fanaberie. Był od niej o piętnaście lat starszy i gdy się pobrali, oboje mieli już swoje lata. Felicity pozostała ich jedynym dzieckiem. Matka była już po czterdziestce, gdy zaszła w ciążę. Poród był bardzo ciężki i obie cudem przeżyły, a Felicity jeszcze przez kilka miesięcy leżała w szpitalu, gdzie była sztucznie odżywiana. Martha Benedict i w tym fakcie upatrywała kary boskiej za to, że wystąpiła z zakonu sióstr franciszkanek,

by wyjść za ojca Felicity. Nic zatem dziwnego, że Felicity dałaby wiele, by zniknięcie jej matki miało inną przyczynę niż nawrót pokutnej manii.

Leciwy peugeot Olivii skręcił w Richmond Beach Drive i zatrzymał się przed ceglanym domem rodziców Felicity. Ojciec stał w otwartych drzwiach. Opierał się o framugę, ciężko wspierając się na dwóch kulach. Nie miał marynarki, chociaż od strony wybrzeża dął chłodny wiatr, targając jego siwe włosy. Dom leżał przy samym Puget Sound, oddzielony od Pacyfiku jedynie wąskim pasem lądu. Felicity miała ochotę zwrócić ojcu uwagę, że się przeziębi, lecz widząc jego zatroskaną twarz, powstrzymała się od prawienia morałów i pomogła mu wrócić do domu.

W salonie schorowany gospodarz ze smutkiem obwieścił córce i jej przyjaciółce nowiny, a właściwie ich brak: Martha wciąż się nie odezwała, jej komórka nadal jest wyłączona, a telefony do członków rozmaitych komitetów, w których działała, nie wyjaśniły jej nagłego zniknięcia. Felicity, wiedząc, że jej ojciec nie ma komórki, raz jeszcze sprawdziła automatyczną sekretarkę, ale nie znalazła na niej żadnej wiadomości. Raz jeszcze zadzwoniła zatem do domu opieki Woodhill, lecz otrzymała taką samą informację, jak ojciec. Jej matka była tam najwyżej pół godziny, a potem wyszła, nawet się nie żegnając.

– Ten pielęgniarz, który widział moją matkę... Czy mogłabym zamienić z nim dwa słowa? Może jednak coś mu powiedziała?

– Żałuję – odparła opryskliwie wicedyrektorka placówki – ale pan Gonzalez nie może podejść do aparatu. Wiem jednak dokładnie, że zauważył pani matkę tylko dlatego, że omal go nie przewróciła. Wpadła na niego z takim impetem, że aż upuścił tacę. Przy okazji przypominam o konieczności opróżnienia pokoju pani babki. Jeśli nie uczynią tego państwo do jutrzejszego południa, będziemy zmuszeni naliczyć opłatę za kolejny miesiąc.

Felicity przewróciła oczami, ale starała się mówić spokojnym tonem.

– Dobrze, zajmę się tym – zakończyła i w zamyśleniu odłożyła słuchawkę.

– I co teraz? Przecież nie mogła się zapaść pod ziemię. A jeśli coś jej się stało? – spytał z zafrasowaniem ojciec, którego czoło pokrywało się coraz głębszymi bruzdami. Felicity ujęła jego dłoń i mocno ją uścisnęła.

– Obdzwonię teraz izby przyjęć w okolicznych szpitalach, wtedy będziemy mieli pewność, okej, tato?

– To mogę zrobić za ciebie, Felicity. Ty może lepiej zadzwoń do operatora. Oni na pewno będą wiedzieli, gdzie ostatnio logował się telefon twojej matki – zaproponowała Olivia i nie czekając na odpowiedź, od razu wzięła się do roboty.

Na szczęście poszukiwania w miejscowych szpitalach nie przyniosły rezultatów: do żadnego z nich nie przywieziono osoby o nazwisku Martha Benedict.

Pierwszych wskazówek dostarczył dopiero telefon do operatora sieci komórkowej.

Kiedy po żmudnej procedurze Felicity zdołała w końcu uwiarygodnić swoją tożsamość, ze zdumieniem usłyszała, że komórka jej matki ostatni raz logowała się poprzedniego dnia na lotnisku Tacoma w Seattle.

– Co mama robiła na lotnisku? – westchnęła Felicity, spoglądając to na Olivię, to na ojca.

– Może coś jej się pomyliło i myślała, że wylatujesz wczoraj? – zastanowił się ojciec, po czym pokręcił głową, sam nie bardzo wierząc w taką możliwość.

– Mama? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby się tak pomyliła. Poza tym to nie ma sensu. Przecież miała po mnie przyjechać i odwieźć mnie na lotnisko.

– A może coś jej nagle wypadło i musiała gdzieś pilnie polecieć? – rzuciła Olivia.

– Przecież miała przy sobie tylko torebkę. Kto wybiera się w podróż bez bagażu? – zaproponował ojciec jej przyjaciółki.

– Oj, zdziwiłbyś się, wujku. – Olivia od niepamiętnych czasów zwracała się w ten sposób do ojca Felicity. – Ale wiecie co? Mam jeszcze jeden pomysł: a gdyby tak sprawdzić płatności kartą? *Follow the*

money!

– Że co? Nie rozumiem. Co to znaczy? – ojciec Felicity spojrział na nią zdumiony.

– To znaczy, że Olivia ogląda za dużo kryminałów – uśmiechnęła się Felicity. – Ale w sumie to jest jakaś myśl. Nie zaszkodzi spróbować. Zaraz zadzwonię do banku. Może mama rzeczywiście użyła ostatnio karty.

I znowu nastąpiła uciążliwa procedura potwierdzania tożsamości, ale ponieważ zapobiegliwa Martha na wszelki wypadek podała mężowi hasło dostępu, w końcu Felicity otrzymała odpowiednie informacje.

– Wczoraj późnym popołudniem mama wykupiła lot na rzymskie lotnisko Fiumicino – obwieściła, odłożywszy słuchawkę.

– No proszę. Nie wiedziałam, że twoja matka zna kogoś we Włoszech – zdziwiła się Olivia.

– Bo nie zna – odparli równocześnie Felicity i jej ojciec, po czym spojrzeli na siebie zdumieni.

– Czyżby więc jednak powrót pokutnej manii?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– No wiesz: Rzym, papież, stolica Kościoła katolickiego. Nic ci to nie mówi? *Mea culpa*? Czy twoja matka nie miała kiedyś zamiaru prosić o rozgrzeszenie u najwyższej ziemskiej instancji?

– Boże jedyny! – znowu wyrwało się równocześnie z ust Felicity i jej ojca.

– Amen – dokończyła oschle Olivia.

Następnego dnia w samo południe Felicity znalazła się w hali odlotów lotniska Tacoma w Seattle. Zamiast biletu do Kabulu trzymała w ręku bilet do Rzymu.

Wiedziała już, że matka nie wpadła w kolejny amok ekspiacji. Nie, Martha Benedict wyruszyła w podróż w przeszłość swojej zmarłej matki.

Po wizycie u ojca Felicity pojechała z Olivią do domu opieki Woodhill. Wewnętrzny głos mówił jej, że być może tam znajdzie jakąś odpowiedź.

Razem z Olivią gruntownie przeszukały pokój babki, lecz niczego nie znalazły. Myśli Felicity coraz natrętniej krążyły wokół tajemniczego pudełka, z którym ponoć jej matka w takim pośpiechu wybiegła z zakładu. Czyżby jego zawartość miała coś wspólnego z jej zniknięciem? Postanowiła zamienić kilka słów z pielęgniarzem.

To, co usłyszała od starego Meksykanina, bynajmniej jej nie uspokoiło. Pan Gonzalez stwierdził mianowicie, że Martha Benedict wyglądała, jakby gonił ją sam diabeł, a na następnie wyjął z kieszeni fartucha zmiętą kartkę.

– Proszę, pani babcia miała to w ręce, kiedy umarła. Chciałem to wczoraj dać pani matce, ale już nie było okazji.

Felicity wygładziła kartkę, która okazała się wyciętym z gazety zdjęciem. Widniała na nim sala sądowa oraz – prawdopodobnie – oskarżony. Prawdopodobnie, gdyż pod fotografią nie było żadnego podpisu. Wszelako osobą, która wzbudziła największe zainteresowanie Felicity, nie był wcale zasiadający na ławie oskarżonych mężczyzna, tylko jedna z kobiet widocznych w tle. To była jej babcia! Siedziała w pierwszym rzędzie wśród publiczności ze wzrokiem wbitym w oskarżonego. Felicity jeszcze nigdy nie widziała na czyjejś twarzy tak zapiekłej nienawiści. Biorąc pod uwagę ubiór mężczyzny i młody wiek babki, Felicity uznała, że wycinek pochodzi zapewne z lat sześćdziesiątych. *Kim jest ten człowiek?*, zastanawiała się. *I dlaczego babcia patrzy na niego z taką nienawiścią?* Felicity zerknęła na odwrotną stronę wycinka, lecz i tam nie znalazła żadnej wskazówki. Był tam chyba jakiś nekrolog, zapisany nieznanym jej alfabetem. Domyślała się, że to hebrajski. Lecz jeśli to prawda, to jakim cudem jej babka znalazła się na zdjęciu w izraelskiej gazecie?

Felicity wiedziała, że nie ma sensu iść na policję. Z pewnością usłyszałyby, że jej matka jest osobą dorosłą i może jeździć dokąd chce i kiedy chce. Toteż nie namyślając się wiele, postanowiła ruszyć śladem zaginionej i odnaleźć ją na własną rękę. Oczywiście martwiła się o matkę, ale z drugiej strony była też na nią wściekła, że ta, znikając bez słowa, zostawiła męża na łasce losu. Felicity wiedziała, że teraz ojciec nie zazna spokoju, dopóki nie dowie się, że jego żona jest cała i zdrowa. Na szczęście Olivia przyrzekła, że zajmie się nim pod jej nieobecność, a przesunięcie lotu do Kabulu o kilka dni nie stanowiło problemu.

– Felicity, zaczekaj!

Za plecami dziewczyny rozległ się znajomy głos. Felicity odwróciła się i zobaczyła, jak wielkimi krokami zbliża się do niej Richard.

– Cieszę się, że zdążyłem cię jeszcze złapać – powiedział jej niedoszły mąż, obejmując ją i całując namiętnie na powitanie, jakby zupełnie nie pamiętając wczorajszego zerwania. Potem wypuścił ją z objęć i obdarzył uśmiechem, który tak uwielbiała.

– Przepraszam cię, stare przyzwyczajenie.

W przeciwieństwie do Felicity Richard w najmniejszym stopniu nie wyglądał na zmieszanego pocałunkiem. Odpowiedziała na niego odruchowo, chociaż poprzedniego wieczora powzięła solenne postanowienie, że nie będzie mu robić żadnych nadziei! Chciała, by czuł się wolny i był gotów na nową miłość. Teraz jednak okazało się, że jej serce jest o wiele mniej konsekwentne niż rozum. Czemu się tu zjawił? Felicity nie czuła się dość silna, by powtarzać scenę z wczorajszego wieczoru.

Na szczęście Richard szybko wybawił ją z zakłopotania, z miejsca wyjaśniając powód swej obecności na lotnisku:

– Wczoraj wieczorem Olivia wszystko mi opowiedziała. Wspomniała, że twoja matka przeżywa coś w rodzaju kryzysu wieku średniego i bez słowa poleciała do Rzymu. Muszę przyznać, że brzmi to dość dziwnie. Spontaniczność to ostatnia rzecz, o jaką posądzałbym Marthę Benedict. Podobno postanowiłaś polecieć za nią. To prawda?

Bogu niech będą dzięki, pomyślała Felicity z ulgą. A więc Richard zjawił się tutaj z powodu jej matki, a nie po to, żeby ją powstrzymać przed wylotem do Kabulu.

– Martwię się o nią. Sam wiesz, jaka potrafi być, gdy się uprze. Nigdy w życiu nie była w Europie, nie mówi po włosku, zna najwyżej kilka słów po łacinie i, o ile mi wiadomo, nie ma tam żadnych znajomych.

– I co zamierzasz? Jak chcesz ją odnaleźć? Rzym to ogromne miasto.

– Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. Pewnie niewiele to da, ale na początek zwrócę się do włoskiej policji. Większe nadzieje pokładam w banku i instytucji, która wydała mamie kartę kredytową. Jak dotąd okazali się niezwykle uczynni i chętni do pomocy. Stąd wiem, że matka wypłaciła pieniądze na rzymskim lotnisku. To już jakiś ślad. Mam przynajmniej pewność, że tam dotarła. Dostanę wiadomość, jak tylko po raz kolejny użyje karty.

Wysłuchawszy wyjaśnień Felicity, Richard wcisnął jej w dłoń karteczkę.

– Proszę, to dla ciebie. Nazwisko i numer telefonu w Rzymie! Rozmawiałem wczoraj z bratem, a on dał mi namiar na zakonnika o nazwisku Lukas von Stetten. Fred studiował razem z nim przez cztery semestry w Monachium. Brat Lukas jest jezuitą i od kilku miesięcy mieszka w Rzymie. Zadzwoń do niego wczoraj wieczorem.

– Wczoraj wieczorem? To znaczy, że zerwałeś biedaka w środku nocy? – Felicity spojrzała na zegarek, jakby chciała się upewnić.

Twarz Richarda znowu rozjaśnił zniewalający uśmiech.

– Fred powiedział, że to żaden problem, bo kapłani są na bożej służbie przez całą dobę. No i wyobraź sobie, braciszek Lukas obiecał mi, że odbierze cię z lotniska i pomoże ci w poszukiwaniach.

– Dziękuję, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Zawstydzasz mnie, Richardzie. Jesteś taki kochany, a ja... – Nie dokończyła, bo w zasadzie wszystko zostało już powiedziane, a ona nie miała do dodania nic, co mogłoby przynieść im ulgę w tej trudnej sytuacji. Wspięła się tylko na palce i pocałowała Richarda w policzek: – Pozdrów ode mnie Freda.

Richard przytulił ją na moment, po czym odsunął się raptownie, jakby zawstydzony tym gestem.

– Powodzenia. Daj znać, jak tylko dotrzesz na miejsce, dobrze?

– Oczywiście.

Felicity ruszyła w kierunku stanowiska odpraw, lecz po chwili, wiedzona nagłą myślą, odwróciła się raz jeszcze w stronę Richarda.

– A właściwie... jak rozpoznam tego Lukasa von Stetena?

– Nic prostszego – rzucił Richard z szerokim uśmiechem. – Fred powiedział, że masz się rozglądać za najprzystojniejszym facetem w hali przylotów.

Rzym, Włochy

Trzydzieści godzin później koła samolotu dotknęły płyty rzymskiego lotniska Fiumicino.

Było późne przedpołudnie i Włochy pokazały się ze swojej najlepszej strony: ziemia była skąpana w słonecznym blasku, a lazurowe niebo wyglądało jak na pocztówce.

Felicity, która zabrała ze sobą jedynie bagaż podręczny, wyszła z hali bagażowej jako jedna z pierwszych. Airbus był wypełniony do ostatniego miejsca, toteż w hali przylotów za barierkami czekał na pasażerów wielki tłum witających. Felicity przyglądała się twarzom mężczyźn. Niestety, większość przystojniaków wydała jej się zbyt młoda, żaden też nie nosił habitu. Przypomniała sobie, że brat Richarda rzadko pokazuje się w stroju zakonnym. Więc może jezuiti w Rzymie w ogóle nie noszą habitów? Powinna była o to zapytać.

Na moment ożywiła się na widok wyjątkowo przystojnego młodzieńca, który przeciskał się przez tłum w jej kierunku, lecz po chwili zauważyła, że mężczyzna trzyma za rączki dwójkę dzieci. Zaraz za nim przepychał się niski, krągławy człowieczek w krzykliwie kolorowym ubraniu. Widząc jego zielone szorty i różową koszulę, Felicity mimowolnie pomyślała o ostatnim halloweenowym kostiumie Richarda. Przebrał się wtedy za arbuza.

Przestań wreszcie bez przerwy myśleć o Richardzie!, upomniała się w duchu zniecierpliwiona.

Sięgnęła po karteczkę z numerem telefonu, którą dostała od niego na lotnisku w Seattle. Postanowiła, że poczeka jeszcze chwilę, a potem zadzwoni do ojca von Stettena. Pewnie go coś zatrzymało. Wtedy jednak zauważyła, że człowieczek arbus wyraźnie usiłuje zwrócić jej uwagę. Wyjął chusteczkę, otarł nią czoło i zamachał w jej stronę. Felicity obejrzała się, by się upewnić, że mężczyźnie na pewno chodzi o nią. Nieznajomy znowu zamachał. Tak, bez wątplenia machał do niej! Felicity podeszła do niego.

– *Signora Felicity Benedict?* – spytał mężczyzna trochę niepewną angielszczyzną.

Felicity przez chwilę gapiła się na jego czerwoną twarz. *Niezły gagatek z tego Richarda, pomyślała. Najprzystojniejszy facet w hali przylotów!*

– Yyy... Owszem – wydukała wreszcie. – Ojciec von Stetten?

– Niestety nie, *signora*. Ojciec von Stetten został dziś rano wezwany w pilnej sprawie do biskupa Bambergu. Poprosił, bym go zastąpił. Jestem ojciec Simone Olivieri. Witamy w Rzymie, *signora Benedict* – powiedział, wyciągając rękę.

Felicity nieco skonfundowana uścisnęła jego spoconą prawicę.

– Bardzo dziękuję, ale skąd ojciec wiedział, że to ja?

– No cóż, ojciec Lukas powiedział, że narzeczony opisał panią dość jednoznacznie: mam się rozglądać za najpiękniejszą kobietą na całym lotnisku. Jak pani widzi, to żadne czary. – Ojciec Simone uśmiechnął się filuternie.

Felicity odwzajemniła uśmiech. Spodobał się jej ten tęgi ojczulek.

– To bardzo miłe z ojca strony, że zechciał po mnie wyjść.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Czy to cały pani bagaż? – Popatrzył zdumiony na małą walizeczkę na kółkach. Widocznie nigdy jeszcze nie widział kobiety podróżującej z tak niewielkim kuferkiem. Felicity z kolei nie mogła wiedzieć, że ojczulek ma pięć sióstr, które przyjeżdżając w

odwiedziny do Rzymu, targają ze sobą takie walizy, jakby na stałe przenosiły się do włoskiej stolicy.

– Tak. Mam nadzieję, że szybko odnajdę matkę. Gdybym musiała zabawić tu dłużej, zawsze mogę dokupić potrzebne rzeczy.

– Dobrze, w takim razie pojedziemy najpierw do hotelu, żeby się pani zameldowała. Czy zastanawiała się już pani, od czego chce zacząć poszukiwania? – spytał zakonnik, gdy wyszli z hali na ciepłe majowe słońce.

– Myślałam, żeby zacząć od wizyty na komisariacie policji. Może uda się zorganizować poszukiwania w rzymskich hotelach. Moja matka przyleciała tutaj wczoraj około południa, więc musiała gdzieś spędzić noc.

– No dobrze. Jak się nazywa pani hotel?

– „Visconti” – Felicity chciała wyjąć potwierdzenie rezerwacji, by sprawdzić adres, lecz ojciec Simone żywołowo zamachał rękami:

– Nie, nie, nie trzeba. Znam to miejsce, leży w Centro Storico, w pobliżu Piazza del Popolo.

Po wizycie w recepcji i dopełnieniu wszelkich formalności związanych z zameldowaniem ojciec Simone zawiózł Felicity na Piazza Trinita dei Pellegrini, na najbliższy posterunek policji.

Policjant okazał się sympatyczny i bardzo wyrozumiały, odrzekł jednak, że nie widzi możliwości sprawdzenia wszystkich rzymskich hoteli.

– Bardzo mi przykro, *signora* – tłumaczył jego słowa ojciec Simone – ale pani matka nie została formalnie uznana za zaginioną. Nie mamy takiego zgłoszenia, sama pani zresztą powiedziała, że nie ma powodu przypuszczać, że doszło do przestępstwa. Proszę po prostu poczekać, aż pani mama sama się odezwie. Mogę tylko doradzić, by zgłosiła się pani do ambasady amerykańskiej przy Via Veneto. *Arrivederci, signora.*

– Tego właśnie się spodziewałem – westchnął ojciec Simone, przecierając chusteczką czoło. – Rzymscy urzędnicy. Zrobią wszystko, byle tylko nie wziąć na siebie odpowiedzialności i zrzucić obowiązki na innych. Na to nie poradzi nawet Forza Italia.

– I co teraz? – Felicity stała niezdecydowana na schodach komisariatu.

– Na razie może coś zjedzmy. Przy okazji omówimy dalsze działania. Mam pewien pomysł, ale najpierw chodźmy do „Trattoria da Gino”, to dwa kroki stąd.

Felicity nie była specjalnie głodna, ale ojciec Simone z takim zapałem mówił o jedzeniu, że nie miała serca odmówić. Właściciel lokalu, Gino, powitał zakonnika jak starego przyjaciela i wprost nie posiadał się z radości, gdy ten przedstawił mu *bella signorina*, a kiedy zacni goście usiedli, regularnie co pięć minut zjawiał się przy ich stoliku, by spytać Felicity, czyjej smakuje.

Felicity starała się skubnąć przynajmniej odrobinę z każdego dania i ledwie umoczyła usta w kieliszku, podczas gdy ojciec Simone z wilczym apetytem pochłaniał wszystko, co znalazło się na ich stole, obficie podlewając potrawy czerwonym winem. Felicity czuła, że zbliża się atak migreny, a czerwone wino w południe z pewnością tylko pogorszyłoby sprawę.

Już przy *pasta efagioli*, którą podano *per primo*, Felicity nie zdołała powściągnąć ciekawości i zapytała ojca Simone, o jakim to pomyśle wspominał. Ten, niezgrabnie zatykając sobie serwetką za koszulę, spojrzał na swoją towarzyszkę i rzekł:

– Ojciec von Stetten wspominał, że pani matka jest bardzo pobożna i dużo czasu spędza na modlitwie. Zakładając, że w tym celu udaje się do kościoła, pomyślałem tak: jeśli ma pani ze sobą zdjęcie mamy, mogę je powielić i rozdać moim braciom w okolicznych parafiach, żeby się za nią rozglądali.

– Genialne! Oczywiście, że mam zdjęcie.

– Znakomicie! A teraz proszę skosztować. Gino robi najlepszą *pasta efagioli* w całym Rzymie. I proszę się o nic nie martwić, *signorina* Benedict. Znajdziemy pani matkę.

3

Szybko się okazało, że wykonanie dodatkowych odbitek nie będzie konieczne.

Gino właśnie podawał *espressi*, kiedy Felicity odebrała telefon z instytucji wydającej karty kredytowe i zanotowała nazwę hotelu, w którym zatrzymała się jej matka. W tej sytuacji ojciec Simone szybko wypił kawę, serdecznie pożegnał się z Ginem i bezzwłocznie zabrał swą podopieczną pod podany adres przy Via della Conciliazione.

W recepcji, gdzie przedstawiła się jako córka Marthy Benedict, dowiedzieli się, że matka musi być w pokoju, ponieważ hotelowa karta dostępu, niezbędna do włączenia prądu w apartamencie, jest aktywowana. Na prośbę Felicity recepcjonistka próbowała nawet dodzwonić się do pokoju Marthy, lecz ta nie podnosiła słuchawki.

– Możliwe, że *signora* Benedict bierze właśnie prysznic albo suszy suszarką włosy i nie słyszy sygnału – wyjaśniała.

Felicity starała się opanować niecierpliwość.

– Dobrze, w takim razie odczekamy dziesięć minut i spróbujemy jeszcze raz. Ale jeśli mama nadal nie będzie odbierać, to czy moglibyśmy zajrzeć do pokoju? Chcę się tylko upewnić, że nic jej nie jest.

– Oczywiście, *signora*.

Felicity nie zdążyła jeszcze odejść od kontuaru, gdy nagle rozsunęły się drzwi windy i do recepcji wtoczyła swój wózek starsza Azjatka w fartuchu sprzątaczkii. Kobieta powiedziała coś do recepcjonistki, po czym wywiązała się między nimi krótka wymiana zdań. Wyłowiwszy z rozmowy nazwisko swojej matki, Felicity spojrzała pytająco na ojca Simone.

– Wygląda na to, że od wczoraj na drzwiach pokoju pani mamy wisi tabliczka „nie przeszkadzać” – stwierdził zakonnik, po czym zdecydowanym tonem zwrócił się do recepcjonistki: – Myślę, że nie powinniśmy dłużej czekać, *signora*. Może pani Benedict zasłabła i potrzebuje lekarza?

Recepcjonistka skinęła głową, wywołała koleżankę z biura, prosząc, by tają na chwilę zastąpiła, i ruszyła razem z zakonnikiem i Felicity w kierunku windy.

Kilka minut później zapukali do drzwi pokoju 212, lecz nie doczekali się odpowiedzi.

– Mamo, to ja, Felicity – zawołała młoda Amerykanka, lecz i tym razem bez rezultatu. Zaniepokojona zwróciła się do recepcjonistki: – Czy może pani otworzyć?

Recepcjonistka bez wahania otworzyła drzwi uniwersalną kartą dostępu. Felicity wpadła do pokoju jako pierwsza i stanęła jak wryta na widok nieprawdopodobnego chaosu, który ukazał się jej oczom. Cały pokój zasłany był wycinkami z gazet i innymi skrawkami papieru. Większość była poprzedziera, ale niektóre ktoś najwyraźniej z powrotem skleił. Wszystko to wyglądało jak gigantyczne puzzle. Martha Benedict klęczała na łóżku – również pokrytym strzępkami papieru – i wertowała gruby poźółkły zeszyt. Włosy opadały jej na twarz, ona sama zaś sprawiała wrażenie kompletnie nieobecnej. Nie zauważyła nawet, że ktoś wszedł do pokoju. Zareagowała dopiero, gdy córka dotknęła jej ramienia. Wyrwana z zadumy krzyknęła przestraszona.

– Mamo! To ja, Felicity!

Martha Benedict przez chwilę wpatrywała się w córkę, jakby ta była zupełnie obcą osobą. Potem westchnęła, zmęczonym gestem potarła dłońmi twarz i w końcu spytała cicho:

– Co ty tutaj robisz, Felicity?

– Szukam cię. Tata i ja strasznie się o ciebie martwiliśmy. Zniknąłeś bez słowa. Jak mogłeś? Czemu przynajmniej nie zadzwoniłeś do ojca? I co ty tutaj w ogóle robisz? Co to za papiery? – Chociaż Felicity czuła wielką ulgę, że tak szybko udało jej się odnaleźć matkę, nie oszczędziła jej wyrzutów.

Martha rozejrzała się wokoło, jakby dopiero teraz spostrzegła panujący w pokoju rozgardiasz, lecz zamiast odpowiedzieć na pytania Felicity, nerwowo poprawiła rozwichrzone włosy i powiedziała:

– Pewnie wyglądam strasznie.

– Daj spokój, mam, to teraz nieistotne. Najważniejsze, że z tobą wszystko w porządku. Bo chyba nic ci nie jest, prawda?

– Oczywiście. – Martha Benedict z trudem zwlokła się z łóżka, zrobiła dwa, trzy niepewne kroki, zachwiała się i omal nie upadła. Ojciec Simone w ostatniej chwili podtrzymał ją i pomógł usiąść z powrotem na łóżku. Felicity ujęła jej dłoń i sprawdziła tętno.

– Jesteś strasznie osłabiona. Kiedy ostatni raz coś jadłeś?

– Nie mam pojęcia – padła niepewna odpowiedź. – Wczoraj rano?

Tymczasem ojciec Simone zdążył już napełnić szklankę wodą i teraz troskliwie podał ją Marcie.

Recepcjonistka stała przy drzwiach niepewna, co w tej sytuacji zrobić.

– Czy mogłabym zamówić do pokoju jakiś lekki posiłek? Może zupę albo omlet? – zwróciła się do niej Felicity.

Recepcjonistka skinęła głową i pośpiesznie się oddaliła.

Ojciec Simone omiół wzrokiem porzucane po całym pokoju wycinki. Co prawda w pierwszej chwili nie był w stanie zorientować się, czego dotyczą, lecz nie miał wątpliwości, że większość pochodzi z bardzo starych gazet – sądząc po strojach postaci widocznych na jednym z posklejanych zdjęć, być może nawet z lat dwudziestych. Na fotelu zobaczył zieloną teczkę z sygnaturą. *Akta sądowe?*, pomyślał. Potem jego wzrok padł na notatnik, który Martha Benedict wertowała, gdy weszli do pokoju. Zsunął się na podłogę, kiedy Martha schodziła z łóżka, i leżał teraz na dywanie otwarty na ostatniej stronie. Ojciec Simone podniósł go i od razu rozpoznał pismo. *Hebrajski?*, zdziwił się. Na końcu widniało słowo *MET*, które po hebrajsku znaczy „martwy”.

– Potrafi pan to odczytać? – Martha wbiła w niego świdrujące spojrzenie. W jej oczach nagle znów pojawiło się ożywienie.

– No... chyba tak. To po hebrajsku.

– Zna pan hebrajski?

– Owszem, kiedyś studiowałem ten język.

– Czy mógłby pan to dla mnie przetłumaczyć? Bardzo proszę.

– Sporo tego – westchnął ojciec Simone, kartkując zeszyt.

– Bardzo pana proszę, to bardzo ważne. Muszę wiedzieć, co tam jest napisane.

– Co to za zeszyt? – spytała Felicity, włączając się do rozmowy.

– Przypuszczam, że to pamiętnik twej babki.

– To babcia znała hebrajski?

– Najwyraźniej.

– Wiedziałaś o tym?

– Nie, nigdy o tym nie wspominała. Zresztą nie tylko o tym. Okazuje się, że wcale nie była Włoszką, tylko Niemką, i dopiero po wojnie przyjechała do Rzymu. Dlatego tu jestem. Przez całe życie nas okłamywała! Mnie i mojego ojca. Teraz rozumiem, że doprowadziła go tymi kłamstwami do śmierci.

– Co takiego? – Felicity patrzyła na matkę ze zdumieniem. – Czyś ty oszalała? Co ty wygadujesz?

– Niestety, to prawda. To ona jest winna śmierci twojego dziadka.

– Przecież zawsze mówiłaś, że dziadek zginął w 1960 roku w wypadku samochodowym.

– Owszem, tyle że do wypadku doszło dlatego, że tuż przed tym twoja babka pokłóciła się z nim i wyrzuciła go z domu. A on wsiadł do samochodu i rozbił się na drzewie. Teraz wiem, że zrobił to umyślnie.

– Jak możesz tak mówić? I skąd w ogóle możesz to wiedzieć, przecież byłeś wtedy dzieckiem!

– Miałam czternaście lat, a dzieci w tym wieku rozumieją więcej, niż się wydaje dorosłym! Teraz, kiedy znalazłam w pokoju twej babki to pudełko, przypomniałam sobie, co się zdarzyło tamtego dnia. W dniu śmierci twojego dziadka. Wszystko wyparłam z pamięci, ale w chwili, kiedy przeczytałam wiersz, który dla niej napisał, wszystko w jednej chwili wróciło. Proszę. – Martha wygrzebała z torebki złożoną kilkakrotnie kartkę papieru. – Przeczytaj. Na odwrocie jest data. Twój dziadek napisał to na dwa dni przed śmiercią.

– „Kiedy umierają pszczoły” – wymamrotała Felicity, doczytawszy wiersz do końca. – Brzmi melancholijnie i bardzo smutno.

– Bo właśnie takie było całe jego życie. Wtedy, tamtego dnia... to nie była ich pierwsza kłótnia... to trwało już od kilku tygodni. Do tej pory twój dziadek nigdy nie podnosił głosu. Był łagodnym człowiekiem i nigdy nie słyszałam, żeby krzyczał na twoją babkę. Wielbił ją i traktował jak królową, tak ją zresztą nazywał: „moja królowa”. Tamte kłótnie zawsze dotyczyły tego samego. Wrzeszczała na niego, że ją okłamał, że tamten człowiek wcale nie umarł. I że odebrał jej możliwość zemsty. Wpadała w prawdziwą histerię. Ojciec się bronił, cały czas powtarzał, że musiał wtedy myśleć o dziecku. Za nic nie chciał, żeby twoja babka poleciała do Izraela. Doskonale pamiętam, że chodziło o jakiś proces, w którym koniecznie chciała zeznawać. Dziadek natomiast twierdził, że wcale nie chodzi jej o sprawiedliwość, tylko o zemstę. Mówił, że chce tego człowieka zabić.

– Jakiego człowieka?

– Nie mam pojęcia. Dlatego tu przyleciałam. Żeby się dowiedzieć.

Wstrząśnięta Felicity opadła na łóżko tuż obok matki. *Babcia zamierzała kogoś zabić, a dziadek chciał jej w tym przeszkodzić?* Wszystko to wydawało jej się pozbawione sensu.

– A skąd pewność, że właśnie tu, we Włoszech, znajdziesz odpowiedzi na wszystkie pytania?

– Bo wszystko zaczęło się w Rzymie. Tu właśnie twoja babka i twój dziadek poznali się, zaraz po wojnie. Nie w Seattle, jak zawsze twierdzili. To kolejne kłamstwo.

Felicity spojrzała na matkę z niedowierzaniem.

– Skąd niby to wszystko wiesz? I dlaczego mieliby nas w tej kwestii okłamywać?

– W pudełku było moje włoskie świadectwo urodzenia! Na tyle znam łacinę, żeby zrozumieć, co znaczy *certificato di nascita*. Wbrew temu, co twierdziła twoja babka, nie urodziłam się w Stanach, tylko w Rzymie... i to w więzieniu! W zamieszanu, jakie panowało zaraz po wojnie, musiała jakimś cudem zdobyć dla mnie fałszywą amerykańską metrykę.

– Twierdzisz, że babcia urodziła cię we włoskim więzieniu?! – powtórzyła Felicity z niedowierzaniem. Ta sprawa z każdą chwilą wydawała jej się coraz większym szaleństwem. Szukając pomocy, spojrzała na ojca Simone, ten jednak uniósł brwi, dając do zrozumienia, że jest równie bezradny jak ona.

– Niczego nie twierdzę. To fakt – z przekonaniem odparła Martha. – Wczoraj od razu pojechałam pod adres podany w metryce, ale w tym miejscu stoi dziś blok mieszkalny. Więzienie dawno zburzono. To tam twoja babka musiała spotkać dziadka. Pracował w więzieniu, w każdym razie jego nazwisko figuruje w wykazie personelu. W archiwum miejskim znalazłam dokumenty więzienne z 1944 roku. Na dodatek najwyraźniej nie był wcale lekarzem, lecz księdzem. – W głosie Marthy Benedict dało się słyszeć, jak bardzo jest wstrząśnięta tym odkryciem. Zupełnie jakby nadal nie potrafiła tego wszystkiego pojąć.

– Na Boga, skąd ty to wszystko wiesz?

– Pomogła mi pewna sympatyczna studentka. Doskonale mówi po angielsku i pracuje jako praktykantka w miejskim archiwum. Niestety nie umiała mi powiedzieć, za co babka trafiła do więzienia. Ustaliła tylko, że popełniła jakieś przestępstwo w obrębie Państwa Watykańskiego, dlatego nie znalazła tutaj żadnych dokumentów. Wszystkie akta znajdują się w archiwach Watykanu i żeby uzyskać do nich wgląd, trzeba złożyć oficjalne podanie. Mam zamiar zrobić to jutro z samego rana. Udało się tylko ustalić, że twój dziadek naprawdę nie nazywał się Ralph Valerian, tylko Raffael Valeriani. Na mojej włoskiej metryce urodzenia widnieje adnotacja „ojciec nieznany”. To oznacza, że człowiek, którego dotąd uważałam za swego ojca, wcale nim nie był. Oboje mnie okłamywali! Muszę się dowiedzieć, kto jest moim prawdziwym ojcem. To właśnie jest powód, dla którego matka nigdy mnie nie kochała. Wiem o tym. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie powinnam była tak nagle i niespodziewanie wyjeżdżać, ale byłam kompletnie rozbita i przestałam myśleć logicznie.

Felicity patrzyła na matkę, nie posiadając się ze zdumienia. Nagle przypomniała sobie artykuł z gazety, który dostała od pielęgniarki i który wciąż miała w torebce. Czyżby oskarżony ze zdjęcia był tym człowiekiem, którego, jak twierdził dziadek, jej babka chciała zabić? W 1960 roku? A może próbowała już wcześniej? W duszy Felicity zakiełkowało straszliwe podejrzenie. Zastanawiała się, czy powinna wyjąć artykuł i pokazać go matce.

Tymczasem Martha odwróciła się i wbiła wzrok w ojca Simone.

– Przetłumaczy pan dla mnie ten pamiętnik?

W jej spojrzeniu nie było błagania, lecz raczej żądanie. Tak jakby jego obowiązkiem było jej pomóc. Postawiła go w szalenie niezręcznej sytuacji. Ojciec Simone bił się z myślami. Wiedział, że w najbliższych dniach czeka go mnóstwo pracy. Miał egzaminować studentów, dokończyć artykuł do czasopisma, no i jeszcze dopilnować prób w jezuickim teatrze, którego był kierownikiem. Wkrótce premiera *Snu nocy letniej* Szekspira, a dekoracje w ogóle nie są jeszcze gotowe, w inscenizacji wciąż są spore niedociągnięcia, odtwórca głównej roli złapał ciężką wiosenną grypę, a on wciąż jeszcze nie znalazł zastępstwa. Nie, nie ma nawet jednej wolnej minuty, którą mógłby poświęcić na tłumaczenie. Już tych kilka godzin, które dzisiaj wykroił, grozi zawaleniem się wszystkich planów. Nie, wykluczone, naprawdę nie ma czasu na kolejny dobry uczynek. Mimo to ze zdumieniem usłyszał własne słowa:

– Z przyjemnością, *signora* Benedict. Będę jednak potrzebował na to kilku dni. W tym czasie może pani z córką zwiedzić Rzym. Skontaktuję się z panią, kiedy skończę. *Va bene?*

W duchu przeklinał się za tę uległość. *Zaiste, ciekawość to mój największy grzech*, wyrzekął w duchu. *Nie bez powodu niektórzy uważają ją za ósmy z grzechów głównych*. Lecz oprócz ciekawości był jeszcze jeden powód, który skłonił zakonnika, by pomóc tym dwóm kobietom. Ojciec Simone był doświadczonym duszpasterzem, toteż bardzo szybko zorientował się, że więź między matką i córką jest bardzo krucha i dzieli je mnóstwo niedopowiedzeń, zupełnie jakby znajdowały się po dwóch stronach przepaści. Dlatego uznał, że jeśli źródło ich konfliktu leży w przeszłości babki, to spróbuje przerzucić między nimi most i pomoże im rozwikłać tę starą zagadkę.

Pięć dni później kompletnie niewyspany ojciec Simone zadzwonił do Felicity. Włoski zakonnik rzucił wszystkie zajęcia i przez ostatnie dni poświęcił się niemal wyłącznie pracy nad tłumaczeniem.

– Czy pani matka jest gdzieś w pobliżu? – spytał niemalże szeptem.

– Nie, wyszła na chwilę, żeby kupić jakieś drobiazgi – Felicity była wyraźnie zdziwiona pytaniem.

– To dobrze, bardzo dobrze. Skończyłem tłumaczenie i muszę przyznać, że to, co znalazłem w notatniku, do głębi mną wstrząsnęło. Nie byłem na coś takiego przygotowany, *signorina* Felicity. Nie mogę jednak i nie chcę uprzedzać faktów. Koniecznie musi pani to przeczytać, wtedy zrozumie pani, co mam na myśli. Zapiski rzeczywiście wyszły spod ręki pani babki, tak jak przypuszczała pani mama. Ma pani ze sobą laptopa?

– Tak.

– Dobrze, w takim razie proszę mi podać swój adres mailowy, żebym mógł pani przysłać tłumaczenie. Proszę to przeczytać, zanim zrobi to pani mama, i proszę się ze mną skontaktować, gdy pani skończy. Wtedy przyjdę zwrócić notatnik, przyniosę wydruk tłumaczenia i razem wręczymy je pani matce. *Va bene?*

Felicity, jakkolwiek nieco zdziwiło ją tajemnicze zachowanie ojca Simone, bez zbędnych pytań przystała na plan jezuitę. Prawdę mówiąc, zaczęła się trochę obawiać tego, co kryje się w przeszłości jej babki. Co takiego wyczytał w notatniku ojciec Simone, że był do tego stopnia wstrząśnięty?

Nie licząc kilku krótkich spacerów, do których Felicity mniej lub bardziej przymusiła Marthę, panie nie miały dotąd okazji zwiedzić Rzymu, gdyż w zasadzie bez chwili przerwy ślęczały nad wycinkami. A mimo to w zasadzie nie posunęły się ani o krok, jeśli idzie o zawartość pudełka.

– Jednego nie rozumiem, mamó – powiedziała Felicity, gdy zasiadły do pracy. – Czemu babcia wszystkie te wycinki podarła, skoro i tak potem włożyła je z powrotem do pudełka? Czemu po prostu ich nie wyrzuciła?

Martha przyznała z zakłopotaniem, że to ona w szoku podarła wycinki. Słyszając to wyznanie, Felicity z ciężkim westchnieniem zabrała się do sortowania nieprzeliczonych strzępków. Były to wyłącznie artykuły z gazet, żadnych listów czy innych dokumentów. Niemal wszystkie zostały napisane po niemiecku albo po włosku, a tylko kilka po hebrajsku – a więc w językach, których nie znała ani Martha Benedict, ani jej córka.

Felicity próbowała przetłumaczyć tekst za pomocą internetowych translatorów, lecz w efekcie uzyskiwała jakiś potworny bełkot – być może dlatego, że większość tekstów liczyła ponad siedemdziesiąt lat. Kolejne godziny zajęło jej tłumaczenie poszczególnych słów z pomocą słowników. Rezultat był równie mizerny. Koniec końców okazało się, że ani Felicity, ani jej matce nie udało się znaleźć odpowiedzi na żadne z kłębiących się w ich głowach pytań i wątpliwości.

Pozytywnym rezultatem wspólnie spędzonych dni było przynajmniej to, że panie nieco się do siebie zbliżyły – nie tyle w wyniku szczerych rozmów, ile wskutek subtelnej zmiany panującej między nimi atmosfery. Sama Felicity nie do końca potrafiłaby określić charakter owej zmiany w relacji z matką. Było to powolne, ostrożne zbliżenie, zupełnie jakby uczucia, które wobec siebie żywiły, były kruche niczym najdelikatniejsza porcelana.

W ciągu tych kilku dni Felicity wielokrotnie odczuwała pokusę, by zerwać zasłonę milczenia, za którą

skryła swoje wspomnienia z dzieciństwa. Cóż jednak miałyby powiedzieć matce? Zapytać, dlaczego zawsze miała wrażenie, że jest między nimi jakiś niezrozumiały dystans? Dystans, jakiego w zasadzie nie ma prawa być w relacjach między matką a córką? W dzieciństwie zaakceptowała ten chłód, ponieważ niczego innego nie знаła, i szybko zaczęła postrzegać Marthę wyłącznie przez pryzmat jej matczynych obowiązków, zapominając, że ma do czynienia z żywym człowiekiem. Kiedy jednak dorosła, powoli zaczęło do niej docierać, że przez całe życie czegoś jej brakowało. Jednocześnie zaczęły w niej narastać milczące wyrzuty sumienia, że przez tyle lat nie podjęła próby zburzenia tego niewidzialnego muru. Przypomniała sobie, jak przy pożegnaniu Richard zarzucił jej, że boi się zbyt głębokich uczuć i panicznie przed nimi ucieka. Teraz zastanawiała się, czy aby nie miał racji. Czyżby była tchórzliwa? Czyżby szła na łatwiznę i wolała go zranić, niż skonfrontować się z własnymi niedoskonałościami? Skoro jednak bezwzględność jej zachowania była objawem, to co było przyczyną? A co jeśli kluczem okaże się zmarła babka? Po raz pierwszy w głowie Felicity pojawiła się myśl, że wszystkie trzy – babkę, córkę i wnuczkę – łączył ten sam obsesyjny niepokój, który niezmordowanie pchał je po wodach życia, nie pozwalając im nigdzie znaleźć zacisznego portu.

Felicity wyczuwała, że Marthą targają te same rozterki, lecz mimo wszystko obie zwlekały z wykonaniem pierwszego kroku. Z tego względu dni, które przyszło im spędzić razem w hotelowym pokoju, wypełnione były osobliwym nastrojem, jakby zawieszony w połowie drogi między zwłoką a pełnym nadziei oczekiwaniem.

Tak czy siak Martha Benedict osiągnęła jeden ze swoich celów: jej córka nie poleciała do Kabulu. Właśnie tego dnia powinna była rozpocząć pracę. Tymczasem zamknięta z własnej woli w rzymskim hotelu włączyła laptopa. Mail od ojca Simone był już w jej skrzynce. Otworzyła dokument przysłany w załączniku i zaczęła czytać.

List Debory do jej córki Marthy

Kochana Martho, córeczko moja,

usłyszałam dziś od lekarza, że mam wczesne stadium choroby Alzheimera. Co za okropna ironia losu! Przecież przez całe życie robiłam wszystko, by zapomnieć o swojej przeszłości. A teraz tak właśnie się stanie, kawałeczek po kawałeczku. O wszystkim zapomnę.

Zanim to jednak nastąpi, chcę w końcu zrobić to, co już dawno powinnam była uczynić: opowiedzieć Ci historię naszej rodziny. Wyjaśnić Ci, kim jesteśmy i skąd się wywodzisz.

My, ludzie, jesteśmy wszyscy bez wyjątku ogniwami jednego łańcucha. Jesteśmy ze sobą nierozzerwalnie złączeni, ponieważ nosimy w sobie cząstkę życia i myśli tych, którzy byli przed nami. I jeśli miłość jest sercem, to pamięć duszą – a obie są nieśmiertelne. Czasem jednak zdarza się w życiu, że okrutny los wyrwa jakieś ogniwo z tego łańcucha i sprawia, że serce i dusza zasnuwają się mrokiem. Moje ogniwo zostało wyrwane wiele lat temu.

Kochana Martho, zdaję sobie sprawę, że jako matka zawiodłam. Przez całe życie byłam Ci obcą. Świadomie wyłączyłam Cię z mojego życia i nie pozwoliłam Ci być ogniwem w łańcuchu przodków. Nie proszę Cię jednak, abys mi wybaczyła. Czegoś takiego nie sposób wybaczyć.

Mam wszelako nadzieję, że mnie nieco lepiej zrozumiesz, kiedy poznasz moją historię. Naszą historię. Dużą część tej opowieści spisałam już wcześniej, po hebrajsku, w języku, którego nauczył mnie ojciec. Myśl, by to uczynić, poddał mi Raffael. Twój ojczym miał nadzieję, że w ten sposób łatwiej mi przyjdzie uporać się z ciężkim brzemieniem przeżyć.

Twój ojczym był cudownym człowiekiem. Dał Ci to, czego ja nie mogłam Ci ofiarować. Kiedy po przyjeździe do Rymu spotkałam Raffaella, był młodym, nadzwyczaj uduchowionym księdzem. Jego gorliwość w modlitwie przewyższało jedynie przemożne pragnienie okazywania miłosierdzia potrzebującym i praktykowania miłości bliźniego. Niezlomnie wierzył, że to Bóg posłał go do mnie, aby mógł mnie wyzwolić od nienawiści. W ten sposób stałam się przekleństwem jego życia. Raffael wyrzekł się dla mnie wszystkiego – swojego powołania i swojej ojczyzny. Na jego miłość ani sobie nie zasłużyłam, ani też nie byłam mu za nią wdzięczna. Wiele lat później, tuż przed śmiercią, powiedział mi, że wreszcie pojął, iż miłość oznacza nie tylko miłość, lecz także heroizm.

Od tej pory to zdanie towarzyszy mi na każdym kroku. Z początku nie rozumiałam, co miał na myśli, z czasem jednak uświadomiłam sobie, że Raffael postrzegał swoją miłość do mnie jako czyn skierowany przeciwko samemu sobie. Miłość do mnie zniszczyła go. Ja go zniszczyłam. Myślisz, że nigdy Cię nie kochałam, prawda? Tymczasem prawda jest taka, że nigdy nie chciałam Cię kochać. Nie chciałam mieć dzieci. Najpierw nienawidziłam swojego ciała za to, że Cię w sobie nosiło, potem znenawidziłam siebie, że nie potrafiłam temu zapobiec.

Kiedy się urodziłaś i po raz pierwszy wzięłam Cię w ramiona, przeżyłam jedną z najbardziej przejmujących chwil w moim życiu. Miałam nadzieję, że wszystko się jeszcze ułoży. Poczułam ten nieuchwytny dotyk miłości. Lecz potem górę znowu wzięła nienawiść – nie do Ciebie, Martho, tylko do siebie samej. Za to, że Cię kochałam! Byłam zagubiona, nie chciałam odczuwać tej miłości, w ogóle nie chciałam już niczego odczuwać. Miłość była przeszłością, nie chciałam, by jeszcze kiedykolwiek stała się częścią mojego życia. Dlatego zabiłam w sobie uczucia. Nienawiść jest diabłem i ten diabeł trzymał mnie mocno w garści.

Kochana Martho, mimo wszystko wiesz przecież, że z całego serca życzę Ci życia szczęśliwego i pełnego miłości. Masz cudowną córkę. Daj jej całą miłość, jakiej ja zawsze Ci odmawiałam, i znajdźcie swoje miejsce w łańcuchu przodków. Opowiadając swoją historię, która jest także historią Twoją i Twojej córki, daję świadectwo na przekór zapomnieniu.

A jednak ostatecznie zdobyłam się na to, by napisać te słowa: wybac mi, Martho... Żegnaj...

Twoja Matka

CZĘŚĆ II

Gustav i Elisabeth

Przeszłość

Monachium, 9 listopada 1923 roku

Elisabeth czuła wyrzuty sumienia. Była okropnie spóźniona. Na domiar złego, wracając z Diessen, skonstatowała, że ulice Monachium są chwilowo niemal całkowicie zablokowane. Wiedziała, że mąż z pewnością od dawna się o nią martwi.

I rzeczywiście – ledwie służąca otworzyła drzwi i Elisabeth weszła do przedpokoju obszernego mieszkania przy Prinzregentenplatz, a już doktor Berchinger długim krokiem wyszedł naprzeciw spóźnialszej małżonce. Zaraz za nim pojawił się Felix, ich ukochany jamnik.

– Dobry wieczór, Gustavie! – Elisabeth przywitała męża nienaturalnie ożywionym tonem. – Przepraszam, że się spóźniłam, ale gdybyś wiedział, co się dziś dzieje na ulicach! Nasi panowie znów bawią się w wojnę. *À propos*, czy wiesz, kogo dzisiaj spotkałam? Tego człowieka, wokół którego ostatnio jest tyle szumu. Jak to on się nazywa? Hundler?

Elisabeth ledwie zdążyła oddać młodej służącej płaszcz i rękawiczki, kiedy mąż chwycił ją w ramiona i przycisnął do piersi. Wstrząśnięta trwała w jego uścisku. Nigdy w życiu nie widziała Gustava tak wzburzonego.

Uznany lekarz i młoda, pnąca się po szczeblach kariery śpiewaczka operowa byli dopiero kilka miesięcy po ślubie. Od ich pierwszego spotkania do wesela minął niecały miesiąc. Na salonach pojawiły się z tego powodu plotki – tak krótki okres I narzeczeństwa dostarczył mnóstwa powodów do najrozmaitszych spekulacji. Gustawowi i Elisabeth było to jednak obojętne. Nie chcieli czekać na siebie ani jednego dnia dłużej.

Elisabeth była osobą pełną temperamentu, a nawet charakteryzowała się pewną impulsywnością, graniczącą wręcz z nerwowym rozdygotaniem. Trawiona wewnętrznym głodem, którego w żaden sposób nie potrafiła zaspokoić, z zapierającą dech werwą gnała przez życie, ledwie dotykając jego istoty – aż do j owego pamiętnego dnia, w którym spotkawszy Gustava, w jednej chwili uległa fascynacji jego pełną wewnętrznego spokoju osobowością. A on stopniowo i z wycuciem począł lać oliwę | na wzburzone wody jej życia.

Mimo to Elisabeth nadal pozostawała tą samą, pełną energii osobą. Wciąż zdarzały jej się szalone eskapady i spóźnione powroty, lecz Gustav zawsze reagował na jej ekscesy z pobłażliwością właściwą świeżo upieczonemu małżonkowi i rozważą mężczyzny o dwadzieścia lat starszego od swej młodziutkiej żony.

Nic zatem dziwnego, że wzburzenie Gustava, tak nielicujące z jego stoicką naturą, wzbudziło przerażenie Elisabeth, która w lot pojęła, że musiało się stać coś bardzo złego! Zdenerwowanie jej męża nie wzięło się li tylko z jej późnego powrotu do domu. Szybko zrekapitulowała w myślach przebieg swojej wycieczki.

Poprzedniego dnia, tuż przed południem, udała się do siedziby firmy Sixt przy Seitzstrasse, gdzie wynajęła mercedesa z szoferem, by, jak zwykła to czynić w regularnych dwutygodniowych odstępach, złożyć dwudniową wizytę swojej matce. Maria Kasegger, która – nie licząc lekkich dolegliwości reumatycznych – cieszyła się jak najlepszym zdrowiem, mieszkała w niewielkim domu w Diessen nad

jeziorem Ammersee, oddalonym od Monachium ledwie o dwie godziny jazdy autem. Elisabeth zakupiła go dla matki za pieniądze z pierwszych gaży.

Następnego ranka po śniadaniu panie odbyły długi spacer brzegiem jeziora, po czym zjadły wspólnie obiad zakończony wyśmienitą kawą. Po południu, o umówionej porze, szofer odebrał Elisabeth i ruszył w drogę powrotną do Monachium.

Elisabeth pochodziła z biednej rodziny. O swoim ojcu wiedziała niewiele – tyle tylko, że był prawdziwym pechowcem i wszystko, czego się tknął, kończyło się katastrofą – aż do feralnego roku 1910. Elisabeth właśnie skończyła dziesięć lat, kiedy pan Kasegger, straciwszy na rzecz przebiegłego spekulanta odziedziczony po ojcu warsztat szewski wraz z domem przy wiedeńskiej Theresienstrasse, zmuszony był przenieść się wraz z rodziną do ciasnego i wilgotnego mieszkania poza granicami cesarskiej stolicy.

Ponieważ jednak ojciec Elisabeth, jak na wiedeńczyka przystało, miał w sobie ów niepowtarzalny cesarsko-królewski urok, który sprawiał, że nie sposób się było na niego złościć, żona i córka – dwie najbliższe mu na tym świecie istoty – kochały go ponad wszystko. Niestety, panu Kaseggerowi nie było dane dożyć sukcesów córki, gdyż w 1914 roku jako jeden z pierwszych wstąpił z entuzjazmem w szeregi armii Jego Cesarskiej Mości, by pomścić tchórzliwy mord dokonany na austriackim następcy tronu Franciszku Ferdynandzie. Jak się wkrótce miało okazać, był też jednym z pierwszych, którzy oddali życie za ojczyznę. Zaiste, ojciec Elisabeth był wyjątkowym pechowcem.

W drodze powrotnej z Diessen do Monachium Elisabeth poczuła silną potrzebę, za którą zapewne należałoby winić wypitą u matki kawę. Młoda śpiewaczka zastanawiała się właśnie, czy nie zawrócić albo nie rozejrzeć się za jakimś przyzwoitym zajazdem, kiedy przypomniała sobie, że jej przyjaciółka, Helga Putzinger, ma wiejski domek w Uffing, niemal dokładnie po drodze do Monachium. A że Helga ostatnio bardzo często tam bywała, Elisabeth niewiele myśląc, zdecydowała, że spróbuje szczęścia i złoży przyjaciółce niezapowiedzianą wizytę.

Co prawda młode panie znały się dopiero od pół roku – w jednym czasie pobierały lekcje śpiewu u słynnej monachijskiej nauczycielki – ale ponieważ były niemal równolatkami, szybko się zaprzyjaźniły. I to mimo że trudno byłoby sobie wyobrazić osoby bardziej różniące się pod względem temperamentu i powierzchowności. O ile bowiem Helga była wysoką blondynką o naturze rozważnej i opanowanej, o tyle Elisabeth, drobna i delikatna jak wróbelek, miała czarne, lśniące włosy i była jak żywe srebro.

Oczywiście wkrótce Elisabeth poznała małżonka Helgi, Bubię. Wprawdzie w metryce pana Putzingera widniało imię Egon, lecz biedak do końca życia nie zdołał pozbyć się przezwiska z dzieciństwa. A przecież Elisabeth nie znała nikogo, do kogo w mniejszym stopniu pasowałoby takie zdrobnienie. W Bubim wszystko było ogromne: dłonie, stopy, nos, głowa. Był masywny jak byk i dość głośny, ze skłonnością do rubaszości, co bynajmniej nie przeszkadzało mu przepięknie grać na fortepianie, stanowiącym jego prawdziwą namiętność. Elisabeth, która sama była wyborną pianistką, bardzo szybko znalazła w Bubim bratnią duszę.

Po pewnym czasie Elisabeth i Gustav zostali zaproszeni przez państwa Putzingerów na niedzielę do Uffing. I chociaż Gustav, w przeciwieństwie do swej żony, nie zapałał do Bubię natychmiastową sympatią, musiał jednak przyznać, że mąż Helgi, wywodzący się z zasiedziałej monachijskiej rodziny prowadzącej wydawnictwo artystyczne, jest nadzwyczaj odcytany i wykształcony. Rodzinny majątek umożliwił Bubię Putzingerowi ukończenie studiów na Harvardzie, a następnie spędzenie kilku lat w Nowym Jorku, gdzie parął się handlem dziełami sztuki, prowadząc należącą do jego rodziny galerię.

Tamtego popołudnia panowie odbyli ożywioną dyskusję przy kawie i cygarach, wymieniając uwagi między innymi na temat nieszczęsnego topielca Ludwika II, króla Bawarii, o którym Bubi zamierzał napisać książkę.

Kiedy nagłona potrzebą Elisabeth dotarła do domu przyjaciółki w Uffing, okazało się, że dopisało jej szczęście: ledwie dzień wcześniej Helga przyjechała z Monachium ze swoim małym synkiem Egonem juniorem i służącą. Uradowana niespodziewaną wizytą przyjaciółki, gospodyni poczęstowała ją prawdziwą, świeżo mieloną kawą, a odesławszy szofera do pobliskiego zajazdu, młode damy spędziły wspólnie miłe popołudnie, które wkrótce niepostrzeżenie zamieniło się w wieczór.

Jak wiadomo, w listopadzie wcześniej robi się ciemno, toteż kiedy zegar w jadalni nagle wybił godzinę siódmą, Elisabeth aż podskoczyła przestraszona, gospodyni zaś czym prędzej posłała służącą do zajazdu, by powiadomiła szofera, że już czas wracać.

Po pewnym czasie, gdy Helga zaczęła usilnie przekonywać przyjaciółkę, że będzie rozsądniej, jeśli ta zostanie na noc w Uffing, rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

W przeświadczeniu, że to szofer, pani domu otworzyła drzwi i ze zdumieniem ujrzała przed sobą grupę ubłoconych mężczyzn. Wyglądali na wyczerpanych i rozglądali się nerwowo dokoła.

Helga, nawet jeśli zdziwiła ją ta nieoczekiwana wizyta, nie pokazała tego po sobie, zachowując kontenans (później zwierzyła się Elisabeth, że od razu wiedziała, iż musiało się stać coś strasznego, gdyż w przeciwnym wypadku mąż nie kazałby jej poprzedniego dnia zabrać synka i natychmiast wyjechać z Monachium).

Tymczasem Elisabeth, która niespecjalnie interesowała się sprawami wykraczającymi poza jej muzyczny świat – zwłaszcza omawianymi w chmurze tytoniowego dymu typowo męskimi, a jej zdaniem niezbyt inspirującymi kwestiami, takimi jak republika, polityka *et caetera* – nie miała o niczym pojęcia. Była do tego stopnia niezorientowana w wydarzeniach ostatnich dni, że gdyby nie istniało określenie „oderwana od rzeczywistości”, trzeba by je stworzyć specjalnie na użytek Elisabeth.

Przywódca nerwowej grupki był bladej, nieogolony i miał na sobie znoszony trenecz, lecz mimo to Helga z wyszukaną uprzejmością zaprosiła go do środka. Stojący u jego boku mężczyzna przedstawił się jako doktor Schultz, pozostali zaś nie odezwali się ani słowem, tylko czujnie zajęli pozycje przy drzwiach wejściowych.

Ponieważ Elisabeth się śpieszyła, a w dodatku jej szofer w tym samym momencie zajechał autem, nieoczekiwane spotkanie z osobliwymi gośćmi skończyło się na pobieżnej prezentacji. Elisabeth zauważyła, ma się rozumieć, że człowiek w treneczku najwyraźniej był ranny w ramię, lecz jego widok wzbudził w niej nagłą i niepohamowaną chęć ucieczki, dlatego też w niemal nieprzyzwoitym pośpiechu pożegnała się z Helgą i opuściła jej progi. Na szczęście gospodyni była w tym momencie całkowicie zaabsorbowana wizytą niezwykle gości.

Gustav odsunął od siebie żonę na długość ramion, spojrzał na nią zdumiony i przerywając tok jej myśli, z wyraźnym skonfundowaniem spytał:

– Przepraszam, ale... Powiedziałaś, że kogo dzisiaj spotkałaś?

Nie czekając na odpowiedź, ujął żonę pod rękę i prowadził w stronę salonu, a gdy weszli do środka, starannie zamknął drzwi.

Gdy zostali sami, Elisabeth opowiedziała mu wszystko po kolei: o tym, jak po wizycie u matki zajrzała jeszcze do Helgi i że właśnie w Uffing widziała tego bladego Austriaka, którego nazwisko uleciało jej z głowy.

– Boże jedyny! – wykrzyknął Gustav, blednąc. W szoku omal nie potrząsnął Elisabeth, którą wciąż jeszcze trzymał za ramiona. – Przecież to był Hitler! Spotkałaś Adolfa Hitlera! Całe Monachium szuka tego człowieka! Ten zbrodniarz próbował wczoraj wywołać pucz przeciwko rządowi, a teraz ukrywa się u Putzingerów?

– Ach, to stąd te wszystkie blokady na ulicach. Mówię ci, Gustavie, droga powrotna to był prawdziwy

bieg z przeszkodami. To dlatego wróciłam spóźniona. Wyobraź sobie, że musieliśmy...

– To teraz zupełnie bez znaczenia, Elisabeth – Gustav wbrew swemu zwyczajowi bezceremonialnie wszedł żonie w słowo. – Liczy się tylko to, że wróciłaś cała i zdrowa i nic złego ci się nie przytrafiło. Było wielu zabitych. O mało nie oszalałam, tak bardzo się o ciebie martwiłem. Wybacz, muszę się napić koniaku, za sekundę ci wszystko opowiem.

Po chwili, napełniwszy kieliszek i pociągnąwszy pierwszy łyk, Gustav powiedział z naciskiem:

– Posłuchaj, Elisabeth, nie możesz nikomu zdradzić, że widziałaś dzisiaj tego człowieka, a już pod żadnym pozorem nie wolno ci wyjawić, gdzie go spotkałaś. Wystarczy, że wciągnął w to wszystko Bubię i Helgę. Nie chcę mieć z tym człowiekiem nic wspólnego. On jest niebezpieczny.

To powiedziawszy, doktor uspokoił się nieco i opowiedział żonie o doniosłych wydarzeniach, jakie rozegrały się na ulicach Monachium poprzedniego wieczora. Oto mianowicie przywódcy jednej z bawarskich partyjek zorganizowali wiec w piwiarni Bürgerbräukeller, na którym postanowili przemocą obalić legalną władzę. Następnego dnia w południe uczestnicy puczu przemaszerowali przez miasto, jednakowoż zostali zatrzymani przez wierne rządowi oddziały wojska i policji w pobliżu Feldherrnhalle przy Odeonsplatz, gdzie w wyniku starć zginęło kilkanaście osób. Rewolucja została stłumiona, a jej przywódca wraz z najbliższymi współpracownikami zbiegł z miasta.

Gustav wciąż jeszcze był pod wrażeniem niedawnych wydarzeń. *Zamach stanu?!*, wykrzykiwał w duchu. *Próba obalenia bawarskiego rządu?! Nic dziwnego, że w tym momencie w Monachium wrze niczym w ulu, a policja w całym mieście gorączkowo tropi rozpiechłych zamachowców.*

Uczestniczącego w nieudanym puczu generała Ludendorffa, zasłużonego bohatera Wielkiej Wojny, aresztowano w pełnym stroju galowym armii cesarskiej. Z kolei do pościgu za przywódcą rebelii premier rządu Bawarii i od niedawna generalny komisarz stanu Gustav Ritter von Kahr zmobilizował wszystkich podległych sobie urzędników i funkcjonariuszy oraz zaangażował wszelkie dostępne środki. Fakt, że Hitler przez wiele godzin więził go w Bürgerbräukeller, poniżał i wreszcie pod groźbą pistoletu zmusił do podpisania zgody na utworzenie nowego rządu, który miał uratować Niemcy „od nędzy i pohańbienia”, stanowił dla bawarskiego premiera więcej niż tylko osobistą obrazę.

– Przecież ten człowiek nie jest nawet Niemcem, tylko Austriakiem! Niech sobie ratuje swoją Austrię, a od Niemiec niech się trzyma z daleka! – dokończył gniewnie swą opowieść doktor.

Ledwie Gustav skończył relacjonować Elisabeth przerażające wydarzenia ostatniej nocy, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Po chwili w salonie zjawiała się służąca z wiadomością, że „pan doktor jest pilnie wzywany do porodu”.

– Ułożenie pośladkowe – dodała poważnym tonem.

Otilie, bo tak miała na imię pokojówka doktorostwa, utrzymywała bliskie kontakty z miejscową położną i w ogóle interesowała się wszystkim i wszystkimi, toteż bez żadnej przesady można by ją nazwać nieformalną kronikarką życia dzielnicy.

Doktor włożył płaszcz, który zapobiegliwa pokojówka zdążyła już przyszykować wraz z torbą lekarską, nasunął na czoło kapelusz i ucałowawszy przelotnie żonę, pośpieszył do wyczekującej go położnicy.

Początkowo matrymonialne plany doktora Berchingera przyprawiły Otilie o bezsenność. W końcu od blisko sześciu lat, a więc od czasu, kiedy rodzice doktora w krótkim czasie jedno po drugim odeszli z tego świata, tylko ona się nim zajmowała. Ale ponieważ w oczach służącej wszystko, co „pan doktor” robił, było dobre, jej wewnętrzne wzburzenie wkrótce minęło.

W dodatku wybranka pana doktora okazała się szalenie sławną osobą, co wywarło niebagatelny

wpływ na pozycję Otilie i poważanie, jakim cieszyła się w światku służących zatrudnionych w kamienicach przy Prinzregentenplatz. No i – co nie mniej ważne – pani doktorowa nie mieszała się w żadne sprawy domowe. Czegóż zatem chcieć więcej?

Otilie była okazem bawarskiej krzepy. Miała zdrową cerę i jeszcze zdrowszy apetyt i tylko jedną jedyną skazę: otóż z niewiadomych powodów potwornie bała się burzy. Gdy tylko zaczynało błyskać i grzmieć, natychmiast uciekała do piwnicy i nie pokazywała się, dopóki nawałnica nie przeszła.

Doktor Berchinger zauważył kiedyś żartobliwie, że najpewniej Otilie razem z Hansem – służący podążał za nią wiernie jak cień – budują nową arkę Noego. Powiedzenie to z miejsca zrobiło wśród domowników taką furorę, że kiedy tylko ktoś pytał o nieobecną w danej chwili Otilie, słyszał w odpowiedzi: „Pewnie buduje arkę”. Po latach zaś, gdy ktoś z rodziny wspominał stare dobre czasy w kamienicy przy Prinzregentenplatz – to jest czasy, zanim do władzy doszli naziści – zawsze nazywał je „epoką arki Noego”.

Zycie Otilie stało pod znakiem porządku i czystości, a ponieważ mieszkanie niezmiennie stanowiło dowód tych jej cnót, chętnie wybaczano jej burzowe dziwactwo. Poza tym służąca miała ogromne, iście bawarskie serce, które od dawna biło dla służącego Hansa. Ten zaś był prostego usposobienia i zawsze pełen dobrej woli.

– O mój Boże, toż to chłop na schwał! Wygląda bez mała, jakby go spłodzili olimpijscy bogowie! – Wykrzyknęła mimowolnie Elisabeth, ujrawszy po raz pierwszy jego potężną sylwetkę.

Mierząc bez mała dwa metry wzrostu, Hans byłby idealnym wprost kandydatem do gwardii przybocznej Starego Fryca i jego świętej pamięci ojca, zwanego „królem żołnierzy”. Zresztą społeczeństwo wciąż z nostalgią wspominało sławną „gwardię dryblasów”, a kiedy po upadku monarchii i przegranej wojnie w nowo utworzonej Republice Weimarskiej zaczęły się polityczne przepychanki, niemało starszych ludzi z łezką w oku wracało myślami do złotych czasów legendarnych pruskich królów.

Hans, który nie zdawał sobie sprawy z faktu, że jest wręcz ucieleśnieniem idealnego wizerunku przedstawiciela rasy panów, propagowanego przez zyskujących coraz większą popularność narodowych socjalistów, miał starszego brata o imieniu Franz. Otóż ów Franz, który był dalece bardziej prymitywnym wydaniem swego młodszego brata, już od 1921 roku śpiewał, darł się i maszerował – najczęściej wszystko naraz – w paramilitarnych oddziałach SA. Nic zatem dziwnego – jak twierdziła Otilie, która z całej duszy gardziła bratem Hansa – że wykonując tyle czynności naraz, nie miał już zbyt wiele czasu na myślenie.

Zresztą również i Hans w żadnej właściwie kwestii nie miał własnego zdania i we wszystkim kierował się całkowicie i bez reszty opiniami swojej ukochanej Otilie, która poczynania Franza i jego bladego wodza zazwyczaj zbywała pełnym pogardy prychnięciem.

– A dajże ty mi spokój z tym małym wichrzycielem! – naskakiwała na służącego, kiedy ten znowu zaczynał powtarzać zasłyszane od brata peany na cześć Hitlera. – Mężczyzna, który nie ma nawet przyzwoitego wąsa, jest zwykłym nieudacznikiem.

Do powyższego wybuchu – biorąc pod uwagę temperament służącej, niewartego właściwie wzmianki – doszło, kiedy Hans zapytał Otilie, jak też by się zapatrywała na to, gdyby on, Hans, za namową starszego brata przyłączył się do SA. Otilie nie pozostawiła mu w tej kwestii najmniejszych złudzeń i Hans jak zwykle postanowił postąpić zgodnie z jej życzeniem. Tym samym sprawa była dla tych dwojga załatwiona. Tak im się przynajmniej zdawało.

Doktor Berchinger i jego małżonka zajmowali dziesięć pokoi na czwartym, najwyższym piętrze zbudowanej w 1901 roku wielkiej secesyjnej kamienicy przy Prinzregentenplatz, którą doktor

odziedziczył po rodzicach (Gustav miał jeszcze brata, umiarkowanie zdolnego malarza, który mieszkał wraz z żoną w Norymberdze).

Gabinet lekarski doktora znajdował się na parterze, trójka służących zaś – oprócz Ottilie była jeszcze kucharka Berta i kamerdyner Hans – zajmowała pokoje na wysokim poddaszu.

Pierwsze piętro zostało niegdyś wynajęte jakimś nieprawdopodobnie bogatym Amerykanom, których w całym domu nikt już nawet nie pamiętał, jako że od dawna się nie pojawiali, a ostatni raz, jak z przekonaniem twierdziła Ottilie, byli tu dwa lata przed Wielką Wojną. Mimo to należność za czynsz i inne koszty nadal regularnie wpływała na bankowe konto doktora.

Drugie piętro również od miesięcy stało puste i ze względu na panujący kryzys nic nie wskazywało na to, by miało się wkrótce zaludnić. Na trzecim piętrze rezydował emerytowany generał, który był tak stary, że armia już w 1914 roku zrezygnowała z jego usług i przeniosła go w stan spoczynku. On sam uważał to za rzecz wołającą o pomstę do nieba, co też obwieszczał, drąc się na całe gardło, ilekroć ktoś z domowników miał pecha wpaść na niego na klatce schodowej. Można by niemal odnieść wrażenie, że gdyby nie ta fatalna decyzja, stary generał sam jeden wygrałby wojnę dla Niemiec i cesarza Wilhelma. Tymczasem tak naprawdę pocziwy wojak był chodzącym reliktem XIX wieku. Jego znakami rozpoznawczymi – oprócz tego, że zamiast chodzić, maszerował, jakby w jego uszach wciąż brzmiały werble wojskowej orkiestry – były: monokl, laska, surdut, cylinder oraz rzędy orderów dumnie pobrząkujących na zapadniętej piersi (złe języki, do których z pewnością zaliczała się również Ottilie, twierdziły, że staruszek nosi je także nocą, przypięte do poły szlafroka).

Największą wszelako zaletą generała była jego niemal kompletna głuchota: w wypadku śpiewaczki taki sąsiad to gratka nie mniejsza niż wiecznie nieobecni Amerykanie.

6

Pierwszymi krokami na ścieżce kariery dziesięcioletniej wówczas córki szewca pokierował proboszcz i jednocześnie kierownik chóru skromnego kościółka Świętego Leopolda w drugiej dzielnicy Wiednia.

Proboszcza od pierwszej chwili zachwycił krystaliczny głos Elisabeth, uszlachetniający brzmienie jego niewielkiego chóru. Nie minęło wiele czasu, a po dzielnicy rozniosła się wieść, że w kościele śpiewa prawdziwy anioł i tłumy słuchaczy zapełniły małą świątynię. Ludzie tłoczyli się nawet na zewnątrz, czekając cierpliwie, byle tylko usłyszeć cudowne dziecko.

Wkrótce jeden z członków wspólnoty parafialnej wspomniał o utalentowanej dziewczynce swojemu przyjacielowi, człowiekowi znanemu w świecie muzycznym i posiadającemu w nim znaczne wpływy. Przyjaciel ów osobiście przesłuchał obdarzoną wyjątkowym głosem adeptkę śpiewu i wróżąc jej wielką karierę, zorganizował dziewczynce przesłuchanie w salzburskim Mozarteum. Elisabeth pojechała tam wraz z rodzicami i jeszcze w tym samym roku otrzymała stypendium.

Konieczność rozstania z rodzicami rozdarła serce przyszłej diwy, ale wkrótce okazało się, że była to decyzja ze wszech miar słuszna. Już bowiem na początku 1920 roku, mając ledwie dwadzieścia lat, Elisabeth zadebiutowała w Salzburgu jako Małgorzata w *Fauście* Gounoda. Na potrzeby sceny przyjęła panięskie nazwisko matki – Malpran, jako że nazwisko Kasegger wydawało się mało odpowiednie dla kogoś, kto ma zrobić karierę artystyczną.

Sławę przyniosła jej rola Desdemony w *Otelli* Verdiego, którą niecały rok później zadebiutowała w berlińskiej Staatsoper przy Unter den Linden. Tam też rozpoczęła się jej międzynarodowa kariera, która zawiodła ją na deski najznamienitszych scen w Mediolanie, Paryżu, Brukseli i Rzymie. Na operowym firmamencie rozbłysła nowa gwiazda.

Gustav wrócił dopiero wczesnym rankiem, pobladły, zmęczony i z kępkami nieogolonego zarostu. Istotnie, musiał się uporać z porodem pośladowym, który stanowi dla lekarza prawdziwą męczarnię, choć z całą pewnością nie da się jej porównać z tym, co przechodzi rodząca.

W tej sytuacji temat nieudanego puczu siłą rzeczy zszedł na dalszy plan. Po niespełna dwóch godzinach snu Gustav musiał zejść na dyżur do swojego gabinetu, podczas gdy pani domu jeszcze wypoczywała po trudach wycieczki. Wkrótce jednak nadeszła pora wspólnego obiadu i małżonkowie spotkali się w jadalni.

Ku niezadowoleniu Elisabeth Gustav prawie nie tknął posiłku, tylko natychmiast sięgnął po „Münchner Neueste Nachrichten” i zagłębił się w obowiązkowej lekturze. Redaktorem naczelnym dziennika był od 1920 roku przyjaciel doktora, Fritz Gerlich.

Pierwszą stronę gazety zajmował, rzecz jasna, tekst poświęcony nieudanemu puczowi oraz poszukiwaniom jego przywódcy. Zaraz obok artykułu wstępnego widniało zdjęcie bladego oblicza przywódcy buntowników. Elisabeth zobaczyła je w chwili, gdy jej małżonek po przeczytaniu pierwszej strony rozłożył gazetę i całkowicie zniknął za wielką płachtą papieru.

Podczas posiłku pani domu była lekko nadąsana. Jej małżonek poświęcał bowiem większą uwagę lekturze niż jedzeniu, nie mówiąc już o jej zachwycającej osobie. A przecież tego dnia postanowiła wystroić się specjalnie dla niego i – co entuzjastycznie potwierdziła Otilie – wyglądała wręcz zachwycająco w szytej na miarę dziennej sukni, która znakomicie podkreślała jej smukłą figurę.

Teraz, gdy zobaczyła zdjęcie, wiedziała już, jak ściągnąć na siebie uwagę małżonka. Opuściła sztucę na talerz i melodyjnym głosem zawołała w stronę ukrytego za gazetą Gustava:

– No popatrz, to właśnie on, na pierwszej stronie. Człowiek, którego wczoraj wieczorem spotkałam u Helgi. Naprawdę nie rozumiem tego całego szumu wokół jego osoby. Mnie wydał się figurą absolutnie pozbawioną wyrazu. I wyobraź sobie, że nie był nawet ogolony! Człowiek z nizin. Otilie też nie ma o nim dobrego zdania. Naprawdę, uważam, że trzeba się bardziej wsłuchać w głos ludu. Oni mają wycucie w takich sprawach.

Słowa wypowiedziane przez Elisabeth wywołały wprost piorunujący efekt: Gustav drgnął, jakby ktoś go postrzelił, gazeta wyslizgnęła mu się z rąk, on zaś, próbując ją złapać, zamasztył ruchem strącił ze stolika niemal pełną filiżankę kawy.

Felix, który jak zwykle czatował u stóp pana, wyskoczył spod stołu z przeraźliwym piskiem. Gustav jednakże zignorował zarówno szkody, jakich narobił, jak i skomlenie jamnika, którego jeszcze dwa dni później czuć było kawą.

– Na miłość boską, Elisabeth! – wykrzyknął, świdrując małżonkę wzrokiem. – Mam nadzieję, że nie zdradziłaś Otilie, że widziałaś wczoraj tego człowieka?

Doktor z przerażeniem pomyślał o plotkarskiej żyłce służącej, która natychmiast rozgłaszała każdą zasłyszaną wiadomość. Jeśli się rozniesie, że pani doktorowa osobiście spotkała Hitlera, to aż strach pomyśleć, jakie to może mieć następstwa w tych niespokojnych czasach! Gustav gorączkowo zastanawiał się, ile osób wie, że jego żona przyjaźni się z Helgą Putzinger. Oczyma wyobraźni widział już hordy żandarmów wdzierające się do jego mieszkania.

Szczególne relacje łączące Bubięgo Putzingera z Adolfem Hitlerem były w Monachium powszechnie

znane. Bubi poprosił nawet Hitlera, by ten został ojcem chrzestnym jego małego Egona! Gustav wiedział, że Putzinger wierzy w świetlaną przyszłość polityczną tego austriackiego gefrajtra i z wielkim zaangażowaniem wspomaga go w jego działaniach. Niedawno udało mu się nawet wprowadzić Hitlera na salony monachijskiej socjety, która, mając rzecz jasna na względzie swoje egoistyczne interesy, zaczęła wspierać politykę wiedeńskiego wagabundy sowitymi datkami. Bubi w coraz większym stopniu zaczął pełnić funkcję nieoficjalnego rzecznika prasowego Hitlera, a nawet chełpił się, że to on zasugerował swemu protegowanemu pomysł zorganizowania marszów z pochodniami, z którymi zetknął się jako student Harvardu i które wywarły na nim szalone wrażenie.

Co więcej, przedwczoraj udało się Bubiemu zorganizować w Bürgerbräukeller, a więc w samym sercu szalejącego puczu, zaimprovizowaną konferencję prasową dla obecnych tam korespondentów zagranicznych, głównie Amerykanów. Gustav dowiedział się o tym rano od jednego z pacjentów, który zjawił się u niego z obrażeniami po nieprzyjemnym nocnym spotkaniu z uciekającym oddziałem SA.

Elisabeth, uszczęśliwiona faktem, że mążzonek poświęca jej teraz całą uwagę, raz jeszcze zrelacjonowała mu pokrótce spotkanie w domu Putzingerów. Nie mogła przy tym oprzeć się pokusie przedstawienia całego zdarzenia z wrodzonym sobie talentem teatralnym, wydłużając czas trwania przypadkowego spotkania, jak również podkreślając rozwagę i ostrożność Helgi oraz jej wyjątkową odwagę:

– Przyznam ci się, Gustavie, że ja na jej miejscu wystraszyłabym się wizyty tylu ubłoconych mężczyzn, i to późnym wieczorem.

Skończywszy swoją relację, Elisabeth lekkim uśmiechem zasygnalizowała mężowi, jak bardzo się cieszy, że tak niespodziewanie znalazła się w samym centrum ważnych wydarzeń, lecz on z najwyższym trudem powstrzymywał się, by nie wybuchnąć. Najchętniej porządnie potrząsnąłby swoją nierozsądną mążzoneką. Wszak buntownicy ci byli uzbrojeni, nader niebezpieczni i w dodatku uciekali przed policyjnym pościgiem. W tej sytuacji mogli być zdolni do wszystkiego. Elisabeth, słynna sopranistka, mogłaby skończyć jako ich zakładniczka. Ale tego typu myśli jego mążzonece nigdy by nie przyszły do głowy.

W tym momencie w umyśle doktora po raz pierwszy pojawiła się wątpliwość, czy aby nie przecenił swych zdolności, wcielając się w rolę słynnego profesora Higginsa z *Pigmaliona*.

Gustav od samego początku zdawał sobie sprawę z pewnych niedomogów Elisabeth, której dusza odznaczała się wprawdzie wyjątkową szlachetnością, lecz zarazem wciąż wymagała przemyślnego uformowania. Czuł, że to właśnie jego zadanie, i podjął się go ochoczo, teraz jednak zrozumiał, że Elisabeth nie jest kwiaciarką Elizą. Poniewczasie zadał sobie pytanie, czy aby nie pojął za żonę wiecznej dziewczynki uwięzionej w ciele dwudziestotrzyletniej kobiety. Pod względem powierzchowności Elisabeth była skończoną pięknnością, w środku jednak kryła się wzruszająco naiwna mała dziewczynka, która marzy o tym, by ją kochać i podziwiać. Gustav rzucił na szalę całą swoją miłość, by nie określić tej zachwycającej istoty u swego boku cisnącymi mu się na usta przymiotnikami w rodzaju „naiwna”, „lekkomyślna”, czy wręcz – uchowaj Boże – „głupia”.

I jak zawsze, gdy pojawiał się bodaj ślad niebezpieczeństwa, że natrafi na jakąś skazę na duszy swojej ubóstwianej mążzoneki, z miejsca począł wynajdywać kontrargumenty i usprawiedliwiać Elisabeth: przecież całe swoje życie spędziła w odizolowanym od świata królestwie muzyki, z dala od spraw przyziemnych, niemalże we wnętrzu szklanej kuli. Sama wybrała dla siebie to miejsce, dzieląc je z partyturami i dziełami dawnych mistrzów, których stanowiła niejako emanację w świecie współczesnym. To właśnie interpretacyjny kunszt Elisabeth potrafił tchnąć nowe życie w ich muzykę, a cudowne brzmienie jej głosu unieśmiertelniało dzieła owych muzycznych geniuszy.

Aby ukoić niepokój, jaki rodził się w jego sercu, Gustav próbował zobaczyć zachowanie Elisabeth w

pozytywnym świetle. Przypomniawszy sobie, jak jego małżonka we wszystkim – czy to były jakieś nieistotne życiowe drobiazgi, czy też doniosłe wydarzenia – zawsze znajdowała do nich odniesienia muzyczne.

I tak oto, gdy spróbowała w restauracji nowego dania, które wyjątkowo jej smakowało, zdarzało się, że bez najmniejszego skrępowania wykrzykiwała z zachwytem: „Och, ta potrawa dosłownie rozpływa się na języku, smakuje, nie przymierzając, jak sam Vivaldi!”. Tak, temperament Elisabeth był niczym szampan.

Doktor wciąż miał w żywej pamięci miesiąc miodowy, który spędzili nad Bałtykiem. Nieprzyjemna pogoda, huraganowy wiatr, na niebie piętrzą się groźnie ołowiane chmury. Wszyscy spacerowicze pośpiesznie wracają, by szukać pociechy przy gorącej herbacie z rumem, Elisabeth zaś za wszelką cenę chce zostać nad morzem, które tego dnia zobaczyła pierwszy raz w życiu. Puściła dłoń Gustava i popędziła ku szalejącym falom – niczym mały punkcik na tle potężnego horyzontu. Błyskawicznie pozbyła się zapinanych na guziki bucików, podkasła sukienkę i byłaby się pewnie rzuciła głową naprzód w spienione morze, gdyby jej świeżo poślubiony mąż nie przeszkodził jej w tym w ostatniej chwili. Z żarliwością, która po dziś dzień przenikała Gustava do szpiku kości, Elisabeth rozpostarła ramiona i zwracając mokrą, drobną twarzyczkę ku morzu, zakrzyknęła: „Tak! Tak właśnie to musiało wyglądać! Czy czujesz? Czy ty to czujesz, Gustavie? Oto uwertura rodzącego się świata, w chwilę po stworzeniu go przez wszechmogącego Boga. Oto *Tristan i Izolda*, namiętność i miłość, burza i moc. Oto niepokonany żywioł!”.

W tym czasie buciki Elisabeth odpływały już ku dalekim lądom.

Wbrew pozorom Elisabeth nie była aż tak niezorientowana i oderwana od świata – miała wprawdzie niezwykle subtelną duszę artystki, która bezustannie wrywała się ku muzyce, unikając niemal wszystkiego, co nie poruszało wewnętrznych strun, ale dysponowała też niebywałym wyczuciem, jeśli idzie o ludzkie charaktery.

W ostatnim czasie młoda małżonka pozwoliła sobie na chwilową przerwę w koncertach, aby do woli nasycić się przyjemnościami i swobodami przysługującymi kobiecie zamężnej, nadal jednak z surową dyscypliną zawodowej śpiewaczki ćwiczyła swój głos, akompaniując sobie na fortepianie.

Gustav, który sam z ogromnym zaangażowaniem poświęcał się pracy lekarza, wykazywał wielkie zrozumienie dla ludzi, którzy podchodzili z pasją i żarliwością do swojego zawodu. Dlatego ani przez moment nie wahał się, kiedy jego małżonka otrzymała zaproszenie z mediolańskiej La Scali, gdzie w lutym 1924 roku miała śpiewać partię Violetty w *Traviacie*. Jako że rola Violetty należała do jej ulubionych w operowym repertuarze, Elisabeth cieszyła się na myśl o udziale w inscenizacji, tym bardziej, że w roli Alfreda miał jej partnerować słynny włoski tenor Beniamino Gigli. Próby miały się rozpocząć w połowie stycznia.

Swoją dość wczesną, jak na sopranistkę, sławę Elisabeth zawdzięczała nie tylko znakomitemu głosowi i niezwyklej, egzotycznej urodzie, ale przede wszystkim umiejętnościom aktorskim. Mimo młodego wieku była już wielkiego formatu tragiczką i dysponowała zniewalającą, wychwalaną przez krytyków ekspresją.

Tymczasem jednak młoda diwa wciąż jeszcze bawiła w Monachium, z upodobaniem wykonując partię świeżo poślubionej małżonki, której leży na sercu tylko i wyłącznie uszczęśliwianie męża. Po trzech miesiącach małżeństwa nauczyła się już w miarę trafnie odczytywać emocje malujące się na twarzy małżonka.

Tej nowej życiowej roli Elisabeth poświęciła się z takim samym zapałem, z jakim studiowała każdą nieznaną partię śpiewaczą. I tak na przykład potrafiła w nieskończoność rozważać, czy powinna już kazać dzwonić na popołudniową kawę, czy też raczej należy jeszcze przez chwilę pozwolić mężowi oddawać

się lekturze czasopism medycznych. Czyjej małżonek będzie w nastroju na spacer? A może uda się go namówić na wieczorną wyprawę do nowo otwartego kina, które szybko stało się jej ulubioną rozrywką, a może wręcz namiętnością? Na ekrany weszła właśnie filmowa wersja niezwykle popularnej sztuki Nestroya z Hansem Albersem w roli głównej i Elisabeth była szalenie ciekawa ekranizacji.

Oczywiście nie były to sprawy, od których zależałyby losy świata, lecz stanowiły jedynie element sielankowego życia, które ograniczało się głównie do zaspokajania męzowskich zachcianek. Starania Elisabeth dowodziły jednak, że doskonale zdaje sobie sprawę, iż jej życie to coś więcej niż niekończący się ciąg spektakli, po których zapada kurtyna i zbiera się oklaski tudzież bukiety kwiatów. Zrozumiawszy to, Elisabeth powzięła mocne postanowienie, że musi się zdobyć na odwagę i poczynić wreszcie pierwsze – choćby nieśmiało – kroki, by wyjść z zakłętego kręgu muzyki i zapewnić Gustawowi co najmniej równorzędne miejsce w jej duchowym świecie.

Zanim Elisabeth spotkała na swej drodze Gustava – poleciła go jej jedna z koleżanek, kiedy zaczęła się uskarżać na chroniczne przeziębienie – niewiele miała do czynienia z mężczyznami i po prawdzie w ogóle nie odczuwała potrzeby utrzymywania z nimi bliższych kontaktów. Wszystkie myśli i cały swój czas poświęcała muzyce, wiedząc, że talent jest wprawdzie nieodzowną podstawą, ale umiejętności trzeba wykuwać ciężką codzienną pracą.

Wszelako był jeszcze jeden powód owej towarzyskiej powściągliwości: otóż na przykładzie własnej matki Elisabeth nauczyła się, że można jakiegoś człowieka kochać bezgranicznie, a mimo to wiecznie być smutnym i zatroskanym.

A przecież Elisabeth nie chciała się zamartwiać, pragnęła dla siebie szczęśliwego i radosnego życia. Chciała czuć, że żyje, chciała śpiewać, tańczyć, bawić się i zwiedzać dalekie kraje. Była młoda.

I wtedy pojawił się Gustav. Wspaniały, wysoki brunet, w każdym momencie swojego życia dokonujący wielkich rzeczy bądź wypowiadający wzniosłe słowa. A dłonie miał piękniejsze i bardziej wrażliwe niż którykolwiek pianista na świecie.

Gustav obudził w niej tę nieznaną, oszałamiającą melodię, która od tamtej chwili każdego dnia rozbrzmiewała w jej duszy.

Tymczasem doktor, odzyskawszy zarówno gazetę, jak i mowę, nie odzyskał bynajmniej swojego zwykłego spokoju, o czym świadczył wygłoszony przezeń szalenie poważny wykład, którego szczegóły aż nazbyt szybko uleciały z głowy jego małżonki. Ponieważ jednak używał słów w rodzaju „niebezpieczne”, „trzeba uważać”, „nie wyjeżdżać samotnie” *et caetera*, Elisabeth doskonale rozumiała, jakie mają być praktyczne konsekwencje owej prelekcji. Natychmiast poczuła, że Gustav zamierza ograniczyć jej osobistą wolność! To zaś w żaden sposób nie mogło się spodobać młodej małżonce, która szybko zaczęła sobie cenić świeżo nabyte prawa kobiety zamężnej oraz związane z tym swobody i przywileje.

Jako młoda, niesamodzielną stypendystką była w Mozarteum trzymana na krótkiej smyczy. Kiedy zaczęła stawiać pierwsze kroki na ścieżce kariery, uczelnia zapewniła jej opiekuna, wybranego przez radę fundacji po to właśnie, by nadzorował każdy jej krok. I rzeczywiście – człowiek ów towarzyszył jej na każdym kroku. Dla Elisabeth było to szalenie uciążliwe, tym bardziej że jej opiekun nosił nędzny garnitur i wydierał dość nieprzyjemny zapach, tak że jego podopieczna zawsze musiała nosić ze sobą zapas perfum. Na szczęście po pierwszych prawdziwych sukcesach uczelnia wyasygnowała dodatkowe środki, które pozwoliły na to, aby matka młodej śpiewaczki, która otrzymywała do tej pory jedynie skromną wdowią rentę po poległym żołnierzu, mogła odtąd towarzyszyć córce w charakterze przyzwoitki.

Dla bogobojnej matki podniecający i rozedrgany świat opery, w jaki wpadła za sprawą córki, był czymś absolutnie nie do pojęcia. W długiej spódnicy i z wełnianym szalem na ramionach czekała za

kulisami jak zapomniany element dekoracji jakiegoś dawnego spektaklu. Z niedowierzaniem patrzyła na tych wszystkich ludzi, którzy jaskrawo uszminkowani i często bardzo lekko ubrani, zupełnie nie zwracając na nią uwagi, mijali ją w przerwach między aktami. Mimo to nigdy nie wypowiedziała słowa nagany. Podziwiała córkę i cieszyła się cichym szczęściem, że może jej towarzyszyć.

Nic przeto dziwnego, że Elisabeth była nader wrażliwa, jeśli idzie o osobiste swobody, i doprawdy niewiele brakowało, by pierwsza kłótnia położyła się cieniem na młodym małżeńskim szczęściu.

Ale ponieważ niebiosą na równi z talentem muzycznym wyposażyły młodą artystkę w dar spontaniczności, Elisabeth, która była prawdziwą mistrzynią w tej dziedzinie, idąc za nagłym impulsem, zerwała się z miejsca, obeszła stół dookoła i zarzuciła mężowi ręce na szyję, a przytuliwszy swoją drobną główkę do jego policzka, zagruchała:

– Ach, mój kochany, nie rozmawiajmy już dłużej o tych okropnych rzeczach. Mój impresario zwykł mawiać, że powtarzanie jest wskazane tylko podczas ćwiczenia. W końcu to nie moja wina, że ten Hundler wybrał się akurat do Helgi. Mogę ci obiecać, że nigdy więcej nie wyjadę z domu bez naszego wielkiego Hansa. Tylko już się nie gniewaj, dobrze?

Chłonąc słodki zapach jej skóry, Gustav z roztargnieniem skostatował, że Elisabeth znów przekreśliła nazwisko austriackiego gefrajtra.

Całus w policzek małżonka niemal całkowicie wygładził już fale, lecz Gustav, nim ostatecznie złożył broń, poczuł się w obowiązku raz jeszcze wrócić do sprawy:

– Dobrze, Elisabeth. Ale pamiętaj, co mi obiecałaś: nikomu ani słowem nie wspomnisz, że wczoraj wieczorem byłaś w domu Helgi Putzinger. A już absolutnie nie wolno ci o tym wspomnieć w obecności Otilie. Ja zaś porozmawiam z Helgą. Na pewno zrozumie, że w tych niepewnych czasach uważam takie wizyty za zbyt niebezpieczne. Przynajmniej dopóty, dopóki ten cały Hitler pozostaje w ukryciu. Swoją drogą, Helga postąpiła bardzo rozsądnie, przedstawiając cię moim nazwiskiem.

Gustav umilkł, lecz po chwili przypomniał sobie coś jeszcze.

– A ten szofer? Sądysz, że coś zauważył?

Ktoś inny na miejscu Elisabeth być może zastygłby na chwilę w zadumie, lecz ona tylko zmarszczyła swój zachwycający nosek.

– Nie wydaje mi się. Jestem wręcz pewna, że auto zajechało na podjazd dopiero wtedy, kiedy panowie byli już w holu. W najlepszym razie mógł zobaczyć tył jego głowy. Naprawdę, nie musisz się nim przejmować, Gustavie. A teraz chodź, coś ci zagram. Masz ochotę posłuchać?

Następnego dnia, 11 listopada, Otilie wpadła do kuchni jak bomba. Bertha coś gotowała, Hans natomiast siedział przy stole i reperował poluzowaną rączkę patelni.

– Jezusie Nazareński! – Służąca zaczęła triumfalnie relacjonować najświeższe wiadomości zasłyszane na targu. – No i złapali naszego pana Hitlerka. U Putzingerów się ukrywał, pod miastem. Wyprowadzili go w pizamie i szlafroku gospodarza. Szkoda, że tego nie widziałam, bo pan Putzinger jest przecież co najmniej pół metra wyższy i szerszy od tego konusa. Przyszedł po niego wachmistrz z Uffing i trzydziestu policjantów z Monachium. Zupełnie nie rozumiem, po co na tego wypierdka aż tylu policjantów. – Otilie dobrotliwie puknęła swojego Hansa kostkami palców w głowę i dokończyła: – Teraz powinni zapuszkować też twojego braciszka. Najlepiej, żeby posadzili obu głupków w jednej celi, toby sobie mogli wespół śpiewać i maszerować.

Polityka w ogólności, a Adolf Hitler w szczególności bardzo szybko jednak zeszyły na dalszy plan, jako że kilka dni później okazało się, iż Elisabeth spodziewa się dziecka, co było tym większą sensacją, że przecież kto jak kto, ale doktor Berchinger na pewno wiedział, jak w tych sprawach zachować ostrożność.

Zaraz po ślubie małżonkowie omówili kwestię przyszłego potomstwa z niespotykaną jak na owe czasy otwartością – doktor aż nazbyt dobrze znał bowiem lęki i cierpienia rodzących oraz wszelkie możliwe komplikacje zdarzające się podczas porodu. Poglądy doktora Berchingera można by zresztą bez wahania określić jako na wskroś nowoczesne, ponieważ był zdania, że kobieta sama powinna decydować o tym, ile dzieci chce urodzić, oraz określić moment, kiedy czuje się gotowa do podjęcia macierzyńskiego obowiązku. Dlatego też młodzi małżonkowie świadomie odsunęli w czasie rodzicielskie plany. Jednakże, jak uczy życie, czasami sprawy toczą się zgoła inaczej, niż człowiek je zaplanował.

W tej sytuacji Elisabeth Malpran musiała rzecz jasna zapomnieć o Mediolanie, *Traviacie* i partii Violetty.

Część III

Deborah

Czerwiec 1924 roku

Gustav i Elisabeth, od samego początku zgodnie przeświadczeni o tym, że spłodzili cudowne dziecko, szybko rozstrzygnęli: jeśli się urodzi dziewczynka, otrzyma imię Deborah, po zmarłej matce Gustava; jeśli zaś chłopiec – dadzą mu na imię Wolfgang, na cześć Wolfganga Amadeusza Mozarta, największego bożyszcza Elisabeth.

Mała Deborah przyszła na świat w słoneczny czerwcowy dzień 1924 roku, pod znakiem Bliźniąt, o którym powiadano, że rodzi się pod nim wyjątkowo wielu artystów. I rzeczywiście – szczęśliwa gwiazda od początku jasno świeciła dla nowej mieszkanki kamienicy przy Prinzregentenplatz 10: jej przyszły dom, obdarzony wszelkimi atrybutami dostatniego, mieszczańskiego życia, był wypełniony szczęściem i muzyką, a jej rodzice gorąco kochali siebie nawzajem i swoją pociechę.

Kiedy Gustav przyglądał się tej cudownej istotce w dziecięcej kołysce, widział w niej obietnicę lepszej przyszłości – a dostrzegał ją tym bardziej, im bardziej uświadamiał sobie mroczną przeszłość i czasy obecne, w których wielu ludzi cierpiało głód i było przepełnionych obawą o jakże niepewne jutro.

Ledwie sześć lat minęło od chwili, kiedy Niemcy przegrały najkrwawszy konflikt w dotychczasowych dziejach ludzkości, a Gustav, który służył jako lekarz na pierwszej linii frontu, dogłębnie poznał nędzę i bezsens wojny.

Wszelako dalece większym niepokojem niż wspomnienie wojennej grozy przepełniało doktora to, co nastąpiło później, nieuchronnie popychając jego ojczyznę na skraj przepaści: rewolucja listopadowa i upadek cesarstwa, przypieczętowany traktatem wersalskim z 1919 roku. Narzucony Niemcom pokój nakładał na kraj horrendalne wręcz kontrybucje na rzecz zwycięskich mocarstw i fatalnie zbiegł się w czasie z gwałtownymi niepokojami społecznymi, które doprowadziły do wybuchu wojny domowej i zakończyły się utworzeniem Republiki Weimarskiej – państwa, w którym zwalczało się ponad trzydzieści najrozmaitszych partii o niejednokrotnie sprzecznych celach i interesach.

Oprócz nieustającego terroru bojówek komunistycznych największym wstrząsem był dla Gustava szerzący się antysemityzm. Od chwili upadku cesarstwa wrogość i fizyczna przemoc wobec Żydów nieustannie przybierały na sile. Antyżydowskie wystąpienia stały się nieomal immanentną cechą nowej Republiki, uważanej przez wielu jej obywateli za nadmiernie „zażydzoną”. Najnowszą i najbardziej znaną ofiarą tych ekscesów był pierwszy żydowski minister spraw zagranicznych Walther Rathenau. Latem 1922 roku za powszechnie znaną uliczną przyśpiewką „Odstrzelić Żyda Rathenaua, nie będzie nam świnia do rządu się pchała” poszły konkretne czyny – minister został zamordowany. Także przyjaciel doktora, Maximilian Harden, socjalista i wydawca politycznego tygodnika „Przyszłość”, został ciężko ranny w zamachu i jeszcze nie doszedł całkowicie do zdrowia. Antysemityzm szerzył się we wszystkich warstwach społecznych, choć *gros* jego zwolenników rekrutowało się z warstw średnich i wykształconego mieszczaństwa. Po raz kolejny Żydzi stali się kozłem ofiarnym. Powszechnie obarczano ich winą za przegraną wojnę – czy to piętnując ich jako ostatnich tchórzy za wszelką cenę unikających wysłania na front, czy to przedstawiając jako obrzydliwych spekulantów, którzy na wojnie zrobili największy interes. Cały kraj zalewały nieprzeliczone wprost antyżydowskie plakaty, ulotki i karykatury.

Do ugruntowania tego negatywnego nastawienia przyczynił się także sam marszałek von Hindenburg, pogromca Rosjan spod Tannenbergu, który w 1919 roku swoją wypowiedzią na forum Zgromadzenia Narodowego położył fundament pod przyszłą legendę o „zdradzieckim ciosie w plecy”. Marszałek stwierdził mianowicie, że niemiecka armia do samego końca pozostała „niezwyciężona na polu bitwy” i dopiero niemający ojczyzny cywile i autorzy rewolucji listopadowej 1918 roku „zadali jej zdradziecki cios w plecy”. Reakcją opinii publicznej było oburzenie skierowane przeciwko Żydom, jako że wedle powszechnej opinii legendarny wódz cesarskiej armii mógł mieć na myśli wyłącznie przedstawicieli tej obcej i wrogiej nacji.

Jakby tego było mało, w społeczeństwie niemieckim coraz szersze kręgi zataczał mit o wszechświatowym spisku żydowskim, opierający się na *Protokołach mędrców Syjonu*, obrzydliwej fałszywce, która rozchodziła się jak ciepłe bułeczki. Przeczytawszy tę publikację, doktor Berchinger pokręcił tylko głową. *Kiedyż ci ludzie wreszcie zmądrzeją?*, myślał zafrasowany. *Dlaczego ciągle dają się porwać jednym i tym samym nienawistnym tyradom? I dlaczego tak łatwo wmówić im absurdalne wręcz kłamstwa? Dlaczego tak łatwo dają się omotać?* Któryż to raz zadawał sobie te wszystkie pytania! Był Żydem, a zarazem zwykłym, normalnym człowiekiem i obywatelem, nie lepszym ani nie gorszym od innych mieszkańców tego kraju.

Niemcy były pogrążone w politycznym chaosie. W kraju toczyły się bez końca jałowe i bezowocne spory, podczas gdy naród niemiecki pogrążał się w nędzy. Wojna i błędna polityka rządu nieuchronnie prowadziły do hiperinflacji.

W październiku 1923 roku bochenek chleba kosztował 58 milionów marek. Ludzie chodzili po ulicach z workami pełnymi bezwartościowych banknotów, za które prawie nic nie dało się kupić.

Masy ludzkie były bez pracy, cierpiały głód i traciły nadzieję, że nadejdą lepsze czasy. Rządziła nie polityka, ale bieda. To wszystko zaś stanowiło niebezpieczną pożywkę dla głosicieli skrajnych ideologii i ich najrozmaitszych intryg.

Ku radości rodziców pomyślny horoskop ich córeczki spełnił się już w kołysce: dziewczynka urodziła się w samym środku złotych lat dwudziestych, kiedy w wyniszczonym kraju wreszcie poczęła nieśmiało kiełkować nadzieja.

Od listopada 1923 roku sytuacja w Niemczech zaczęła się bowiem stabilizować. Reforma walutowa i wprowadzenie w życie planu Dawesa pozwoliły wciąż chwiejnej gospodarczo i politycznie Republice nieco pewniej stanąć na nogach.

Najmłodszy członek rodziny Berchingerów bardzo wcześnie zaczął reagować na wszelkiego rodzaju tony i dźwięki. Wystarczyło, by Elisabeth zanuciła córeczce jakąś kołysankę, a mała natychmiast wpadała w zachwyty, nieświadomie machając rączkami i nóżkami w rytm muzyki.

Niestety młoda matka bardzo szybko ze smutkiem skonstatowała, że w wypadku jej dziecka śpiew nie spełnia swojej zwyczajnej roli i bynajmniej nie pomaga maleństwu zasnąć. Gdy tylko Elisabeth kończyła kołysankę, drobna twarzyczka purpurowiała, a z maleńkich ust dobywał się straszliwy krzyk domagający się bisów.

Nic przeto dziwnego, że nawet tak przecież obyty ze sceną głos Elisabeth Malpran po kilku godzinach nieprzerwanego nucenia osiągał granice wytrzymałości, a bezsenne noce w małżeńskim łóżu i bezskuteczne próby uspokojenia córeczki stanowczo nadwierały też nerwy doktora.

Oczywiście taki stan rzeczy był nie do wytrzymania na dłuższą metę, dlatego też Gustav, który był nie tylko lekarzem, lecz również domorosłym myślicielem i od zawsze wyznawał pogląd, że każdy problem ma jakieś rozwiązanie, wrócił któregoś wieczora do domu z nowiuteńkim gramofonem walizkowym firmy Victrola, który natychmiast wstawił do pokoju maleństwa.

Od tej pory świeżo upieczony ojciec z iście naukowym zapałem zaczął poddawać niemowlę różnego rodzaju eksperymentom akustycznym. I tak oto na początek postanowił wy badać, jak córka zareaguje na głosy żeńskie inne niż głos jej matki, na przykład na śpiew słynnej sopranistki Kirsten Flagstad czy Mary Garden. Wynik był jednoznaczny: mała Deborah uwielbiała śpiew w każdej postaci. Okazało się, że w jej wypadku liczyło się tylko to, by mogła jak najdłużej obcować z muzyką.

W następnej kolejności doktor postanowił odtworzyć córce nagrania głosów męskich. Rozpoczął od rzadkich nagrań Enrica Carusa, którego uważał za największy tenor stulecia, wielbiąc go nieomal jak boga. Mała Deborah z miejsca podzieliła upodobania ojca, ze szczególną lubością wsłuchując się w arię *La donna e mobile* z *Rigoletta* Verdiego.

Rychło okazało się, że nowa metoda usypiania maleństwa również ma pewną wadę: otóż szelakowe płyty z 1924 roku mogły pomieścić na jednej stronie maksimum sześć minut muzyki i trzeba je było ostrożnie przekładać, zdmuchując wcześniej z niezwykle delikatnej igły wszelkie drobiny kurzu. A ponieważ owe sześć minut w żadnym razie nie wystarczało, by mała Deborah zapadła sen, jej rodzice byli zmuszeni co sześć minut na zmianę lunatykować do dziecinnego pokoju, by puścić płytę od początku. Na domiar złego sposób ten nie zawsze okazywał się skuteczny, jako że odtwarzane w kółko te same utwory siłą rzeczy traciły z czasem na atrakcyjności.

Gustav postanowił więc położyć kres nocnym wycieczkom i przyjąwszy na służbę Magdę, piętnastoletnią kuzynkę kucharki Berthy, powierzył jej jeden jedyny obowiązek: zmienianie płyt w pokoju małej Debory. Tym samym doktor, nie zdając sobie z tego sprawy, powołał do życia nowy zawód, który wszelako doczekał się oficjalnego uznania dopiero po upływie kilku dziesięcioleci. Ten zawód to „zmieniacz płyt”, czyli mówiąc z angielska: *discjockey*.

Magda, niepozorna dziewczynka z równym przedziałkiem pośrodku głowy i cienkimi warkoczycami, była nieśmiałą istotą, która rzadko kiedy podnosiła oczy i której zasób słów ograniczał się do: „tak jest, proszę pani”, „tak jest, proszę pana” oraz „dziękuję”. Poza tym panicznie bała się swojej ciotki Berthy, która zwykła używać chochli również do innych celów niż tylko mieszanie zupy.

Jednak w niepozornej główce dziewczyny krył się bystry umysł, który szybko chłonał i przyswajał nowe rzeczy. A ponieważ Magda od pierwszego dnia z zapałem poświęciła się swemu zajęciu, wkrótce nieomal zrosła się z gramofonem. Czyściła go i dbała o niego, zmieniała zużyte igły i bardzo szybko nauczyła się sama naprawiać drobne usterki. Szelakowe płyty traktowała jak małe klejnoty, w związku z czym Elisabeth podarowała jej dwie pary swoich pięciopalczastych rękawiczek, z którymi Magda nigdy się odtąd nie rozstawała.

Z chwilą pojawienia się nowej służącej nocami w mieszkaniu doktorostwa znowu zapanowały cisza i spokój. Dziecko rosło i rozwijało się, i wszyscy byli zadowoleni. Doktor mnóstwo pracował, a jego żona znajdowała radość w opiece nad małą córeczką.

Oprócz tego Elisabeth dwa razy w tygodniu brała lekcje śpiewu u pani Lehmann i dla zachowania giętkości głosu i palców niemal codziennie ćwiczyła na fortepianie, stawiając u swego boku kołyskę z córeczką. Mimo to bardzo szybko zaczęła tęsknić za operą, próbami, towarzystwem pochłoniętych tą samą namiętnością koleżanek i kolegów, gorączkowym wyczekiwaniem na wyjście na scenę, za ariami i duetami i za zwieńczeniem wieczoru w postaci burzy braw i aplauzu.

W końcu postanowiła zwierzyć się z tych pragnień mężowi i niedługo potem grono służących w mieszkaniu przy Prinzregentenplatz 10 powiększyło się o kolejną osobę: opiekunkę do dziecka, panią Klarę Schnapphahn, osobę starszą i lekko zezującą, za to dysponującą najlepszymi referencjami.

Dzięki temu Elisabeth mogła wreszcie odpowiedzieć na zaproszenie mediolańskiej La Scali, której dwa lata wcześniej zmuszona była odmówić.

Na szczęście publiczność nie zapomniała o Elisabeth Malpran, ona sama zaś nic nie straciła z dawnej wirtuozerii. Nazajutrz po pierwszym od chwili urodzenia dziecka występie ton prasowych recenzji był absolutnie zgodny: Nigdy wcześniej nie było tak porywającej Violetty jak ta, która wyszła spod batuty maestro Artura Toscaniniego. Jeden z krytyków posunął się wręcz do stwierdzenia, że Elisabeth Malpran byłaby zachwycająca nawet wtedy, gdyby w ogóle nie zaśpiewała – do tego stopnia oczarowały publiczność jej umiejętności aktorskie.

Elisabeth omal nie utonęła w powodzi kwiatów, która zalała scenę, i chyba nikt z obecnych nie byłby w stanie policzyć, ileż to razy kurtyna szła w górę, zmuszając śpiewaczkę do bisu.

Sukcesy nie zagłuszyły jednak miłości Elisabeth do córeczki, dlatego nie chcąc skazywać jej i siebie na zbyt długą rozłąkę, odrzuciła zaproszenia do nowojorskiej Metropolitan Opera oraz do Chicago i San Francisco.

Dla Debory Elisabeth bez żalu zrezygnowała z kariery za oceanem.

W połowie 1929 roku brunatna zaraza dotarła w bezpośrednie sąsiedztwo kamienicy należącej do doktora Berchingera. Oto po jednym ze spacerów, jakie Otilie regularnie odbywała ze swoim Hansem, służąca przyniosła do kuchni sensacyjną wręcz plotkę: na drugie piętro kamienicy przy Prinzregentenplatz 16 wprowadził się nowy lokator: Adolf Hitler. Ten sam, którego działalność tak bardzo bulwersowała pana doktora.

– Wyobraźcie sobie, że nie opłaca czynszu sam, tylko pozwala, żeby płacili za niego inni, jak jakaś ostatnia szmata. Nie ma co, niezły gagatek ten nasz pan Hitler nazista – żołądkowała się Otilie.

Dwa lata później, w roku 1931, Elisabeth Malpran po raz trzeci została zaproszona do Bayreuth na Festiwal Wagnerowski. Mimo że dwukrotnie – w latach 1927 i 1929 – ze względu na zakontraktowane już angaże zagraniczne była zmuszona odmówić organizatorom, ci niezrażeni ponowili zaproszenie, tym razem proponując słynnej sopranistce partię Izoldy i Elżbiety w *Tannhäuserze* oraz kusząc perspektywą współpracy z jej ukochanym maestro Arturem Toscaninim.

Tym razem Elisabeth bez trudu byłaby w stanie pogodzić udział w festiwalu z innymi planami, lecz mimo wszystko zwlekała z przyjęciem angażu. Najpierw chciała usłyszeć zdanie małżonka, jako że rodzina Wagnerów, która w 1924 roku reaktywowała festiwal, od lat otwarcie popierała narodowy socjalizm, podczas gdy Gustav i jego przyjaciel Fritz Gerlich, który ostatnio założył własną gazetę „Der Gerade Weg – Deutsche Zeitung für Wahrheit und Recht”, byli gorącymi przeciwnikami nazizmu.

Od czasu nieudanego puczu z roku 1923 Gerlich stał się jednym z najostrzejszych krytyków rosnącego w siłę ruchu narodowosocjalistycznego. Jako bodaj pierwszy z dziennikarzy przejrzał istotę narodowego socjalizmu, niczym prorok wieszcząc, że ruch ten przyniesie Niemcom kłamstwo, nienawiść, bratobójstwo, bezdenną nędzę i niewyobrażalny upadek. Nic zatem dziwnego, że ilekroć zjawiał się w domu Gustava i Elisabeth z wizytą, tylekroć panowie mieli tylko jeden temat i jedno zmartwienie: za wszelką cenę powstrzymać Adolfa Hitlera!

Niestety – jak cierpliwie klarował doktor swojej małżonce – mało kto chciał o tym czytać czy słuchać przenikliwych prognoz Gerlicha. W całym kraju grasował bowiem umysłowy analfabetyzm, czyniąc ludzi podatnymi na brunatną zarazę, która zbierała ogromne żniwo wśród ślepych i rozentuzjasmowanych, głuchych i posłusznych umysłów.

Elisabeth jeszcze wiele lat później jako żywo pamiętała jedną z dyskusji, którą dwaj przyjaciele poświęcili osobie Hitlera – a pamiętała ją przede wszystkim dlatego, że krótko potem doszło do jej pierwszej poważnej kłótni małżeńskiej z Gustavem. Wspomniana rozmowa dotyczyła wypuszczenia Hitlera z twierdzy w Landsbergu. 20 grudnia 1924 roku, po zaledwie dziewięciu miesiącach odbywania kary, władze penitencjarne, mając na względzie „dobre sprawowanie” więźnia, zwolniły przyszłego Führera – skądinąd skazanego przecież na pięć lat więzienia – nieświadomie wydając w ten sposób naród niemiecki na pastwę jego demagogicznych haseł. Zdaniem doktora Berchingera decyzja ta stanowiła ostateczny dowód degrengolady bawarskiego wymiaru sprawiedliwości.

Tego samego wieczora, to jest 20 grudnia, rozległ się dzwonek do drzwi i do mieszkania Gustava i Elisabeth, niby jesienny wiatr, wtargnął Fritz Gerlich. Dziennikarz z trudem hamował wzburzenie.

– To skandal, Gustavie! – grzmiał na cały dom. – Ten człowiek wywołuje rebelię przeciwko legalnej

władzy, czterech policjantów zostaje zabitych, wszystko porządni ojcowie rodzin, i oto już po dziewięciu miesiącach jest wolny jak ptak! – Gerlich chodził tam i z powrotem po gabinecie Gustava, dziko gestykulując. – Już sama rozprawa była farsą. Byłem na niej. Sędzia pozwolił mu mówić przez bite cztery godziny. To nie była rozprawa, tylko partyjny wiec!

Gustav skinął głową, przyznając przyjacielowi rację.

– Niestety, mój drogi, z żalem przyznaję, że ten człowiek doskonale wyczuwa ducha obecnych czasów. Dlatego masy coraz liczniej przyłączają się do chóru jego zwolenników. Hitler to szalenie niebezpieczny demagog. Upatrzył sobie kilku wrogów, którym przypisuje winę za obecną sytuację Niemiec. Przede wszystkim chodzi mu rzecz jasna o Żydów. I niestety nie jest w tych działaniach odosobniony. Ma u swojego boku naprawdę inteligentnych i przebiegłych ludzi, dość wspomnieć Alfreda Rosenberga czy Hermanna Göringa. To oni poddają mu niektóre pomysły i na wszelkie sposoby wspierają, mając nadzieję, że razem z nim zostaną wyniesieni na szczyty władzy.

– Niestety, masz rację – dziennikarz potwierdził analizę doktora. – Hitler ma już całą rzeszę wpływowych sympatyków, dlatego też warunki, w jakich mu przyszło odbywać karę, były wręcz komfortowe. Ten zbrodniarz nie siedział w więzieniu, tylko rezydował w nim jak w jakimś hotelu.

– Taaak – westchnął Gustav. – I mnie doszły podobne słuchy. Jeden z moich kolegów po fachu jest zatrudniony w twierdzy i szczegółowo o wszystkim mi opowiedział. Pomieszczenie, w którym osadzono Hitlera, istotnie wyposażono we wszelkie wygody.

– No właśnie, pokój z widokiem i możliwością odwiedzin, niekończące się wizyty przyjaciół. Wagnerowie z Bayreuth, pani Bruckmann, połowa towarzyskiej śmietanki Monachium. Jednemu z odwiedzających go przyjaciół, niejakiemu Rudolfowi Hessowi, Hitler podyktował demagogiczny paszkwil, który zatytułował pretensjonalnie *Mein Kampf*. Podobno każdy frustrat spod znaku radykalnej prawicy znajdzie dla siebie w tym grafomańskim dziele jakiś łakomy kąsek. *À propos*, ponoć Hitler dostawał tyle paczek, że spokojnie mógłby otworzyć delikatesy, miał się zatem czym dzielić z innymi więźniami, zyskując przy okazji kolejnych zwolenników. Słyszałem, że wśród osadzonych wytworzył się dziwny rytuał, zgodnie z którym rozdawane smakołyki witano okrzykiem „Heil, Hitler!”. Co za idioci! Zupełnie, jakbyśmy się cofnęli do czasów starożytnego Rzymu. Ech, Gustavie, gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie sympatycy Hitlera. Aż strach pomyśleć, do czego to wszystko może doprowadzić. Niemcy nie zdają sobie sprawy, w co ten Austriak ich pakuje – zakończył swoją perorę Gerlich.

Następnego dnia między Elisabeth a Gustavem doszło do wspomnianej już kłótni. Przyczyna była doprawdy banalna: oto Helga Putzinger, goszcząc przyjaciółkę w swoim nowym domu przy Pienzenauer Strasse w monachijskiej dzielnicy Bogenhausen, przy okazji wymiany ostatnich plotek wspomniała, że razem z Bubim wydają małe wigilijne przyjęcie, na które rzecz jasna chciałyby zaprosić Elisabeth, Gustava i ich małą córeczkę. Zaraz potem gospodyni z dumą dodała, że swoje przybycie potwierdził również pan Hitler, który poprzedniego dnia został właśnie zwolniony z twierdzy w Landsbergu.

Elisabeth, która od dawna cieszyła się na myśl o pierwszych świętach Bożego Narodzenia, które zamierzała spędzić z córeczką i mężem, nie umiała się zdobyć na to, by wprost odmówić przyjaciółce, toteż odpowiedziała wymijająco:

– Bardzo chętnie, ale najpierw muszę spytać Gustava. W końcu, jak wiesz, to nasze pierwsze rodzinne święta.

Oczywiście ani słowem nie wspomniała przyjaciółce o nieprzejednanej niechęci Gustava do Hitlera. Zresztą polityka nigdy nie była przedmiotem ich rozmów. Helga unikała tych tematów świadomie, jej przyjaciółka zaś, jak wiadomo, w ogóle nie interesowała się tego rodzaju kwestiami.

Wróciwszy do domu, Elisabeth mimochodem wspomniała Gustawowi o przyjęciu wigilijnym, na które

Helga i Bubi zaprosili też „tego pana Hitlera”. Była przekonana, że małżonek podziela jej pragnienia i wolałyby spędzić święta z rodziną w domu, dlatego w odpowiedzi spodziewała się co najwyżej zwykłego „może jednak nie”.

Tymczasem Gustav, ledwie padło nazwisko Hitlera, wpadł w niespotykany u niego gniew, i począł się bardzo niepochlebnie wyrażać o Heldze i Bubim. Wyraził oburzenie faktem, że w dalszym ciągu zadają się z tym „bezużytecznym nicponiem”, a następnie, ku zdumieniu Elisabeth, zdecydowanie i bezceremonialnie zabronił żonie utrzymywania kontaktów z Putzingerami.

W pierwszej chwili Elisabeth była jedynie zdumiona wybuchem męża, lecz wkrótce ją również ogarnął gniew. Nie, nie była zła na swojego męża, tylko na tego przekłętego Hitlera. I to nie z powodu jego niegodziwych uczynków, o których nie miała zbyt wielkiego pojęcia, tylko dlatego że z jego powodu ludzie muszą się tak strasznie denerwować! Była też zła sama na siebie. Gdyby zdecydowała się okazać mniej serca, a więcej odwagi, od razu odmówiłaby Heldze. A ponieważ wyrzucała sobie, iż z powodu tej opieszałości mąż zdecydował się zakazać jej utrzymywania kontaktów z przyjaciółką, zrobiła coś bardzo głupiego, a mianowicie wzięła stronę Helgi i jej Bubiego.

– Daj spokój, Gustavie – rzekła. – Po cóż ty się właściwie ciągle tak wściekasz na tego Hitlera? Przecież wy macie nawet dużo wspólnego. No bo popatrz, Helga opowiadała mi ostatnio, jak bardzo ten człowiek lubi muzykę. Za każdym razem prosi Bubiego, żeby mu coś zagrał na fortepianie. No i przepada za słodyczami i jest wegetarianinem, tak samo jak ty. I uwielbia szczeniaczki, tak mówi Helga. A już zupełnie zwariował na punkcie małego Egona. No więc sam powiedz, chyba nie może być takim znowu do cna złym człowiekiem, prawda? Kto wie, może gdybyście się poznali i mieli okazję zamienić kilka słów, to...

Już w trakcie tego monologu Elisabeth poczuła, że ogarnia ją jedna z tych charakterystycznych dla niej, pojawiających się znienacka zmian nastroju. Cała dyskusja w jednej chwili wydała jej się śmieszna i zupełnie zbędna, ona sama zaś całkiem już zapomniała, od czego właściwie zaczęła się ta okropna wymiana zdań, i nagle poczuła nieodpartą tęsknotę za muzyką i harmonią. Wstała z miejsca, zostawiając nietkniętą filiżankę kawy i poczerwieniałego na twarzy małżonka, podeszła do fortepianu i w błogim spokoju ducha zaczęła przeglądać nuty, szukając odpowiedniej inspiracji.

Tymczasem Gustav siedział jak sparaliżowany, a purpurowy rumieniec na jego twarzy ustąpił miejsca wręcz trupiej bladości.

Wszelako tym, co wywołało u niego tak gwałtowne wzburzenie, nie była wcale złość czy zdumienie, że Elisabeth może tak bardzo rozmijać się z prawdą. Tym, co rozpostarło przed jego oczami obrazy wojennej grozy i uwolniło wewnętrzne demony, było jedno jedyne słowo użyte przez Elisabeth w trakcie rozmowy: „wegetarianin”... Wspomnienia przetoczyły się jak ogniste koło i Gustav w jednej chwili znalazł się z powrotem na polach bitew najstraszliwszej wojny w dziejach ludzkości: Verdun, Somma, Ypres. Miejsca, gdzie gazy bojowe nadały grozie wojny zupełnie nowy, nieznany wymiar.

Ostatnia wojna była prawdziwą rzezią. Nowoczesne uzbrojenie – czołgi, granaty i karabiny maszynowe – masakrowało żołnierzy po obu stronach frontu, podczas gdy lekarstwa i środki uśmierzające ból kończyły się w zastraszającym tempie. Brakowało też lekarzy i pielęgniarek, łóżek i koców, materiałów opatrunkowych i innych środków, które mogłyby choć odrobinę złagodzić cierpienia rannych i konających.

Jednego tylko było na froncie pod dostatkiem: poległych i rannych, oślepionych gazem, pozbawionych kończyn. Wszyscy ci nieszczęśnicy krzyczeli, przeklinali, błagali – rozpaczliwie i bez nadziei na cokolwiek. Tworzyli przerażający chór zjednoczony bólem i rozpaczą. *Oto prawdziwy głos wojny*, pomyślał Gustav. *Głos, który powinni usłyszeć wszyscy ci niepoprawni zwolennicy rozwiązywania problemów siłą. Nie entuzjastyczne okrzyki „niech żyje cesarz!”, brzęk szabel batalionów*

maszerujących dumnie w pikielhaubach, żegnanych przez rzucające kwiaty rozkrzyczane tłumy zaślepienie fałszywie rozumianym patriotyzmem.

Tym, co paraliżowało Gustava nie było wręcz surrealistyczne nagromadzenie obrazów z czasów, kiedy zmuszony był niemal taśmowo i bez jakiegokolwiek znieczulenia amputować ręce i nogi, podczas gdy jego pacjenci leżeli związani jak paczki, by ułatwić pracę chirurgom. Nie. Tym, co paraliżowało doktora, było wspomnienie młodego, niemającego jeszcze nawet zarostu podporucznika, który leżał przed nim we krwi, kurczowo przyciskając do piersi oderwaną nogę, jakby to było najukochańsze dziecko. Gustav miał przed oczami tę młodą, silną nogę, wciąż jeszcze tkwiącą w bucie. Trzeba było dwóch krzepkich chłopów, żeby wyrwać ją z rąk krzyczącemu wniebogłosy oficerowi.

Tamtego dnia późnym popołudniem doktor opuścił szpital, żeby zrobić sobie – jak zwykle o wiele za krótką – przerwę. I wtedy, chociaż starał się tego uniknąć, jego wzrok padł na codziennie zabierany i codziennie rosnący na nowo stos odciętych kończyn: rąk i nóg należących kiedyś do czyichś dziadków, ojców i synów, braci i mężów. Jeszcze niedawno żywe członki, a teraz już tylko zbędne, czekające na spalenie odpadki z frontu. Patrzył na jednego z sanitariuszy, który wyjął ze stosu jakąś nogę i zdjął z niej całkiem dobry jeszcze but – na wojnie nie marnuje się nic, poza ludzkim życiem. Gustav natychmiast rozpoznał tę nogę i ten but – należały do młodego podporucznika.

Od tamtego czasu, kiedy to każdego dnia musiał znosić zapach palonego ludzkiego ciała, doktor Berchinger nie tknął już więcej mięsa.

Tymczasem Hitler, o czym Gustav był przekonany, zrezygnował z tego kulinarnego rarytasu z zupełnie innego powodu. Doktor widział go kilkakrotnie w monachijskiej kawiarni Heck i za każdym razem jego uwagę przykuwały nienaturalna bladość i wykrzywione rysy twarzy dawnego austriackiego gefrajtra – objawy jednoznacznie wskazujące na to, że człowiek ów najprawdopodobniej cierpi na dolegliwości żołądkowe i gwałtowne wzdęcia.

Przy okazji tych przypadkowych spotkań Gustav usłyszał też od jednego z przyjaciół, że Hitler nie był szczególnie lubiany przez towarzyszy broni, którzy uważając go za lizusa i wazeliniarza bezwstydnie wysługujące się przełożonym, nadali mu złośliwe przezwisko: Biały Kruk.

Jakie to wszystko smutne i głupie, rozmyślał Gustav. Świat mógłby być prawdziwym rajem, gdyby tylko ludzie potrafili żyć w pokoju.

Czując w ustach smak żółci, doktor odbył w duchu drogę powrotną z francuskich pól bitewnych i ocknął się u boku swej jakże zmiennej w nastrojach małżonki, która grała właśnie w milczeniu fortepianowe wprawki.

W tej sytuacji Gustav również udał, że nic się nie stało, i postanowił, że 24 grudnia roku 1924 spędzą pierwszą rodzinną Wigilię Bożego Narodzenia w domu, ze swoją małą córeczką.

10

Kilka dni później Elisabeth, będąc świadkiem kolejnej rozmowy Gustava z Fritzem Gerlichem na temat działalności Hitlera, sama nawiązała do swojego niedawnego zachowania.

Wyznała mężowi, że wstyd jej z powodu słów, które wypowiedziała, Gustav zaś, który również był nieco skonfundowany faktem, że do tego stopnia stracił panowanie nad sobą, iż zakazał małżonce spotykania się z przyjaciółmi, wycofał się z tego i zapewnił Elisabeth, że jest wolną osobą i może podejmować suwerenne decyzje.

Mimo wszystko od czasu tego incydentu Helga i Elisabeth widywały się tylko z rzadka, obydwaj panowie zaś, to jest Gustav i Bubi, już nigdy więcej się nie spotkali.

Takie to były powody, dla których sześć lat później, w 1931 roku, Elisabeth wahała się, czy potwierdzić swój udział w Festiwalu Wagnerowskim w Bayreuth. Co prawda szalenie nęciła ją wizja ponownej współpracy z maestro Toscanim, lecz z drugiej strony słyszała, że Adolf Hitler nie opuścił jeszcze żadnego festiwalu i bywał częstym gościem w willi Wahnfried.

Dopiero po pewnym czasie Elisabeth uświadomiła sobie, że oto pierwszy raz w życiu podejmuje jakąś decyzję, biorąc pod uwagę względy polityczne.

Z poruszeniem kwestii ewentualnego wyjazdu do Bayreuth Elisabeth postanowiła poczekać na jakąś stosowną chwilę. Okazja taka nadarzyła się wkrótce, gdy małżonkowie mieli możliwość spędzić miły wieczór we dwoje. Gustav popijał małymi łydkami koniak podany przez małżonkę, ona sama zaś usiadła obok i przytuliła się do jego ramienia.

Jak można się było spodziewać, Gustav – choć w duchu przeczuwał, że kiedyś taki moment nadejdzie – początkowo nie był specjalnie zachwycony festiwalowymi planami żony. Wiedząc jednak, że każda wielka diwa musi w końcu trafić na Festiwal Wagnerowski w Bayreuth, ani nie mógł, ani nie chciał jej tego zabraniać. Zbyt wielkim wzruszeniem napawał go błysk w jej oczach, kiedy opowiadała mu o partiach, które miała śpiewać, i o jakże cenionym przez siebie maestro Toscanim. W myślach Elisabeth już była Izoldą, zanim jeszcze zdążyła opanować partyturę, pozy i sceny.

Tak więc Elisabeth pojechała do Bayreuth, gdzie po raz kolejny odniosła sceniczny i towarzyski tryumf. Na popremierowym bankiecie pani Winifreda Wagner przedstawiła jej Adolfa Hitlera, nie kryjąc się z pewnego rodzaju dumą, jakby prezentowała jej szczególnie cenny przedmiot ze swojej kolekcji. Hitler zaś, absolutnie zachwycony piękną artystką, którą nareszcie miał możliwość poznać osobiście, rzucił na szalę wszystkie atrybuty swej austriackiej galanterii, dosłownie pochłaniając ją błękitnymi oczami.

Elisabeth chcąc nie chcąc musiała przyznać, że Hitler okazał się nadspodziewanie szarmancki, lecz mimo to niezbyt dobrze czuła się w jego towarzystwie. Stąd też bardzo się ucieszyła, że spotkanie zakończyło się na tej krótkiej prezentacji. Oczywiście Gustawowi nie wspomniała o nim ani słowem, nie chcąc go niepotrzebnie denerwować. Zresztą on sam również o nic nie pytał. Byli już ponad osiem lat po ślubie i doskonale znali nawzajem swe czułe punkty.

Na szczęście w roku 1932 festiwal w Bayreuth w ogóle się nie odbył, w związku z czym Elisabeth nie musiała się kłopotać odmową.

Za to kilka tygodni wcześniej polityka po raz pierwszy rzuciła swój złowrogi cień na dom przy Prinzregentenplatz 10.

Wydarzenia, o których będzie mowa, dotknęły Hansa, Otilie i Gustava – dokładnie w tej właśnie kolejności. Elisabeth bawiła w tym czasie na koncertach w Rzymie, gdzie śpiewała główną rolę w *Tosce* Pucciniego. Pod jej nieobecność wydarzyła się rzecz następująca:

Franz, starszy brat służącego Hansa i jeden z pierwszych członków SA, powodowany głębokim przekonaniem i jeszcze większymi ambicjami, zrobił błyskawiczną karierę, dochodząc do stopnia sturmführera. A ponieważ za nic nie mógł przeboleć, że jego młodszy brat przez wszystkie te lata odmawiał wstąpienia w szeregi organizacji, postanowił zrobić coś, co zawsze umiał najlepiej: posłużyć się podstępem i przemocą.

W dniu, w którym służący doktorostwa miał wychodne, Franz zaprosił go do siebie, upił do nieprzytomności i bił dopóty, dopóki Hans, sam nie wiedząc kiedy, podpisał podanie o przyjęcie go w szeregi SA. W ten sposób został oficjalnie członkiem organizacji i narodowym socjalistą. Po latach, jak wiadomo, okazało się, że w Niemczech żyje całkiem spora grupa narodowych socjalistów, którzy – jeśli im wierzyć – nigdy nie byli nimi z przekonania, tylko zostali zwerbowani w chwili głębokiego zamroczenia (dziś trudno orzec: alkoholem czy żądzą władzy). Jednakże przynajmniej w jednym przypadku – służącego Hansa – można być pewnym, iż rzekomy nazista w głębi serca był co prawda przekonanym socjalistą, lecz bynajmniej nie narodowym.

Nazajutrz, po wysoce nieprzyjemnym spotkaniu z bratem, Hansa czekało jeszcze mniej dla niego przyjemne spotkanie z Otilie, która – jakby mało było lania spuszczonego bratu przez Franza – boleśnie wytrząsała biednego kamerdynera po twarzy, wygłaszając przy okazji ognistą tyradę. Niestety na nic się to już zdało, jako że wszystko zostało urzędowo potwierdzone i Hansowi nie pozostało nic innego, jak tylko przywdziać brunatną koszulę i maszerować!

A ponieważ w narodowym socjalizmie nic – poza prześladowaniami, torturami i śmiercią – nie było za darmo, Hans musiał sięgnąć po oszczędności i sam zapłacić za całe umundurowanie. Aż strach pomyśleć, ile kosztowały same tylko skórzane buty z cholewami w rozmiarze 50! W tej sytuacji Otilie, nie posiadając się z wściekłości, poprosiła doktora o wolne popołudnie i osobiście udała się z interwencją do Franza.

Grubiańskiemu Franzowi, który uważał się za partię dalece lepszą od swego brata („Sturmführer a służący? No bardzo przepraszam!”) krągłości Otilie podobały się tak bardzo, że pozwolił sobie ją capnąć tu i ówdzie. A że jej się to nie spodobało, pozwoliła sobie grzmotnąć go tu i tam, co Franz natychmiast uznał za czynną napaść, zamknął nieszczęsną w swoim zawalonym chorażwiami biurze, wezwał usłużną policję i kazał aresztować.

Kiedy służąca nie pojawiła się w domu ani późnym wieczorem, ani następnego ranka, doktor nabrał podejrzeń, że mogła wpaść w tarapaty, i z miejsca wszczął poszukiwania. Na początek udał się do Franza, który jednak udał niewiniątko i poradził lekarzowi, by poszedł na policję.

W drodze na posterunek doktor został na ulicy otoczony i pobity przez grupę członków SA, a następnie aresztowany przez wyrosłego jak spod ziemi policjanta, podczas gdy brunatna horda, przez nikogo niezatrzymywana, oddaliła się z jego portfelem.

Tym samym w mieszkaniu przy Prinzregentenplatz zabrakło teraz nie tylko Otilie, ale też samego pana doktora. I to wszystko pod nieobecność pani doktorowej, która przebywała akurat we Włoszech!

Kucharka Bertha, najwyższa obecnie rangą wśród domowników, jak niemal wszyscy cholerycy, którzy nagle tracą powody do wrzasków, natychmiast straciła głowę i rezon, Klara zaś, opiekunka do dziecka, spokojnie robiła to, co potrafiła najlepiej i do czego ją w końcu najęto: zajmowała się siedmioletnią Deborą – i nic ponadto.

Jakby na domiar złego długoletnia asystentka i prawa ręka doktora, pani Renata, po niedawnym

zamążpójściu przeprowadziła się do Nadrenii. Ona by pewnie wiedziała, co należy w tej sytuacji robić – w przeciwieństwie do jej świeżo zatrudnionej następczyni, która zjawiła się, jak co rano, o godzinie siódmej, by otworzyć gabinet, a teraz już po raz trzeci pukała do drzwi sypialni doktorostwa, by w imieniu kaszlących i cierpiących na wszelkie inne dolegliwości pacjentów poprosić swego chlebobawcę o zejście na dół.

W tej beznadziejnej wręcz sytuacji wybiła wielka godzina służącej Magdy, która postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Włożyła zatem najlepszą sukienkę i właśnie zbierała się do wyjścia, kiedy Bertha – która najwyraźniej nagle odkryła w sobie serdeczne uczucia do siostrzenicy – wczepiła się w nią kurczowo.

– Na miłość boską, nie wychodź, Magdo! Każdy, kto opuszcza to mieszkanie, znika bezpowrotnie. Wierz mi, tam dzieje się coś niewyobrażalnie złego – szlochała, wypowiadając prorocze słowa. – Musimy się modlić i zawierzyć Panu Bogu – wykrzyknęła na koniec, po czym padła na kolana i składając ręce, pograżyła się w modłach.

Magda nie dała się odwieść od powziętego zamiaru, lecz pośpieszyła na dół, do gabinetu. Na schodach nawet nie dygnęła na widok niezniszczalnego generała, który – jak zwykle udekorowany rzędem orderów – wracał właśnie z codziennego spaceru. Staruszek był tak zdumiony obcesowym zachowaniem służącej, że tylko w milczeniu odprowadził ją wzrokiem.

Na dole Magda w kilku pełnych ubolewania słowach przeprosiła pacjentów i odesłała ich oraz asystentkę doktora do domu. (Skądinąd trzeba przyznać, że taniegdys szalenie nieśmiała dziewczyna nauczyła się już bardzo ładnie wysławiać, naśladowując przy tym wiedeńską manierę pani Elisabeth, i skończywszy właśnie dwadzieścia trzy lata, przeistoczyła się w prawdziwą młodą damę).

Uporawszy się z tłumem cierpiących, służąca weszła do domowego sanktuarium: gabinetu pana doktora. Tu na moment straciła odwagę i ogarnęła ją nagła bojaźń, jakby za to, co zamierzała zrobić, miała się smażyć w piekle. W następnej chwili pomyślała, że najpewniej zaraz sama też zniknie – tak jak wcześniej Ottilie i pan doktor – i zastanowiła się, co by na to powiedziała jej ciotka Bertha.

Wizja bielejących kości starej kucharki, która w tym momencie wolałaby pośród żarliwych modlitw zemrzeć z głodu, aniżeli wyjść z domu, sprawiła, że wahanie Magdy minęło. Sytuacja wymagała czynów, nie czczych rozważań!

Służąca przystąpiła zatem do systematycznego przeszukania biurka doktora i dość szybko znalazła to, czego potrzebowała, a mianowicie wizytówkę kancelarii Finkelstein i Wspólnicy. Pan doktor w czasie rozmowy z panią Elisabeth całkiem niedawno wspominał o panu Finkelsteinie jako swoim doradcy prawnym.

Magda, która w obecności państwa niewiele się odzywała, tym uważniej przysłuchiwała się toczonym przez nich rozmowom. Nie, nie po to, żeby podsłuchiwać, lecz żeby się uczyć. Niczym gąbka chłoneła wszystko, co działo się wokół niej – rzeczy ważne i błahe, ciekawe i zupełnie trywialne. Wprawdzie nie zawsze potrafiła odpowiednio zaszeregować poszczególne informacje, jako że często nie rozumiała zachodzących między nimi związków logicznych, za to była mistrzynią w interpretowaniu barwy i tonu głosu. Po samej intonacji pani Elisabeth potrafiła ocenić stopień ważności dyskutowanej kwestii i w ten sposób rozpoznać informacje o istotnym znaczeniu.

Już w wiejskiej szkole, którą z woli ojca musiała porzucić po ledwie trzech latach nauki, by odtąd pomagać jako darmowa siła robocza w rodzinnym gospodarstwie, zaczęło do niej docierać, że – oprócz rzecz jasna wysokiego urodzenia – to właśnie wykształcenie stanowi klucz do wielkiego świata uprzywilejowanych. Dlatego też zatrudnienie u doktorostwa uznała za uśmiech losu, a obcowanie z nimi stało się kuźnią jej marzeń i nadziei na lepszą przyszłość.

Dla swoich państwa, którzy bez przerwy zachęcali ją do nauki, a nawet – gdy tylko wyraziła takie

pragnienie – pozwolili jej uczestniczyć w lekcjach udzielanych ich małej córeczce, Magda gotowa była uczynić wszystko. Dlatego na wypadek, gdyby adwokat zażądał zaliczki, bez wahania sięgnęła po wszystkie swoje oszczędności. Niestety była to kwota więcej niż skromna, toteż Magda bardzo się ucieszyła, dowiedziawszy się z wizytówki, że kancelaria mecenasa Finkelsteina znajduje się przy pobliskiej Briennerstrasse. W przeciwnym wypadku, jako że sprawa nie cierpiała zwłoki, musiałaby wziąć dorożkę. Na szczęście okazało się to zbyt kosztowne i pokojówka szybkim krokiem udała się do kancelarii.

Na Briennerstrasse przeżyła prawdziwy szok – panował tam ożywiony ruch, a całą ulicę wypełniały brunatne koszule. Na ten widok Magda przypomniała sobie, jak doktor kilkakrotnie napominał Klarę, mówiąc, że nie życzy sobie, aby ta, zabierając córeczkę państwa na codzienny spacer, udawała się w tym kierunku.

Tu bowiem, pod numerem 45, w pałacyku Barlowa, znajdowała się kwatera główna NSDAP. Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że partia, hojnie finansowana przez przemysłowców, musiała zainwestować mnóstwo środków w przemysł tekstylny. Magdę aż mdliło na widok morza krwistoczerwonych flag. Po bokach kutych z brązu frontowych drzwi dostrzegła pyszniące się orły ze swastykami, a kiedy podeszła bliżej, zobaczyła umieszczone nad portalem partyjne hasło: „Zbudźcie się, Niemcy”.

Recepcjonistka kancelarii Finkelstein i Wspólnicy, mieszczącej się zaledwie kilka domów od sztabu nazistów, wyglądała nie mniej dostojnie niż cała okolica. Zlustrowała Magdę, po czym lekko wydeła usta, zupełnie jakby uznała poniżej swojej godności zamienić bodaj jedno słowo ze skromną służącą, i – ma się rozumieć – odmówiła przekazania panu Finkelsteinowi prośby nieumówionej petentki.

Magda nie dała się jednak zbić z pantałyku i zdecydowanym tonem poinformowała, że przychodzi na polecenie samego pana doktora, by załatwić pewną „pilną i finansowo nadzwyczaj intratną sprawę”.

Było to gładkie i szalenie skomplikowane zdanie, lecz Magda wiedziała, że słowa „finansowa” i „intratna” w każdej kancelarii znajdą życzliwe ucho. I rzeczywiście – wyniosłość recepcjonistki natychmiast zamieniła się w nieomal uniżoną uprzejmość i po krótkiej konsultacji Magda została wprowadzona do biura mecenasa Finkelsteina.

Pan Samuel Finkelstein, człowiek o wyrazistych rysach i pięknym, wydatnym nosie, emanował mądrością, sprawiając wrażenie osoby znającej życie we wszystkich jego przejawach i osobliwościach. Od razu też spodobał się Magdzie, ponieważ miał takie samo spokojne spojrzenie pan doktor – spojrzenie, które mówiło, że nie ma na świecie rzeczy, której należy się bać, za to jest wiele takich, dla których warto dać z siebie wszystko.

Adwokat wysłuchał relacji Magdy uważnie i z powagą i dopiero kiedy skończyła, zadał jej cały szereg pytań. Następnie wstał z fotela, wezwał recepcjonistkę i kazał jej podać kawę.

Recepcjonistka obsłużyła ich nader uprzejmie, podając do kawy kilka wyśmienitych ptifurek. Magda, której, nie licząc kawiarni, nikt nigdy nie obsługiwał, z upodobaniem napawała się tą zamianą ról.

Tymczasem gospodarz zostawił Magdę samą w swoim ogromnym, wyłożonym szlachetnym drewnem biurze. Wrócił po pewnym czasie – akurat w chwili, gdy Magda zadawała sobie pytanie, ileż to lasu trzeba, żeby wyłożyć drewnem tak wielki gabinet – prowadząc ze sobą wysokiego i nadzwyczaj dostojnego mężczyznę o idealnie aryjskim wyglądzie. Pan Finkelstein wskazał na towarzysza serdecznym gestem i przedstawił go jako swojego współnika, pana barona Gerharda von Meyerlincka.

Samuel Finkelstein był osobą drobną i niepozorną, za to mądrą, sprytną i przewidującą, dlatego z miejsca oświadczył, iż w sprawie doktora będzie się trzymał w cieniu, jako że w roku 1932 Monachium, kolebka nazistowskiego ruchu i miasto o najwyższym w Rzeszy odsetku członków SA, nie było najspokojniejszym miejscem do życia dla żydowskich obywateli, którzy coraz częściej musieli korzystać

z usług miejscowych szklarzy.

Mecenas Finkelstein zapewnił Magdę, iż baron von Meyerlinck dysponuje jak najlepszymi kwalifikacjami, zarówno moralnymi, jak i zawodowymi, i poradził młodej damie, aby przestała się martwić, spokojnie udała do domu i tam czekała na powrót doktora.

Baron przeprowadził kilka rozmów telefonicznych oraz zarządził dodatkowe poszukiwania, a na koniec rozesłał posłańców i już następnego dnia – po przekazaniu odpowiednim osobom stosownych zachęt finansowych – doktor i Otilie mogli opuścić miejsca przymusowego pobytu i wrócić do mieszkania przy Prinzregentenplatz 10.

Cóż to była za radość, kiedy wszyscy razem – to jest panowie Finkelstein i von Meyerlinck oraz dwójka zaginionych – pojawili się pod wspomnianym wyżej adresem, wychwalając rozważne zachowanie Magdy. Pokojówka natychmiast otrzymała podwyżkę tygodniowego uposażenia, a Bertha popłakała się ze wzruszenia i dumy, mamrocząc bez końca:

– To moja siostrzenica! Moja siostrzenica!

Po radosnym powitaniu doktor musiał sam udać się do lekarza, gdyż bojówkarze SA porządnie przyłożyli się do swej pracy, i po powrocie przez jakiś czas paradował z potężnym garbem z gazy na nosie. Miał też co prawda o jeden ząb trzonowy mniej, ale na szczęście oko zagoiło się bardzo ładnie.

Oczywiście szczęśliwe zakończenie tej ponurej przygody w żaden sposób nie rozwiązało problemu Hansa, który co prawda wbrew własnej woli, ale jednak podpisał dokument potwierdzający wstąpienie w brunatne szeregi. Dopiero wyasygnowanie kolejnych okazałych kwot oraz zaangażowanie wszystkich możliwych politycznych koneksji pozwoliło Hansowi wypłatać się z sideł SA – a i to tylko do początku lutego 1933 roku, jako że niespełna tydzień po tym, jak Adolf Hitler został przez prezydenta Paula von Hindenburga mianowany kanclerzem Rzeszy, nieszczęsny formularz – wraz z kipiącym od jadu sturmführerem Franzem – wychynął z czeluści partyjnego archiwum.

SA było wprawdzie przekupne, ale podpis to podpis, toteż Hans znowu musiał przywdziać brunatną koszulę i pomaszerować ku własnej zagładzie.

Kilka dni później Otilie weszła do kuchni i ciężko westchnęła:

– Jezusie Nazareński, teraz to dopiero będzie.

– A niby co takiego ma być? – spytała Bertha.

– No jak to – odparła służąca. – Przecież pan doktor jest Żyd, a oni takich nie lubią.

– Żydzi? Kogo niby nie lubią? – zdziwiła się kucharka.

– No przestańże głupio gadać – zaperzyła się Otilie. – Odwrotnie: to nowa władza nie lubi Żydów.

Wtedy Klara, zezowata opiekunka do dziecka, która zazwyczaj w ogóle nie zaglądała do kuchni, spytała:

– To pan doktor jest Żydem?

Tymczasem Felix, który jak zwykle punktualnie zjawił się w kuchni w czasie przygotowywania posiłku, usiadł pod blatem, jakby go tam kto przyśrubował, i nic sobie nie robiąc z obecności; ludzi, puścił głośnego bąka.

– A wynocha mi stąd, prosiaku ty jeden – z uśmiechem krzyknęła Otilie na swojego pupila.

– Ostatnio często tak robi – zauważyła Bertha z wyraźną niechęcią, choć nie miała odwagi wypędzić z kuchni ulubieńca swych chlebobawców. W każdym razie nie w obecności Otilie.

– Wiem, wiem – potwierdziła Otilie. – Państwo też już zwrócili na to uwagę. Doktor powiada, że to musi być flatulencja. No co, mój ty śmierdziuszk – pochyliła się do psa i pogłaskała go, a ten, łaszcząc się, z tej wielkiej miłości zaraz znów puścił wiatry.

– Aha – powiedziała Bertha, próbując przybrać taki wyraz twarzy, jakby wiedziała, co znaczy to obce słowo. Pod żadnym pozorem nie chciała wyjść na głupszą od swojej odwiecznej rywalki, i to jeszcze w

obecności tej zarozumiałej guwernantki, lecz Ottilie zawsze wiedziała, kiedy jest górą. Toteż capnęła z kosza z owocami czerwoniutkie jabłuszko i opuszczając kuchnię, rzuciła niby to mimochodem:

– Najlepiej będzie, jak zapytasz naszą sprytną Magdziulę.

Dla kucharki uwaga ta stanowiła podwójne upokorzenie, ponieważ Ottilie nie tylko dała do zrozumienia, że uważa Berthę za głupszą od jej siostrzenicy, ale w dodatku uczyniła to w obecności Klary!

Ta zaś, zezując wyniośle, również opuściła niezbyt przyjemnie pachnącą kuchnię, lecz uprzednio nie omieszkła uświadomić kucharki co do łacińskiej nazwy przypadku Felixa:

– Gazy. Ten pies ma zwyczajnie gazy.

– Przecież czuję – parsknęła w odpowiedzi kucharka, ćwiartując kurczaka na rosół.

Wkrótce się okazało, że Klara nie tylko zezowała w jedną stronę, ale poniekąd całą ją „ściągało w jednym kierunku”, toteż mała Deborah w ogóle nie żałowała, że guwernantka wkrótce po wspomnianym incydencie w kuchni zrezygnowała z pracy u doktorostwa i odeszła w brunatną dal.

Elisabeth nigdy już nie wróciła do Bayreuth. Zresztą w następnych latach w ogóle przyjmowała bardzo mało zaproszeń, a jeśli już, to niemal wyłącznie z zagranicy. Nawet Richard Strauss, nowo mianowany przewodniczący Muzycznej Izby Rzeszy – w zasadzie nie było już urzędu, w którego nazwie nie figurowałaby część „Rzesza”, co doktor, kręcąc z ubolewaniem głową, określał mianem „rzeszomanii” – nie zdołał namówić słynnej sopranistki do przyjęcia angażu w berlińskiej Staatsoper.

Po tej odmowie Elisabeth otrzymała wiadomość, że Führer przyjął jej decyzję „z rozczarowaniem”, lecz dla niej głównym zmartwieniem był w tych dniach stan jej ukochanego Gustava, który był mocno zaniepokojony wprowadzanymi przez narodowych socjalistów nowymi porządkami. Dlatego postanowiła zostać przy nim i w pierwszej kolejności zatroszczyć się o samopoczucie małżonka.

Gustav sypiał jeszcze gorzej niż dotąd – o ile w ogóle udawało mu się zasnąć. Nadto stracił wielu solidnych finansowo pacjentów, chociaż gwoli ścisłości trzeba by dodać, że niektórzy z nich zmienili się jedynie z pacjentów dziennych w nocnych i zjawiali się w gabinecie doktora potajemnie, wchodząc kuchennymi drzwiami.

W mieście szerzyła się nowa choroba: strach.

Prosta droga

Piwiarnia Ratskeller w podziemiach monachijskiego ratusza przy Marienplatz była rozległa i rozgałęziona na wiele mniejszych pomieszczeń, a przesycona zapachem dymu przestrzeń pod beczkowatym sklepieniem emanowała swojskim bawarskim klimatem.

Od wielu już lat doktor Gustav Berchinger i redaktor Fritz Gerlich spotykali się tu w każdy czwartkowy wieczór przy kuflu piwa. Od czasu do czasu dołączali do nich zaprzyjaźnieni z Gustavem lekarze albo koledzy Fritza – w sumie zbierał się przeważnie tuzin podobnie jak oni myślących osobistości.

Wszelako od momentu przejścia władzy przez Hitlera w piwiarni z każdym tygodniem zjawiało się coraz mniej uczestników owych czwartkowych biesiad. Tego wieczora było ich ledwie pięciu: dwóch lekarzy, dwóch socjaldemokratów i redaktor z „Münchner Post”.

W końcu przyniesiono zamówione kufle piwa i Gustav, próbując jakoś ożywić nastrój przygnębienia, rzekł:

– Wygląda na to, że nic tak nie zabija pragnienia jak strach! Mimo wszystko, panowie: do dna!

Tego dnia dyskusja była wyjątkowo burzliwa – do tego stopnia, że do ich stołu podszedł sam właściciel lokalu, prosząc o nieco większy wzgląd na pozostałych gości, po czym zaraz schronił się z powrotem za kontuarem, jakby za nic nie chciał, żeby zobaczono go w bezpośredniej bliskości „wolnomyślicieli”.

Gustav odbiegł na chwilę myślami od tego, co się działo przy jego stole. Minęło ledwie sześć tygodni od mianowania Adolfa Hitlera nowym kanclerzem Rzeszy. W Monachium zmianę berlińskiego rządu przyjęto z typowo bawarską beztroską i wszyscy szybko przeszli nad tym faktem do porządku dziennego, czytaj: wrócili do zabaw karnawałowych. Do wyboru księcia balu przywiązywano tu niemal takie samo znaczenie jak do nowych wyborów do Reichstagu, wyznaczonych na 5 marca – tym bardziej, że w ostatnich latach kanclerze zmieniali się aż nazbyt często: Brüning, von Papen, Schleicher, Hitler...

Szynkarz ponownie pojawił się przy stoliku i miętosząc w rękę fartuch oraz łypiąc lękliwie w stronę wejścia na przeciwległym krańcu sali, w którym przed chwilą pojawiło się kilku członków SA, raz jeszcze poprosił zacnych gości o większą powściągliwość, po czym oddalił się pośpiesznie.

Doktor popatrzył za oddalającym się mężczyzną, kręcąc z niedowierzaniem głową. Przychodził tu już od dziesięciu lat w liczonym towarzystwie przyjaciół, płacił wysokie rachunki i toczył ciekawe dyskusje, w których często i chętnie uczestniczył sam gospodarz, a teraz nawet nie chce ich znać. Lekarz zatopił smutne spojrzenie w kuflu. Już się zaczęło. Ludzie zaczynają się dostosowywać do nowych porządków.

Gustav ponownie spojrzął na zegarek. Wskazywał już prawie ósmą. *Gdzież ten Fritz się podziewa?*, powoli zaczynał się niepokoić o przyjaciela. Dotychczas dziennikarz ani razu nie opuścił ich czwartkowego spotkania. Owszem, jeśli zdobył jakąś sensacyjną wiadomość i musiał od nowa składać pierwszą stronę jutrzejszego wydania gazety, zdarzało mu się pojawiać później, ale zawsze wysyłał wtedy do Ratskeller gońca. Taka absencja była do niego zupełnie niepodobna, zwłaszcza że jeszcze tego ranka dzwonił do Gustava z informacją, że wieczorem chciałby omówić z nim coś bardzo ważnego. Doktor miał nadzieję, że Fritz wreszcie się zdecydował opuścić Niemcy i przenieść do Austrii. Jego

krytyczna wobec władz gazeta od samego początku była cierniem w oku narodowych socjalistów. Podobno Hitler kazał sobie przynosić każdy numer i – jak powiadano – czytał artykuły Gerlicha z rosnącą niechęcią. Nowy kanclerz dodatkowo miał za złe Fritzowi, że ten napisał wiele przemówień dla jego politycznego wroga, komisarza Rzeszy Gustava von Kahra – między innymi mowę wygłoszoną w monachijskiej Bürgerbräukeller w czasie nieudanego puczu z 1923 roku.

Nic zatem dziwnego, że Gerlicha spotykały poważne szykany ze strony SA, choćby całkiem niedawno, gdy powybijano mu szyby w domu. Jego żona, Sophie, śmiertelnie się wtedy wystraszyła, a jeden z kamieni omal nie trafił jej w głowę. Fritz coraz częściej otrzymywał też listy, w których grożono mu śmiercią. Ociekające jadem, a czasem doprawdy dziwaczne listy z pogrozkami odzwierciedlały umysłowe ograniczenie ich autorów. Na wieść o tych wszystkich nieprzyjemnościach przyjaciele Fritza poczęli go przekonywać, by razem z żoną wyjechał z Monachium, lecz dziennikarz nie uległ próbom zastraszenia i nadal drukował w swojej gazecie krytyczne wobec władz teksty.

Gustav wstał i poprosił właściciela lokalu o możliwość skorzystania z telefonu. Niestety numer redakcji był zajęty, a w domu Gerlichów nikt nie podnosił słuchawki. W ciągu następnych dwudziestu minut doktor wielokrotnie próbował dodzwonić się do przyjaciela. Jego niepokój narastał, a piwo zupełnie przestało mu już smakować. Wkrótce też pożegnał się z garstką ostatnich odważnych i pozostawił ich sam na sam z piwnymi zmartwieniami.

Postanowił odwiedzić Fritza w redakcji. Próbował się uspokoić, tłumacząc sobie, że przyjaciela zatrzymały najpewniej burzliwe wydarzenia dzisiejszego dnia, lecz mimo to nie opuszczały go mroczne przeczucia. Tym bardziej że doszło do jego uszu, iż umiarkowany, konserwatywny burmistrz Monachium Karl Scharnagl został tego dnia zmuszony po dwunastu latach opuścić ratusz. Tak zarządzili nowi władcy w Berlinie.

Odległość dzieląca piwiarnię od redakcji gazety wynosiła niespełna czterysta metrów, toteż doktor przyspieszył kroku, a po chwili niemal już biegł ulicą. Zgubił kapelusz, lecz nawet tego nie zauważył. W połowie drogi musiał ustąpić z drogi grupie wydzierających się członków SA – w ostatniej chwili udało mu się przed nimi ukryć. Nagły przypływ strachu napełnił go wstydem. Wszak ledwie przed chwilą przy stole w piwiarni perorowali buńczuczным tonem, że nie wolno dać się zastraszyć! Że trzeba walczyć o wolność słowa i myśli, że trzeba stawić opór samowoli i niesprawiedliwości!

A teraz unikał oświetlonych miejsc i z bijącym sercem kulił się w ciemnej bramie. Czyż nie zachowywał się, jak wszyscy dokoła? Strachliwie, tchórzliwie i ustępliwie? Czyż nie myślał tylko o sobie? *Jakże zaraźliwy potrafi być strach, zadumał się nagle. Taki strach potrafi człowieka zniszczyć.* Po chwili jednak odezwał się inny głos, dobywający się niemal z samego dna duszy – głos, który wiedział o cierpieniach spotykających jego naród: *Stój, Gustavie! Jesteś Żydem. Pochodzisz z ludu, który od dwóch tysięcy lat nie ma własnej ojczyzny. Niemal w każdym pokoleniu Żydzi są prześladowani, wypędzani, pozbawiani majątków, mordowani. Być Żydem to znaczy nigdy nie być bezpiecznym. Działaj zatem w zgodzie ze swoim przeznaczeniem, Gustavie. Chroń własną rodzinę. Nie zmienisz biegu świata, bo nie możesz zmienić ludzi. Możesz zrobić tylko to, co winien uczynić każdy ojciec: uratować własne dzieci przed losem, który chcą im zgotować dorośli, przed światem, w którym rządzi nienawiść.*

Słyszając ten wewnętrzny głos, tym większy począł odczuwać podziw dla swojego niedawno nawróconego na katolicyzm przyjaciela. Fritz Gerlich był dzielny i nieustraszony człowiekiem. Bez cienia strachu od lat walczył piórem z tyranią i dyktaturą, wierny swoim przekonaniom, pomimo gróźb, że zostanie zabity czy doprowadzony do materialnej ruiny.

Nakład jego gazety malał z tygodnia na tydzień, ponieważ watahy członków SA uniemożliwiały jej sprzedaż, otwarcie grożąc kupującym.

Grupa mężczyzn w brudnych koszulkach powoli oddaliła się w przeciwnym kierunku. Rozglądając się ostrożnie dokoła, Gustav ruszył dalej. Od czasu do czasu napotykał przechodniów – wracających późno do domu mieszkańców miasta bądź pary zakochanych, które podobnie jak on, jakkolwiek ze zgoła odmiennych powodów, unikały światła latarni.

Zanim jeszcze skręcił w ulicę Hofstatt, przy której mieściła się siedziba redakcji, w nozdrza uderzył go swąd spalenizny. Ponownie przyspieszył kroku, wybiegł zza rogu i stanął jak wryty.

Jego oczom ukazały się ciemne kopczyki, w niektórych miejscach jeszcze żarzące się ogniem. Zimny podmuch wiatru wpadł w uliczkę, podsycając dogasające płomienie.

Na chodniku w pojedynczych grupkach stali niezbyt już liczni gapie i przypadkowi spacerowicze. Niektórzy gestykulowali, reszta zaczęła się powoli rozchodzić. W powietrzu czuło się jeszcze napięcie wywołane niedawnymi wydarzeniami. Trawiony najgorszym z możliwych przeczuć, Gustav ruszył w kierunku domu oznaczonego numerem 6. Jeszcze dwa budynki dzieliły go od ostatecznej pewności. Wzniósł ku niebu rozpaczliwą modlitwę, błagając, by nieszczęście, które przeczuwał, nie spotkało jego przyjaciela.

Zaraz jednak znów się zawstydził – po raz drugi w ciągu kilku zaledwie minut. Nawet jeśli nieszczęście nie spotkało jego dzielnego druha, to jak może z tak lekkim sercem życzyć go komuś innemu? Tak, to właśnie od zarania dziejów było największe brzemię dźwigane przez ludzkość! To, że każdy patrzy tylko na siebie i swoich najbliższych. Oddycha z ulgą, kiedy jakieś nieszczęście nie dotyka go osobiście. Dla własnego uspokojenia wymyśla najrozmaitsze argumenty, choćby ten, że „przecież z jakiegoś powodu tak się w życiu dzieje, nieprawdaż?”. A więc nie warto tracić czasu na dalsze myślenie, lepiej odwrócić wzrok, w spokoju wrócić do własnych spraw... W końcu wystarczająco się człowiek namęczy, dźwigając przez życie własne brzemię...

Doktor z ociąganiem pokonał ostatnie metry i stanął wreszcie na wprost fasady budynku mieszczącego wydawnictwo i redakcję gazety. Jego umysł wzbraniał się przed przyjęciem do wiadomości tego, co serce od dawna wiedziało. Z wolna uniósł głowę i powiódł wzrokiem po ciemnej ceglanej ścianie aż do wysokości drugiego piętra. Jego oczom ukazały się typowe ślady spustoszenia dokonanego przez dziką siłę posiadającą państwowy placet: wszystkie szyby były powybijane, a tłące się na ulicy kopczyki okazały się resztkami mebli, książek i papierów powyrzucanych z okien. Gustav stał wstrząśnięty. Z kupy popiołu wystawała noga od stołu, niby uniesiony w geście przestrogi palec. Obok leżała pogięta maszyna do pisania marki Triumph z wkręconym kawałkiem zwęglonego papieru. Dzieło życia jego przyjaciela zostało doszczętnie zniszczone. Co gorsza, jego samego nie było widać w pobliżu. *Co stało się z Fritzem?*, niepokoił się doktor. Nie dostrzegł go wśród stojących. Czy udało mu się na czas ukryć przed siepaczkami?

Drobny, starszy mężczyzna w okularach w niklowanej oprawie, równie wstrząśnięty jak doktor, spoglądał w górę na powybijane okna.

– Dzień dobry. Czy pan nie jest abym przyjacielem pana Gerlicha? – spytał szeptem, rozglądając się ukradkiem, jakby obawiał się niepowołanych uszu.

– Owszem. A z kim mam przyjemność? – odparł Gustav, przyglądając się podejrzliwie mężczyźnie. Miał wrażenie, że ta twarz nie jest mu obca.

– Bardzo przepraszam, nazywam się Köhler, Friedrich Köhler. Jestem... – nieznajomy zająknął się, przełknął ślinę i wreszcie dokończył: – Chyba wypada raczej powiedzieć: byłem nocnym redaktorem u pana Gerlicha.

Od mężczyzny biła taka bezradność, że Gustav poczuł się, jakby ktoś dźgnął go lodowatym nożem w brzuch. Przepętniony strachem chwycił starszka za ramię i spytał:

– Wie pan może, gdzie jest Fritz? Gdzie on jest, niechże pan mówi!

– Gdzie jest? Nie mam pojęcia. Przyszli ci z SA. Przekłęta hołota. Zdemolowali pomieszczenia, powyrzucali przez okno maszyny do pisania i meble. Pan Gerlich chciał ich powstrzymać, ale było ich zbyt wielu, więc rzucili się na niego i go pobili. Pan Gerlich jeszcze krzyczał do nich: „Mnie bijecie? Mnie? Współtwórcę ruchu ojczyźnianego?”. Potem go zabrali. Straszne, po prostu straszne. Te nowe barbarzyńskie zwyczaje, do czego to wszystko prowadzi?

Redaktor, wzburzony niepojętymi dla niego wydarzeniami, zdjął okulary i potarł nasadę nosa, cały czas kręcąc z niedowierzaniem głową.

Gustav nie potrafił zdobyć się na nic więcej, jak tylko na milczące skinienie głową. Świadomość, że wojna przeciwko obywatelskim wolnościom zaczęła się już na dobre i jest nie do powstrzymania, wstrząsnęła nim do głębi.

Wiedział, że tego dnia, w tym miejscu, umarła prawda. Hydra dyktatury podniosła głowę. Był czwartek, 9 marca 1933 roku, dzień, w którym władzę w Monachium objął nowy komisarz Rzeszy, Franz Ritter von Epp.

Jednocześnie był to dzień, w którym wyszedł ostatni numer gazety „Der Gerade Weg” („Prosta Droga”). Tygodnik wydawany przez Fritza Gerlicha nosił podtytuł „Niemiecka Gazeta na rzecz Prawdy i Prawa”, a dla prawa i prawdy nie było już w Niemczech miejsca. Narodowi socjaliści właśnie zaczęli wyrównywać rachunki, płacąc swym wrogom monetą zniszczenia, przemocy i śmierci.

Fritz Gerlich był jedną z ich pierwszych ofiar.

Nawet kancelaria Meyerlinck i Wspólnicy – nosząca tę nazwę po tym, jak pan Finkelstein przezornie ukrył się za enigmatycznym „i Wspólnicy” – nie mogła pomóc Fritzowi. Adwokatom udało się jedynie dowiedzieć, że dziennikarz najpierw trafił do policyjnego aresztu przy Ettstrasse, a następnie do więzienia Stadelheim, w którym nie było wizyt.

Gustav nigdy więcej nie zobaczył przyjaciela. Fritz Gerlich przez blisko szesnaście długich miesięcy był poddawany przesłuchaniom i brutalnym torturom, lecz do końca pozostał wierny sobie, swojej wierze i swoim przekonaniom.

Tego fatalnego dnia Magda zabarykadowała się w swoim pokoju i wyszła z niego dopiero nazajutrz, z czerwonymi od płaczu oczami.

– No proszę. A więc to odwaga jest kluczem do serca Magdy – rzekł Gustav, zwracając się do Elisabeth. – Ta odwaga, moja droga, jest też bronią, której brunatny potwór boi się najbardziej. To niezłomni i sprawiedliwi, jak nasz Fritz, nieustraszenie przeciwstawiają się naporowi bezprawia.

Dwa miesiące później, 6 maja 1933 roku, w Monachium odbyło się pierwsze publiczne palenie „nieprawomyślnych” książek, a 10 maja podobne wydarzenie miało miejsce w stolicy Rzeszy, Berlinie.

W płomieniach dokonały żywota książki autorów, których dzieła, oprawne w safianowe okładki, zapełniały biblioteczkę Gustava: noblisty Tomasza Manna i jego brata Henryka, Kurta Tucholsky ego i Henryka Heinego.

Na wieść o tym nowym akcie barbarzyństwa dokonanym przez narodowych socjalistów Gustav zacytował słowa Heinego:

– „Tam, gdzie książki palą, niebawem także ludzi palić będą”.

Następnie zamknął się w swojej bibliotece, by ukryć przed Elisabeth łzy.

30 czerwca 1934 roku Hitler nakazał wyeliminować wszystkich swoich przeciwników politycznych oraz krytyków nowej władzy, a już dwa dni później siepacze z SS zamordowali byłego kanclerza Rzeszy Kurta von Schleichera, dawnego komisarza generalnego Bawarii Gustava Rittera von Kahra, który stawiał czoło Hitlerowi w czasie nieudanego puczu w 1923 roku, oraz dziennikarza Fritza Gerlicha. Ten ostatni został rozstrzelany w pierwszym niemieckim obozie koncentracyjnym w podmonachijskim Dachau. Ofiarami zemsty Hitlera padło ponad dwieście osób, a cała akcja, stanowiąca wyraźne ostrzeżenie dla

wszystkich inaczej myślących, przeszła do historii pod nazwą „nocy długich noży”.

Wieczorem, kiedy żona Fritza, Sophie, poinformowała Gustava o śmierci przyjaciela, ten rzekł do Elisabeth:

– Wiesz, Fritz miał rację we wszystkim, co mówił. Dzięki swojej mądrości i przenikliwości wszystko przewidział, i to od razu, od pierwszej chwili. Tragizm całej historii polega na tym, że mordując go, naziści dokładnie potwierdzili to, przed czym od zawsze przestrzegał i z czym przez wszystkie te lata walczył. To mianowicie, że są potworami, fanatycznymi, drwiącymi z prawa i wyzbytymi moralnych uczuć bestiami, że nie zbudują państwa prawa, tylko krwawą dyktaturę. Fritz był oskarżycielem, a jednocześnie skazanym. Był jak motyl ostrzegający inne owady przed płomieniem świecy. A ponieważ nikt nie chciał mu wierzyć, sam pofrunął w ten płomień i spłonął na oczach pobratymców, aby uzmysłwić im dobitnie niebezpieczeństwo. Jego śmierć była jednak daremna, Elisabeth, bo nikt nie chce już widzieć i nikt nie chce słuchać, a już najmniej zrozumieć. Boże wszechmogący, miej nas w swojej opiece.

Gustav nie poznawał swojej ojczyzny, wstrząsanej coraz gwałtowniejszymi aktami barbarzyństwa. Już w marcu 1933 roku, kiedy jego przyjaciel Fritz Gerlich został pobity i aresztowany, doktor po raz pierwszy zaczął poważnie rozważać, czy aby nie powinien wraz z rodziną wyjechać z Niemiec.

Brat Gustava Paul i jego żona Annabelle, francuskiego pochodzenia Żydówka z Alzacji, już parę miesięcy temu przenieśli się z Norymbergi do Londynu i zdążyli się tam już zupełnie nieźle zadomowić.

Życie, jak zawsze nieobliczalne, miało jednak względem Gustava i Elisabeth inne plany.

Elisabeth właśnie udzielała swojej już bez mała dziesięcioletniej córce lekcji fortepianu, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili z korytarza zaczęły dobiegać jakieś hałasy.

Ponieważ Deborah nie przestawała ciekawie nadstawiać uszu, Elisabeth poleciła jej zostać na miejscu i dalej ćwiczyć palcówki, sama zaś poszła zobaczyć, co się dzieje.

W korytarzu przy drzwiach wejściowych stał nieznaną jej mężczyzna, który najwyraźniej był w poważnych opałach. Otilie musiała go znać, gdyż wrzeszczała na niego bez opamiętania, podczas gdy nieszczęśnik coraz bardziej chował głowę w ramiona. Elisabeth zrobiło się żal biedaka. Pod pachą mężczyzna ścisnął koszyk, z którego dobiegało żałosne popiskiwanie. Słyszając je, Felix przybiegł zaciekawiony i stanął przy jej nogach.

– No i proszę! W dodatku tym swoim awanturowaniem przeszkodziłeś pani doktorowej w lekcji! – naskoczyła na zahukanego mężczyznę Otilie, chociaż tak naprawdę to ona najbardziej się tutaj handryczyła. – Wynoś się, głupku! Ale już! – Bez ceregieli złapała przybysza za rękę, próbując go wypchnąć za drzwi.

– Czy mogę wiedzieć, o co chodzi? – spytała Elisabeth.

Mężczyzna chętnie uchyliłby czapki przed piękną panią doktorową, ale niestety obie ręce miał w tej chwili zajęte.

– Kłaniam się nisko wielmożnej pani. Chciałem tylko przekazać państwu ten oto drobiazg – powiedział onieśmielony i wyciągnął w jej stronę popiskujący koszyk.

Pod kraciatą narzutką coś się poruszało. Elisabeth uniosła koniuszkami palców jej skraj i zobaczyła trzy szczeniaczki, tak małe, że nie dało się nawet określić, jakiej są rasy.

– Ten głupek nazywa się Sepp i twierdzi, że ich ojcem jest Felix, a jego pan, też jeden z tej brunatnej hołoty, co to mi zabrała mojego Hansa, powiedział mu, że ma się natychmiast pozbyć z domu tego żydowskiego pomiotu. Szurnięty jakiś – prychała wściekle Otilie.

– Kazał mi zabić te maluchy. Wrzucić do Izary. Ale one są przecież rasowe, bo od naszej Pszczółki! Za nic nie mogłem tego zrobić. Bardzo panią szanowną proszę, niech mnie pani nie zdradzi – błagał mężczyzna, który może i chciał dobrze, ale swoim postępowaniem postawił Elisabeth w niezręcznej sytuacji, zmuszając ją do podjęcia trudnej decyzji.

– A skąd pan wie, dobry człowieku, że one naprawdę są naszego Feliksa? – spróbowała słabo oponować gospodyni, nie chcąc na siebie brać odpowiedzialności za życie maluchów, lecz w tym samym momencie z koszyka dobiegło przeciągłe piśnięcie, które brzmiało dziwnie znajomo, a Feliksowi wyrwało się dumne „hau”. Elisabeth westchnęła, zrezygnowana wyciągnęła rękę i powiedziała:

– No, trudno. Wezmę je.

Więć o niespodziewanym powiększeniu rodziny sprawiła, że Deborah wprost nie posiadała się ze

szczęścia, wszelako pan doktor, wróciwszy wieczorem do domu, wydawał się nieco mniej ucieszony.

Szczeniaczki miały niecałe trzy tygodnie i bez mleka matki nie miały szans przeżyć, ale na widok uszczęśliwionej córeczki serce Gustava stopniało i doktor postanowił spróbować niemożliwego. Rozmieszał zatem z wodą odrobinę nazbyt tłustego dla piesków krowiego mleka, którego świeżą porcję dostarczano im codziennie rano do domu, i dodał do tego trochę przygotowanego własnoręcznie proszku witaminowego.

Trud karmienia maluszków, którym nadano imiona: Pszczółka, Liza i Felix Drugi, wzięły na siebie trzy ochotniczki: Otilie, Magda i mała Deborah.

Liza, która od samego początku była najsłabsza, zdechła już po dwóch dniach, a Felix Drugi przeżył ją o niespełna tydzień. Deborah była tak niepokieszona i zrozpaczona, jak zrozpaczona potrafi być tylko mała dziewczynka.

Te dwa małe jamniczki były pierwszymi ofiarami narodowego socjalizmu spośród mieszkańców domu przy Prinzregentenplatz. Ich właściciel skazał je na zagładę tylko dlatego, że uznał absztyfikanta ich matki za żydowskiego kundla. A przecież – jak stwierdził doktor, kręcąc głową – oficjalne, urzędowo potwierdzone drzewo genealogiczne Feliksa dobitnie zaświadczało o tym, że jest on „czystszy rasowo niż ci wszyscy nazistowscy panowie razem wzięci”.

Tego samego wieczora, zostawszy sam na sam z żoną, Gustav powiedział:

– Ta samozwańcza rasa panów jest wprost przerażająca w swoim prymitywizmie. W gruncie rzeczy zwierzęta są mądrzejsze od człowieka. Nie znają ani uprzedzeń, ani różnic rasowych, nie cierpią na manię wielkości ani nie dążą do władzy i nigdy nie zabijają swoich pobratymców z nienawiści czy tylko dlatego, że się czymś odróżniają od pozostałych. Zwierzęta zabijają tylko po to, by przeżyć. Człowiek natomiast zabija bezinteresownie, sam sobie szykując zgubę.

Tymczasem Deborah z całych sił dzień i noc opiekowała się słabiutką Pszczółką, która spała w koszyku przy jej łóżku, a kiedy piesek przeżył drugi miesiąc, Gustav z dumą powiedział do córki, że dokonała prawdziwego cudu.

Od tej chwili Pszczółka stała się członkiem rodziny, a Felix dosłownie płaszczył się u jej stóp. Przy okazji doktor, by uniknąć ewentualnych dalszych niespodzianek, zadbał o to, by dziarski młodzian został wykastrowany.

Wkrótce jednak okazało się, że nie tylko Felix doczekał się potomstwa. Po tym, jak Elisabeth przez kilka dni czuła się nie najlepiej, była osłabiona, kręciło jej się w głowie i bez przerwy wymiotowała, doktor stwierdził, że jego żona spodziewa się kolejnego dziecka. Niestety ciąża, która i tak przypadła na okres najgorszy z możliwych, od samego początku miała ciężki przebieg, w związku z czym plany opuszczenia Niemiec i wyjazdu do Austrii, ojczyzny Elisabeth, odsunęły się na czas po połogu.

Przyszła matka czuła się tak fatalnie, że niemal bez przerwy leżała w łóżku, a doktor osiwiiał wprost ze zgrzyoty.

Również Elisabeth nie potrafiła się pogodzić z tym, że jest taka słaba i pozbawiona wigoru. Miała przecież dopiero trzydzieści trzy lata! Pierwszy raz w życiu słyszała wypełniającą ją od zawsze muzykę jak przez mgłę, zupełnie jakby niknęła ona w otchłani smutku i melancholii.

Narodziny małego Wolfganga, który przyszedł na świat pod koniec 1933 roku, były dla Elisabeth dziewiętnastogodzinną torturą. Bóle wystąpiły o miesiąc za wcześnie, poza tym dziecko było ułożone w poprzek. Aby ratować życie coraz bardziej słabnącej żony, doktorowi nie pozostało nic innego, jak wydobyć dziecko poprzez wykonanie skomplikowanej i ryzykownej operacji cesarskiego cięcia.

Oslabiona matka długo nie mogła dojść do siebie po trudach operacji i nie wolno jej było karmić dziecka piersią, chłopczyk zaś był chorowity, miał słabe płuca i jedną nóżkę trochę krótszą, przez co

przez cały pierwszy rok życia musiał pozostawać pod stałą kontrolą lekarzy.
Gustav był zmuszony po raz kolejny odsunąć plany wyjazdu.

Arkę Noego coraz gwałtowniej porywał prąd nowych czasów, niebezpiecznie pchając ją ku wzburzonej otchłani trosk.

Myśli mieszkańców kamienicy przy Prinzregentenplatz 10 stawały się z każdym dniem coraz bardziej ponure i pełne zmartwień: Gustav i Elisabeth obawiali się o swoje dzieci i ich przyszłość, Magda bała się, że kiedy państwo wyjadą z kraju, będzie musiała wrócić do nijakiego życia na ojcowiznie, Otilie zaś zamartwiała się o duszę swojego Hansa, którego już prawie przestała widywać.

Tylko kucharka jak zawsze martwiła się wyłącznie o kuchnię i półki w spiżarni. Bertha dobiegała właśnie siedemdziesiątki. Jej pełne policzki nieco obwisły, jako że miała coraz mniejszy apetyt, a między jej słabnącymi z tygodnia na tydzień zębami powstawały coraz to nowe luki, przez co miała trudności z mówieniem. Często mamrotała coś do siebie, plując na wszystkie strony, ponieważ jej usta, pozbawione większości zębów, straciły dotychczasową szczelność. Aż strach pomyśleć, co też przy tej okazji mogło wylądować w garnku czy na patelni.

Ponieważ ani Gustav, ani Elisabeth nie mieli serca wymówić Bercie posady, jak tylko mogli unikali odwiedzania starej służącej w jej kuchennym królestwie. Dla świętego spokoju lepiej było jej nie oglądać, jak mamrocze do siebie, gotując obiad. „Inaczej człowiek całkiem straciłby apetyt”, zauważyła kiedyś Elisabeth.

Pszczołka, szorstkowłosa jamniczka, jako jedyna dotrzymywała Bercie towarzystwa w jej kuchennej samotni. Ona nie miała takich dylematów, toteż nie narzekała na brak nagród za swoją wierność. Nic dziwnego, że już wkrótce jamniczka wyglądała jak baryłka na krótkich nóżkach.

Któregoś razu, kiedy na stole wylądował wyjątkowo mętny i zawiesisty eintopf, smakowita potrawa, którą pan doktor w dawnych czasach bezzwłocznie nakładał sobie na talerz, wszystkich zniemacka ogarnął dziwny marazm. Po chwili jednak doktor stwierdził z dziarskim wzruszeniem ramion:

– Cóż, moi kochani. Jak to powiadają, „czego oczy nie widzą”, nieprawdaż? Eintopf na zimno na pewno nie będzie smaczny.

To powiedziawszy, chwycił łyżkę i energicznie zabrał się do jedzenia. Wszyscy posłusznie poszli za przykładem głowy rodziny i... o dziwo, potrawa okazała się bardzo smaczna, pożywna i znakomicie przyprawiona.

Po posiłku, kiedy zostali sami, Gustav, który wychowywał dzieci w duchu tolerancji i humanizmu, zwrócił się do swej córki:

– Posłuchaj mnie uważnie, córeczko. W gruncie rzeczy nasze podejście do, jakby tu powiedzieć, kuchennych, hmm... wytworów Berthy, jest swoistą alegorią narodu niemieckiego. Tak się składa, że naród nasz również nie widzi tego, czego nie chce widzieć, i w związku z tym spożywa serwowaną mu zupę aż do ostatniej łyżki.

Po tych słowach doktor przez długą chwilę siedział w milczeniu.

Tymczasem Magda, która jak zwykle chłonęła każde słowo doktora, pobiegła do biblioteki i sięgnęła po wielki słownik Brockhousa. Chcąc się koniecznie dowiedzieć, co dokładnie znaczy słowo „alegoria”, otworzyła słownik na odpowiedniej stronie i znalazła definicję: „obrazowe przedstawienie jakiegoś pojęcia”, a poniżej złowrogi przykład: „śmierć jako postać z kosą”.

Tej nocy pokojówka niespokojnie wierciła się na łóżku. Śniła jej się śmierć, której obraz idealnie

odpowiadał wizerunkowi bladego człowieka o fanatycznych oczach i z małym wąsikiem nad górną wargą.

Pod koniec 1936 roku Elisabeth, po wielu jeszcze perturbacjach zdrowotnych, na tyle odzyskała siły, że jej mąż mógł podjąć kolejną próbę zorganizowania wyjazdu z Niemiec. Niestety sprawy znowu się skomplikowały, gdy w styczniu 1937 roku Wolfgang ciężko zachorował i doktor stwierdził u chłopca tyfus.

Tyfus, podobnie jak gruźlica, był chorobą zakaźną i w Rzeszy rządzonej przez Hitlera i jego siepaczy traktowany był niczym trąd. Sam Führer gardził tą chorobą. A ponieważ żaden szpital nie chciał przyjąć małego Wolfganga, Gustav był zmuszony kurować syna w domu. I znów minął prawie rok, nim doktor – tuż przed Bożym Narodzeniem – mógł wreszcie powiedzieć żonie, że ich synek całkiem wrócił do zdrowia i jest już wystarczająco silny, by można go było zabrać w daleką podróż.

Gustav zaplanował wszystko bardzo dokładnie: obszedł wszystkie urzędy, miesiącami gromadząc potrzebne papiery i pieczętki.

A potem, w marcu 1938 roku Austria została zaanektowana przez nazistowskie Niemcy, czyli „powróciła do Rzeszy”, jak określano ten niewątpliwy akt agresji w państwowej propagandzie.

I znowu doktor i jego rodzina musieli zmienić plany. Początkowo myśleli o tym, by osiąść tymczasowo w Szwajcarii, dokąd już na początku 1937 roku przeniósł się dawny przyjaciel Hitlera Bubi Putzinger, który ze względu na swój ekscentryczny i nieco szalony styl bycia ostatecznie poróżnił się z brunatnym reżimem. Także Franciszek Lehár, dawny protektor Elisabeth, przeniósł się wraz ze swoją żydowską żoną do jednego z luksusowych hoteli w Zurychu.

Zakusy Hitlera sięgały jednak daleko poza granice Austrii, toteż Gustav i Elisabeth obawiali się, że Szwajcaria, zważywszy na ekspansjonistyczne plany Führera, może leżeć zbyt blisko.

Kiedy doktor zastanawiał się nad innymi możliwościami i kierunkami podróży, Elisabeth, która powiadomiła swojego obrotowego impresaria, że jest gotowa do powrotu na scenę, otrzymała któregoś dnia kopertę z najszlachetniejszego czerpanego papieru. W środku było zaproszenie do Londynu na występy w Covent Garden, gdzie miałyby śpiewać partię Królowej Nocy w *Czarodziejskim flecie* Mozarta.

Na wieść o zaproszeniu doktor z ulgą zwrócił się do małżonki:

– Widzisz, moja droga, czasem wystarczy po prostu poczekać, a sprawy same się rozwiązują.

W tej sytuacji było oczywiste, że Gustav pójdzie w ślady swojego brata Paula i przeniesie się wraz z rodziną do Londynu! Pozostawało tylko pytanie, czy należy się oficjalnie zwrócić do władz z wnioskiem o pozwolenie na wyjazd.

Co prawda narodowi socjaliści patrzyli życzliwym okiem na Żydów, którzy z własnej woli opuszczali rządzone przez nich państwo, lecz jeśli chodziło o żydowskie majątki, to lepiej widziano pozostawienie ich w Rzeszy. Wszyscy Żydzi zostali zobowiązani do zapłacenia tak zwanego „podatku od majątku żydowskiego”, a osoby zgłaszające chęć wyjazdu dodatkowo zmuszano do zapłacenia „podatku od uciekinierów”.

Urząd Skarbowy działał pod tym względem bardzo sprawnie, jak zresztą we wszystkich czasach i pod każdymi rządami.

– Przecież to zwykła kradzież w majestacie prawa! – oburzał się Gustav.

Tymczasem Elisabeth nawiązała kontakt z ambasadą brytyjską, gdzie trafiła na *attaché*, który okazał się wielkim admiratorem jej talentu i nieoficjalnie podsunął słynnej śpiewaczce następujący sposób załatwienia sprawy: Elisabeth Malpran powinna oficjalnie zgłosić zaproszenie z Londynu w Izbie Muzycznej Rzeszy i zwrócić się o pozwolenie zabrania ze sobą dwójki nieletnich dzieci oraz ich

guwernantki (którą to odpowiedzialną funkcję pełniła od niedawna Magda). Powinno to jednak nastąpić niedługo przed terminem wyjazdu, tak jakby Elisabeth dopiero w ostatniej chwili zdecydowała się przyjąć zaproszenie. Przy okazji powinna też zadeklarować, że jest jak najbardziej otwarta na dalsze angaże w Rzeszy. W tym samym czasie Gustav, żeby „nie wywoływać wilka z lasu”, jak wyraził się *attaché*, miał z niewielkim bagażem, najlepiej na kilka dni przed wyjazdem Elisabeth, wsiąść do pociągu relacji Monachium – Zurych. Po wyjeździe Elisabeth mogłoby się bowiem zdarzyć, że podejrzliwe oko władzy spoczęłoby na jej małżonku, podczas gdy jego kilkudniowa absencja przed jej wyjazdem nikomu nie wyda się podejrzana. Z Zurychu Gustav miałby się udać dalej do Londynu. Przy okazji brytyjski urzędnik zasugerował również, by doktor poszukał jakiejś możliwości podróżowania w granicach Niemiec na fałszywych papierach.

Gustav natychmiast zorientował się, że zdobycie odpowiednich dokumentów będzie go kosztowało majątek. Zasięgnął rady swojego prawnika, pana von Meyerlincka, który do tego czasu został już jego bliskim przyjacielem i powiernikiem. Panu Meyerlinckowi, którego kancelaria, jak wiadomo, znajdowała się w bezpośredniej bliskości kwatery głównej NSDAP, w końcu udało się dzięki najrozmaitszym sąsiedzkim koneksjom zdobyć odpowiednie papiery i Gustav mógł od tej pory podróżować jako Peter Friebling.

Zgodnie z planem zaproponowanym przez *attaché*, wierna Otilie miała pojechać tym samym zuryskim pociągiem co doktor, wioząc ze sobą jego prawdziwe dokumenty, potrzebne do legalnego wjazdu do Anglii. Ostrożny dyplomata uważał, że przewożenie dokumentów przy sobie byłoby zbyt ryzykowne, podczas gdy starsza aryjska pani w trzeciej klasie – służąca miała co prawda dopiero czterdzieści jeden lat, ale odkąd odebrano jej Hansa, wyraźnie się posunęła – nie powinna wzbudzić niczyich podejrzeń.

Doktor pozostawił decyzję samej Otilie, ponieważ jego zdaniem zawsze istniało ryzyko wpadki, ta jednak zgodziła się na wszystko natychmiast i bez wahania, bo nie dość, że naziści zabrali jej Hansa, to teraz wypędzają jeszcze z kraju jej państwa! Dlatego uznała za swój święty obowiązek pomóc wieloletniemu chlebodawcy i jego bliskim.

Ucieczka

Ludzie stali się nieufni i podejrzliwi.

Ci, którzy przedtem mieli niewiele, nagle posiadali wielkie majątki, ci, którzy wcześniej byli bez znaczenia, zyskali wpływy i władzę, a kto miał majątek i władzę, starał się, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Ci zaś, którzy nie uczynili niczego złego, stali się ofiarami.

Adwokat Samuel Finkelstein już pod koniec 1934 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Podobnie uczyniła wcześniej lub później niemal cała umysłowa elita Niemiec – kraju, który szczycił się tym, że jest ojczyzną uczonych i poetów.

Pośród tych, którzy wyjechali, było około dwudziestu noblistów, co „tym za granicą”, jak zauważał Gustav ze złością zaprawioną smutkiem, powinno przecież dać do myślenia! „Tak przecież zaczyna się każda dyktatura – mówił. – To nie szczury opuszczają tonący okręt, lecz najlepsi i najmądrzejsi wyjeżdżają ze skazanego na zagładę kraju. Brunatna władza nie chce ich u siebie, ponieważ mądrzy zawsze przeszkadzają w czynieniu zła”.

Ci, którzy zostali, żeby dać świadectwo swego sprzeciwu, szybko zostali zmuszeni do milczenia przez brunatną horde.

Dopiero dzisiaj pamięć o tej garstce odważnych ludzi czci się na akademiach, składa im wieńce i głosi na ich cześć pełne przestróg przemowy. Nigdy bowiem nie wolno zapominać, że tylko odwaga wielu może zwyciężyć zło.

Gustav i Elisabeth wtajemniczyli rozumną ponad swój wiek córkę w plan opuszczenia ojczyzny i wyjazdu do Anglii. Deborah miała w związku z tym tylko jedno pytanie, o którym rodzice w gorączce przygotowań zupełnie nie pomyśleli:

– A co z Pszczółką?

Przed trzema laty Felix przeniósł się do psiego nieba w słuźnym jak na jamnika wieku szesnastu lat, a pytanie dotyczące Pszczółki zostało zadane tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że Deborah ani myśli rozstawać się ze swoją ukochaną suczką, chociaż gdyby ta została w Monachium u Otilie, z pewnością miałyby się jak pączek w maśle.

Elisabeth ponownie skontaktowała się z ambasadą brytyjską, aby dowiedzieć się o warunki, jakie należy spełnić, by wwieźć do kraju Jego Królewskiej Mości psa. Okazało się, że Pszczółka będzie musiała zostać poddana na Wyspach wielomiesięcznej kwarantannie, co nie było, rzecz jasna, niczym przyjemnym, szczególnie dla samej suczki, ale Deborah uparła się i tym samym sprawa była zamknięta.

Wkrótce ustalono datę wyjazdu. 12 czerwca 1938 roku doktor Berchinger miał wsiąść do wagonu drugiej klasy pociągu relacji Monachium-Zurych i po trzech godzinach jazdy, posługując się fałszywymi dokumentami, przekroczyć granicę w Lindau. Otilie miała zająć miejsce w tym samym pociągu w wagonie klasy trzeciej.

Z Zurychu doktor planował udać się do francuskiego Calais i stamtąd promem do Dover. Jego brat Paul miał go odebrać w porcie i towarzyszyć mu do Londynu, gdzie czekał już na niego pokój w hotelu

Mayfair przy Stratton Street, w którym dyrekcja koncertów Covent Garden zamówiła apartament dla Elisabeth Malpran i jej dzieci.

Gustav za nic nie chciał stać się ciężarem dla swojego brata, który był wprawdzie stosunkowo znany, ale jak większość malarzy nie dorobił się za życia wielkiego majątku i wraz z żoną Annabelle utrzymywał się głównie ze spadku po rodzicach.

Doktor nie miał pojęcia, czy zostanie w Londynie zezwolenie na pracę w zawodzie lekarza. To mógł wyjaśnić dopiero na miejscu. Dlatego z pomocą mecenasa Meyerlincka już wcześniej przezornie upłynił znaczną część swego majątku. Większa część przychodu z tego tytułu znalazła się na subkoncie kancelarii i miała być w późniejszym terminie przetransferowana w niepozornych ratach na londyńskie konto Gustava. Meyerlinck otrzymał dodatkowo wszelkie pełnomocnictwa niezbędne do wypowiedzenia umowy najmu Amerykanom oraz załatwienia sprzedaży mieszkań oraz gabinetu doktora, kiedy tylko ten zadzwoni do niego w tej sprawie z Londynu.

Ponadto Gustav zadysponował, że adwokat wypłaci pokaźne sumy Otilie i Bercie. Doktor chciał mieć pewność, że po latach wiernej służby kucharka i pokojówka będą zabezpieczone na przyszłość.

Elisabeth z kolei miała zabrać ze sobą w podróż do Londynu całą swoją biżuterię. Jej wyjazd zaplanowano na 15 czerwca, dwa dni przed czternastymi urodzinami Debory.

Kilka dni przed planowanym wyjazdem doktora, 9 czerwca 1938 roku, pracownicy firmy Leonharda Molla zburzyli główną monachijską synagogę przy Max Herzog Strasse. Stało się to na rozkaz samego Führera, o czym nieoceniona Otilie dowiedziała się „od jednego takiego spod numeru 16 na naszej ulicy”.

– Podobno Adolfowi zawsze przeszkadzało, że musi na nią patrzeć przez okno, kiedy siedział w Café Heck. Boże święty, ciągle się bałam, żeby tylko tam nie wszedł, bo on zawsze tak śmierdzi. Bąki naszego Feliksa to pestka przy jego wiatrach. On nie jest zdrowy, ten cały Hitler!

Na wieść o zburzeniu żydowskiej bóżnicy Gustav podzielił się z żoną smętnymi myślami:

– Jak to dobrze, że wyjeżdżamy. Zaczynają swoje ślepe dzieło zniszczenia. Moja ojczyzna umiera. Tym razem nie ukrywał przed Elisabeth łez.

Tego wieczora Gustav, jak to miał w zwyczaju, przed udaniem się na spoczynek wybrał się z córką do pokoju małego Wolfganga. Odkąd chłopiec nieco podrośł, doktor, o ile nie został akurat pilnie wezwany do chorego, zawsze znajdował czas, by opowiedzieć dzieciom jakąś pouczającą bajkę albo udzielić im jakiejś lekcji. Nierzadko zresztą zabawa i nauka były ze sobą ściśle związane.

Doktor od małego wyjaśniał synowi zasadę przyczyny i skutku. Wpajał synowi, że wszystko, co czyni, powinien czynić świadomie i zawsze zastanawiać się nad konsekwencjami, albowiem – jak tłumaczył – „najmniejsze nawet działanie może zmienić cały porządek świata. Bóg stworzył na początku rzeczy tak, aby były proste i zrozumiałe. Dobro to rezultat prostej logiki umysłowej, którą nazywamy rozsądkiem, zło zaś to długa i szkodliwa droga okrężna i nazywa się ją głupotą. Tę oczywistą mądrość w naturalny sposób posiadają dzieci, ale kiedy stają się dorosłe, szybko o niej zapominają”.

Syn Gustava i Elisabeth był jeszcze bardzo mały, ale już odznaczał się niezwykłym zrozumieniem wydarzeń dziejących się wokół niego i – jak wskazywały na to zadawane przez niego pytania – był w naturalny sposób wyczulony na niesprawiedliwość. Ileż to razy Gustav żałował, że człowiek, który jako dziecko dobrze wie, co jest właściwe, potem, w wieku dojrzałym nie rozumie tego albo zwyczajnie nie chce rozumieć, w związku z czym w jego umyśle bardzo szybko pozostaje tylko niejasne wspomnienie dobra.

Dzieci były dla Gustava dowodem na to, że rozsądek jest cechą poniekąd przyrodzoną. Dorośli z kolei unaoczniali mu, jak bardzo można skomplikować i wypaczyć proste prawdy, które w końcu stają się tak pokręcone, że nikt nie potrafi powiedzieć, jakie były na samym początku. I z tego właśnie – jak twierdził doktor – biorą się wojny.

– Proszę, tatusiu, opowiedz mi jeszcze raz historię Adama i Ewy i pierwszej mrówki, dobrze? – poprosił Wolfgang ostatniego wieczoru przed wyjazdem doktora z Monachium.

Chłopiec słyszał ją już co najmniej kilkanaście razy, ale Gustav bardzo się cieszył, że jego syn tak ją lubi, toteż bezzwłocznie zaczął swoją opowieść:

– Adam i Ewa byli pierwszymi ludźmi stworzonymi przez Pana Boga, a ich domem był raj. Któregoś razu, jak to już wielokrotnie zdarzało się wcześniej, wyszli oboje na spacer. I wtedy Adam nagle zobaczył na ziemi mały, czarny i ruchliwy punkcik: była to królowa Moria, pierwsza mrówka. Adam przez jakiś czas przyglądał się z zaciekawieniem, jak mrówka pozornie bez celu krąży wśród traw, a potem podniósł swoją wielką nagą stopę i nadepnął ją, tak że przestała się ruszać. Wtedy Ewa spytała: „Dlaczego to zrobiłeś, Adamie?”. „Bo mogę”, odparł Adam. Później Adam i Ewa dotarli do drzewa wiadomości dobrego i złego, na którym rosło mnóstwo pięknych czerwonych owoców, których Pan Bóg surowo im zabronił dotykać. Ewa jednak zerwała tym razem jedno jabłko i podała je Adamowi. Adam przestraszył się, bo pamiętał o zakazie Pana Boga i spytał: „Dlaczego to zrobiłaś?”. „Bo mogę”, odrzekła Ewa. Wtedy Pan Bóg strasznie się z tego powodu rozgniewał i wygnał Adama i Ewę z raj. Obydwoje płakali i biadali, i w końcu spytali Pana Boga: „Dlaczego to robisz?” A Pan Bóg im odpowiedział: „Bo mogę”. – Doktor umilkł na chwilę, po czym podjął opowieść: – Pan Bóg stworzył też mnóstwo innych

gatunków stworzeń. Wśród nich były rozmaite odmiany mrówek, lecz wśród wszystkich tych mrówczych ludów do dzisiaj żywa jest pamięć o tym, że ich pierwsza królowa została kiedyś zabita przez pierwszego człowieka. Dlatego od pierwszego dnia istnienia świata mrówki noszą w sobie tę samą klątwę co my. Ludzie i mrówki to jedyne gatunki istot na ziemi, których ludy toczą ze sobą wojny.

Wysłuchawszy tej historii, Wolfgang jak zwykle zrobił się bardzo cichy i wkrótce zasnął, pogrążony w rozmyślaniach na temat biegu spraw tego świata.

Gustav posiedział jeszcze jakiś czas przy łóżeczku syna. Był to stary, robiony ręcznie mebel. Obecnie spał w nim Wolfgang, a przed nim Gustav, a jeszcze wcześniej ojciec Gustava. Nagle doktor wyobraził sobie swojego ojca, jak siedzi obok, a on jako mały chłopczyk leży w tym łóżku. Syn Wolfganga, jeśli ten będzie miał kiedyś syna, będzie już leżał w innym łóżeczku. Gustav powoli przesunął dłonią po gładkim drewnie, którego dotykał kiedyś jego ojciec. Jego palce podążały za liniami słoików, a on żegnał się ze swoim dotychczasowym życiem. Ukojeniem w tej smutnej chwili była dla niego myśl, że na szczęście zabierze ze sobą to, co ma w życiu najcenniejszego: rodzinę.

Patrzył na swojego śpiącego synka i jego serce aż ścisnęło się w przypływie tkliwej miłości. Na nocnym stoliku leżał zaczytany egzemplarz *Old Shatterhanda* Karola Maya. Usta Wolfganga zadrżały i Gustav zadał sobie pytanie, o czym to może teraz śnić jego synek. O kowbojach i Indianach? O bohaterach i rozbójnikach? Świat Wolfganga był jeszcze przejrzysty i czarno-biały. W jego fantazji nie było jeszcze miejsca na różne odcienie nienawiści i pożądlivosti, niegodziwości i nietolerancji. Gustav chciał jak najdłużej chronić syna przed ich zalewem. Tak jak kiedyś i jego chronił dziadek Wolfganga.

Gustav urodził się wprawdzie z żydowskich rodziców, lecz nie chciał, by jego tożsamość definiowała – przypadkowa przecież – przynależność do takiej a nie innej religii. Jego rodzina mieszkała w Monachium od blisko dwustu lat, a dziadek jego ojca zyskał sławę i poważanie jako osobisty bankier bawarskiego króla Maksymiliana I. Król obdarował go za zasługi, nadając przywileje obywatelskie.

Dopóki narodowy socjalizm nie zaczął rosnąć w siłę, Gustav w ogóle nie rozważał możliwości uczenia dzieci hebrajskiego – języka, którego uczył go ojciec. Potem jednak zmienił zdanie i w ostatnich latach zaczął przybliżać dzieciom język ich przodków. Wyglądało na to, że Deborah ma wyjątkowe uzdolnienia w tym kierunku, i wkrótce doktor niewiele już będzie w stanie jej przekazać.

Największą goryczą przejmował Gustava fakt, że oto nagle stał się osobą niepożądaną we własnym kraju – tylko dlatego, że nowe polityczne kierownictwo uznało Żydów za trędowatych wyrzutków, czyniąc z nich podludzi pozbawionych wszelkich praw.

Gustav uważał siebie nie tyle za członka ludu Izraela, ile raczej za niemieckiego obywatela świata. Żywo interesował się religią, choć głównie ciekawił go jej wpływ na dzieje ludzkości. Boga uważał raczej za jakąś uniwersalną wielkość, dostrzegał w nim potencjał zdolny pobudzać ludzkie sumienie ku wzniosłym myślom i dobrym czynom.

Ponieważ człowiek otrzymał dar wolności myślenia, doktor uważał każdą ze stworzonych przez człowieka religii za przejaw arogancji, jako że pozbawiały one ludzi swobody myśli i manipulowały masami, interpretując boską myśl i działanie każda na swoją korzyść. Bo chociaż religie same w sobie doktor uważał bez wyjątku za dobre i nastawione pokojowo, to jednak wiedział też, że sam człowiek wcale nie jest istotą miłującą pokój. Toteż nic dziwnego – twierdził – że szlachetne w zamiśle swych fundatorów idee religijne, dostawszy się w ręce ludzi, wyradzały się w swą własną karykaturę.

– Z samego faktu – tłumaczył doktor żonie i córce – że ta czy inna księga czy konfesja stała się bardziej rozpowszechniona od pozostałych, które skądinąd, jak się przekonałem po ich przestudiowaniu, nie są od nich ani lepsze, ani gorsze, wcale nie wynika, że właśnie one są bardziej prawdziwe i pewniej prowadzą do zbawienia. Jest raczej tak, że większe znaczenie, jakie udało im się zdobyć, wynika z tego prostego faktu, iż ich przedstawiciele szerzyli je z większą zręcznością, wyrafinowaniem, a także, niestety,

posługując się przemocą i gwałtem. Naród niemiecki jest znamienym przykładem takiej właśnie propagandy: nawet jeśli miliony gardeł będą zgodnie wykrzykiwać radosne „Heil”, to wcale nie znaczy, że bezprawie nagle stanie się prawem.

Jeśli chodzi o religijność Gustava, to wystarczających przeżyć duchowych dostarczała mu miłość do rodziny i praca. Jego poglądy na temat ludzkiej egzystencji i działań moralnych można by sprowadzić do jednej prostej zasady, którą Immanuel Kant sformułował w swojej *Krytyce czystego rozumu*: „Postępuj tylko wedle takiej maksymy, co do której mógłbyś jednocześnie chcieć, aby stała się ona prawem powszechnym”.

Zrozumienie tej filozoficznej zasady siłą rzeczy musiało stanowić twardy orzech do zgryzienia dla ledwie pięcioletniego Wolfganga, skoro i dorosłym zdarzało się mocno łamać sobie nad nią głów. Aby ułatwić synowi zrozumienie tej formuły, doktor sięgnął do Biblii, gdzie znalazł doskonałe jej przełożenie, które ze względu na swą prostotę szybko weszło do kanonu ludowych mądrości: „Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe”.

Kiedy Gustav wyłożył synowi tę złotą regułę, Wolfgang przymknął oczy i bardzo długo obrabiał ją w myślach, sprawdzając ją pod kątem przyczyny i skutku – tak jak nauczył go ojciec. Potem zadziornie uniósł swoją szczupłą twarzyczkę i uśmiechając się, spytał:

– Czyli że nie muszę już jeść potraw, których nie lubię? Na przykład zupy?

Pytanie chłopca wprowadziło doktora w nieklamane zdumienie. *A to szelma*, pomyślał z dumą, zastanawiając się, jak to możliwe, że jego pięcioletni syn zupełnie mimochodem wpadł na taką interpretację słynnego imperatywu, o którym filozofowie zachodu piszą całe rozprawy!

Chociaż pytanie Wolfganga samo w sobie zawierało już poniekąd odpowiedź, to jednak doktor chciał się przekonać, w jaki sposób chłopczyk uzasadni swe wnioski, dlatego spytał:

– Powiesz mi, jak na to wpadłeś?

– To proste – odrzekł rezolutnie malec. – Ty przecież nie lubisz mięsa, prawda? I nikt cię nie zmusza, żebyś je jadł. A ja zawsze muszę grzecznie zjadać zupę, choć jej nie lubię. To teraz już nie będę jej musiał jeść, prawda?

Rzeczywiście, była to doskonała lekcja... tym razem udzielona ojcu przez syna. W rezultacie Gustav stanął przed niewdzięcznym zadaniem poinformowania swej małżonki o tym, że sposób odżywiania ich młodszej pociechy musi ulec pewnym modyfikacjom. Na szczęście Elisabeth uroczo wybawiła go z zakłopotania, wybuchając serdecznym śmiechem na wieść o tym, jak to mądry pan doktor dał się podejść pięcioletniemu synkowi.

W wieczór poprzedzający wyjazd Gustava małżonkowie długo trwali w serdecznym uścisku. Doktor miał rozmaite rozterki i udzielił wielu instrukcji swojej kochanej Elisabeth, z których najważniejszą była ta, że liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo ich dzieci.

Potem rozmawiali aż do białego rana – o dzieciach, o kruchym zdrowiu i przenikliwym umyśle ich syna i o córce, która przysparzała im samych radości.

– Wiesz, Gustavie – powiedziała w końcu Elisabeth, jeszcze mocniej wtulając się w małżonka – myślę, że o nią akurat w ogóle nie musimy się martwić. Deborah jest cudowną mieszanką nas dwojga, dobry Pan Bóg naprawdę dał jej wszystko, co najlepsze. Już teraz śpiewa dojrzałej, niż ja śpiewałam w jej wieku, i o wiele lepiej gra na pianinie, ponieważ w przeciwieństwie do mnie ma słuch absolutny. Najważniejsze jednak, że jest przy tym tak rozważna i mądra jak ty, skarbie! Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby straciła nad sobą panowanie. Tak sobie myślę, że kiedyś nasza Deborah wpłynie na losy świata.

Gustav skwapliwie przytakiwał żonie, w duchu jednak pomyślał, że ich córka ma nie tylko absolutny słuch, ale też absolutną duszę. Niestety życie w tych czasach było niebezpieczne dla ludzi odważnych, dusza absolutna zaś mogła się okazać bronią obosieczną. Albowiem czy w miłości, czy w nienawiści, w

przyzwoitości i odwadze, ludzie nią obdarzeni nie znają umiaru i bardzo często szkodzą tym sobie samym.

Gustav powrócił myślami do swojego starego przyjaciela Fritza, którego zmiotł brunatny wichur. Na tę myśl przeszedł go lodowaty dreszcz, a po ciele rozlał się niszczycielski jad złego przeczucia. Nagle, zupełnie nie wiedząc czemu, pomyślał o dwu listach Pliniusza Młodszeo, w których autor opisywał ostatnie dni Pompejów.

Elisabeth, która od piętnastu już lat była żoną Gustava, doskonale wyczuła jego nagły niepokój, dlatego objęła go z całej mocy, jaką czerpała z bycia żoną i matką i jaką daje człowiekowi połączenie miłości i nadziei.

Jej ufność dała Gustawowi siłę niezbędną do przepędzenia złych myśli. Doktor kurczowo uchwycił się sentencji Pliniusza, wedle której „szczęście sprzyja odważnym!”. Tyle tylko, że Gustav wcale nie czuł się odważny.

Pożegnanie

Następnego ranka wszyscy byli w równym stopniu przejęci, co przygnębieni.

Elisabeth nie mogła towarzyszyć Gustavowi w drodze na dworzec. Jako słynna śpiewaczka mogła zostać rozpoznana, a przecież chodziło im o uniknięcie wszelkiego rozgłosu. Dlatego też pożegnanie odbyło się przy Prinzregentenplatz 10 – pośród niekończących się uścisków, łez, napomnień i obietnic. Potem Gustav wyszedł.

Wczesnym wieczorem Elisabeth położyła małego Wolfganga do łóżka i przeczytawszy mu wcześniej po raz chyba dwudziesty opowieść o szlachetnym Winnetou, zatrzasnęła książkę, ucałowała syna w czołko i jak zwykle szepnęła:

– Śpij dobrze i niech ci się przyśnią gwiazdki.

Jednakże malec najwyraźniej nie był śpiący, gdyż spytał:

– Mamusiu, a dlaczego tatuś został Żydem? Przecież nic złego nie zrobił, prawda?

Elisabeth, która i tak już czuła się, jakby siedziała skulona na smaganej wichrami równinie, pytanie to omal nie zmiotło z powierzchni. Poczowała nagły ścisk w żołądku, ale wzięła się w garść i odpowiedziała:

– Ależ skądże, skarbenku, oczywiście że nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– A bo Otilie mówi, że teraz prześladują i zamykają Żydów. A takie rzeczy robi się tylko ze złymi ludźmi, prawda?

– Otilie nie wyjaśniła ci tego dokładnie. Żydzi są dobrymi ludźmi, tak jak twój tatuś, tylko że ciągle prześladują ich źli ludzie. – Tak na szybko nic lepszego nie przyszło jej do głowy, za to w myślach porządnie już besztła nieostrożną Otilie.

Wolfgang jednak swoim zwyczajem drążył temat:

– A jak się zostaje Żydem, mamusiu?

– Żydem się człowiek rodzi.

– No ale skoro Żydzi są tacy dobrzy jak tatuś, to dlaczego inni ludzie są dla nich źli?

– Ponieważ ludzie, którzy są źli, zawsze też są głupi i dlatego nie wiedzą, co czynią.

– O, to tak jak w ostatnich słowach Chrystusa – odparł Wolfgang, kiwając poważnie głową, co tak nie pasowało do pięciolatka, że Elisabeth ze zdumienia aż otworzyła usta.

Kolejny prezent od gorliwej chrześcijanki Otilie.

– Czy głupi ludzie zawsze są źli, mamu? Otilie mówi, że Bertha jest głupia, aleja nie uważam, żeby była zła.

– Bertha nie jest zła, za to Otilie jest za bardzo gadatliwa. Ale masz rację, skarbie. Na tym właśnie polega tajemnica zła, że zawsze odnajduje drogę do ludzkich dusz. A teraz śpij już, kochanie.

Elisabeth marzyła o tym, żeby się ukradkiem wynieść z pokoju synka, zanim ten jeszcze bardziej uwikłają w filozoficzne dysputy, które były raczej domeną jej małżonka. Mimo to Wolfgang nie dawał za wygraną:

– Londyn to też tajemnica, prawda mamu?

Elisabeth o mało serce nie stanęło z przerażenia, ponieważ na temat Londynu Wolfgang naprawdę nie miał prawa nic wiedzieć. Teraz to już gadatliwa Otilie naprawdę dostanie za swoje.

Pocałowała Wolfganga po raz drugi w czoło i powiedziała:

– Tak, kochanie, Londyn to też tajemnica. I dlatego nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć, rozumiesz?

Dasz mi na to słowo honoru?

– Wielkie indiańskie słowo honoru!

Mimo to Londyn naturalną kolejną rzeczą nadal całkowicie absorbował myśli Wolfganga, który długo jeszcze nie mógł zasnąć. Bardzo chciał wiedzieć, gdzie ów tajemniczy Londyn leży, ale Otilie nie bardzo umiała mu to wyjaśnić i tylko paplała coś o mokrej wyspie na morzu.

Obiło mu się też o uszy, że być może wyjadą tam na zawsze, dlatego parę dni temu zapytał tatę, ile to jest „na zawsze”. Wtedy ojciec z lekkim uśmiechem wyjaśnił: „To na pewno co najmniej tyle, ile czasu upłynie, zanim urośnie ci broda”. W świecie Wolfganga, który miał niecałe pięć lat, to było faktycznie niewyobrażalnie dużo czasu. Tak jak niewyobrażalnie daleko był Londyn, który w jego pojęciu musiał leżeć niemal na końcu świata. Dla Wolfganga wszystkie te sprawy i pojęcia były jeszcze kompletną abstrakcją, co skądinąd cieszyło doktora, który miał nadzieję, że dzięki temu malec, choć zostanie nagle wyrwany z domu i straci ojczyznę, poniesie mniejsze szkody.

Elisabeth odczekała, aż synek zaśnie, po czym przeszła do pokoju muzycznego i usiadła przy fortepianie. Zagrała kilka taktów i westchnęła melancholijnie, ponieważ muzyka, która dotąd zawsze przynosiła jej ukojenie, tym razem nie spełniła swego zadania.

Nie znajdując uspokojenia, Elisabeth nerwowo krążyła po pokoju. Raz po raz wychodziła też do znajdującego się w przedpokoju telefonu, który zainstalowano im w 1929 roku, podnosiła słuchawkę i sprawdzała, czy wszystko działa. Z utęsknieniem wyczekiwała, kiedy wreszcie rozlegnie się upragniony dzwonek i usłyszy w słuchawce głos swego Gustava.

Jakąś godzinę temu powinien być już dotrzeć na dworzec w Zurychu, dumiała. Być może pociąg miał spóźnienie albo nie od razu podjechała taksówka? A może zatrzymano go w hotelowej recepcji, ho nie było wolnego pokoju, albo może telefon w hotelu był nieczynny albo akurat zajęty? Tysiące możliwych wyjaśnień przelatywało jej przez głowę, wyobrażała sobie najrozmaitsze przeszkody, jakie mogą stanąć człowiekowi na drodze, kiedy akurat musi wykonać pilny telefon.

O najgorszym, co mogło się wydarzyć, a mianowicie o tym, że jej Gustava aresztowano w pociągu z fałszywymi dokumentami, nie pomyślała. Zapewne dlatego, że nie chciała dopuścić do siebie tej myśli. A przecież taka groźba pobrzmiwała w jej głowie niczym ciche, ledwo słyszalne brzęczenie, w każdej chwili gotowe przybrać na sile i obudzić w niej przerażenie i strach.

Elisabeth nie spała całą noc, lecz telefon milczał jak zaklęty. Godzina za godziną tłumaczyła sobie uspokajająco, że z pewnością zrobiło się późno i Gustav nie chciał, by dzwonek telefonu obudził dzieci. Rozpaczliwie czepiała się myśli, że na pewno odezwie się zaraz z samego rana.

Wybiła siódma, potem ósma, wreszcie dziewiąta, a Gustav wciąż nie dzwonił. Czająca się w głowie Elisabeth złowroga melodia nabierała tempa – od *adagio* poprzez *moderato* do dziarskiego *prestissimo* – i tak samo biło jej serce, pośpiesznie i wypadając raz po raz z rytmu.

I wreszcie, krótko po dziewiątej, wreszcie odezwał się charakterystyczny dzwonek. Elisabeth jak nieprzytomna rzuciła się do aparatu i usłyszała, jak telefonistka anonsuje bezosobowym tonem:

– Połączenie ze Szwajcarii. Proszę czekać.

W słuchawce rozległy się szумы i trzaski, po czym dał się słyszeć głos biegnący z dalekiej Szwajcarii. Tyle że nie był to głos Gustava, lecz Otilie.

– Pani doktorowo, pani doktorowo, jest tam pani? – krzyczała służąca.

– Tak, Otilie, to ja. Ale mów, proszę, gdzie jest pan doktor. Nic mu nie jest?

– Bogu dzięki, że to pani! Ale pana doktora w ogóle nie ma! – Otilie starała się mówić literacką

niemczyzną, a nie swoim dialektem, tak jak przed wyjazdem napominał ją doktor.

– Jak to, nie ma? Więc gdzie się podziewa? – wykrzyknęła Elisabeth, która z taką siłą przyciskała słuchawkę do ucha, jakby chciała się do niej wślizgnąć. Lecz panika, która biła z tonu Otilie, już dawno wniknęła w jej mózg, zarażając straszliwym przeczuciem.

– No, kiedy ja właśnie nie wiem! Czekałam i czekałam, aż peron zrobił się pusty i wszystkie walizy zabrali, a pan doktor nie wysiadł. I co ja mam teraz zrobić? – szlochała Otilie, przytłoczona odległością od rodzinnego miasta i domu. Jak dotąd nigdy nie wypuszczała się dalej niż piętnaście kilometrów od centrum Monachium.

– Bardzo cię proszę, Otilie, uspokój się – powiedziała Elisabeth i w tym samym momencie poczuła na sobie zalężnione spojrzenia. Deborah, blada, z szeroko rozwartymi oczami, próbowała zachować fason, jednocześnie pocieszającym gestem trzymając za rączkę brata. Po prawej stronie Wolfganga zjawiała się niezawodna jak zawsze Magda.

Elisabeth spojrzała na każde z nich po kolei i uświadomiła sobie, że to właśnie jest jej rodzina, ci, których kocha i którzy w niej teraz pokładają swą ufność. To nagłe poczucie bliskości i wspólnoty dało jej siłę do działania. Nagle spłynął na nią wielki wewnętrzny spokój. Jeśli istotnie miałyby się wydarzyć najgorsze, to stanęło przed nią wielkie zadanie, w którego realizacji strach i wahanie z pewnością jej nie pomogą. Teraz liczył się rozsądek i energiczne działanie.

Na początek musiała wydobyć z Otilie wszelkie przydatne informacje i wydać jej dalsze polecenia.

– Posłuchaj uważnie, Otilie. Czy widziałaś, jak pan wsiada w Monachium do pociągu?

– Tak, łaskawa pani. Ale tylko z daleka, bo przecież polecenie było, żebyśmy ze sobą nie rozmawiali. Dopiero na dworcu w Zurychu.

To oznacza, układała sobie w myślach Elisabeth, że *Gustav musiał opuścić pociąg gdzieś między Monachium a Zurychem. Albo dobrowolnie, ponieważ uznał, że jest w niebezpieczeństwie, albo...* Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, ile razy pociąg zatrzymuje się na tej trasie. Zresztą na pewno zdarzały się też jakieś nieplanowane postoje.

– Czy pociąg zatrzymał się gdzieś, gdzie nie powinien się zatrzymać, Otilie? Czy było jakieś przeszukanie przez policję albo widziałaś może jakichś innych ludzi w mundurach?

– Nie. I w tym właśnie sęk. Nic takiego nie było, a pan doktor mimo to nie wysiadł na dworcu w Zurychu. Wciąż mam jego papiery. I co ja mam teraz zrobić? – służąca ponownie się rozszlochała.

– Nie ma powodu do płaczu, Otilie – powiedziała Elisabeth zdecydowanym tonem. – Posłuchaj, proszę, co ci powiem. Zrobisz tak: dzisiaj i jutro zostaniesz w Zurychu w swoim pensjonacie. Przestuduj rozkład jazdy i czekaj na peronie przy każdym pociągu, który przyjedzie z kierunku Monachium, żeby zobaczyć, czy przypadkiem pan z niego nie wysiadzie. Dwa dni, rozumiałaś? Może doktor gdzieś po drodze wysiadł i dojedzie późniejszym pociągiem, a wtedy będzie potrzebował swoich papierów. Postaraj się nie zwracać na siebie uwagi i zadzwoń do mnie dziś wieczorem o ósmej. Pan doktor i ja liczymy na ciebie, Otilie. Zostaniesz za to sownie wynagrodzona. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

– Panią też niech Bóg ma w opiece, łaskawa pani.

Coś trzasnęło w słuchawce i połączenie zostało przerwane.

Zaraz po tej rozmowie Elisabeth udała się do kancelarii Meyerlinck i Wspólnicy, aby zasięgnąć porady adwokata. Niestety, baron von Meyerlinck miał właśnie mnóstwo gości, chociaż z pewnością nie tak mile widzianych jak pani Elisabeth Malpran i bez wątpienia nie tak pięknych i kulturalnych.

W kancelarii panował niewyobrażalny rozgardiasz. Puste teczki i strzępy papierów poniewierały się na podłodze, meble były w większości poprzewracane, a szuflady wyciągnięte i wybebeszone. Tłum umundurowanych funkcjonariuszy wnosił właśnie skrzynie wyładowane dokumentami. Elegancko ubrana Elisabeth przyciągała ciekawskie spojrzenia.

Von Meyerlinck padł właśnie ofiarą iście apokaliptycznego najścia i sam po uszy tkwił w kłopotach, lecz mimo to znalazł czas, żeby przyjąć Elisabeth w swoim zdewastowanym gabinecie. Powiedział, że nie byłoby dobrze, żeby ktoś ją u niego widział, ponieważ jest podejrzany o, jak mu powiedziano, „niecne konszachty z żydowskimi świniami”.

Elisabeth wyczytała w zmęczonych oczach adwokata, że ten spodziewa się rychłego aresztowania, a kiedy baron oznajmił, że w obecnej sytuacji w żaden sposób nie jest w stanie jej pomóc, przeszła od roli szukającej pomocy do roli pocieszycielki i próbowała dodać nieszczęśnikowi otuchy.

Mecenas uśmiechnął się blado.

– Proszę się o mnie nie kłopotać, łaskawa pani – powiedział. – Mam tu po sąsiedzku kilku wysoko postawionych klientów i w razie czego dysponuję sporą wiedzą na temat ich kont w zagranicznych bankach.

Po tych słowach Elisabeth chciała się pożegnać, lecz baron zatrzymał ją jeszcze na moment. Drobną wahanie i ból w jego oczach zdradziły Elisabeth, że musi się przygotować na znacznie gorsze nowiny.

I, niestety, przecucie jej nie zawiodło, jako że Meyerlinck oświadczył:

– Jest mi ogromnie przykro, łaskawa pani, że muszę panią o tym poinformować, ale powinna pani wiedzieć, że wraz z innymi dokumentami ludzie ci zabrali również pełnomocnictwa pana doktora na sprzedaż nieruchomości. Nie wiem też, co się stanie z kontami moich klientów, ale mogę przypuszczać, że większość zostanie zamknięta. Chcę przez to powiedzieć, pani Malpran, że już wkrótce powinna się pani spodziewać stosownego zawiadomienia z urzędu. Rozumie pani? Jeśli mogę coś doradzić: proszę natychmiast zabrać dzieci i wyjechać z Niemiec. Najlepiej jeszcze dzisiaj, jeśli ma pani taką możliwość.

Były to rzeczywiście nowiny najgorsze z możliwych. I to właśnie teraz, w takich okolicznościach! Jednakże Elisabeth tak bardzo była przepełniona obawą o Gustava, że zupełnie zubożyła na własny los i nie była w stanie w pełni pojąć doniosłości tego, co właśnie usłyszała.

Przybita wróciła do domu, gdzie domownicy czekali na nią, przepełnieni nadzieją i mnóstwem pytań. Ona jednak potrzebowała chwili spokoju, żeby w ciszy przemyśleć następne kroki. Wiedziała, że musi podjąć kilka doniosłych decyzji, dlatego wysłała Magdę z dziećmi i Pszczołką na spacer i do lodziarni, a Berthę do kuchni; sama zaś pogrążona w myślach zaczęła się przechadzać po mieszkaniu, nieświadomie wybierając pomieszczenia, w których obecność jej małżonka była odczuwalna najmocniej. W gabinecie Gustava podeszła do pudełka cygar, uniosła wieczko i wciągnęła w nozdrza znajomy zapach. Uwielbiała go, jakkolwiek Gustav, któremu z rzadka zdarzało się wypalić cygaro w męskim towarzystwie, miał bardzo specyficzny stosunek do palenia jako takiego. W rzeczywistości był niezbyt przychylnie nastawiony do nurzania się w kłębach dymu, a raz nawet powiedział wprost, że to niezdrowe, no chyba że ktoś jest szynką.

Z gabinetu przeszła do pokoju muzycznego, gdzie przywołała w pamięci niezapomniane godziny, kiedy uczyła się arii, akompaniując sobie na fortepianie. Czasami Gustav zakradał się potajemnie, by razem z nią zatopić się w muzyce. Nawet jeśli go nie widziała, to zawsze czuła, kiedy tu wchodził. Podskórnie wyczuwała jego obecność. Porozumiewali się ze sobą bez słowa, dzielili ze sobą piękno muzyki, która wibrowała w ich sercach i która dla Elisabeth nadal unosiła się w tym pokoju. Miała nadzieję, że i dzisiaj odnajdzie echa tamtych chwil – albowiem wspomnienia nie umierają nigdy.

Następnym przystankiem była mężowska sypialnia. Jej wąskie nozdrza zadrżały, kiedy poczuła subtelny aromat wody kolońskiej i mydła do golenia. Nie przyszła tu jednak po to, by oddawać się biadaniu i kliwemu sentymentalizmowi, nie zamierzała wtulać twarzy w jego poduszkę. *Nie, czegoś takiego na pewno nie zrobię!*, pomyślała. *Przecież Gustav nie odszedł na zawsze. Wkrótce się wszystko wyjaśni.*

Elisabeth z błogim uśmiechem na ustach przypominała sobie pierwszy okres ich małżeństwa, kiedy to

nieprzyzwoicie często odwiedzała męża w sypialni, zbyt niecierpliwa, by czekać, aż on przyjdzie do niej. On zaś ujmował jej dłoń, całował koniuszki palców i ochryłym głosem szeptał:

– Czuję muzykę wibrującą pod twoją skórą, kochana.

A potem brał ją mocno w ramiona i wspólnie wlatywali na skrzydłach szczęścia, by zakosztować słodczy Elizjum.

Na koniec Elisabeth zaszła do pokoju córki, wyposażonego zgodnie z potrzebami dorastającej dziewczynki, a więc w łóżko z baldachimem i toaletkę.

Wciąż jeszcze wyczuwała w tym pokoju kojący zapach noworodka, widziała przed sobą małą kołyskę i z nostalgią wspominała, ileż to razy stali nad nią z Gustavem. Trzymali się przy tym za ręce, spoglądając na leżący przed nimi cud, z charakterystycznym dla wszystkich rodziców pełnym niedowierzania zdumieniem, że ta oto drobna istotka powstała z nich dwojga.

A właściwie *gdzież to podziela się ta kołyska?*, zastanowiła się i nagle pytanie to nabrało dla niej fundamentalnego znaczenia. Poczwała, że koniecznie musi się natychmiast dowiedzieć, co się z nią stało, zupełnie jakby z chwilą utraty tej kołyski na zawsze miała utracić również Gustava. Wybiegła z pokoju, już na korytarzu wołając do Berthy:

– Bertho, wiesz może, gdzie jest stara kołyska dzieci?

Bertha, człapiąc, stanęła w drzwiach kuchni. Jej zaczerwienione policzki stały się jeszcze czerwiejsze, jakby wskutek intensywnego myślenia napłynęła do nich cała krew, dłonie zaś mięły fartuch, zupełnie jakby to z niego miała wycisnąć odpowiedź. Nagle podniosła oczy i doznawszy olśnienia, obwieściła:

– Na strychu, łaskawa pani, na strychu! Hans wynosił tam wszystkie niepotrzebne rzeczy.

Wspólnie przyniosły drabinę, po czym Bertha ją przytrzymała, a pani doktorowa zwinnie wspięła się po szczebelkach na strych i stwierdziwszy mimochodem, że znamienna dla Ottilie mania robienia porządków nigdy tu nie dotarła, po krótkich poszukiwaniach wyciągnęła spod lnianej płachty ręcznie robioną kołyskę.

Panika opadła z niej na pokrytą kurzem podłogę strychu. Wreszcie mogła znów jasno myśleć. Pogłaskała kołyskę czułym gestem, a następnie z powrotem starannie ją przykryła. Potem zeszła na dół, odsunęła od siebie Berthę, która machając ścierką, próbowała „otrzepać panią doktorową z pajęczyn”, i wysłała ją z powrotem do kuchni.

Godzinę później Elisabeth wciąż jeszcze wahała się, co też powinna uczynić. Przez cały czas po głowie tłukło jej się ostatnie napomnienie Gustava: „Liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo dzieci!”.

Oczywiście, to prawda, ale czy to bezpieczne zabrać dzieci i wyjechać z nimi w nieznane, nie wiedząc, gdzie przebywa mąż? A co, jeśli w czasie podróży Gustav został aresztowany za posiadanie fałszywych dokumentów? W takim wypadku powinna zostać w kraju i zrobić wszystko, żeby go wydostać z więzienia. Będąc w Londynie, nie na wiele się Gustawowi przyda.

Dzięki Bogu – i temu, co osiągnęła na scenie – znała w Berlinie kilka osobistości. Raz jeszcze wszystko dokładnie rozważyła. Meyerlinck doradzał jej, żeby nie traciła czasu i jak najpilniej wyjechała z kraju. Przeciwno temu rozwiązaniu przemawiał fakt, że wszystkie dokumenty podróżne i bilety miała wystawione na 15 czerwca. Ich załatwienie zajęło mnóstwo czasu, niemożliwe zatem, by udało jej się od ręki zmienić datę. Poza tym, jak mogłaby w ogóle myśleć o wyjeździe? Teraz, kiedy Ottilie była w Zurychu, a los jej małżonka pozostawał nieznany? Wszystko się w niej buntowało przeciwko takiej myśli.

Nagle boleśnie zatęskniła za matką, która niestety w spokoju duszy odeszła z tego świata przed dwoma laty. Jakże pomocna byłaby teraz jej obecność i rada!

To straszne. Ona tu gubi się w rozważaniach, a czas ucieka jak uchodzący z balonu gaz. Ileż by dała za to, żeby jej wola była jak mocna stalowa lina, której mogłaby się przytrzymać. *Zaprawdę*, pomyślała,

czas to rzeczywiście najbardziej złośliwy wynalazek w całym boskim Wszechświecie – zawsze zachowuje się przeciwnie względem tego, czego pragnie człowiek. A już szczególnie powoli i nieśpiesznie płynie w okresach smutku.

Elisabeth rzuciła niespokojne spojrzenie na zegar stojący na gzymsie kominka. Kilka minut po pierwszej. Przeliczyła godziny i stwierdziła, że zostało jej nieco więcej niż dwie doby do chwili, kiedy ma wsiąść z dziećmi do pociągu jadącego do Calais *via* Stuttgart i Paryż. Z francuskiego Calais popłyną promem na drugą stronę Kanału, do Dover. Była to prawie ta sama droga, którą miał pokonać Gustav – tyle że w jego wypadku z dodatkowym przystankiem w Zurychu.

Elisabeth wstała. Nerwowe niezdecydowanie kazało jej podejść do komody, na której stało mnóstwo rodzinnych zdjęć oprawnych w srebrne ramki. Uwieczniono na nich szczęśliwe chwile i Elisabeth starała się zaczerpnąć z nich otuchę. Każdy widoczny na nich uśmiech napełniał jej serce odwagą i zdecydowaniem.

I wtedy przeszła ją nagła myśl. Już wiedziała, co robi! Przeprowadzi własne dochodzenie, by ustalić miejsce pobytu Gustava! Chwyciła fotografię męża i wyjęła ją z ramek. Następnie pojechała taksówką na dworzec, tam udała się do dyżurnego ruchu i zapytała o nazwisko konduktora, który poprzedniego dnia miał dyżur w odjeżdżającym w południe pociągu do Zurychu.

Miała szczęście, gdyż konduktor miał się pojawić o czternastej trzydzieści. Uznawszy to za dobry znak, Elisabeth spędziła krótki czas oczekiwania w pobliskiej kawiarni, stwierdzając przy tej okazji, że będzie musiała sobie sprawić nowe rękawiczki, ponieważ te, które miała na dłoniach, nie wytrzymały nerwowego skubania.

Punktualnie o czternastej trzydzieści ujrzała na peronie starszego wiekiem konduktora. Śmiało podeszła do mężczyzny, pokazała mu przywiezioną ze sobą fotografię i spytała, czy przypomina sobie tego pasażera pociągu do Zurychu.

Konduktorowi dobrze patrzyło z oczu i z całą pewnością był cudownym dziadkiem dla swoich wnuków. Gładząc wąsy, których nawoskowane spiczaste końce były niewątpliwie jego osobistym hołdem dla cesarza Wilhelma, kolejarz przez chwilę uważnie studiował fotografię przez monokl, po czym w końcu powiedział:

– Nie. Bardzo mi przykro, łaskawa pani.

Po tych słowach mężczyzna próbował się pośpiesznie oddalić, wszelako Elisabeth, spędziwszy tyle lat u boku Gustava, znała się już nieco na ludziach, a zwłaszcza na mowie oczu, z których potrafiła czytać jak z nut. Dlatego nie miała wątpliwości, że stary konduktor nie powiedział jej prawdy. I rozumiała dlaczego. Ze strachu! Tego samego strachu, który ogarnął już nazbyt wielu mieszkańców tego kraju, a który brał się z gróźb brutalnej i bezlitosnej władzy.

Ta konstatacja skłoniła Elisabeth do podjęcia kolejnej decyzji: musi udać się do Berlina, do stolicy. Nie ma sensu tracić czasu w Monachium, w mieście, gdzie prezydentem policji jest Heinrich Himmler.

Gustav, który znał swojego rówieśnika jeszcze z czasów nauki w królewsko-bawarskim gimnazjum imienia cesarza Wilhelma przy Thierschstrasse, najstarszej – bo założonej w 1559 roku przez jezuitów – i najbardziej renomowanej szkole w Monachium, po mianowaniu Heinricha Himmlera miejscowym prezydentem policji, powiedział do Elisabeth:

– W taki właśnie sposób z małych potworów wyrastają wielkie bestie. Biedna nasza ojczyzna. Biedne Monachium.

Żeby zrealizować swój plan, to jest udać się do Berlina i wrócić przed wyznaczonym terminem wyjazdu do Londynu, Elisabeth musiała skorzystać z nowego środka lokomocji, jakim był aeroplan. Miał to być jej pierwszy lot w życiu. Podróż tam i z powrotem pociągami zajęłaby zbyt wiele czasu. Dlatego, chociaż

trochę bała się lotu, nie wahała się ani przez chwilę.

Podjąwszy decyzję, pośpieszyła do domu. Ponieważ Magda zdążyła już wrócić z dziećmi ze spaceru, Elisabeth wtajemniczyła dorosłych domowników w swoje zamiary i wydała odpowiednie instrukcje, wrzucając jednocześnie do dużej torby kilka rzeczy – tyle, ile potrzeba na jeden wieczór i jedną noc, które zamierzała spędzić w stolicy Rzeszy.

Berlin, stolica Rzeszy

Wczesnym wieczorem niewielka maszyna Lufthansy wylądowała na berlińskim lotnisku Tempelhof. Elisabeth wysiadła z niej w fatalnym nastroju. W czasie lotu wytrzęsło ją, przemarzła do szpiku kości i w dodatku była na wpół odurzona oparami benzyny. Mimo to, dotarwszy do hotelu Adlon przy Bramie Brandenburskiej, natychmiast wykonała kilka telefonów.

Na początek zadzwoniła do dyrektora Filharmoników Berlińskich i wiceprezydenta Izby Muzycznej Rzeszy Wilhelma Furtwänglera, lecz ten był akurat w podróży. Sekretarz poprosił „łaskawą panią”, aby zechciała poczekać do następnego ranka, kiedy to pan Furtwängler będzie już z pewnością uchwytany.

Elisabeth nie chciała jednak czekać. Dlatego nie wahając się długo, uznała, że jeśli spadać, to z wysokiego konia, i zaczęła od samej góry. Wybrała numer biura feldmarszałka Göringa – twórcy Tajnej Policji Państwowej, pełnomocnika do spraw czteroletniego planu uzbrojenia Wehrmachtu (co w zasadzie było tajemnicą poliszynela) i drugiego człowieka w Rzeszy.

Oprócz Göringa do grona admiratorów Elisabeth zaliczał się również minister propagandy Joseph Goebbels, lecz między nimi wybór był jak między cholera a dżumą. Obydwaj panowie wielokrotnie przysyłali jej bukiety kwiatów do garderoby, za każdym razem starannie zaopatrzone w imponujące karty wizytowe, których diwa szczęśliwie nie wyrzuciła do kosza, zupełnie jakby spodziewała się, że nadejdzie w jej życiu taki dzień, kiedy okażą się szalenie przydatne.

W biurze Göringa Elisabeth usłyszała co prawda, że marszałek jest nieobecny, lecz pozwolono jej porozmawiać z jego adiutantem, Karlem-Heinrichem Bodenschatzem, który poinformował słynną śpiewaczkę, że „pan feldmarszałek jest jeszcze w Berlinie, przypuszczalnie u samego Führera”, a on chętnie przekaze wiadomość od „łaskawej pani” i „pan feldmarszałek z pewnością do niej zatelefonuje, gdy tylko będzie miał po temu sposobność”.

I oto w Berlinie zdarzył się cud: niecałe pół godziny później w apartamencie Elisabeth zadzwonił telefon, a w słuchawce rozległ się głos samego feldmarszałka.

Göring był bardzo ciekaw, jakież to interes może do niego sprowadzać słynną artystkę – zwłaszcza że jego zajadły rywal Goebbels jak dotąd bezskutecznie starał się o względy pięknej śpiewaczki. Usłyszawszy o zainteresowaniu ministra propagandy osobą Elisabeth Malpran, Göring kilkakrotnie kazał posłać kwiaty do jej garderoby, żeby tylko rozdrażnić małego kuternogę. Toteż kiedy adiutant poinformował go, że pani Malpran prosi o rozmowę w pilnej sprawie, bez namysłu sięgnął po aparat telefoniczny. A ponieważ i tak miał się tego dnia spotkać w Adlonie z rumuńską delegacją w sprawie nowych dostaw surowców dla Rzeszy, postanowił połączyć przyjemne z pożytecznym i zaproponował Elisabeth spotkanie na małej kolacyjce w wytwornej restauracji hotelu: „Powiedzmy o dwudziestej trzydziści”.

Elisabeth z galanterią przyjęła zaproszenie, po czym poświęciła czas na staranne przygotowanie się do spotkania. Skoro już musiała żebrać u nazistów, to przynajmniej chciała wyglądać tak olśniewająco jak nigdy dotąd.

Feldmarszałek przybył w galowym mundurze, jak zwykle punktualny i jak zwykle w otoczeniu całego

orszaku, który jednak zostawił w hotelowym foyer.

W trakcie spotkania Elisabeth spostrzegła, że w ostatnim czasie Göring wyraźnie przybrał na wadze, przy czym – jak zauważyła – z pewnością nie wynikało to li tylko z chorobliwej skłonności do tycia, jako że stolik zastawiony zamówionymi na „małą kolacyjkę” smakołykami groził wręcz załamaniem. Nadto dostrzegła też, że marszałek prezentuje się szalenie niezdrowo: był blady i gąbczasty, niemalże napuchnięty, i z pewnością wyglądał na dużo więcej niż czterdzieści pięć lat. Obserwując swego rozmówcę, Elisabeth przypomniała też sobie, jak kiedyś Gustav opowiadał jej, że Göring jest jednym z pierwszych zwolenników i towarzyszy Hitlera, gdyż maszerował u jego boku już w czasie nieudanego puczu w 1923 roku; otrzymał wtedy groźny postrzał w pachwinę i od tamtego czasu był uzależniony od morfiny (tak się złożyło, że przyjaciel Gustava, Robert Ballin, użytył wtedy przyszłemu marszałkowi schronienia w swej posiadłości przy Residenzstrasse).

Kiedy Elisabeth, cierpliwie wysłuchawszy szczodrej porcji komplementów skierowanych przez marszałka pod adresem „cudownej, niepowtarzalnej artystki” oraz rozwlekłych monologów na temat niepowtarzalnych przymiotów Führera i dobrodziejstw, jakie narodowy socjalizm przyniósł narodowi niemieckiemu, mogła wreszcie przejść do przedstawienia swojej sprawy, z niejakim zdumieniem i głębokim rozczarowaniem stwierdziła, że Göring jest szczerze zaskoczony jej opowieścią. W okolicy deseru nadzieja Elisabeth umarła.

Göring nie miał pojęcia o zniknięciu Gustava, do czego zresztą całkiem otwarcie się przyznał. Zamiast jednak drążyć ten temat, próbował zwrócić uwagę pięknej śpiewaczki na inną kwestię: spytał mianowicie, czy Elisabeth jest absolutnie pewna, że jej żydowski małżonek nie zostawił jej i dzieci na łasce losu, a następnie zaczął wywodzić, iż doszły już do jego uszu sygnały o podobnych pożałowania godnych wydarzeniach, kiedy to „taki jeden z drugim tchórzliwy łobuz zniknął jak kamfora”.

Słyszając te obraźliwe słowa, Elisabeth z trudem utrzymała swój temperament na wodzy. Najchętniej chwyciłaby wysadzaną ostrymi sztucznymi diamentami wieczorową torebkę i trzasnęła tłustego rozmówcę w jego nalaną twarz. Göring z kolei, wciąż monologując, przelatywał w myślach wszelkie możliwe scenariusze. Jeśli ten żydowski lekarz istotnie zniknął, to kto z jego ludzi mógł maczać w tym palce? A może to Goebbels? Szefa gestapo doszły już słuchy, że Cap z Babelsbergu, jak nazywano ministra propagandy za jego plecami, planuje nakręcenie filmu operowego i Elisabeth Malpran jest jego faworytką do głównej roli. Od czasu Lidy Baarowej, filigranowej czeskiej przyjaciółeczki ministra, wszyscy wiedzieli, że ten uwielbia egzotyczne piękności, a drobna austriacka śpiewaczka doskonale się wpisywała w ten wzorzec. Czyżby więc to istotnie Goebbels pozwolił sobie na ów figiel z mężem śpiewaczki, żeby zapewnić sobie jej udział w filmie? Jeśli tak, to Göring z rozkoszą wszedłby mu w paradę. *Ciekawe, dumął, czy dałoby się sprzątnąć piękną sopranistkę ministrowi sprzed nosa?*

Marszałkowi nie tyle zresztą chodziło o jakiś płomienny romans, ile raczej o zaproszenie artystki na prywatny koncert w jego rodzinnej rezydencji zwanej Carinhall. Ma się rozumieć w obecności Führera.

Oczywiście stary lis zauważył rozczarowanie Elisabeth. Miał w nosie jej żydowskiego małżonka, za to doskonale wiedział, jak wybrnąć z tej sytuacji. Dlatego udał wielkie zafrasowanie i energicznie obiecał, że nazajutrz z samego rana poleci wszcząć poszukiwania jej zaginionego małżonka. Gdyby zatem „łaskawa pani” zechciała pojawić się u niego w Kancelarii Rzeszy około południa, z pewnością będzie już miał dla niej jakieś wieści.

– Zapewniam panią – oświadczył solennie – że u nas panuje idealny porządek. Nie ma możliwości, żeby ktoś tak po prostu zaginął i nie został po nim nawet ślad!

Następnie feldmarszałek spytał, kiedy to Elisabeth widziała swojego małżonka po raz ostatni, ta zaś, pomna, że najlepszą obroną jest atak, wyjaśniła od razu, w jaki sposób jej mąż znalazł się w pociągu do Zurychu.

– Wielce szanowany przeze mnie Franciszek Lehár, długoletni pacjent mojego męża, zwrócił się do niego z prośbą o konsultację medyczną.

Kłamstwo gładko przeszło jej przez usta, lecz od razu wyczuła, że choć Göring nie dał po sobie niczego poznać, nie uwierzył w ani jedno jej słowo.

Elisabeth, od pierwszej chwili dokładnie obserwująca swego rozmówcę, już dawno się domyśliła, że Göring zgodził się zająć tą sprawą bynajmniej nie z czystej sympatii. Bardziej zależało mu na tym, by się dowiedzieć, któryż to z jego partyjnych towarzyszy stoi za zniknięciem Gustava. Z drugiej strony Elisabeth było w zasadzie obojętne, jaki jest prawdziwy cel Göringa. Liczyło się tylko to, by ten dowiedział się czegoś o miejscu pobytu Gustava.

Jak przystało na prawdziwą damę, diwa pożegnała się, dziękując jak najserdeczniej „panu feldmarszałkowi”, że zgodził się zająć sprawą, chociaż „z pewnością ma mnóstwo spraw i jest zavalony papierami i prośbami, a mimo to...”.

Na koniec podała Göringowi obleczone w białe rękawiczki koniuszki palców, pozostawiając je w dłoniach marszałka nieco dłużej, niż wypadało, po czym okazała wielkie znużenie podróżą, dając do zrozumienia, jak długi i pełen trudów był dla niej kończący się dzień.

Göring rozumiał aluzję i właśnie zamierzał życzyć Elisabeth dobrej nocy, gdy jakiś głos z silnym amerykańskim akcentem zawołał: „Uśmiech, proszę!”, po czym nastąpił jaskrawy błysk i rozniosła się gryząca woń magnezji.

Mimo obfitych kształtów Göring zareagował ze zdumiewającą szybkością. Zerwał się na równe nogi, a z jego twarzy zniknął dobrotliwy wyraz. Równocześnie eskorta marszałka, która na czas rozmowy dyskretnie się wycofała, wpadła do sali i z miejsca odebrała mężczyźnie nie tylko aparat, ale i wolność.

Nieostrożny fotograf został tak sprawnie uchwycony przez silne ramiona i wyniesiony z dyndającymi nad ziemią nogami, że Elisabeth zdążyła tylko usłyszeć, jak krzyczy z oddali:

– Jestem amerykańskim obywatelem!

W tej samej chwili do stolika podszedł zaaferowany kierownik sali i wielokrotnie, z zadziwiającą gibkością uklonił się Göringowi, nosem dotykając niemalże dywanu, po czym zaczął wyrzekać na dziennikarskie hieny, które „człowiek wyrzuca drzwiami, a one wracają przez okno”.

Göring nie zwracał jednak uwagi na tłumaczenia mężczyzny, tylko ponownie ujął dłoń Elisabeth, ucałował ją z galanterią i przeprosił za nieprzyjemny incydent. Potem pożegnał się, zapewniając raz jeszcze, że „będzie szalenie rad przyjąć łaskawą panią” w swoim biurze nazajutrz w południe i ma nadzieję „przekazać jej wówczas jakąś pocieszającą wiadomość”.

Göring uznał to za genialne wręcz posunięcie, albowiem wzywając panią Malpran do siebie do biura, jeszcze bardziej spychał ją do roli petentki.

Tymczasem Elisabeth z jednej strony już teraz była przerażona wizją kolejnego spotkania z feldmarszałkiem, z drugiej zaś nie mogła się go doczekać, ponieważ wszechwładny Göring był najpewniej jej jedyną realną nadzieją na uzyskanie informacji o miejscu pobytu Gustava.

Elisabeth wcale nie musiała udawać, że źle się czuje. Piekielnie bolała ją głowa, a jej czoło było wręcz rozpalone. Miała cichą nadzieję, że jednak nie przeziębila się w przeciągach panujących w samolocie – byłoby to ostatnie, czego teraz potrzebowała.

Po powrocie do hotelowego apartamentu natychmiast zaczęła napuszczać sobie gorącej wody do wanny i, mimo późnej pory, poprosiła recepcję o połączenie ze swoim mieszkaniem przy Prinzregentenplatz. Liczyła, że może Otilie zadzwoniła tymczasem z Zurychu z dobrymi wieściami, choć w głębi duszy wiedziała, że nic takiego nie nastąpiło, bo inaczej roztropna Magda dawno już by się z nią skontaktowała; w tym celu przed wyjazdem zostawiła jej numer telefonu hotelu Adlon.

Magda w swej krótkiej relacji poinformowała panią, że dzień Otilie przebiegł równie bezowocnie jak poprzedni i że następnego ranka znów będzie się na peronie rozglądać za panem doktorem, wieczorem zaś, zgodnie z poleceniem, wróci ostatnim pociągiem do Monachium.

Informację o tym, że Otilie wpadła w czasie rozmowy w prawdziwą histerię – „pierwszy raz sama na obczyźnie, pan doktor zniknął, a w dodatku leje jak z cebra!” – Magda przezornie zachowała dla siebie. Elisabeth, która знаła oczywiście skłonność Otilie do dramatyzowania, po raz kolejny doceniła wycucie i takt młodej guwernantki.

Po kąpieli Elisabeth kazała sobie jeszcze przynieść gorącego mleka z miodem. Jej apartament był jednym z najlepszych w całym hotelu, z widokiem na pięknie oświetloną i obwieszoną czerwonymi flagami Bramę Brandenburską. Nawet teraz, późnym wieczorem, na placu panował ożywiony ruch. Elisabeth chciała koniecznie dostać zwykły pokój, ale dyrekcja uparła się przy apartamencie. Rozpromieniony dyrektor hotelu nie omieszkął też osobiście zaprowadzić jej do numeru, przy okazji ciągnąc za sobą cały orszak obsługi. Elisabeth przez moment tylko pomyślała o związanych z tym korowodem dodatkowych kosztach.

Czuła się śmiertelnie wręcz wyczerpana. Mimo to – a może właśnie z tego powodu – bardzo długo nie mogła zasnąć. Godzina za godziną przewracała się z boku na bok, zupełnie jakby ją ułożono na madejowym łożu zgryzot i trosk.

Dopiero nad ranem zapadła w niespokojny sen, z którego obudziła się ledwie po dwóch godzinach. Była złana potem, czuła silne bóle gardła i kończyn. *No, pięknie, Elisabeth! Tego ci akurat teraz najbardziej potrzeba*, jęknęła w duchu. *Grypa!*

Niewiele myśląc, postanowiła pójść za radą Gustava, który zawsze w takich razach powtarzał, że energiczny spacer na świeżym powietrzu oraz kilka intensywnych wdechów i wydechów potrafią zdziałać prawdziwe cuda. *A potem dzbanuszek herbaty z dodatkiem rumu*, dodała. Lecz tym razem cudu nie było. Za to dodatkowo zaczęły jej łzawić oczy i lało się z nosa. Usłużna recepcjonistka sprowadziła z pobliskiej apteki sprawdzony lek przeciwgrypowy, który jednak niestety również okazał się mało skuteczny. Elisabeth czuła się coraz gorzej, a spotkanie z Göringiem w Kancelarii Rzeszy było coraz bliżej.

Ponadto wisiała nad nią konieczność zdecydowania, czy następnego ranka mimo wszystko wyruszyć z dziećmi w podróż do Londynu.

Zastanawiała się, jakie jeszcze kroki mogłaby podjąć, gdyby feldmarszałkowi nie udało się uzyskać żadnych informacji na temat miejsca pobytu Gustava. Do kogo jeszcze mogłaby się zwrócić? Gdzie szukać? „Och, Gustavie, gdzie jesteś?”, wyrwało jej się po raz nie wiadomo który błagalne westchnienie.

Od natłoku dręczących pytań i wątpliwości pękała jej głowa. Tęsknie patrzyła na łóżko i czuła przemożną chęć schowania się pod kołdrą i niewychodzenia spod niej aż do końca świata. Odwróciła się z ciężkim sercem. Rzut oka na zegarek uświadomił jej, że już czas przebrać się na drugie spotkanie z Göringiem. Musi koniecznie wziąć się w garść.

Otworzyła torbę podróżną. Pierwszy raz w życiu cieszyła się, że notorycznie pakuje za dużo rzeczy. Wybrała małą czarną ze zwiewną koronkową narzutką, umalowała się starannie i kunsztownie ułożyła błyszczące loki. Ręce tak bardzo jej dygotały, że przez dobrą chwilę walczyła z zapięciem naszyjnika z potrójnego sznura pereł, który dostała w prezencie od Gustava z okazji narodzin ich córki. Na koniec włożyła buciki według projektu Coco Chanel i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Idealnie. Głęboka czerń doskonale podkreślała jej smukłą sylwetkę, a perły konkurowały blaskiem z porcelanową cerą.

Aby oszczędzić siły i nie nadwerężyć płuc, Elisabeth postanowiła, że niewielką odległość dzielącą ją od Kancelarii Rzeszy przy Wilhelmstrasse pokona dorożką.

Pałac Barlowa, siedziba główna monachijskiej NSDAP, był niewątpliwie efektywnym budynkiem, lecz w porównaniu z pompatyczną bryłą Kancelarii Rzeszy prezentował się jak ubogi krewny.

Siedziba ministerstw Rzeszy była monumentalną budowlą: czterysta metrów długości i dwadzieścia metrów wysokości, do tego szerokie schody wejściowe oflankowane czterema potężnymi kolumnami niczym w jakiejś świątyni. Elisabeth o mało nie zakręciło się w głowie, kiedy spojrzała w górę, ku umieszczonej na szczycie budynku sylwecie orła i rzędowi łopoczących na wietrze krwistoczerwonych flag. Kiedy tak szła między masztami, po ciele przebiegł jej dreszcz.

Wspinając się powoli po szerokich schodach, mimowolnie pomyślała o przepychu mediolańskiej katedry i majestacie Bazyliki Świętego Piotra w Rzymie. Jako artystka wiedziała, że inscenizacja jest rzeczą szalenie istotną, a to, co rozpościerało się teraz przed jej oczami, było kwintesencją teatru.

W środku bynajmniej nie poczuła się lepiej, gdyż wszystkiego było tutaj za dużo i w dodatku w złym smaku. W budynku brzęczało jak w ulu. Wyłożony kamiennymi posadzkami hol wypełniało stukanie obcasów wypolerowanych na błysk oficerów, w pośpiechu niosących swych właścicieli ku ważnym sprawom.

Punktualnie o umówionej godzinie Elisabeth poprosiła, by ją zaanonsować, lecz pan feldmarszałek okazał się nieobecny. Przez jednego z adiutantów przekazał wiadomość, że został wezwany w pilnych sprawach do Führera, ale postara się wrócić jak najszybciej, „toteż uprasza łaskawą panią, aby zechciała poczekać”.

W związku z powyższym Elisabeth miała okazję przez bitą godzinę studiować życie wewnętrzne Kancelarii Rzeszy. Czowała, jak gorączka narasta i wzmacnia się pulsowanie w skroniach. Z minuty na minutę choroba przybierała na sile. Do tego była nieomal pewna, że Göring umyślnie kazał jej czekać.

W końcu adiutant Bodenschatz zajął do niej na moment i ogólnie przyjętym gestem dał znać, że jeszcze tylko pięć minut. Gest ten miał w sobie coś nierzeczywistego i wywołał u Elisabeth *déjà vu*: ujrzała siebie siedzącą przed lustrem w teatralnej garderobie i z rozgorączkowaniem oczekującą wyjścia na scenę.

Rozgorączkowanie było w tym wszystkim jak najbardziej prawdziwe, gdyż czowała, jak coraz gwałtowniej wstrząsają ją dreszcze. Dlatego poprosiła adiutanta o szklankę wody i aspirynę.

Bodenschatz zmarszczył czoło. Najwyraźniej zdążył się już zorientować, że słynna śpiewaczka nie najlepiej się czuje, i szybkim krokiem oddalił się w niewiadomym kierunku. Wkrótce potem zjawiała się młoda sekretarka, która na srebrnej tacy przyniosła Elisabeth to, o co prosiła.

– Czy mogę coś jeszcze dla pani zrobić? – zapytała z troską.

Elisabeth zapragnęła się odświeżyć, a sekretarka ochoczo zaofiarowała się, że wskaże drogę „łaskawej pani”.

Podczas wędrówki długim przeszklonym korytarzem Elisabeth przeżyła brzemiennie w skutkach spotkanie: mrużąc zażawione oczy, ujrzała krocącego ku niej mężczyznę, który wzrostem i postawą do tego stopnia przypominał jej męża, że przez moment uległa gorączkowej halucynacji, iż to Gustav wychodzi naprzeciw niej z kręgu światła.

Zatrzymała się gwałtownie. Serce jej waliło, a ona, rozdarta między nadzieją a lękiem, w milczącym uniesieniu patrzyła na zbliżającą się postać.

Człowiek ten jednak nie był Gustavem. Wprawdzie istotnie przypominał go nieco, ale z bliska podobieństwo nie było już tak wyraźne. Szczególnie oczy różniły się od oczu jej małżonka, które emanowały dobrem i głębią, podczas gdy w oczach nieznanego niewiele było obietnic i życia, za to mnóstwo nieokiełznanych ambicji i pragnień. Ponadto mężczyzna ów nosił szyty na miarę z najlepszego sukna mundur SS.

Ponieważ Elisabeth zatrzymała się na środku korytarza, również esesman musiał przystanąć. Przez jego

oblicze przemknął osobliwy grymas, którego sensu Elisabeth, trawiona coraz silniejszą gorączką, nie potrafiła uchwycić.

Mężczyzna skłonił się elegancko, przedstawił jako Albrecht Brunnmann i spytał, czym może służyć.

Elisabeth zmieszana pokręciła przecząco głową, cofnęła rękę, o której nawet nie wiedziała, że mu ją była podała, i powoli przeszła obok nieznanego. A ponieważ nie był Gustavem, od razu o nim zapomniała.

Sekretarka, która towarzyszyła jej w drodze do toalety, natychmiast się ożywiła:

– Pan Obersturmbannführer Albrecht Brunnmann to tutaj wschodząca gwiazda. Ma doskonałe notowania u Führera! Wszystkie panie u nas szaleją na jego punkcie.

Elisabeth, nie słuchając paplaniny młodej kobiety, zakasała lekko rękawy, żeby polać sobie nadgarstki zimną wodą, następnie zamoczyła w wodzie chusteczkę i kilkakrotnie ochłodziła rozpaloną twarz. Głos sekretarki szemrał gdzieś w tle, tak że treść wypowiedzianych przez nią zdań kompletnie nie docierała do Elisabeth. Na szczęście zimna woda i aspiryna zaczęły działać i Elisabeth poczuła się na siłach, by przetrwać jakoś spotkanie z feldmarszałkiem.

Tym razem Hermann Göring był już obecny w biurze. Miał na sobie jeden z tych swoich białych, przeładowanych ozdobami mundurów, dzięki którym zyskał sobie wśród szarych obywateli przydomek „bażant złocisty”.

Marszałek pośpieszył naprzeciw Elisabeth z otwartymi ramionami i wyrazem ubolewania na twarzy, przepaszając, że zmuszony był kazać czekać „tak wielkiej artystce”. Następnie, lekko zniżając głos, jako że najwyraźniej mówienie o Führerze wymagało specjalnego tonu, rzekł konfidencjonalnie:

– Pani rozumie, Führer, sprawa szczególnej wagi.

To powiedziawszy, mrugnął porozumiewawczo, przywodząc Elisabeth na myśl tłustą sowę.

Po chwili śpiewaczka poczuła nieprzepartą pokusę odesłania tej sowy na najwyższą gałąź najwyższego drzewa, gdyż Göring oświadczył, że nie ma żadnych nowych wieści na temat jej zaginionego małżonka. Co więcej, niestety dopiero niedawno miał możliwość zająć się tą sprawą, aczkolwiek adiutant Bodenschatz otrzymał już oczywiście niezbędne instrukcje. Potem, raz jeszcze wyraziwszy ubolewanie, że nie ma w tym momencie żadnych przyjemniejszych wieści, gospodarz zaprosił „łaskawą panią” do stołu.

Elisabeth była jednak tak zamroczona, że w żaden sposób nie potrafiła sobie potem przypomnieć ani posiłku z grubym feldmarszałkiem, ani tego, w jaki sposób znalazła się w swoim łóżku w hotelu.

Kiedy się ocknęła, zobaczyła przystojnego esesmana siedzącego na krześle przy jej łóżku.

Na ten widok Elisabeth, która miała ogromną lukę w pamięci, sięgającą aż do pierwszej kolacji z Göringiem, przypomniał sobie, co zamyślała wtedy uczynić ze swoją wieczorową torebką, i połączywszy to ze swoim temperamentem, uznała, że z pewnością została aresztowana.

Mężczyzna w mundurze okazał się jednak zatroskanym o jej stan zdrowia lekarzem, który „czuwał nad snem łaskawej pani”, a teraz wyglądał na wielce ucieszonego, że „łaskawa pani odzyskała świadomość”. Elisabeth rzeczywiście czuła się znacznie lepiej. Pulsujący ból głowy ustąpił tępemu szumowi, za to ołowiana ciężkość kończyn jakby się jeszcze wzmogła.

– Co... co się stało? – spytała niepewnie, siadając na łóżku.

– Łaskawa pani napędziła panu feldmarszałkowi niezłego strachu – powiedział lekarz.

– Jak to, co...? – wyjąkała Elisabeth, nic z tego nie rozumiejąc.

– Łaskawa pani straciła przytomność w gabinecie pana marszałka i osunęła się z krzesła – powiedział lekarz z pełną powagą i wielkim szacunkiem, ale Elisabeth od razu wyczuła, że cała ta sytuacja była w

jego oczach szalenie zabawna. Na pewno wiele by dał, by być przy tym, jak sławna śpiewaczka spada z krzesła w obecności Göringa.

W każdym razie feldmarszałek wezwał pomoc, pan Albrecht Brunnmann był akurat na miejscu i od razu sprowadził jego – „pani pozwoli, kapitan Ansgar Strelitz”. Następnie panowie wspólnie odwieźli „łaskawą panią” z powrotem do hotelu, jako że w krótkim przeblýsku świadomości kategorycznie odmówiła udania się do szpitala.

Nagle Elisabeth zorientowała się, że w pokoju pali się światło, i w jednej chwili ogarnęło ją przerażenie:

– Boże jedyny, na dworze jest już ciemno. Którą to mamy godzinę?

– Prawie północ, łaskawa pani. Przespała pani niemal dziesięć godzin. – Strelitz sprawiał wrażenie, jakby była to jego osobista zasługa.

Elisabeth chciała natychmiast wstać z łóżka, lecz lekarz powstrzymał ją:

– Ależ, łaskawa pani, bardzo proszę! Dokąd pani chce iść? Przez jakiś czas trzeba się będzie oszczędzać. Podałem pani w południe bardzo silny lek na obniżenie gorączki. Termometr wskazywał ponad czterdzieści stopni. Najlepiej byłoby, gdyby postarała się pani przespać do rana. Zajrzę tu zaraz o ósmej, by zobaczyć, jak pani się czuje.

– Pan nie rozumie. W domu czekają na mnie dzieci. Obiecałam, że wrócę dzisiaj wieczorem. Na pewno szaleją z niepokoju. Muszę natychmiast zatelefonować.

Elisabeth ponownie próbowała wstać z łóżka. Lekarzowi w ostatniej chwili udało się ją podtrzymać, kiedy ugięły się pod nią nogi.

– Co też pani robi, droga pani Malpran, bardzo proszę zostać w łóżku! Jest pani jeszcze zbyt osłabiona. Poza tym zapewniam, że pan Brunnmann osobiście się już wszystkim zajął. Udało mu się zadzwonić do guwernantki pani dzieci i prosił, abym pani przekazał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Rodzina życzy pani szybkiego powrotu do zdrowia. Sama pani widzi, że nie ma powodu do zmartwień. A teraz bardzo proszę spróbować zasnąć. Dzięki temu szybciej wróci pani do pełni sił.

Lekarz sięgnął po stojącą na nocnym stoliku napełnioną do połowy mętnym płynem szklanekę i pomógł wyczerpanej Elisabeth wypić jej zawartość. Najwyraźniej musiał się w niej znajdować jakiś silny środek usypiający, ponieważ Elisabeth natychmiast osunęła się z powrotem w objęcia Morfeusza.

Kiedy następnego dnia obudziła się około godziny ósmej rano, w ogóle nie zwracała uwagi na to, jak się czuje. Pierwsza jej myśl dotyczyła pozostawionych w domu dzieci, druga zaś tego, że jest 15 czerwca, dzień planowanego wyjazdu do Londynu.

Nie mogła dłużej odwlekać decyzji. Jak wiele innych ważnych rozstrzygnięć, które początkowo odsuwała od siebie w nieskończoność, tak i to zapadło w ułamku sekundy: zostaje w Berlinie, gotowa poruszyć niebo i ziemię, byle tylko odnaleźć Gustava. Przez moment w jej głowie mignęła myśl, że bardzo przydałby się jej teraz Bubi Putzinger, niegdysiejszy rzecznik prasowy Hitlera. Ten jednak dawno już się sparzył na swoich kontaktach z narodowymi socjalistami i po opuszczeniu Szwajcarii siedział obecnie w Londynie.

Na pewien pomysł naprowadził ją za to incydent z fotografem, do którego doszło podczas kolacji z Göringiem. Przecież zawsze utrzymywała doskonałe relacje z zagraniczną prasą! Z pewnością dałoby się to jakoś wykorzystać.

Druga, dużo bardziej doniosła decyzja dotyczyła dzieci. Elisabeth postanowiła, że jeszcze tego samego dnia wyśle je z Magdą do Londynu. Kiedy dotrą w bezpieczne miejsce, ona sama będzie mogła już zupełnie inaczej myśleć i działać.

Podjąwszy te dwie fundamentalne decyzje, Elisabeth natychmiast przystąpiła do ich realizacji.

Najpierw zadzwoniła do Magdy, która przyjęła wiadomość ze spokojem i opanowaniem oraz poinformowała panią, że Otilie wróciła poprzedniego wieczora do Monachium w ponurym nastroju i niczego nie załatwiwszy, toteż Magda zaordynowała jej cały dzień leżenia w łóżku i do tej chwili nie widziała jej ani nie słyszała.

Wymieniwszy najważniejsze informacje, Elisabeth i guwernantka długo jeszcze rozmawiały jak przyjaciółki. Po tej rozmowie Elisabeth była już całkowicie przekonana, że podjęła słuszną decyzję i że bez obaw może powierzyć Magdzie swoje pociechy.

Następnie poprosiła do aparatu córkę. Zapewniła ją, że wszystko jest w najlepszym porządku, także jeśli idzie o jej zdrowie („to było tylko takie małe przeziębienie”), i że udało jej się uzyskać pewne ważne wiadomości na temat tego, gdzie jest tatuś, dlatego musi jeszcze zostać na kilka dni w stolicy. Poinformowała też córkę, że Magda zajmie się teraz organizacją ich podróży do Londynu, i oświadczyła, że bardzo liczy na to, iż Deborah jest już dość duża, by jej w tym pomóc. Na zakończenie obiecała, że za kilka dni mama i tata do nich dołączą.

– Całuję cię mocno, moja duża córeczko, bądźcie oboje grzeczni i słuchajcie się Magdy. Jak tylko zameldujecie się w hotelu Mayfair, zaraz zadzwonie do mnie do Adlonu. I uściskaj ode mnie Wolfganga. Powiedz mu, że mamusia przesyła dla niego mnóstwo całusów!

Załatwiwszy najważniejsze sprawy, Elisabeth zorientowała się, jak bardzo jest jeszcze osłabiona. Wzięła zatem krótką gorącą kąpiel zakończoną zimnym prysznicem i poświęciła się dalszej toalecie. Impet, jakiego nabrała, wcielając swoje decyzje w życie, zaczął powoli opadać, wrócił za to pulsujący ból głowy. Wzięła więc kolejną aspirynę i czekała właśnie, aż lek zacznie działać, kiedy zadzwonił telefon i jakiś energiczny pan z recepcji zapowiedział, że „SS-Hauptsturmführer doktor Strelitz jest właśnie w drodze do pokoju łaskawej pani”. Komunikat zakończył się gromkim „Heil Hitler!”.

Doktor, który po chwili zjawiał się w jej apartamencie, okazał wielką radość, widząc swoją pacjentkę w tak dobrym stanie, i wyczarował zachwycający bukiet kwiatów od pana Brunnmanna, opatrzony biletami, na którym znalazły się życzenia „rychłego powrotu do zdrowia” oraz zapewnienie, że ich ofiarodawca jest „do usług łaskawej pani w każdej chwili i w każdej sprawie”.

Choroba całkowicie wymazała z pamięci Elisabeth obydwa spotkania z panem Brunnmannem oraz fakt, że przez krótką chwilę wzięła go za Gustava. Dziwnym trafem natomiast doskonale zachowały się wszystkie, co do jednego, słowa zachwytu, jakie trzpiotowata sekretarka wypowiedziała w damskiej toalecie na temat przymiotów obersturmbannführera.

Wkrótce doktor Strelitz pożegnał się obowiązkowym „Heil Hitler!” i Elisabeth, odetchnąwszy z ulgą, natychmiast przystąpiła do obdzwaniania wszystkich możliwych kontaktów. Zatelefonowała zatem do biura dyrygenta Furtwänglera („jest na nagraniu radiowym, ale z pewnością natychmiast skontaktuje się z łaskawą panią”), jak też do adiutanta Bodenschatza z biura Göringa („jest u Führera, nie, nie ma niestety żadnych nowych informacji, tak, z pewnością się odezwiemy!”).

Następnie Elisabeth przypomniała sobie pewne przyjęcie, na którym była przed trzema laty w Berlinie i podczas którego przedstawiono ją amerykańskiemu ambasadorowi Williamowi E. Doddowi i jego energicznej córce Marcie. Martha Dodd z miejsca próbowała wtedy namówić słynną śpiewaczkę na angaż w nowojorskiej Metropolitan Opera. W obecnym położeniu znajomość ta wydała się Elisabeth nader cenna i postanowiła ją wykorzystać. Niestety, ku swemu rozczarowaniu usłyszała, że pani Martha Dodd wróciła już do ojczyzny.

Tak oto Elisabeth wszędzie zostawiła jedynie wiadomość, że dzwoniła, a seria niepowodzeń szalenie ją sfrustrowała i wyczerpała.

W tej sytuacji słynna śpiewaczka uznała, że najwyższy czas rzucić na szalę swoją sławę, i powróciła do pomysłu poddanego przez incydent z amerykańskim fotografem, który wpadł w ręce gwardii

przybocznej Göringa.

Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by dostrzec, że feldmarszałek niewątpliwie lubi damskie towarzystwo i chętnie w nim przebywa, ale – jakkolwiek w swojej znanej powszechnie megalomanii nader chętnie pojawiał się w prasie – nie chciał wyładować na pierwszej stronie w towarzystwie kobiety, która nie była jego żoną. Każdy, kto znał Emmę, rezolutną drugą małżonkę Göringa, niegdyś mierną aktorkę, która szybko zresztą zniknęła ze sceny, a dziś kazała się tytułować „wielmożną panią”, od razu wiedział, skąd ta niespodziewana powściągliwość potężnego – nie tylko fizycznie – marszałka. *Widocznie na świecie jest mnóstwo tyranów, pomyślała Elisabeth, ale najwyraźniej każdy trafia kiedyś na swojego pogromcę.*

Poprosiła zatem o połączenie z berlińskim korespondentem największej amerykańskiej agencji prasowej Associated Press, Mr. Louisem P. Lochnerem, i zaprosiła tyleż zaskoczonego, co ucieszonego Amerykanina – wszak Elisabeth, znana diwa, uchodziła za osobę stroniącą od dziennikarzy – na rozmowę do Adlonu.

Zapraszając dziennikarza, nie miała bynajmniej zamiaru informować prasy – w osobie Mr. Lochnera – o prawdziwych powodach swojego pobytu w Berlinie. Chciała tylko subtelnie przypomnieć Hermannowi Göringowi, że Elisabeth Malpran wciąż jeszcze coś znaczy i że są ludzie, którzy chętnie wysłuchają nie tylko jej śpiewu.

Mr. Lochner był ożeniony z niemiecką arystokratką, mówił znakomicie po niemiecku, miał doskonałe koneksje w najwyższych kręgach i, jak doniesiono Elisabeth, nad wyraz krytyczny stosunek do narodowego socjalizmu. Niewielkiego wzrostu i prawie zupełnie łysy dziennikarz zjawił się najszybciej, jak tylko mógł, i uważnie wysłuchał Elisabeth, która malowniczo opowiedziała mu o swoim szczęśliwym życiu u boku męża, o dzieciach i o tym, jak bardzo się cieszy, że wkrótce będzie jej dane zaśpiewać w londyńskim Covent Garden w *Czarodziejskim flecie* Mozarta.

Ani jednym słowem czy gestem nie dała do zrozumienia, jak bardzo niepokoi się o Gustava – wykształcenie aktorskie i obycie scenicznie miało swoje zalety. Za to wspomniała, oczywiście zupełnie mimochodem, że była ostatnio na kolacji w hotelu Adlon z wielkim miłośnikiem muzyki, feldmarszałkiem Göringiem, i odbyła z nim uroczą rozmowę na temat opery.

Mr. Lochner słuchał uważnie i zadawał niewiele pytań.

Elisabeth domyślała się, że jako rasowy dziennikarz zwietrzył za jej nagłą otwartością jakieś ukryte motywy, uprzejmie jednak powstrzymał się od drażenia tematu, co wydało jej się zachowaniem zdumiewającym jak na przedstawiciela tej profesji.

Później Elisabeth niejednokrotnie zastanawiała się, czy jej rozmówca przypadkiem nie dlatego okazał jej tyle cierpliwości, że instynktownie wyczuwał, iż niedługo ich drogi znów się skrzyżują.

Nazajutrz we wszystkich ważniejszych gazetach ukazały się obszernie artykuły na temat Elisabeth Malpran, „najpiękniejszej sopranistki, jaką widział świat”...

Elisabeth osiągnęła to, czego chciała: wzbudziła zainteresowanie opinii publicznej, a jej wiadomość najwyraźniej dotarła gdzie trzeba, ponieważ na reakcję nie musiała zbyt długo czekać.

Jeszcze tego samego dnia, około godziny jedenastej, dziarski recepcjonista poinformował ją, że za chwilę złoży jej wizytę „pan Karl-Heinrich Bodenschatz, osobisty adiutant pana feldmarszałka Göringa. Heil Hitler!”

Bodenschatz, pułkownik Luftwaffe, był adiutantem słynnego Czerwonego Barona, Manfreda von Richthofena, któremu wiernie służył aż do dnia jego śmierci. Hermanna Göringa Bodenschatz poznał jeszcze w czasie Wielkiej Wojny, gdy ten służył w tym samym pułku, co Baron, a od 1928 roku pełnił funkcję osobistego adiutanta przyszłego Marszałka Rzeszy i był z nim blisko zaprzyjaźniony. Bodenschatz, zawsze świetnie poinformowany, a zarazem dyskretny, był człowiekiem, na którym można polegać, również jeśli chodzi o delikatne kwestie. Z równym powodzeniem odgrywał rolę kata, jak i „posłańca miłości”. Toteż już sam fakt, że osobiście pofatygował się do apartamentu Elisabeth, miał swoją wymowę.

Zjawiwszy się w hotelu, adiutant Göringa raz jeszcze solennie zapewnił „wielce szanowaną artystkę”, że władze robią wszystko, by wyjaśnić okoliczności zaginięcia jej małżonka, po czym poprosił „łaskawą panią”, by ta w zaistniałej sytuacji mimo wszystko zechciała zrezygnować ze spotkań z zagraniczną prasą i obdarzyć pana feldmarszałka należnym mu zaufaniem...

A potem umiejętnie wpuścił do ich rozmowy przerażającego upiora, aczkolwiek na jego korzyść należy policzyć fakt, że przynajmniej uczynił to z udręczonym wyrazem twarzy, jakby cierpiał na ból zębów. I chociaż adiutant Göringa nie wyraził się wprost, to jednak Elisabeth zrozumiała go aż nazbyt dobrze, użył

bowiem wobec niej środka, po który panujący reżim sięgał z niepokojącym wręcz upodobaniem, a mianowicie groźby.

– Łaskawa pani musi przecież teraz myśleć przede wszystkim o dwojce swych dzieci. Prasa nie przebiera w środkach, szukając sensacji, i może próbować wykorzystać pani obecne położenie. Proszę to przemyśleć, łaskawa pani, nie chce pani przecież ryzykować, że podczas pani bytności w Berlinie dziennikarski motłoch będzie napastować jej dzieci w Monachium!

Oczywiście Elisabeth doskonale rozumiała aluzję Bodenschatza. To nie napastliwości prasy należało się obawiać w Monachium!

Jakby nie dość tego, po tym jak adiutant Göringa strzelił obcasami i opuścił apartament, Elisabeth spostrzegła na stole brunatną teczkę, niby to przypadkiem pozostawioną przez pułkownika.

W środku znalazła kilka broszurek z serii „Rzesza niemiecka i Führer informują”. Na samym wierzchu pyszniły się ustawy norymberskie z 1935 roku opatrzone pięknym patriotycznym tytułem: *Ustawa o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiego honoru*.

W dokumencie napisano czarno na białym, że dzieci z mieszanych małżeństw między Aryjczykami a Żydami uznaje się za „mieszkańców pierwszego stopnia”. Mówiąc wprost: oznaczało to, że Deborah i Wolfgang są w oczach nowych panów niemile widzianymi w Niemczech pół-Żydami.

Elisabeth szybko zrozumiała, że broszurki te podsunięto jej po to, by zamknąć jej usta. Tak, naziści nie patyczkowali się, stosując na równi przemoc fizyczną i presję psychiczną. Mieli twarde pięści i mroczne dusze. Elisabeth miała dość tej samozwańczej rasy panów, bo na samą myśl o nich robiło się jej niedobrze, a jednocześnie w środku aż kipiała z wściekłości. *Jak śmiać wykorzystywać moje własne dzieci jako środek nacisku!*

Bodenschatz miał szczęście, że wyszedł, ponieważ w innym razie zapewne odniósłby poważne szkody na ciele. Za to hotel Adlon z całą pewnością potrzebował nowego dzbanka do kawy oraz dywanu, który przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz.

Po tym krótkim wybuchu emocji Elisabeth napawała się przez chwilę poczuciem triumfu, przekonana, że jej dzieci dawno już są poza granicami kraju i nic im nie grozi. Od chwili ich odjazdu z dworca głównego w Monachium – o czym Göring najwyraźniej nie miał pojęcia, jako że w przeciwnym wypadku nie przysyłałby przecież adiutanta z tak ordynarną pogroźką – upłynęło osiemnaście godzin.

Magda z dziećmi musiała już dawno dotrzeć do Strasburga i przekroczyć francuską granicę. A może wręcz dojechała już do Paryża? Jeszcze najwyżej osiemnaście godzin i niezłomna Magda oraz jej podopieczni będą spokojnie płynąć promem w kierunku Dover, gdzie znajdą się w bezpiecznych objęciach Paula, brata Gustava.

Wszelako jak każde uczucie triumfu, tak i to szybko minęło, gdy Elisabeth uświadomiła sobie, że Paul wciąż jeszcze nie zadzwonił z Dover, los Gustava w dalszym ciągu był niewiadomy, a ból głowy szykował się do nowego szturmu.

W tej sytuacji zrobiła jedyną rozsądną rzecz: wzięła jeszcze jeden proszek na ból głowy i postanowiła położyć się na parę chwil na sofie. I o dziwo zasnęła! Kiedy obudziła się z niespokojnej drzemki, w pokoju było już ciemno, a rzut oka na zegar wystarczył, by stwierdziła z przerażeniem, że przespała całe sześć godzin!

Natychmiast zadzwoniła do recepcji, by spytać, czy w tym czasie był do niej jakiś telefon. Jakież było jej rozczarowanie, gdy usłyszała, że owszem, dzwoniło kilku dziennikarzy, nadto pan Furtwängler, niejaka pani Martha Dodd zza oceanu oraz pewien wielce natarczywy i zdenerwowany pan, który przedstawił się jako jej impresario.

– No ale łaskawa pani przekazała w południe przez pana Bodenschatza, że nie chce, aby jej przeszkadzano, więc telefony nie były przełączane. Heil Hitler!

Elisabeth w myślach życzyła panu Bodenschatzowi, by następny tysiąc lat spędził w czyścicu Dantego, a biednego recepcjonistę zrugała tak, że aż mu w pięty poszło, dając mu niedwuznacznie do zrozumienia, że tylko ona osobiście może wydać dyspozycje, kiedy należy przełączać telefony do jej pokoju, a kiedy nie.

– Do widzenia! – zakończyła i rzuciwszy słuchawkę, skonstatowała, że czuje się znacznie lepiej niż z rana i że najlepszym lekarstwem na przeziębienie i gorączkę wcale nie jest spokój i odpoczynek, tylko prawdziwie niepohamowana wściekłość. Poczła nawet apetyt i zamówiła do pokoju lekki posiłek. Po chwili ubrany w czerwony uniform boy hotelowy przyniósł pozostawione dla niej wiadomości.

Od wyjazdu dzieci minęły już dwadzieścia cztery godziny i Elisabeth po cichu liczyła na to, że Magda zadzwoni do niej z Paryża; tak w każdym razie się umówiły – o ile guwernantka będzie mieć dość czasu w trakcie przesiadki. W tej sytuacji miała nadzieję, że najpóźniej następnego dnia rano otrzyma upragniony telefon z Londynu, i zadzwoniła do mieszkania przy Prinzregentenplatz. Słuchawkę podniosła zmartwychwstała Otilie, która zapewniła panią, że w domu wszystko w najlepszym porządku, tyle że trochę pusto bez dzieci i Pszczółki.

Rozmówiwszy się ze służącą, Elisabeth poprosiła o połączenie ze swoim zirytowanym wiedeńskim impresariem, który o mało nie pękł z oburzenia na wieść, że jego podopieczna, zamiast być już w drodze do Londynu, wciąż bawi w Berlinie (o czym zapewne dowiedział się z którejś gazety)! Aby powstrzymać słowotok austriackiego gaduły, Elisabeth zapewniła go, że jak najbardziej dopełni warunków angażu w Covent Garden, tyle że dotrze na miejsce trochę później, niż planowała, i szybko zakończyła rozmowę.

W następnej kolejności próbowała się skontaktować z panem Furtwänglerem, lecz ten i tym razem był nieuchwytny, a centrala telefoniczna hotelu Adlon z ubolewaniem zawiadomiła Elisabeth, że nie udało jej się połączyć z panią Martha Dodd w Nowym Jorku.

Chociaż Elisabeth była wściekła na Bodenschatza, zdecydowała się mimo wszystko zadzwonić do Kancelarii Rzeszy, by pokazać, że nie ma zamiaru dać się zastraszyć i ani myśli rezygnować z poszukiwań męża. Niestety nie zastała ani Göringa, ani Bodenschatza – a może po prostu nie chcieli z nią rozmawiać. Wiadomości od dziennikarzy na razie zignorowała, zostawiając je sobie na później.

Obdzwoniwszy najważniejsze osobistości, Elisabeth, chociaż czuła się jeszcze trochę osłabiona i drapało ją w gardle, postanowiła, że wykorzysta ciepły czerwcowy wieczór i wybierze się na krótki spacer na świeżym powietrzu, co być może pozwoli jej całkowicie wrócić do zdrowia.

Zdecydowała się na kostium w kolorze burgunda i odpowiedni kapelusz, wciągnęła na nogi czarne pończochy z amerykańskim szwem i wsunęła stopy w buty na wysokim obcasie. W ciemnej czerwieni było jej szalenie do twarzy. Po raz ostatni spojrzała w lustro i nagle ogarnęła ją pewność, że wszystko obróci się ku dobremu.

W holu czekała ją jednakże nieprzyjemna niespodzianka. Otóż przynajmniej jeśli idzie o wścibstwo prasy, Bodenschatz w niczym nie przesadził: na dole bowiem czatowała barwna gromadka reporterów, którzy natychmiast rzucili się na nią jak stado gęsi w porze karmienia. Mężczyźni przekrzykiwali się jeden przez drugiego, błyskały flesze aparatów trzymanyh niewidzialną ręką ponad głowami kolegów.

Elisabeth Malpran rzeczywiście wyglądała zachwycająco i zrobiono jej mnóstwo wspaniałych zdjęć, które następnego dnia ukazały się w wielu gazetach, wzbudzając powszechny zachwyt, jednakże ze spaceru nic nie wyszło, ponieważ w tej sytuacji słynna śpiewaczka wolała wycofać się do swojego apartamentu. I to tyle, jeśli idzie o kiełkujące poczucie pewności.

Wyciągając z włosów szpilki, którymi przymocowała figlarny kapelusik, rozmyślała o tym, ileż to jej zapobiegliwy impresario nażołądkował się przez telefon z powodu bezpłatnego wywiadu, jakiego

udzieliła agencji Associated Press. No tak, przecież każdy wywiad musi mieć swoją cenę! Tym bardziej, że impresario zgodnie z umową inkasował dwadzieścia procent gaży swej podopiecznej.

Potem pomyślała, że znowu siedzi w swoim apartamencie i nie ma pojęcia, co zrobić z długim wieczorem. Jak zamknięte w klatce zwierzę chodziła tam i z powrotem, skazana na czekanie na jakąkolwiek wiadomość o Gustavie lub dzieciach. W końcu wyczerpana położyła się – „tylko na chwilę” – w łóżku.

Następnego dnia obudziła się wcześniej cała zesztywniała. Na początek spróbowała dodzwonić się do Londynu, do brata Gustava.

I znów telefonistka Adlonu z ubolewaniem poinformowała o braku możliwości uzyskania połączenia z zamówionym numerem.

– Z pewnością nie jest to wina naszej techniki, tylko Brytyjczyków – zapewniła.

Elisabeth zaczęła się obawiać, że być może ta usterka uniemożliwia połączenie również w drugą stronę i dlatego Paul nie może się dodzwonić do jej apartamentu w Adlonie.

Około godziny dziewiętej wpadła na pewien pomysł: ponownie zadzwoniła do Mr. Lochnera z Associated Press i spytała, czy byłaby możliwość skorzystania z jego aparatu, by połączyć się telefonicznie z Londynem. W nadziei na uzyskanie kolejnego wywiadu na wyłączność Mr. Lochner odczekał na prośbę pani Malpran, w duchu zaś chwalił swój dziennikarski nos, który od samego początku mówił mu, że za pobytem słynnej śpiewaczki w Berlinie kryje się jakaś sensacyjna historia.

Bogatsza o wczorajsze doświadczenie, Elisabeth upewniła się wprzód u portiera, jak wygląda sytuacja na dole, i otrzymawszy pocieszającą wiadomość, że hol – cokolwiek by to miało znaczyć – „został opróżniony” z tłumu reporterów, nie niepokojona opuściła hotel, wsiadła do taksówki i udała się do biura Associated Press. Stąd bez problemu uzyskała połączenie z londyńskim mieszkaniem swojego szwagra.

Telefon odebrała energiczna żona Paula, Annabelle, która z ekscytacją poinformowała ją, że brat Gustava, tak jak to było umówione, już poprzedniego wieczora udał się do Dover, gdzie zamierzał przemocować, jako że prom przybywał we wczesnych godzinach porannych. Na wszelki wypadek Elisabeth zostawiła szwagierce numer do biura Mr. Lochnera, a ją z kolei poprosiła o numer do hotelu, w którym zatrzymał się Paul. Zaraz też tam zadzwoniła, lecz okazało się, że Paul już się wymeldował.

W tej sytuacji Elisabeth udała się pośpiesznie z powrotem do Adlonu, przekonana, że szwagier z pewnością będzie dzwonił właśnie tam, i czekała na upragnioną wiadomość. Znowu czekała. Godzina za godziną. Wreszcie zadzwonił Mr. Lochner, aby przekazać wiadomość od żony Paula, że ten na razie nie dał znaku życia.

Kiedy recepcja zapowiedziała wizytę Mr. Louisa P. Lochnera, nerwy Elisabeth były już niemal kompletnie zszargane, toteż, wyszła mu naprzeciw aż na korytarz.

Sposób, w jaki Mr. Lochner miętosił w dłoniach kapelusz, nie wróżył niczego dobrego, podobnie jak fakt, że pofatygował się do hotelu osobiście.

I rzeczywiście, dziennikarz poinformował Elisabeth, że pan Paul Berchinger, brat jej małżonka, nie mogąc uzyskać połączenia z Adlonem, skontaktował się w końcu z biurem agencji Associated Press i poprosił o przekazanie szwagierce, że wprawdzie do Dover zainwazyły już dwa promy z Calais, ale na pokładzie żadnego z nich nie było ani Magdy, ani jej podopiecznych. Postanowił zatem zaczekać jeszcze na kolejny, ostatni już tego dnia prom, i obiecał, że wkrótce zatelefonuje ponownie.

Słyszając te wieści, Elisabeth załamała się zupełnie, a Mr. Lochner, który zapomniawszy o wywiadzie na wyłączność, nie widział już przed sobą słynnej śpiewaczki, lecz matkę, która odchodzi od zmysłów z obawy o dzieci, wykazał się ogromną troskliwością. Zamówił kawę i koniak i wlał po odrobinie każdego

z tych płynów do ust zrozpaczonej kobiety, nie mając pojęcia o tym, że Elisabeth ledwie przed chwilą, udręczona kolejnym atakiem migreny, zażyła na pusty żołądek dwie tabletki przeciwbólowe. Wskutek połączenia tych wszystkich specyfików zrobiło jej się tak niedobrze, że Mr. Lochner musiał zaprowadzić kroczącą chwiejnie śpiewaczkę do łazienki.

Elisabeth wyszła po piętnastu minutach zakłopotana, lecz w miarę rześka i udzieliła Mr. Lochmanowi wywiadu na wyłączność, którego jednak nigdy w życiu nie odważyłby się opublikować. Nabrawszy bowiem zaufania do reportera, Elisabeth opowiedziała mu o swoich planach wyjazdu z Niemiec.

Mr. Lochner, który niejedno już w swoim życiu widział – zwłaszcza odkąd został korespondentem w Rzeszy Niemieckiej – wyraził jedynie zdziwienie, że Elisabeth i jej mąż nie postąpili odwrotnie.

Dlaczego, na miłość boską, doktor wyjechał pierwszy, i to pod własnym nazwiskiem? Czy nie byłoby lepiej, gdyby ona i dzieci wcześniej wyjechali do Londynu, a on, z fałszywymi dokumentami, dopiero potem?

Elisabeth odparła, że jej mąż miał oczywiście fałszywe dokumenty, i w następnej chwili pobladła, a jej fiołkowe oczy zrobiły się zupełnie okrągłe. Mr. Lochner pomyślał z obawą, że właśnie nastąpił nawrót sensacji żołądkowych, i rozpaczliwie rozejrzał się za odpowiednim naczyniem, lecz Elisabeth nie zwymiotowała, tylko wyrzekła szeptem:

– Boże jedyny, przecież mój mąż nie podróżuje jako doktor Gustav Berchinger, tylko jako Peter Friebling!

– Mam nadzieję, że nie wspomniała pani o tym Göringowi?

– Oczywiście, że nie – odparła Elisabeth i popatrzyła na niewątpliwie dużo bardziej od niej doświadczonego w konspiracyjnych sprawach dziennikarza, jakby spodziewała się od niego jakiegoś rozwiązania.

– Hmm – mruknął Mr. Lochner i podrapał się niepewnie w podbródek.

Gdzieś w głowie Elisabeth kamerton wydał z siebie fałszywy ton, informując, że nie spodobają się jej słowa, które usłyszy po owym „hmm”.

– Cóż – powiedział Mr. Lochner i chrząknął. W tym niewinnym dźwięku dało się słyszeć wyraźne wahanie, czy aby na pewno powinien podzielić się swoimi przemyśleniami. Tymczasem nieszczęsny kapelusz dziennikarza, który w nie wiadomo którym momencie dostał się w ręce Elisabeth, po chwili zupełnie już nie nadawał się do spełniania swej zwykłej funkcji.

– Cóż, są dwie możliwości, łaskawa pani. Albo pan Göring o nic nie pytał, ponieważ od dawna wiedział o pani planach wyjazdu do Anglii i postanowił zabawić się jej kosztem, albo też zniknięcie żydowskiego obywatela niezbyt go obeszło. Oboje wiemy, że nasi pełnokrwieści Aryjczycy – w tonie, jakim reporter wypowiedział te dwa słowa, krył się wręcz bezmiar pogardy – z wielkim zapalem wymiatają z kraju żelazną miotłą wszelki niepożądany element. Dlatego cieszy ich każdy, kto wyjeżdża z własnej, nieprzymuszonej woli. Jeśli zatem prawdą jest to drugie, wówczas nasuwa się pytanie: skoro pani mąż nie wpadł w łapska nazistów, to gdzie się w takim razie podziewa?

Elisabeth z przerażeniem przypomniała sobie starego konduktora, z którym rozmawiała na dworcu w Monachium.

– Niestety, Mr. Lochner, wydaje mi się, że możemy przyjąć za pewnik, iż mój mąż jest jednak w rękach nazistów – stwierdziła, po czym opowiedziała pokrótce o kolejarzu, który z wyraźnym lękiem rozglądał się dookoła, jakby obawiając się niepowołanych oczu.

– No, dobrze. W takim razie pomyślmy: sprawa musi mieć związek z fałszywymi dokumentami, poświadczającymi, że pani mąż jest Aryjczykiem. Albo odkryto, że dokumenty są nieprawdziwe, i dlatego został aresztowany, albo naziści dobrze wiedzieli, z kim mają do czynienia, ponieważ od początku znali plan ucieczki. W pierwszym wypadku przesłuchiwałaby pani małżonka policja, w drugim

zaś SS albo gestapo.

Przy słowie „przesłuchiwała” Elisabeth zbladła, wiedząc, co to oznacza.

– Ale co ja w takim razie mam teraz zrobić, Mr. Lochner? Muszę przecież jakoś ratować męża! – wykrzyknęła zrozpaczona.

– Zaproponowałbym rzecz następującą, łaskawa pani, choć zapewne przyjdzie to pani z ogromnym trudem. Otóż kiedy dzieci pani będą już bezpieczne w Londynie, należałoby raz jeszcze nawiązać kontakt z Göringiem i poinformować go, że mąż pani podróżuje pod nazwiskiem Peter Friehling. Zalecam, by w miarę możliwości wyznanie to poczyniła pani, roniąc strumienie łez. Pan Göring wydaje się czuły na tym punkcie, przynajmniej tak powiadają. Niestety, łaskawa pani, obawiam się, że nie mogę służyć żadną inną radą.

Mr. Lochner wstał i tym razem nalał koniaku dla siebie. Rozmowa zamarła. Oboje spojrzeli jednocześnie na czarny telefon, ale rozpaczliwe wpatrywanie się w aparat zdało się na nic – ten bowiem nie wykazał nawet śladu zrozumienia dla położenia nieszczęsnej śpiewaczki i pozostał niemy. Bez cienia współczucia emanował obojętnością charakterystyczną dla martwego przedmiotu.

W końcu Mr. Lochner pożegnał Elisabeth, obiecując, że wkrótce się z nią skontaktuje.

Gdy odchodził hotelowym korytarzem, Elisabeth, stojąc w drzwiach apartamentu, zawołała za nim pełnym napięcia głosem, zupełnie jakby doskonale знаła odpowiedź na pytanie, które zamierzała zadać:

– Mr. Lochner, błagam, niech pan będzie ze mną szczery. Czy pana zdaniem sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót? Czy chęć ratowania dzieci jest już tylko niepoprawną mrzonką ich matki?

Dziennikarz odwrócił się i spojrzął na Elisabeth zaszepcony. Widząc smutek czający się w jej oczach, domyślił się, że pytanie nie dotyczy tylko jej małżonka i dzieci, lecz losu wszystkich prześladowanych w tym kraju rodzin, wszystkich tych nieszczęśników, którzy znaleźli się we władaniu nieludzkiego narodowosocjalistycznego reżimu. Przypomniał sobie to, co poprzedniego dnia Elisabeth mówiła o swoim synku, który ma jedną nóżkę krótszą i lekko utyka, oraz o krążących po mieście plotkach, jakoby Hitler, którego Lochner miał okazję poznać osobiście, gdy przeprowadzał z nim wywiad, planował fizyczną likwidację osób z widocznymi ułomnościami.

Niewykluczone zresztą, że tego rodzaju akcja została już zapoczątkowana, ponieważ naziści zaczęli w całym kraju tworzyć obozy koncentracyjne. Ponadto w kręgach dziennikarskich mówiło się o przymusowej sterylizacji osób kalekich, gdyż reżim chciał w ten sposób zapobiec „niepożądanemu rozmnażaniu tego rodzaju zdeformowanych istot”.

W oczach i postawie śpiewaczki było coś, co mówiło Amerykaninowi, że zadając mu to pytanie, bynajmniej nie chciała, żeby za wszelką cenę ją uspokajał, zapewniając, że wiele z tego, co się słyszy o nikczemnych planach i zbrodniczych działaniach nazistów, to tylko przesadzone plotki i głupie gadanie, któremu nie należy dawać wiary. Louis P. Lochner dostrzegł raczej z niemałym zdziwieniem, że Elisabeth Malpran w głębi duszy od dawna zna prawdę. I że ma w sobie dość odwagi, by unieść jej ciężar. Dlatego odpowiedział najszczerzej, jak tylko potrafił:

– Obawiam się, że będzie o wiele gorzej, łaskawa pani. Podobnie jak wielu ludzi, także w tym kraju, sądzę, że czeka nas kolejna wielka wojna.

Dziennikarz raz jeszcze pożegnał Elisabeth i jeszcze w drodze do windy pomyślał, że wybuch tej wojny jest równie pewny jak to, że już nigdy na jego łysej czaszce nie wyrosną włosy.

I rzeczywiście, rok później z małym okładem nadszedł moment, o którym wspominał Mr. Lochner: Adolf Hitler wydał rozkaz ataku na Polskę, on zaś, jako pierwszy amerykański dziennikarz, towarzyszył niemieckim żołnierzom w ich marszu na wschód.

Za swoje tyleż realistyczne, co krytyczne reportaże wojenne otrzymał Nagrodę Pulitzera za rok 1939, lecz już dwa lata później jego odważne korespondencje stały się tak dalece niewygodne dla

nazistowskich władz, że został internowany.

Pod koniec wojny, w roku 1945, Mr. Lochner znalazł się w gronie pierwszych dziennikarzy, którym pozwolono zobaczyć obóz koncentracyjny w Dachau i którzy mieli po wsze czasy udokumentować grozę tego miejsca, tak aby następne pokolenia mogły z tej potwornej lekcji wyciągnąć naukę na przyszłość.

Dwa następne dni Elisabeth spędziła w piekle niepewności – dwa dni, w trakcie których nie spała, nie jadła, a piła tylko tyle, żeby całkiem nie paść z nóg. I jak automat wykonywała rozmaite czynności, ponieważ wszystko było lepsze od beczynnego siedzenia w hotelu i czekania.

Spotkała się zatem po raz kolejny z Göringiem w Kancelarii Rzeszy, ostatecznie niwecząc jego nadzieje na zwycięstwo w rywalizacji z Goebbelsem, oraz odbyła ogromną liczbę tyleż rozpaczliwych, co bezowocnych rozmów telefonicznych: z bratem Gustava, z Furtwänglerem, Marthą Dodd i z dawnym dyrektorem Izby Muzycznej Rzeszy Richardem Straussem, który co prawda ze względu na swoją żydowską synową był zmuszony zachowywać daleko posuniętą ostrożność, lecz mimo wszystko obiecał, że spróbuje zasięgnąć języka w sprawie małżonka słynnej Elisabeth Malpran. Te same zapewnienia Elisabeth słyszała zresztą z ust wszystkich, z którymi się kontaktowała: wszyscy jak jeden mąż przyrzekali pomoc i starali się dodać biedaczce otuchy.

Niestety po latach mścił się nieco fakt, że od czasu jedyne występu na festiwalu w Bayreuth w 1931 roku i aresztowania Gustava, do którego doszło rok później, kiedy to szukał zaginionej Otilie, Elisabeth skupiła się niemal wyłącznie na występach poza granicami Rzeszy, sporadycznie tylko pojawiając się na ojczystych scenach. Jej niegdyś niezwykle liczne kontakty pourywały się przez to niemal całkowicie.

Być może dlatego właśnie 17 czerwca, w dniu czternastych urodzin Debory, Elisabeth nie odrzuciła zaproszenia na kolację, jakie złożył jej pan Brunnmann – mimo że wizyta w lokalu była w zasadzie ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę. Pan Brunnmann okazał się nadzwyczaj kulturalnym i skromnym człowiekiem, który na koniec zaofiarował się ze współczuciem, że spróbuje ustalić swoimi prywatnymi kanałami miejsce pobytu jej dzieci.

Elisabeth szczerze podziękowała za tę obietnicę, ponieważ podskórnie czuła, że pan Brunnmann – aczkolwiek nadal pozostawał dla niej zagadką – rzeczywiście jest zainteresowany udzieleniem jej bezinteresownej pomocy.

Miała też niejasne wrażenie, jakby go już kiedyś spotkała, lecz kiedy wyraziła takie przypuszczenie, w odpowiedzi usłyszała jedynie:

– Oczywiście, że miałem już przyjemność widywać panią wcześniej. Podziwiałem pani występy w Rzymie, Paryżu i Brukseli, choć wszędzie tam byłem po prostu tylko jednym z wielu widzów. Z pewnością jednak przypomina sobie pani nasze spotkanie sprzed dwóch dni w Kancelarii Rzeszy?

Elisabeth tyleż czarująco, co zgodnie z prawdą odparła, że niestety musiało jej ono umknąć, lecz na swoje usprawiedliwienie ma to, że tamtego dnia była szalenie podenerwowana, a w dodatku walczyła z gorączką, w związku z czym właściwie cały ten dzień zachował się w jej pamięci tylko fragmentarycznie.

Tej nocy miotła się w łóżku, dręczona niespokojnym snem. Śnił jej się Gustav: szedł ku niej długim korytarzem od strony światła, lecz kiedy stanął tuż przed nią, okazało się, że to nie Gustav, tylko pan Brunnmann. A tam, gdzie powinien mieć oczy, ziały tylko dwie czarne, głębokie dziury.

Ocknęła się z krzykiem, dygocąc na całym ciele.

Mr. Lochner okazał się w tych okropnych dniach prawdziwym przyjacielem. Na własną rękę podjął rozmaite działania w sprawie Elisabeth i jej męża – przede wszystkim skontaktował się z

zaprzyjaźnionymi dziennikarzami w całej Rzeszy, którzy nie tylko przyrzekli mieć oczy i uszy otwarte, ale też mieli się rozpytać na trasie podróży Gustava Berchingera i jego dzieci.

Wszystkie te wysiłki spełzyły jednak na niczym, zniweczone przez paraliżującą ludzi machinę nazistowskiego reżimu. Dopiero później Elisabeth zdała sobie sprawę, że przy tej okazji zetknęła się z jedną z przedziwnych właściwości narodowosocjalistycznego systemu: umiejętnością połykania niewygodnych osób bez pozostawienia najmniejszego śladu, tak by na zawsze zniknęły w ciemnych zakamarkach zła.

Chociaż była u kresu sił, co chwila zbierała się w sobie z energią właściwą jedynie matce i nieprzerwanie chwytła się nowych pomysłów. Zgłosiła nawet zaginięcie dzieci i męża na policji, a na kolejny dzień planowała wynajęcie auta z szoferem i przejechanie całej trasy, jaką miały przebyć jej dzieci, aż do granicy niemiecko-francuskiej.

Wieczorem dnia poprzedzającego tę wyprawę – mijały właśnie dwie doby od zaginięcia dzieci – Mr. Lochner złożył jej kolejną wizytę.

Do głębi poruszony widokiem bladej, wymizerowanej twarzy Elisabeth zdołał namówić ją na filiżankę herbaty i kilka łyżek lekkiego consommé, kiedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi, po czym, nie czekając na zaproszenie, ktoś je otworzył i w jednej chwili Elisabeth została otoczona kłębowiskiem rąk i nóg.

Tego było już za wiele dla jej wycieńczonego trudami ostatnich dni organizmu i biedaczka osunęła się raptownie w ciemność, wprawiając tym Mr. Lochnera i nowo przybyłych w prawdziwe przerażenie.

Kiedy z wolna zaczęła dochodzić do siebie, poczuła coś mokrego na czole (jak się okazało: zimny okład), coś ciężkiego na nogach (jak się okazało: jamniczkę), a kiedy ostrożnie zamrugała oczami – z obawy, że jej radość okaże się przedwczesna – ujrzała obok siebie przestraszone, napięte w oczekiwaniu twarze swoich dzieci. Gdyby nie to, że leżała na łóżku, bez wątplenia znów osunęłaby się zemdlona.

Dzieci wprost nie posiadały się z radości, a Mr. Lochner – już z nowym kapeluszem w dłoniach – uśmiechał się na ten widok od ucha do ucha. I tylko przybyły z dziećmi Albrecht Brunnmann skromnie trzymał się podczas tej wzruszającej sceny na uboczu.

Elisabeth była tak oszołomiona radością, że potrzebowała kilku chwil, by w ogóle zauważyć obecność pana Brunnmanna. Również dzieci, zwłaszcza mały Wolfgang, dosłownie wylewały z siebie potoki słów oraz łez. Jednak w oczach Debory kryła się jakaś skarga, jakby cień trwogi.

Elisabeth dopiero po chwili spostrzegła, że kogoś w tej radosnej scenie brakuje, oraz pojęła, skąd ów cień w oczach Debory:

– A co z naszą Magdą, guwernantką moich dzieci? Gdzie się podziała? Nie ma jej tutaj?

Wszyscy obecni, nie wyłączając Pszczółki, jak na komendę zwrócili swe głowy ku panu Brunnmannowi. Ten zaś odpowiedział na to nieme pytanie, jakby wyczekiwał na możliwość wypowiedzenia swej kwestii:

– Guwernantka pani dzieci znajduje się w areszcie policyjnym w Stuttgarcie, łaskawa pani. Omyłkowo wzięto ją za złodziejkę, gdyż znaleziono przy niej mnóstwo cennej biżuterii. Niestety starania o jej zwolnienie wciąż trwają.

– Ależ na litość boską! Co to za nedorzeczna historia? Magda nie jest złodziejką! Ta biżuteria należy do mnie. Osobiście powierzyłam ją Magdzie. Ta zacna dziewczyna jest niewinna i powinna zostać natychmiast zwolniona.

– Naturalnie, łaskawa pani, i pewien jestem, że tak się stanie, lecz załatwienie wszystkich formalności potrwa jeszcze dzień lub dwa. Biżuteria została skonfiskowana jako dowód rzeczowy, wszelako już podjąłem starania o jej zwrot. Proponuję, by tymczasem cieszyła się pani obecnością dzieci, mnie zaś pozostawiła troskę o ich guwernantkę. Jutro pozwolę sobie złożyć pani ponowną wizytę. Bagaż pani

dzieci znajduje się w hotelowym lobby i w ciągu kilku minut zostanie przyniesiony do apartamentu. Tymczasem polecam się łaskawej pani i życzę przyjemnego wieczoru w rodzinnym gronie.

Słowa te, aczkolwiek szalenie grzeczne, miały w sobie jakąś ostateczność, jakby pan Brunnmann chciał dać do zrozumienia, że nie zamierza odpowiadać na żadne pytania. Odwrócił się już do drzwi, gdy Elisabeth w ostatniej chwili się zreflektowała:

– Proszę mi wybaczyć, panie Brunnmann. Jestem niegrzeczna. Pan oddaje mi dzieci, a ja nawet panu nie podziękowałam. Proszę, niech pan nie sądzi, że nie doceniam pańskich starań. Jednak nasza guwernantka Magda pracuje u nas od tak dawna, że stała się członkiem rodziny i bardzo mi leży na sercu, by nie przytrafiło jej się nic złego. Stąd błagam pana, by uczynił wszystko, aby jej pomóc, tak jak uczynił pan to dla moich dzieci. Będę panu za to dozgonnie wdzięczna.

Pan Brunnmann cofnął dłoń z kłamki i zawrócił. Następnie skłonił się przed Elisabeth, ujął podane mu z niezrównaną gracją czubki palców i ucałował je z absolutną perfekcją, nie muskając nawet wargami dłoni Elisabeth. Potem wyprostował się, przez chwilę badawczo wpatrywał w twarz słynnej śpiewaczki, jakby szukając w niej potwierdzenia ostatnich słów, po czym bezgłośnie opuścił pokój.

Elisabeth odprowadziła go wzrokiem. Nigdy wcześniej nie spotkała tak postawnego mężczyzny, który poruszały się równie spokojnym i sprężystym krokiem. Co prawda w głębi jego spojrzenia odkryła coś, co ją na moment zraziło, lecz była zbyt zajęta dziećmi, by się dłużej nad tym zastanawiać.

Wkrótce pożegnał się również Mr. Lochner i następne kilka godzin Elisabeth mogła w pełni poświęcić dzieciom.

Cała trójka – to jest Wolfgang, Deborah i Pszczółka – pilnie potrzebowała kąpieli, toteż Elisabeth zabrała całe towarzystwo do łazienki i usadowiła w wannie. A ponieważ Wolfgang w przypływie entuzjazmu wylał całą butelkę płynu do kąpieli, nic dziwnego, że wkrótce, ku uciechu chłopca, piana poczęła się przelewać na posadzkę łazienki.

Tymczasem przyniesiono walizki i dzieci, przebrane w czyste pidżamy, usiadły na sofie. Elisabeth poleciła przygotować dla nich sutą kolację, na którą Wolfgang rzucił się niczym wygłodniały wilczek. Stroskana matka ucieszyła się, widząc, że synkowi dopisuje apetyt, gdyż oznaczało to, że straszne przeżycia ostatnich dni nie pozostawiły na nim trwałego śladu. W każdym razie najwyraźniej nie zaszkodziły jego żołądkowi.

Niestety nie dało się tego powiedzieć o Deborze. Dziewczynka ledwie tknęła posiłek, wymawiając się brakiem apetytu. Elisabeth z troską popatrzyła na córkę. Widząc jej wzburzenie, zastanawiała się czy jest ono wyłącznie wynikiem tego, że Magda wciąż przebywa w więzieniu, czy też kryje się za nim coś więcej.

Przez głowę Elisabeth przemknęło tysiąc obrazów tego, co mogło się przytrafić w więzieniu niewinnej dziewczynce, i jedynie dzięki ogromnemu samozaparciu zdołała powstrzymać narastający w niej matczyzny gniew. W końcu, chociaż bała się odpowiedzi, spytała:

– Co ci jest, Deboro? Opowiesz mi, co się zdarzyło?

Deborah potrząsnęła głową, wskazując na opychającego się niczym chomik braciszka.

– Później, mamu, kiedy Wolfi zaśnie.

Malec był jednak zbyt podekscytowany, by myśleć o spaniu. Kipiąc od emocji, koniecznie chciał podzielić się swymi przeżyciami i po raz trzeci już zaczął opowiadać o tym, jak zostali aresztowani na dworcu w Stuttgarcie, jak oddzielono ich od Magdy, jak Pszczółka ugryzła policjanta w łydkę, a on, Wolfgang zawołał do niej: „Uciekaj, Pszczółko, uciekaj!”, i o tym, jak w chwili, gdy policjant wyciągnął pistolet, jamniczka nagle zniknęła. We wspomnieniach malca wszystko, co się im przytrafiło, przybrało postać ekscytującej przygody, podobnej do tych, jakie były udziałem bohaterów książek Karola Maya. Nawet jeśli potraktowano go trochę szorstko, zmarzył i doświadczył głodu, to widać tak miało być, bo

przecież w każdej prawdziwej przygodzie musi być trochę cierpienia! Bo niby jak inaczej zostać bohaterem, jeśli nie stawiając czoła przeciwnościom losu?

Ta dziecięca logika w tym wypadku spełniła zbawienną funkcję, chroniąc chłopca przed szokiem, który stał się udziałem Debory. Wkrótce okazało się zresztą, że Wolfgang większość czasu spędził bezpiecznie w ramionach starszej siostry. Może to również była jedna z przyczyn psychicznego i fizycznego wyczerpania dziewczynki, która zrobiła wszystko, by jej braciszek nie zaznał cierpienia i strachu. Ogrzewała go, oddawała mu swoją skąpą rację żywnościową, czuwała nad nim, gdy spał, i chroniła przed więziennym robactwem.

W końcu chłopcu skleiły się powieki. W jednej chwili mówił coś jeszcze, a w następnej jego główka opadła na pierś mamy. Elisabeth ucałowała syna w czołko i zaniósła do łóżka. W chwili, gdy poczuła w ramionach ciepły ciężar synka, zalała ją bolesna wręcz fala czułości i matczynej miłości. Delikatnie, jakby był z kruchej szkła, ułożyła go na prześcieradle i okryła kołdrą. Z trudem oderwała wzrok od jego spokojnej twarzyczki. Widok śpiącego dziecka przepełnił jej serce bezbrzeżnym szczęściem. Przez dwa dni modliła się, by nastąpiła ta chwila, i oto jej modlitwa została wysłuchana.

Z drugiej wszelako strony czuła pełną niepokoju obecność córki, jej skrywane przerażenie, o którym jako matka musiała z nią porozmawiać. Elisabeth bała się poznać prawdę. Bała się odpowiedzialności, którą Deborah złożyłaby na jej barkach swoim wyznaniem. A zarazem miała nadzieję, że jako matka stanie na wysokości zadania, tak że Gustav byłby z niej dumny. Nade wszystko zaś modliła się o to, by znaleźć właściwe słowa pociechy i otuchy, którymi mogłaby ukoić zranioną duszę Debory.

Usiadła obok córki, ujęła jej lodowate dłonie i poczęła je rozcierać, jak to miała w zwyczaju, ilekroć Deborah skarżyła się, że jej zimno. A miała wyjątkowo piękne dłonie. Delikatne, a zarazem silne i zwinne. Dłonie rasowej pianistki.

Deborah rozpoczęła swoją relację, która zasadniczo różniła się od opowieści Wolfganga. Matka wciąż trzymała ją za rękę, ogrzewając jej zimne dłonie, ona zaś opowiadała, jak na dworcu w Stuttgarcie dwaj policjanci wdarli się do ich przedziału i zażądali okazania dokumentów, po czym stwierdzili, że coś się w nich nie zgadza, i nakazali całej trójce udanie się z nimi na komisariat. Magda odważnie stawiała im czoło i zaproponowała, by zatelefonowali do pani Elisabeth Malpran, słynnej śpiewaczki, obecnie goszczącej w berlińskim hotelu Adlon, która z pewnością potwierdzi ich tożsamość.

Policjanci nie chcieli jednak słuchać tłumaczeń Magdy, chwycili ją za włosy i wywlekli z przedziału. Wolfgang zaczął płakać, lecz Magda krzyknęła do niego, że to tylko zabawa i wcale jej nie boli. Wolfgang chyba uwierzył guwernantce, ale Pszczółka nie dała wiary tym zapewnieniom i szczerząc zęby, rzuciła się na nogę jednego z policjantów. Jego kompan wyciągnął pistolet, lecz Wolfgang krzyknął: „Uciekaj, Pszczółko!”, Magda zaś zaczęła ich błagać: „Panowie, na litość boską, nie będziecie chyba strzelać do dzieci i psów. Schowajcie broń, pójdziemy z wami!”

Tymczasem Pszczółka zdołała w tłumie umknąć.

Potem zabrano ich do ciężarówki, odwieziono do więzienia i wrzucono do celi. Magdę szybko stamtąd zabrano i od tej pory Deborah jej nie widziała.

Dzieci spędziły same w więzieniu dwa dni. Dostawały skąpe racje żywności, nie mogły się umyć, a potrzeby musiały załatwiać do pogiętego kubła przykrywanego blaszaną pokrywą. Deborah kilka razy próbowała nawiązać rozmowę z oschłą strażniczką, lecz ta albo była głucha, albo nie umiała mówić, a najpewniej jedno i drugie. W końcu dziewczynka poświęciła wszystkie siły opiece nad braciszkiem. Opowiedziała mu wszystkie historyjki, jakie kiedykolwiek przeczytała, zaśpiewała wszystkie piosenki, jakich się nauczyła, i robiła wszystko, by mu się nie nudziło ani nie ogarnął go strach.

Elisabeth dziękowała niebiosom za to, że dały jej taką córkę, a zarazem z żalem skarżyła się Bogu, że dopuszcza do takich okrucieństw i pozwala ludzkim bestiom krzywdzić niewinne dzieci.

Wkrótce okazało się jednak, że prawdziwym powodem wstrząsu doznanego przez Deborah nie był sam pobyt w więzieniu, lecz to, co się zdarzyło, gdy pan Brunnmann zjawił się, by ich osobiście uwolnić z celi.

Otóż „pan Brunnmann” zrobił najpierw ogromną awanturę, krzycząc, że doszło do „poważnej pomyłki wymiaru sprawiedliwości, gdyż bez powodu zamknięto w więzieniu dzieci słynnej i cenionej przez samego Führera śpiewaczki Elisabeth Malpran”, a gdy Deborah stanowczo odmówiła opuszczenia celi bez Magdy, kazał im – to jest Deborze i Wolfgangowi – zaczekać, sam zaś udał się do sąsiedniego pokoju, by się rozmówić z dyrektorem więzienia. Ponieważ celę dzieliła od owego pokoju cienka ściana, Deborah wyraźnie słyszała rozmowę obu panów, w trakcie której dyrektor stwierdził, że przesłuchanie podejrzanego nie pozwoliło uzyskać nowych informacji, lecz sama przesłuchiwana nie wyszła z niego bez szwanku. „Niestety”, stwierdził dyrektor bez cienia ubolewania w głosie, „przesłuchujący wykazał się pewną nadgorliwością, w związku z czym podejrzana znajduje się w krytycznym stanie i mogłaby nie wytrzymać transportu”. Deborah była dość inteligentną dziewczynką, by trafnie odczytać wymowę tych słów: przez ostatnie dwa dni Magda była poddawana okrutnym przesłuchaniom i biciu. Potem usłyszała też, jak Brunnmann polecił otoczyć Magdę troskliwą opieką lekarską i natychmiast poinformować go, gdy tylko stan aresztowanej pozwoli na przewiezienie jej do Monachium.

Więzienie opuścili w strugach deszczu, a kiedy ruszyli w kierunku czarnej limuzyny pana Brunnmanna, spotkała ich najbardziej radosna niespodzianka ostatnich dni: wybiegła im naprzeciw Pszczółka, która sądząc po brudnej sierści i zapadniętych bocznych, przez dwa dni czekała na nich wiernie pod bramą więzienia, a teraz w szale radości rzuciła się na swą panią i jej małego braciszka.

Widząc to, pan Brunnmann bez mrugnięcia okiem wpuścił ubłoconą suczkę do swojego czyściutkiego auta, czym z miejsca zaskarbił sobie zaufanie Debory.

Dziewczynka skończyła swą opowieść, szlochając w ramionach matki. Po kilku minutach podniosła w końcu udręczoną twarz i spytała:

– Mamo, jak ludzie mogą robić innym coś tak strasznego? Jak mogą dręczyć kogoś tak, że prawie umiera? A jeśli tata też został aresztowany i zrobili mu to samo, co Magdzie? Boję się, mamo.

Tej nocy Elisabeth długo trzymała córkę w ramionach. W końcu pośród łez zasnęły, lecz zanim Elisabeth ostatecznie opadły powieki, postanowiła, że nazajutrz poprosi pana Brunnmanna, by pomógł jej osobiście udać się do Stuttgartu. Być może dałoby się wszystko tak zaaranżować, by towarzyszył jej doktor Strelitz, który był wprawdzie członkiem SS, ale – o ile Elisabeth mogła to ocenić okiem żony medyka – był też dość dobrym lekarzem. Chciała, by Magda miała świadomość, że jej pani troszczy się o nią i nie zostawiła jej na pastwę okrutnych, pozbawionych sumienia zbrodniarzy.

Kilka minut po piątej w apartamencie rozległ się dzwonek. Wyrwana ze złego snu Elisabeth w pierwszej chwili pomyślała z grozą, że Deborah i Wolfgang nie wrócili i to wszystko tylko jej się przyśniło.

Potem jednak z ulgą poczuła ciepło leżących u jej boku dzieci. Wystraszone dzwonkiem telefonu poruszyły się, lecz obudziła się tylko Deborah, podczas gdy Wolfgang z lekkim sapnięciem przekręcił się na bok i wetknął kciuk do buzi, spał dalej.

W sypialni panowały kompletne ciemności, ponieważ wieczorem Elisabeth zaciągnęła ciężkie adamaszkowe story, toteż minęło kilka sekund, nim w końcu odnalazła po omacku włącznik lampki. W chwili, gdy zapaliła się żarówka, telefon umilkł.

Elisabeth i Deborah wymieniły pełne ulgi spojrzenia. Przeróżliwy dzwonek telefonu brzmiał w ich uszach jak zapowiedź złej nowiny, toteż gdy ucichł, z nadzieją pomyślały, że to była pomyłka. Ze ktoś wykręcił niewłaściwy numer. Gdy jednak uspokojone opadły na poduszkę, telefon znów zaczął dzwonić. Elisabeth z ciężkim westchnięciem podniosła słuchawkę i ze zdumieniem usłyszała w niej głos Otilie.

Niestety obawy spełniły się, gdyż służąca dzwoniła, by poinformować swą panią o kolejnej katastrofie.

Reżimowi siepacze pojawili się przy Prinzregentenplatz 10 tuż po czwartej nad ranem. Z hukiem wpadli do mieszkania doktorostwa i rozpanoszyli się w nim niczym prawdziwi Wandale. Ci pozostający na usługach rządu barbarzyńcy doskonale wiedzieli, jaki strach odczuwa człowiek wyrwany w środku nocy z bezpiecznego azylu własnego ciepłego łóżka.

– Pani doktorowo, pani doktorowo! Jest pani tam? – krzyczała w słuchawkę Otilie, jakby chciała pokonać odległość dzielącą Monachium od Berlina samą siłą głosu. Poza tym musiała krzyczeć, ponieważ w tle słychać było najrozmaitsze hałasy: brzęk tłuczonego szkła i huk przewracanych mebli, a wszystko przy akompaniamencie dzikich ryków.

– Otilie, czy to ty? Czemu dzwoniś tak rano? I co tam się, na miłość boską, dzieje?

– Szukają pana doktora. Mówią, że to zbiegły przestępca i złodziej! Nie wierzę! Nasz pan doktor? Rozbijają wszystko w drobny mak, całą naszą piękną zastawę, a nawet fortepian. Pozwolili mi zatelefonować tylko dlatego, że pan kapitan zobaczył ten pani piękny portret. Musi pani natychmiast coś zrobić, bo inaczej wszystko doszczętnie zniszczą!

– Posłuchaj, Otilie! To, co mówisz, jest rzeczywiście straszne, ale są doprawdy straszniejsze rzeczy – powiedziała Elisabeth, z trudem opanowując histeryczny śmiech. Gustav mógł być wszędzie, ale na pewno nie w ich mieszkaniu. Dlatego wiedząc, że jej ukochane dzieci leżą bezpiecznie obok niej w ciepłym łóżku, dodała: – To tylko przedmioty, Otilie. Czy oni nie zrobili krzywdy tobie lub Bercie? Jesteście całe i zdrowe?

– Tak, tak, ale wszystkie szkła i meble, i pościel! Wszystko zniszczone, wszystko brudne – lamentowała dalej służąca.

– Z tym wszystkim damy sobie jakoś radę, Otilie. Najlepiej będzie, jak przekażesz słuchawkę temu kapitanowi.

W tym czasie umysł Elisabeth pracował na najwyższych obrotach. Przypomniała sobie wizytę u pana von Meyerlincka, dokumenty i pełnomocnictwa, jakie zdeponował u niego Gustav, i słowa adwokata, który na pożegnanie uprzedził ją, że „oni” już wkrótce będą wiedzieli o planach ucieczki.

Przeszukanie świadczyło o tym, że ta chwila właśnie nadeszła, dlatego Elisabeth musiała najpierw wy badać, na ile życzliwy okaże się oficer kierujący całą akcją. Później nie zostanie jej już nic innego, jak tylko ponownie zwrócić się o pomoc do pana Brunnmanna, wydłużając w ten sposób listę zobowiązań wobec niego o kolejną pozycję.

– Kapitan Kaspar Brandmaier. Heil Hitler! – wrzasnął w słuchawkę męski głos, nie mniej głośno, jak przed chwilą Otilie. Trzaśnięcie obcasami odbiło się w słuchawce takim echem, że Elisabeth dosłownie poczuła ból w wyczulonym na dźwięki uchu.

– Dziękuję panu, kapitanie, że pozwolił pan mojej służącej porozumieć się ze mną. Nie wątpię, że ma pan istotny powód, by dokonać tego przeszukania, i że wypełnia pan rozkazy swych przełożonych. Chciałabym jednak poinformować pana, że jestem właśnie w Berlinie, gdzie staram się wyjaśnić sprawę zniknięcia mojego męża. Pan feldmarszałek Göring osobiście się tym zajmuje, o czym zapewnił mnie ostatnio podczas wspólnej kolacji. Czy istnieje możliwość, aby pan przerwał teraz przeszukanie, a ja postaram się, aby w ciągu najbliższych godzin otrzymał pan odpowiednie instrukcje z Berlina?

– Bardzo mi przykro, łaskawa pani, ale otrzymałem jednoznaczne rozkazy. Oczywiście, jak najbardziej

może pani złożyć zażalenie w Berlinie. Jednocześnie zapewniam, że pani aryjski personel nie ma się czego obawiać.

Słowa kapitana zabrzmiały tak zdecydowanie i odpychająco, że Elisabeth nie miała cienia wątpliwości, iż człowiek ten bez reszty przesiąkł brunatną ideologią. A to z kolei oznaczało, że utracił zdolność samodzielnego myślenia i nie jest w stanie spojrzeć wyżej kołnierza munduru.

W słuchawce znowu rozległ się wyjątkowo donośny hałas i Elisabeth usłyszała w tle głos Otilie, krzyczącej: „Jezus, Maria, nasza piękna serwantka!” Niemal widziała, jak służąca w przerażeniu zasłania twarz dłońmi.

Chociaż na usta cisnęło jej się niejedno ostre słowo, jakimś cudem zachowała spokój, a wiedząc, że niczego więcej nie osiągnie i dalsza rozmowa byłaby stratą czasu, rzekła z wymuszoną uprzejmością:

– Mimo wszystko bardzo panu dziękuję, kapitanie.

Oficer oddał słuchawkę Otilie i Elisabeth, by uspokoić służącą, przekazała jej wiadomość, iż Deborah i Wolfgang cali i zdrowi znaleźli się u niej w Berlinie, oraz obiecała, że wróci do domu najszybciej, jak to będzie możliwe.

Oczywiście wobec takiego obrotu spraw Elisabeth była zmuszona zrezygnować z wyjazdu do Stuttgartu i osobistego sprawdzenia, co się dzieje z nieszczęsną Magdą. Ciężar trosk przygniatał ją coraz bardziej. A przecież nawet nie przeczuwała, że nocne przeszukanie w jej domu będzie mieć dla niej dalece bardziej fatalne następstwa.

Odczekała do siódmej rano i zatelefonowała do biura pana Brunnmanna. Tu ku swemu zmartwieniu dowiedziała się, że tego dnia „pan Obersturmbannführer nie będzie obecny, ponieważ wyjechał służbowo”, lecz zaraz jednak pocieszyła się, że to przecież i tak bez znaczenia, bo w końcu szkody w domu i tak już zostały zrobione.

Elisabeth zastanawiała się przez chwilę, czy zadzwonić raz jeszcze do biura Göringa, lecz ostatecznie górę wzięła niechęć do grubego feldmarszałka i zdecydowała, że jeszcze tego samego dnia wróci z dziećmi do Monachium. Jej berlińskie starania i próby wyjaśnienia losu małżonka spełzły na niczym, więc w zasadzie mogła równie dobrze próbować szczęścia z domu. Poza tym Monachium leżało bliżej Stuttgartu niż Berlin, więc Elisabeth mogła zaraz nazajutrz wybrać się w podróż do Magdy i jeszcze tego samego dnia wrócić do domu.

Nie był to jednak koniec niemiłych niespodzianek tego dnia, albowiem kiedy Elisabeth poprosiła o przygotowanie rachunku za hotel, jej bank odmówił wykonania przekazu telegraficznego, na który nalegała administracja Adlonu.

I dopiero wtedy, stojąc w hotelowej recepcji, zmuszona dzwonić do swojego skąpego impresaria i prosić go o pożyczkę pieniędzy na hotel i trzy bilety do Monachium, uświadomiła sobie w pełni swoje oplakane położenie – została całkowicie bez środków do życia!

Spełniły się zatem ponure przewidywania mecenasa Meyerlincka, który spodziewał się, że jedną z konsekwencji przeszukania w jego kancelarii będzie konfiskata majątku doktora Berchingera.

Wprawdzie Elisabeth miała jeszcze własne konto bankowe, na które wpływały gaże za występy, ale wyczerpała je niemal do zera, przygotowując się do wyjazdu. W ten sposób, o ironio, właśnie przez to, że wraz z Gustavem nie chcieli zostawiać w kraju ciężko zarobionych pieniędzy, umożliwili nazistom zagrabienie ich całego majątku, włącznie z tym, co Elisabeth zarobiła jako artystka.

W tej chwili nie miała grosza przy duszy. Nie dysponowała nawet swoją cenną biżuterią i nie liczyła na to, że kiedykolwiek ją jeszcze odzyska. Obawiała się, że jej naszyjnik już dawno ozdobił tęgą szyję żony jakiegoś nazistowskiego bonzy ze Stuttgartu. Został jej tylko sznur pereł, złoty zegarek oraz

pierścionek i obrączka ślubna na palcu.

Odszukała spojrzeniem dzieci, które stały w recepcji przy obrotowym stojaku na pocztówki. Deborah pokazywała małemu Wolfgangowi herb Berlina, ten zaś z przejęciem wspinał się na palce, żeby wszystko dokładnie widzieć. Elisabeth pomyślała, że ta dwójka to jej prawdziwy i jedyny skarb, i jej serce uleciało na skrzydłach ku nim. Dla swoich dzieci gotowa była zrobić wszystko, ale to dosłownie wszystko, nawet gdyby miała zawrzeć w tym celu pakt z samym diabłem!

Pierwszym zadaniem nowej głowy rodziny było zatem zarobienie pieniędzy. Znając swojego obrotowego impresaria, domyślała się, że ten pewnie już zaczął szukać dla niej propozycji występów w całej Rzeszy – w końcu pieniądze, które jej pożyczył, musiały do niego wrócić.

Poczuła bezbrzeżne rozgoryczenie. Nazistowski reżim osiągnął to, do czego od dawna zmierzał. Miał teraz na własność wierną i pokorną artystkę Elisabeth Malpran, która gotowa była poświęcić się dla swych dzieci na ołtarzu brunatnej kultury.

Nie minął nawet miesiąc, a Elisabeth wróciła na deski berlińskiej Staatsoper przy Unter den Linden, by w obecności Führera i asystującego mu Göringa, obwieszonego orderami i uśmiechniętego od ucha do ucha, jakby to była jego zasługa, święcić swoje premierowe przedstawienie.

Jej mąż nadal był uznawany za zaginionego.

Monachium

– To skandal, pani doktorowo! Wszystkie te piękne rzeczy, żeby tak po prostu porozbijać? Zabrali tylko papiery pana doktora, nic więcej. Miałam ich na oku. Zastawy i meble, i wszystko inne, to porozwalali dla zwykłej zabawy. Zachowywali się jak rozwydrzeni hultaje. Dla mnie to niepojęte, jednemu z drugim jak nic należałoby się parę batów na goły zadek.

– Już dobrze Otilie, było, minęło – powiedziała zmęczonym głosem Elisabeth, zmuszona słuchać tej litanii co najmniej trzeci raz, odkąd wróciła do domu. Dobrze, że ustały chociaż lamenty Berthy, która sama wyniosła się w końcu do kuchni, mamrocząc:

– No, ale dzieci i pani doktorowa muszą teraz zjeść coś dobrego!

Otilie i Bertha trzymały się przez cały dzień, zamiatając potłuczone szkło, ustawiając na powrót kredensy, komody i szafy, porządkując pościel, wynosząc pocięte obrazy i uszkodzone meble do schowka, żeby pani je przejrzała i zdecydowała, co z nimi zrobić. Jednym słowem: uratowały wszystko, co dało się uratować; były niczym dwie perły ścigające się, która z nich bardziej błyszczący.

Elisabeth nie szczędziła im pochwał i słów otuchy, ale teraz poczuła, że sama potrzebuje trochę spokoju, i delikatnie wyprosiła urażoną Otilie za drzwi. Czuła, że nadciąga nowy atak migreny, a ponieważ wciąż nie miała apetytu, poprosiła Otilie o filiżankę herbaty. Dzieci razem z Pszczołką zjadły kolację w kuchni, ze służbą.

Następnego dnia Elisabeth znów miała podwyższoną temperaturę. Deborah z samego rana zeszła na dół do gabinetu ojca, żeby przynieść jej lekarstwo, ale wszystko zostało rozbite lub zabrane. Otilie znów poczęła lamentować:

– Jezus Maria, z tego wszystkiego całkiem wyleciało mi z głowy. Przecież tam też byli, tępe opryszki. Ach, taki piękny gabinet, co też pan doktor na to wszystko powie, jak wróci!

Elisabeth obawiała się nowej niekończącej się litanii skarg, toteż wysłała Otilie po kolejną filiżankę herbaty, do której Bertha dołała niezamawiany dodatek w postaci rumu, uznawanego przez siebie za uniwersalne lekarstwo.

Około południa zatelefonował Albrecht Brunnmann, lecz wyczerpana Elisabeth akurat spała. Deborah nie chciała jej budzić, więc sama odbyła z nim rozmowę.

Brunnmann poinformował ją, że Magda jeszcze dzisiaj będzie wysłana z transportem więźniów do komendy II policji w Monachium, a stamtąd zostanie odstawiona na Prinzregentenplatz.

Deborah czekała przez cały dzień, lecz Magda się nie zjawiła. Dziewczynka czuła, jak z każdą godziną wzbiera w niej niecierpliwość, a złowrózne przecucia piętrzą się przed nią jak wielka góra.

Elisabeth tego dnia bardzo źle się czuła, kaszlała i miała wysoką gorączkę, przespała więc niepokoję córki, być może również dlatego, że w herbacie przyprawionej przez Berthę znalazło się więcej rumu, niż to było wskazane z medycznego punktu widzenia. Deborah wyłowiła zatem z torebki matki wizytówkę Albrechta Brunnmanna, ale kiedy zadzwoniła do sekretariatu jego biura, usłyszała, że ten znowu wyjechał.

Następnego dnia w południe Magda wciąż jeszcze nie wróciła do domu, a Elisabeth nadal była

obłożnie chora. Deborah nie mogła już dłużej znieść niepewności i postanowiła dowiedzieć się czegoś na wspomnianej komendzie II monachijskiej policji.

Chociaż Magda była o piętnaście lat starsza od swej podopiecznej, szybko stała się jej zaufaną przyjaciółką i powiernicą, toteż Deborah czuła się w obowiązku przyjść jej z pomocą w potrzebie. Zresztą, tłumaczyła sobie dziewczynka, próbując dodać sobie odwagi, *lepiej zrobić cokolwiek, niż siedzieć beczynnie*. Zważywszy na fakt, że całkiem niedawno miała nader niemiłą okazję na własnej skórze doświadczyć brutalności policji, to jak na ledwie czternastolatkę dała dowód nadzwyczajnej odwagi i zdecydowania.

Być może była to po części zasługa odziedziczonej po matce impulsywności, choć trzeba przyznać, że dziewczynce brakowało jeszcze umiejętności wykorzystywania jej we właściwym momencie.

Na klatce schodowej domu doszło do pewnego opóźnienia: otóż Deborah wpadła wprost w ramiona starego generała zajmującego mieszkanie na trzecim piętrze ich kamienicy.

(Swoją drogą Otilie, która najczęściej ze wszystkich domowników miała sposobność spotykać staruszkę, pozwoliła sobie całkiem niedawno na kąśliwą uwagę, że ten człowieczek to chyba najbardziej leciwy piernik w całej Rzeszy i już choćby z tego tytułu należy mu się jeszcze jeden, specjalny order. Magda, która wtedy cerowała pończochę, dodała z uśmiechem, że przecież staruszek ma i tak więcej orderów, niż mu się mieści na piersi, po czym służąca i guwernantka z rozbawieniem wszczęły dysputę, jakież to wolne miejsce wyszukałby sobie pan generał, gdyby miał dostać jeszcze jakiś order – dysputę, która pośród chichotów zaprowadziła je gdzieś w okolice rozporka).

Deborah, dygnawszy grzecznie, zamierzała wyminąć generała, lecz ten, choć zwykle ignorował młodych ludzi, traktując ich, jakby byli powietrzem, akurat dzisiaj wyglądał na spragnionego towarzystwa. Zastąpił zatem dziewczynce drogę i zagadnął tubalnym głosem, który niegdyś niósł się po polach bitew:

– Proszę mi powiedzieć, panienko, co tam się u państwa ostatnio dzieje. Gabinet zamknięty, a doktora w ogóle nie widać. I gdzież to się podziewa pani Elisabeth? Proszę raportować!

Deborah nie miała innego wyjścia, jak tylko wyjawić generałowi, że jej ojciec przepadł bez wieści, mama jest chora, a guwernantka najprawdopodobniej wciąż jeszcze siedzi w więzieniu oskarżona o kradzież. Ona sama zaś udaje się właśnie na najbliższy posterunek policji, aby zasięgnąć informacji o miejscu pobytu swej nauczycielki.

Słyszając to, generał zapałał świętym oburzeniem i zaczął pomstować na jakichś austriackich gefrajtrów i ich manię wielkości oraz brunatną hołotę, za co spokojnie mógłby zawrzeć znajomość z gestapo na tyle lat, ile dźwigał na karku. A potem nabrał głęboko powietrza, co zaowocowało chrypliwym rykiem chorego na oskrzela jelenia – a w istocie mogło być jego osobistym sygnałem do ruszenia na polowanie – i wyrzekł słowa, których Deborah nigdy by się po nim nie spodziewała:

– Idę z panienką!

Dziewczynkę z miejsca ogarnęło niedobre przeczucie, lecz w oczach generała była jeszcze dziecięca, dla którego takie zadanie to stanowczo zbyt wiele, on zaś był przecież żołnierzem cesarza Wilhelma oraz udekorowanym licznymi orderami i posiadającym poważne wpływy weteranem wojennym!

I tak oto ramię w ramię wyruszyli na wojnę. Generał z wysuniętą dumnie brodą i wypiętą pierśią, zamasyście wyciągając przed siebie nogi i stukając laską, a u jego boku Deborah, wystrojona jak dama, w pierwszych w jej młodym życiu bucikach z obcasem. Miała na sobie kostium znaleziony w szafie mamy, a na starannie upiętych do góry włosach nasadzony figlarny kapelusik. Znakomity zestaw dla kogoś, kto potrzebuje dodać sobie lat i powagi.

Wkrótce dotarli do celu. Dzielny wojak szturmem zdobył biuro policji i z miejsca wypalił jak stara

haubica. W powietrzu niczym pociski poczęły fruwać słowa w rodzaju „ja żądam” i „ty to sobie możesz żądać, staruszk”, „czy pan wie, do kogo pan mówi?” i „a weź mnie pan cmoknij” oraz inne, podobne tym uprzejmości.

W tej sytuacji niedoceniony w swej sławie generał zaordynował przeciwnikowi kurację, jaką za dawnych dobrych czasów stosowano wobec każdego bezczelnego hultaja, a mianowicie zdzielił go laską przez łeb. Deborah poczuła, że robi jej się słabo.

Coś takiego w żadnym wypadku nie mogło ujść płazem. Toż to czynna napaść na urzędnika Rzeszy Niemieckiej! Nic dziwnego, że koledzy przywołanego do porządku funkcjonariusza niezwłocznie przystąpili do aresztowania generała.

To wszelako okazało się wcale nie takim łatwym zadaniem, ponieważ generał był, bądź co bądź, sławnym wojakiem, zaprawionym w bojach na licznych frontach. Szybko więc w ruch poszła laska, trafiając tu czyjeś oko, tu znowu nos, tak że w końcu trzeba było trzech ludzi, by okiełznać rozszalałego staruszka.

Wtedy jednak generał dopuścił się czynu doprawdy niewiarygodnego: wydał z siebie dźwięk przypominający coś jakby „krchchch”, chwycił się za ordery, niby w geście ostatniego salutu, a potem padł płasko na podłogę i wyzionął ducha. Zaprawdę bohaterska śmierć w obliczu wroga!

Policjantom zrzędyły miny, gdyż teraz czekało ich mnóstwo zwykłych w takich razach formalności: trzeba było spisać protokół, dokonać obdukcji zwłok, no i w ogóle odpowiedzieć na wiele pytań i udzielić wyjaśnień.

Dopiero kiedy generała już wyniesiono (trzeba przyznać, że mimo wszystko miał potem bardzo ładny pogrzeb, a jego ordery wspaniale się prezentowały za trumną), jeden z policjantów, ze świeżym plastrem na nosie, przypomniał sobie, że przecież staruszek zjawiał się w nader powabnym towarzystwie, zapytał obecnych w biurze kolegów:

– A gdzie się podziała ta ładna panienka?

Tymczasem Deborah wobec nader niekorzystnego obrotu spraw od razu wycofała się dyskretnie, zamierzając wrócić na komisariat w dogodniejszym momencie. Tego planu nie zdążyła już jednak zrealizować, bo kiedy tylko weszła do domu, Otilie od samego progu przywitała ją krzykiem:

– A gdzie to się panienka podziewa? Jest już Magda! Wygląda okropnie. Cała się mieni jak tęcza i w ogóle nie ma na głowie włosów. Jezusie Nazareński, żeby tak pan doktor tu teraz był!

Magda rzeczywiście wyglądała na strasznie poturbowaną. Właściwie powinna była udać się do szpitala, ale gdy o tym wspomniano, gwałtownie się sprzeciwiła. Otilie natychmiast pobiegła więc po doktora, który jednak zjawiał się dopiero pod wieczór, bo czasy nastały takie, że w mieście było zbyt wielu pacjentów, a za mało medyków. Większość żydowskich lekarzy wyjechała już z Monachium, z mocy prawa utraciwszy możliwość pracy w szpitalach i kasach chorych, następnym zaś krokiem, jaki planował rząd, było całkowite cofnięcie im prawa do wykonywania zawodu, a tym samym pozbawienie ich rodzin podstaw egzystencji.

Lekarz stwierdził u Magdy złamanie kilku palców, poza tym jej ciało nosiło ślady licznych uderzeń i rzeczywiście mieniło się różnymi barwami, tak jak to powiedziała Otilie. Magda jednak była bardzo dzielna i twierdziła, że to, co ją spotkało, to błahostka. Zamiast uzalać się nad sobą, zalewała się łzami radości, widząc, że Deborah i Wolfgang są cali i zdrowi. Sądząc po tym, jak oprawcy potraktowali ją samą, żywiła jak najgorsze obawy co do losu swych podopiecznych.

Kiedy na zakończenie badania zwymiotowała lekarzowi na buty, ten fachowo uzupełnił diagnozę o wstrząśnienie mózgu i poszedł obejrzeć Elisabeth, atakowaną przez podstępą infekcję – co nie dziwiło po przejściach ostatnich dni.

Doktor zaordynował Elisabeth co najmniej tydzień bezwzględniego leżenia w łóżku oraz wiele

wzmacniających herbatek *à la* Bertha, a również przy okazji pozwolił sobie wychylić naparsteczek rumu. A potem jeszcze jeden. Deborah miała głęboką nadzieję, że biedny pan doktor nie ma już tego dnia żadnych domowych wizyt.

Spotkanie z lekarzem bardzo wzmogło tęsknotę dziewczynki za ojcem, ale chociaż mijały kolejne dni, wciąż nie było od niego żadnej wiadomości.

Dwa tygodnie później Albrecht Brunnmann telefonicznie zapowiedział się z wizytą przy Prinzregentenplatz.

Do tego czasu Elisabeth zdążyła wydobrzeć na tyle, że mogła odbyć pierwsze ćwiczenia głosu przed zakontraktowanym już występem na scenie berlińskiej Staatsoper. Stąd też przyjęła Brunnmanna w pokoju muzycznym, gdzie miejsce starego fortepianu, okrutnie sprofanowanego przez wiernych reżimowi ignorantów, zajął nowy instrument, jeszcze niezapłacony.

Albrecht Brunnmann przyniósł ze sobą tyleż niespodziewany, co miły prezent: skonfiskowaną biżuterię Elisabeth. Kolekcja była kompletna i zupełnie nieuszkodzona. Gospodyni była zdumiona, ponieważ po wszystkim, co ostatnio przeżyła, spodziewałaby się czegoś wręcz przeciwnego. Oczywiście nie dała po sobie poznać tych przemyśleń, zwłaszcza w obecności wysokiego rangą przedstawiciela reżimu, lecz kiedy uniosła głowę, zorientowała się po wyrazie oczu Brunnmanna, że ją przejrzał.

Albrecht Brunnmann nie był specjalnie rozmowny, a już najmniej, jeśli chodziło o jego własną osobę, tego dnia jednak Elisabeth dowiedziała się przynajmniej tyle, że jej gość jest z wykształcenia inżynierem budowy maszyn i do chwili objęcia władzy przez nazistów pracował w niemieckiej filii amerykańskiego towarzystwa naftowego.

Czym zajmował się od początku roku 1933, w szytym na miarę mundurze SS i w trakcie rozlicznych podróży w wypolerowanym zawsze na błysk mercedesie z szoferem i proporczykiem, tego Elisabeth się nie dowiedziała i nawet nie próbowała pytać. Wprawdzie nie przyznawała się do tego nawet przed sobą, ale bała się tej wiedzy. Liczyło się tylko to, że Brunnmann uratował jej dzieci, uwolnił Magdę od zarzutu kradzieży i odzyskał jej biżuterię. Miała prawo odczuwać wdzięczność.

Niestety, zwrot kosztowności szybko okazał się typową dla tych czasów – czytaj: niekorzystną dla Elisabeth – formą handlu wymiennego. Oprócz precjozów pan Brunnmann przyniósł bowiem również urzędowe poświadczenie zajęcia „nieruchomości przy Prinzregentenplatz 10”. Jako właściciel nieruchomości figurował Gustav Berchinger, jednak w oczach reżimu małżonek Elisabeth był żydowskim zbiegiem i wszystko, co kiedykolwiek z mocy prawa było jego własnością, należało teraz do Rzeszy i jej Führera.

Utrata domu była dla Elisabeth kolejnym bolesnym ciosem, jednak przewidujący pan Brunnmann od razu pomyślał o rozwiązaniu tej niedogodności: otóż nabywszy legalnie tę nieruchomość, zaproponował teraz zdruzgotanej pani Malpran, by pozostała wraz z dziećmi w dotychczasowym mieszkaniu tak długo, jak będzie miała na to ochotę. Następnie wyciągnął z aktówki plik dokumentów i okazał przygotowaną już umowę wynajmu na jej nazwisko.

Zaproponowana kwota czynszu była w istocie bardziej niż przystępna, toteż Elisabeth, wciąż jeszcze zdezorientowana i w szoku po otrzymaniu wiadomości o wywłaszczeniu, podpisała dokument natychmiast i bez chwili zastanowienia.

Tym samym, zapewniwszy dzieciom dach nad głową, poczuła ogromną ulgę. Podczas spotkania wielokrotnie też zapewniła pana Brunnmanna, że gdy tylko zdobędzie niezbędne środki, natychmiast, ma się rozumieć, odkupi od niego tę nieruchomość.

Przy okazji ponownie poprosiła o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu jej małżonka, gość zaś ze swej strony obiecał zająć się również tą sprawą.

Sama Elisabeth jeszcze kilkakrotnie odbyła podróż koleją do granicy szwajcarskiej, okazując każdej napotkanej osobie zdjęcie Gustava. Wszystkie te próby miały chyba po części być jakby potwierdzeniem dla niej samej, że Gustav nadal jest bliski jej sercu i że nigdy o nim nie zapomni. I rzeczywiście – mijały tygodnie i miesiące i z każdym dniem bladła nadzieja na szczęśliwe odnalezienie Gustava, lecz miłość Elisabeth do męża trwała niezmiennie.

W listopadzie 1938 roku, po pięciu miesiącach występów w różnych miastach Rzeszy, Elisabeth uświadomiła sobie, że nie otrzymała ani jednego zaproszenia na wielkie sceny Paryża, Londynu czy Brukseli. Pojawiło się jedynie zaproszenie do faszystowskiego Rzymu.

Niczego nie przeczuwając, zagadnęła w tej sprawie swojego austriackiego impresaria, który po dłuższych ceregielach, wijąc się jak piskorz, przyznał, że został poproszony przez pewną wyższą instancję, aby nie uwzględniać w tego typu propozycjach sopranistki Elisabeth Malpran.

Wtedy Elisabeth zrozumiała, że władze trzymają ją w kraju w charakterze zakładnika. W pierwszej chwili ogarnęła ją wściekłość, a potem zdecydowana wola działania. Uznano, że nie można na niej polegać? W takim razie proszę bardzo, skoro władze i tak uważają ją za „niepewny element”, to w żadnym razie nie chciałyby ich rozczarować.

I tak oto w listopadzie 1938 roku Elisabeth zaczęła po raz drugi planować ucieczkę z Niemiec.

Kilka dni wcześniej przez Monachium ponownie przetoczył się diabelski karnawał. Tego wieczora Elisabeth stała w oknie swojego salonu na czwartym piętrze i patrząc na łunę jaśniejącą nad miastem, z przerażeniem uświadomiła sobie, że faszystowski obłęd będzie się niepowstrzymanie szerzył, dopóki nie pochłonie wszystkiego, co było dotąd dobre i piękne.

Tej złowrogiej nocy, z 9 na 10 listopada 1938 roku, w całej Rzeszy zapłonęły żydowskie sklepy, a żydowscy obywatele zostali wywleczeni ze swoich domów i mieszkań. Los ostatnich dwóch zachowanych jeszcze synagog w Monachium również został tej nocy przypieczętowany przez ogień.

Żydowska kultura i wszelkie przejawy żydowskiego życia miały zostać całkowicie wymazane – taka była wola Führera.

Był to jednak dopiero początek listopadowych pogromów. Ta noc stała się świadectwem postępującego odczłowieczenia i moralnego zbydlęcenia panującej kasty. Wkrótce nazwano ją „kryształową nocą”, lecz Elisabeth uważała, że takie niewinnie brzmiące określenie w najmniejszym stopniu nie pasuje do przerażających wydarzeń związanych z tą datą. Z drugiej strony – czyż istnieje właściwe słowo, by je opisać?

Mimo niezliczonych pożarów wznieconych przez bojówki SA, w zasadzie nie zanotowano żadnych szkód, jeśli idzie o domy należące do Aryjczyków, jako że rozkaz wydany straży pożarnej nie brzmiał: „gasić”, tylko „zapobiec rozprzestrzenieniu się żydowskiego ognia na aryjskie domy”.

Naród niemiecki trzeba było przecież utrzymać w dobrych nastrojach i religijnej wręcz czci dla Führera. A naród niemiecki uczył się szybko. Przede wszystkim nauczył się odwracać wzrok i nie wtrącać, gdy nieszczęście spotyka innych. Cały naród w przedziwny sposób nabawił się dobrowolnej ślepoty.

Stojąc tak przy oknie, Elisabeth rozmyślała, z jaką to wirtuozerią narodowi socjaliści używali instrumentu terroru i jak perfekcyjnie opanowali partyturę autorytarnych rządów: soliści głośni i fanatyczni, obywatelski chór cichy i bierny, byle tylko nie zwrócić na siebie uwagi dyrygenta i nie poczuć na grzbiecie karcących rąk.

Uwertura zniszczenia i zagłady rozpoczęła się od definitywnego spustoszenia niemieckich miast, a jej echo rozniosło się po dalekim świecie, lecz mimo to na odpowiedź przyszło jeszcze bardzo długo poczekać.

Elisabeth pojęła tej nocy jedno: jej dzieci nigdy nie będą bezpieczne w kraju rządzonego przez nazistów.

Wkrótce ponownie zwróciła się o pomoc do ambasady brytyjskiej. Tym razem jednak jej zamiar okazał się o wiele trudniejszy w realizacji – i to pomimo tego, że mogła wskazać w Londynie poręczyciela w osobie brata swojego męża.

W tym czasie liczba osób chcących wjechać do Wielkiej Brytanii wielokrotnie przewyższała liczbę osób deklarujących chęć opuszczenia Wysp, toteż władze brytyjskie zażądały okazania depozytu w Bank of England, który pokryłby koszty utrzymania Elisabeth na lat pięć, a jej dzieci na dwa.

Elisabeth nie dysponowała taką sumą, a nie chcąc prosić o pomoc Paula Berchingera, wpadła na

pomysł, by sprzedać w tym celu część swoich kosztowności. Niestety, na taki koncept łatwo było wpaść, ale trudniej było go zrealizować, o czym Elisabeth rychło się przekonała. Ponieważ rzesza opuszczających kraj przymusowych emigrantów postanowiła w taki sam sposób zdobyć środki finansowe, podyktowana rozpaczą podaż zaczęła znacznie przewyższać popyt, w związku z czym ceny wyrobów jubilerskich dramatycznie spadły. Mimo to dzięki kontaktom jej amerykańskiego przyjaciela, Mr. Lochnera, udało się sprzedać niektóre z klejnotów. Propozycję Mr. Lochnera, który zaoferował się, że pomoże jej w organizacji wyjazdu, Elisabeth odrzuciła, ponieważ nie chciała mu narobić kłopotów.

Był to z jej strony gest wprawdzie bardzo szlachetny, lecz – jak miało się wkrótce okazać – niezbyt mądry.

Przygotowania do ucieczki przeciągnęły się aż do wiosny 1939 roku, głównie dlatego, że na koniec marca Elisabeth miała zaplanowany dobrze płatny kilkutygodniowy angaż w Wiedniu, gdzie miała śpiewać partię Desdemony w *Otelli* Verdiego. W obecnej sytuacji nie mogła sobie pozwolić na rezygnację z tej pokaznej gaży.

W końcu oporny impresario uległ naleganiom swej podopiecznej i przesłał jej oficjalne zaproszenie na występ w wieczornej pieśni w luksusowym hotelu Baur au Lac w Zurychu. Miało to być jej alibi na wypadek, gdyby została rozpoznana w pociągu. Miała też podróżować oficjalnie, nie pod swoim artystycznym pseudonimem, lecz pod nazwiskiem męża, które widniało również w paszportach dzieci. Albrecht Brunnmann już wiele miesięcy temu na jej prośbę – oczywiście nie mając pojęcia o prawdziwych zamiarach Elisabeth – zadbał, aby w ich dokumentach nie pojawiła się żadna adnotacja o żydowskim pochodzeniu.

W piątek 9 czerwca 1939 roku, niemal dokładnie rok po zniknięciu Gustava, nadeszła chwila wyjazdu.

Po południu cała czwórka uciekinierów – Elisabeth, dzieci oraz Magda – miała wsiąść do pociągu jadącego do Szwajcarii. tego samego, który swego czasu wybrał doktor Gustav Berchinger.

Deborah leżała w łóżku, żegnając się w duchu z dotychczasowym życiem. Matka właśnie wtajemniczyła ją w swoje plany.

Następnego ranka miały podjąć kolejną próbę ucieczki z kraju.

Myślała o ojcu i o tym, co też się z nim teraz dzieje. Podobnie jak matka, wciąż miała nadzieję, że kiedyś go jeszcze zobaczy.

Przypomniała sobie, jak mając ledwie kilka latek, usłyszała od niego, jak stara jest Ziemia: liczyła kilka miliardów lat! Ojciec mówił, że świat zmienia się bardzo powoli, oddychając spokojnie w rytm wieczności, dlatego krótki czas istnienia ludzi na Ziemi jest niczym mgnienie oka. Przypuszczalnie Ziemia nawet jeszcze nie zauważyła, że pojawił się na niej człowiek. Lecz tamte słowa nie dawały jej dzisiaj spokoju, jako że na własnej skórze doświadczyła tego, z jak przerażającą szybkością zmienił się świat w ostatnich latach.

Samozwańcza rasa panów, uskrzydłona potworną, niszczycielską siłą, awanturowała się tak głośno, że udręczona Ziemia z pewnością zwróciła już uwagę na wzniecany przez człowieka niepokój.

Deborah po raz pierwszy pojęła tę zmianę, mając dziewięć lat, krótko po tym, jak Niemcy wybrały nowego kanclerza i ten nowy władca i jego zwolennicy ogłosili, że przedstawiciele narodu żydowskiego, do którego należał także jej ojciec, są niemiłe widziani we własnym kraju. Wujek Fritz, dziennikarz, którego głośnym i barwnym rozmowom z ojcem tak chętnie się przysłuchiwała, wkrótce potem po prostu zniknął. Chociaż była jeszcze bardzo młoda i nie umiała sobie tego wszystkiego prawidłowo wyjaśnić, to jednak rozumiała, że rozmowy, które tak jej się podobały, dla niektórych były nie do przyjęcia. Od tej chwili miała poczucie, jakby w jej młodym życiu jedno nieszczęście goniło drugie, jakby następowała katastrofa za katastrofą, jakby jedna tragedia była pożywką dla kolejnej, następującej zaraz potem.

Za tydzień miała skończyć piętnaście lat. Swoje czternaste urodziny spędziła w obskurnej więziennej celi. Gdzie będzie obchodzić piętnaste? W Londynie, u wujka Paula, którego już prawie nie pamiętała?

Własna przyszłość wydawała jej się czymś nierzeczywistym. Odsuwała od siebie myśl o tym, co ją czeka – być może dlatego, że w swoim młodym życiu zdążyła się już przekonać, iż właśnie to, czego ze szczególnym utęsknieniem wyczekujemy, zawsze okazuje się inne niż w naszych wyobrażeniach.

Miała już prawie piętnaście lat i zaczynała odczuwać obietnice młodości, dzieląc pragnienia tłące się w sercach milionów dziewcząt na świecie. Kiełkowały w niej nieświadome jeszcze i niepojęte tęsknoty, lecz oprócz nich towarzyszył jej również ustawiczny ból, nie opuszczając jej nawet na chwilę, odkąd ojciec zaginął bez śladu. Czasami budziła się rano i było jej smutno. A wtedy dopadał ją nieokreślony lęk, że nigdy w swoim życiu nie zazna szczęścia.

Ale tego dnia nie chciała odczuwać smutku ani obawy. Dzielnie wbiła klin między swoje myśli a czający się lęk, skupiając uwagę na materialnym dowodzie rychłego wyjazdu: trzech ciężkich walizach, które stały w jej pokoju. Po jednej na każdego członka rodziny.

Poprzedniego popołudnia na prośbę matki, która nie czuła się na siłach sprostać temu zadaniu, Deborah sama je spakowała.

– Córeczko, kochanie, bardzo cię proszę, zrób to sama, dobrze? Znasz mnie, nigdy nie mogę się na nic zdecydować. Zrobisz to o wiele lepiej ode mnie!

Jak zawsze, kiedy spadał na nią jakiś obowiązek, tak i teraz Deborah spełniła prośbę mamy z

niebywałą wprost sumiennością. Lecz i dla niej zadanie to bardzo szybko okazało się nadspodziewanie trudne. Zasadnicze pytanie, na jakie musiała odpowiedzieć, brzmiało: w jaki sposób dokonać wyboru spośród rzeczy, które dotychczas stanowiły całe jej życie, kiedy ma się do dyspozycji tylko jedną walizkę?

Bardzo długo rozważała tę kwestię, aż wreszcie doszła do wniosku, że to wszystko, co można rzucić na ziemię, rozbić, pociąć albo w jakikolwiek inny sposób nieodwołalnie zniszczyć, a więc wszystko, co ma wymiar fizyczny i zostało wytworzone przez człowieka, nigdy nie będzie tak cenne, jak wspomnienia, które można zabrać ze sobą w dowolnej ilości. Od tego momentu wybór był prosty. Dzięki temu zamknięcie walizki nie wymagało też siadania na wieku.

Na tych czynnościach zeszło jej do wieczora, a że lubiła zapadający zmrok, nie zapaliła światła w pokoju i teraz widziała jedynie trzy kanciaste kształty.

Od wielu lat walizki firmy Louis Vuitton były wiernymi towarzyszkami podróży jej matki.

Podczas jednej z tras koncertowych zdarzyło się, że niespodziewanie zaginęły i odnalazły się dopiero po paru tygodniach w rekwizytorni, gdyż jeden z pracowników opery uznał ekstrawaganckie kufry za rekwizyty. Matka była wtedy niepokieszona i ojciec, aby ją rozweselić, pozwolił sobie na mały żart, układając dla nich nekrolog. Deborah wciąż miała w uszach jego głos, kiedy deklamował: „Były niezawodne i niezastąpione: skórzane i mocne, a przy tym niebywale eleganckie. Na zawsze zachowamy we wdzięcznej pamięci ich wykończenia i szlachetny błysk sprzączek”.

Elisabeth przywozła je kiedyś z wielką dumą z Paryża, gdzie nabyła je w salonie przy Polach Elizejskich. Tyleż spontanicznie, co lekkomyślnie wydała na nie całą ówczesną gażę. Deborah знаła tę historię z opowieści, gdyż nie było jej jeszcze wtedy na świecie. W następnych latach słynna śpiewaczka i jej walizki przemierzyły razem szmat drogi. Każda z nich miała nawet imię, nadane specjalnie przez Elisabeth, która od lat pozwalała sobie na drobne dziwactwo i wszystkim ludziom i rzeczom nadawała własne nazwy. Ojciec Debory określał tę skłonność jej mamy jako „odkrywanie duszy świata”.

Największą z trzech walizek Elisabeth ochrzciła zatem mianem „Diwy”, ponieważ mieściły się w niej cudowne, szyte na miarę stroje. Średnia nazywała się „Sophia”, od starogreckiego określenia mądrości, ze względu na partytury i libretta, które w niej podróżowały, a najmniejsza „Vanitas”, od łacińskiego określenia próżności, jako że zawierała niezliczone utensylia kosmetyczne oraz peruki – magiczne skarby pozwalające ich właścicielce na sceniczną przemianę.

Kiedyś Deborah i jej mama uwielbiały wspólnie buszować w ich zawartości. Dziewczynka nie raz i nie dwa podziwiała kolorowe nalepki z różnych miast Europy i świata, przypominające dawne dobre czasy i rozkosze podróżowania. Gdyby te walizki mogły mówić, naprawdę miałyby o czym opowiadać. Teraz jednak papierowe nalepki budziły w duszy dziewczynki jedynie melancholię, tak jakby czar wspomnień przysł.

Tej nocy ani Elisabeth, ani jej córka nie mogły zasnąć. Tylko mały Wolfgang spał spokojnym snem sześciolatka.

Następnego dnia godziny dzielące uciekinierów od wyjazdu ślimaczyły się niemiłosiernie. Elisabeth chciała wyruszyć z domu możliwie najpóźniej, żeby nie czekać zbyt długo na dworcu.

Bercie i Otilie, dla ich własnego dobra, powiedziała jedynie, że wyjeżdża w trasę koncertową i zabiera ze sobą dzieci, lecz obie były przecież już tak długo przy rodzinie, że z pewnością domyślały się prawdy. Sprawiały wrażenie zdenerwowanych i podejrzanie często starały się być w pobliżu swojej pani, tak że w końcu Elisabeth zapytała:

– Bardzo przepraszam, ale co też się z wami dziś dzieje? Człowiek potyka się o was częściej niż o jamniczkę!

W trosce o wierne służące Elisabeth potajemnie zostawiła w swojej sypialni kopertę z wyjaśnieniem i zapłatą za cały rok z góry, w takim miejscu, żeby po ich wyjeździe Otilie mogła ją znaleźć.

Mniej więcej na pół godziny przez zaplanowanym wyjściem zadzwonił dzwonek do drzwi i Otilie zaanonsowała Elisabeth niespodziewaną wizytę Albrechta Brunnmanna.

Natychmiast zaczęła się nerwowa krzątania, ponieważ trzeba było szybko wynieść stojące już w przedpokoju walizki z powrotem do pokoju Debory.

Dopiero po fakcie Elisabeth uświadomiła sobie, że nieczyste sumienie często popycha ludzi do nieprzemyślanych działań. Równie dobrze mogła przecież powiedzieć panu Brunnmannowi to samo, co powiedziała Otilie i Bercie, a mianowicie, że właśnie wyjeżdża w trasę koncertową; w jej wypadku było to przecież zupełnie normalne. Tymczasem nerwowa reakcja wzbudziła tylko nieufność Otilie, której skonsternowane spojrzenie nie uszło uwagi Elisabeth.

Teraz Elisabeth siedziała z Albrechtem Brunnmannem przy kawie, prowadziła uprzejmą konwersację i z całych sił starała się nie spoglądać na zegar.

Niestety, tego dnia pan Brunnmann okazał się piekielnie wytrwały i towarzyski. Znowu podarował Wolfgangowi torbę cukierków, a do tego jeszcze jego ulubione łakocie, czyli prawdziwe salzburskie pralinki zwane „kulkami Mozarta”, dla Elisabeth natomiast przywiózł prawdziwy wiedeński tort Sachera, co przynajmniej pozwoliło się domyślić, gdzie też był w czasie ostatniej podróży. Bertha od razu pokroiła czekoladowy smakołyk na słusne kawałki i podała wraz z kawą.

Pan Brunnmann siedział i siedział. Czas mijał nieubłaganie, a Elisabeth nie miała żadnego pomysłu, jak elegancko pozbyć się nieproszonego gościa. A potem zrobiło się już zbyt późno.

Kiedy po bitych dwóch godzinach pan Brunnmann zaczął się wreszcie zbierać do wyjścia, nastąpiła prawdziwa chwila grozy. Gość wyjął bowiem z kieszeni małe puzderko, przygotowując Elisabeth o palpitację serca. *Na miłość boską, chyba nie zamierza mi się teraz oświadczyć!*, pomyślała, on jednak uchylił powoli wieczko, wyciągnął rękę w jej stronę i powiedział niby to obojętnym tonem:

– Przypadkowo zobaczyłem ten pierścionek u pewnego jubilera w Berlinie. Chyba należy do pani, prawda? Poznałem po niezwyklej barwie kamienia. Ten sam fiołkowy odcień, co w pani oczach. Miałbym ogromną prośbę: jeśli następnym razem będzie pani potrzebować środków pieniężnych, bardzo proszę szepnąć mi słowo. Wie pani, że jestem jej przyjacielem.

To powiedziawszy, ucałował dłoń Elisabeth – po raz pierwszy dotykając jej przy tym wargami – po czym wyszedł, zostawiając ją z bijącym jak oszalałe sercem. Elisabeth, wciąż jeszcze czując dotyk jego ust na skórze, mechanicznie wytarła dłoń o kostium i wyczerpana opadła na fotel. Zrozumiała, że nie była to zwykła przyjacielska wizyta, lecz ostrzeżenie.

Mimo wszystko, a może właśnie dlatego, postanowiła, że ponowi próbę ucieczki – i to już następnego dnia.

Nazajutrz bez żadnych przeszkód dotarła z dziećmi i Magdą do dworca, przed którym kłębiła się chmara policjantów i esesmanów.

Taksówkarz, mający na rękawie opaskę ze swastyką, odwrócił głowę w ich stronę i rzucił:

– Oho, znowu obława. Pewnie znów szukają uciekających Żydków.

Słyszac to, Elisabeth natychmiast zwróciła się do szofera:

– Rozmyśliłam się, proszę zawrócić.

Obok niej rozległ się szelest papieru. To Wolfgang przymierzał się właśnie, by wyłowić kolejny cukierek z torby, którą dostał od pana Brunnmanna.

– O, nie, mój drogi, zjadłeś już wystarczająco dużo – stwierdziła matka rozdrażnionym tonem i wyjęła

synkowi cukierek z dłoni. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć własnym oczom: na papierku, w który go zawinięto, pyszniła się wielka swastyka.

Wtedy poczuła, że nie uda jej się uciec przed przeznaczeniem.

Elisabeth odwołała wyjazd do Zurychu, lecz w żadnym razie nie zrezygnowała ze swoich planów. Pomyślała jednak, że może rozsądniej będzie odczekać kilka miesięcy przed kolejną próbą, aż „oni” – prawdę mówiąc, sama nie wiedziała do końca, kim mieliby być ci tajemniczy „oni” – pomyślą, że się poddała.

Przede wszystkim jednak nie zamierzała już nikogo wtajemniczać w swoje zamierzenia: ani ambasady brytyjskiej, ani Mr. Lochnera, a już na pewno nie swojego strachliwego impresaria, którego zresztą najbardziej podejrzewała o wyjawienie jej planów, chociaż wyraźnie i jednoznacznie prosiła go o dyskrecję w tym względzie. Człowiek ten był tyleż pozbawiony charakteru, co zainteresowany wyłącznie własnymi interesami, stąd całkiem uzasadnione podejrzenie, że mógł żywić obawy, iż z chwilą gdy Elisabeth Malpran znajdzie się za granicą, utraci najbardziej dochodowego konia ze swojej operowej stajni.

Dlatego na początek Elisabeth zaczęła się rozglądać za nowym impresariem, uznawszy, że śpiewaczka winna mieć do agenta niemal takie samo zaufanie jak do akompaniatora czy dyrygenta, co do których musi być pewna, że podadzą jej właściwe tempo i moment wejścia.

Przy okazji pomyślała ze smutkiem, że jej obecny impresario przypuszczalnie nigdy nie pojmie kryjącej się za jej decyzją ironii losu: oto bowiem lęk, że ją utraci, spowodował dokładnie to, czego tak się obawiał: utratę największej gwiazdy.

Następne trzy miesiące były dla Elisabeth prawdziwą próbą. Od dawna już była rozdarta między lękiem a nadzieją, rezygnacją a buntem. Kiedy po występie stała na scenie w burzy oklasków, miała wrażenie, jakby była osypującym się zamkiem z piasku, a przed ostatecznym upadkiem chroniła ją tylko myśl, że musi strzec swoich dzieci.

Patrząc na słuchaczy, nowych władców w galowych mundurach, z obwieszonymi biżuterią małżonkami u boku, z całych sił musiała się powstrzymywać, by nie wykrzyknąć im w twarz: „Co zrobiliście z moim Gustavem?”

Na zewnątrz wciąż była piękną i pełną blasku diwą. Występowała w Berlinie, Hamburgu i Wiedniu, a także po raz pierwszy od dawna w Monachium.

Przy okazji koncertu w rodzinnym mieście zmuszona była podać do ucałowania dłoń zniechęconemu przez siebie Heinrichowi Himmlerowi, tytułującemu ją „drogą łaskawą panią”. Przebywając w jego towarzystwie, nie mogła się uwolnić od podejrzenia, że to on musiał maczać palce w zniknięciu Gustava.

Po spektaklu Himmler zaprosił Elisabeth na bankiet, gdzie przyszło jej siedzieć u jego boku, wskutek czego przez cały czas zbierało jej się na wymioty i nie przełknęła ani kęsa.

Również Albrecht Brunnmann zaprosił ją dwukrotnie na kolację, aczkolwiek mniej oficjalną. Nadal zachowywał się w jej towarzystwie niezwykle powściągliwie, z niemalże beznamietną rzeczowością, która mogłaby budzić zdziwienie u kobiety nawet mniej ponętnej, jednak Elisabeth odniosła wrażenie, jakby od momentu, kiedy oddał jej pierścionek, w jego zachowaniu dała się zauważyć subtelna zmiana. A mimo to za każdym razem, kiedy się rozstawali i Brunnmann żegnał się z nią z nieskrępowaną swobodą, stwierdzała, że chyba jednak tym razem intuicja ją myli.

Z drugiej jednak strony już sam fakt, że w ogóle zastanawiała się nad tą kwestią, świadczył o tym, że w jej domysłach musi tkwić ziarno prawdy. Im dłużej snuła refleksje na temat zachowania Albrechta Brunnmanna, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że w jego postawie kryje się jakieś niewyartykułowane oczekiwanie. Elisabeth zastanawiała się, czy esesman nie oczekuje od niej przypadkiem czegoś więcej niż tylko głębokiej wdzięczności za uratowanie jej dzieci.

Wewnętrzne napięcie wkrótce stało się nie do zniesienia. Elisabeth sypiała jeszcze gorzej niż zwykle, zapomniała o jedzeniu, dużo podróżowała i pracowała, i czuła się coraz bardziej wyczerpana. Cierpiał na tym jej głos i zdolność koncentracji. Zmęczenie powoli zaczynało przybierać postać psychicznego znużenia i zniechęcenia, zupełnie jakby już teraz przeczuwała, jakie brzemię przyjdzie jej dźwigać w przyszłości.

Którejś nocy – właśnie wróciła z Wiednia i, jak to się coraz częściej zdarzało w ostatnim czasie, niespokojnie przewracała się z boku na bok – znowu nawiedził ją we śnie Gustav: kroczył powoli w jej stronę, by nagle zmienić się w Albrechta Brunnmanna. Obudziła się speszona i zakłopotana. Potrzebowała dobrej chwili, by dojść do siebie i uporządkować tysiące myśli przelatujących przez głowę.

I wtedy całkiem niespodziewanie, w jakimś przeblysku refleksji, która spadła na nią niczym natchnienie, zadała sobie pytanie, czy nie jest aby tak, że problem leży nie tyle po stronie Albrechta Brunnmanna, ile raczej tkwi w niej samej. Czy to możliwe, żeby to ona oczekiwała od niego więcej niż

on od niej?

Elisabeth była namiętną kobietą i artystką. Dostatecznie często musiała być na scenie ucieleśnieniem duchowej miłości i zmysłowej namiętności. Doskonale wiedziała, co to pragnienie i cielesne pożądanie, ponieważ sama doznawała ich w chwilach uniesień z Gustavem. Wiedziała też, że w rządzonej przez nazistów kraju tego rodzaju potrzeby nie są u kobiet mile widziane. Kobiety winny się ograniczać do wypełniania obowiązków w domu i przy kuchni. Przede wszystkim zaś idealna kobieta w rozumieniu ideologii narodowosocjalistycznej miała jeden święty obowiązek, a mianowicie rodzić synów, którymi Führer mógłby zapychać nienasyconą paszczę wojny.

Elisabeth nie wahała się w duchu przyznać, jak bardzo tęskni za Gustavem, od którego zaginięcia mijało właśnie piętnaście miesięcy, i że nie tylko brakuje jej jego mądrości, ale też, że jej ciało tęskni za nim jako za pełnokrwistym mężczyzną.

Czując, że jest to winna swojemu Gustavowi, starała się uczciwie i szczerze rozważyć całą sytuację, dlatego też zadała sobie pytanie, czy nie jest aby tak, iż w swojej kobiecej próżności czuje się urażona tym, że Albrecht Brunnmann wydaje się jedynym mężczyzną w jej otoczeniu, który nigdy tak naprawdę nie czynił jej awansów.

Niestety, nawet tak uczciwe postawienie sprawy niewiele pomogło i Elisabeth wciąż była tak samo zmieszana i zagubiona, jak przedtem.

Kiedy następnym razem Albrecht Brunnmann bawił w Monachium i znów zaprosił ją na kolację, Elisabeth udawała migrenę i szczerze ucieszyła się, że jej dobroczyńca był na tyle taktowny, by nie nalegać.

W lipcu pojawił się kolejny powód do zdenerwowania.

Elisabeth bawiła akurat w Berlinie, Deborah była na lekcji śpiewu, a Otilie z Magdą na targu przy Viktualienmarkt, gdy mały Wolfgang postanowił sam wybrać się na spacer ze swoją jamniczką. Bertha, która miała się nim zajmować, spała na siedząco z otwartymi ustami przy kuchennym piecu. Ostatnio często jej się to zdarzało, a ponieważ i wcześniej lubiła ucinać sobie drzemki, Otilie ze śmiechem powiedziała kiedyś do Magdy: „Jeszcze trochę i Bertha zacznie nam zasypiać przy gotowaniu. Tylko patrzeć, jak sama wyląduje w garnku!”

Kiedy Magda i Otilie wróciły z targu z pełnymi koszami sprawunków, od razu zauważyły nieobecność Wolfganga i Pszczółki. Roztropna guwernantka uznała, że raczej nie należy zawiadomiać policji, tylko czym prędzej wybiegła z domu, ciągnąc za sobą Otilie oraz Deborah, która zdążyła w tym czasie wrócić z lekcji. Wolfganga, Bogu dzięki, znalazły bardzo szybko, lecz okazało się, że chłopiec jest wyjątkowo niepokieszony, ponieważ niesforna Pszczółka zwyczajnie mu uciekła. Kontynuowano zatem poszukiwania aż do wieczora, ale niestety bez powodzenia. Wolfgang płakał tak rozpaczliwie, że Deborah nie potrafiła się na niego gniewać, lecz Bertha dostała niezłą reprimendę.

Na szczęście następnego ranka ku powszechnej radości wszystkich domowników okazało się, że Pszczółka czeka pod drzwiami mieszkania. Była wesoła i ożywiona i z miejsca spałaszowała całą miskę smakołyków przygotowanych przez skruszoną kucharkę. Widać było, że jamniczka jest szalenie zadowolona z nocnej eskapady.

Dwa tygodnie później, zaraz po powrocie Elisabeth z dziesięciodniowej, wyczerpującej trasy koncertowej przez trzy miasta, na którą zgodziła się wyłącznie dla pieniędzy, w domu przy Prinzregentenplatz znów zjawił się z niezapowiedzianą wizytą pan Brunnmann.

Elisabeth robiła wszystko, żeby okazać mu należną uprzejmość, on jednak, chociaż intuicja nie była jego mocną stroną, zorientował się, że pani Malpran traktuje tę jego wizytę bardziej jak obowiązek niż przyjemność, i szybko się pożegnał.

Kolejną próbę wyjazdu z Rzeszy Elisabeth postanowiła podjąć we wrześniu, tym razem jednak konkretną datę chciała wybrać dosłownie w ostatnim momencie, zupełnie jakby się obawiała, że naziści nauczyli się już czytać w jej myślach. Także Deborah i Magda miały się dowiedzieć o wszystkim dopiero w wigilię wyjazdu, tak aby nie zdradziły się jakimś nieostrożnym zachowaniem lub słowem.

1 września 1939 roku Otilie wróciła z targu z pustym koszem.

– Jezusie Maryjo! Łaskawa pani – opowiadała z wielkim przejęciem, niemal odchodząc od zmysłów – mamy wojnę, dokładnie tak jak przepowiedział biedny pan doktor! Nie ma się co dziwić, że tamci nazywają swoją kwaterę Brunatnym Domem, bo to Gówniany Dom jest! I jeszcze temu mojemu Hansowi do głowy nasra...

– Otilie, bardzo cię proszę, zważaj na słowa. Wolfi! – Elisabeth przerwała soczysty monolog służącej, choć doskonale rozumiała jej wzburzenie. Zarówno ojciec, jak i starszy brat Otilie polegli w czasie Wielkiej Wojny, a i jej Hansa z pewnością czekało teraz wcielenie do armii.

Niestety interwencja pani domu okazała się spóźniona i bystry Wolfgang już skakał w kółko,

wykrzykując w ekstazie:

– Brunatny dom, gówniany dom, brunatny dom, gówniany dom...!

Otilie wyniosła się cichaczem, czerwona na twarzy ze wstydu, a Elisabeth natychmiast przeprowadziła poważną rozmowę z synem, próbując mu wytłumaczyć, że słów tych za nic w świecie nie wolno powtarzać w obecności obcych. Tylko jak tu wytłumaczyć sześciolatkowi, że wolność słowa już nie istnieje? Ostatecznie udało jej się wymóc na nim stosowne przyrzeczenie dopiero pod groźbą kary, bo w końcu trudno wymagać, żeby malec zrozumiał coś, co nawet dorosłym wydawało się niepojęte.

A potem włączyła radioodbiornik i wysłuchiwała przemówienia Hitlera, który w Reichstagu uzasadniał właśnie wypowiedzenie wojny Polsce: „Dziś w nocy Polska jako pierwsza zaatakowała nasze terytorium siłami regularnego wojska. Od 5.45 odpowiadamy ogniem. Od tej chwili za każdą bombę będziemy odpłacać bombą”.

Elisabeth doskonale pamiętała słowa Gustava, że w czasie wojny nie obowiązują ani prawo, ani prawda. Pomyślała, że teraz, kiedy Niemcy znalazły się w stanie wojny, ucieczka będzie jeszcze trudniejsza. Zaczęła sobie czynić wyrzuty, które położyły się cieniem na jej nastroju, a jej duszę przepełniło niedobre przeczucie. *Czy nie za długo zwlekałam?*, rozpaczliwie biła się z myślami, wmawiając sobie, że naziści mają teraz na głowie ważniejsze sprawy niż jej ucieczka. *A może teraz będzie łatwiej?*, próbowała wzbudzić w sobie optymizm.

Jedno było pewne: z chwilą wybuchu wojny rozpocznie się prawdziwy *exodus*, ponieważ jeszcze więcej ludzi będzie chciało wyjechać z kraju. Elisabeth z obawą zastanawiała się, jak zareaguje na to wszystko neutralna Szwajcaria. Czy zamknie granice?

Mimo to, a może właśnie dlatego, natychmiast przystąpiła do działania. Wzięła gruby zwitek banknotów, złapała taksówkę i pojechała na dworzec główny, żeby od razu kupić bilety na następny dzień. Przeczucie i tym razem jej nie zawiodło. Tego popołudnia na monachijskim dworcu panował jeszcze większy ruch niż zazwyczaj i bilety na następny dzień były już wyprzedane.

W tej sytuacji znów zdała się na swoją intuicję i kupiła bilety na najwcześniejszy możliwy termin, czyli na 5 września, oraz na dwa następne dni: po cztery bilety pierwszej klasy do Zurychu. Wydała na nie całą gotówkę.

Poczuła ulgę, gdy brzemień decyzji spadło jej z ramion. Przygotowała się na wszelką ewentualność: nawet jeśli 5 września coś miałoby im przeszkodzić, na przykład kolejna niezapowiedziana wizyta Albrechta Brunnmanna, to miała plan awaryjny na kolejne dwa dni.

Pozostał tylko problem, co zrobić z Berthą i Otilie, które już wkrótce miały stracić pracę, a tym samym źródło utrzymania.

Jak wiadomo, dom przy Prinzregentenplatz nie był już własnością Elisabeth. Sądząc po tym, co spotkało Bogu ducha winną Magdę w Stuttgarcie, obydwie długoletnie służące z pewnością nie mogłyby w nim zostać po tym, jak ich państwo wbrew woli reżimu opuścili kraj. Wprawdzie Elisabeth nie spodziewała się, żeby groziły im jakieś bezpośrednie represje, lecz miałyby spokojniejsze sumienie, wiedząc, że obie są zabezpieczone materialnie i nic im nie grozi. Dlatego omówiła całą sprawę z Magdą i wspólnie znalazły w miarę korzystne rozwiązanie dla Berthy: dwa dni później do Monachium przyjechał starszy brat Magdy, Josef, który po śmierci ojca został na gospodarce w Thanning. Ustalono, że Josef zabierze Berthę do siebie. Stara kucharka pomstowała i płakała, i za nic nie chciała jechać, uznawszy, że jest to kara za to, że nie dopilnowała Wolfganga. Ale jej opór na nic się nie zdał.

Elisabeth przykro było patrzeć na rozpacz wiernej służącej, ale dla jej własnego dobra nie mogła zdradzić prawdziwej przyczyny swojej decyzji.

Z kolei kłopot z Otilie w ciągu kolejnych dni sam się rozwiązał: Hans dawno już poprosił ojej rękę i teraz, w obliczu wojny i powołania go do Wehrmachtu, Otilie powiedziała „tak”.

4 września Elisabeth odprawiła zatem służącą w drogę ku nowej przyszłości, która czekała ją w leżącym niedaleko Monachium miasteczku Freising.

W mieszkaniu przy Prinzregentenplatz zostali już tylko Elisabeth, Magda, Deborah, Wolfgang i Pszczółka, która w ostatnim czasie zrobiła się jeszcze grubsza niż zwykle. Elisabeth podejrzewała, że to Bertha, dręczona wyrzutami sumienia, tak ją utuczyła.

Wieczorem 4 września Elisabeth zrobiła ostatnią rundę po mieszkaniu, starając się nie myśleć o szczęśliwych czasach, jakie dane jej było tu przeżyć z Gustavem. Jakże smutne wydawały się teraz te wszystkie pokoje. Miała wrażenie, jakby już w tym momencie odbijało się w nich echo jej przyszłej nieobecności.

Pół godziny przed północą, dosłownie kilka chwil po tym, jak zdołała zasnąć, Elisabeth została gwałtownie wyrwana ze snu. Przy jej łóżku stali sprawcy tej niespodziewanej pobudki: Deborah i Wolfgang!

Elisabeth zerwała się przerażona i wykrzyknęła:

– Na miłość boską, co się znowu stało?!

– Pszczółka została mamą – odrzekła Deborah. W jej oczach była prawdziwa rozpacz. Dziewczynka, która zaledwie parę godzin temu została wtajemniczona w plan wyjazdu, natychmiast pojęła, że nie będą mogli zabrać ze sobą suczki i jej szczeniaczków. Dlatego patrzyła teraz na matkę błagalnie, licząc, że ta zaradzi jakoś tej nowej komplikacji.

Elisabeth westchnęła ciężko, wsunęła stopy w pantofle i rzekła:

– No cóż, zobaczmy zatem, co my tam mamy.

Widok dumnej rodzicielki i jej czwórki maluchów był rozczulający, ale trudno byłoby sobie wyobrazić mniej stosowny moment na powiększenie rodziny. Elisabeth przypomniała sobie, jak bardzo jeszcze wczoraj cieszyła się ze szczęścia Otilie i Hansa, i pomyślała, że przydałaby się jej teraz pomoc kochającej zwierzęta służącej.

Co tu robić?, rozważała gorączkowo, czując na sobie błagalne spojrzenia dzieci. Wiedziała, czego od niej oczekują, zwłaszcza Deborah, która swego czasu z wielkim poświęceniem karmiła Pszczółkę mlekiem z butelki, ratując ją w ten sposób od pewnej śmierci. Z drugiej strony pamiętała jednak, że Niemcy właśnie rozpętały wojnę i że bezpieczeństwo dzieci jest najważniejsze. Sama też była coraz bardziej znużona i wyczerpana. Zdawała sobie sprawę, że traci siły i nie będzie w stanie znieść kolejnych miesięcy obłudy, do jakiej zmuszała się, występując na niemieckich scenach. Wykonała w myślach szybki rachunek: pociąg odchodzi jutro o trzeciej po południu, to dość czasu, by pojechać taksówką do Freising i wrócić.

Podjąwszy tę trudną decyzję, zwróciła się do dzieci, mówiąc:

– Posłuchajcie, kochani. Bardzo mi przykro, ale inaczej się nie da. Jutro z samego rana pojedę do Freising i zawiozę Pszczółkę z maluchami do Otilie, tam będzie im dobrze. My musimy wyjechać z Niemiec. Nie możemy dłużej czekać, bo wkrótce będzie za późno. Musicie to zrozumieć. Zgodza?

Oczy Debory wypełniły się morzem łez, ale dziewczynka nie zaprotestowała. Pogodziła się z decyzją matki – może dlatego, że dostrzegła w jej spojrzeniu niezłomną determinację.

Elisabeth wróciła do łóżka i dopiero przed świtem zapadła w niespokojny sen.

Śniło jej się, że błądzi boso po labiryncie z czarnego lodu. Ilekroć jej się zdawało, że w końcu znalazła wyjście, pojawiała się przed nią następna ściana. Czuła, jak lodowate zimno pełźnie od jej stóp coraz wyżej i wyżej, zbliżając się nieuchronnie do serca. Wiedziała, że kiedy tam dotrze, czekają śmierć. Rozpaczliwie szukała więc wyjścia, coraz bardziej zagłębiając się ciemny labirynt, ale na końcu za

każdym razem pojawiał się przed nią mężczyzna w czarnym mundurze. Zamiast głowy miał trupa czaszkę i mówił: „Bardzo żałuję, łaskawa pani, ale wszystkie wyjścia zostały zamknięte”.

Następnego dnia wczesnym rankiem, kiedy Elisabeth szykowała się właśnie do blisko godzinnej podróży taksówką do Freising, pod budynek przy Prinzregentenplatz 10 zajęła ciemna limuzyna marki Mercedes-Benz z nazistowskimi porościami. Wsiadł z niej jeden z adiutantów Hitlera.

Mężczyzna z wyszukaną uprzejmością poinformował Elisabeth, że Führer właśnie bawi w Monachium i dowiedział się, iż znakomita artystka Elisabeth Malpran ma przerwę w występach, wobec czego spodziewa się jej obecności wieczorem w zamku Neuschwanstein, gdzie odbędzie się zorganizowany naprędce koncert pieśni Ryszarda Wagnera.

Próby właśnie się rozpoczęły, toteż adiutant poprosił „łaskawą panią Malpran”, by zechciała od razu udać się z nim do Füssen, co oszczędzi jej trudów dojazdu.

Elisabeth przez moment zdziwiła się, że Hitler nie jest w Berlinie, skoro Niemcy prowadzą wojnę, a potem przypomniała sobie, że dopiero co czytała, iż Göring podobno wypoczywa w tych dniach na Lazurowym Wybrzeżu. Jeden zaprasza na wieczorek wagnerowski, drugi jest na urlopie, a w Polsce giną żołnierze...

Elisabeth nie pozostało nic innego, jak tylko przyjąć zaproszenie, które w istocie było rozkazem, i zostawić dzieci oraz piątkę psów pod opieką Magdy.

Niecałe dwie godziny później Albrecht Brunnmann osobiście wyszedł jej naprzeciw na dziedzińcu zamku, a następnie poprowadził jego korytarzami, usłużnie otwierając przed nią wszystkie drzwi. Był jak zwykle szarmancki i uprzedzająco grzeczny i w żaden sposób nie dał po sobie poznać, by był urażony faktem, że Elisabeth odrzuciła jego ostatnie zaproszenie na kolację, a kiedy złożył jej wizytę w mieszkaniu, swoim pełnym rezerwy zachowaniem praktycznie wyprosiła go za drzwi.

Kiedy Elisabeth kompletnie wykończona wracała z zamku Neuschwanstein, nad dachami Monachium powoli wstawał już nowy dzień. Albrecht Brunnmann zaproponował, że odwiezie ją swoją limuzyną, a Elisabeth tym razem nie wzgardziła jego życzliwym gestem.

Z wdzięcznością skonstatowała, że jej towarzysz nie zamierza zmuszać jej do konwersacji, tylko w milczeniu siedzi obok na tylnej kanapie, i z ulgą ułożyła się w miękkiej tapicerce. Rozkoszowała się ciszą, jaka panowała na granicy nocy i dnia, narodzin i śmierci, oparła się jednak pokusie, by zamknąć oczy. Wiedziała, że po powrocie nie będzie miała szansy wypocząć, tylko zaraz z rana musi jechać z Pszczółką i szczeniakami do Freising.

Żeby nie zasnąć, próbowała powtórzyć w myślach repertuar, który wykonała w zamku Neuschwanstein, ale cały wieczór wydał jej się zanurzony w jakiejś rozmytej nierzeczywistości, zupełnie jakby to nie ona brała w nim udział, lecz ktoś inny. Za nic nie potrafiłaby opisać tego osobliwego uczucia, podobnie jak nie potrafiłaby nazwać bezdusznej barwy, w jakiej tonęło opustoszałe miasto. Być może właśnie owładnęła nią melancholia bliskiego rozstania.

Zanim jeszcze limuzyna pana Brunnmanna zatrzymała się przed kamienicą przy Prinzregentenplatz 10, Elisabeth ogarnęło jakieś niepokojące wrażenie. Nieraz się już zdarzało, że wracała po występach o wczesnych godzinach porannych, toteż nie musiało upłynąć wiele czasu, by zrozumiała, skąd wziął się ów dziwny niepokój. Światło! Nigdy o tej porze nie widziała tylu światła w oknach okolicznych domów. Cóż mogło obudzić ludzi o tak wczesnej godzinie?

Nie pożegnawszy się nawet z panem Brunnmannem i nie czekając, aż szofer otworzy jej drzwiczki, wysiadła pośpiesznie z auta, otworzyła bramę kamienicy i pognąła na czwarte piętro, a zastawszy oba skrzydła drzwi do mieszkania otwarte na oścież, zmartwiała przerażona.

Nigdy wcześniej nie widziała czegoś równie makabrycznego: Pszczółka leżała w przedpokoju martwa, w kałuży własnej krwi, a ślepe szczeniaki, przyczołgawszy się do niej, próbowały ssać zimne sutki, popiskując tak żałośnie, że aż serce się człowiekowi krajało.

I wtedy Elisabeth Malpran poczuła, że coś w niej pękło. Jej odwaga i jej siła rozplynęły się w mrocznej rozpaczycy matki, która nie zdołała ochronić własnych dzieci.

Na szczęście Albrecht Brunnmann w ostatniej chwili podtrzymał jej wiotkie ciało, zanim zdążyła osunąć się zemdlona na parkiet.

Łomot do drzwi, opór Magdy, śmierć Pszczółki, transport zatłoczonym wagonem towarowym w tłumie podobnych jej nieszczęśników – wszystko to było zbyt wielkim ciężarem dla dorastającej dziewczynki, dlatego musiało upłynąć mnóstwo czasu, nim Deborah zdobyła się na odtworzenie wydarzeń tamtej przerażającej nocy i powierzenie ich swojemu pamiętnikowi.

Przyszli około dziewiątej wieczorem, mężczyźni w czarnych mundurach SS. Już wcześniej słyszeliśmy, jak w swoich ciężkich buciorach wbiegają po schodach na górę.

Zobaczyłam, jak Magda robi się całkiem blada i chwyta się za serce. Z pewnością przypomniła sobie, co przeżyła w Stuttgarcie. Ale to najodważniejsza osoba, jaką znam, toteż dzielnie otworzyła im drzwi, tłumacząc: „Nie chcę, żeby je rozwalili”.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Magda zasłoniła nas własnym ciałem, ale tamci odegnali ją na bok jak natrętną muchę. Mój mały braciszek zaczął płakać. Jeden z tamtych złapał go i zatkał mu ręką usta.

„Stul pysk, żydowski bękarcie”.

W tym momencie Pszczółka, szczerząc kły, rzuciła się w sam środek tumultu.

Krzyknęłam: „Pszczółko! Nie!”.

Dwaj mężczyźni wyciągnęli broń i na zmianę zaczęli do niej strzelać. Śmiali się. Wolfgang zrobił się cichutki i zawisł bezwładnie na rękach mężczyzny. Jego spojrzenie zrobiło się puste.

Wiem, że od tej pory często mu się to śni, bo mnie też śni się to aż do dzisiaj. Zabrali nas, a jęczącą Magdę zostawili na podłodze. Zaraz jednak pobiegła za nami i uparła się, że nie może zostawić nas samych. No to ją też zabrali.

Przed bramą czekała ciężarówka z plandeką. Wrzucili nas do niej jak worki. Pamiętam jeszcze, że było tam strasznie ciasno, było nas tam tak dużo, a mimo wszystko zostało jeszcze miejsce na strach. Razem z Magdą wzięliśmy mojego braciszka między siebie i kurczowo trzymaliśmy się wszyscy troje. Jazda nie trwała długo. Zawieźli nas na dworzec towarowy Milbertshofen i już wiedzieliśmy, że nas wywiozą. Przyjeżdżało coraz więcej ciężarówek z coraz większą liczbą ludzi worków.

Szliśmy razem ze wszystkimi. Trzymałam brata mocno za rękę. Musieliśmy długo iść wzdłuż torów i co chwila ktoś się potykał. Dla Wolfganga z jego krótszą nóżką to była tortura. Tamci bez przerwy nas popędzali. Spieszili się, jakby chcieli się nas jak najszybciej pozbyć. Musieliśmy maszerować w ciszy. Jak ktoś zapłakał, zaczynali go bić. Nasze lamentowanie chyba ich drażniło. Mieliśmy cierpieć w milczeniu i tak też pewnie mieliśmy umrzeć.

A potem nagle mimo wszystko zrobiło się głośno. Nic nie widziałam, bo działo się to daleko przed nami. Krzyki i błagania, a potem strzały! Wolfgang wzdrygał się za każdym razem, gdy rozległ się huk. A potem zaczęły się do nas zbliżać przerażone szepty, jakaś wiadomość nadchodziła od czoła pochodu jak upiorna fala. Przekazywana szeptem z ust do ust wiadomość budziła strach i przerażenie w każdym, do kogo dotarła: rozdzielają rodziny!

A potem przyszła kolej na nas i zabrali mi brata. Płakałam i walczyłam, ale któryś z nich złapał mnie ze śmiechem i odciągnął na bok. Magda też walczyła, ale gdzieś ją wywlekli. Poczułam straszną nienawiść, a jednocześnie byłam taka bezsilna i słaba, jakbym była nikim. Od tamtej nocy słyszę w

sobie te straszne dźwięki. Nikt oprócz mnie ich nie słyszy. Szaleją w mojej duszy, fałszywe i przeraźliwe, jakbym była rozstrojonym instrumentem. Rozszarpują mi serce. Od tamtej nocy noszę w sobie odległy głos śmierci i zadaję sobie pytanie: czy od udręczenia, jakie przynoszą ze sobą dźwięki, które słyszy się w środku, można umrzeć?

Tamtej nocy młoda dusza dziewczynki, która jeszcze kilka dni wcześniej miała przed sobą tak obiecującą przyszłość, pękła, wydając z siebie krzyk żalu i nienawiści. Od tej pory nienawiść, owa mutacja zgorzknienia i męki, stała się całym jej światem.

I tym razem aniołem ocalenia okazał się Albrecht Brunnmann.

Posławszy szofera po doktora Strelitza, który przypadkiem bawił w Monachium, sam został z Elisabeth, czuwając przy niej aż do chwili, gdy odzyskała przytomność, i zapewnił ją uroczyście, że sprowadzi jej dzieci z powrotem do domu. Opuścił mieszkanie dopiero wówczas, gdy doktor Strelitz zaaplikował zrozpaczanej śpiewaczce środek uspokajający. Przed wyjściem pan Brunnmann zadbał jeszcze o to, by usunięto wszelkie ślady nocnego najścia.

Wrócił w południe następnego dnia. Towarzyszyli mu Deborah i Wolfgang. Magdzie nie zdołał już pomóc. Oficjalnie figurowała na liście zaginionych, ale – jak wyznał Elisabeth na osobności – udało mu się dowiedzieć, że w rzeczywistości została zastrzelona podczas próby ucieczki.

Wolfgang nadal był w szoku. Nie odezwał się ani słowem, a kiedy Elisabeth wzięła go w objęcia, był jak pozbawiona życia kukła.

Deborah rzuciła się wprawdzie w ramiona matki, lecz nie płakała.

Albrecht Brunnmann i Elisabeth Malpran pobrali się cztery tygodnie po tym, jak Gustav został oficjalnie uznany za zmarłego. Od tej chwili Elisabeth i jej dzieci znajdowali się pod osobistą ochroną Brunnmanna.

Małżeństwo matki z Albrechtem Brunnmannem było dla Debory wielką zagadką. Z pewnością istniało między nimi pewne fizyczne przyciąganie, jakkolwiek Deborah bardziej wyczuwała je intuicyjnie, aniżeli mogła to w swoim wieku naprawdę rozumieć. Albrecht Brunnmann był bardzo przystojnym mężczyzną i swoją elegancją oraz spokojem w pewnym stopniu przypominał dziewczynce ojca. Z kolei Elisabeth traktował jak na gentlemana przystało – z niezwykłą galanterią i nieskrywaną dumą posiadacza.

Mimo wszystko drugie małżeństwo matki miało w oczach dziewczynki jakąś skazę, jako że Deborze nigdy nie zdarzyło się widzieć – nie licząc pocałunku w rękę – by małżonkowie wymieniali jakiegokolwiek czułości. A przecież kiedyś jej matka i ojciec bez przerwy okazywali sobie miłość. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze były między nimi czułe szepty i wymiana gorących spojrzeń.

Deborah zawsze marzyła, aby też przeżyć taką miłość. I wiedziała, że pewnego dnia spotkają na swej drodze.

Deborah rozmyślała nie tylko o małżeństwie swej matki, ale równie często jej myśli zajmowała osoba samego Albrechta Brunnmanna. Odkąd go poznała, zastanawiała się, czy mężczyzna ten budzi w niej więcej sympatii, czy raczej lęku. Bardzo często jedno uczucie szybko zamieniało się w drugie.

Niewątpliwe na korzyść pana Brunnmanna należało zaliczyć fakt, że już dwukrotnie uratował ją i jej brata. Jeśli natomiast idzie o strach, to sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Po prostu czasem się pojawiał, bez powodu – podobnie jak gniew. W jednej chwili potrafiła wpaść w dziką i destrukcyjną agresję, która błyskawicznie przeradzała się w ślepa nienawiść. Tylko przeciwko czemu miałyby ona być skierowana? To uczucie było czysto abstrakcyjne.

Przez długi czas Deborah starała się zwalczać ową agresję i ślepa żądzę zniszczenia – choćby starej lalki – ale jej wysiłki tylko podsycaly to okropne uczucie. Aż wreszcie któregoś dnia dość przypadkowo odkryła, w jaki sposób może przynieść sobie ulgę.

Od tej pory dziewczynka zaczęła potajemnie nacinać sobie skórę na wewnętrznej stronie przedramion. Z osobliwym zadowoleniem przyglądała się, jak z ran sączy się krew. Czerwone strużki wiły się na jej alabastrowej skórze jak małe węże. Deborah uwielbiała to słodkie uczucie ulgi. Nareszcie znalazła jakieś ujście dla palącej ją nienawiści.

Nocami, kiedy nie mogła zasnąć, co skądinąd zdarzało się coraz częściej, zastanawiała się czasem, ile na świecie istnieje rodzajów bólu. Czy tyle samo wymiarów ma miłość? Czy również miłość może znaleźć spełnienie w bólu, czy też ból jest atrybutem wyłącznie nienawiści?

Na polecenie Albrechta Brunnmanna w domu pojawiły się nowe służące: kucharka i pokojówka, lecz niestety żadna z nich nie potrafiła odtworzyć dawnej, rodzinnej atmosfery. Obydwie za to stanowiły wręcz uosobienie ideału niemieckiej kobiety – wszystko robiły pod linijkę.

Deborah nie mogła się pozbyć wrażenia, że od tej chwili jej rodzina dzieli mieszkanie z dwoma szpiegami w spódnicach.

W czerwcu 1940 roku Hitler był u szczytu swojej wojennej potęgi: pokonawszy Polskę, bez trudu zajął Danię, Norwegię, Belgię i Luksemburg oraz wygrał kampanię przeciwko Francji. Kapitulację tej ostatniej przyjął w tym samym wagonie – specjalnie w tym celu sprowadzonym z muzeum – w którym po Wielkiej Wojnie zwycięskie mocarstwa przypieczętowały klęskę Niemiec. Kiedy Elisabeth, która po zniknięciu Gustava zaczęła z uwagą studiować wszystkie dzienniki, przeczytała na głos relację z tej uroczystości, Deborah uznała, że „ten cały Führer” musi być człowiekiem tyleż małostkowym, co mściwym.

Łyzkę dziegciu do beczki wojennego miodu już na początku wrzucili Brytyjczycy, którzy 3 września 1939 roku wypowiedzieli wojnę niemieckim agresorom. Ich późniejszy premier, Winston Churchill, wcześniej niż inni europejscy czy amerykańscy politycy przejrzał zamiary Hitlera i zrozumiał, jak groźny jest ten żądny władzy niemiecki dyktator.

A przecież Hitler swoje obłąkane idee jasno i szczegółowo wyłożył w wydanych w 1925 roku wyznaniach szaleńca i każdy mógł się zapoznać z jego programem. Książkę, opatrzoną pretensjonalnym tytułem *Mein Kampf*, czyli „Moja walka”, sprzedano w milionach egzemplarzy, lecz najwyraźniej nikt z

nabywców jej nie przeczytał.

Kilka miesięcy po ślubie Elisabeth w przebłysku dawnej przedsiębiorczości wymogła na Albrechcie Brunnmannie, by ten ponownie zatrudnił Otilie, co wymagało z kolei zwolnienia dotychczasowej służącej. W ten sposób Otilie, której ukochany Hans poległ „za Führera i ojczyznę” w trakcie kampanii w Polsce, wróciła na Prinzregentenplatz. Elisabeth, Deborah i Wolfgang, który dzięki troskliwej opiece doszedł już powoli do siebie, powitali ją niczym cudem odnalezionego członka rodziny.

Jedyna śmierć

Człowiek odnosi w życiu wiele ran. Najgorszymi spośród nich są te, których nie widać, gdyż pozostają ukryte na dnie ludzkiej duszy – tak jak rany, które nosiła w sobie Deborah. Być może jej poraniona dusza zaznałaby wybawienia, gdyby zwierzyła się matce. W końcu Elisabeth również przeszła przez piekło. Utrata męża i nieustanny lęk o dzieci niemal do cna wyczerpały jej siły, których resztki czerpała ze świadomości, że jej potomstwo jest wreszcie bezpieczne. Niestety, w zaistniałych okolicznościach Elisabeth nie spostrzegła, jak w jej córce z wolna gaśnie dziecięca dusza.

Również Otilie cierpiała, a jej cierpienie objawiało się wyraźnie w powierzchowności: ta niegdyś nieco korpulentna pokojówka przeraźliwie wychudła, a jej różane policzki zbladły i pomarszczyły się niczym zimowe jabłka. Często też wybuchała płaczem, czasem z zupełnie błahych powodów. Wystarczyło ostrzejsze słowo nowej kucharki, by z oczu Otilie trysnęły łzy, a oderwany guzik zamieniał się w tragedię, wywołując istne spazmy. Dopiero teraz okazało się, że ślepe oddanie Hansa i jego bezwarunkowa miłość stanowiły kamień węgielny, na którym wznosił się niezachwiany gmach życia Otilie, i źródło, z którego czerpała siłę.

Z chwilą, gdy zabrakło tego fundamentu, pokojówka popadła w wewnętrzną chwiejność, a jej temperament przygasał: tam, gdzie kiedyś panowało rzutkie zdecydowanie, obecnie królowała niepewność, gdzie rządziła sumienność, wkradła się niedbałość, miejsce skłonności do żartów i drwin zajęła głucha rezygnacja, a wewnętrznej siły – bezbrzeżna słabość. Musiało upłynąć kilka miesięcy, by Otilie przewyciężyła żalobę i na powrót wzbudziła w sobie legendarne wręcz umiłowanie porządku.

Cała rodzina z ulgą przyjmowała fakt, że pan Brunnmann był właściwie bez przerwy w rozjazdach i tylko od czasu do czasu wpadał na chwilę do domu. Z drugiej jednak strony Deborah nie miała wątpliwości, że nowa kucharka gorliwie informuje swego pana o wszystkim, co wydarzyło się w kamienicy przy Prinzregentenplatz pod jego nieobecność.

Elisabeth spędzała teraz większość czasu z dziećmi i tylko z rzadka przyjmowała angaże, jako że po owej feralnej wrześniowej nocy jeszcze bardziej podupadła na zdrowiu. Jej subtelna uroda wydawała się bardziej krucha niż kiedykolwiek, a cera stała się niemal przezroczyta.

Również jej dusza doznała ran nie mniejszych niż dusze jej dzieci. Na podobieństwo zapędzonego w kąt zwierzęcia wzdragała się przy najmniejszym hałasie, w związku z czym domownicy szybko nauczyli się mówić szeptem, chodzić na paluszkach i w ogóle wykonywać wszelkie czynności najciszej, jak to możliwe. Być może dlatego Deborah, ilekroć w przyszłości wracała myślą do tego okresu, zawsze miała poczucie, jakby życie przy Prinzregentenplatz straciło wigor i spowilo się mgłą.

Na domiar złego Elisabeth coraz częściej uskarżała się na rozmaite infekcje połączone zwykle z wysoką gorączką, a okres rekonwalescencji po każdej kolejnej chorobie stawał się coraz dłuższy. Kiedy na początku 1941 roku ponownie podupadła na zdrowiu i doktor Strelitz zdiagnozował zapalenie płuc, musiały upłynąć blisko trzy miesiące, nim chora ponownie stanęła na nogi.

Naturalnie wskutek tych zdrowotnych perturbacji głos Elisabeth stracił dawną barwę i siłę, w związku

z czym musiała zrezygnować z publicznych występów i od tej pory zdarzało jej się śpiewać już tylko dla wąskiego kręgu przyjaciół.

Największą radością przepełniały ją za to chwile, gdy miała okazję wspólnie muzykować ze swoją wybitnie utalentowaną córką. Ta zaś, kiedy tylko pozwalał na to stan zdrowia matki, z radością brała u niej lekcje śpiewu i fortepianu.

Deborah miała dopiero szesnaście lat, lecz jej głos – sopran liryczny o przyjemnym, srebrzystym tembrze – kazał wróżyć dziewczynce wielką karierę. Młoda śpiewaczka w naturalny sposób potrafiła połączyć elegancję z siłą, o czym zapewniał jej matkę nauczyciel śpiewu z monachijskiego konserwatorium, ufundowanego ledwie w 1927 roku, do którego Deborah obecnie codziennie uczęszczała. Oprócz śpiewu operowego uczyła się również w mistrzowskiej klasie fortepianu, co napełniało Elisabeth wyjątkową dumą, zwłaszcza od chwili, gdy podczas pierwszej wizyty w konserwatorium zapewniono ją, że przy odrobinie koncentracji i pracy talent jej córki pozwala wróżyć młodej artystce również wielką pianistyczną karierę.

Sama Deborah jednak od dawna już wiedziała, że chce iść w ślady matki i bez reszty poświęcić się operze. Jeśli chodzi o edukację ogólną, to ani Deborah, ani Wolfgang nie uczęszczali do szkół publicznych. Zgodnie z życzeniem pana Brunnmanna dzieci otrzymywały prywatne lekcje w domu.

W dniu ślubu Elisabeth i Albrechta cała rodzina miała okazję poznać starszego brata pana Brunnmanna. Osoba Leopolda Brunnmanna stanowiła dla Elisabeth i jej dzieci prawdziwą sensację, do tego stopnia, że Deborah uznała, iż poznanie go było największą korzyścią, jaką przyniosło ze sobą małżeństwo jej matki.

Leopold Brunnmann był najprawdziwszym księdzem! Osiem lat starszy od Albrechta, zewnątrznie szalenie do niego podobny, jednak jeśli chodzi o charakter, dokładne wręcz przeciwieństwo. Leopold, w odróżnieniu od swego statecznego i przykładającego aż nazbyt wielką wagę do powierzchowności brata, był człowiekiem skłonny do śmiechu i zupełnie nie dbał o swoje odzienie, co też nierzadko dawało okazję do serdecznych żartów.

Nic zatem dziwnego, że Leopold szybko zaskarbił sobie sympatię córki swej bratowej i został jej ulubionym rozmówcą. Sposobem, w jaki opowiadał i przekazywał swą wiedzę, bardzo przypominał Deborze ojca. Dziewczynka szybko też przekonała się, że przyszywanego wuja może śmiało pytać o wszystko, nawet o Boga i sprawy wiary. Wuj Poldi, bo tak się do niego zwracała, nigdy nie uznał żadnego pytania za nieprzystojne.

Ksiądz Leopold był też jedynym chyba człowiekiem, który miał odwagę rozmawiać z Albrechtem Brunnmannem – bądź co bądź młodszym bratem – żartobliwym tonem, w którym wyczulone ucho potrafiło nawet wychwycić nutę przygany. Może dlatego w obecności brata pan Brunnmann sprawiał wrażenie lekko udręczonego.

Po pierwszej dłuższej wizycie Leopolda – pan Brunnmann był akurat w podróży służbowej – Elisabeth i Deborah nie mogły się wprost nadziwić, że bracia mogą aż tak się różnić. Pan Brunnmann był mężczyzną eleganckim, nieprzystępnym i opanowanym, podczas gdy wuj Poldi odznaczał się niepohamowaną gadatliwością i niemal chłopskim rozsądkiem.

Elisabeth, która od początku zwracała się do niego zdrobnieniem Poldi, po jednej z takich wizyt powiedziała do córki:

– No popatrz, cóż to za pocieszny oryginał! Widziałas tę wielką tłustą plamę na jego sutannie? Kto by pomyślał, że ci dwaj to rodzeni bracia! Z jego oczu bije anielska wręcz dobroć. Mam czasem wrażenie, że cokolwiek by człowiek uczynił złego, Poldi z miejsca jest gotów mu wybaczyć.

Leopold swoją wizytą sprezentował Elisabeth i jej córce pierwsze od dawna idylliczne wręcz popołudnie przy Prinzregentenplatz – pani domu aż sama dziwiła się swojej beztrosce, Deborah zaś była szczęśliwa, widząc matkę w tak radosnym nastroju.

Wkrótce dziewczynka odważyła się spytać wuja Poldiego o przyczyny tak zasadniczej różnicy charakterów dzielącej braci, na co ten odrzekł:

– To, moja droga, tajemnica, którą nasza matka zabrała ze sobą, dołączając do chóru aniołów.

Potem opowiedział o swojej matce, o jej pogodnym i żywym usposobieniu i o tym, że miała otwartą, tolerancyjną duszę artystki. Była śpiewaczką, jak Elisabeth, choć nie tak wybitną i znaną jedynie węższym kręgom słuchaczy, ponieważ jej mąż, a ojciec Albrechta i Leopolda, uważał, że śpiew nie jest stosownym zajęciem dla damy z jej sfery. Stąd po ślubie musiała się pożegnać ze sceną i odtąd śpiewała jedynie w domu i dla swoich synów. Leopold, jak sam wyznał, odziedziczył po niej charakter i usposobienie, lecz niestety nie talent śpiewaczy.

Tymczasem Albrecht charakterologicznie wdał się zupełnie w ojca, pruskiego oficera o surowych zasadach i ciasnych horyzontach myślowych.

– Nie musisz się jednak niczego obawiać, droga panienko! Już ja się postaram utrzymać w ryzach mojego młodszego braciszka. Nie pozwolę, żeby nam narzucił swój koszarowy dryl.

Leopold wniósł prawdziwe ożywienie w codzienne życie Elisabeth i jej dzieci. Nawet mały Wolfgang szybko uległ jego urokowi i to nie Albrecht, lecz właśnie Leopold poniekąd zastąpił chłopcu zaginionego ojca.

Aby być bliżej Elisabeth i jej dzieci, brat Albrechta wkrótce objął parafię w ich dzielnicy, co było możliwe tylko dlatego, że – jak wyznał, porozumiewawczo mrugając okiem – on również miał „swoje kontakty”.

Wtedy też Deborah zaczęła regularnie uczęszczać na nabożeństwa – nie dlatego bynajmniej, żeby nagle odkryła Boga, lecz dlatego, że uwielbiała słuchać kazań wuja Poldiego, który co prawda nie umiał śpiewać, za to posiadał głos potężny jak grzmot i niczym Ezechiel nie wahał się pouczać swej trzódki, przypominając ojej chrześcijańskich powinnościach, wśród których na pierwszym miejscu stały miłość bliźniego i miłosierdzie.

– Powiadam wam, baczcie na nieszczęście i cierpienia sąsiadów i śpieszcie im z pomocą! – grzmiał, zachowując przy tym dość rozsądku, by nigdy wprost nie krytykować nazistów i ich nowych porządków.

Na jesieni 1941 roku Elisabeth ponownie podupała na zdrowiu – i znowu diagnoza brzmiała: zapalenie płuc. Ponieważ w ciągu ostatnich dwóch lat Elisabeth wielokrotnie chorowała i za każdym razem wracała do zdrowia, domownicy zamieszkujący przy Prinzregentenplatz mieli nadzieję, że i tym razem pani wkrótce się wykuruje. Wszelako stan chorej pogorszył się tak dalece, że przybyły na żądanie pana Brunnmanna doktor Strelitz zalecił umieszczenie pacjentki w szpitalu. Kiedy jednak Elisabeth w przyływie dawnej energii stanowczo zaprotestowała, doktor Strelitz uznał to za pomyślny symptom i ustąpił wobec zdecydowanego uporu pacjentki. Odwiedzał ją za to każdego dnia, by ocenić jej stan.

W tych dniach Deborah spędzała wiele godzin przy łóżku matki, podczas gdy Elisabeth bez reszty zatopiła się we wspomnieniach. Opowiadała córce o tym, jak poznała jej ojca i jak pokochała go od pierwszego wejrzenia, a on już trzeciego dnia znajomości poprosił o jej rękę. Wspominała miodowy miesiąc nad wzburzonym Bałtykiem, a przede wszystkim szczęśliwe lata w „Arce Noego”. W końcu zaczęła mówić o Gustavie tak, jakby zupełnie zapomniała, że obecnie jest żoną Albrechta Brunnmanna.

Wieczorami, wróciwszy do swego pokoju, Deborah spisywała opowieść matki w dzienniku. Chciała – podobnie jak Elisabeth – na zawsze wyryć w swojej pamięci postać ojca i to, jakim był człowiekiem.

Tymczasem Elisabeth, chociaż stawiała chorobie zacięty opór, stopniowo ulegała jej naporowi i z miesiąca na miesiąc stawała się coraz słabsza.

W końcu 19 stycznia 1942 roku, kiedy delikatne płatki śniegu spadały z nieba na ziemię, wydała ostatnie tchnienie.

W ostatnich chwilach towarzyszyli jej Deborah, Leopold i doktor Strelitz. Pan Brunnmann nie zdążył wrócić na czas. Od połowy stycznia uczestniczył jako naczelny protokolant w jakiejś ważnej konferencji nad berlińskim jeziorem Wannsee i żadnym sposobem nie mógł opuścić zebrania.

Deborah, która w ostatnim czasie nie odstępowała matki na krok, troszcząc się o nią dzień i noc, popadła w otępienie i emocjonalny zamęt.

O ile po śmierci Pszczółki ogarnął ją gniew, o tyle teraz czuła w sobie przerażający chłód, jakby śmierć matki wyssała z niej wszystkie cieplejsze uczucia. Pragnęła płakać, lecz łzy nie chciały płynąć z jej oczu. Jej serce skamieniało, a dusza stała się martwa. Wieczorem zamknęła się w pokoju, a następnego ranka skryła pod rękawami czarnego pulowera szereg świeżych ran.

Wolfgang również nie płakał, tylko znowu zatopił się w wewnętrznej ciszy, jak tamtej nocy, kiedy zabrali ich brunatni siepacze.

Wszystkim zajął się wuj Leopold, prawdziwy anioł i opiekun ich rodzinnego stada: zorganizował pogrzeb Elisabeth oraz pocieszał zrozpaczonego Wolfganga, o którym w chaosie wszyscy jakby zapomnieli.

Dzień pogrzebu zaczął się pod znakiem trzaskającego mrozu. W ostatniej drodze towarzyszyli zmarłej artyści, dyrygenci, intendenci oraz panie w futrach i panowie w paradnych mundurach.

Deborah, prawą ręką mocno ściskając dłoń brata, stała u boku ojczyma, który dopiero wczesnym rankiem wrócił z Berlina. Dziewczynka zносиła ceremonię i niekończące się mowy żałobne z chłodną godnością, choć w głębi duszy czuła nieprzepartą niechęć do tych wszystkich nieznanych jej ludzi, z których każdy miał coś do powiedzenia na temat jej matki. Niczego nie pragnęła bardziej, jak zamknąć się w swoim pokoju i ostrzem noża zagłuszyć ból. Czuła się samotna i opuszczona – najpierw przez ojca, a teraz również przez matkę.

Jednakże pochód nieproszonych gości wciąż przesuwiał się przed jej oczami. Czuła na sobie ciężar ich spojrzeń. W oczach mężczyzn zdawała się dostrzegać osobliwy błysk, a w oczach pań odrobinę współczucia i cały ogrom zawiści.

Widziała, jak usta formują i wyrzucają z siebie nic nieznaczące słowa i kłęby pary, które wkrótce rozprasały się w mroźnym powietrzu. Z całego serca pragnęła, by ci ludzie rozwiali się i zniknęli, tak jak ich oddechy.

Mimo to trzeba przyznać, że było to piękne i wzruszające pożegnanie. Elisabeth odbyła swą ostatnią drogę, krocząc po morzu kwiatów, tak jak zawsze pragnęła. Na jej nagrobku ustawiono niewielką misę wypełnioną świeżą wodą, a na małej tabliczce wyryto słowa:

Zdrój wody na moim grobie, by ptaki niebieskie przylatywały tu pić i śpiewać mej duszy.

Część IV

Maria

Jedną z osobliwości, jakie niesie ze sobą życie jest ta, że człowiek niemal zawsze bezbłędnie wyczuwa dobro, które napotyka na swojej drodze, podczas gdy w przypadku zła instynkt ów bardzo często zawodzi.

Być może pewnym wyjaśnieniem tego stanu rzeczy jest to, że o ile siła dobra objawia się bez fałszu, ochoczo dzieląc się ze wszystkimi swoim bogactwem, o tyle zło podchodzi człowieka podstępnie i skrycie, tak iż ofiara spostrzega się zbyt późno lub zgoła wcale i w ten sposób nieuchronnie ląduje w zastawionej nań sieci.

– No, braciszku, i co teraz? Jakie masz plany? – zagał Leopold niezobowiązującym tonem, który brzmiał stanowczo zbyt niewinnie, by uspić podejrzliwość młodszego brata.

Po pogrzebie Elisabeth obaj panowie usiedli w dawnej bibliotece doktora Berchingera, użytkowanej obecnie przez Albrechta jako gabinet. Zapach książek doktora wciąż wypełniał pomieszczenie.

Albrecht Brunmann, odwrócony plecami do Leopolda, stał przy niewielkim wózku, który służył za barek. Starannie wybrał jedną z wypełnionych różnymi trunkami kryształowych karafek, nalał sobie sutą porcję i dopiero wtedy, zwróciwszy się twarzą ku bratu, spojrzał na niego posępnym wzrokiem. Wiedział, że Leopold przejrzał go na wylot i zadane przez niego pytanie nie ma bynajmniej na celu wybadania stanu ducha żalobnika i wdowca. *Znów mu się udało*, pomyślał Albrecht, który z trudem znosił fakt, że nie potrafi przed bratem niczego ukryć. Darował sobie zatem odpowiedź na pytanie i pociągnął długi łyk ze szklaneczki. Leopolda nawet nie spytał, czy ma ochotę czegoś się napić.

Ksiądz zmrużył oczy i przeszedł do ataku.

– Przyznaj, chciałbyś, żeby miejsce matki zajęła córka, mam rację?

Albrecht drgnął mimowolnie, roniąc przy tym na dębowy parkiet kilka kropel drogiego francuskiego koniaku.

Podejrzanie wyrażone przez Leopolda było wręcz niesłychane, lecz doświadczony duszpasterz nie miał wątpliwości, że Albrechta wzburzyło nie samo oskarżenie, lecz szybkość, z jaką przejrano jego nieczne zamiary.

Leopold od najmłodszych lat zdawał sobie sprawę, że emocje i pobudki, jakimi kieruje się jego młodszemu bratu, nie odznaczają się ani szczególną głębią, ani szlachetnością; wszelkie dążenia Albrechta wynikały z nienasyconej ambicji, która dręczyła go niczym zły duch. Zapewne rozumiała to również ich matka, która leżąc na łożu śmierci, w pełni świadoma braków Albrechta, wymogła na swym pierwotnym przysięgę, że będzie miał baczenie na młodszego o osiem lat brata, mimowolnie czyniąc Leopolda wrogiem Albrechta.

I tym razem doświadczony duszpasterz zasadniczo nie mylił się co do swojego brata, aczkolwiek nie do końca trafnie odczytał jego intencje.

Albrecht, o ile w ogóle był zdolny do tego rodzaju uczuć, naprawdę kochał Elisabeth, która z kolei ze swej strony spełniła wszelkie jego oczekiwania. Posiadanie jej sprawiło mu więcej satysfakcji, niż sam się spodziewał. Zazdrościli mu jej nawet najwierniejsi i najpotężniejsi paladyni Hitlera – Göring i Goebbels. To ona wprowadziła go na salony, dzięki czemu, zyskawszy sobie uznanie towarzyskiej śmietanki, mógł wspiąć się na szczyty władzy. Właśnie niedawno powierzono mu szczególnie tajną misję,

która miała zadecydować o losach wojny.

Elisabeth była oszałamiająca, a zarazem bezbronna – niczym kruche dziecko w ciele pięknej kobiety. Nigdy mu się nie sprzeciwiała, akceptowała go bezwarunkowo i uznawszy za zbawcę jej dzieci, była mu bezgranicznie oddana i wdzięczna.

Nigdy też nie rozczarowała go w małżeńskiej alkwie. Czasem, zwłaszcza na początku, potrafiła go wręcz zaskoczyć i porwać swoim temperamentem i namiętnością. Tak, jej śmierć bez wątplenia była dla niego wielką stratą.

Może dlatego Albrecht do tej pory nie powążył się jeszcze dopuścić do siebie owych frapujących myśli, które przed chwilą wyartykułował Leopold.

W rzeczy samej, Deborah była wielce obiecującą panienką i w żadnej mierze nie ustępowała matce artystycznym talentem, o czym wielokrotnie zapewniała Albrechta sama Elisabeth. Również przed nią stała otworem wielka kariera, z której on mógłby czerpać osobiste korzyści. No i ta jej młodość i egzotyczna uroda! Nawet jeśli akurat w tej kwestii Deborah nie dorównywała swej matce, to w jej oczach kryła się jakaś głębia, a zarazem coś szalenie prowokacyjnego, co od dawna już nie dawało Albrechtowi spokoju. Tak, ujeżdżanie młodej klaczki z pewnością byłoby czymś fascynującym, a w każdym razie warto by rozważyć taką możliwość. Przy okazji można by udzielić Leopoldowi dawno już zasłużonej lekcji. Zbyt długo starszy brat traktował go z protekcyjną wyższością.

Gdy Albrecht rozważał te wszystkie kwestie, Leopold nawet na chwilę nie spuszczał go z oczu, a to, co zobaczył, rozwiało ostatnie złudzenia, że może tym razem myli się co do brata.

– A więc to prawda... Ech, bracie, bracie, zawsze byłeś małym hultajem. Powiedz, naprawdę nie ma dla ciebie żadnych świętości? Najpierw zagarnąłeś majątek doktora, potem jego żonę, a teraz córkę. Wiem, nie mogę cię w żaden sposób powstrzymać, lecz mimo to nadal muszę mieć baczenie na ciebie i twoje demony, by cię przedwcześnie nie doprowadziły na skraj przepaści. Dlatego ostrzegam cię! W tej dziewczynie nie ma nic z łagodności, choć może z zewnątrz sprawia wrażenie anioła. Ma w sobie za to ogromną dumę i poczucie godności i jak na niespełna siedemnaście lat jest nad wiek dojrzałą osobą. Szybko się uczy, ma niezłomnego ducha i umysł ostry jak klinga. Wierz mi, pokaleczysz się na niej. Lepiej więc daj jej spokój. Pomyśl raczej o tym, że spoczywa teraz na tobie wielka odpowiedzialność. Masz dwoje dzieci. To wszystko, co miałem ci do powiedzenia – zakończył Leopold, wstając z miejsca.

– Chwileczkę, nie odchodź jeszcze! – Leopold zamarł, zaskoczony niemal przymilnym tonem Albrechta, któremu właśnie przyszedł do głowy genialny pomysł. – Powiedz, Leopoldzie, co ty byś mi poradził, jeśli chodzi o dzieci?

Pytanie, a zwłaszcza ton, jakim zostało wypowiedziane, z miejsca wzbudziły nieufność Leopolda, który natychmiast wyczuł, że jego brat szykuje jakiś diabelski podstęp.

– Cóż, o ile cię znam, Albrechcie, z pewnością nie zamierzasz rezygnować z kariery ani marnować czasu na opiekę nad dziećmi swej zmarłej żony. Jak wiesz, przez ostatnie dwa lata często je odwiedzałem i bardzo się z nimi zżyłem. Oboje są niezwykle dziećmi, również chłopiec: jest szalenie inteligentny, bystry i ciekaw świata. Powinieneś zatem zainwestować w ich przyszłość. Ja sam chętnie ci w tym pomogę i zatroszczę się o nie podczas twoich rozlicznych wyjazdów.

Już sama niedbałość i pewność siebie, z jaką Albrecht rozparł się w fotelu, ostatecznie przekonała Leopolda, że i tym razem miał rację. Jego brat istotnie zdawał się zmierzać do jasno określonego celu. Ostatnia wątpliwość rozviała się, kiedy Albrecht pociągnął kolejny łyk ze szklaneczki i odparł:

– Naturalnie, zadbam o dzieci dokładnie tak, jak mi radzisz, braciszku. Pod warunkiem, że pomożesz mi zdobyć serce Debory.

– Niby jak sobie to wyobrażasz? Jestem księdzem, nie swatką. – Leopold wypowiedział te słowa z lodowatym spokojem, lecz w środku czuł podskórne napięcie, które pojawiała się, ilekroć musiał stawić

czoło szatańskim knowaniom brata.

– Tak, cóż za cudowna sprzeczność, nie sądzisz, Leopoldzie? Chociaż muszę przyznać, że słyszałem na temat kleru również przeciwne opinie. Ale nie o tym wszak rozmawiamy, nieprawdaż? Czyż nie chełpiłeś się właśnie, że tak doskonale znasz moją pasierbicę? No więc? Jak brzmi twoja odpowiedź? Wiesz, że równie dobrze mógłbym ją wziąć przemocą, prawda? – Albrecht bawił się koniakówką, wiodąc czubkiem palca wskazującego po krawędzi kieliszka.

Leopold zachował spokój. Wiedział, że to kolejna partia gry, którą brat zwykł prowadzić z nim od dzieciństwa. Właściwe pytanie brzmiało: Jak daleko tym razem się posunie? I co on, Leopold, może mu przeciwstawić?

Nigdy jednak stawka w ich rozgrywce nie była tak wysoka jak tym razem. Chodziło o życie młodej dziewczyny i jej czystą i nieskalaną duszę. Leopold nie miał cienia wątpliwości, że bez sensu byłoby odwoływać się do przyzwoitości czy zasad moralnych. W systemie wartości wyznawanym przez Albrechta te pojęcia nie miały żadnego znaczenia.

Stąd też zdecydował się na taktykę, która do tej pory zwykle przynosiła mu sukces w potyczkach z bratem: szyderstwo i cynizm. Albowiem jego młodszy brat niczego nie lękał się tak bardzo, jak stania się pośmiewiskiem.

Leopold jak zwykle wyszedł z założenia, że Albrechtowi brak pewności siebie i cierpi na chorobliwie wręcz niską samoocenę. Jego na pozór energiczna postawa była wynikiem li tylko żelaznej samodyscypliny, do której skłonność przejawiał już jako chłopiec, a która była rezultatem wychowania przez ojca despotę. Ponadto Albrecht odznaczał się patologiczną wręcz skłonnością do samokontroli, tak konsekwentnej, że był w stanie mydlić oczy wszystkim ludziom w swym otoczeniu – wszystkim z wyjątkiem starszego brata.

Niestety, tym razem Leopold fatalnie mylił się w swoich ocenach.

Albrecht doprowadził bowiem w ostatnim czasie do perfekcji metodę, która istotnie pozwoliła mu zyskać pewność siebie. Metodę, którą samozwańcza rasa panów kultywowała z bezwstydną lubością, a która polegała na odzieraniu z godności innych ludzi i dręczeniu ich aż do śmierci. Wolno było to czynić, gdyż ofiary te w majestacie prawa uznano za podludzi i pozbawiono wszelkich praw. Dlatego zabijanie ich nie tylko nie było prawnie ścigane, ale wręcz spotykało się z przychylnością władzy, skądinąd planującej już metodyczne wymordowanie wszystkich przedstawicieli tej „niższej rasy”.

W ten sposób objawiła się psychologiczna przenikliwość brunatnego reżimu: oto bowiem stworzono szatański system, w którym jednostki o określonych mankamentach psychicznych zyskiwały poczucie siły i władzy, z sadyzmem odgrywając role członków rasy panów i używając brutalnej przemocy wobec prześladowanych.

Ponieważ Leopold potrzebował czasu, by zrozumieć całą potworność tej metody, postanowił zaatakować brata jego własną bronią i odwołał się do znieprawionej przez siebie ideologii nazistów:

– Oj, Albrechcie, Albrechcie, no sam powiedz: jak by to wyglądało? Córka twojej żony, przeszło dwadzieścia lat młodsza od ciebie, a na dokładkę córka Żyda? Z pewnością wiesz to lepiej ode mnie, więc powiedz: czy związki między Aryjczykami a osobami krwi żydowskiej nie są zakazane przez prawo? Czy twoi kompani nie zakrzykną przypadkiem: Brunmann pohańbił naszą rasę? Nie wierzę, żebyś naprawdę chciał u szczytu kariery skazać się na pogardę.

– Oj, Leopoldzie, Leopoldzie. – Albrecht wyraźnie małpował brata. – A kto powiedział, że chcę się z nią oficjalnie wiązać? Czyja coś mówiłem o ślubie?

– Chcesz uczynić tę biedną dziewczynę swą nałożnicą?! – Leopold musiał się ze wszystkich sił pohamować, by nie zerwać się z miejsca. Równocześnie gorączkowo próbował wymyślić jakąś nową taktykę, ale jak na złość nic mu nie przychodziło do głowy. Zbyt wielki chaos panował w jego

wzburzoną umyśle.

Albrecht tymczasem nawet nie próbował ukrywać, jak wielką satysfakcję sprawia mu fakt, że jego bratu pierwszy raz w życiu zabrakło konceptu. Z rozkoszą opróżnił kieliszek.

– Cieszę się, że się nareszcie zrozumieliśmy. No więc? Co mam zrobić, żeby zdobyć tę małą?

– Nie licz na to, że ci pomogę, Albrechcie. Wybij ją sobie z głowy – Leopold sam wyczuł błagalny ton w swoim głosie, a widząc, jak przebiegły wyraz twarzy jego brata ustępuje miejsca zadowoleniu, zrozumiał, że popełnił właśnie brzemenny w skutki błąd: sam wcisnął w dłoń Albrechta potężną broń, odkrywając przed nim, jak bardzo leży mu na sercu los tej dwójki sierot.

– Ależ oczywiście, że mi pomożesz, braciszku. *À propos*, słyszałeś o T4?

– Nie, co to niby takiego? Nowy czołg? – Leopold starał się mówić obojętnym tonem, choć czuł, jak jego mięśnie zamieniają się w bolesne gruzły.

– Nie, braciszku. T4 to państwowy program eutanazji. Odpowiednie przepisy weszły w życie w październiku trzydziestego dziewiątego roku. Przewidują one likwidację wszystkich niepełnowartościowych istot, by uniemożliwić im przekazywanie swych ułomności. Akcja ma zatem na celu zachowanie czystości naszej krwi oraz ochronę rasy. Aha, być może powinienem nadmienić, że w ramach programu T4 nie dokonuje się rozróżnienia między kalectwem psychicznym a fizycznym.

Ostatnie zdanie i zawartą w nim aluzję do ułomności ośmioletniego Wolfganga Albrecht wypowiedział z zimną pogardą i wstrętem, który zaskoczył nawet Leopolda, przekonanego dotąd, że zna najmroczniejsze strony osobowości swego młodszego brata.

Krew uderzyła Leopoldowi do twarzy, a jego duszę przepęłnił święty gniew. Resztką sił kapłan zdołał jednak raz jeszcze powściągnąć swój temperament.

Miał ochotę rozkwasić bratu ten dumnie zadarty nos i patrzeć, jak tryska zeń owa „czysta aryjska krew”. O ile jednak był w stanie kontrolować swe czyny, o tyle zupełnie nie panował już nad słowami, toteż odparł ze złością:

– W takim razie może powinni się zająć tym kuternogą Goebbelsem, co? Ten to się dopiero rozmnaża, jak królik.

– Oj, Leopoldzie, Leopoldzie, i ty to mówisz? Właśnie ty, przedstawiciel Kościoła, odmawiasz naszemu kuternodze prawa do życia? Muszę powiedzieć, że zupełnie cię nie poznaję. – Albrecht najwyraźniej uznał swoją replikę za wyjątkowo zabawną.

– Podążam tylko za haniebną logiką waszej ideologii, Albrechcie, w której aż roi się od perfidii, podstępu i zła. Ale masz rację, nie gardzę doktorem Goebbelsem z powodu jego szpotawej stopy, gdyż Bóg stworzył na świecie rozmaite istoty, nadając im różne kształty. Nie, jeśli nim gardzę, to tylko ze względu na to, co sobą reprezentuje i co propaguje. Może zatem należałoby raczej zbadać jego umysł, nie ciało, nie sądzisz?

– Dość, Leopoldzie. Myślisz, że nie widzę, jak rozpaczliwie próbujesz odbiec od właściwego tematu? Powtarzam zatem: dla wszystkich będzie lepiej, jeśli Deborah przyjdzie do mnie z własnej woli, niż gdybym miał ją wziąć gwałtem. Chyba się ze mną zgodzisz, „wujku Poldi”? A zatem coś za coś: ty mi pomożesz zdobyć dziewczynę, ja zaś nadal będę chronił ją i jej brata.

Widząc udręczoną twarz Leopolda, jego wstręt i wewnętrzny opór, Albrecht postanowił wyciągnąć asa z rękawa. Słowa, które wypowiedział, były niczym siarczysty policzek:

– Bacz też, ojcze Leopoldzie, ile dobrego jeszcze możesz uczynić. Jest tylu ludzi, których możesz uratować.

Leopold siedział w fotelu skamieniały, jakby trafił go grom z jasnego nieba. *A więc Albrecht o wszystkim wie!*

Na myśl o ludziach, którzy ryzykując życiem, pomagali mu ukrywać żydowskich współobywateli i

szmuglować ich w bezpieczne miejsca poza granicami Niemiec, kapłana ogarnęło przerażenie. A przecież właśnie teraz najbardziej potrzebował jasnego umysłu. *Myśl, Leopoldzie! Znajdź jakiś sposób! Musisz przekonać brata, żeby zawrócił z tej ścieżki. Że nie wolno mu tego uczynić!* Ksiądz uniósł głowę, by znów podjąć walkę, spojrzął na twarz brata i ujrzał na niej szyderczy uśmiech.

Dopiero teraz zrozumiał, że Albrecht od lat czekał na tę chwilę, gdy całkowicie pognębi starszego brata. Że marzył o tym dniu i się doń skwapliwie przygotowywał.

Leopold wyrzucał sobie, że był skończonym głupcem, wyniosłym, pewnym swych racji głupcem, podczas gdy to jego brat od dawna był panem sytuacji... A teraz został przyparty do muru i musiał wziąć na swe barki brzemień decyzji fatalnej i przerażającej w skutkach, decyzji, która na zawsze zmieni jego samego: zdecydował się rozwiązać zadane mu przez Albrechta szatańskie równanie.

I tak oto pobożny kapłan zgodził się sprzedać jedną duszę za dusze wielu – świadom, że w tej wymianie również jego dusza pójdzie na zatracenie. Dlatego długo milczał, chcąc odwlec chwilę, w której ulegnie wobec przemocy szatana.

Albrecht nie naciskał. Od dawna wiedział, że w tej walce odniósł pełne zwycięstwo.

Głos Leopolda, matowy i monotony, świadczył o tym, z jakim bólem kapłan wydaje wszystko, co kochał, na pastwę niepohamowanej żądz młodszego brata. Z każdym kolejnym słowem tracił część swego duchowego jestestwa.

– Okaż, jakim żalem przepelnia cię śmierć jej matki. Deborah ma bardzo wrażliwą, pełną współczucia duszę, będzie cię chciała pocieszyć. Powiedz jej wtedy, jak bardzo się czujesz samotny i jak ciężko ci żyć samemu. Ostrzegam cię jednak, Albrechcie: Deborah sprawia wrażenie spokojnej i opanowanej, ale w rzeczywistości jest niczym muzyka, rozedrgana i pełna pasji, toteż równie łatwo jak miłość można rozpalić jej gniew. Jeśli ją zatem zranisz, odpłaci ci tą samą monetą. Jak mówi apostoł Paweł: *Co człowiek sieje, to też i żąć będzie.* – Leopold ukrył twarz w dłoniach, a jego ramionami wstrząsnął bezgłośny szloch. Płakał nad niewinną duszą, którą wydał na zatracenie, oraz nad własną zdradą i przyszłą gehenną.

– Doprawdy, zdziwiłbym się, braciszku, gdybyś na zakończenie nie zaserwował mi jednej z tych biblijnych mądrości – odrzekł szorstko Albrecht, po czym wstał, na znak, że jego brat wykonał swoją powinność i może odejść.

Leopold otarł rękawem oczy i z trudem dźwignął się z fotela. Jego ruchy, jeszcze niedawno zamaszyste i pełne werwy, teraz pasowałyby raczej do stojącego nad grobem starca.

– Powiedz, dlaczego mi to robisz? – spytał na koniec.

Albrecht skrzywił złośliwie twarz.

– Bo mogę.

Leopold wyszedł bez pożegnania – powoli, jak człowiek złamany przez życie.

Tego dnia nić łącząca braci została ostatecznie zerwana. Leopold wiedział, że nie jest w stanie dłużej stawiać czoła demonom Albrechta i że droga, którą kroczy jego brat, wiedzie prosto do piekła.

– Wybacz mi, matko – szepnął, przekraczając próg gabinetu.

Po feriach bożonarodzeniowych Deborah wróciła do konserwatorium. Muzyka była jedynym jej pocieszeniem po śmierci matki, a sala ćwiczeń miejscem, gdzie mogła na chwilę zapomnieć o swoich zgryzotach.

Może dlatego nie od razu spostrzegła, że wuj Poldi dziwnym trafem zachodzi do ich domu akurat wtedy, kiedy ona wychodzi do konserwatorium. Skąd mogła wiedzieć, że duchowny za wszelką cenę stara się unikać spotkania, czując, że nie mógłby spojrzeć jej w oczy?

Leopold miał świadomość, że zachowuje się jak ostatni tchórz i z trudem znosił wewnętrzny konflikt. Mimo to z całych sił troszczył się o Wolfganga, jakby w ten sposób chciał wynagrodzić to, czego nie mógł uczynić dla jego siostry.

W końcu którejś niedzieli, mniej więcej w połowie marca, Deborah odwiedziła wuja Poldiego w zakrystii i z wyrzutem zauważyła, że nie widziała go od dnia pogrzebu matki. A potem wybuchła płaczem. Była zagubiona i niepewna, toteż Leopold przytulił ją i próbował pocieszyć. Czuł się przy tym jak Judasz.

– Dobrze, że chociaż pan Brunnmann mnie rozumie – szlochała Deborah, wtulając się w ramię wuja. – On też tęskni za mamą. Wydaje się taki samotny.

Leopold, unikając wzroku Debory, podał jej chusteczkę.

– Wciąż zwracasz się do niego tak oficjalnie? – spytał.

– Wiem, to głupie przyzwyczajenie. Zawsze tak się do niego zwracałam. Wiele razy prosił, bym mówiła mu po imieniu, ale nie umiem. Dziwne, nie sądzisz, wujku? – Deborah podniosła głowę z ramienia księdza i spojrzała mu prosto w oczy. – Przecież do ciebie od razu zaczęłam mówić „wujku Poldi”.

– Dobrze, już dobrze. – Leopold z każdą sekundą czuł się coraz bardziej nieswojo. W końcu chrząknął: – Co słyhać o małego Wolfganga? Zjada wszystko, jak należy?

– O tak, dba o to nasza Ottilie. Wujku Poldi, czy mogłabym cię prosić o radę? Chodzi o twojego brata.

Właśnie tego przez cały czas obawiał się Leopold najbardziej. Najpierw wpuścił wilka do owczarni, a teraz owieczka przychodzi, by prosić go o pomoc. Niezgrabnie odwrócił się i pośpiesznie zaczął zdejmować albę, którą nałożył do mszy. W rzeczywistości zrobił to, by Deborah nie zobaczyła jego stroskanej twarzy. Przeklinał się w duchu, że jest takim tchórzem.

– O co chodzi, kochanie? – spytał, całując stulę.

– No więc... Od śmierci mamy pan Brunn... to znaczy Albrecht... dużo bywa w domu i najchętniej spędza czas w moim towarzystwie. No i wczoraj powiedział mi, że musi na kilka tygodni wyjechać, i poprosił, żebym mu towarzyszyła w podróży. Odpowiedziałam, że jest środek roku akademickiego i że nie mogę zostawić Wolfganga samego. Wtedy Albrecht prawie się rozplakał i powiedział, że czuje się taki samotny i nie wie, jak sobie da radę bez mamy. Nie sądziłam, że śmierć mamy była dla niego takim ciosem. To znaczy... Albrecht zawsze wydawał się nam wszystkim taki zrównoważony. Żal mi go i sama nie wiem, co robić. Pomyślałam, że spytam ciebie, wujku, to w końcu twój brat, więc znasz go lepiej niż ja. Powiedz, powinnam z nim jechać?

Leopold przeklął w myśli aktorskie zdolności brata, żałując zarazem, że sam nie posiada takiego talentu. Przypomniawszy sobie, że tej niedzieli Albrecht, o dziwo, towarzyszył Deborze i Wolfgangowi w kościele, do którego nie zaglądał od niepamiętnych czasów.

Było oczywiste, że Albrecht celowo tak to zaaranżował, aby Deborah poszła po mszy do zakrystii, by poprosić Leopolda o radę. Ksiądz dosłownie usłyszał, jak w jego głowie zatrząskuje się pułapka, a dźwięk ten wydał mu się tyleż złowrogi, co pełen szyderstwa. Gdyby odradził pasierbicy brata wspólny wyjazd, Albrecht natychmiast wiedziałby, kto za tym stoi.

Zasadnicze pytanie brzmiało zatem: jak wielka jest cierpliwość Albrechta? Jeśli Deborah odrzuci zaproszenie ojczyma – czy to za radą wuja, czy z własnej inicjatywy – to czy Leopold może liczyć na odroczenie wykonania wyroku, czy też Albrecht natychmiast odsłoni swoje prawdziwe, okrutne oblicze?

Kapłan znał odpowiedź. Nasuwała się ona sama przez się, a opierała na znajomości dawnych postępów Albrechta. Leopold nie mógł w żaden sposób chronić biednej dziewczyny przed losem, jaki zgotował jej przez ojczym, ale mógł jeszcze ocalić Wolfganga. Dlatego ostatecznie wydał swą duszę na pastwę ognia czyścicowego, mówiąc:

– Moje biedne dziecko, dźwigasz już i tak wielkie brzemię. Jeśli chcesz jechać z moim bratem, nie wahaj się, jedź. Ja zatroszczę się o twojego braciszka.

W ten sposób Leopold dał dziewczynce do zrozumienia, jakoby sądził, że przyszła do niego tylko po to, by uzyskać jego zgodę na wyjazd. Tym samym poniekąd wmówił jej obłudnie, że sama, z własnej woli, podjęła taką decyzję, a on jedynie się do niej przychylił.

Tak oto zło, które pozwalało Albrechtowi rosnąć, sprawiało, że dusza jego brata karłowaciała. Leopold wkroczył na nową ścieżkę życia z poczuciem, że od tej pory jest niczym wilk w owczej skórze. A ponieważ był tego świadom i doskonale zdawał sobie sprawę z własnego kłamstwa, zazdrościł tym, którzy nierzadko dopiero po latach uzmysławiali sobie prawdziwą naturę swych czynów.

Czyż może być na tym bożym świecie istota bardziej godna pożałowania aniżeli kapłan, który utracił ufność w Boga?, zadumał się Leopold, po czym przypomniał sobie słowa Goethego zapisane w *Szczęśnej tęsknocie*: „Niby gość w ciemności mieszkasz na tej ziemi marnej”. Tak, tak właśnie się czuł. Dawny Leopold umarł, nowy zaś był już jedynie cieniem, niewyraźnym odbiciem jego niegdysiejszego jestestwa. Jego pogoda ducha była jedynie maską, a żarliwość w modlitwie sprowadziła się do rozpaczliwego błagania o jak najszybszy kres panowania Złego. Wszelako nieszczęsny kapłan wiedział, że zanim to panowanie dobiegnie końca, pochłonie jeszcze mnóstwo ofiar, i że przyszłe pokolenia z przerażeniem będą oglądać jego tragiczny bilans.

A mimo to prawdziwy ogrom zniszczenia i śmierci przekraczał granice jego wyobraźni.

St. Gallen i Zurych, wiosna 1942 roku

Dwa tygodnie później, w ostatnim dniu marca, który już o poranku przyniósł ze sobą zapachy i obietnicę wiosny, Deborah wyruszyła u boku Albrechta w kierunku Szwajcarii. Do tego czasu jego imię bez trudu przechodziło już przez jej usta.

Tym razem Albrecht zjawił się bez szofera. Miał na sobie elegancki ciemnoszary garnitur oraz jedwabny krawat. Deborah po raz pierwszy zobaczyła go bez munduru i widok ten, trzeba przyznać, szalenie przypadł jej do gustu, gdyż w jej oczach mundur zawsze niósł ze sobą złowrogi cień władzy i gwałtu.

Pierwszy etap podróży prowadził przez Landsberg, Memmingen i Bregenz aż do St. Gallen, gdzie zatrzymali się na odpoczynek.

Deborah rozkoszowała się krótką wycieczką pośród szwajcarskich krajobrazów. Zachwycała się soczystą zielenią łąk i pastwisk oraz czarno-białymi krowami o łagodnym spojrzeniu, niespiesznie skubiącymi i żującymi trawę. Kraj od początku wywarł na niej silne i przyjemne wrażenie. Dawno już nie wyjeżdżała z Monachium, które teraz w jej oczach stało się przeraźliwie szare. Na tym tle Szwajcaria sprawiała wrażenie krainy niewinności, spokoju i ciszy.

Albrecht zaparkował limuzynę przy St. Leonhardstraße, wysiadł i wyjął zza siedzenia kierowcy skórzany neseser. Sposób, w jaki niósł walizkę, kazał się domyślać, że jej zawartość musi niemało ważyć.

Deborah ruszyła za Albrechtem w kierunku imponującego gmachu Credit Suisse, ogromnej, klasycystycznej budowli. Przed fasadą na chwilę się zatrzymała. Podobała jej się dyskretna szlachetność budynku, który emanował jakąś szczególną powściągliwością. Dopiero po chwili zrozumiała, skąd to wrażenie: na banku – i w ogóle jak okiem sięgnąć – nie było krwistoczerwonych flag ze swastyką, wszechobecnych w jej rodzinnym Monachium. Deborah tak bardzo przywykła do ich widoku i charakterystycznego łopotu na wietrze, że dawno przestała je zauważać. Dopiero tutaj, gdy ich zabrakło, z ulgą poczuła, że jest jeszcze świat, gdzie nie ma nazistów. I świadomość ta wprawiła ją w prawdziwie radosny nastrój.

Albrecht zameldował ich w recepcji, po czym zostali odprowadzeni do windy, którą zjechali do podziemi. Tu pan Brunnmann pozostawił swą towarzyszkę pod opieką urzędnika bankowego, sam zaś udał się do wielkiej hali wypełnionej skrytkami. Gdy po kilku minutach wrócił, Deborah odniosła wrażenie, że walizka w jego dłoni jest pusta.

Opuściwszy bank, Albrecht zaproponował krótką wizytę w pobliskiej kawiarni, nad której drzwiami kunsztowne złote litery układały się w napis: „Confiserie & Chocolaterie”.

W środku powitał ich ciężki, słodki zapach, który sprawił, że Deborah natychmiast poczuła suchość w ustach. Wyłożone na długiej ladzie i w niezliczonych witrynach najdelikatniejsze pralinki i czekoladki stanowiły prawdziwą ucztę dla oczu.

Zajęli miejsca przy jednym ze stolików i już po chwili Deborah rozkoszowała się lekko gorzkawym smakiem gorącej czekolady udekorowanej wielkim kleksem tłustej śmietanki, do której podano ogromną porcję tortu orzechowego. Albrecht, w przypływie hojności, pozwolił jej również wybrać tyle pralinek,

ile tylko zapragnie. Deborah wiedziała, że nieprzyzwyczajenie ulega łakomstwu, ale przecież czyniła to na wyraźną zachętę ojczyma, który bez mrugnięcia okiem wyjął plik szwajcarskich banknotów i zapłacił za jej zachcianki.

Na widok pieniędzy w jego dłoniach, Deborah poczuła nagły przypływ żalu, albowiem przypomniała sobie, jak to przed czterema bez mała laty, gdy po raz pierwszy przygotowywali się do ucieczki, ojciec zakupił sporą ilość szwajcarskiej waluty. I jak rok później jej matka postanowiła ponowić próbę opuszczenia kraju, lecz ich podróż zakończyła się jeszcze przed monachijskim dworcem.

I oto teraz Deborah znalazła się w tej sielskiej krainie. Przez jej głowę przebiegła nagła myśl: A może zaczekać na odpowiednią chwilę i korzystając z nieuwagi Albrechta, uciec? W Szwajcarii nie ma nazistów i Albrecht nie ma tu żadnej władzy. Szybko jednak odrzuciła pokusę. Pomyślała o czekającym w monachijskim mieszkaniu braciszku, który poza nią nie miał już nikogo na tym świecie. Nie, przenigdy nie zostawi Wolfganga! Aby zagłuszyć ponure myśli, wypowiedziała pierwsze zdanie, jakie jej przyszło do głowy:

– Co było w twojej walizce?

Właściwie nie spodziewała się odpowiedzi, lecz tego dnia Albrecht był szczodry nie tylko jeśli chodzi o wydatki, lecz również o słowa. Zastukał więc w stojącą u jego stóp walizkę i odparł:

– Moja polisa.

Deborah wiedziała, co to takiego polisa, toteż odpowiedź wydała jej się dość osobliwa.

– Przechowujesz polisę w podziemiach szwajcarskiego banku?

– Owszem, bo kiedyś wojna się skończy. Dopij czekoladę, moja droga. Na nas już pora.

Udali się w dalszą drogę, do Zurychu.

I znów Deborah nie mogła nasycić oczu cudownymi krajobrazami. Miała wrażenie, jakby nieznany malarz utrwalił w nich swoją wizję Arkadii.

Widoki wprawiły ją w uniesienie, zagłuszając na jakiś czas smutek i melancholię. Deborah czuła, jak w jej duszy budzą się młodzieńcze tęsknoty i obietnica szczęśliwej przyszłości.

W zuryskim hotelu Baur au Lac, jednym z najlepszych w mieście, Albrecht zarezerwował dla nich apartament z dwiema sypialniami. Hotel znajdował się w centrum miasta, a zarazem pośrodku zielonej oazy, otoczony własnym parkiem, nad brzegiem Jeziora Zuryskiego.

Na widok jeziora pławiącego się promieniami wczesnopołudniowego słońca i kołyszących się na nim leniwie łodzi Deborah miała ochotę krzyknąć z zachwytem.

Była oszołomiona bezmiarem wrażeń, jakie przyniósł ten dzień. Hotelowy konsjerż tytułował ją „Madame”! Nigdy dotąd nie traktowano jej jak dorosłej. Jej dziewczęcy zachwyt znalazł w końcu ujście, kiedy przekroczyła próg luksusowego apartamentu. W uniesieniu zaczęła biegać po pokojach, podziwiając styl i elegancję obu sypialń oraz salonu, by po chwili z okrzykiem odkryć wspaniałą marmurową wannę, wielką jak jej pokój w monachijskim mieszkaniu.

Albrecht z uśmiechem stanął za jej plecami.

– Jeśli masz ochotę, możesz wziąć kąpiel. Ja, niestety, muszę teraz wyjść i z pewnością wrócę dopiero późnym wieczorem. Najlepiej będzie, jak zamówisz kolację do numeru. – Po tych słowach pocałował ją w czoło i pozostawił samą. Deborah nie wiedzieć czemu poczuła lekkie rozczarowanie.

Albrecht istotnie wrócił dopiero późną nocą, a następnego dnia znowu zostawił ją samą w hotelu. Deborah szybko zaczęła odczuwać nudę, ze zdziwieniem odkrywając, jak łatwo człowiekowi powszednią nawet największe luksusy.

Co rano brała kąpiel w ogromnej wannie, dwa razy dziennie odbywała spacer brzegiem jeziora, karmiła kaczkę i spoglądała tęsknie na małe łodzie, zwiedzała park i okolice, i wkrótce rozeznała się w

otoczeniu hotelu do tego stopnia, że potrafiłaby wrócić do apartamentu z zamkniętymi oczami.

Jedynym miejscem, którego jeszcze nie odwiedziła, był hotelowy bar. Już pierwszego dnia usłyszała dobiegające stamtąd dźwięki fortepianu, lecz nie odważyła się zajść tam samotnie.

Pianista grał całkiem dobrze, lekko i sprawnie, aczkolwiek w jego muzyce brakowało nieco emocji. Choć z drugiej strony nie grał przecież na scenie dla wysmakowanej muzycznie publiczności, tylko produkował dźwięki, umilając czas gościom lokalu.

Nie gra nawet w połowie tak dobrze jak ja, oceniła Deborah rzeczowo i bez cienia próżności. Dysponując słuchem absolutnym, stwierdziła przede wszystkim, że fortepian wymaga strojenia.

Czwartego dnia w końcu zebrała się na odwagę i z podniesioną głową i wymuszoną pewnością siebie wkroczyła do baru, jakby samodzielność była dla niej chlebem powszednim i zawsze i wszędzie chadzała sama.

Pianista miał na sobie jaskółczy frak, był niski, a na jego skroniach widniały pasma siwizny.

Deborah, chociaż czuła, że świerzbią ją palce, usiadła, zamówiła mokkę i przez resztę popołudnia ścisła kurczowo filizankę, próbując opanować drżenie dłoni, które aż rwały się do odegrania na blacie stołu znajomych utworów.

Następnego dnia o tej samej porze wróciła do baru. Kiedy nadeszła pora na pierwszą przerwę, pianista wstał, podszedł do niej i skłoniwszy się, zagaił szwajcarską niemczyzną, przygotowując ją niemal o atak serca:

– Panienska pozwoli, nazywam się Friedrich Gold. Czy trafnie rozpoznałem w panience młodszą koleżankę po fachu?

Mężczyzna zdążył już usiąść przy stoliku, podczas gdy Deborah, nie wiedząc, co odpowiedzieć, bąknęła tylko:

– Bardzo mi miło.

Zastanawiała się, w jaki sposób siedemnastolatka, która pierwszy raz w życiu wybrała się w tak daleką podróż, powinna się zachowywać wobec napotkanego w bar ze nieznanego mężczyzny. Gdyby w tej chwili wszedł Albrecht, to czy miałby jej za złe, że rozmawia samotnie z panem Goldem?

Pan Gold był mężczyzną przyzwyczajonym do towarzystwa płci przeciwnej – jako pianista miał po temu wiele sposobności – toteż nie uszło jego uwadze dziewczęce zakłopotanie.

– Zdradziły panienkę skupienie na muzyce i niespokojne palce. Dlatego osmielę się spytać, czy chciałyby panienka... Czy zechciałyby panienka coś zagrać?

Deborah nie potrzebowała więcej zachęt, a i sam Albrecht z pewnością nie miałby nic przeciw temu. Usiadła zatem przy lśniącym głęboką czernią fortepianie i już pierwsze dotknięcie klawiszy sprawiło, że bar wypełnił się magią. Grała utwór za utworem: Mozarta, Chopina, Brahmsa, Liszta. W uniesieniu zapomniała o bożym świecie i całkowicie pogrążyła się w muzyce, za którą tak szalenie tęskniła. Ocknęła się dopiero, gdy w przerwie między utworami rozległ się aplauz zgromadzonej tymczasem publiczności. Zmieszana rozejrzała się dookoła.

Skupiona na grze przestała zauważać otoczenie i zupełnie zapomniała, że znajduje się w miejscu publicznym. Zanurzyła się w muzyce tak bardzo, że nie zauważyła nawet, iż mimowolnie zaczęła śpiewać. I to jej głos zwabił do baru słuchaczy.

Pierwszy raz w życiu – nie licząc przesłuchań w konwersatorium – zdarzyło jej się śpiewać dla publiczności. Ze zdumieniem skonstatowała, że radość i podziw malujące się na obliczach hotelowych gości są jej dziełem, to ona wywołała je swoim śpiewem i grą. To była jedna z najszcześniejszych chwil w jej dotychczasowym życiu. A mimo to radość mącił jej cień smutku, gdyż pomyślała o matce, która podczas swoich występów musiała odczuwać tę samą euforię. I która już nigdy nie stanie na scenie, by w

blasku reflektorów dzielić się ze światem swoim talentem.

Gdy tak dumiała, z tłumu wyłonił się starszy mężczyzna w cylindrze i eleganckim surducie i stanąwszy przed młodą artystką, nieoczekiwanie chwycił jej dłoń, poklepał ją i rzekł rozmarzonym głosem:

– Cóż to za głos, moje dziecko! Ta słodycz, ta melancholia! Przypominasz mi moją drogą przyjaciółkę, nieodżałowaną Elisabeth Malpran. Proszę, zdradź mi swe imię.

Deborah patrzyła na staruszkę okrągłymi oczami. Potrzebowała chwili, by powrócić z muzycznych wyżyn, które stanowiły dla niej oddzielny świat z własnym, uniwersalnym językiem. Dopiero ochłonąwszy nieco, odzyskała zdolność porozumiewania się ludzką mową.

– Bardzo panu dziękuję. Pani Malpran była moją matką. Ja mam na imię Deborah.

– Och, to prawdziwy cud! – Uradował się mężczyzna, klaszcząc przy tym z uciechy w dłoń. – Musiała cię tutaj sprowadzić sama Opatrzność. Drugi raz zdarza mi się przeżyć coś podobnego! Pozwól, dziecko, zapraszam się na filiżankę ziołowej herbaty. Musisz pokrzepić swój głos.

To powiedziawszy, mężczyzna poprowadził zakłopotaną Deborę do saloniku i przywoławszy wyfrakowanego kelnera o sympatycznej twarzy, zamówił dwie filiżanki herbaty.

Dopiero tutaj Deborah poznała tożsamość tajemniczego staruszka, gdy ten rzekł:

– Och, zupełnie straciłem głowę. Proszę wybaczyć starcowi, moja droga Deboro. Nazywam się Franz Lehár. Po raz pierwszy usłyszałem głos twojej matki w wiedeńskim kościółku, miała wtedy zaledwie jedenaście lat. Wieść o jej śmierci była dla mnie prawdziwym ciosem.

Deborah siedziała z otwartymi ustami. Oto spotyka jednego z najwybitniejszych muzyków swoich czasów, popija z nim herbatkę i w dodatku wysłuchuje z jego ust niebywałych pochwał!

Tego popołudnia stary kompozytor i młoda śpiewaczka spędzili ze sobą mnóstwo czasu, rozmawiając o muzyce i dzieląc się wspomnieniami.

Szóstego dnia, podczas wspólnego śniadania, które jak zwykle zamówili do numeru, Albrecht oświadczył:

– Dziś mam cały dzień tylko dla ciebie. Muszę tylko wykonać kilka telefonów do Paryża. Potem pójdziemy kupić ci wieczorową suknię. W nagrodę za twą cierpliwość zabieram cię wieczorem do mekki smakoszy, Restaurant Français.

Wspomniane rozmowy Albrecht odbył po francusku. Deborah była zaskoczona, że jej ojczym tak płynnie mówi w tym języku, ale i jej znajomość francuszczyzny nie budziła najmniejszych zastrzeżeń. Uwielbiała brzmienie francuskich słów i miękki rytm zdań, toteż pilnie przykładała się do nauki.

Słuchając jednym uchem, dowiedziała się, że Albrecht organizuje przejazd jakichś pociągów z francuskiego miasteczka Compiègne do Bełżca, poza tym wspominał coś o selekcji i rozładunku.

Tego dnia Deborah po raz pierwszy zajrzała za zasłonę skrywającą tajemnicze zajęcia ojczyma. Kiedy spytała go później, czy trasa ich podróży wiedzie również do Francji, do Compiègne, odniosła wrażenie, że nie był szczególnie ucieszony jej pytaniem. Od tej pory nigdy już nie rozmawiał telefonicznie w jej obecności, w żadnym języku.

Niemal cały dzień Albrecht i Deborah spędzili w butikach i kawiarniach przy Bahnhofstrasse, jednej z najbardziej ekskluzywnych ulic Zurychu.

Dzień był ponury, niebo ołowianoszare, a na dodatek od czasu do czasu mżyło, lecz mimo to ulica tętniła życiem. Deborah jeszcze nigdy nie spotkała tylu dam w najelegantszych futrach.

Albrecht okazał się człowiekiem o wyrafinowanym guście i zabrawszy Deborę do najlepszych i najdroższych butików, pomógł jej wybrać dwie oszałamiające wręcz suknie: jedna lśniła kremową satyną, a jej prosty krój podkreślał smukłą figurę dziewczyny, druga natomiast została uszyta z

ciemnofioletowego aksamitu – w kolorze idealnie pasującym do jej oczu – i nieprzyzwoicie wręcz odsłaniała plecy. Do każdej dokupili po jednej parze sięgających łokcia białych rękawiczek. Deborah poczuła cichą ulgę, że dzięki temu zdoła ukryć blizny na przedramionach.

Na koniec Albrecht polecił, by do każdej z sukien dobrano również parę stosownych bucików i elegancką torebkę, a następnie zabrał Deborę do jubilera. Obsługiwał ich sam właściciel zakładu. Nie zważając na zakłopotanie, a nawet nieśmiały opór pasierbicy, Albrecht uparł się podarować jej sznur pereł i pasujące doń perłowe kolczyki. Perły otoczyły lekkim, chłodnym ciężarem szyję Debory, przejmując ją rozkosznym dreszczem i poczuciem dorosłości. Postanowiła zatem nie zdejmować naszyjnika i tylko jej palce raz po raz wędrowały ku szyi, by się upewnić, że nie gubiła cennego prezentu.

W przerwie między zakupami ojczym i pasierbica zjedli lekki posiłek w maleńkiej, bo liczącej ledwie sześć stolików, za to znakomitej i szalenie drogiej restauracji.

Późnym popołudniem wrócili w końcu podekscytowani do hotelu Baur au Lac, gdzie Albrecht zaproponował, by Deborah odwiedziła hotelowego fryzjera i nadała swym pięknym włosom nieco *façon*.

Pamięć ludzka rządzi się swoimi prawami i czasami dość osobliwie zapamiętuje niektóre zdarzenia. Kiedy po latach Deborah wspominała czar, jaki otaczał te pierwsze dni z Albrechtem Brunnmannem, przed jej oczami rozpościerało się błękitne niebo bez najmniejszej nawet chmurki i jasne promienie słońca. Była młoda i niedoświadczona, więc nie rozumiała jeszcze, że to tylko krótki i złudny sen. Właśnie dlatego mogła tak intensywnie przeżyć te kilka chwil niezmaconego niczym szczęścia. A ponieważ raz przeżyte szczęście jest najpewniejszym bogactwem, którego nie można odebrać, Deborah długo jeszcze czerpała z tego źródła.

Prowadzona pod ramię przez Albrechta, weszła tego wieczora do restauracji Français. Wiedziała, że wygląda olśniewająco, co też mimowolnie potwierdzili goście, których oczy zgodnym ruchem zwróciły się ku eleganckiej parze stojącej w drzwiach lokalu.

Urządzona w stylu empirowym sala z roziskrzonymi żyrandolami, złotymi plafonami na suficie i lśniącym jak lustro dębowym parkietem stanowiła wymarzoną wprost scenerię na towarzyski debiut.

Deborah miała na sobie fioletową suknię z odkrytymi plecami. Wybór był doskonały, gdyż żaden inny kolor nie podkreśliłby lepiej ciepłego, miodowego odcienia jej skóry. Dziewczyna instynktownie też wyczuła, że w fiolecie prezentuje się bardziej kobieco aniżeli w drugiej z zakupionych tego popołudnia sukienek, lżejszej i bardziej dziewczęcej.

W przyływie rozbudzonej niespodziewanie kobiecości poprosiła fryzjera, by upiął jej włosy wysoko, tak aby drogocenne prezenty Albrechta – kolczyki i sznur pereł – mogły świecić tego wieczora pełnym blaskiem. Przy okazji fryzjer podkreślił subtelną linię jej szyi i ramion.

Albrecht z kolei miał na sobie szyty na miarę smoking, w którym prezentował się szalenie przystojnie, wzbudzając nie mniejszy zachwyt wśród obecnych w lokalu dam, aniżeli Deborah wśród panów.

Ojczym zachowywał się wobec niej z istic rycerską galanterią i traktował ją jak dorosłą kobietę. Udzieliwszy zaś tego wieczora swej towarzysze i pasierbicy dyspensy od obowiązujących dziewczęta w jej wieku zakazów, zamówił francuskiego szampana i kawior, a potem lżejsze białe wino do swojego *loup de mer* z sałatką śródziemnomorską.

Na deser zaserwowano aż osiem różnych rodzajów *brie*. Był to kaprys Debory, która z jakiegoś powodu nie miała tego wieczora ochoty na słodczyce, tylko czuła pokusę spróbowania czegoś nowego.

Na koniec podano mokkę, a Deborah skosztowała pierwszej w swym życiu *sherry* – jak się miało okazać, nie był to zresztą jedyny tego wieczora „pierwszy raz”.

Podczas całej kolacji Albrecht zabawiał ją rozmową, a jej perlisty śmiech unosił się nad stolikiem i odbijał echem w jego oczach. Opowiadał o europejskich książętach i austriackiej cesarzowej Elżbiecie, a nawet najprawdziwszym egipskim kalifie, którzy niegdyś bawili w tym samym hotelu. Mając na względzie zamięłowanie swej towarzyszki do muzyki, nie omieszkał też wspomnieć o tym, że sam Ryszard Wagner muzykował ongiś w Baur au Lac przy okazji urodzin swego teścia, Franciszka Liszta. To właśnie podczas tego koncertu odbyła się prapremiera pierwszego aktu *Walkirii* – kto wie, może nawet kompozytor siedział wtedy przy tym samym fortepianie, przy którym dziś zabawiał gości pianista z towarzyszeniem zespołu kameralnego.

Deborah była zafascynowana tą historią, a do tego odrobinę rozochocona wypitym alkoholem, do

którego zupełnie nie była przyzwyczajona. Nic przeto dziwnego, że wkrótce rozwiązał jej się język i opowiedziała Albrechtowi, jak to dwa dni wcześniej poznała w hotelu samego Franza Lehára.

I w tymże samym momencie, jak na zawołanie, kompozytor zjawił się przy ich stoliku.

Maestro ucałował dłoń *mademoiselle* i ukłonił się jej towarzyszowi, a po dokonaniu obopólnej prezentacji pogratulował mu córki, której „cudowny talent wróży wspaniałą karierę śpiewaczki”. Po tych słowach kompozytor poprosił Deborahę, by ta zechciała zaśpiewać dla zgromadzonych w lokalu zacnych gości.

Deborah, jakkolwiek paliła się do spełniania prośby pana Lehára, spojrzała najpierw w oczy Albrechta, szukając w nich aprobaty. Niezdecydowanie i kokieteria były jej zgoła obce, zwłaszcza gdy chodziło o muzykę, lecz mimo to zawahała się, gdyż odniosła wrażenie, że w chwili, gdy maestro pogratulował Albrechtowi „utalentowanej córki”, dostrzegła w oczach ojczyma cień rozdrażnienia. Jednak Albrecht odparł, że i on z przyjemnością posłucha jej śpiewu.

Tymczasem pan Lehár pośpieszył już do czekających na podium kameralistów, by osobiście dyrygować zespołem akompaniującym młodej śpiewaczce, która postanowiła podczas tego nieoczekiwanego debiutu zaśpiewać ulubioną arię swej matki: *Violettę z Traviaty* Verdiego.

Po koncercie Albrecht, pękając dosłownie z dumy, przyjmował gratulacje słuchaczy, zachwyconych jego czarującą towarzyszką. Można by wręcz odnieść wrażenie, że rozkoszował się aplauzem nie mniej niż sama artystka.

A potem poprosił Deborahę do tańca. Ku jej zaskoczeniu okazał się wyśmienitym tancerzem i prowadził niedoświadczoną partnerkę pewną ręką. W końcu Deborah, stwierdziwszy w głębi duszy, że nigdy nie spodziewałaby się po nim takich zdolności, zapytała z nieskrywanym zdumieniem, gdzie też nauczył się tak dobrze tańczyć. Albrecht zdradził wówczas, że jego nauczycielką była matka, która niestety zmarła, kiedy miał zaledwie szesnaście lat. Ostatnią uwagę wypowiedział zduszonym głosem zdradzającym głęboki smutek. Serce Debory zmiękło, a wspólne doświadczenie straty sprawiło, że ojczym stał się jej jeszcze bliższy.

Później, już po powrocie do apartamentu, Albrecht skomplementował ją, mówiąc, że tego wieczora zachowywała się jak prawdziwa dama, a wybrana przez nią aria była nie tylko wzruszająca, ale też świetnie komponowała się z fioletową suknią.

Deborah, oszołomiona szampanem i niedawnym sukcesem, zaczęła chichotać i przez kilka długich minut nie potrafiła się opanować. Nie z powodu głębi usłyszanego komplementu, lecz dlatego, że zwykle śmiertelnie poważny ojczym pozwolił sobie na ten niespodziewany żart. *Doprawdy zabawne!*

Wciąż jeszcze chichotała, kiedy Albrecht stanął za jej plecami i położył swoje wielkie brązowe dłonie na jej nagich ramionach. A potem uczynił coś zupełnie nieoczekiwanego: skłonił głowę i musnął ustami jej delikatną i wyczuloną szyję. Deborah drgnęła, wstrząśnięta nagłym uczuciem słodczy, które przeszło jej ciało. Śmiech zamarł na jej ustach i w jednej chwili zapadła kompletna cisza. Albrecht powoli obrócił ją twarzą ku sobie. Jej spojrzenie było krystaliczne i nieporuszone jak jezioro w świetle księżyca.

Odnalazłszy wzrokiem jego oczy i wyczytawszy w nich gorące pragnienie, Deborah w jednej chwili doznała olśnienia. Wiedziała już, na co tak długo czekała: ta wspólna podróż miała ich doprowadzić do tego właśnie miejsca, do chwili, do której zmierzali od samego początku.

Jej młode ciało wypełniło się bez reszty nieznanym dotąd pragnieniem, palącą tęsknotą za pełnią życia: szampanem w cudownej restauracji, towarzystwem przystojnego mężczyzny, nieprzyzwoicie olśniewającymi strojami, drogą biżuterią i pełnymi podziwu spojrzeniami gości. Jakże dziecinnymi wyobrażeniami o romantycznej miłości. Nawet przez chwilę nie pomyślała, że stojący przed nią mężczyzna do niedawna był mężem jej matki.

A nawet gdyby taka myśl przemknęła przez jej głowę, tylko wzmogłaby pożądanie, nadając mu

podniecający rys czegoś zakazanego. Deborah była artystką i nie obowiązywały jej mieszczańskie konwenanse. Nie należało oceniać jej zwykłą miarą. Czyż wielcy autorzy klasycznych dramatów nie pisali, że miłość mężczyzny i kobiety warta jest wszelkiego ryzyka, wszelkiego kłamstwa i wszelkiej niegodziwości? Miłość jest jedyną miarą ludzkich pragnień, tylko miłość jest zdolna znieść granice między bogactwem a biedą, arystokracją a mieszczaństwem, a nawet między rasami. Tylko ona sięga aż poza śmierć...

Dlatego odchyliła nieznacznie głowę, bez wahania podając Albrechtowi swoje świeże, nietknięte usta. Lecz doświadczony kochanek świadomie odwlekał tę chwilę. Ujął ją delikatnie w talii i obsypał pocałunkami jej szyję. Jej skóra była słodka i miała kuszący miodowy posmak. Ciepły oddech Albrechta sprawił, że jej niedoświadczone ciało przeszył rozkoszny dreszcz. On zaś powoli powędrował w górę, ku uszom, a potem z powrotem ku ramionom i niewielkiemu dekolтови, gdzie w delikatnie zarysowanym wgłębieniu jego język zostawił wilgotny ślad.

Deborah zadrżała pod pierwszym dotykem męskich warg. Było inaczej, niż sobie wyobrażała – nieporównanie cudowniej, niż w najcudowniejszych snach. Pod wpływem nieznanego wrażenia kolejne skrawki jej ciała pokrywały się gęsią skórą, a w dolnych partiach czuła przyjemne napięcie. Jej młode ciało poznawało, czym jest podniecenie i od dawna już żądało więcej niż tylko pocałunków.

Dlatego powodowana niecierpliwością uczyniła coś, czego Albrecht, czujący się panem sytuacji, nigdy by się nie spodziewał: oto siedemnastoletnia dziewczyna, która nigdy dotąd nie miała do czynienia z mężczyzną, przejęła inicjatywę. Chwyciła jego głowę i wyteżywszy wszystkie siły tkwiące w wiotkim ciele, przyciągnęła ją do swych ust. Nie była już delikatna, lecz dzika i nieokiełznana. Napała na niego z taką siłą, że zaskoczony Albrecht niemal się zachwiał.

Tymczasem przywarła do niego, objęła mocno ramionami i przylgnęła swymi dziewczęcymi biodrami. Zachowywała się jak doświadczona kurtyzana, nie zaś dziewica, którą wszak była w istocie. Kiedy poczuła oznakę wzbierającego w nim pożądania, dotknęła go bez skrupowania, on zaś jęknął i zupełnie się jej poddał, Deborah zaś po raz pierwszy uświadomiła sobie, jaką ma nad nim władzę.

Nie zważając na szkody, gwałtownie zdarli z siebie eleganckie ubrania i spleceni padli na łóżko. Albrecht, który dotąd starał się zachowywać ostrożność, by przypadkiem nie sprawić bólu dziewiczej kochance, dał się teraz zupełnie ponieść jej dzikiej namiętności i rzucił się na nią jak wygłodniała bestia. Lecz i tu czekała nań niespodzianka, albowiem ona na każdą gwałtowną pieśczołę z miejsca odpowiadała czymś jeszcze dzikszym: boleśnie kąsała go w szyję i jęcząc, ryła paznokciami po jego plecach, przy czym ból, który odczuła w chwili, gdy straciła dziewictwo, tylko wzmógł w niej dziką namiętność.

Skąd Albrecht miał wiedzieć, że Deborah kocha ból, zawarła z nim nierozzerwalny pakt i przyjmuje go jak wyczekiwanego gościa?

Tej nocy Deborah odkryła nowy sposób walki z przepełniającą ją nienawiścią: miłosne zmagania. Albrecht aż do rana nie ustawał w męskich wysiłkach, lecz ona wciąż nie miała dość – ani jego ciała, ani miłości. Toteż ich namiętność nie słabła nawet na chwilę. Albrecht odpowiadał na każde ugryzienie, a widok rozkoszy, z jaką kochanka przyjmowała ból, tylko rozniecał w nim podniecenie, wznosząc je na nieznaną mu dotąd wyżynę. Deborah wydawała się nienasycona, tak że w końcu to on, Albrecht, wyczerpał do cna męskie siły i był zmuszony prosić o chwilę wytchnienia.

Zmaltretowany niczym po całonocnej libacji, pobity w swej męskości i poraniony w co delikatniejszych rejonach ciała z pewnością nie tak wyobrażał sobie uwiedzenie niewinnej pasierbicy.

Deborah obudziła go około godziny dziesiątej. Zdążyła już wziąć kąpiel i pachnąca różami kręciła się energicznie po apartamencie niczym obrotna pszczołka. Zamówiła do numeru obfite śniadanie, na które

oboje rzucili się z wilczym apetytem, potem przygotowała mu kąpiel i pozwoliła na całe dziesięć minut relaksu, nim nago i bez skrępowania dołączyła do niego i zanurzywszy się w marmurowej wannie, zażądała bisu.

Po wszystkim obróciła się do niego plecami i usiadłszy mu między nogami, odchyliła głowę i z zamkniętymi oczami spoczęła na jego piersi. Poranne słońce wpadało przez okno, ogrzewając ich twarze.

Albrecht również zamknął oczy, jednak w przeciwieństwie do swej kochanki oddał się nie marzeniom, lecz rozmyślaniom. Ich przedmiotem uczynił samego siebie, co było o tyle niezwykle, że zwykle obserwował i analizował zachowania innych ludzi, świadom, że tylko tak można doskonalić się w sztuce manipulacji.

Wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia, że został pokonany przez tak kruchą istotę. Nigdy dotąd nie spotkał się z taką namiętnością i takim temperamentem, zwłaszcza u tak młodej osobki. W ciele anioła krył się nieposkromiony tygrys. Jakkolwiek sam był tym faktem zdumiony, prawdziwie odczuwał wobec Debory czułość – ową słabość (bo czułość, jak każde zresztą uczucie, uważał za słabość), której nigdy dotąd nie uległ. I oto tego ranka siedział, głaszcząc jej ramiona i delektując się dotykiem sprężystej i gładkiej skóry, i czuł, jak wzbiera w nim uczucie, którego do tej pory starał się do siebie nie dopuszczać.

Nagle zamarł, gdyż jego place wyczuły nierówność. Zdziwiony odwrócił przedramię Debory ku światłu.

– Co to jest? Kto ci to zrobił? – wykrzyknął na widok cienkich, krzyżujących się blizn, tworzących na skórze okropne karo. Zapłonął gniewem na myśl, że to w Stuttgarcie, wbrew jego jasnym rozkazom, poddano Deborę torturom.

Dziewczyna przeciągnęła się leniwie w promieniach słońca i beznamiętnie spojrzała na swoje ręce. A potem bez wahania odpowiedziała, jakby obawiając się, że jakiś dysonans może zakłócić harmonię ich ciała i dusz:

– To? Nikt. Sama to zrobiłam. Wszystko zaczęło się po tym, jak tamtej strasznej nocy esesmani zabrali nas z domu. Od tamtej pory czuję czasami taką nienawiść i gniew, że dosłownie rozrywa mi duszę. Wtedy nacinam swe ciało, a ból przynosi chwilową ulgę. Lubię ból, on mi pomaga odzyskać dobre samopoczucie. Czy to ci przeszkadza?

– Wprost przeciwnie, to niezwykle, że lubisz ból. Jest w tym coś szalenie ekscytującego.

– Tak, mój panie, czuję – uśmiechnęła się Deborah, ocierając się o niego pośladkami, jakby dysponowała doświadczeniem wielu lat, a niejednej nocy.

– A ty, młoda damo, która najwyraźniej nie potrafisz się zachowywać, jak na damę przystało, jesteś szalenie frywolna. Spodziewałem się owieczki, a znalazłem dziką kocicę z ostrymi pazurami – dotknął jednej z nabrzmiałych ran na swej szyi, z ulgą konstatuując, że da się ją ukryć pod kołnierzem munduru.

Wrócił na chwilę myślami swego starszego brata i rozmowy, którą odbył z nim w domowej bibliotece po pogrzebie Elisabeth. Jakże to on się wtedy wyraził? Ach tak – ostrzegł go, że Deborah jest niczym klinga, o którą można się dotkliwie pokaleczyć. *Cóż, pomyślał Albrecht, na pewno ma ostre ząbki i jeszcze ostrzejsze pazurki. Szkoda, że poczciwy Leopold mnie teraz nie widzi.* Na twarzy esesmana pojawił się grymas samozadowolenia.

Tymczasem Deborah delektowała się przez chwilę słodkim bólem między nogami – pamiątką po pierwszej nocy – lecz uznawszy, że dała kochankowi dość czasu na odzyskanie sił, odwróciła się w obszernej wannie tak, że mogła się na nim położyć. Następnie jęła podniecająco poruszać biodrami, lecz on ze śmiechem odsunął ją od siebie, mówiąc:

– Żałuję, maleńka, naprawdę chciałbym, ale mam za chwilę spotkanie i muszę się trochę pośpieszyć.

Po tych słowach przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował, tak jak lubiła. Deborah natychmiast spróbowała ugryźć go w wargę, lecz on w porę umknął i wyszedł z wanny.

– Koniec, ty nienasycona. I tak będę się dziś musiał nasłuchać wyrzutów. Zobaczymy się przy kolacji. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, znajdziesz je w szufladzie biurka. – Stał już w drzwiach łazienki, kiedy odwrócił się jeszcze i z niedbałością zbyt wymuszoną, by uznać ją za prawdziwą, rzekł: – Jest jeszcze jeden drobiazg: twoje imię. Uważam, że nie pasuje do ciebie. Dlatego od tej pory będę nazywał cię Marią.

Po tych słowach odwrócił się i pozostawił oniemiałą kochankę. Deborah była tak zdumiona, że w pierwszej chwili, nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Potem ogarnął ją gniew i z braku czegoś cięższego cisnęła ociekającą wodą gąbkę w drzwi, które Albrecht przewidująco zamknął. Efekt był żaloszny i spowodował się do cichego plaśnięcia.

Co to za bzdury? Co mu niby nie odpowiada w moim imieniu? Deborah nabrała powietrza i zanurzyła się w wannie. Przypomniała sobie, że kiedyś często organizowali z Wolfgangiem zawody, kto dłużej wytrzyma pod wodą, i nagle ogarnęła ją tęsknota za braciszkiem, o którym zapomniała nieco w trakcie tej fascynującej podróży. Postanowiła, że jeszcze tego samego dnia zatelefonuje do niego w porze, gdy ten kończy lekcje.

Parskając wodą, wynurzyła się gwałtownie i znów nabrała powietrza. Jeszcze przez godzinę została w wystygłej wodzie, błądząc myślami, po czym z ciężkim westchnieniem wstała. Mimo młodego wieku była dość bystra, by pojąć, że tej nocy straciła nie tylko niewinność, lecz również swe imię – bo w uszach SS-Obersturmbannführera Albrechta Brunnmanna brzmiało ono nazbyt żydowsko.

A przecież w Starym Testamencie imię to ogrywa szczególną rolę. Ojciec opowiadał jej, że nosiła je wielka prorokini. I że po hebrajsku znaczy ono tyle co „pszczoła”.

Wiedziała jednak, że przez jakiś czas musi się pogodzić z jego utratą, jako że w zamian zyskała kochankę, przy którym mogła zagłuszyć przytłaczający ją gniew i nienawiść. Dzięki temu chwilowo przestała sobie zadawać nowe rany, gdyż jej tęsknotę za bólem jął zaspokajać Albrecht Brunnmann.

Wiedeń, Marchia Wschodnia

Trzy dni później wczesnym rankiem zaspany portier pomógł im znieść bagaże i opuścili hotel. Czekając na auto, Deborah ostatni raz spojrzała tęsknie na park. Jezioro było jeszcze spowite gęstą mgłą, a cisza wydawała się wręcz nieziemską. Zaczęła żałować, że nie może zostać w hotelu kilka dni dłużej.

Ku jej niezadowoleniu Albrecht znów przywdział mundur SS. Czekala ich wielogodzinna podróż do Wiednia, stolicy Marchii Wschodniej, jak od czasów anszlusu nazywano Austrię. Mieli się zatrzymać w hotelu Imperial, jak zapewnił Albrecht, równie zacnym i eleganckim jak zuryski Baur au Lac.

Wiedeń, dawna stolica cesarstwa i miejsce urodzenia jej matki, przywitał przybyszów promieniami wiosennego słońca.

Samo miasto było całkowicie opanowane przez nazistowski folklor, lecz Deborah szybko się z tym oswoiła i – jak to miało miejsce w rodzinnym Monachium – przestała zwracać uwagę na wszechobecne flagi i inne oznaki brunatnej władzy.

Wiedeń poznała już wcześniej. Zanim urodził się jej mały braciszek, była tu kilka razy z rodzicami, ostatni raz na początku 1933 roku. Miasto i jego zabytki wywarło na niej niezatarte wrażenie, toteż wciąż miała w żywej pamięci to, co wtedy widziała. Mimo to nazajutrz po przyjeździe bez zastrzeżeń przystała na propozycję Albrechta i pozwoliła mu obwieścić się po najciekawszych miejscach; każdy dzień był teraz dla niej jedynie przerwą pomiędzy nocami, które spędzała z kochankiem.

Albrecht najwyraźniej czuł się w Wiedniu jak w domu. Gdy Deborah o to spytała, zdradził jedynie, że spędził tu służbowo cały rok 1938, lecz nie wtajemniczył jej w szczegóły swej misji, sposób zaś, w jaki zmienił temat, świadczył wyraźnie o tym, że nie ma zamiaru wracać do tej rozmowy. Chorobliwa tajemniczość Albrechta powoli zaczynała ją irytować, zwłaszcza że jej ojciec nie tylko odpowiadał na wszystkie pytania, ale wręcz zachęcał dzieci do ich zadawania.

Kiedy mijali wiedeńską Akademię Sztuk Pięknych, Deborah przypomniała sobie, że przejeżdżała tędy z ojcem, który pokazując jej budynek, powiedział, że Hitler dwukrotnie bez powodzenia ubiegał się o przyjęcie w poczet studentów tej zacnej uczelni. Być może właśnie to wspomnienie ojca sprawiło, że Deborah na chwilę otrząsnęła się z miłosnego odurzenia i poczuła nieprzewartą ochotę podrażnić się nieco z Albrechtem. Była to pierwsza próbka tego, co Leopold Brunmann określił w rozmowie z bratem mianem „niezłomnego ducha” i „umysłu ostrego jak klinga”.

– Jakie to smutne... nie sądzisz, Albrechcie?

– Co takiego, Mario? – Albrecht ochoczo chwycił przynętę.

– To, że wasz Führer nie otrzymał od Opatrzności większego talentu. Wtedy być może nie toczylibyśmy dziś wojny. Kto wie, może siedziałby teraz gdzieś przy sztalugach i malował sielskie obrazki albo pocztówki z zabytkami Wiednia.

– Mario, skarbie, po pierwsze to również twój Führer, a po drugie może takie właśnie było zrządzenie Opatrzności: może nie narodził się po to, by być artystą, lecz by stać na czele całego narodu.

W głosie Albrechta nie było przygany. Przywodził raczej na myśl nauczyciela, który cierpliwie próbuje coś wytłumaczyć niepojętnemu uczniowi. A ponieważ już wcześniej używał wobec Debory tego protekcyjnego tonu, udało mu się kompletnie rozeźlić swą towarzyszkę.

– Rozumiem. A czy nie wiesz przypadkiem, co się stało z członkami komisji egzaminacyjnej, która wówczas odrzuciła waszego Führera?

Albrecht był tak zdumiony podtekstem kryjącym się w słowach Debory, że zrezygnował z ponownego jej pouczenia, iż Hitler jest Führerem wszystkich Niemców, i asekuracyjnie odpowiedział pytaniem:

– Co masz na myśli?

Deborah poczuła isticie szatańską satysfakcję, że udało jej się wzbudzić w Albrechcie podejrzliwą niepewność. Ta zabawa zaczynała jej się naprawdę podobać.

– Ach, nic takiego. Przypomniałam sobie tylko, jak mój ojciec wspominał o doktorze Forsterze. Zdaje się, że byli razem na froncie.

– A kim, przepraszam, jest ów doktor Forster? – w głosie Albrechta czaiło się ostrzeżenie, żeby uważała na słowa, toteż Deborah spytała przekornie:

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Mimo wszystko w jej głosie dało się wyczuć niepewność. Dała się ponieść emocjom i zbyt późno zrozumiała, że swoim zachowaniem może ściągnąć gniew Albrechta na swego ojca. O konsekwencjach w stosunku do siebie nie myślała. Nie bała się Albrechta Brunnmanna.

– Ależ naturalnie! Naprawdę chętnie się dowiem, co też kołacze się w twojej małej główce. – Głos Albrechta brzmiał protekcyjnie i lekceważąco, jakby chciał dać do rozumienia, że nie należy się spodziewać po kobiecie szczególnej mądrości. Tym samym znów rozbudził w swej towarzyszce ducha przekory.

– Jak sobie życzysz, kochany – odparła opryskliwie Deborah i zrelacjonowała wszystko, czego dowiedziała się na ten temat od ojca: – W 1918 roku wasz Führer zatruł się gazem musztardowym i trafił do lazaretu, zdaje się, że miejscowość nazywała się Pasewalk. Tam znalazł się pod opieką doktora Forstera. Ale ponieważ nieszczęsny doktor nie mógł wówczas nawet przeczuwać, że ma przed sobą przyszłego Führera Rzeszy Niemieckiej, zanotował w jego karcie, że pacjent to, cytuję: „psychopata z symptomami hysterii”. Mam nadzieję, że niczego nie przekreśliłam. Otóż wyobraź sobie, że w 1934 roku ów doktor Forster pod presją waszej Tajnej Policji Państwowej popełnił samobójstwo.

Deborah zauważyła, jak przez twarz Albrechta przebiega grymas, jakby poczuł nieznośny ból. Dopiero po dłuższej chwili udzielił jej odpowiedzi.

– Rozumiem. Sądzisz więc, Mario, że nasz Führer mógł chcieć się zemścić na członkach komisji egzaminacyjnej tutejszej Akademii? Zarzucasz mu mściwość? Czy mam rozumieć, że według ciebie nasz Führer kieruje się niskimi pobudkami? – Albrecht zdążył się już opanować, ale w jego głosie było coś, co kazało sądzić, że wie więcej, niż jest skłonny wyjawić. Deborah domyśliła się, że jej strzał mógł się okazać celny i że być może nieszczęśni członkowie komisji nie przeżywają w tej chwili najlepszego okresu w swym życiu.

Raptem nastrój dziewczyny znów uległ zmianie. Nagle straciła ochotę sprzeczać się z powodu – jak określała go w duchu – „tego okropnego Hitlera”, a przekora zniknęła równie szybko, jak się zjawiła. Dlatego pojednawczym tonem odrzekła:

– Ależ skądże. Tak tylko spytałam. Poza tym to ty nalegałeś, żebym ci o tym opowiedziała. Pojedziemy do Sachera? Tam mają najlepsze torty, a mnie właśnie naszła ochota.

W tym miejscu warto nadmienić, że uwagi poczynione przez Deborę były odbiciem słów jej ojca, który jako pierwszy w rozmowie ze swym przyjacielem Fritzem Gerlichem począł rozważać wpływ nieudanych egzaminów Hitlera na jego dalsze losy i poczynania.

Rzadko się zdarza, by zasada przyczyny i skutku znalazła tak katastrofalne i dalekosiężne odbicie w dziejach całego świata. Oto bowiem fakt, że w latach 1907 i 1908 kilku członków komisji rekrutacyjnej pewnej uczelni artystycznej uznało, iż młody Austriak o nazwisku Hitler nie wykazuje się wystarczającym

talentem, i odmówiło mu przyjęcia w mury akademii, nie tylko stanowił dla niedoszonego malarza traumatyczne przeżycie, ale też zmusił go do rewizji życiowych planów. Początkowo młody Hitler z większym lub mniejszym powodzeniem utrzymywał się z malowania pocztówek i szyldów, a szczytem jego kariery była reklama talku do stóp. Ten trudny dlań okres trwał aż do dnia, w którym przypadkiem odkrył w sobie talent oratorski i z powodzeniem wkroczył na ścieżkę kariery politycznej. Mimo to, już jako Führer, nie omieszkał po latach wysłać swych siepaczy do Wiednia z rozkazem odnalezienia i zarekwirowania swoich dawnych prac, aby ich nie najwyższy poziom artystyczny nie podkopał przypadkiem opinii o geniuszu autora...

Jak potoczyłyby się losy Europy, gdyby Hitler został swego czasu przyjęty w poczet studentów wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych? Czy doszłoby do wybuchu drugiej wojny światowej i wynalezienia bomby atomowej? Czy ekspansja komunizmu przebiegałaby mniej dramatycznie? Czy doszłoby do zimnej wojny? Czy Niemcy zostałyby podzielone, a ich stolica przegrodzona złowrogim murem?

Deborah i Albrecht zabawili w Wiedniu dwa tygodnie. Albrecht był szalenie zajęty, bezustannie uczestniczył w jakichś naradach i konferencjach, z których zwykle wracał do hotelu późnym wieczorem.

Tu znowuż musiał spełnić oczekiwania wyglądającej go niecierpliwie kochanki. Czegóż takiego doprawdy się nie spodziewał. Po nużących posiedzeniach, na których bez końca podejmowano rozmaite decyzje, jego organizm potrzebował odpoczynku i snu. A mimo to jego ciało, opanowane pożądaniem, wciąż ulegało tej nadzwyczajnej, nienasyconej istocie. W końcu musiał zmobilizować ostatnie rezerwy męskich mocy, podczas gdy dziewczę u jego boku rozkwitało niczym wiosenna róża.

Albrecht nie potrafił się oprzeć Deborze, nawet w myślach. Podczas narad coraz częściej przyłapywał się na tym, że jego uwaga nagle się rozprasza, a wypowiedane wokół słowa i polecenia nikną gdzieś w tle. Marzył o tym, by wrócić do hotelu, rzucić się w ramiona Debory i chłonać oszałamiający miodowy zapach jej skóry. Pożądał jej tak szaleńczo, że nierzadko musiał sięgać po aktówkę i kłaść sobie ją na kolanach, by zasłonić oznakę swej ekscytacji...

Ten osobliwy zwyczaj na dłuższą metę nie mógł ujść uwadze pozostałych uczestników konferencji, a ponieważ ciekawość jest cechą niemożliwą do poskromienia, wkrótce pojawiły się najrozmaitsze plotki i spekulacje na temat teczki SS-Obersturmbannführera Brunnmanna.

Zastanawiano się, jakaż to ważna tajemnica może się kryć w środku, że jej właściciel, specjalny wysłannik Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, podległy bezpośrednio jego szefowi Reinhardowi Heydrichowi, podczas narad nie tylko nie spuszcza jej z oka, ale wręcz zazdrośnie przyciska do łona. Dyrektywy, które mają się pojawić na stole dopiero w ostatniej chwili? Tajne rozkazy Führera?

Tymczasem Deborah obok cielesnej miłości odkryła jeszcze jeden sposób zagłuszania trawiącej jej duszę nienawiści i gniewu – sposób, z którego wnet zaczęła bez umiaru korzystać. Otóż stwierdziwszy, że Albrecht dysponuje zdało by się nieograniczonymi wręcz środkami finansowymi, a jego szczodrość wobec młodej kochanki nie zna granic, dziewczyna każdego ranka opuszczała hotel i udawała się na zakupy do najelegantszych sklepów przy najbardziej reprezentacyjnej ulicy Wiednia. Wkrótce jej garderoba zapełniła niezliczone walizy i kufry.

Po każdej z takich eskapad, późnym popołudniem zachodziła do salonu kominkowego hotelu Imperial, gdzie ćwiczyła na znakomitym i wyjątkowo kosztownym fortepianie a od czasu do czasu dawała prywatne koncerty.

Pierwsze wspólne tygodnie z Albrechtem Deborah przeżyła niczym jeden surrealistyczny sen. Bez wahania spełniała wszystkie swoje pragnienia. Zupełnie, jakby pękła w niej tama i zalała ją fala

nienasyconych żądz. Chciała żyć, kochać i śpiewać – i to już, zaraz, natychmiast! Rzuciła się w wir życia z takim zapamiętaniem, jakie możliwe jest tylko dla ludzi o „absolutnej duszy”. Przypominała tym swoją matkę, z tą jednak różnicą, że o ile Elisabeth w decydującym momencie spotkała na swej drodze zbawcę w osobie Gustava, o tyle Deborah zawarła pakt z diabłem.

Nie myślała już o swoim małym braciszku. Zapomniała o tym, że miała do niego zatelefonować z Zurychu. Jej dawne życie zdawało się przynależeć do jakiejś ostatecznie minionej epoki. Jedynym ogniwem łączącym dawną Deborę z nową była muzyka.

Kraków, Generalne Gubernatorstwo

Z Wiednia wyruszyli w dalszą drogę do Krakowa, prastarej stolicy Polski.

Od października 1939 roku ziemie te były okupowane przez Niemcy, lecz nie zostały wcielone do Rzeszy. Na ich terenie utworzono za to tak zwane Generalne Gubernatorstwo, złożone z czterech, a od 1941 roku pięciu dystryktów: krakowskiego, lubelskiego, radomskiego, warszawskiego i galicyjskiego. W dniu utworzenia Gubernatorstwa na jego obszarze zamieszkiwało mniej więcej dwanaście milionów ludzi, lecz do 1945 roku liczba tutejszej ludności zmniejszyła się o połowę.

Do Krakowa miał ich zawieźć szofer, specjalnie wezwany przez Albrechta z Berlina. Był to niewysoki, dość krępy mężczyzna o nalanej, okrągłej twarzy i lśniącej, łysej czaszce. Miał na imię Osman i był niemową.

W drodze Deborah usłyszała od Albrechta historię Osmana: otóż zanim matka Albrechta poślubiła jego ojca, przez kilka miesięcy występowała na scenie jako wielce obiecująca śpiewaczka.

I w takich właśnie okolicznościach młodą artystkę usłyszał pewien tajemniczy książę przybyły z Orientu. Zakochawszy się w niej od pierwszego wejrzenia, egzotyczny admirator począł gorąco zabiegać o względy śpiewaczki. Każdego dnia czekał na nią z istic książęcym podarkiem: tropikalnymi owocami, egzotycznym zwierzątkiem, najpiękniejszymi perłami lub lśniącym brylantem, a ostatecznie z prezentem najcenniejszym ze wszystkich: z Osmanem, który w tamtym czasie był małym, wystraszonego chłopcem o dzikim spojrzeniu, lecz jako kastrat posiadał cudowny głos.

– Osman jest śpiewakiem? – spytała z ekscytacją Deborah, a w jej oczach zabłyśły iskry.

– Był. Już nie śpiewa.

– Ale dlaczego?! Moglibyśmy spróbować duetu! Proszę, mogę? – spytała błagalnie jak mała dziewczynka.

– Osman nie może śpiewać, Mario. Do tego potrzebny jest język.

– Język? Nie rozumiem.

– Mój ojciec obciął mu język.

– Słucham?! To... potworne! – Deborah kompletnie zaniemówiła. – Ale... dlaczego... na litość boską... dlaczego zrobił coś tak okrutnego?

– Bo Osman nie znał umiaru. – Albrecht wypowiedział to zdanie obojętnym tonem, jakby reakcja jego ojca była czymś zupełnie normalnym.

Osman wydał z siebie jakiś dźwięk, jakby westchnienie – tak ciche, że nawet wyczulone ucho Debory z trudem je złowiło, za to przepełnione bezbrzeżnym bólem i tęsknotą złamanej duszy.

Jej serce mimowolnie wezbrało współczuciem dla szofera.

– Może zamiast twojego ojca matka powinna była poślubić tego wschodniego księcia – rzuciła ze złością.

– Właściwie niemal do tego doszło. Jednak w ostatniej chwili dowiedziała się, że ów kalif ma już trzy żony i pokaźną liczbę nałożnic.

Deborah zrozumiała, że Albrecht już wielokrotnie i zawsze z wielkim powodzeniem opowiadał tę

historię. Również teraz, wyraźnie zadowolony z osiągniętego efektu, przeciągnął się ~ o ile pozwalała na to ograniczona przestrzeń auta – i ziewnął serdecznie. Z powodu zapału przejawianego przez młodą kochankę, w ostatnich tygodniach stanowczo brakowało mu snu.

Deborah poczuła, że i ją raptem ogarnęło znużenie. Długie podróże autem zawsze tak na nią wpływały. Jeszcze przed momentem kipiąca gniewem, znów w jednej chwili uległa zmianie nastroju i poczuwszy nagle zbyt dużą ospałość, by się kłócić, zamknęła oczy.

Ukojona monotonnym kołysaniem auta, przespaa sielski widok zielonych pól i monotonny szum deszczu, który wkrótce spadł z nieba. Obudziła się dopiero, kiedy auto zatrzymało się przed imponującym gmachem Grand Hotelu przy ulicy Sławkowskiej, w samym sercu krakowskiego Starego Miasta, o którym niektórzy mówią, że jest najpiękniejszą starówką Europy.

W ciągu ostatnich tygodni Deborah bez reszty wcieliła się w rolę światowej damy, toteż luksusy oferowane przez pięciogwiazdkowy hotel przyjęła jako coś zupełnie naturalnego.

Podczas gdy dwie pokojówki zajęły się rozpakowywaniem jej bogatej garderoby, a Albrecht odbywał kolejne rozmowy telefoniczne, Deborah, po krótkim zapoznaniu się z apartamentem, udała się na zwiedzanie hotelu. W tak zwanej sali lustrzanej znalazła to, czego szukała: koncertowy fortepian, którego nie mogło zabraknąć w żadnym luksusowym hotelu. Była też, ma się rozumieć, wiedeńska kawiarenka i barek kawowy, toteż Deborah szybko poczuła się niemal jak w domu.

Jeszcze tego samego wieczora we wspomnianej sali lustrzanej odbyło się wielkie galowe przyjęcie, podczas którego Deborah miała okazję poznać towarzyszy Albrechta z SS, między innymi Richarda Wendlera, którego Albrecht zaprezentował jako nowo mianowanego gubernatora Krakowa, oraz Amona Götha, postawnego komendanta Płaszowa i rodowitego wiedeńczyka. Ją samą z kolei Albrecht przedstawił jako śpiewaczkę Marię Malpran.

W trakcie przyjęcia Deborah nie mogła wyjść ze zdumienia, jak mocne głowy mają uczestniczący w nim panowie oraz nieliczne damy, które wszelako wkrótce zaczęły chichotać i zachowywać się dość trzpiotowato. Ona sama sączyła wyłącznie szampana, a i to w niewielkich ilościach. Niestety, alkohol niespecjalnie jej służył i płynąca z niego krótkotrwała rozkosz każdorazowo okupiona była okropnymi bólami głowy. Stąd uznawszy, że to stanowczo niekorzystna wymiana, wolała zrezygnować w mocniejszych trunków.

Z każdą upływającą godziną przy stole robiło się coraz głośniej, Deborah zaś czuła się coraz bardziej nieswojo, toteż ogarnęła ją niewypowiedziana wprost ulga, kiedy Albrecht, usprawiedliwiając się długą podróżą, jako pierwszy pożegnał się z dokazującym towarzystwem.

W nocy zaspokoili nawzajem trawiący ich głód. Deborah ugryzła Albrechta w język tak mocno, że aż poczuła smak ciepłej krwi kochanka, on zaś tylko się zaśmiał, obrócił ją na brzuch i wziął srogi rewanz.

Dwa dni później udali się na wieczorne przyjęcie wydane na Wawelu przez doktora Hansa Franka, generalnego gubernatora okupowanej Polski.

Renesansowy zamek wznosił się na niewielkim wzgórzu nad brzegiem Wisły i rozświetlony setkami płonących pochodni stanowił niezapomniany widok. Wzgórze Wawelskie od niepamiętnych czasów było siedzibą polskich królów, toteż Hans Frank i jego żona rezydowali na nim niczym para feudalnych władców. Stosownie do swej pozycji gospodarze zatrudniali całą armię służby, którą nazywali swoim „orszakiem”.

Albrecht, który w ostatnim czasie nie szczędził swej kochance najrozmaitszych anegdot, szepnął jej, że terytorium oddane we władanie doktora Franka określa się czasem w berlińskich kręgach jako „Frank-Reich”. Poinformował ją również, że generalny gubernator kilka lat wcześniej był bawarskim ministrem Rzeszy i osobistym adwokatem Führera, którego reprezentował w przeszło czterdziestu procesach

sądowych. Deborah w przyptywie sarkazmu pomyślała, że doktor Frank musiał się dobrze sprawić, gdyż w przeciwnym wypadku nie rezydowałby w tym wspaniałym zamku.

Drugie, nieznanie światu oblicze Hansa Franka pozostało ukryte również przed oczami Debory. W jej mniemaniu generalny gubernator był czarującym gospodarzem, wprawnym pianistą, miłośnikiem opery i filozofem, z lubością cytującym Nietzschego, tak jak to miał w zwyczaju również jej ojciec.

Gubernatorostwo z radością powitali w kręgu swych gości utalentowaną córkę słynnej śpiewaczki Elisabeth Malpran. Pani Brigitte nie omieszkła przy tej okazji wspomnieć, jak to dwa lata wcześniej siedziała w berlińskiej Staatsoper w łożu samego Führera, który z entuzjazmem oklaskiwał występ pani Malpran.

Na widok nakrytych białym adamaszkiem stołów, lśniącej srebrnej zastawy, mnóstwa wyszukanych potraw serwowanych przez służbę na polerowanych tacach oraz eleganckich i rozbawionych gości w smokach i wieczorowych sukniach trudno było uwierzyć, że Niemcy od blisko trzech lat toczą wojnę z połową Europy.

Ileć Deborah przypadkiem napotkała spojrzenie gospodarza, przechodził ją lekki dreszcz, jakby czuła na karku wzrok drapieżnika, a na języku wyczuwała smak ekscytacji, podobny do szczypania pojawiającego się po łyčku szampana. Podobało jej się to nieznanie dotąd uczucie, ponieważ sądziła, że ma władzę nad tym obcym mężczyzną, który pożądał jej, podczas gdy ona czuła wobec niego zimną obojętność.

Niestety, jako że Deborah była zupełnie niedoświadczona w tej nowej grze, nie знаła też rządzącej nią fundamentalnej zasady – tej mianowicie, że władza należy do silniejszego.

– Słyszałem, panie Obersturmbannführer – Hans Frank zwrócił się do Albrechta, kładąc nacisk na jego rangę, jakby chciał w ten sposób przypomnieć, że sam zajmuje nieporównanie wyższe stanowisko – że od czasu naszego spotkania w Wannsee był pan szalenie zajęty. Tak mi przynajmniej donoszą z Berlina. Ledwie wczoraj otrzymałem depezę z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy zawierająca zalecenia dotyczące dalszych działań. Rozumiem, że przyjechał pan, by osobiście przekonać się o postępie prac. Wolno wiedzieć, z czyjego polecenia pan przybywa? Reichsführera-SS czy szefa?

Frank i najwyższy rangą esesman, to jest Heinrich Himmler, od lat byli zaprzysięgłymi wrogami, bezustannie tocząc prywatną wojnę o władzę w Generalnym Gubernatorstwie. W tym kontekście Reinhard Heydrich, kierownik Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i bezpośredni przełożony Albrechta Brunnmanna, wydawał się Frankowi mniejszym złem. A że powszechnie był nazywany przez podwładnych „szefem”, stąd aluzja w pytaniu Franka.

Wyczulone ucho Debory zarejestrowało, że rozmowa zesłała na niebezpieczne tory. Nie miała co prawda pojęcia, o czym mówi generalny gubernator, ale zauważyła, że również inni goście zwrócili głowy w ich kierunku. Gwar panujący przy stole począł stopniowo słabnąć, aż w końcu w sali zapadła pełna napięcia cisza.

Albrecht pozostał niewzruszony. Z namysłem wyjął cygaro z podanego mu humidoru i zapalił je, unosząc zapałkę spokojną i pewną dłonią. Następnie z rozkoszą pociągnął kilka razy, aż końcówka cygara rozżarzyła się na żółto, i odpowiedział:

– Jestem tu jako kierownik Referatu IV i wykonuję swe zwykłe obowiązki. Tylko tyle i aż tyle, panie generalny gubernatorze.

– Widzę jednak, panie Obersturmbannführer, że nie zapomina pan przy tym o przyjemnościach – Frank rozparł się niedbale na krześle, splótł dłonie na zaokrąglającym się z wolna brzuchu i wlepił wzrok w młodą towarzyszkę Albrechta.

– Takie są przywileje władzy, nieprawdaż, panie gubernatorze? – Spojrzenie Albrechta powędrowało po ścianach zanikowej sali, stole i członkach służby.

– Owszem. Co pan na to, żeby pana czarująca towarzyszka dała nam próbkę swego talentu, o którym z takim zachwytem pan opowiadał? – Frank najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie warto tego wieczora wszczynać politycznego sporu.

Deborah za przyzwoleniem Albrechta chętnie spełniła prośbę gospodarza i podeszła do niewielkiego podium u szczytu sali, na którym ustawiono fortepian, a jej godzinny koncert sprawił, że stała się najjaśniejszą gwiazdą tego wieczoru.

Dla niespełna osiemnastoletniej dziewczyny, stojącej dopiero u progu kobiecości, był to zupełnie nowy, cudowny świat, pełen splendoru i blasku, które oślepiły ją i sprawiły, że na chwilę zupełnie się zatraciła.

„Piekło jest puste”

Podczas przyjęcia na Wawelu Deborah poznała między innymi Marlene Kalten, która była kochanką wysokiego rangą oficera Wehrmachtu, aczkolwiek sama przedstawiała się jako aktorka. Deborah była od niej o kilka lat młodsza i za zgodą Albrechta, który z zadowoleniem przyjął fakt, że jego kochanka znalazła sobie stosowne towarzystwo, młode damy umówiły się na następne popołudnie w Grand Hotelu.

Kiedy Marlene weszła do ogromnego hotelowego holu połączonego wspianiałymi schodami z pierwszym piętrem budynku, Deborah już na nią czekała.

Marlene Kalten była kapryśną filigranową osóbką z zadartym noskiem. Nie była klasyczną piękną, ale nadrabiała ten brak pogodnym usposobieniem i śmiechem, który był zaraźliwy jak katar.

Deborah od razu ją polubiła. Szczególnie bawiła ją pocieszna maniera nowej przyjaciółki, która z upodobaniem pozowała na Francuzkę, przy czym jej znajomość francuszczyzny ograniczała się do *alors, chérie* i *très chic*.

Marlene już od ponad roku bawiła w Krakowie i zdążyła znakomicie poznać miasto. Młode damy postanowiły, rzecz jasna, wybrać się na zakupy, gdyż, jak rychło się okazało, samozwańcza aktorka pałała do tego zajęcia nie mniejszą namiętnością niż jej młodsza towarzysza.

Marlene wydała stosowne polecenie szoferowi, którego miała do dyspozycji, po czym zwróciła się do przyjaciółki:

– Jaka szkoda, że nie ma już żydowskiej dzielnicy. Można tam było kupić absolutnie *tres chic*, zwłaszcza biżuterię i futra. Często widywano tam żonę naszego generalnego gubernatora, która nabyła przy tej okazji kilka wyjątkowo cennych drobiazgów. – Marlene zamknęła oczy i głęboko westchnęła, jakby w myślach muskała palcami mięciutkie futerko.

Przyjaciółka chciała pokazać Deborze Kraków, toteż panie rozpoczęły wycieczkę od turystycznej rundki po mieście. Deborah z zachwytem oglądała ciasno pobudowane mieszczańskie kamienice i brukowane zaułki.

Wczesnym rankiem przez chwilę padało, więc powietrze był jeszcze zasnuwane resztkami oparów, lecz chmury poczęły się już rozpraszać. Wiosenne słońce dzielnie torowało sobie drogę między nimi, by z mżawką osuszyć ulice. W ciasnych zaułkach zalegał jeszcze biały welon mgieł, nadając miastu nierzeczywistą aurę.

Jakby skrywał jakieś tajemnice, pomyślała Deborah.

Może pod wpływem równomiernego warkotu silnika i miękkiego obicia kanapy, a może wskutek oszołomienia nowym miejscem lub zwyczajnie z racji permanentnego niewyspania, które w końcu dało o sobie znać – tak czy siak głos Marlene począł stopniowo niknąć i Deborah poczuła osobliwą lekkość, zupełnie jakby nie należała do tego świata. Chciała biec, widziała, jak poruszają się jej stopy, ale chociaż starała się z wszystkich sił, pozostawała w miejscu, jakby biegła zanurzona po szyję w wodzie. Nagły wstrząs wyrwał ją z zamyślenia.

Sznur samochodów ustawionych w przeciwnym kierunku zmusił szofera do gwałtownego manewru. Aby uniknąć czołowego zderzenia, kierowca musiał wjechać na wąski chodnik. Deborah spodziewała się nieprzyjemnego zgrzytu, jaki rozlega się, kiedy blacha samochodu rozgnięta się o mur domu, lecz ku jej

zdużeniu nic takiego nie nastąpiło. Mimo że między auto a ścianę z trudem dałoby się wcisnąć zeszyt z nutami.

Z naprzeciwka, z dzielnicy Podgórze, ciągnął sznur ciężarówek wyładowanych po brzegi stłoczonymi ludźmi – kobietami i dziećmi. Eskortowali ich uzbrojeni po zęby mężczyźni, niemal wyłącznie z jednostek SS i policji, oraz mały oddział polskich policjantów.

Deborah natychmiast otrzeźwiała, a jej serce zaczęło walić jak młot, gdy rozpacz i bezradność wiezionych autami kobiet i dzieci przetoczyła się nad nią niczym potężna fala. Na ich ramionach dostrzegła żółte opaski z gwiazdą Dawida. Wiedziała, co to oznacza, gdyż kiedyś wyjaśniła jej to matka. Wyprostowała się, by lepiej widzieć. Ponieważ z jej strony auto stało przy samym murze, nie mogła wysiąść.

– Dokąd zabierają tych ludzi? – spytała nerwowo przyjaciółkę, a w duchu dodała: *Może później Albrecht będzie mógł jakoś pomóc nieszczęsnym.*

– Och, do obozu pracy. To przestępcy, *ma chérie* – odrzekła obojętnym tonem Marlene, wyciągając z torebki srebrne lustro. Nawet nie spojrzała na mijający je transport. Zamiast tego zwilżyła czubek palca wskazującego i powiodła nim po swych idealnie uformowanych brwiach. – Doprawdy, to okropne, że nikt nas nie poinformował, że dziś na ulicach będzie taki ruch. Hugo, zawieź nas, proszę, najkrótszą drogą z powrotem na Stare Miasto, do Café Cyganeria. Widok tych brudnych ludzi sprawił, że muszę się napić szampana.

– Tak jest, łaskawa pani.

Café Cyganeria znajdowała się przy ulicy Szpitalnej, ulokowana pośród długiego rzędu kamienic, w większości wzniesionych w XIX wieku lub jeszcze dawniej.

Szpitalna była niegdyś tętniącą życiem żydowską ulicą, zaludnianą przeważnie przez studentów i uczniów, którzy w tutejszych antykwariatach wymieniali podręczniki. Można było tutaj znaleźć również rozmaite warsztaty, na przykład szewskie.

Kawiarnia mieściła się na parterze tak zwanego Czerwonego Domu, który nazwy tej nie zawdzięczał bynajmniej politycznym zapatrywaniom swoich lokatorów, lecz pomalowanej na czerwono fasadzie. Choć wstęp do lokalu był zarezerwowany wyłącznie dla przedstawicieli niemieckiej elity i jej sojuszników, w środku panował ogromny ścisk, a powietrze przesycone było kłębamii dymu. Gdy jednak przyjaciółki weszły do środka, wszystkie stoliki były zajęte. Dwaj siedzący w głębi sali oficerowie Wehrmachtu ochoczo odstąpili swoje miejsca pięknym damom. Nie pytając Debory o zdanie, Marlene zamówiła dwa kieliszki szampana, po czym wystudiowanym gestem skłoniła siedzącego przy sąsiednim stoliku nudziarza w szarym mundurze, by przypalił jej papierosa, i wypuściła w powietrze kilka kręgów sinego dymu.

Marlene, kapryśna osóbką w małym kapelusiku figlarnie upiętym na jej blond główce i wciętym w talię kostiumie – wedle najnowszej paryskiej mody *mademoiselle* Chanel – wzbudziła prawdziwą sensację. Przez chwilę pławiła się w spojrzeniach obecnych w lokalu panów, lecz szybko spostrzegła, że egzotyczna piękność u jej boku wzbudza równie wielkie, a może i większe zainteresowanie.

Ożywiona zaczęła opowiadać o zaletach swojego Ernsta, którym wszelako nie poświęciła zbyt wiele czasu, o najlepszych krakowskich butikach (tu lista była o wiele dłuższa), o ubóstwianej przez siebie „niezrównanej *mademoiselle* Chanel”, którą miała okazję spotkać osobiście w Paryżu, i o tym, że – oczywiście dopiero kiedy skończy się wojna – zostanie gwiazdą filmową. Deborah, również napawając się zainteresowaniem, które wespół z Marlene wzbudziły wśród przeważnie męskiej klienteli lokalu, stopniowo tak się zatraciła w tym przyjemnym poczuciu, że nieświadomie zaczęła naśladować teatralne gesty i zachowania Marlene.

Większość obecnych stanowili, ma się rozumieć, ubrani w mundury oficerowie, lecz było wśród gości

również kilku panów w dobrze skrojonych garniturach oraz spora grupa wystrojonych wedle najnowszej mody dam. Marlene, która najwyraźniej była tu stałym gościem, znała plotki na temat każdej z tych kobiet i chętnie się nimi dzieliła. I tak na przykład wnet się okazało, że tleniona blondynka przy sąsiednim stoliku, której właśnie odpalano papierosa, była najślawniejszym w Krakowie „pucharem przechodnim” i przewinęła się już przez tyle łóżek, że wkrótce będzie sobie musiała znaleźć jakieś inne miasto, bo tu niewielu zostało już oficerów, którzy nie mieli dotąd okazji zakosztować jej wdzięków. Z kolei mały chudy człowieczek w czarnym garniturze, „tam w rogu”, okazał się prawdziwym rekinem branży tekstylnej, handlującym głównie włosami do wypełniania materacy, podczas gdy siedzącego naprzeciw niego tłustego spoconego faceta z łysiną wszyscy nazywali „organizatorem”, bo „nie ma rzeczy ani sprawy, której by nie załatwił”.

– Oczywiście pod warunkiem, że masz dość gotówki – dodała Marlene konspiracyjnym szeptem.

Plotki opowiadane przez aktorkę szybko zaczęły nużyć jej towarzyszkę. Deborah niemrawo sączyła szampana i poprawiwszy etolę, zastanawiała się właśnie, czyjej nie zdjąć, jako że w przepelnionej kawiarni robiło jej się z wolna coraz cieplej, gdy nagle jej dłonie zamarły w pół drogi.

Za oknem ujrzała bowiem młodą kobietę, która biegła przez plac, jakby ktoś ją ścigał. Miała na sobie podarte ubranie i raz po raz rzucała przez ramię zaszczute spojrzenie. Potem zniknęła z pola widzenia. Deborah pomyślała o obdartych kobietach i dzieciach na ciężarówkach, które z pewnością marzną w ten chłodny wiosenny dzień, podczas gdy ona siedzi tutaj i bawi się miękkim futerkiem. Próbowwała zapomnieć o młodej kobiecie, której widok siłą rzeczy przywołał w niej smutne wspomnienia tamtej nocy, gdy Magda, jedyna jej przyjaciółka, zniknęła, a Pszczołka straciła życie. Deborah już od dawna domyślała się, że Magda również nie żyje.

Jednak bastion wzniesiony z wyparcia i bólu zaczął się kruszyć. Odkąd Deborah ujrzała tych ludzi, czuła wobec nich na równi współczucie i odpowiedzialność.

– Powiedz, Marlene – przerwała monolog młodej aktorki. – Co to byli za ludzie? Dzisiaj, na ciężarówkach? Powiedziałaś, że to przestępcy, ale to przecież nie może być prawda. Chyba że w tym mieście wsadza się do więzienia całe rodziny...

W oczach Marlene pojawił się błysk, a przez jej twarz przemknął dziwny grymas, coś między przestroga a przerażeniem, lecz zaraz zniknął i Deborah pomyślała, że musiało jej się przywidzieć, zwłaszcza że głos przyjaciółki brzmiał zupełnie obojętnie, kiedy odrzekła:

– Dajmy temu spokój, *chérie*. To tylko polityka. My nie mamy z tym nic wspólnego.

– Może masz rację. Ale czy nie zastanawiałaś się nigdy, kim są ci ludzie?

– Niby po co? Nawet ich nie znam – odparła Marlene, wzruszając ramionami i rzucając nad głową przyjaciółki promienny uśmiech przeznaczony dla postawnego jasnowłosego oficera Waffen-SS.

– Były wśród nich małe dzieci, nawet niemowlęta. Wybacz, ale... co one mają wspólnego z polityką? – Deborah nie dawała za wygraną, a w jej głosie pojawiła się ostrzejsza nuta.

Marlene nachyliła się ku niej i uspokajająco położyła dłoń na jej przedramieniu.

– Wierz mi, to nie jest najważniejsze miejsce, by rozmawiać o polityce. Osobiście wolę cieszyć się życiem na tym świecie, niż rozważać jego meandry! I tobie radzę czynić to samo, *ma chérie*. Zostawmy te sprawy mężczyznom, oni wiedzą, co czynią. – Jakby zmieniając temat, Marlene skinęła na kelnerkę, płochą istotę, która bez przerwy musiała umykać przed natarczywymi dłońmi gości.

Dziewczyna w te pędy zjawiła się przy ich stoliku i Marlene, stwierdziwszy z grymasem, że Deborah ledwie zamoczyła usta w szampanie, zamówiła dla siebie jeszcze jeden kieliszek tego szlachetnego trunku:

– Pomówmy lepiej o czymś przyjemniejszym, *ma petite*. Na przykład o twoim Albrechcie. *Alors*, ty to masz szczęście! Muszę przyznać, że Albrecht wygląda znakomicie. Absolutnie *très joli*! Sama chciałabym

zławić taką sztukę, naprawdę – westchnęła. – W dodatku, jak słyszałam, jest wolny. Kiedy pomyślę o moim Ernście... no cóż... – Marlene urwała w pół zdania i, o dziwo, zamilkła. Najwyraźniej doszła do wniosku, że istotnie, niewiele jest do opowiadania o jej Ernście. Deborah również milczała. Przypomniała sobie poprzedni wieczór i niskiego, korpulentnego człowieka z przekrwioną twarzą i podwójnym podbródkiem, którego nieprzyjemnie głośny śmiech za każdym razem rozbrzmiewał przy stole o jeden takt dłużej niż głosy sąsiadów. No i był żonaty.

Kiedy Deborah podniosła oczy, odniosła wrażenie, że Marlene spogląda na nią badawczo, jakby oceniała prawdziwą wartość wyłożonego przed nią na ladę towaru. W końcu podjęła decyzję.

– Chciałabym ci udzielić pewnej rady, *chérie*. Lepiej, żebyś nie zadawała takich pytań. Mężczyźni nie lubią, kiedy my, kobiety, zaprzątamy sobie głowy sprawami wielkiej polityki. Rozumiesz?

Deborah poczuła, jak wzbiera w niej gniew. Nie miała ochoty wysłuchiwać pouczeń kogoś, kto jest ledwie kilka lat starszy od niej i kogo dopiero co poznała. Dlatego odpowiedziała tonem ostrzejszym, niż zamierzała:

– Innymi słowy, chcesz powiedzieć, że mam trzymać gębę na kłódkę i nie tracić czasu na bezproduktywne rozważania, dobrze zrozumiałam?

– Nie, *chérie*. Mówię o tym, żebyś się nie oddawała niebezpiecznym rozważaniom. Chodź, lepiej stąd wyjdźmy. – Marlene sięgnęła po swoją torebkę, rzuciła na stolik banknot i ruszyła w kierunku drzwi. Jej towarzysze nie pozostało nic innego, jak podążyć jej śladem.

W drodze powrotnej do hotelu Marlene wzięła cały ciężar konwersacji na swoje barki, podczas gdy Deborah z uporem milczała, demonstracyjnie wpatrując się w okno, jakby przesuwwały się za nim nie wiadomo jakie cuda i dziwy.

Marlene zupełnie to nie przeszkadzało. Niezrażona paplała, a kiedy zatrzymali się przed Grand Hotelem i portier podbiegł, by otworzyć drzwiczki auta, dotknęła lekko ramienia swej towarzyszki, zatrzymując ją jeszcze na chwilę. W jej głosie, który sekundę wcześniej brzmiał lekkomyślnie i trzpiotowato, nagle pojawił się niespodziewanie poważny ton:

– Mario! Jeszcze słówko! Wiesz, co kiedyś powiedziała Coco Chanel? Otóż stwierdziła, że większość kobiet staranniej wybiera koszulę nocną niż swojego mężczyznę. Pamiętaj, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz! Przyjadę po ciebie jutro o tej samej porze. *Au revoir, chérie*.

Po tych słowach zniknęła, zostawiwszy cokolwiek zdezorientowaną przyjaciółkę. Deborah odprowadziła wzrokiem odjeżdżające auto. Przez całą drogę miała ochotę zbesztać Marlene, lecz teraz czuła się tak, jakby ktoś z niej spuścił całe powietrze.

Aż do tej chwili miała wrażenie, że przejrzała Marlene na wylot. Co zatem miała znaczyć ta nagła zmiana nastroju jej gadatliwej towarzyszki? Czyżby to miało być ostrzeżenie?

Do powrotu Albrechta pozostało jeszcze kilka godzin, toteż Deborah miała dość czasu na rozmyślanie. Marlene była dla niej prawdziwą zagadką. Deborah zdawała sobie sprawę, że jej towarzyszka budzi wśród napotkanych ludzi swoistą fascynację, z wolna odsłaniając przed innymi swoją prawdziwą naturę. Z całą pewnością była inteligentniejsza, niż to okazywała na zewnątrz, czym poniekąd przypominała Magdę. W niej również kryło się więcej, niżby można przypuszczać na pierwszy rzut oka.

Jednak dużo bardziej niż osoba Marlene Kalten zajmował Deborah los ludzi, których widziała na odkrytych skrzyniach ciężarówek. Wieziono ich niczym bydło – tylko dlatego że byli Żydami!

Tamten widok coś w niej obudził. Nigdy dotąd nie czuła się Żydówką, lecz tego dnia po raz pierwszy uświadomiła sobie swoje żydowskie korzenie i związek z narodem, z którego wywodził się jej ojciec. Niespecjalnie знаła zasady wiary żydowskiej, gdyż doktor nie kultywował praktyk religijnych, za to opowiedział jej dzieje cierpienia swego ludu, a potem nauczył języka hebrajskiego. Była zatem związana z tamtymi ludźmi. Była jedną z nich!

Raptem pojęła, dlaczego nie chciała do siebie dopuścić myśli o tamtych nieszczęśnikach, a nawet przez chwilę żałowała, że w ogóle spotkała ich na swojej drodze. Ona i jej brat zostali ocaleni przez Albrechta dosłownie w ostatniej chwili. Ale czy zjawi się ktoś, by ocalić tamtych biedaków?

Dotąd Deborah wmawiała sobie, że zadając ból swojemu ciału, zdołała nieodwracalnie pogrzebać na dnie duszy grozę tamtej monachijskiej nocy. Jednak ta groza nie zniknęła, czaiła się w niej, w każdej chwili gotowa zepchnąć ją na dno piekła i dręczyć wspomnieniami. I znów przeżyła niewypowiedziane przerażenie i nieznośną niepewność. Czuła ścisk, słyszała skargi i lamenty, czuła zapach strachu. Nagle ogarnęła ją panika. Nie była w stanie zaczerpnąć powietrza, miała wrażenie, że się za chwilę udusi. Zerwała z siebie suknię i rzuciła się do łazienki. Tam chwyciła ostrą szczotkę i jęła trzeć swą bladą skórę z takim zapamiętaniem, że jej ciało poczęło tu i ówdzie krwawić.

Lecz ból, ten zazwyczaj niezawodny sojusznik, nie chciał się zjawić. Przerażenia nie dało się tak po prostu zetrzeć szczotką! Deborah wyczerpana osunęła się na podłogę i próbowała schłodzić rozpalone czoło o marmurową płytę. Nie miała pojęcia, jak długo tak leżała kompletnie bez życia. W końcu wywlokła się na czworaka z łazienki, ciągnąc za sobą krwawy ślad na białym bieżniku.

Wpełzła do łóżka, skuliła się jak płód i czekała, aż zjawi się ból, a wraz z nim wybawienie. Lecz on nie przychodził. Za to jej myśli stały się wyjątkowo klarowne i jasne. Nagle odniosła wrażenie, jakby ujrzała się w jakimś zwierciadle, być może taką, jaką ujrzałby ją ojciec, gdyby w tej chwili wszedł do pokoju.

Usiadła i powiodła wzrokiem po otaczającym ją przepychu. Widziała drogie meble, gruby dywan, pełny kosz owoców i jedwabną pościel przesyconą zapachem lawendy. W końcu jej wzrok spoczął na szafie, na której drzwiach wisiała połyskująca wieczorowa suknia, przyniesiona rano z hotelowej pralni.

W jednej chwili poczuła palący wstyd, który zalał ją niczym uzdrawiająca fala. A wraz ze wstydem zjawił się w końcu i ból. Tym razem jednak nie przyniósł on wybawienia, lecz tylko dodatkową udrękę.

Deborah otrząsnęła się z oszołomienia i wróciła do rzeczywistego świata.

Po chwili wstała i spokojnie uprzątnęła łazienkę, a następnie zimną wodą usunęła, o ile to było możliwe, krwawe plamy z dywanu.

Kiedy tego wieczora Albrecht wrócił do apartamentu, zastał swoją kochankę przy biurku. Boso i w szlafroku pisała długi list do brata, pierwszy od chwili, gdy wyruszyła w tę podróż.

– Dobry wieczór, kochanie. Spędziłyście z Marlene miły dzień? – Albrecht podszedł do biurka i pocałował ją w kark. Natychmiast spostrzegł, że w jego młodej kochance zaszła jakaś zmiana, choć nie miał jeszcze pojęcia, na czym ona polega.

Deborah obróciła się ku niemu i ignorując radę Marlene, rzekła:

– Nie, mój dzień bynajmniej nie był miły. Musiałam patrzeć, jak mija mnie sznur ciężarówek wypełnionych wystraszonymi kobietami i dziećmi. Transport żydowskich więźniów. Pilnowali ich twoi towarzysze z SS. Wiedziałaś o tym?

Albrecht zrozumiał, na czym polegała zmiana, którą w niej dostrzegł: Deborah sprawiała wrażenie dojrzałej, poważniejszej. Co, do diabła, stało się z tą dziewczyną? Rankiem zostawił rozpieszczoną, rozpustną dziewczuchę, a wieczorem ma się jej niby tłumaczyć? Nieufnie przyjrzał się jej niedbałemu strojowi i rozwichrzonym włosom.

– Co to ma znaczyć? Czy to ta aktoreczka nabiła ci głowę bzdurami? – wykrzyknął rozgniewany.

Deborah natychmiast zrozumiała swój błąd. Właśnie przed tym chciała ją przestrzec Marlene. Byłoby nie fair rzucić na nią winę, dlatego gwałtownie wzięła przyjaciółkę w obronę:

– Bynajmniej. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Przeciwnie, twierdzi, że to nie moja sprawa, a tamci ludzie to kryminaliści. Ale ja widziałam na ich ramionach gwiazdy Dawida. No sam powiedz, przecież dzieci nie mogą być przestępcami, prawda? Dlatego pomyślałam, że doszło tu do takiej samej pomyłki jak wtedy, kiedy esesmani wpadli do naszego mieszkania i zabrali mnie i Wolfganga. – W głosie Debory było coś wzruszającego, a jej oczy zwróciły się ku Albrechtowi w niemym błaganiu.

Brunnmann mierzył ją przez kilka sekund wzrokiem, jakby musiał najpierw ocenić sytuację, po czym rzekł spokojnym tonem:

– Nie łam sobie tym swojej ślicznej główki, Mario. To wszystko sprawy natury politycznej, dokładnie rozważone przez samego Führera. A teraz włoż suknię i zrób się dla mnie na bóstwo. Amon przyjdzie wkrótce ze swoim orszakiem i pójdziemy coś zjeść. Ma przyprowadzić jednego ze swoich przyjaciół.

– Naprawdę nie rozumiałaś, co powiedziałam, Albrechcie? To były wyłącznie kobiety i dzieci! Nie możesz im jakoś pomóc? Proszę... zrób to dla mnie.

Albrecht spojrział na jej rozpaloną twarz, dostrzegł w jej oczach dziecięce błaganie i zrozumiał, że Deborah nie zazna spokoju, dopóki jej nie obieca tego, o co go prosi. Dlatego postanowił ulżyć jej w udęcie.

– Dobrze. Skoro los tych obcych ludzi tak bardzo leży ci na sercu, jutro rano wypytam o nich i zobaczę, co się da zrobić. Ale teraz nie chcę już o tym słyszeć, rozumiano? I pośpiesz się wreszcie, Mario, musisz się jeszcze ubrać. Nie chcemy się przecież spóźnić – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu, po czym podniósł ją z krzesła, przyciągnął do siebie i całował tak długo, aż poczuł, że jej ciało w końcu odpręży się w jego ramionach.

Spędzili bardzo przyjemny wieczór. Amon Göth, jeśli tylko miał na to ochotę, potrafił być czarującym rozmówcą. Towarzyszająca mu młoda przyjaciółka Ingrid przez cały wieczór z uwielbieniem spijała każde słowo z jego ust. W swojej miłości była mu chyba ślepo oddana i Deborah w duchu nieco sobie z niej dworowała.

Zainteresowanie Debory wzbudził za to przyjaciel Amona Götha, który przedstawił się jako Oskar Schindler, przemysłowiec. Był wysokim mężczyzną o poważnym i mądrym wejrzeniu i nieco kąśliwym poczuciu humoru, czym przypominał Deborze ojca.

Młoda śpiewaczka i niemiecki fabrykant długo i z ożywieniem rozmawiali o operze i muzyce, lecz

wkrótce dołączyli inni znajomi i alkohol zaczął się łączyć strumieniami, a im szybciej opróżniano stawiane na stole butelki, tym głośniej zachowali się biesiadnicy.

Na koniec znowu Deborah była jedyną trzeźwą osobą w tym gronie. A w miarę, jak inni uczestnicy kolacji stawali się coraz bardziej pijani – przy czym trzeba przyznać, że Albrecht zachował wśród nich stosunkowo największą wstrzeźliwość – tym bardziej obco Deborah czuła się w ich towarzystwie i tym bardziej chmurne stawało się jej spojrzenie. Przez chwilę zastanawiała się wręcz, co też właściwie robi pośród tych wszystkich ludzi. Przecież nie ma z nimi kompletnie nic wspólnego!

Pierwszy raz od dnia wyjazdu z Monachium ogarnęła ją tęsknota za domem oraz wyrzuty sumienia, że zostawiła braciszka samego. Chociaż wuj Poldi obiecał, że się nim zaopiekuje, to przecież nie to samo, co obecność rodzonej siostry! Tęskniła za małym Wolfgangiem, jego miłością i bezbrzeżnym uwielbieniem dla starszej siostry. Ale najbardziej tęskniła – zwłaszcza w tym otoczeniu – za jego niewinnością.

W nocy próbowała nasycić swój głód w ten sam sposób co zwykle, lecz pierwszy raz nie poczuła się zaspokojona.

Następnego dnia postanowiła przynieść sobie ulgę, przesuwając nożykiem do owoców po przedramionach. Po raz pierwszy od dnia wyjazdu z Monachium.

Następnego ranka, około godziny jedenastej, recepcjonista zaanonsował przybycie „pani Kalten”. Deborah nie była pewna, czy Marlene dotrzyma słowa i istotnie po nią przyjedzie, ale w duchu przyznała teraz, że miała taką nadzieję. Właśnie dlatego już wcześniej przygotowała się do wyjścia. List do brata oddała już do wysłania portierowi.

Albrecht wyszedł z samego rana, lecz wcześniej Deborah raz jeszcze wymogła na nim obietnicę, że zainteresuje się losem wywiezionych żydowskich rodzin. W związku z tą jej natarczywością doszło zresztą do pierwszej sceny między kochankami, po której Albrecht opuścił apartament bez pożegnania. Po jego wyjściu Deborah zastanawiała się, czy aby nie posunęła się za daleko i jej upór koniec końców nie doprowadzi do tego, że Albrecht nie spełni swej obietnicy.

Marlene miała na sobie jasnoniebieski wiosenny kostium z idealnie dobranym kapeluszem i była jak zwykle wesoła niczym skowronek. Zaszczębiotała kilka taktów na temat wyjątkowo przyjemnej jak na kwiecień pogody i zaproponowała wycieczkę na Planty, do parku otaczającego krakowskie Stare Miasto niczym szeroki pas w miejscu, gdzie niegdyś stały średniowieczne mury miejskie.

Deborah nie miała nic przeciwko długiemu spacerowi. Po sprzeczce z Albrechtem potrzebowała przestrzeni i świeżego powietrza. Marlene poleciła zatem szoferowi, by zawiózł je pod Bramę Floriańską, ostatnią pozostałość fortyfikacji podwawelskiego grodu, która obecnie stanowiła jedną z bram parku.

– Jesteś blada, *chérie*. Źle spałaś? – zagaiła Marlene, gdy ruszyły parkową aleją. Niewinne pytanie brzmiało jak początek zwykłej towarzyskiej pogawędki, lecz gdyby Deborah podniosła oczy, dostrzegłaby na twarzy przyjaciółki wyraz napięcia. Ale ponieważ przygnębiona szła ze spuszczoneym wzrokiem, mruknęła tylko:

– Późno się położyłam.

Ani myślała przyznać się Marlene, że nie zastosowała się do jej rady, zwłaszcza że rezultat podjętej w sprawie więźniów interwencji wciąż nie był pewny.

Marlene jednak już wyciągnęła stosowne wnioski, toteż kiwnęła głową z namysłem, lecz i tego jej towarzyszka nie spostrzegła, wciąż wpatrując się w ziemię i od czasu do czasu rzucając okiem na buciki aktorki, eleganckie trzewiczki zapinane na pasek, takie same, jakie nosiła matka Debory. Nagle, z siłą, która zaskoczyła ją samą, poczuła niepohamowaną tęsknotę za matką. Tak wielką, że łzy wypełniły jej oczy i popłynęły po policzkach.

– Ależ... ależ *chérie*... co się stało? – wykrzyknęła Marlene, obejmując ją ramieniem i prowadząc ku najbliższej ławce. Szczęśliwie stała ona w cieniu rozłożystego dębu, którego niskie konary i zielone listowie tworzyły swoistą zasłonę.

Marlene usadowiła szlochającą przyjaciółkę i sięgnawszy do torebki, wcisnęła jej w dłoń swoją chusteczkę. Następnie zajęła miejsce obok, wzięła Debora w ramiona i – co było do niej zupełnie niepodobne – w milczeniu czekała, aż strumień łez przestanie płynąć z oczu przyjaciółki.

Deborah jednak płakała i płakała, i nie była w stanie się uspokoić. Dopiero po dłuższym czasie rzeka łez przeistoczyła się w potok słów.

Opowiedziała Marlene o wszystkim: o tajemniczym zniknięciu ojca, o nocnym transporcie, o śmierci matki i o tym, że jest teraz kochanką swojego ojczyma. Nie wspomniała tylko o jednym: że jej ojciec był

Żydem, a ona sama pół-Żydówką. Jakiś wewnętrzny głos powstrzymał ją przed tym wyznaniem.

Marlene słuchała w milczeniu, przyciskając jej głowę do piersi i głaszcząc czule po włosach. Powiedziała jedynie dwa słowa:

– Moje biedactwo.

Nie siliła się na wyrazy współczucia, nie oceniała wyborów przyjaciółki.

Deborah była jej za to wdzięczna. Nie oczekiwała pocieszenia ani potwierdzenia swoich decyzji. To był spontaniczny wybuch, który zresztą niespecjalnie przyniósł jej ulgę. Mimo to dobrze było tak siedzieć z Marlene na ławce, milczeć i słuchać śpiewania ptaków. Świadomość, że przyroda niezmiennie podlega swym prawom, nieporuszona faktem, iż świat ludzi wali się w gruzy, miała w sobie coś pocieszającego.

Przyjaciółki spędziły jeszcze chwilę w cieniu dębu, a następnie wstały i kontynuowały niespiesznie spacer.

Teraz Marlene opowiedziała co nieco o swoim życiu. Z ekscytacją wspominała spotkanie z *mademoiselle* Chanel w paryskim Ritzu, który pełnił funkcję rezydencji projektantki.

– *Alors*, cóż to za niezależna kobieta! Nigdy nie wyszła za mąż i zmienia kochanków jak rękawiczki. W tej chwili owym szczęśliwcem jest baron von Dincklage, pełnomocnik nadzwyczajny Ministerstwa Propagandy Rzeszy. Jest od niej o trzynaście lat młodszy – Marlene zakończyła z niekłamany podziwem, a następnie głęboko westchnęła, jakby takie życie było jej największym, lecz nieosiągalnym marzeniem. Marlene była za młoda, by sobie brać młodszych kochanków, jak to czyniła *mademoiselle* Chanel. Choć z drugiej strony Deborah podejrzewała, że jej przyjaciółka wiele by dała, by jej Ernst był o te trzynaście lat młodszy...

Deborah wprawdzie słuchała opowieści Marlene, ale trudno jej było się skupić na poszczególnych słowach. Jej obecny stan ducha można by określić jako co najmniej ambiwalentny. Przepętniona wewnętrznym niepokojem nie mogła się doczekać wieczora, a zarazem obawiała się go. Z troską myślała nie tylko o losie żydowskich więźniów, lecz również o kwestii relacji z Albrechtem, który po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą, zbeształ ją i chwycił za ramię tak mocno, że zostały na nim sine ślady.

Świadomość, że oto odsłoniła się przed nią mroczna strona Albrechta, sprawiła, że mimo wiosennego słońca Deborah poczuła dreszcze. Wprawdzie Albrecht szybko się opanował, lecz strach zdążył przeniknąć Deborę do szpiku kości.

Na własnym ciele doświadczyła tego, że jej czyny pociągają za sobą poważne konsekwencje. „Przyczyna i skutek”, tego zawsze uczył ich ojciec. Do tej pory ignorowała te nauki, gdyż była pewna władzy, jaką ma nad Albrechtem, lecz teraz przejrzała na oczy. A co, jeśli Albrecht powie jej wieczorem, że niczego nie wskórał? *Co ja właściwie mogę zrobić?*, zastanowiła się i zaraz sama sobie odpowiedziała: *Nic...*

Nie miała pieniędzy, była niepełnoletnia i znajdowała się z dala od domu. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że jest absolutnie zależna od woli Albrechta. Świadomość własnej bezsilności spadła na nią jak grom z jasnego nieba. O mały włos, a znowu wybuchłaby płaczem. Czuliła się taka samotna.

– Nie posłuchałaś mnie, prawda? Czyniłaś swojemu Albrechtowi wyrzuty z powodu wczorajszego transportu, mam rację? – Pytanie Marlene wyrwało Deborę z zadumy.

Wystraszona aż drgnęła. Nawet nie zauważyła, że od dłuższej chwili szły obok siebie w milczeniu i Marlene przez cały ten czas bacznie ją obserwowała. Nie było sensu się wypierać.

– Owszem, masz rację – przyznała w końcu z oporem.

– *Alors*, i oczywiście doszło do kłótni. – To nie było pytanie, toteż Deborah darowała sobie odpowiedź, tylko mimowolnie skrzywiła twarz i energicznie kopnęła czubkiem bucika kilka kamyków.

– I? Bardzo jest źle? – To było pytanie.

Marlene przystanąła, w naturalny sposób zmuszając przyjaciółkę, by uczyniła to samo. Deborah podniosła głowę i w końcu spojrzała Marlene w oczy. Ku swemu zaskoczeniu nie dostrzegła w nich wyrzutu *à la* „a nie mówiłam?”. W oczach niespełnionej aktorki malowało się raczej szczere pragnienie, by pomóc młodszej przyjaciółce.

Nad ich głowami zabrzęczała pszczoła, zwabiona kolorowym piórkiem przy kapeluszu Marlene. Zbadała, cóż to takiego, i poleciała dalej, w poszukiwaniu prawdziwych kwiatów.

Deborah poczuła, jak opuszczają wewnętrzne napięcie, a jego miejsce zajmuje nadzieja, że oto być może znalazła w Marlene prawdziwą i oddaną przyjaciółkę. Że może nie jest aż tak samotna i opuszczona, jak jej się zdawało. W kącikach jej ust zadrgał niepewny uśmiech, jakby wciąż nie dowierzała własnym przeczuciom.

Marlene wprowadzie odwzajemniła uśmiech, lecz jednocześnie uniosła brwi aż po samą grzywkę, dając do zrozumienia, że Deborah nie odpowiedziała na jej pytanie. Ta niepewnie wzruszyła ramionami:

– Obawiam się, że to się okaże dopiero wieczorem.

– Czy on cię uderzył, *chérie*? – głos Marlene brzmiał tak obojętnie, jakby pytała o pogodę, dlatego Deborah nie odebrała tego pytania jako przejawu wścibstwa.

Raczej przemknęło jej przez myśl, że może Marlene sama miała podobne doświadczenia. Może przywilej bycia kochanką łączył się nie tylko z futrami, sukniami i biżuterią, lecz również z biciem?

– Nie, nie uderzył mnie. Był dosyć szorstki, ale nie to jest problemem, tylko... – Deborah bez powodzenia szukała właściwych słów.

– Tylko?... – powtórzyła delikatnie Marlene, widząc, że Deborah nie zamierza dokończyć.

– Tylko... był jakby... inny niż dotąd – wyjąkała w końcu dziewczyna, bezradnym gestem unosząc ramiona, jakby musiała z siebie wypluć to ciężkie wyznanie.

Marlene najwyraźniej zrozumiała, ponieważ kiwnęła z namysłem głową i spytała:

– Ile ty właściwie masz lat, *ma petite*?

– Siedemnaście, w czerwcu skoczę osiemnaście.

– Nich mnie licho! – wyrwało się zgoła nie po francusku Marlene, która była tak zaskoczona, że raptem zaczęła mówić berlińskim dialektem. – A ja myślałam, że dwadzieścia, albo i więcej. No no, mała, trzeba przyznać, że niezły z ciebie gagatek. Albrecht to twój pierwszy mężczyzna, prawda? – Znów nie było to pytanie, tylko stwierdzenie. – Nie wiem, co między wami zaszło, ale to i owo mogę sobie wyobrazić. Twój Albrecht to bardzo wpływowy człowiek. Jest zamożny, przystojny i co najmniej dwadzieścia lat starszy od ciebie. Nic dziwnego, że wzbudził twoje zainteresowanie. W miłości zawsze człowiek ma kłapki na oczach i z początku nie widzi żywej osoby, tylko swoje wyobrażenia. Aż w końcu nadchodzi dzień, w który widzi kochanka takim, jakim jest naprawdę. To, co się dzisiaj stało, było dla ciebie lekcją. Musisz z niej szybko wyciągnąć wnioski, inaczej czeka cię przykra powtórka. Lepiej żebyś była na to przygotowana.

– Nie sądzisz, że to brzmi trochę zbyt prosto? – zaoponowała Deborah. Wciąż uważała, że jej problem ma w sobie choć cień oryginalności. Wyjaśnienie podane przez Marlene nie przypadło jej do gustu, a nade wszystko miała wrażenie, że przyjaciółka nie traktuje jej całkiem poważnie.

Marlene chyba nie spodziewała się, że Deborah przyzna jej rację. Przeciwnie: można by odnieść wrażenie, że ucieszyła ją reakcja przyjaciółki, jako że wróciwszy do roli francuskiej damy, rzekła:

– *Alors*, masz oczywiście rację, *chérie*. To istotnie nie jest takie proste. Przyszło nam żyć w trudnych czasach. Trwa wojna. I nie toczymy jej tylko z innymi państwami, lecz również we własnym kraju. – Marlene umilkła na chwilę i rozejrzała się uważnie dookoła, jakby obawiała się, że w pobliżu trafi się jakieś niepowołane ucho, ale w ich bezpośrednim sąsiedztwie nikogo nie było. Najbliżsi spacerowicze znajdowali się co najmniej pięćdziesiąt metrów przed nimi, a za ich plecami jak okiem sięgnąć nie było

żywej duszy. Mimo to wciąż milczała, jakby musiała podjąć jakąś ważką decyzję.

W końcu ujęła przyjaciółkę pod ramię i znów poprowadziła ku ławce.

– Chodź, usiądźmy jeszcze na chwilę. Zaczniemy od... Czy to prawda, że jesteś Żydówką? – Na to pytanie Deborah była kompletnie nieprzygotowana i wyraz jej twarzy wystarczył Marlene za całą odpowiedź. – A więc to prawda. Nie obawiaj się, tę wiedzę zachowam wyłącznie dla siebie.

Deborah była w takim stanie, że zdołała jedynie wydusić:

– Ale... w jaki sposób się dowiedziałaś?

Albrecht kazał jej przysiąc na życie małego Wolfganga, że nikomu nie zdradzi tej tajemnicy.

– Kiedy Brigitte Frank zaczyna o czymś mówić, wkrótce wie o tym całe miasto. Ta głupia gęś jest o ciebie zazdrosna. Zauważyła spojrzenia, jakie rzucał ci jej małżonek. Musisz się mieć na baczności. Najlepiej, jak przestanieś przyjmować jej zaproszenia, wtedy może o tobie zapomni. Ale najważniejsze, o czym musisz pamiętać, to że w obecnych czasach niebezpiecznie jest być Żydem. Dziś bycie Żydem to wyrok śmierci, ni mniej, ni więcej. Dlatego musisz być szalenie ostrożna. Pod żadnym pozorem nie prowokuj swojego kochanka.

– W zasadzie nie jestem Żydówką. W oczach mojego ludu, aby być prawdziwą Żydówką, musiałabym się urodzić z żydowskiej matki. A Żydem był tylko mój ojciec. Naziści nie mają pojęcia o żydowskiej genealogii – zaprotestowała Deborah, która najwyraźniej obawiała się kierunku, w jakim zmierzała rozmowa. Może dlatego nie zauważyła, że mówiąc o ojcu, po raz pierwszy użyła czasu przeszłego. A przecież poprzysięgła sobie, że nigdy tego nie uczyni.

– Nie wydaje mi się, by nasz rząd interesowały tego rodzaju niuanse. Dla nich jesteś pół-Żydówką, mieszzańcem, który w świetle ustaw rasowych ma być traktowany na równi z Żydami. Albrecht jest jedynym murem pomiędzy tobą a prawem. Jest twoim jedynym zabezpieczeniem. Rozumiesz, co to dla ciebie oznacza? – Z każdym słowem głos aktorki brzmiał coraz bardziej posepnie. Marlene na chwilę umilkła. Dostrzegła malujące się na obliczu przyjaciółki sprzeczne emocje – od niedowierzania przez gniew aż po pełne rezygnacji zrozumienie, że to, co usłyszała, jest prawdą. I w końcu świadomość konsekwencji, jakie niesie ze sobą ten fakt.

Deborah odwróciła twarz – zapewne dlatego, że nie była w stanie dłużej znieść badawczego spojrzenia Marlene. Z zaciśniętymi pięściami wpatrywała się w rosnące obok drzewo, jakby chciała z całej siły uderzyć w pień. Bo też istotnie zapragnęła w tej chwili poczuć fizyczny ból, który odwróciłby jej uwagę od udręki przepełniającej jej duszę.

– To znaczy, że jestem całkowicie zdana na jego łaskę – odpowiedziała głucho. Co prawda już wcześniej nawiedzały ją podobne myśli, lecz zawsze zwyciężała w niej wiara, że wciąż ma wybór. Brutalna prawda spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Tak naprawdę była zwykłą niewolnicą! Pozbawioną praw i bezbronną. Była jak Osman: gdyby Albrecht miał taki kaprys, mógłby jej wyrwać język.

Marlene ujęła ją delikatnie pod brodę.

– Wiem, że ci ciężko. Czasy są niebezpieczne, a my dwie zadałyśmy się z niebezpiecznymi mężczyznami. A niebezpieczne czasy zawsze są też czasami złymi, bo rządzą nimi źli ludzie. Musimy jednak próbować przeżyć, tak długo, jak to możliwe. Pomogę ci. Co ty na to, *ma petite*?

Deborah skinęła głową, dzielnie walcząc z napływającymi znów do jej oczu łzami. Udało jej się resztką sił.

– Przy okazji – wyrzuciła z siebie – nie mam na imię Maria. Tak nazwał mnie Albrecht. Moje prawdziwe imię to Deborah.

Marlene patrzyła na nią długo w milczeniu, po czym rzekła:

– Dziękuję ci, Deboro. Traktuję to jako dowód najwyższego zaufania.

Przyjaciółki uściśniły się – i w tym samym momencie w parku rozległ się rozpaczliwy dziewczęcy krzyk.

Deborah i Marlene wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i wciąż pod wrażeniem zrodzonego przed chwilą zaufania równocześnie zerwały się z ławki i bez wahania rzuciły biegiem w tę stronę, skąd dobiegł krzyk. Gdy przecinały świeżo skoszoną łąkę, Deborah poczuła, jak jeden z jej obcasów zapada się w ziemi, i runęła jak długa. Gdy w końcu zdołała się podnieść, Marlene była trzydzieści metrów przed nią.

Naprzeciw nim biegła przerażona młoda dziewczyna. Szlochając, rzuciła się Marlene na szyję, przewracając ją przy tym na ziemię, i rozdzierającym serce głosem krzyknęła:

– Błagam, niech mi pani pomoże. Błagam, błagam...

Marlene podniosła wzrok i ujrzała prześladowców dziewczyny: dwaj mężczyźni wypadli z otaczających łąkę zarośli i biegiem zmierzali w jej stronę. Jednego z nich znała!

Jakub, jeden z jej przyjaciół, wskazał go kiedyś, mówiąc, by miała się przed nim na baczności. Mężczyzna był szmalcownikiem, Polakiem tropiącym ukrywających się Żydów, których następnie szantażował, a jeśli nie mieli środków, by mu płacić, wydawał ich Niemcom, inkasując przy tym stosowną nagrodę. Tak czy siak zarabiał.

Marlene w jednej chwili oceniła sytuację. Jej oczy zarejestrowały podartą sukienkę dziewczyny, która była jeszcze właściwie dzieckiem, jej niezwykłą urodę i gwiazdę Dawida na ramieniu, a przede wszystkim wyraz twarzy goniących ją mężczyzn, którzy przed przekazaniem zdobyczy Niemcom liczyli jeszcze na kilka chwil przyjemności. Marlene natychmiast zrozumiała, że nie zdoła uratować dziewczyny, nie sprowadzając przy tym ogromnego niebezpieczeństwa na siebie i na Deborah. A przede wszystkim nie mogła ryzykować, że ściągnie na siebie uwagę szmalcowników, którzy wszędzie mieli swych szpiegów.

Dlatego najdelikatniej jak to możliwe uwolniła się z uścisku dziewczyny, która walcząc o życie, zebrała wszystkie siły i tym bardziej próbowała się w nią wczepić.

Mężczyźni dobiegli do Marlene w tym samym momencie co Deborah, która natychmiast przypadła do przyjaciółki.

– Co tu się dzieje? Dlaczego ona płacze? – zawołała zdyszana. Marlene ścisnęła ją mocno za ramię i rzuciła ostrzegawcze spojrzenie.

– Wszystko w porządku, łaskawa pani – odparł po niemiecku starszy z mężczyzn. Najwyraźniej nie podobało mu się, że ktoś im staje na drodze. – Zajmiemy się tym żydowskim bękartem. – Złapał szlochającą dziewczynkę za długie czarne włosy i pociągnął tak mocno, że aż krzyknęła z bólu. Deborah wściekle złapała mężczyznę za ramię.

– Co pan wyprawia?! Proszę ją puścić! Pan sprawia jej ból!

Mężczyzna, który wiedział już, że ma do czynienia z dwiema niemieckimi damami, zawahał się przez chwilę, niepewny, jak się w tej sytuacji zachować. Jego młodszy towarzysz najwyraźniej nie miał takich skrupułów, gdyż chwycił Deborah, oderwał od swego kompana i rzucił na trawę.

– Proszę się nie wtrącać. Przeszkadza pani w schwytaniu żydowskiej uciekinierki. Lepiej, jak panie stąd pójdą – warknął, stając nad nią na szeroko rozstawionych nogach.

Marlene spostrzegła szkliste spojrzenie, poczuła woń alkoholu i pomyślała, że mężczyzna za chwilę rzuci się na nie z pięściami. Równocześnie zauważyła, jak twarz jej przyjaciółki robi się purpurowa z gniewu. Wiedziała, że musi jak najszybciej interweniować. Gdyby chciała zniweczyć plany mężczyzn, ryzykowałyby życiem własnym i towarzyszką, toteż uwolniwszy się z uścisku przerażonej dziewczyny, rzuciła się dzielnie między Deborah a mężczyzn:

– Ależ panowie, po co od razu ten nerwy? Proszę wybaczyć mojej młodej i impulsywnej towarzyszce. Była zwyczajnie w szoku. Oczywiście nie mamy zamiaru przeszkadzać panom w spełnianiu ich

obowiązków. – Pochyliła się nad Deborah, jakby próbowała jej pomóc, i syknęła: – Do diabła, postradałaś rozum? Naprawdę niczego się nie nauczyłaś? Zrozumże wreszcie... Nie możesz jej pomóc! To Żydówka. Chcesz umrzeć razem z nią? Co wtedy stanie się z twoim bratem?

Samo wspomnienie jej małego braciszka sprawiło, że Deborah odzyskała rozsądek. Marlene szorstko podniosła ją z trawy i pociągnęła za sobą w kierunku Bramy Floriańskiej. Dopiero tam przystanąła. Kilkoro spacerowiczów obrzuciło je ciekawskim spojrzeniem – w tym dwaj oficerowie, którzy najwyraźniej rozpoznali Marlene. Ona wszelako jednoznacznym gestem dała im do zrozumienia, że nie potrzebuje pomocy. W chwili, gdy jej młoda przyjaciółka wciąż starała się odzyskać wewnętrzną równowagę, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowały, były niedyskretne pytania. Obie zresztą prezentowały się nie najlepiej: ich staranne fryzury były zburzone, jedwabne pończochy podarte, a wiosenne kostiumy pokryte świeżymi plamami po trawie, których prawdopodobnie nie zdoła usunąć nawet najlepsza pralnia.

Dalsze podsumowanie strat wykazało, że Marlene straciła kapelusz, a Deborah lewy bucik. Widok jej zalanej łzami twarzy zmiękczył serce Marlene, która właśnie zamierzała udzielić młodszej przyjaciółce surowej reprimendy.

Mój Boże, tę dziewczynę można wyzymać jak ścierkę, pomyślała, po czym zakomenderowała:

– Chodźmy, odwiozę cię do hotelu.

Odszukały szofera, który stał koło kamiennej bramy i palił papierosa. Marlene sama miała ochotę zaciągnąć się dymem.

Kierowca właściwie odczytał jej spojrzenie i zaproponował papierosa, ona jednak dzielnie odmówiła. Również dlatego, że palił jakieś okropne zielsko, które łatwo mogło zaszkodzić płucom aktorki. Jakież było więc jej zaskoczenie, gdy z propozycji szofera skorzystała Deborah, bądź co bądź śpiewaczka. Zapewne był to akt czystej przekory i wynik bezradności. Marlene dobrze знаła to uczucie, gdyż wielokrotnie doświadczała go w swoim życiu. Mimo to ściągnęła brwi z dezaprobatą, lecz kiedy Deborah odpowiedziała jej hardym spojrzeniem, poddała się, wznosząc jedynie oczy ku bezchmurnemu niebu.

Szofer podał Deborze ogień, a kiedy ta zaciągnąwszy się dymem, gwałtownie zaniósła się kaszlem, skwitował to szerokim uśmiechem. Marlene, z natury niepamiętliwa, troskliwie poklepała przyjaciółkę po plecach i łagodnie wyjąwszy z jej dłoni żarzącego się papierosa, podała go szoferowi, który starannie go zgasił i schował do kieszeni na piersi. Papieros był zbyt droгим towarem, by go tak po prostu wyrzucić.

Marlene odprowadziła z trudem chwytającą powietrze Deborah do auta i cierpliwie zaczekała, aż płuca przyjaciółki znów się napełnią świeżym i czystym powietrzem.

W drodze do hotelu spytała tyko:

– No i? Już lepiej?

Deborah postanowiła ukarać ją pełnym urazy milczeniem i wysiadła z wozu bez pożegnania.

Ku jej zdumieniu Marlene nie odjechała. Aktorka kazała szoferowi czekać, sama zaś również wysiadła z limuzyny. Deborah szorstko odwróciła się do niej plecami, zdjęła but i w samych pończochach podreptała przez hotelowe lobby. Marlene bez słowa poszła za nią. W drodze do windy ściągnęły na siebie mnóstwo zdumionych spojrzeń.

Przed drzwiami apartamentu Deborah podjęła nie całkiem szczerą próbę odprawienia Marlene, ta jednak nie pozwoliła się zbyć i weszła za nią do środka.

Deborah była w osobliwym nastroju. Chociaż cała była wzburzona, to zarazem czuła się zbyt wyczerpana, by dalej absorbować się obecnością upartej przyjaciółki. Niemiłosiernie brudna rzuciła się na łóżko, obróciła na bok i demonstracyjnie pokazała Marlene plecy. Jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to być sama. Liczyła, że przyjaciółka poczuje się urażona jej zachowaniem i sama wyjdzie.

Marlene tymczasem, ignorując niegrzeczne zachowanie gospodyni, z ciekawością rozglądała się po luksusowym apartamencie, a przeprowadziwszy gruntowną inspekcję, nalała sobie koniaku ze stojącej na widoku kryształowej karafki, wzięła z tacy ogromną brzoskwinę i rozsiadła się wygodnie na sofie. Czekwała. Sztukę milczenia opanowała nie mniej perfekcyjnie jak umiejętność prowadzenia wielogodzinnych konwersacji. Wiedziała, że Deborah będzie mówić. Musi mówić.

Upłynęło dwadzieścia minut, nim gospodyni wyskoczyła w końcu z łóżka niczym diabeł z pudełka i fuknęła:

– No co? Czego ode mnie jeszcze chcesz? Wynoś się wreszcie! Chcę być sama!

Przynajmniej nie płacze, to dobrze, oceniła Marlene z nieomal naukowym obiektywizmem. Deborah była młoda, impulsywna, naiwna, ale też przepełniona tłumionym gniewem. Niebezpieczna mieszanka, wręcz wybuchowa. Ale nie brakowało jej również odwagi, której próbkę dała właśnie, bez wahania rzucając się na szmalcownika.

Marlene podjęła pewną grę, co do której nie była pewna, czy się powiedzie. Wiedziała za to, że jeśli przegra, jej życie znajdzie się w rękach Debory. Owszem, jej życie nie było tak cenne, jak ewentualna wygrana, lecz mimo wszystko wolałaby mieć nieco więcej czasu na realizację swojego planu. Niestety, podczas wojny czas był towarem deficytowym. Każdego dnia ginęli ludzie. Mimo to wciąż się wahała. Wiedziała, że musi poruszać się w tej materii wyjątkowo ostrożnie. Dlatego najpierw postanowiła poddać Deborahę próbie.

– Wiem, że to, co się zdarzyło, musiało być dla ciebie straszne, *ma petite*. Wierz mi, rozumiem cię doskonale. Ale naprawdę nie mogliśmy tej dziewczynie pomóc. Biedaczka tak czy inaczej była już martwa. Ci mężczyźni za nic by jej nie wypuścili ze swoich rąk. – Jediną odpowiedzią na słowa Marlene było pogardliwe prychnięcie. – To była ich zdobycz. Pozwól, że udzielę ci pewnej lekcji, *chérie*: nigdy nie stawaj między myśliwym a jego zdobyczą, w przeciwnym wypadku sama staniesz się ofiarą. Nie mogliśmy nic zrobić. Ten mężczyzna był gotów na wszystko. W dodatku był pijany.

– Nieprawda! Zawsze można coś zrobić! I skończ wreszcie z tym swoim *chérie*, nie mogę już tego słuchać – warknęła Deborah.

Marlene wiedziała, że słowa przyjaciółki nie były wyrazem sprzeciwu, tylko retorycznej bezradności, toteż z gracją założyła nogę na nogę i rzekła:

– Dobrze. W takim razie wyjaśnij mi, co twoim zdaniem mogliśmy zrobić. Wzywać pomocy i w ten sposób zwabić jeszcze więcej kolaborantów? A może rzucić się na nich, obezwładnić i pozwolić dziewczynie uciec? A może uciec razem z nią? Tylko dokąd?

W odpowiedzi Deborah stanęła przed Marlene z dłońmi wspartymi na biodrach i spiorunowała ją wzrokiem. W końcu, po kilku sekundach przepełnionego bezsilnością przestępowania z nogi na nogę, parsknęła, obróciła się na pięcie i wpadła do łazienki, trzaskając drzwiami. Zaraz też dał się słyszeć szum nalewanej do wanny wody.

Marlene uznała, że kąpiel to znakomity pomysł. Zdjęła brudne ubranie oraz bieliznę i porzuciwszy je niedbale, szczerze nalała sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku, który opróżniła jednym haustem, potem nago udała się do łazienki i bezceremonialnie dołączyła do kompletnie zdezorientowanej przyjaciółki. Uznała, że wspólna kąpiel w ogromnej wannie to najlepszy czas na intymną rozmowę.

– Uwielbiam kąpiele z pianą – westchnęła Marlene, z rozkoszą zanurzając się w gorącej wodzie.

– Cieszę się, że trafiłam w twoje upodobania – skomentowała uszczypliwie Deborah, wyraźnie poirytowana zuchwałym najściem.

– Ile piany – zachichotała Marlene i dmuchnęła w stronę przyjaciółki ogromną puszystą chmurę. Deborah zrobiła unik, lecz na jej twarzy złość jęła powoli ustępować zaciekawieniu, co też kryje się za absurdalną natarczywością aktorki.

Marlene spostrzegła zmianę nastroju przyjaciółki i postanowiła ostrożnie przejść do rzeczy:

– Powiedziałaś, że zawsze można coś zrobić. Prawdę mówiąc, zaintrygowałaś mnie. Mogę zapytać, co właściwie miałaś na myśli?

Deborah milczała, z uwagą wpatrując się w pianę. Z takim zapamiętaniem, jakby to była najbardziej fascynująca rzecz na świecie, obserwowała małe bąbelki, które jeden po drugim pękały w jej dłoniach. W końcu odezwała się cicho:

– Przecież trzeba im jakoś pomóc prawda? – Kiedy ulotniła się z niej cała przekora, raptem wydała się młodzieńca i krucha. Mimo to Marlene drażyła temat.

– Bardzo to chwalebne, ale naiwne. Poza tym łatwo powiedzieć, lecz trudniej wykonać. No i nie usłyszałam żadnego konkretnego. Co chciałabyś zrobić? Pójść do obozu i zanieść więźniom jedzenie i ciepłe ubrania?

– Do obozu? – Deborah oderwała wzrok od swych dłoni.

Marlene z niedowierzaniem pokręciła głową i wznosząc oczy ku sufitowi, westchnęła:

– O Panie, niech Twoja mądrość zstąpi na tę naiwną istotę. Naprawdę nie wiesz, o czym mówię? Na jakim świecie ty żyjesz? – Aktorka uznała, że sprawy przedstawiają się dużo gorzej, niż sądziła. Deborah była naiwna jak dziecko. Przecież siedziały przy tym samym stole na przyjęciu u generalnego gubernatora! Naprawdę nie słyszała, o czym ich panowie rozmawiali przez połowę bankietu?

Marlene znowu zwątpiła w powodzenie swojego planu, lecz mimo to nie zamierzała tak łatwo dać za wygraną. Ewentualna pomoc Debory mogła się okazać zbyt cenna, by tak po prostu z niej zrezygnować. Trzeba się tylko odpowiednio zabrać do rzeczy.

– Zdaje się, że ty naprawdę nie masz pojęcia, co się wokół ciebie dzieje, prawda? Dość to dziwne, zważywszy na to, co przeszła twoja rodzina. Mam nadzieję, że zauważyłaś przynajmniej, że trwa wojna. No wiesz, te wszystkie mundury na ulicach... Zresztą twój Albrecht też nosi mundur, czarny, z trupa główką na czapce. Powiedz mi, *ma petite*: czy wiesz, czym on się właściwie zajmuje? Przecież nie walczy na froncie. Więc co dokładnie robi twój Albrecht? Na czym polega jego zadanie? Po co przyjechał do Generalnego Gubernatorstwa? – Marlene przypuściła ostateczny szturm. Musiała znać prawdę.

W odpowiedzi Deborah nabrała w dłonie piany i zaczęła się nią bawić. A potem nagle zsunęła się i zanurkowała w wannie. Marlene siedziała nieporuszona, licząc w myślach upływające sekundy. Kiedy doliczyła do sześćdziesięciu, głowa jej przyjaciółki gwałtownie się wynurzyła. Deborah gwałtownie łapała powietrze. Marlene milczała. Sposób, w jaki Deborah zmrużyła oczy, sugerował, że znalazła pod wodą natchnienie.

I rzeczywiście, albowiem po chwili wypaliła:

– Twój Ernst też nosi mundur. Na czym polega jego zadanie? – Deborah zdumiewająco udatnie naśladowała głos Marlene, nadając swej wypowiedzi odpowiednio sarkastyczny odcień.

Chapeau bas, skwitowała Marlene jadovitą replikę, z uznaniem kiwając głową. Podobało jej się, że Deborah odpowiedziała na napastliwy ton kontratakiem. Marlene sprowokowała ją, lecz ta mała zachowała zimną krew. Odpłaciła jej pięknym za nadobne, dając do zrozumienia, że sama żyje pod kloszem. Kości zostały rzucone. Wtajemniczy ją w swój plan. Albrecht Brunnmann ogrywał w tej wojnie kluczową rolę i Marlene wiedziała, że musi wykorzystać szansę, by się do niego zbliżyć.

– W porządku – odparła, z trudem powstrzymując uśmiech. – Jeśli naprawdę chcesz pomóc swoim żydowskim braciom, to zdradzę ci, co robi Ernst, a w zamian ty zdradzisz mi, czym się zajmuje Albrecht. Zgoda?

– Zgoda – odpowiedziała Deborah, po czym z rozbijającą szczerością dodała: – Obawiam się tylko, że to dość niekorzystna dla ciebie umowa, boja naprawdę nie mam pojęcia, na czym polega praca

Albrechta. Wiem tylko, że podróżuje po całej Europie. Nigdy o tym nie rozmawiamy. Jedyne, co mi kiedyś w tej kwestii powiedział, to że wojnę wygrywa się logistyką. Przypuszczam więc, że jest kimś w rodzaju organizatora, ale co to dokładnie znaczy, naprawdę nie wiem. – Ton, jakim Deborah to wszystko wypowiedziała, wywołał na twarzy Marlene przelotny uśmiech. W głosie młodej śpiewaczki pobrzmiwało bowiem tak dobroduszne i szczere zdziwienie, jakby nigdy dotąd nie zadawała sobie tego pytania i dopiero teraz ze zdumieniem odkryła swą ignorancję.

– Akurat tej niewiedzy łatwo zaradzić. Zapytaj go, czym się zajmuje. Tylko bądź ostrożna. Nie wypytuj go ani nie oceniaj, tylko połechtaj, udając szczere zainteresowanie. Mężczyźni lubią, kiedy podziwiamy ich pracę. Mój Ernst w takich momentach zamienia się w istny wodotrysk.

– Obawiam się, że niestety Albrecht ulepiony jest z innej gliny... tak mi się przynajmniej wydaje – odparła Deborah. Przypomniała sobie momenty, gdy jej kochanek miał okazję opowiedzieć jej, czym się zajmuje, ale za każdym razem zmieniał temat. Deborah miała wręcz wrażenie, że Albrecht nie lubi mówić o pracy, dlatego nigdy nie drażyła tego tematu.

– Ma przecież tę swoją teczkę. Ernst twierdzi, że nie rozstaje się z nią nawet na chwilę. Nie możesz do niej zajrzeć i sprawdzić? – Marlene starała się mówić obojętnym tonem. Zbyt wiele nadziei wiązała z zawartością tajemniczej aktówki.

– Niestety. Kiedy wraca, zaraz wyjmuję wszystkie papiery i zamyka je w sejfie.

– W pokoju jest sejf? – Marlene czuła, jak jej puls nieznacznie przyśpiesza.

– Tak, w ścianie za lustrem, w sypialni.

– Pokaż mi – zażądała aktorka, wychodząc już niemal z wanny.

– Zaczekaj – powstrzymała ją Deborah. Marlene zamarła ze stopą na krawędzi. Starła się nie okazywać lęku, który ją nagle ogarnął. Czyżby zbyt szybko się pośpieszyła?

Tymczasem Deborah uważnie mierzyła wzrokiem przyjaciółkę. Jej wyczulonym zmysłem nie umknęło nagłe ożywienie Marlene, chociaż trzeba przyznać, że aktorka szybko się opanowała i teraz nieśpiesznie zanurzywszy się z powrotem w gorącej wodzie, budowała z piany niewielką piramidkę, czekając na dalszą reakcję Debory.

Pytanie zadane po chwili przez przyjaciółkę nie zaskoczyło Marlene, chociaż nie spodziewała się, że padnie tak szybko. Z drugiej strony czuła cichą satysfakcję, gdyż zrozumiała, że nie myliła się co do tej niezwyklej dziewczyny.

– Powiedz Marlene. – Deborah, złożony usta w ciup, wydmuchnęła w powietrze drobinę piany. – Wydaje mi się, że jesteś szalenie ciekawska. Gdyby nie to, że cię znam, gotowa bym pomyśleć, że jesteś szpiegiem. – Chociaż Deborah do tej pory nie przysłuchiwała się rozmowom prowadzonym przez mężczyzn przy stole, to zdołała wyłowić z nich dość, by się zorientować, że panowie niczego nie obawiają się bardziej niż właśnie szpiegów i sabotażystów. Deborah próbowała zachować obojętną minę, lecz doskonale wyszkolonym uszom Marlene nie umknęła nuta nerwowego wyczekiwania w jej głosie.

– Prawdę mówiąc, wolę określenie „bojowniczka ruchu oporu”, *chérie* – odparła, podkreślając ostatnie słowo, by nico rozluźnić atmosferę, która w ostatnich minutach wyraźnie stała się napięta. Marlene dopiero teraz zauważyła, że od kilku sekund wstrzymuje oddech. Siłą woli zmusiła się do uspokojenia. Jej palce zaczęły powoli rozgarniać pianę.

Deborah spojrzała na przyjaciółkę z ukosa, po czym przygryzła dolną wargę i bardzo długo milczała. Cisza, jaka między nimi zapadła, dłużyła się niemiłosiernie.

W końcu Deborah wypaliła:

– Chodźmy.

Mówiąc to, raptownie wyskoczyła z wanny, rozlewając przy tym wkoło wodę.

Dziecięcy zapał przyjaciółki sprawił, że uczucie triumfu, które momentalnie wypełniło Marlene, równie szybko ustąpiło miejsca innemu, dawno zapomnianemu doznaniu: wyrzutom sumienia. Było ono o tyle przykre, że uświadomiło Marlene, iż darzy tę dziewczynę prawdziwą sympatią – i uzmysłowiło jej to akurat w chwili, kiedy zamierzała wykorzystać jej zaufanie. Deborah nie miała pojęcia, na jakie naraża się niebezpieczeństwo. Dla niej to była nowa, ekscytująca gra. Tyle że stawką było jej życie. Marlene, jako doświadczona uczestniczka gry, wiedziała, że przede wszystkim musi wpoić przyjaciółce świadomość czyhających na nią zagrożeń. Albowiem działalność szpiegowska to w swej istocie sztuka przeżycia.

Deborah, naga i mokrateńka, przeszła do sąsiadującej z łazienką sypialni; Marlene zaś skwapliwie podążyła w ślad za nią. Gospodyni stanęła przed wysokim, zawieszonym na dwóch ukrytych zawiasach lustrem i odchyliła je od ściany. Z tyłu znajdowała się nisza, a w niej mierząca mniej więcej sto czterdzieści centymetrów szafka z wiśniowego drewna. Była zdobiona pięknymi intarsjami i wyglądała jak sekretarzyk. Deborah otworzyła drzwiczki, za którymi ukazały się stalowe wnętrzości – sejf, a na nim inskrypcja: „Dostawca Dworu Królewskiego J. Ostertag, Aalen – Fabryka Szaf Kasowych”.

Marlene podeszła bliżej i przyjrzała się przedwojnemu modelowi jednej z najlepszych niemieckich fabryk. Była prawdziwą ekspertką, jeśli idzie o szafy pancerne, i wiedziała, że otwarcie tego egzemplarza z pewnością wymagałoby czasu. Użycie materiału wybuchowego lub wyważenie drzwi nie wchodziło w rachubę. Nie mogła zostawić żadnych śladów, jako że skuteczność wszelkich działań szpiegowskich – jak tłumaczył jej Jakub – zasadza się na tym, że szpiegowana osoba pozostaje w kompletnej nieświadomości.

Jakież to tajemnice skrywasz?, zastanawiała się, spoglądając na szafę pancerną. *Jakież to szatańskie plany? Po co Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy przysłał do Krakowa taką grubą rybę jak Brunnmann, człowiek podlegający bezpośrednio Heydrichowi i Himmlerowi?* Marlene wyraźnie dostrzegła niepewność gubernatora Franka w trakcie krótkiej wymiany zdań z pełnomocnikiem Heydricha, do której doszło podczas przyjęcia na Wawelu. Czyżby Frank obawiał się, że Brunnmann może zająć jego miejsce w okupowanej Polsce? Czy utworzenie żydowskich gett jest pierwszym etapem jakiegoś szerszego planu?

Marlene niemal pieszczotliwym gestem położyła dłoń na sejfie, jakby chciała wyczuć bicie jego serca. A potem poczuła, jak jej własne serce wyskakuje z piersi: ktoś przekręcił klucz w drzwiach apartamentu. Przyjaciółki zamarły na chwilę, wymieniając przerażone spojrzenia.

Niezależnie, czy była to pokojówka, czy Albrecht Brunnmann, Marlene wiedziała, że nie ma czasu na rozważania, toteż błyskawicznie podjęła decyzję. Jednym płynnym ruchem zamknęła sejf i lustro, a następnie chwyciła sparaliżowaną przyjaciółkę za ramię i pociągnąwszy w kierunku łóżka, przywarła do jej nagiego ciała, jakby były kochankami, i wpiła się w jej miękkie usta.

Kiedy Albrecht otworzył drzwi sypialni, jego oczom ukazał się niecodzienny widok: dwie splecione w namiętnym uścisku nagusieńkie kobiety z lśniącymi, mokrymi włosami. Stał w progu jak wryty i przez krótką chwilę, która zdawała się wiecznością, nie był w stanie wykrztusić słowa.

Marlene, obserwującej go spod na wpół przymkniętych powiek, przemknęło przez głowę, że Brunnmann stara się utrwalić w pamięci ten moment – moment, który do końca życia będzie wspominał z rozkoszą. Dała mu kilka sekund, by nacieszył się tym niecodziennym widokiem – ale też po to, by Deborah mogła się odnaleźć w nieoczekiwanej sytuacji. Ta bowiem, kompletnie zaskoczona obrotem spraw, w pierwszej chwili zeszywniała w objęciach przyjaciółki, ale na szczęście nie próbowała się wyswobodzić z uścisku.

Marlene, rzuciwszy przyjaciółce badawcze spojrzenie, powoli oderwała się od niej, lecz nagle krew ścięła się w jej żyłach z przerażenia: tuż przed lustrem woda ściekająca z ich mokrych ciał utworzyła

niewielką kałużę. Wiedziała, że jeśli Brunnmann ją zauważy, z pewnością wyciągnie z tego faktu stosowne wnioski.

W tej sytuacji aktorka widziała tylko jedną możliwość odwrócenia jego uwagi: musiała go uwieść. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że w planie tym są aż dwie niewiadome: jak Brunnmann zareaguje na jej miłosne starania oraz czy Deborah nie zdradzi wszystkiego w przyływie nagłej zazdrości.

Marlene podjęła decyzję. Wiedziała, że nie ma wyboru i musi postawić wszystko na jedną kartę. Zdała się przeto na swoje miłosne doświadczenie oraz świadomość, że w przeciwieństwie do większości ludzi, którzy wprawdzie ubrani odznaczają się pewną atrakcyjnością, lecz nago budzą rozczarowanie, ona w stroju Ewy wygląda wręcz oszałamiająco. Jej obnażone ciało odsłaniało perfekcję swych kształtów, a jej kuszący zmysłowy krok i harmonia ruchów niejednego już mężczyznę przyprawiły o zawrót głowy.

Niespiesznie ruszyła zatem w stronę Albrechta, który szybko okazał się podatny na jej zaloty. Marlene widziała wręcz, jak krew kipi w nim z pożądania. Mimo to wahał się. Nie patrzył na Marlene, która uwodzicielsko stanęła naprzeciw niego. Jego oczy szukały spojrzenia Debory, a gdy je napotkał, przepełniła go prawdziwa euforia. Usta jego kochanki były rozchylone, policzki zaróżowione, źrenice rozszerzone. Całe jej ciało wyrażało zaskoczenie i oczekiwanie.

Albrecht zwrócił się ku Marlene i z uznaniem zlustrował jej figurę. Następnie chwycił ją za rękę i poprowadził do łóżka. Podczas gdy Marlene stała przed łóżkiem wyczekująco, Albrecht na nim usiadł. Domyślała się, że chce czuć się panem.

I tym razem intuicja jej nie zawiodła.

Albrecht skinął na Deborę, by się zbliżyła, a następnie wymownym gestem dał do zrozumienia, że chce by dwie młode niewolnice ściągnęły mu z nóg lśniące oficerki. Te posłusznie to uczyniły, a następnie zdjęły z niego ubranie. Potem Marlene zniknęła na chwilę w łazience, a gdy po chwili wróciła z misą gorącej wody i gąbką, wspólnie obmyły swego pana powolnymi, zmysłowymi ruchami. Podczas tego zabiegu Albrecht całował każdy skrawek nagiego ciała, jaki znalazł się w zasięgu jego ust, a jego pieszczoty z każdą sekundą stawały się coraz śmielsze.

Wkrótce trzy nagie ciała zamieniły się w dzikie kłębowisko namiętności i jęków. I chociaż dla Marlene – w przeciwieństwie do Albrechta i Debory – ugryzienia, drapanie i inne niezwykle przejawy namiętności nie stanowiły źródła rozkoszy, to nie pozostawała dłużna obojgu kochankom. Aczkolwiek wypada dodać, że to, co dla Albrechta było aktem czystej namiętności, od Marlene wymagało ogromnego samozaparcia, przewyciężenia odrazy i powściągnięcia przepełniającej ją nienawiści.

Marlene leżała na krawędzi łóżka, na jej twarzy malował się wstręt. Od ostatniego *ménage à trois* minęły trzy lata. Wtedy zgodziła się z miłości, dla Jakuba. Dla niego też przyłączyła się do polskiego ruchu oporu. Jakub był jednym z jego dowódców. Kiedyś stanowili parę, ale to było dawno, jeszcze przed wojną. Później powiedział, że ją kocha, ale muszą się rozstać. Twierdził, że w czasie wojny związki uczuciowe szkodzą sprawie.

Od tamtej pory widywali się sporadycznie. Jakub traktował ją i jej ciało jak dobre jedzenie. A ponieważ wciąż go kochała, godziła się na ten stan rzeczy. Wiedziała, że wojna nie będzie trwać wiecznie, a ona zamierzała doczekać końca.

Na początku Jakub spytał, co jest gotowa uczynić, by przepędzić Niemców z okupowanej Polski, Marlene zaś bez wahania odparła: „Wszystko”.

A oto ostateczny dowód, że nie kłamałam, pomyślała zjadliwie i poczuła głęboką odrazę. Miała ochotę natychmiast pobiec do wanny i zmyć z siebie ten nazistowski odór.

Albrecht, pogrążony w półśnie, ciężko obrócił się na bok, objął Marlene w tali i przyciągnął do siebie. Był nasycony i zadowolony. Jego rozleniwiona twarz przypominała Marlene dzieciństwo i jej starego, tłustego kota, któremu pewnego dnia Zupełnym przypadkiem udało się złapać mysz.

Chociaż przepełniał ją wstręt i przemożna chęć wyskoczenia z łóżka, zmusiła się, by pozostać w objęciach Albrechta. Nienawistnie wpatrywała się w sufit, podczas gdy bestia w ludzkiej skórze spokojnie spała obok niej w jedwabnej pościeli. To było coś, co przekraczało granice jej wyobraźni: Europa płonie, a ci, którzy są za to odpowiedzialni, śpią snem sprawiedliwego.

Wysłuchując się w spokojny oddech Albrechta, zastanawiała się, co będzie dalej. Zazwyczaj starannie rozważała możliwe konsekwencje swoich działań i dopiero potem układała dokładny plan, tym razem jednak wszystko potoczyło się tak szybko, że musiała zdać się na instynkt i działać intuicyjnie.

W tej chwili wszystko zależało od Debory. Marlene wiedziała, że i ona leży z otwartymi oczami. O czym myślała? Że popełniła błąd, zadając się z Marlene?

Aktorka czuła, że z każdą minutą milczenia jej serce przyśpiesza. Czyżby niewłaściwie oceniła tę dziewczynę? W trakcie miłosnej zabawy Deborah raz po raz zaskakiwała ją, przejawiając zwierzęcą nieomal namiętność. Ta młoda dziewczyna przewyższała doświadczeniem stare kurtyzany. I jeszcze to gryzienie, drapanie... Marlene wiedziała, że niektórzy ludzie dają w łóżku wyraz swoim sadystycznym albo masochistycznym skłonnościom, ale to, co robiła Deborah, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Wprawdzie Marlene przeczuwała, że jej przyjaciółkę trawi nienasycona żądza życia, lecz prymitywna, instynktowna namiętność, której ta dała dziś upust, mimo wszystko wprawiła ją w zdumienie. Nigdy dotąd nie spotkała się z czymś podobnym u tak młodej dziewczyny.

Poza tym Marlene odniosła co do Debory jeszcze jedno wrażenie: to mianowicie, że ta dziewczyna ma swój rozum i potrafi z niego odpowiednio korzystać. Nie ulega na przykład owczemu pędowi ani naciskom otoczenia i nie pije alkoholu, który jej wyraźnie nie służy. Zna granice. Tak, ta dziewczyna jest jak diament, choć potrzebuje jeszcze oszlifowania.

– Nie śpisz? – szepnęła Deborah, przerywając milczenie.

– Nie – odparła szeptem Marlene.

– Szwarna z ciebie dziołcha, jak mawiają u nas w Bawarii – zachichotała cichutko Deborah i

przeciągnęła się rozkosznie niczym kotka na parapecie, dośpiewując niejako kobiecą partię do basowego pochrapywania Albrechta.

– Aha. A co to znaczy? – spytała Marlene, wciąż mając się na baczności.

– Że nie brak ci odwagi.

– Dziękuję, choć nie do końca rozumiem, co masz na myśli. Mogę wstać i iść do łazienki? Nie obudzę Albrechta?

– A jeśli nawet, to co? Przecież nie jesteśmy jego niewolnicami – odparła Deborah, odzyskując wyraźnie pewność siebie. Z łatwością, a może wręcz bezczelnością, przeszła do porządku dziennego nad tym, co się zdarzyło. Marlene zastanawiała się, czy siedemnastolatka naprawdę może być do tego stopnia zepsuta.

Aktorka ostrożnie wysliznęła się z objęć Albrechta, który wydał z siebie krótki pomruk, ale się nie obudził. Następnie zebrała z podłogi ubranie, podeszła do lustra, jakby chciała poprawić makijaż, i opuściła swój jasnoniebieski kostium prosto w kałużę. Podnosząc go, upewniła się ukradkiem, że Albrecht wciąż śpi, i starła resztki wody. Deborah, widząc to, skinęła z uznaniem głową, po czym również wymknęła się z łóżka i podbiegła boso do łazienki.

– Ojej – westchnęła, widząc zniszczone ubranie Marlene. – Nie możesz się pokazać w czymś takim. Przyniosę ci coś z moich rzeczy. – Zniknęła na chwilę w sypialni, skąd zaraz wróciła z szarą sukienką dzienną i odpowiednim żakietem. – Proszę, powinno pasować.

– Dziękuję – odrzekła Marlene i żwawo wskoczyła do wanny. Nienawidziła marnować wody, lecz ta niestety zdążyła już mocno wystygnąć i teraz w zetknięciu z rozgrzaną skórą wydawała się wręcz lodowata.

Deborah stała przez chwilę niezdecydowana, jakby zastanawiając się, czy dołączyć do przyjaciółki, ale Marlene podjęła decyzję za nią. Wyszła z wanny i z wdzięcznością otuliła się w podany ręcznik.

Wycierając się, miała wreszcie okazję przyjrzeć się nagiemu ciału przyjaciółki. W duchu musiała przyznać, że było wręcz idealne: młode, jędrne piersi ukoronowane różowymi sutkami, wiotka talia, kształtne i smukłe nogi. No i skóra, aksamitnie gładka i lśniąca jak świeża śmietanka. Nic dziwnego, że Brunnmann nie mógł się oprzeć jej urokowi. Co prawda młode ciało Debory było dopiero u progu przemiany w dorosłą kobietę, lecz jego właścicielka przejawiała wrodzony talent również we wzniósłej sztuce miłości i uwodzenia. Deborah zauważyła pełne podziwu spojrzenie przyjaciółki i bez cienia wstydu, świadoma swej urody wyprostowała się, jakby chciała zapytać: *I co, podoba ci się?*

Na twarzy Marlene pojawił się czuły uśmiech.

– Powinnaś wziąć gorącą kąpiel albo okryć się przynajmniej szlafrokiem. Cała drżysz. – Dotknęła pokrytego gęsią skórą ramienia przyjaciółki. Nagle zmarszczyła czoło, chwyciła Deborah za przedramię i wykręciła wewnętrzną stroną ku górze. – Co to jest? – spytała ostro, odkrywszy to samo, co kilka tygodni wcześniej Albrecht: równoległe, blade szramy. Pozostałe rany na ciele przyjaciółki – otarcia i sine podbiegnięcia – uznała za efekt miłosnych zabaw, lecz te blizny były dużo starsze i miały zupełnie inny charakter. Była niemal pewna, że to pozostałości po ranach zadanych ostrzem noża. Zwróciła na nie uwagę, gdyż coś podobnego widziała już kiedyś u innej młodej dziewczyny – wtedy były one wyrazem duchowej udręki.

– To? Nic takiego – odparła Deborah i zawstydzona gwałtownie cofnęła rękę.

Marlene uznała, że rozsądniej będzie nie naciskać i wrócić do tej sprawy przy innej okazji. W tej chwili jej umysł zaprzętały pilniejsze pytania. Na przykład, w jaki sposób dostać się do zamkniętych w sejfie dokumentów Brunnmanna i czy Deborah wciąż jest skłonna jej pomóc.

Wyostrzyła wszystkie zmysły w wyczekiwaniu, czy Deborah da jej jakiś znak. W przeciwnym wypadku trzeba się będzie pożegnać i ostrożnie ponowić próbę podczas następnego spotkania. Aby zyskać nieco na

czasie, Marlene ubierała się bardzo powoli. Ubranie Debory pasowało na nią niemal równie dobrze jak własne, tylko w ramionach i talii było ociupinę ciaśniejsze.

Tymczasem Deborah otuliła się w szlafrok zaopatrzony w hotelowy monogram, usiadła na krawędzi wanny, zanurzyła szczupłą dłoń w zimnej wodzie i zaczęła cichutko pluskać. Marlene ubrała się i wskoczywszy nagimi stopami w swoje buciki, schyliła się i zapięła klamerki. Potem wyprostowała się, stanęła przed lustrem i przeczesała palcami włosy. I wtedy Deborah, nie zniżając specjalnie głosu, rzekła:

– Ja też chciałabym być w ruchu oporu.

– Ciii – syknęła Marlene, mimowolnie zwracając oczy ku drzwiom łazienki. Były masywne i dokładnie zamknięte, ale mimo to... jedno słowo mogło wzbudzić podejrzenia Albrechta, a najmniejszy błąd mógł kosztować je życie.

Marlene usiadła obok Debory na brzegu wanny i cicho, acz stanowczo rzekła:

– Tutaj nie możemy rozmawiać. Przyjadę po ciebie jutro przed południem, o tej samej porze co dziś. Wtedy porozmawiamy. A na razie weź sobie do serca jedną przestrożę: wiem, że to będzie dla ciebie trudne, ale nie pytaj już nigdy Albrechta o transporty Żydów, rozumiesz? Pod żadnym pozorem nie wolno ci okazywać współczucia dla Polaków czy Żydów. Zachowuj się zupełnie normalnie, nie wypytuj Albrechta o pracę ani o teczkę, a już na pewno o sejf. Do tej pory o to nie pytałaś i tak ma pozostać. Inaczej natychmiast wzbudzisz jego nieufność. Nasze życie, twoje i moje, zależy teraz od tego, czy Albrecht będzie ci dalej ufał. W przeciwnym wypadku zginiemy. Zrozumiałaś?

– Oczywiście – Deborah zamrugła, ale w żadnym razie nie sprawiała wrażenia wstrząśniętej. – Mogę ci zadać jedno pytanie?

Marlene zdążyła już wstać, by po raz ostatni rzucić krytycznym okiem w lustro.

– Naturalnie – odrzekła do swego odbicia, nakładając placem wskazującym nieco różu na policzki i usta.

– Dlaczego przyłączyłaś się do ruchu oporu? Myślałam, że jesteś aktorką.

Marlene powoli obróciła się ku przyjaciółce. Jej oczy błyszczały, kiedy przyjęła wystudiowaną pozę i zadeklamowała:

– *Piekło jest puste. Wszyscy szatani są tutaj.* – Następnie, już naturalnym tonem, dodała: – To z *Burzy* Szekspira, *chérie*. Moją sceną jest teraz cały świat.

Następnego dnia Marlene przyjechała punktualnie o umówionej porze i ponownie zabrała przyjaciółkę na Planty. Tu usiadły na ustronnej ławeczce z dala od alejki i spędziły na niej dwie godziny, główka przy główce. Deborah odebrała pierwszą lekcję, która miała ją wprowadzić w arkana sztuki szpiegowskiej.

Marlene starała się nie wspominać o swojej grupie – ani ojej liczebności, ani kto do niej należy, ani nawet o tym, że dowódca ma na imię Jakub. Na potrzeby tej rozmowy zmieniła mu imię na Paweł.

Zgodnie z instrukcjami Jakuba osoby spoza kolektywu nie mogły mieć kontaktu z żadnym z jej członków. Gdyby Deborah wpadła, pociągnęłyby za sobą wyłącznie Marlene. A i ona oprócz Jakuba znała tylko kilka osób z grupy, i to pod fałszywymi nazwiskami. Prawdziwe imię znała tylko jedno: właśnie Jakuba.

– Przede wszystkim musisz się nauczyć uważnie słuchać tego, o czym się wokół ciebie mówi – tłumaczyła teraz Deborze. – Spotykasz się z wieloma funkcjonariuszami reżimu i każda, nawet na pozór najbardziej błaha informacja może mieć kolosalne znaczenie. Ważne jednak, byś nie dała po sobie poznać, że z uwagą przysłuchujesz się rozmowom, a już pod żadnym pozorem nie wolno ci niczego notować, nawet jednego słowa. Musisz za to jak najwięcej zapamiętać i ustnie przekazać mi podczas najbliższego spotkania. Niestety nie będziemy się mogły spotykać codziennie, ponieważ czasem Ernst chce, bym towarzyszyła mu w jakiejś krótkiej podróży. Jest oficerem wojsk rezerwowych i odpowiada za

zaopatrzenie i logistykę, więc z tego powodu często wyjeżdża. Wtedy będziesz musiała zaczekać do mojego powrotu.

Deborah uważnie słuchała przyjaciółki, tylko od czasu do czasu zadając pytania, na które Marlene odpowiadała dość oględnie, nie naruszając reguł konspiracji. W duchu zaś gratulowała sobie dobrego nosa, gdyż Deborah okazała się pojętną uczennicą. Odznaczała się bystrym umysłem i zadawała trafne pytania. Zresztą następne okazało się tak przenikliwie, że kompletnie zaskoczyło Marlene i wprowadziło ją w ogromne zakłopotanie:

– Kochasz go, prawda?

– Nie rozumiem...

– Pytam o Pawła – sprecyzowała Deborah, a ponieważ Marlene zawahała się, triumfująco dodała: – Daj spokój, obserwowałam cię, kiedy o nim mówiłaś. Wyglądałaś inaczej niż wtedy, kiedy opowiadasz o swoim Ernście.

Marlene skrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu, a w duchu przez chwilę przeklinała zdumiewający dar obserwacji swojej młodej przyjaciółki. W końcu zdecydowała się wyznać część prawdy:

– Kiedyś, owszem. Ale to dawne dzieje. Teraz jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi.

Jakub. To dla niego sypiała z nazistowskimi bonzami, szperała w ich teczkach i bagażach, przysłuchiwała się ich rozmowom. Wszystko robiła dla niego. I czasem nienawidziła go za to, że jej na to pozwala.

Na szczęście kolejne zdanie oderwało Marlene od tych ponurych myśli:

– Chciałabym go kiedyś poznać. Jaki on jest? Przystojny?

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? – prychnęła niecierpliwie Marlene. – Nikt, powtarzam: nikt spoza grupy nie ma kontaktu z jej członkami. Jestem i pozostanę jedynym twoim kontaktem. Dla naszego własnego dobra. Przestań więc roić o Pawle, jakby był romantycznym rycerzem. Rozumiem, masz siedemnaście lat, ale niestety nie czas na dziewczęce marzenia. Zastanów się dobrze, czy naprawdę chcesz się w to angażować. Ryzykujesz własnym życiem. Wystarczy najmniejszy błąd, a zostaniesz arestowana. Będą cię torturować tak długo, aż powiesz im wszystko, co wiesz. Jak dotąd nie zrobiłaś nic złego, więc wciąż możesz się jeszcze wycofać, a ja zniknę z twojego życia. – Marlene poruszyła się, jakby zamierzała wstać z ławki i natychmiast przekuć swoje słowa w czyn.

– Dlaczego tak się denerwujesz? Tylko spytałam. Poza tym za kilka tygodni skończę osiemnaście lat. – Deborah nadąsała się jak kotka i nagle wydała się Marlene tak młodziutka, że aktorkę znów ogarnęła wątpliwość, czy aby podjęła słuszną decyzję, werbując przyjaciółkę do współpracy. Ryzyko nagle wydało jej się zbyt wysokie. Deborah stanowiła bez wątpienia znakomity materiał na szpiega, ale była też szalenie impulsywna i niezrównowazona.

Marlene westchnęła zrezygnowana. Za późno na takie rozważania. Najlepsze, co mogła w tej chwili uczynić, to poprowadzić Deborah pewną ręką i liczyć na łut szczęścia. Wojna wchodziła w decydującą fazę, a ich grupa była zbyt mała i miała ograniczone możliwości działania.

Miało to pewien związek z nieufnością panującą między Polakami a ich żydowskimi współobywatelami. Nastroje antysemickie były silne w Polsce już przed wybuchem wojny, teraz zaś część Polaków tolerowała to, co władze okupacyjne robią z Żydami, a niektórzy wręcz współpracowali z prześladowcami.

Nieliczne głosy rozsądku były zagłuszane, zwłaszcza że elita kulturalna i intelektualna Krakowa uciekła lub została zgładzona przez Niemców. Już w listopadzie 1939 roku władze okupacyjne podstępnie arestowały profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, jednej z najstarszych uczelni Europy.

W tej sytuacji nieliczna grupa żydowskich konspiratorów, do której należała Marlene, była niemal całkowicie pozbawiona wsparcia, zwłaszcza finansowego. A brak pieniędzy oznaczał brak broni. Stąd

każda, nawet najdrobniejsza informacja na temat wroga była na wagę złota. Cenniejsza nawet niż życie Marlene czy Debory. Tego jednak Marlene nie powiedziała na głos. W głębi serca wciąż obawiała się, że Deborah może się wycofać. Według Jakuba Albrecht Brunnmann był ważną figurą w toczącej się wojnie. Wykorzystując inne źródła, jej dowódca zebrał już nieco informacji na temat esesmana i jeśli choćby połowa z tego była prawdą, to kochanek Debory miał do odegrania główną rolę na drugim, wewnętrznym froncie toczony przez nazistów wojny: w dziele zniszczenia europejskich Żydów i ich kultury.

To zresztą – oprócz względów osobistych – był jeden z powodów, dla których Marlene przyłączyła się do organizacji kierowanej przez Jakuba. Bo tak naprawdę Marlene nazywała się Anna von Dürkheim i była pół-Żydówką.

Matka Anny *vel* Marlene była galicyjską Żydówką z Krakowa, ojciec zaś niemieckim arystokratą. Typowy dla tamtej epoki mezalians: ona, biedna żydowska czy słowiańska służąca, i on, syn jaśnie państwa i dziedzic. Oczywiście stary baron wydziedziczył syna, który zdecydował się na małżeństwo z dziewczyną tak niktzemnego stanu. Ojciec Marlene był oficerem i walczył w pierwszej wojnie światowej, lecz zginął we Francji w ostatnich jej dniach, nie dowiedziawszy się nawet, że ma córkę. Kilka miesięcy później matkę Marlene – to jest Anny – zabrała z tego świata epidemia hiszpanki.

Mała Anna wychowała się w Berlinie, pod opieką dziadków, którzy po utracie jedyne syna zdecydowali się przyjąć wnuczkę pod swój dach. Kiedy zdała maturę, nazistowski rząd rozpoczął właśnie deportacje Żydów, toteż Anna natychmiast dołączyła do organizacji studenckiej, która pomagała żydowskim współobywatelom – zwłaszcza tym pozbawionym środków finansowych – wyjechać z Niemiec. Na początku 1939 roku została aresztowana przez gestapo i trafiła w ręce sadysty Hubertusa von Greiffa. Na szczęście dziadek poruszył niebo i ziemię, by wydostać ją z więzienia, choć kosztowało go to mnóstwo upokorzeń i połowę majątku.

Miesiąc w gestapowskiej katowni nie złamał ducha Anny. Przeciwnie, doświadczenie to tylko utwierdziło ją w decyzji, by walczyć w obronie Żydów. Dlatego wbrew woli dziadków wiosną 1939 roku wyjechała do Krakowa, by odnaleźć rodzinę matki, a przy okazji swoje żydowskie korzenie. I odnalazła. Rodzina – dwie starsze siostry jej matki z mężami – przyjęła ją z otwartymi ramionami.

W Krakowie spotkała też Jakuba i zakochawszy się w nim bez pamięci, postanowiła zostać w Polsce na zawsze.

Niestety do grodu nad Wisłą wkrótce dotarli również naziści. Wtedy Anna, idąc w ślady Jakuba, przyłączyła się do organizacji, zmieniła wygląd i przyjęła nowe nazwisko: Marlene Kalten. Właśnie mijały dwa lata, odkąd prowadziła podwójne życie.

Na szczęście obawy Marlene okazały się bezpodstawne. Deborah była zdecydowana rzucić się w wir nowej, podniecającej przygody. Czowała się dzięki temu wolna, a przede wszystkim dorosła. Najbardziej wszakże pociągała ją świadomość, że oto stanie się częścią czegoś wielkiego i bardzo ważnego – czegoś, o czym Albrecht nie miał pojęcia i do czego nie miał dostępu.

Widząc determinację Debory, Marlene wróciła do sprawy dokumentów z teczki Albrechta, lecz jej przyjaciółka podniosła w tej kwestii poważną wątpliwość:

- Ale jeśli je ukradniemy, natychmiast się zorientuje, prawda?
- Przecież ich nie zabierzemy, głuptasie. Chcę je tylko przejrzeć i sfotografować. Nawet nie zauważy, że ktoś w nich szperał. Ale najpierw musimy się zastanowić, jak się dostać do sejfu.
- Może spróbuję zdobyć szyfr? – zaoferowała się Deborah z gorliwością neofitki.
- Jak chcesz to zrobić? Staniesz za plecami Albrechta, kiedy będzie otwierał sejf? Nie, to by było zbyt oczywiste. – Marlene potrząsnęła głową. – Albrecht Brunnmann jest podobno szalenie nieufny, więc mógłby zacząć coś podejrzewać. W ten sposób tylko naraziłabyś się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Nie możemy też chyba liczyć na to, że kiedyś zapomni schować dokumenty do szafy. To by było

najprostsze, ale niby dlaczego miałyby nam ułatwiać zadanie – zakończyła Marlene ponuro.

Przy ostatnich słowach przyjaciółki Deborah wyraźnie się ożywiła.

– To jest myśl! Wyobraź sobie, że już kilka razy zdarzyło mu się coś podobnego. Co prawda nie w Krakowie, ale... Wybacz, Marlene, ale dotąd nie zwracałam na to szczególnej uwagi. – Deborah wydawała się szczerze zasmucona, że tak istotna rzecz umknęła jej uwadze.

Z uporem próbowała sobie przypomnieć te nieliczne sytuacje, kiedy Albrecht odkładał teczkę na stole albo na sofie i dopiero później chował jej zawartość do sejfu. Właściwie zdarzało się to wyłącznie wtedy, gdy czatowała na niego przy drzwiach i nie pozwalała mu nawet chwilę odsapnąć, tylko od razu niecierpliwie ciągnęła za sobą do sypialni.

Tak, to może się udać: odwróci uwagę Albrechta i tak go omota, że na moment zapomni o teczce. Potem musi go namówić na wizytę w hotelowym barze.

Albrecht nie rozstawał się ze swoim kluczem do apartamentu nawet na chwilę, ale Deborah miała duplikat, który mogłaby przekazać Marlene. Ta zaś zaczekałaby tymczasem ukryta w składziku, który znajdował się tuż obok apartamentu. Po sfotografowaniu dokumentów mogłaby zamknąć pokój i zostawić klucz w magazynku, skąd Deborah zabrałaby go przy najbliższej okazji.

Młoda konspiratorka podekscytowanym głosem przedstawiła Marlene swój plan, ta jednak nie była przekonana.

– Musiałybyśmy mieć mnóstwo szczęścia, żeby udało się za pierwszym razem. W hotelu mieszkają wyłącznie niemieccy oficerowie, urzędnicy i rozmaite hieny frontowe, które robią z nazistami brudne interesy. Nie mogę się na kilka godzin zabarykadować w hotelowym magazynie. Gdyby ktoś mnie zobaczył, nie miałabym się jak wytłumaczyć.

W zamian Marlene zaproponowała własny plan, który jednak wydawał się jeszcze bardziej ryzykowny: miałyby zaczekać, aż Albrecht i Deborah wyjdą z apartamentu, i wtedy dostać się środka i otworzyć sejf z pomocą zawodowego kasiarza. Problem w tym, że nie miała pojęcia, czy w jej grupie jest ktoś, kto zna się na otwieraniu szaf pancernych. Jakub musiałby się rozejrzeć za kimś takim na mieście, co wiązałoby się ze zbyt wielkim ryzykiem. Poza tym nawet zdolny włamywacz mógł zostawić ślady na zamku szafy, a przecież pod żadnym pozorem nie chciała wzbudzić podejrzeń Brunnmanna.

Najprostszym wyjściem, stwierdziła Marlene, byłby środek nasenny, ale taki specyfik trudno zdobyć. Jakub próbował już kilka razy, ale bez powodzenia. Poza tym następnego dnia mogłyby wystąpić skutki uboczne, które z pewnością wzbudziłyby podejrzania u tak nieufnego człowieka jak Brunnmann.

Przyjaciółki przez chwilę jeszcze omawiały rozmaite możliwości i ważyły związane z nimi ryzyko, lecz w końcu Marlene przystała na propozycję Debory, choć już teraz wzdrygała się na myśl, że przyjdzie jej przez kilka wieczorów bez powodzenia Wyczekiwać w hotelowym składziku, drżąc z niecierpliwości i strachu, że zobaczy ją ktoś z personelu. Każdy krok i każdy hałas będzie dla niej jak alarm – aż w końcu usłyszy ustalone z przyjaciółką hasło. Kiedy Deborah w drodze do baru powie: „Mam ochotę na kieliszek szampana”, będzie to znaczyć, że dokumenty leżą pieczołowicie zamknięte w sejfie i Marlene niczego nie wskóra. Jeśli jednak Deborah powie do swego towarzysza, że „to cudowny wieczór”, oznaczać to będzie, że teczka została w salonie.

Wtedy Marlene miałyby zakraść się do apartamentu, sfotografować dokumenty i niepostrzeżenie zniknąć z hotelu. Oczywiście musiałyby się mieć na baczności, by nikt jej przypadkiem nie zagadnął ani nie zaprosił na drinka do baru, gdzie niechybnie natknęłyby się na Albrechta i Debore. A mogłoby się tak zdarzyć, gdyby któryś z hotelowych gości rozpoznał w niej kochankę Ernsta.

Po dziewięciu dniach i czterech próbach – Marlene musiała wyjechać na kilka dni z Ernstem, Albrechtowi zdarzyło się wrócić z jakiegoś tajemniczego spotkania późną nocą – przyjaciółkom wciąż nie udało się zrealizować planu. Mijały kolejne dni i noce, a Deborah wręcz odchodziła od zmysłów.

Nawet śpiew nie był w stanie przynieść jej ulgi i złagodzić nieznośnego napięcia.

Przy tej okazji Deborah po raz pierwszy doświadczyła też sytuacji, w której coś, co zwykle czyni się z własnej woli i z rozkoszą, staje się uciążliwym obowiązkiem. Już pierwszego wieczora, gdy Marlene czaiła się w sąsiednim pokoiku, Deborah była tak nieobecna i roztargniona w trakcie miłosnych igraszek, że wzbudziło to zdziwienie Albrechta i musiała się usprawiedliwić nagłą migreną.

Długotrwałe napięcie wkrótce zebrało żniwo. Atmosfera w relacjach między przyjaciółkami stawała się coraz bardziej napięta. Wystarczyła byle drobnostka, i zaraz skakały sobie do oczu. Nie pomagało nawet to, że z obawy przed niepowołanymi uszami nie mogły podnosić głosu. Na szczęście szybko dochodziło między nimi do pojednania, o co troszczyła się zwykle Marlene, z natury miłująca harmonię i spokój.

Tym, co wywoływało poirytowanie Marlene, była zwykle nieostrożność i lekkomyślność Debory.

– Słucham?! – zawołała przerażona, lecz zaraz ściszyła głos.

Było późne przedpołudnie i siedziały na sofie w apartamencie Grand Hotelu. Deborah właśnie wyznała przyjaciółce, jak to poprzedniego wieczora wykrzyczała kochankowi, że bardziej mu zależy na tej głupiej teczce niż na niej.

Deborah była coraz bardziej sfrustrowana faktem, że choćby nie wiem z jakim wyrafinowaniem próbowała uwieść Albrechta, ten, w przeciwieństwie do tego, co miało miejsce w pierwszych dniach ich romansu, zawsze zachowywał chłodną głowę i delikatnie uwalniał się z jej objęć, by najpierw schować swoje cenne papiery w sejfie.

– Do diabła, mówiłam ci, że masz się tak zachowywać, jakby ta teczka w ogóle dla ciebie nie istniała! – Ponieważ Marlene nie mogła wykrzyzczyć swojej wściekłości, z całej siły uderzyła pięścią w leżącą na sofie poduszkę. *Ta cholerna dziewczyna wszystko zniszczy!*

Później, po południu, Marlene spotkała się z Jakubem i poirytowana zdała mu relację ze spotkania. On jednak tylko wzruszył potężnymi ramionami:

– No i? Zachowuje się jak każda młoda dziewczyna. Jest zazdrosna o tę teczkę. Może to wcale nie był błąd, tylko zupełnie naturalna reakcja? A może powinniście wymyślić inny plan? Czas ucieka. Trwa regularne mordowanie polskich Żydów. Getta są pełne. Właśnie dotarły do mnie niepokojące wieści z Warszawy. Nasi towarzysze planują tam powstanie. Jeśli ich plan się powiedzie, sytuacja tutaj stanie się jeszcze bardziej niepewna. Niemcy przewrócą miasto do góry nogami, byle tylko nas znaleźć. Dlatego koniecznie musimy zdobyć informacje od Brunnmanna. Wymyśl coś, Marlene, byle szybko.

Dwa dni i jedną kłótnię później Deborah była już skrajnie sfrustrowana. Nie przybliżyły się do tej przeklętej teczki nawet o milimetr! Poza tym była rozczarowana swoją dotychczasową działalnością w charakterze szpiega. Obiecywała sobie dużo więcej. Chciała czuć się jak prawdziwy spiskowiec, zrobić coś wielkiego dla sprawy. Tymczasem jak do tej pory właściwie niczego nie dokonała, udało jej się tylko podsłuchać kilka rozmów przy stole i przekazać ich treść Marlene, ale nie miała pojęcia – i wiedziała, że nigdy się tego nie dowie – czy zostały one w jakikolwiek sposób spożytkowane przez ruch oporu. Skoro zatem była dotąd dość marnym szpiegiem, to w ramach urozmaicenia codziennej monotonii postanowiła przynajmniej przekonać się, jak to jest, przejść się ulicami Krakowa w przebraniu zwykłej Polki. Wprawdzie podczas spacerów z Marlene, gdy szły ulicą w eleganckich strojach, Deborah napawała się spojrzeniami mijanych osób, teraz jednak chciała się wreszcie przekonać, jak to jest być niewidoczną i wtopić się w tłum, poniekąd ukryć się i być nikiem. Poza tym wcielanie się w różne role stanowiło element jej scenicznego wykształcenia. Już jako mała dziewczynka obserwowała i naśladowała matkę, gdy ta przygotowywała się do rozmaitych ról.

Toteż nie wahając się długo, wyjęła z szafy zwykły ciemny fartuch oraz chustę, które niedawno kupiła na targu. Większość kobiet na krakowskich ulicach nosiła właśnie taki niepozorny strój. Przebrawszy się, długo ćwiczyła przed lustrem odpowiednią postawę: ramiona wyżej, głowa schowana pomiędzy nimi. *Tak*, z zadowoleniem spojrzała na swoje odbicie. *Doskonale*. W tym stroju, w bezkształtnym kitlu i z włosami ukrytymi pod chustą była zupełnie do siebie niepodobna. Nie rozpoznałaby jej nawet Marlene! Aby nie wzbudzać w hotelu sensacji, zdjęła okrycie i chustę, by przywdziać je dopiero w którymś z bezludnych zaułków.

Główny plac targowy Krakowa, zwany Rynkiem Głównym, był zgoła niepodobny do tego typu miejsc w Monachium, ale chociaż wyglądał zupełnie inaczej niż Marienplatz czy Viktualienmarkt, Deborah nie wiedzieć czemu czuła się tutaj jak w domu. Krakowski Rynek Główny był kwadratem o boku długości dwustu metrów i w średniowieczu uchodził za największy rynek w Europie. Otaczały go kamieniczki, przeważnie dwupiętrowe, z wąskimi frontonami i głębokimi podwórzami. Na przestrzeni wieków wznosili jej najznamienitsi mistrzowie sztuki budowlanej, toteż bogato zdobiły je rozliczne barokowe i renesansowe ozdoby.

Centralnym punktem Rynku Głównego były słynne, mierzące ponad sto metrów długości Sukiennice, największy w starym Krakowie budynek użyteczności publicznej. Włoski architekt Santi Gucci wznosił go w połowie XVI wieku w stylu renesansowym.

Jedynym elementem wprowadzającym dysonans w tę cudowną scenerię byli tutejsi mieszkańcy, zupełnie zgaszeni i dalecy od wiosennej beztroski. Viktualienmarkt, który Deborah pamiętała z dzieciństwa, był kolorowy i gwarny, panował na nim ścisk i rozlegały się krzyki zachwalających swoje towary kupców – nawet w ostatnich latach, kiedy brakowało wprawdzie rozmaitych produktów, lecz nie radości czerpanej przez monachijczyków z targowania się, kupowania i sprzedawania.

Tymczasem polscy handlarze i kupcy sprawiali wrażenie dziwnie niespokojnych, jakby dręczyła ich jakaś nieustanna obawa. Kupujący nerwowo skakali od straganu do straganu, starając się jak najszybciej załatwić sprawunki i wrócić od domu. To wrażenie ogarnęło jednak Deborah dopiero wtedy, gdy przypomniałszy sobie nauki Marlene, wyostrzyła swój naturalny dar obserwacji.

Deborah raz jeszcze skorygowała swoją postawę, biorąc za wzór wieśniaczkę, która w jednym ręku niosła kosz, a drugą przytrzymywała pod brodą chustę. *Muszę jak najszybciej zdobyć jakiś kosz!*, pomyślała.

Jak to miała w zwyczaju, poszukała wzrokiem stada gołębi, które upodobały sobie miejsce po zniszczonym pomniku Adama Mickiewicza. Marlene opowiadała jej, że według legendy te ptaki to zaginieni rycerze. Najbardziej jednak podobała się Deborze Bazylika Mariacka z dwiema masywnymi wieżami. Lubiła do niej zachodzić. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale z jakiegoś powodu czuła w tym kościele wyjątkową więź z rodzinnym miastem i najbliższymi, którzy w nim pozostali – zupełnie jakby ta świątynia miała jakieś tajemnicze, bezpośrednie połączenie z Monachium. Może wynikało to z modlitewnego mamrotania kilku ubranych na czarno i rozrzuconych po pustych ławkach staruszek, których nadzieje i prośby wznosiły się wraz z kadzidłem ku Bogu. Tak czy inaczej wizyty w tym kościele kołyły tęsknotę Debory za domem, dlatego i tym razem skierowała ku niemu swe kroki.

I wtedy właśnie usłyszała w pobliżu głośnie krzyki. Mimowolnie odwróciła się w kierunku, skąd dobiegało donośne: „Halt! Halt!”, i zobaczyła biegnącego wprost na nią mężczyznę.

W ostatniej chwili uskoczyła na bok.

Niestety mężczyzna próbował uczynić to samo, w związku z czym wpadł na nią z całym impetem, powalając na ziemię. Upadając, Deborah próbowała instynktownie oprzeć się na rękach, toteż poczuła w nich przeszywający ból. Siedząc już na bruku, dokładnie obejrzała swe dłonie. Były mocno poobcierane, a z kilku miejsc sączyła się krew. Poszukała wzrokiem torebki, ale zaraz przypomniała sobie, że tego dnia

wyszła z hotelu bez niej, gdyż elegancka krokodyla skóra niezupełnie pasowałaby do przebrania. Musiała sobie jakoś poradzić bez chusteczki.

Obok zobaczyła jęczącego mężczyznę, który ją przewrócił. Nie był już pierwszej młodości i miał na sobie wyświechtany garnitur. Przed nim leżały stłuczone okulary. Najwyraźniej w wyniku upadku doznał większych obrażeń niż Deborah, gdyż leżał skulony, kurczowo trzymając się za jedno z ramion. Deborah przysunęła się do niego.

– Przepraszam, czy mówi pan po niemiecku?

Nim nieznajomy zdążył odpowiedzieć, zjawili się dwóch innych mężczyzn. Najwyraźniej to oni go ścigali. Mieli na sobie mundury SS. Z relacji Marlene Deborah wiedziała, że to właśnie im podobni stanowili trzon załóg wartowniczych w obozach koncentracyjnych Generalnego Gubernatorstwa i odpowiadali za większość mordów i okrucieństw dokonywanych na Polakach i Żydach. Jeden z przybyłych nogą odepchnął Deborę na bok, tak że przewróciła się, upadając boleśnie na łokieć, a następnie wspólnie z kompanem chwycili uciekiniera i postawili na nogach. Ranny zawył z bólu.

– Co panowie wyprawiają?! – wykrzyknęła z oburzeniem Deborah, która nie była przyzwyczajona, by traktowano ją tak. bezceremonialnie, ale jeszcze bardziej była wzburzona sposobem, w jaki esesmani obchodzili się z mężczyzną, który przypominał jej profesora monachijskiej szkoły.

– Zamknij się, babo. Co cię obchodzi ten Żydek? – szczerknął jeden z esesmanów. Deborah poczuła odór alkoholu i z obrzydzeniem skrzywiła twarz. Niemiec był wysoki, miał bladą cerę i puste, bezmyślne spojrzenie.

– No, Adi – krzyknął po chwili do swego kompana. – Ściągaj mu spodnie.

Deborah nie wierzyła własnym oczom. Esesman nazwany Adolfem rzeczywiście ściągnął schwytanemu mężczyźnie spodnie, odsłaniając jego genitalia! Potem chwycił jego przyrodzenie, szarpnął i wykrzyknął triumfalnie:

– A nie mówiłem? Obrzezany! – Mówiąc to, wyciągnął pistolet i przystawił go do czoła ranego, który z przerażenia i wstydu zamknął oczy. – Zdychaj, żydowska Świnio!

Deborah, jeszcze przed chwilą kompletnie sparaliżowana, poczuła, jak wzbiera w niej niepohamowany gniew. Zignorowała przestrożę Marlene, by nigdy nie stawać między myśliwym a zwierzyną, i całym ciężarem swego nie tak znów potężnego ciała rzuciła się na oprawcę:

– Niech pan natychmiast przestanie! Ten człowiek nie zrobił nic złego. Przecież on tylko...

Nie zdążyła dokończyć, gdyż blady esesman złapał ją za rękę i brutalnie rzucił na ziemię.

– Zamknij ryj, żydowska dziwko!

Chustka zsunęła się z głowy Debory, a Niemiec złapał ją za włosy i szarpnął do góry. Dziewczyna krzyknęła i zaczęła rozpaczliwie bić w powietrzu pięściami, lecz mężczyzna, wyższy od niej o dwie głowy i tak potężnie zbudowany, że mundur opinał mu się na plecach, uniósł prawą pięść i od niechcienia, jakby w zabawie, uderzył ją w brzuch.

Deborah miała wrażenie, że jej ciało rozrywa się na dwie części. Z jękiem opadła na bruk, a czerwony welon przesłonił jej oczy. Przez kilka sekund nie mogła złapać powietrza. Rozpaczliwie walcząc o to, by nie stracić przytomności, kątem oka spostrzegła, że ktoś próbuje jej przyjść z pomocą, lecz i on zostaje powalony potężnym ciosem na ziemię. Esesman stanął nad niedoszłym wybawcą Debory i plując wokół siebie kropelkami śliny, wrzasnął:

– Co? Jeszcze jeden Żydek? Tu musi być jakieś gniazdo. Wstawaj i ściągaj gacie.

Deborah, której w końcu udało się odzyskać oddech, lecz wciąż nie była w stanie wykrztusić słowa, ze zdumieniem rozpoznała w swym obrońcy Osmana. Nie miał na sobie munduru, tylko zwykły strój polskiego wieśniaka. *Co on tu robi?*, zdziwiła się na ten widok. *I dlaczego nie ma na sobie munduru?* Ponieważ Osman nie zamierzał wstać, esesman wyciągnął pistolet i wymierzył w klęczącą na ziemi

Deborę.

– Liczę do trzech. Jeśli w tym czasie nie zobaczę twojego brudnego fiuta, to ta dziwka zdechnie! Raz... dwa...

Osman wstał i rzucił Deborze milczące spojrzenie. Długo patrzyli sobie w oczy. W spojrzeniu szofera kryło się całe cierpienie Wszechświata. Potem rozpiął pasek i opuścił spodnie. Deborah odwróciła głowę, a jej oczy wypełniły się łzami współczucia i bezsilności. Tymczasem esesman zmarszczył czoło, zmrużył oczy i zbliżył się do Osmana.

W tłumie, który tymczasem zgromadził się wokół, rozległy się głośne śmiechy, a niektórzy z gapiów zaczęli pokazywać palcami obnażone przyrodzenie szofera.

– Patrz, Adi! Ta kreatura nie tylko jest obrzezana, ale też nie ma jaj! Pewnie jakiś kaleka. Może sprawdzimy, czy zamiast stóp nie ma przypadkiem kopyt, co? Jak myślisz? – Niemiec wprost pokładał się ze śmiechu.

Uliczne zbiegowisko z każdą sekundą wabiło kolejnych ciekawskich, w tym żołnierzy Wehrmachtu, ale oprócz ryków dwóch esesmanów tylko z rzadka odzywały się pojedyncze i raczej tłumione śmiechy. Być może powodem był strach albo wstyd, a może zwykłe znudzenie, jako że na ulicach miasta aż nazbyt często widywano podobne sceny.

Drugi z esesmanów, wciąż trzymając starszego mężczyznę za włosy i brutalnie ciągnąc go za sobą, zbliżył się do Osmana i również zaczął rechotać.

– Masz rację, Rudi. Nie przypominam sobie, żeby trafił mi się kiedyś równie ohydny egzemplarz. Jak się nazywasz, Żydzie? – wrzasnął na Osmana.

Ponieważ pytany nie odpowiedział dość szybko, esesman z całej siły uderzył go w twarz.

– Co się tu dzieje? – Raptem z tłumu rozległo się zadane kategorycznym tonem pytanie. Ponieważ wypowiedział je oficer SS, gapie natychmiast się rozstąpili, a esesmani trzasnęli obcasami, stając przed nim na baczność.

– Melduję, że złapaliśmy dwóch Żydków i jedną dziwkę, panie hauptsturmführer – szczechnął bladolicy z wysoko uniesioną brodą.

Hauptsturmführer omiół pogardliwym spojrzeniem obnażonego Osmana, po czym jego wzrok spoczął na wciąż klęczącej na bruku Deborze. Oficer drgnął, pośpieszył ku niej i ostrożnie pomógł jej wstać. Deborah chwiejnie oparła się na jego ramieniu.

– Mój Boże, panna Malpran – zawołał esesman pełnym wzburzenia głosem. – Co z panią? Nic pani nie jest? Czy mam wezwać lekarza? – Rozejrzał się wokół bezradnie i krzyknął w stronę tłumu: – Czy jest tu w pobliżu jakiś lekarz?

Adi i Fritz wymienili zdezorientowane spojrzenia, Osman zaś błyskawicznie podciągnął spodnie i pośpieszył Deborze z pomocą. Oficer chciał go powstrzymać, lecz Deborah, która wciąż nie była w stanie normalnie mówić, wyszeptała:

– Nie... to Osman... szofer... obersturmbannführera.

Po chwili z tłumu wyłonił się drobniutki Polak, staruszek o białych jak śnieg włosach.

– Panie oficerze, jestem lekarzem. Proszę, tu obok jest mój gabinet – powiedział nienaganną niemczyzną, po czym sprawnie utorował sobie drogę przez tłum. Za nim, delikatnie podtrzymując Deborę, ruszył oficer, na końcu zaś Osman.

Zanim jednak się oddalili, hauptsturmführer zwrócił się krótko do esesmanów:

– A wy wracacie na kwaterę i tam czekacie na dalsze rozkazy! Ta sprawa będzie mieć konsekwencje! Możecie być pewni! – zagroził.

W ciasnym gabinecie z przeraźliwie pustą szklaną szafką na leki Deborah została usadzona na twardej pryczy. To pomieszczenie w niczym nie przypominało świetnie wyposażonego, przytulnego gabinetu jej

ojca, w którym niczego nie brakowało, a panująca w nim przyjemna atmosfera wlewała w serca chorych otuchę, że wkrótce wrócą do zdrowia.

– Dziękuję, już mi lepiej – szepnęła Deborah. Czuła neodpartą pokusę, by jak najszybciej wrócić do hotelu, zamknąć się w łazience i uśmierzyć wstyd i gniew ostrzem noża.

Lekarz miał delikatne, zwinne dłonie i specyficzne poczucie humoru.

– Proszę się nie obawiać, panienko, nic pani nie grozi. Tylko trochę kolorów na brzuchu. Jak chabry na łące – powiedział i uśmiechnął się do pacjentki. Potem podał Deborze naparstek mętneho płynu: – Proszę do dna. Nie jest takie złe, prawda? Teraz musi pani tylko wypocząć. Jeśli mimo wszystko poczuje pani silne bóle lub w toalecie zobaczy krew, proszę szybko udać się do doktora, dobrze?

Po jakimś czasie lekarz uznał, że pacjentka doszła do siebie i może opuścić gabinet. Hauptsturmführer, który jako częsty gość hotelowego baru rozpoznał w Deborze towarzyszkę obersturmbannführera Brunnmanna, odwiózł ją i Osmana do Grand Hotelu, przez całą niemal drogę przepaszając za to „pożałowania godne nieporozumienie”. Do Osmana nie odezwał się ani słowem. Przed hotelem oficer dość pośpiesznie pożegnał się i odjechał. Dopiero wtedy Deborah uświadomiła sobie, że jej wybawca nie przedstawił się z nazwiska.

Widząc, że Osman również próbuje dyskretnie wrócić na swoją kwaterę, Deborah położyła mu lekko dłoń na przedramieniu i zatrzymała:

– Osmanie, pozwól na słówko. Chciałabym ci podziękować i przy okazji przeprosić. To, co się dzisiaj stało, było straszne. Ludzie są potworami. Wybaczysz mi?

W odpowiedzi Osman padł przed nią na kolana. Deborah spojrzała na niego kompletnie zdezorientowana, on zaś skłonił głowę, ujął oburącz jej prawą dłoń i na kilka sekund przycisnął do swego czoła. Następnie wstał i oddalił się szybkim krokiem.

Deborah chciała go jeszcze spytać, co właściwie robił na Rynku bez munduru. Czy członkowie SS – a Osman, jako szofer Albrechta, należał do tej organizacji – nie mieli obowiązku chodzić w mundurze? Co prawda Osman i tak nie mógłby odpowiedzieć na jej pytania, lecz mimo to postanowiła, że przy najbliższej okazji wypyta go o to, jako że kwestia ta wciąż nie dawała jej spokoju. Podobnie jak pytanie, czy Osman opowie o wszystkim Albrechtowi. A może sama powinna mu o wszystkim powiedzieć? *Nie*, postanowiła w końcu. *Lepiej zaczekam, może sam mnie zapyta. Do tej pory na pewno coś zdążę wymyślić. A swoją drogą, to naprawdę dziwne*, dumiała dalej. *Wystarczyło, że przebraliśmy się w ubrania zwykłych Polaków i natychmiast wpadliśmy w tarapaty.* Deborah zrozumiała, że tak jak jej eleganckie stroje z miejsca awizowały ją jako niemiecką damę, tak mundur stanowił zabezpieczenie dla Osmana, który istotnie miał w swoim wyglądzie coś orientalnego. *Szata zatem nie tylko zdobi człowieka, ale również go chroni!*, pomyślała. Nic dziwnego, że ludzie na Rynku tak się garbili i starali nie rzucać w oczy. Nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi niemieckich okupantów.

Po tej okropnej przygodzie Deborah postanowiła wziąć długą kąpiel. Sięgnęła po poręczny sztylecik, który ostatnio Albrecht uroczyście jej ofiarował i z którym nie rozstawała się nawet na chwilę, i mocno naciąwszy sobie ramię, patrzyła, jak jej krew skapuje do wanny, barwiąc wodę na różowo. Po kąpeli, zgodnie z zaleceniem lekarza, udała się do sypialni odpocząć, lecz wkrótce jej silny organizm objawił swoją witalność, jako że około siedemnastej, kiedy to pojawiła się Marlene, Deborah niemal zupełnie już doszła do siebie.

Po dziesięciu minutach jej przyjaciółka wyszła – rzekomo z powodu umówionego spotkania z Ernstem, lecz w rzeczywistości zapewne dlatego, że wciąż czuła się urażona po ostatniej sprzeczce. Deborah, która również poczuła się potraktowana przez Marlene dość obcesowo, niewiele myśląc, postanowiła pójść za przyjaciółką! Złapała szybko płaszcz, kapelusz i rękawiczki i wypadła na korytarz. Ale Marlene już nie było.

Zgodnie ze swym zwyczajem aktorka nie udała się do windy, lecz zeszła schodami, jako że nie najlepiej się czuła w ciasnych pomieszczeniach (swoją drogą, tym większym heroizmem z jej strony była gotowość spędzenia tylu godzin w hotelowym składziku).

Deborah preferowała wygodniejsze rozwiązania, toteż weszła do windy, która stała właśnie pusta. Po małym windziarzu jak zwykle nie było śladu, więc Deborah zjechała sama w nadziei, że dotrze na dół przed przyjaciółką. Kiedy wyszła na korytarz, rozejrzała się uważnie i natychmiast skryła za jedną ze strzelistych palm ustawionych po obu stronach windy. Zdążyła w ostatniej chwili, gdyż dwie sekundy później Marlene zeszła ze schodów i energicznym krokiem przecięła hol. Deborah ruszyła za nią.

O tej porze, to jest późnym popołudniem, ulice i place były pełne ludzi, tak że Deborah bez trudu mogła niepostrzeżenie śledzić Marlene, która szybko zmierzała w kierunku Rynku. Debora w ślad za przyjaciółką przeszła przez plac. W tłumie dwa razy omal nie straciła jej z oczu, lecz zdążyła się już domyślić, dokąd zmierza Marlene: na położony za Bazyliką Mariacką Mały Rynek.

W tej okolicy aż roiło się od eleganckich butików, zakładów krawieckich oraz niewielkich lokali i kawiarenek. Marlene podeszła do jednego z najlepszych zakładów krawieckich, specjalizującego się w modzie wieczorowej, i z wyraźnym ożywieniem ją oglądać stroje wystawione w witrynie.

Deborah w ostatniej chwili przypomniała sobie jedną z lekcji udzielonych przez przyjaciółkę i skryła się za rogiem kamienicy. Marlene nie oglądała strojów, tylko odbicie w szybie zakładu! Dopiero przekonawszy się, że nikt jej nie śledzi, weszła do środka.

Deborah przeszła na drugą stronę wąskiej uliczki i zatrzymała się niepewnie przed zakładem. Odruchowo spojrzała w witrynę, lecz nawet nie zauważyła czarnej, starannie udrapowanej wieczorowej sukni. Zastanawiała się, czy wejść do zakładu. Może powinna zażądać od Marlene wyjaśnień, dlaczego to jej przyjaciółka twierdziła, że ma się spotkać z Ernstem, a następnie udała się na zakupy sama? A może upozorować, że i ona również podjęła spontaniczną decyzję i wybrała się na zakupy, a ich spotkanie w tym zakładzie to zwykły przypadek? Szybko odrzuciła oba pomysły. Marlene natychmiast by się domyśliła, że przyjaciółka próbowała ją śledzić.

Dwie dobrze ubrane młode damy w towarzystwie starszych panów zbliżyły się do zakładu, zatrzymały przed wystawą i poczęły z niemal religijnym nabożeństwem rozwodzić się na temat walorów wystawionej w witrynie sukni. Tymczasem panowie całą uwagę poświęcili walorom Debory.

Deborah poczuła na sobie ich bezwstydną spojrzenia i nagle ogarnęło ją zniechęcenie. Jej wigor ulotnił się w jednej chwili. Cóż to za niedorzeczność! Śledzić Marlene?!

Mimo to nie miała ochoty wracać do hotelu. Niezdecydowana rozejrzała się dookoła i przypomniała sobie, że za rogiem, w zaułku na tyłach zakładu krawieckiego znajduje się niewielka kawiarnia. Odwiedziła ją kilka razy z Marlene i bardzo polubiła dwie sympatyczne siostry prowadzące ten lokal i serwujące gościom przepyszne ciasta. Po chwili, gdy skręciła za róg, odkryła coś nieoczekiwanego: Marlene opuściła właśnie zakład krawiecki tylnym wyjściem i pośpiesznie skręciła w lewo, w najbliższą uliczkę.

Nie namyślając się długo, Deborah ostrożnie ruszyła za przyjaciółką i w ostatniej chwili spostrzegła, jak Marlene znikła w bramie jednej z kamienic. Domy w tym zaułku tworzyły jeden ciąg, który w dali zdawał się zwężać, a w górze zrastać. Okna były maleńkie, a drzwi wyjątkowo niskie i dopiero kiedy Deborah stanęła przed domem, w którym wedle jej wyliczeń zniknęła Marlene, zauważyła, że przed wejściem znajdują się trzy wydeptane, prowadzące w dół schodki. Obok drzwi, na żelaznym drążku wisiał emaliowany szyld niemiłosiernie skrzypiący na wietrze. Widniał na nim jakiś napis po polsku, a pod spodem wyraźnie widać było rysunek trzewika.

Zakład szewski? Deborah poczuła wyrzuty sumienia. Trudno powiedzieć, czego się spodziewała, ale z pewnością nie tego, że jej przyjaciółka obstałowała sobie nową parę bucików! Dopiero teraz przyznała w duchu, że miała nadzieję przechytrzyć Marlenę i sprawić, że ta doprowadzi ją do tajemniczego Pawła. Mimo to zaintrygowana próbowała zajrzeć przez brudne, a może zamalowane okno, ale niczego nie mogła dostrzec. Z zakładu nie dobiegał też żaden dźwięk.

A potem wszystko potoczyło się tak szybko, że Deborah nie zdążyła nawet krzyknąć: ktoś chwycił ją z tyłu i szorstka, cuchnąca tytoniem dłoń zasłoniła jej usta, podczas gdy druga ręka owinęła się wokół jej talii. Napastnik bez ceregieli wepchnął ją do środka, a następnie zaciągnął do pomieszczenia na tyłach. W panującym tu półmroku widać było jedynie zarys nielicznych sprzętów, za to wyraźnie czuć było skórą i garbnikami.

Mężczyzna pchnął nogą następne drzwi i wciąż trzymając Deborę żelaznym chwytem, pociągnął ją przez długi, wąski i spowity w całkowitej ciemności korytarz. Biedaczka miała wrażenie, że za chwilę udusi się w tym uścisku, lecz wtedy otworzyły się trzecie drzwi, prowadzące do małego, pozbawionego okien pomieszczenia. W środku znajdował się tylko stół i cztery krzesła, a nikielne światło rzuciła jedna jedyna świeczka. Dwie osoby siedziały skryte w półmroku przy stole, spoglądając na nowo przybyłych.

Napastnik warknął coś po polsku, wciąż nie wypuszczając Debory z uścisku, choć ta zaczęła się gwałtownie wrywać i bić wokół rękoma – z tym samym mniej więcej rezultatem, jakby uderzała w skałę. Na jej widok Marlene nawet nie mrugnęła okiem.

– Więc to ty – powiedziała tylko, po czym zwróciła się do swego towarzysza: – Pozwól, że ci przedstawię, to Deborah, mała przyjaciółeczka Brunnmanna.

– Oszalałaś? Zaufałaś kochance nazisty? – oburzył się siedzący obok Marlene mężczyzna, a jego pięść z hukiem walnęła w stół, który dosłownie podskoczył. Świeczka zakołysała się niebezpiecznie.

Marlene słodko uśmiechnęła się do swego towarzysza:

– Nie zapominaj, mój drogi, że ja też jestem kochanką nazisty – podniosła wysoko brwi, najwyraźniej przekazując jakiś pozawerbalny komunikat, który sprawił, że mężczyzna natychmiast stracił rezon. Po chwili skinął głową i siłacz uwolnił Deborę – tak niespodziewanie, że ta aż się zachwiała i musiała się oprzeć o stół, aby nie upaść.

Nieznajomy rozparł się niedbale na krześle, wyciągnął długie nogi w skórzanych oficerkach i krzyżując na piersi ręce, przyglądał się Deborze zmrużonymi oczami. Dziewczyna podniosła wysoko głowę i hardo odwzajemniła spojrzenie. Marlene milczała.

– Wybacz to obcesowe zachowanie – odezwał się w końcu nieznajomy, bez zażenowania zwracając się do Debory formą „ty”. – Siadaj, proszę. Napijesz się czegoś? Mamy wodę, wino, a nawet niemiecką kawę. – Nie czekając na odpowiedź, gospodarz wstał i wraz z drugim mężczyzną wyszedł z pomieszczenia.

Deborah odprowadziła go wzrokiem.

– To Paweł?

Marlene skinęła głową twierdząco i dodała spokojnym głosem:

– Widzę, że ci się podoba, ale lepiej trzymaj się od niego z daleka. To zbyt niebezpieczne.

– Doprawdy? – odparła cierpko Deborah. – Albrecht też nie jest aniołkiem.

– Nie to miałam na myśli. On złamie ci serce. Zostawi po sobie same zgłiszcza.

Deborah nie chciała słuchać ostrzeżeń Marlene. Poza tym i tak już było za późno. Jak każdy, kto spotykał Jakuba – dla Debory wciąż był to „Paweł” – natychmiast uległa jego magnetyzmowi. Jakub miał w sobie jakąś nieujarzmioną moc i Deborah nie mogła się oprzeć wrażeniu, że byłby w stanie rzucić cały świat do swych stóp.

Siła Jakuba zasadzała się na niebywalej pewności siebie, która udzielała się każdemu, kto stawał na jego drodze. Był urodzonym przywódcą. Deborah od pierwszej chwili była nim absolutnie zafascynowana. Przypominał jej dzielnych bohaterów wielkich oper. Był jak Tristan i Zygfyrd, Alfredo i Romeo. To, co poczuła w Zurychu i Wiedniu do Albrechta – a raczej to, co wydawało jej się, że czuje – było niczym wobec tego, co teraz odczuwała względem Jakuba. Jakub był mężczyzną jej życia. To na niego czekała. A on był jej przeznaczony.

– Ta ciekawość kiedyś cię zabije – powiedziała surowo Marlene, całą uwagę pozornie skupiając na porzniętym blacie stołu. Deborah przyciągnęła do siebie świecę i zaczęła się bawić miękkim woskiem. Żadna z nich nie wypowiedziała już ani słowa, w milczeniu czekając na powrót Jakuba.

W końcu wrócił, a za jego plecami przydreptała maleńka staruszka w długiej czarnej sukni. Postawiła na stole tacę z dzbanem wina i trzema szklankami, uśmiechnęła się do Debory bezzębnymi ustami i zniknęła jak duch.

Jakub usiadł i zachowywał się tak, jakby kompletnie nie zauważył unoszącej się w powietrzu wrogości.

– Dlaczego śledziłaś Marlene? – spytał niemal obojętnym tonem.

Zaskoczona tak bezceremonialnym pytaniem, Deborah nie potrafiła znaleźć stosownej odpowiedzi. Nie mogła się przecież przyznać, że ze złości chciała się na Marlene zwyczajnie zemścić. Teraz wstydziła się tego, gdyż zrozumiała, że w ten sposób sprowadziła na wszystkich niebezpieczeństwo.

Jednakże Jakub albo wyczytał odpowiedź z jej twarzy, albo chciał jedynie wybadać jej reakcję, bo tylko machnął ręką.

– Słyszałem, że macie kłopot z realizacją waszego planu – wpatrywał się w Deborę tak intensywnie, że jej twarz oblała się purpurowym rumieńcem. Oboje wiedzieli, że plan ten wymaga jej pełnego zaangażowania fizycznego. – Może powinniście go zmodyfikować? – Na twarzy Jakuba pojawił się wilczy uśmiech.

– Jeśli masz jakiś pomysł, chętnie posłucham – wtrąciła się poirytowana Marlene. Była zła na Jakuba, że odkąd zjawiała się Deborah, zupełnie ją ignorował.

– Może zorganizujecie z Brunnmannem jeszcze jedną orgietkę? Zwabicie go w pułapkę, a potem dosypiecie do kieliszka coś, po czym będzie spał aż do rana. Kiedy zaśnie, wpuścicie do środka naszego człowieka, który otworzy sejf. Sfotografujemy zawartość, a kiedy Brunnmann się obudzi, wszystko będzie jak przedtem. Tyle że na stole zobaczy baterię pustych butelek, a u swojego boku dwie młode kobiety. No i będzie go potężnie łupało w głowie. To powinno wystarczyć jako wyjaśnienie, skąd nagła luka w

pamięci.

– Kiedy o tym mówisz, wszystko wydaje się bardzo proste, zwłaszcza że sam nawet nie kiwniesz palcem – odparła szorstko Marlene, w duchu zaś pomyślała, że to wszystko brzmi zbyt pięknie, by mogło się udać. Ale ponieważ miała już serdecznie dosyć codziennego przesiadywania w składziku i wdychania środków czyszczących, spytała z nadzieją: – Możesz zdobyć środek nasenny? – Wiedziała, że leki są dostępne wyłącznie dla Niemców, a apteki podlegają ścisłej kontroli.

– Właśnie dlatego chciałem się z tobą spotkać. Otóż wyobraź sobie, że w końcu udało mi się zdobyć kilka tabletek nasennych. Dostałem je od Pankiewicza, z apteki w getcie. To jak, jesteście gotowe? – Jakub znów skupił całą uwagę na Deborahze.

Tym razem Marlene nie miała mu tego za złe. Zdawała sobie sprawę równie dobrze jak jej dowódca, że teraz wszystko zależy od Debory i jej gotowości, by jeszcze raz podzielić się z przyjaciółką swoim kochankiem. Kiedy w grę wchodzi zazdrość, łatwo o katastrofę. Ich wzajemne relacje i tak już były dość skomplikowane, a Marlene miała świadomość, że jest jeszcze wiele niuansów, których w tej chwili nie dostrzega. Wydawało jej się, że Deborah wspiera ich sprawę, ale zarazem w wielu momentach wciąż z zapamiętaniem brała swojego Albrechta w obronę.

Kiedy na przykład Marlene ostrożnie dała przyjaciółce do zrozumienia, że za zniknięciem jej ojca może stać właśnie Albrecht, przeżyła niemiłe zaskoczenie, gdyż Deborah wpadła w istną furję. Marlene od dawna zresztą podejrzewała, że dziewczyna jest w jakimś stopniu uzależniona od Brunnmanna. Czy z wzajemnością, trudno jej było powiedzieć, gdyż Brunnmann stanowił dla niej zagadkę, ale jedno nie ulegało wątpliwości: i Deborah, i Albrecht lubili ból. A ból może wiązać równie mocno jak miłość. Tak czy siak Deborah z jednej strony zdawała się ufać Albrechtowi, z drugiej zaś – oszukiwała go i spiskowała przeciwko niemu. Składała się z samych niemal sprzeczności i Marlene nigdy nie potrafiła określić z góry, jak jej przyjaciółka zareaguje.

Sama zresztą też nie była zachwycona planem Jakuba – nie z tego względu, że nie wierzyła w jego powodzenie, lecz raczej dlatego, że Jakub bez najmniejszych skrępowań wpychał ją w objęcia Brunnmanna. A ona będzie musiała zacisnąć zęby i znowu się łajdaczyć w łóżku tego przeklętego nazisty. To dziwne, ale z Ernstem przychodziło jej to nieporównanie łatwiej.

Być może wynikało to z tej prostej przyczyny, że Ernst właściwie nie był prawdziwym nazistą. Służył w wojsku jeszcze przed przejściem władzy przez Hitlera i teraz po prostu wykonywał swoje obowiązki w jednostkach rezerwowych. W gruncie rzeczy był zupełnie niegroźny. I naprawdę ją kochał. Nagle Marlene poczuła, że ogarniają wściekłość. To Jakub zrobił z niej nazistowską dziwkę! *Zapłacisz mi za to*, pomyślała wzburzona. A zarazem wiedziała, że ich kłótnia jak zwykle skończy się tym, że rzucą się na siebie jak dzikie zwierzęta i będą się namiętnie tarzać po podłodze – a ona, tak czy siak, spełni wolę Jakuba.

Tak, odbędzie powtórkę *ménage à trois*, i uczyni to z zimną rutyną, której niestety brakowało jej młodszej przyjaciółce. Jeśli plan ma się powieść, Deborah musi tego naprawdę chcieć. Za pierwszym razem była zaskoczona niecodzienną sytuacją, ale jej namiętność i upodobanie do improwizacji szybko wzięły górę. Następnym razem zabraknie elementu zaskoczenia. Jak więc ta młoda, niedoświadczona dziewczyna zachowa się w sytuacji, gdy wszystko jest ściśle zaplanowane i z góry wiadomo, co nastąpi?

Deborah zwlekała z odpowiedzią. Ścisnęła w dłoni kapelusz, po kolei wyskubując wetknięte weń piórka. Marlene próbowała dyskretnie wybadać wyraz twarzy przyjaciółki, lecz tym razem wyjątkowo bez powodzenia. Deborah była zbyt zatopiona we własnych myślach i musiała jeszcze upłynąć minuta, nim w końcu podniosła głowę i rzekła:

– Dzisiaj przed południem spacerowałam po mieście. Wszystko wyglądało jakoś tak nierealnie. Wicie, ta cała atmosfera i nastrój. Odkąd Marlene powiedziała mi, żebym miała oczy szeroko otwarte,

zaczęłam dostrzegać rzeczy, których wcześniej zupełnie nie byłam świadoma. Mijałam wielu ludzi, ale mało kto miał odwagę choćby podnieść na mnie oczy, nie licząc oczywiście niemieckich oficerów i ich towarzyszek. Polacy mijali mnie z opuszczonymi głowami, przygarbieni, jakby w każdej chwili spodziewali się ciosu. Na widok esesmanów dyskretnie zmieniali kierunek marszu albo przechodzili na drugą stronę ulicy. I wtedy zrozumiałam, że oni wszyscy się boją. Mój ojciec powiedziałby, że taka nerwowość i nieustanne napięcie są szalenie niezdrowe. A winę za to ponoszą tacy ludzie jak Albrecht. Dziś to rozumiałam. Dlatego zgadzam się. Tylko zrobmy to jak najszybciej.

Jakub skinął głową z uznaniem, Marlene zaś odetchnęła z ulgą. Nawet jeśli stały się tego dnia rywalkami konkurującymi o względy tego samego mężczyzny, to trzeba przyznać, że Deborah wykonała równocześnie ważny krok we właściwym kierunku. Poza tym Marlene знаła Jakuba i wiedziała, że on nigdy nie będzie całkowicie należał do jednej kobiety. Nieomal współczuła Deborze, wiedząc, że ta wkrótce doświadczy bólu, gdy przeszyje ją zatruta strzała Amora. Ta myśl całkowicie roztopiła jej serce. Wstała i pocałowała Deborę w usta. Był to delikatny, siostrzany pocałunek.

Decyzja zatem zapadła. Następnego wieczora miały wspólnie zwabić Albrechta w pułapkę.

– Myślę, że szczegółami zajmiecie się same – powiedział rzeczowo Jakub. – Teraz wam wytłumaczę, jaką dawkę środka należy podać. Nie może być ani zbyt mała, ani zbyt duża, więc uważajcie.

Po radzie Jakub, nie wdając się w wyjaśnienia, zwrócił się do Debory:

– A teraz muszę wziąć miarę. Zdejmij go.

Słowa dowódcy kompletnie dezorientowały dziewczynę.

– Ale... – Bezradnie spojrzała na Marlene, szukając u niej pomocy, lecz Jakub już przykląkł i zdjął jej prawy bucik. Na widok nagiej stopy zamarł.

– Nie nosisz pończoch? – spytał, uśmiechając się krzywo i napawając ciepłem jej skóry.

– Jest.., za ciepło – wyjąkała Deborah. Na dworze było zaledwie piętnaście stopni, ale wybiegając w pośpiechu za Marlene, nie miała czasu myśleć o pończochach. Niespodziewany dotyk dłoni Jakuba wprowadził ją w podniecenie i na jej policzkach pojawił się rumieniec.

Marlene, która obserwowała tę scenę z boku, nie była w stanie znieść wypełniającego pomieszczenie erotycznego napięcia. Z odrazą odwróciła oczy.

– Śmiało, nie przeszkadzajcie sobie. Zaczekam na zewnątrz. – Wzięła torebkę i rękawiczki i ruszyła w kierunku drzwi.

– Marlene! – głos Jakuba brzmiał przeraźliwie jak gwizd.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła. Nie mogłaby spojrzeć mu teraz w oczy.

– Mam nadzieję, że pamiętasz o swojej przysiędze.

– Owszem, dopóki ty pamiętasz o swojej – odpadła zgryźliwie i zamknęła za sobą drzwi.

Teraz cała uwaga Jakuba skupiła się na Deborze. Jego dłoń delikatnie powędrowała wzdłuż szczupłej łydki, aż po kolano. Deborah wstrzymała oddech, jednak ku jej rozczerowaniu dłoń nieoczekiwanie zatrzymała się i cofnęła.

– Nie mamy czasu. Muszę wziąć miarę. Przyszłaś przecież zamówić nową parę bucików, prawda? Co innego mogło cię tutaj sprowadzić, jeśli nie renoma najlepszego szewca w Krakowie? – Na jego twarzy znów pojawił się ten sam krzywy, uwodzicielski uśmiech.

Po chwili Jakub zdjął but również z lewej stopy Debory, po czym, nie odrywając od niej oczu, sięgnął ręką za plecy, przysunął wielką, spękaną ze starości drewnianą skrzynię, włożył rękę do środka i wyjął miarę oraz dwa drewniane kopytka w kształcie kobiecych stóp.

To, co nastąpiło potem, było najbardziej intensywnym i zmysłowym doświadczeniem w całym dotychczasowym życiu Debory. Do tej pory jej ciało bardziej niż na czułość reagowało na szorstkie, wręcz brutalne pieszczoty, a źródłem podniecenia i przyjemności był dla niej ból. Tymczasem Jakub ujął

jej małą stopkę z niebywałą delikatnością i położył ją sobie na kolanach, najwyraźniej zupełnie nie zważając na fakt, iż Deborah wyczuwa twardy dowód jego podniecenia. Następnie czubkiem palca wskazującego powiódł powoli wzdłuż linii jej wysokiego podbicia i przecinającej je delikatnej, niebieskiej żyłki prześwitującej przez niemal przezroczystą skórę. Jego dłoń powędrowała dalej wokół stopy, jakby chciała wyczuć w niej każdą kostkę i każde ścięgno, a następnie z tą samą uwagą zbadała piętę i okolice kostki. Każde dotknięcie zostawiało na skórze Debory palący ślad.

– Stopa jest najbardziej wrażliwą częścią ludzkiego ciała – wyjaśnił szeptem Jakub. – Tutaj zbiegają się wszystkie ważne zakończenia nerwowe. Każdy organ ma tu swój odpowiednik. Tutaj na przykład jest wątroba. – Jakub nacisnął mocno punkt poniżej dużego palca i Deborah poczuła ból przeszywający ją aż do podbrzusza. – Można ją stymulować za pomocą specjalnego masażu. Wiedzieli o tym już starożytni Chińczycy. – Jakub zaczął oburącz ugniatać stopę Debory i jej ciało przeniknął płomień bólu i podniecenia. Dziewczyna jęknęła, wbiła obie dłonie we włosy szewca i wyprężyła ku niemu swe ciało.

Jakub zaniemówił, widząc, że Deborah zachowuje się tak lubieżnie. Wprowadzie Marlene wspominała mu, że dziewczyna jest wręcz wyuzdana i nie ma w tej materii żadnych zahamowań, ale wtedy uznał tę opinię za przesadzoną. Marlene zaproponowała mu nawet zakład, że wystarczy dziesięć minut i oboje – Deborah i on – będą myśleć tylko o jednym: by paść sobie w ramiona i bez pamięci zanurzyć się w rozkoszy. Teraz Jakub przyznał w duchu, że przegrałby zakład z kretesem. Nie upłynęły bowiem nawet dwie minuty, odkąd zostali sami.

Z żalem wypuścił z rąk stopę Debory. Wiedział, że Marlene czeka za drzwiami, niemal fizycznie odczuwał jej obecność. To było szalenie sprytne zostawić go sam na sam z Deborahą. Cała Marlene, podstępna i przenikliwa. Gdyby się teraz nie powściągnął, czułby się wobec niej jak ostatni łajdak.

Podziwiał Marlene i jej bezgraniczną odwagę. Przed wojną wierzył, że ją kocha. I właśnie dlatego ją zostawił. Wiedział, że walka z wrogiem wymaga zaangażowania wszystkich zmysłów i całej energii, uczucia zaś potęgują każde niebezpieczeństwo. Człowiek zaczyna mieć skrupuły i może się zawahać w najbardziej nieodpowiedniej chwili, to zaś oznacza śmierć. Dlatego zrobił to, co musiał. Trwa wojna. A on już nie jest tym samym Jakubem co kiedyś.

Może gdyby obojgu udało się doczekać zwycięstwa, dałoby się zacząć wszystko jeszcze raz od początku... Ale nie robił sobie w tej kwestii złudnych nadziei. Podejmował zbyt wiele ryzykownych działań, a szczęście nikomu nie sprzyja wiecznie... Czuł, że nazistowscy siepacze są coraz bliżej, że pętla powoli, ale coraz ciaśniej zaciska się na jego szyi. Ich organizacja z każdym tygodniem stawała się coraz słabsza, brakowało im nowych członków. Nie każdy nadawał się do tej roboty. Sabotaż wymagał więcej niż tylko odwagi i dobrej woli.

Tego dnia stracił właśnie Justynę, jedną z najlepszych bojowniczek. Wieść o tym ścięła go z nóg. Nie wiedział jeszcze, dokąd ją zabrali, prawdopodobnie do więzienia na Montelupich. Na pewno będą ją torturować, żądając, by zdradziła nazwiska swoich towarzyszy. Cierpiał wraz z nią. Do tej pory żadna z bojowniczek nie zdradziła ani jednego nazwiska. Myślał o niezliczonej rzeszy dzielnych kobiet walczących w szeregach ruchu oporu. O kobietach i dziewczętach, które każdego dnia ryzykowały życiem i wystawiały się na niebezpieczeństwo tortur, podróżując po całym kraju, szmuglując broń i przekazując wiadomości między poszczególnymi grupami. Najmłodsza z nich, Zelma, miała dopiero czternaście lat.

Niedawno dwie jego łączniczki, Chawka i Frumka, szczęśliwie przemierzyły trasę z Warszawy do Hrubieszowa i z powrotem. Z Hrubieszowa inny kurier dostarczył ich raport do Krakowa. Była to pierwsza naoczna relacja z obozu w Bełżcu. Jednak członkowie krakowskiego Judenratu nie dali wiary w wieści o masowych egzekucjach dokonywanych na polskich Żydach. Wygodniej było wierzyć Niemcom, którzy twierdzili, że wszyscy Żydzi zostaną przesiedleni na wschód. Tymczasem tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci trafiały prosto na śmierć do obozów w Bełżcu, Oświęcimiu i Treblince.

Przed wojną te bohaterkie kobiety były zwykłymi robotnicami albo uczennicami. Dołączyło do nich również kilka studentek. Niemal wszystkie były młode, ładne i mówiły płynnie po niemiecku. Nauczyły się posługiwać bronią i walczyć, potrafiły obsługiwać radiostację i przygotowywać ładunki wybuchowe. Przyjmowały fałszywą niemiecką tożsamość, a napotkawszy na swojej drodze wroga, uśmiechały się i patrzyły mu prosto w oczy.

Kobiety w żydowskim ruchu oporu miały jedną zasadniczą przewagę nad mężczyznami: mężczyznom można było w razie potrzeby ściągnąć spodnie i sprawdzić, czy nie są obrzezani. Gdy ich zdemaskowano, często byli na miejscu rozstrzeliwani. To zresztą było najlepsze, na co mógłby Uczyć Jakub, gdyby wpadł w ręce nazistów.

On sam był Polakiem i katolikiem. Jego związki z narodem żydowskim ograniczały się do prababki, która była Żydówką. Czuł, jak mu się ściskają trzewia. Tyle zadań, tyle zmartwień... Musiał obmyślić plan odbicia Justyny, zorganizować atak na konwój z zaopatrzeniem, powielić wiadomości, które tego dnia otrzymał z Warszawy, i wreszcie przerzucić do getta przeschmuglowaną broń i żywność. No i rozejrzeć się za nową kryjówką dla Józefa i Jana. Kiedy czechosłowacki rząd na uchodźstwie postanowił dokonać w Krakowie lub Pradze zamachu na jednego z nazistowskich bonzów, Jan i Józef, dwaj czechosłowaccy żołnierze, zgłosili się na ochotnika i już pod koniec 1941 roku wyskoczyli na padochronach nad Czechami, a następnie przedarli się aż do Krakowa.

Wieczorem czekało go jeszcze trudne spotkanie z przedstawicielami polskiej partyzantki. Od miesięcy starał się skoordynować działania żydowskiego i polskiego ruchu oporu, by w ten sposób nadać ich akcjom większy rozmach, lecz obie grupy wciąż niechętnym okiem patrzyły na ewentualną współpracę. Ani jedni, ani drudzy nie rozumieli, że mają wspólnego wroga i muszą go zwalczać wspólnymi siłami.

Jakub otrząsnął się z posępnych myśli. *Nie wszystko naraz*, napomniał się w duchu i siłą woli skupił swoją uwagę na najbliższym zadaniu. Czuł rozczarowanie Debory i ogień we własnych lędźwiach.

– Nie dzisiaj – powiedział wbrew sobie. – Wróc jutro. Sama. Tylko uważaj, żeby nikt cię nie śledził. A teraz już idź.

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi i w tej samej chwili pożałował swoich słów. Nie powinien był tego robić. Dlatego postanowił, że gdy Deborah nazajutrz wróci, nie zastanie go w warsztacie.

Marlene czekała na Deborę w sieni. Uważnie zmierzyła wzrokiem przyjaciółkę, lecz nie potwierdziły się jej najgorsze przypuszczenia. Jakub nie spał z Deborą. W przeciwieństwie do niej Deborah nie była chyba zbyt szczęśliwa z tego powodu. W milczeniu wyszły z warsztatu i wróciły pieszo do hotelu, nie zamieniając ani słowa. Marlene niechętnie weszła na górę, gdyż musiały jeszcze omówić szczegóły planowanej akcji, choć, prawdę mówiąc, wolałyby wrócić do swojego skromnego pokoiku na obrzeżach Starego Miasta i tam lizać rany. Jej Ernst, w przeciwieństwie do Albrechta Brunnmanna, nie mógł sobie pozwolić na mieszkanie w najlepszym hotelu w mieście, dlatego ulokował ją w małym, ale przytulnym pensjonacie.

W hotelu Osman przekazał Deborze karteczkę z odręcznym pismem swojego pana. Albrecht musiał się udać na pięciodniową inspekcję poza miasto, ale pozostawił jej do dyspozycji kierowcę. Deborah odprawiła szofera, mówiąc, że w razie potrzeby każe go wezwać, lecz tego dnia z pewnością nie będzie już potrzebny. Osman, który w dalszym ciągu unikał jej wzroku, oddalił się z ulgą.

Narada z Marlene trwała niespełna pół godziny. Przyjaciółki traktowały się z nieufnością i unikały tematu Jakuba. Marlene chciała za wszelką cenę ukryć zazdrość, Deborah natomiast niecierpliwość, z jaką wyczekiwała umówionego na następny dzień spotkania z Jakubem, który dla niej w dalszym ciągu był „Pawłem”.

W końcu Marlene pożegnała się, zapowiadając, że skontaktuje się z Deborą w stosownym czasie.

Serce Debory waliło jak oszalałe, gdy następnego dnia wyruszyła na spotkanie z Jakubem. Ciepłe wiosenne słońce skryło się za chmurami i zaczął siąpić deszcz, a ona zapomniała parasola, lecz w podekscytowaniu nawet tego nie spostrzegła.

Wybrała tę samą drogę co poprzedniego dnia. Biorąc za wzór Marlene, weszła do butiku, który następnie opuściła tylnym wyjściem. Wypatrywała, czy nikt za nią nie idzie. W końcu stanęła na miękkich nogach przed drzwiami warsztatu. Była pewna, że nikt jej nie śledził. Właśnie miała zapukać, kiedy drzwi się otworzyły i czyjaś silna ręka chwyciła ją i gwałtownie wciągnęła do środka. Następnie te same ręce porwały ją w górę i poniosły przez ciemne korytarze i schody do ciasnej izby, w której nie było miejsca na nic więcej prócz łóżka, małego stolika i krzesła. Przez zamknięte okiennice sączyło się mdłe światło. Mężczyzna bez słowa położył ją na łóżku, zrzucił z siebie ubranie, a następnie rozebrał Deborę.

Później zapalił kilka świec w stojącym na stoliku lichtarzu i spojrzał na ciało dziewczyny. Deborah bez zawstydzenia pozwoliła mu sycić oczy. Jakub ostatecznie się poddał. Zbyt długo już balansował na granicy dzielącej życie i śmierć. Chciał jeszcze raz zakosztować raju.

To, co nastąpiło potem, ułożyło się w jeden ciąg pięciu nierzeczywistych i oszalamiających dni. Na pięć dni zapomnieli o rzeczywistości i znaleźli się poza czasem. Uciekli przed przeznaczeniem na te sto kilkanaście godzin, które im samym wydawały się ledwie minutami, lecz dla ich serc były jak wieczność.

Jakub od początku wiedział, że to, na co się decyduje, jest czystym szaleństwem, że jego związek z Deborą przetrwa ledwie chwilę i że czas nie jest ich sprzymierzeńcem. Tym bardziej jednak pozwolił się porwać ulotnym iluzjom i oddał miłości, która miała prawo zaistnieć wyłącznie w tak nieludzkich okolicznościach, pośród wojennej grozy i niebezpieczeństw, z dala od codzienności i normalnego życia.

Robili to, co zwykle robią kochankowie: leżeli obok siebie, rozmawiali, napawali się swoją bliskością. Ich miłość nie wymagała odpowiadania na żadne pytania ani podejmowania żadnych decyzji. Żyli chwilą. Nawzajem się smakowali i kosztowali, zanurzali się w sobie i nie rozdzielali nawet na chwilę, bez przerwy złączeni, skóra przy skórze, usta przy ustach. Dwa ciała, które niczym topielcy wczepiały się w siebie, przeczuwając, że ich czas mija.

Dla Debory miłość do Jakuba była czymś realnym. Kochała go całą istotą, porywczo i z pełnym oddaniem. Dla Jakuba jej serce, dusza i oddech były wytęsknioną obietnicą miłości, dla niej zaś – jej spełnieniem. Deborah zanurzyła się całkowicie w tym absolutnie nowym, nieznanym dotąd bólu – słodkim bólu miłości.

Dopiero teraz dowiedziała się, że mężczyzna, którego poznała jako Pawła, naprawdę nazywa się Jakub. Chciał, żeby w ekstazie wykrzykiwała jego prawdziwe imię.

Przez wszystkie te dni Marlene nie dawała znaku życia. Nie pokazywała się ani w warsztacie Jakuba, ani w apartamencie Debory. Zjawiała się dopiero dzień przed spodziewanym powrotem Albrechta. I jeśli nawet domyślała się tego, co zaszło między Jakubem a Deborą, to w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać.

– *Bonjour, chérie* – przywitała przyjaciółkę z wymuszoną wesołością, cmokając ją w policzek. – Więc dziś wieczór czekają nas harce.

Wyciągnęła szpilki ze swojego czarnego kapelusza, rzuciła go na stół i z werwą wskoczyła na sofę.

Miała nową fryzurę. Włosy były jeszcze jaśniejsze i nieco krótsze. Prezentowała się znakomicie.

– Nie wiem... od kilku dni nie miałam od Albrechta żadnych wieści – płatała się Deborah, ledwie skończywszy dwugodzinną kąpiel, w trakcie której czule dotykała każdego skrawka swojego ciała, przypominając sobie pieszczoty Jakuba. – Nie jestem pewna, czy dzisiaj wróci.

– Nie chcesz się chyba teraz wycofać? – odparła Marlene. W głębi ducha napawała się zakłopotaniem Debory. *Masz, czego chciałaś, maleńka, pomyślała. Witaj w moim świecie. Od tej pory miłość to nie przyjemność, lecz obowiązek.* – Oczywiście, że przyjedzie. Ma za sobą ciężkie dni, w dodatku bez kobiety. Nie pytaj, skąd wiem, mam swoje kanały. Będzie wygłodniały jak nigdy, kolejny raz taka okazja nieprędko się nadarzy. Musimy jeszcze raz omówić cały plan. Usiądź.

Potem, kiedy już było po wszystkim, nie mogły się nadziwić, że poszło tak łatwo. Zdecydowały się na najprostszy i najbardziej naturalny wariant.

Kiedy Albrecht wszedł do apartamentu, powitało go łagodne światło niezliczonych świec, które Marlene porozstawiała w salonie, łazience oraz sypialni. W następnej kolejności jego oczom ukazały się dwa nagie, splecione ze sobą ciała, których skóra mieniła się niczym zmysłowa obietnica. Na stole, pod srebrnymi pokrywami czekała wyszukana, lekka kolacja, a w kubelku z lodem perliła się butelka szampana.

Marlene i Deborah przez kilka sekund wpatrywały się z pożądaniem w Albrechta, po czym nieśpiesznie, kocimi ruchami wstały z sofy i zbliżyły się do niego. Ich zmysłowy krok i młode ciała w jednej chwili zmały umysł Albrechta. Rozebrały go i powiodły do łazienki, gdzie wspólnie obmyły jego ciało, karmiąc smakołykami i pojąc szampanem. Pół godziny później Albrecht spał jak niemowlę.

– Nie do wiary – szepnęła Marlene, kręcąc głową i spoglądając na leżącego w wannie mężczyznę. Wcześniej, ma się rozumieć, dokładnie sprawdziła, czy rzeczywiście zasnął, lecz Albrecht nie zareagował nawet wtedy, gdy przeciągnęła mu paznokciami po piersi, zostawiając na niej krwawy ślad. – Naprawdę zapomniał o tej swojej przeklętej teczce. Nie potrzebujemy nawet kasjarza. – Wyjęła z torebki aparat i białe rękawiczki.

– Po co ci rękawiczki? – spytała zdziwiona Deborah.

– Od jakiegoś czasu istnieją metody identyfikacji osób na podstawie odcisków palców. – Marlene doskonale pamiętała spoconego wachmana, który w trakcie jej miesięcznego pobytu w więzieniu z dumą opowiadał o tego rodzaju nowinkach. Podobno w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy istniał cały wydział młodych naukowców, którzy zajmowali się wyłącznie opracowywaniem i udoskonalaniem nowoczesnych metod kryminalistycznych.

Marlene przyjrzała się aktówce, dokładnie zapamiętując jej położenie na sofie, a następnie podniosła ją, ostrożnie położyła na niskim stoliku i otworzyła. Jej oczom ukazała się gruba, związana tasiemkami teczka z wytartej skóry. Oparła się pokusie przejrzenia dokumentów i natychmiast sięgnęła po aparat – najnowszy model Agfy ze specjalnym magazynkiem, ułatwiającym wkładanie filmu.

Aparat wraz z tuzinem filmów dopiero niedawno i zupełnym przypadkiem wpadł w ręce Jakuba podczas jednego z niewielu udanych ataków na niemieckie konwoje zaopatrzeniowe. Informację na temat transportu przekazała oczywiście Marlene, podsłuchawszy rozmowę Ernsta.

Aktorka zręcznym ruchem wysunęła obiektyw i zaczęła strona po stronie fotografować zawartość teczki, na chwilę tylko przerywając, by zmienić film. W końcu dotarła do ostatniej kartki, starannie umieściła wszystko z powrotem w teczce i upewniła się, że aktówka leży dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio, chociaż zapewne Albrecht po obudzeniu i tak miałby trudności z przypomnieniem sobie, gdzie ją zostawił.

Tymczasem Deborah czatowała przy wannie, na wypadek gdyby esesman odzyskał przytomność

wcześniej, niż zakładały. On jednak spał jak zabity.

– No to teraz najtrudniejsza część – powiedziała Marlene do przyjaciółki. – Musimy go zanieść do łóżka. Ja go wezmę za nogi, a ty chwyć ramiona.

Ponieważ Deborah nie odważyła się wyjąć korka, wspólnymi siłami z trudem wyciągnęły Albrechta z wypełnionej wodą wanny, po czym uniosły mokre, bezwładne ciało i zanosły je do sypialni.

Deborah czuła na plecach dreszcz. Miała wrażenie, że taszcza zwłoki. Gdy były w połowie drogi, ktoś zapukał do drzwi. Przyjaciółki wymieniły przerażone spojrzenia. Po chwili pukanie powtórzyło się w umówionym rytmie i Marlene odetchnęła z ulgą.

– Cholera – wyrwało jej się zgoła nie po francusku. – To kasiarz. Zupełnie uleciało mi z głowy.

Szybko rzuciła Deborze szlafrok, sama zaś podeszła do drzwi, otworzyła je, szepnęła kilka słów i z powrotem przekręciła klucz w zamku.

– Dlaczego nie oddałaś mu aparatu? – zdziwiła się Deborah.

– Bo nikomu nie ufam. Chodźmy, musimy go zaciągnąć do łóżka.

Wczesnym rankiem Albrecht obudził się z potwornym bólem głowy. Całe jego ciało było jak przepuszczone przez wyżymaczkę. Deborah i Marlene spały wtulone w niego jak niemowlęta. W każdym razie takie sprawiały wrażenie. Wcześniej odpowiednio zaaranżowały apartament, tak aby wyglądał jak po prawdziwej orgii. Salon i sypialnia były zastawione brudnymi kieliszkami, talerzami z resztkami potraw i pustymi butelkami po szampanie. Na podłodze walały się części munduru Albrechta. Podobnie jak pokój spreparowały również samego Albrechta. Jego ciało pokrywały świeże ślady zadrapań i ugryzień, a ukoronowanie stanowił biegnący przez całe plecy ślad po chłoście. Na stoliku nocnym leżało narzędzie miłosnych tortur: pejcz do tresury psów. Dla Marlene była to wyjątkowa przyjemność, zmacona jedynie lekkim niepokojem, gdy spostrzegła, że Albrecht przyjmuje razy bez żadnej zgoła reakcji. *Czyżbyśmy podały mu za dużą dawkę?*, pomyślała. Zdawała sobie sprawę, co je czeka, jeśli Brunnmann się nie obudzi, toteż kiedy wreszcie się poruszył, Marlene niemal westchnęła z ulgą.

Zgodnie z planem przyjaciółki równocześnie drgnęły u boku kochanka, jakby i one właśnie się obudziły. Marlene usiadła i aby uspić czujność Albrechta, złapała się oburącz za skronie, jakby obawiała się, że odpadnie jej głowa.

– O Boże! Pić! – jęknęła, po czym sięgnęła po omacku po stojący na stoliku niedopity kieliszek szampana i duszkiem opróżniła go do dna. Smakował ohydnie. – Już lepiej – westchnęła i z powrotem opadła na poduszkę, z rozkoszą gładząc pierś Albrechta. Potem jej ręka powędrowała niżej, w stronę jego podbrzusza, tam jednak nic się nie poruszyło. *I dobrze*, pomyślała z ulgą. *Przynajmniej oszczędzono mi tej jednej obrzydliwości.* Zamknęła oczy i przez kilka minut udawała, że na powrót pogrążyła się w drzemce. Jej zmysły pozostały jednak wyostrzone. Najważniejsza i najbardziej niebezpieczna część akcji była jeszcze przed nią: musiała wynieść aparat z hotelu i przeschmuglować go do zakładu Jakuba.

– Która godzina? – wymamrotał Albrecht resztką sił.

– Minęła szósta. Śpij jeszcze – odpowiedziała Marlene, z rozkoszą przytulając się do niego. Rola zadowolonej kochanki należała do popisowych w jej repertuarze.

Albrecht wydał z siebie mimowolny pomruk i zwłóknął się z łóżka. Marlene ochoczo ustąpiła mu miejsca. Ponieważ zostawił otwarte drzwi, z toalety dobiegły wyraźne odgłosy jego zabiegów. Marlene poczuła mdłości.

Albrecht poszedł się umyć, a gdy po kilkunastu minutach opuścił łazienkę, Deborah powitała go filiżanką wyjątkowo mocnej kawy i bułeczką z miodem, którą on, głodny jak wilk, pochłonał dwoma kęsami.

Podczas posiłku Deborah i Marlene, wciąż w neglizżu, niczym troskliwe żony otoczyły cierpiącego

kochanka opieką, nie zapominając przy tym nawet na chwilę o roli niewyspanych, chorych od nadmiaru szampana bachantek.

Tak jak poprzedniego wieczora zdarły z niego mundur, tak po śniadaniu pomogły mu go włożyć. Palce Marlene drżały, gdy zapinała guziki mundurowej marynarki. Trupia główka na czapce zdawała się z niej szydzić, lecz Marlene zdusiła w sobie myśl, że to zły omen. Z trudem hamowała wzbierającą w niej niecierpliwość. Dałaby wszystko, byle tylko Brunnmann zniknął jej wreszcie z oczu!

Wcześniej czekał ją jeszcze jeden krytyczny moment: Albrecht był wprawdzie potwornie zbolały, ale nie do tego stopnia, by nie zauważyć swojego niedopatrzenia – tego mianowicie, że teczka z cennymi dokumentami przez całą noc leżała na sofie. Esesman zmierzył kochanki uważnym spojrzeniem, lecz one odwzajemniły je z taką szczerością, jakby kompletnie nie rozumiały, co się w nim kryje. Wtedy Brunnmann mimowolnie wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk, wziął aktówkę i wyszedł z pokoju.

Marlene błyskawicznie ubrała się i kwadrans potem opuściła apartament. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy dowie się wreszcie, co takiego kryje się w sfotografowanych dokumentach.

Po pięciu minutach Marlene stanęła z powrotem w drzwiach apartamentu – śmiertelnie blada i z przerażeniem wymalowanym na twarzy. Deborah natychmiast zrozumiała, że musiało stać się coś bardzo złego.

– Co się dzieje? – spytała wystraszona.

– Mój zaprzysięgły wróg jest na dole, to się dzieje. Do diabła! Ze też ten przeklęty Greiff musiał się napatoczyć akurat dzisiaj.

Marlene, jak to miała w zwyczaju, nie zjechała na dół windą, tylko zeszła schodami. Z pierwszego piętra na parter prowadziły wspaniałe, szerokie, wyłożone karminowym bieżnikiem schody. Jej stopa ledwie postąpiła na pierwszym stopniu, gdy przez obrotowe drzwi wparadowała do hotelu grupa mężczyzn – częściowo w mundurach, częściowo po cywilnemu. W samym centrum tej ludzkiej rzeki płynął wysoki mężczyzna w czarnym skórzanym płaszczu. Na oku miał czarną opaskę.

Marlene od razu go rozpoznała: Hubertus von Greiff! *Ty draniu! Co ty tutaj robisz?*, warknęła w duchu, a następna jej myśl brzmiała: *Uciekaj!* Pokusa była tak ogromna, że musiała wyteńczyć wszystkie siły, by się jej oprzeć.

„Oko”, bo tak nazywali Greiffa zarówno wrogowie, jak i poplecznicy, jak zwykle był otoczony sforą młodych, ślicznych jak malowanie mężczyzn. To były jego prywatne psy. Kilku z nich natychmiast rozpięchło się po hotelowym lobby, dwóch zaś rozsiadło się przed kominkiem w fotelach z wysokim oparciem. Ta pozorna niedbałość stanowiła jedynie kamuflaż, gdyż ich głównym zadaniem była obserwacja otoczenia.

Po Berlinie krążyły złośliwe plotki na temat erotycznych upodobań Greiffa, lecz najwyraźniej nie zdołały one w żaden sposób zaszkodzić karierze „Oka”, który był wysoko postawionym członkiem SS i numerem dwa w Tajnej Policji Państwowej, bardziej znanej jako gestapo. Był też starym znajomym Marlene – w najgorszym tego słowa znaczeniu, albowiem jedyną cechą, która przewyższała jego ambicję, było okrucieństwo, i Marlene miała już okazję doświadczyć tego na własnej skórze. Nic zatem dziwnego, że na widok Greiffa odruchowo skryła się za tą samą palmą, za którą kilka dni wcześniej czmychnęła Deborah. Marlene wiedziała, że w tych okolicznościach nie ma szans opuścić hotelu. W budynku było wprawdzie tylne wyjście, lecz by się do niego dostać, musiałyby opuścić kryjówkę i zjechać windą piętro niżej. Owszem, Marlene zmieniła wygląd i przybrała kilka funtów: długie, naturalnie ciemne włosy rozjaśniła i wyraźnie skróciła, również rozjaśnione brwi były starannie wyskubane, a usta uszminowane, ale i tak obawiała się, że Greiff ją rozpozna. Nie mogła sobie pozwolić na tak wielkie ryzyko, musiała jak najszybciej pozbyć się aparatu i drogocennych filmów. Nie mogła też w nieskończoność kryć się za palmą, gdyż prędzej czy później jej zachowanie wzbudziłoby podejrzenia. Następny gość korzystający z windy z pewnością ją zauważy. Zresztą już zbliżała się w jej stronę wiekowa dama w lisiej etoli, a za nią krok w krok podążał umundurowany szofer w liberii, przytrzymując brodą stertę pudeł.

W tej sytuacji jedynym rozwiązaniem, jakie przyszło Marlene do głowy, było zakopanie aparatu i filmów w donicy palmy, w nadziei, że nic im się nie stanie. Dobrze, że przynajmniej ziemia była sucha i miękka.

Boże, spraw proszę, żeby przez jakiś czas nikt jej nie podlewał, wzniosła ku niebu żarliwą modlitwę i nabrała powietrza, by dodać sobie odwagi. Następnie wstała, wygładziła spódnice i wyszła zza palmy,

po czym odwróciła się do holu plecami i właśnie miała postawić stopę na pierwszym stopniu, gdy usłyszała za sobą czyjś głos:

– Przepraszam, zdaje się, że to należy do pani.

Marlene jakimś cudem nie wzdrygnęła się na te słowa, tylko powoli, jak przystało na damę, odwróciła się. U stóp schodów stał jeden z piesków Greiffa, wyciągając w jej kierunku bielusięnką rękawiczkę. Musiała jej się wysunąć z torebki, gdy wyjmowała aparat.

– Dziękuję, kawalerze – odparła z gracją i odwróciła się ku schodom, kiedy za jej plecami rozległ się inny głos. Bijący z niego chłód sprawił, że po jej plecach przeszedł lodowaty dreszcz.

– Pani wybaczy, czy my się nie znamy?

Marlene błyskawicznie przeanalizowała sytuację. Od ich ostatniego spotkania upłynęły bez mała cztery lata. Wtedy leżała na posadzce celi brudna, zakrwawiona i naga, dziś natomiast stanowi ucieleśnienie ideału niemieckiej damy. A jeśli mimo to rozpoznał ją jakimś cudem?

– Nie sądzę, bym miała przyjemność, panie... – odrzekła odpowiednim tonem przygany, jako że jej *vis-à-vis* nie zachował się wobec damy z należyтым szacunkiem.

– Hubertus von Greiff. Do usług. – „Oko” ukłonił się energicznie, po czym powoli i bez zażenowania zmierzył Marlene wzrokiem od stóp do głów, zapamiętując każdy detal. Uważnie taksował jej eleganckie francuskie buciki, jedwabne pończochy, niebieski kostium z pawią broszą, kapelusz i delikatny makijaż. Z pewnością znał cenę każdego z elementów jej stroju. W końcu jego spojrzenie zatrzymało się na twarzy Marlene. Jedyne sprawne oko świdrowało ją i wyteżając do granic możliwości siatkówkę, wwiercało się w jej mózg, próbując w nim odnaleźć ślad niecnych myśli.

Marlene wytrzymała to spojrzenie i doskonale łącząc zdziwienie z urazą, rzekła z większą odwagą, niżli się spodziewała:

– Proszę wybaczyć, panie von Greiff. – Aktorka położyła dłoń na balustradzie i ruszyła na górę, siłą woli spowalniając krok, tak jakby nigdzie się nie śpieszyła. Przez cały czas czuła jednak na plecach jego palące spojrzenie.

– Mamy mało czasu, więc posłuchaj uważnie – rzuciła niecierpliwie Marlene, ponagłając przyjaciółkę. – Nie wiem, czy Greiff przypadkiem mnie nie rozpoznał. Jeśli tak, to zaraz zacznie mnie szukać. Albo już zaczął. Wyjdę tylnym wyjściem. Musiałam się pozbyć aparatu i filmów. Ukryłam je w donicy palmy, po prawej stronie, kiedy stoisz twarzą do windy. Musisz je stamtąd dyskretnie zabrać. Później spotkamy się w Cyganerii. Będę tam czekać na ciebie przez cały dzień. Przynieś aparat i filmy. Gdyby mnie nie było, to będzie znaczyć, że coś mi się stało. Wtedy zanieś wszystko do warsztatu Pawła. Zrozumiałaś?

– Tak... tak, oczywiście. Ale dlaczego myślisz, że mnie będzie łatwiej niż tobie?

– Bo Greiff bez problemu przepuści przyjaciółkę Brunnmanna.

– Przecież nawet mnie nie zna!

– Och, zna cię z całą pewnością. Wierz mi, on zna kochanki wszystkich grubych ryb. Na tym polega jego praca. Każda informacja jest dla niego na wagę złota. Twoja Fotografia już dawno leży w jego szufladzie. Muszę już iść. Odczekaj mniej więcej godzinę, a potem wyjdź. Powodzenia. – Marlene cmoknęła Deborahę na pożegnanie w policzek, otworzyła powoli drzwi i upewniwszy się, że na korytarzu nie ma żywego ducha, bezgłośnie wymknęła się z apartamentu.

Deborah przez kilka minut w napięciu nasłuchiwała niezwykłych odgłosów: ciężkich kroków lub głośnych krzyków, lecz w hotelu wszystko toczyło się zwykłym rytmem. Marlene najwyraźniej udało się uciec.

Potem Deborah starannie wybrała strój. Zdecydowała się na czarną obcisłą sukienkę z białym,

pierzastym kwiatem na kołnierzu. Ponieważ w zdenerwowaniu zniszczyła parę jedwabnych pończoch, postanowiła z nich zrezygnować. I tak było jej aż nazbyt gorąco. Poranne słońce, które wpadało przez łukowate okna, mocno ogrzało salon.

Zakładając buciki na niewysokim obcasie, planowała dalsze kroki. *W jaki sposób zabrać ukryte w donicy filmy i aparat?* Zadawszy sobie to pytanie, natychmiast zrzuciła ze stóp buciki i wyjęła z szafy sznurowane trzewiczki. Rozwiązane sznurowadło to znakomity pretekst, by uklęknąć przy palmie. Do tego poręczna czarna torebka z klapą. Następne pytanie brzmiało: winda czy schody? Zdecydowała się na schody. Stamtąd będzie miała lepszy widok na cały hol.

W końcu upłynęła umówiona godzina i Deborah wyruszyła w drogę. *Czasami wystarczy łut szczęścia*, pomyślała niespełna pięć minut później, gdy z ulgą opadła na miękką kanapę taksówki.

Wszystko przebiegło z dziecinną łatwością. Nie licząc dwóch nowo przybyłych gości w cywilnych ubraniach, którzy wypełniali przy kontuarze formularze meldunkowe, hol był wyjątkowo pusty i nikt nie zwrócił na nią uwagi. Niemal natychmiast udało jej się wydobyć z donicy aparat i filmy i równie zręcznie wsunąć je do torebki.

Kiedy dotarła do Cyganerii, uważnie rozejrzała się po sali, lecz z zawodem stwierdziła, że w kawiarni nie ma śladu Marlene.

Lokal był jak zwykle obłożony do ostatniego miejsca i wypełniony nieznośnym dla jej wyczułonego ucha zgiełkiem, a ludzkie wyziewy oraz dym papierosów i cygar sprawiły, że wkrótce poczuła mdłości. Przemogła się jednak, pomna słów Marlene, która twierdziła, że najbezpieczniejszym miejscem na takie spotkania jest jaskinia lwa.

Kiedy tylko Deborah przekroczyła próg kawiarni, skierowały się na nią oczy wszystkich zgromadzonych oficerów, którzy jak jeden mąż poczęli ją zapraszać do swoich stolików. Ona jednak z uśmiechem pokręciła głową i poprosiła kelnerkę, by zarezerwowała dla niej pierwszy wolny stolik dla dwóch osób. Minutę później, kiedy ledwie zdążyła zająć miejsce w lewym rogu sali, do lokalu weszła Marlene.

Deborah poczuła tak niebywałą ulgę, że miała ochotę zerwać się z miejsca i wybiec jej naprzeciw. Ponieważ jednak tego rodzaju zachowanie byłoby tyleż niegodne damy, co nieostrożne, ograniczyła się do dyskretnego skinienia.

Marlene przecisnęła się przez salę, odwzajemniając powitania i wybuchając śmiechem na jakąś żartobliwą uwagę jednego z mężczyzn. W końcu dotarła do zajmowanego przez Deborę stolika, cmoknęła ją w policzek i natychmiast zamówiła dwa kieliszki szampana i jedną mokkę. Przed Deborą stała już pusta filiżanka.

Przyjaciółki skłoniły ku sobie głowy i poczęły chichotać, jakby wymieniały damskie ploteczki.

- Przyniosłam je. Mam ci je dać?
- Nie tutaj. Za dużo świadków. Pójdziemy razem do toalety. Nikt cię nie śledził?
- Nie. Kazałam taksówkarzowi jechać okrężną drogą.

Marlene zaśmiała się perliście, jakby Deborah powiedziała właśnie coś wyjątkowo zabawnego. Kelnerka przyniosła szampana i przyjaciółki delikatnie stuknęły się kieliszkami. W oczach postronnego obserwatora były zwykłymi młodymi kobietami, które spotkały się, by wymienić najświeższe plotki.

- Dlaczego się spóźniłaś? – spytała Deborah, mocząc usta w szampanie.
- Boja, w przeciwieństwie do ciebie, miałam ogon. Facet był dobry. Nie mogłam go zgubić.
- I jak ci się to udało?
- W ogóle. Musiałam go zabić.

Deborah prawie upuściła kieliszek. Kompletnie zdezorientowana wpatrywała się w przyjaciółkę.

– Dlatego muszę natychmiast zniknąć. Widzimy się po raz ostatni. Nie patrz tak na mnie. Weź się w garść. Patrzy na nas jeden z przyjaciół Ernsta. – Marlene z uśmiechem uniosła ku mężczyźnie kieliszek, Deborah zaś mechanicznie powtórzyła jej gest.

Nagle uśmiech zamarł na twarzy Marlene, a następnie zniknął, jakby ktoś go z niej zdmuchnął. Musiała zobaczyć coś, co przejęło ją grozą.

To, co nastąpiło później, trwało ledwie ułamek sekundy: Marlene zerwała się z miejsca, wywróciła stół, ściągnęła przestraszoną przyjaciółkę za tę prowizoryczną osłonę i rzuciła się na nią całym ciałem. Deborah nie zdążyła nawet zdziwić się osobliwym zachowaniem Marlene, gdy gwałtowna eksplozja zatrzęsa całym lokalem. Deborah poczuła tylko, jakby coś rozerwało jej ciało na pół, i w tym samym momencie straciła przytomność.

Wszechświat się zatrzymał. Deborah czuła się dziwnie wolna, jakby jej dusza znalazła się poza ciałem, wędrując swobodnie po świecie.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło od chwili eksplozji. Kiedy się ocknęła, usłyszała krzyki i jęki, ale wszystkie hałasy były stłumione, jakby ktoś otulił dźwięki w watę. Zapach ognia i swąd spalonego mięsa sprawiły, że zrobiło jej się niedobrze.

Poczuła dławienie w gardle i pomyślała, że zwymiotuje. Z trudem chwytła powietrze, ponieważ na jej piersi leżało coś bardzo ciężkiego. Próbowwała sobie przypomnieć, co to takiego, ale nie była w stanie zebrać myśli.

Pod jej biodrem znalazł się jakiś kanciasty przedmiot, boleśnie wbijając się w ciało. Próbowwała się ostrożnie poruszyć. Bez powodzenia. Ciężar na jej piersi dosłownie przygwaździł ją do podłogi. Potem poczuła coś miękkiego, łaskoczącego jej twarz, coś znajomego, czego jednak nie miało prawa tu być. Wśród wszystkich tych okropnych zapachów, które ją otaczały, w jej nozdrza sączyła się ledwie wyczuwalna przyjemna i świeża woń.

Nagle w jej głowie zabłysła straszliwa myśl.

– Marlene! – wychrypiała śmiertelnie przerażona.

Z oporem, niczym krztuszący się motor, odzyskała na moment świadomość i jej głowa natychmiast wypełniła się pytaniami:

Jak się tutaj znalazłam? Co się stało?

– Tutaj są jeszcze dwie kobiety. Tutaj, za stołem! Pomóżcie mi – zawołał jakiś głos tuż obok niej i po chwili Deborah znów pogrzyła się w mroku.

Światło sprawiało jej ból. Czuła je nawet przez opuszczone powieki. Nie chciała otwierać oczu, jednak w uszach rozbrzmiewał natarczywy głos, który ją do tego z uporem namawiał. Dlaczego nie dadzą jej jeszcze chwilę pospać? Marzyła o spokoju i ciszy. Ktoś ujął ją za rękę i zbadał puls.

– Budzi się – odezwał się drugi głos.

Nie, pomyślała Deborah. Nie obudzę się. Dajcie mi spokój. Nie idę dzisiaj do szkoły. Jestem chora.

– Mario? Słyszysz mnie? Obudź się. – Znowu ten natarczywy głos.

Niechętnie otworzyła oczy, lecz wszystko dokoła było niewyraźne, jakby spowite we mgle. Również głos brzmiał jakoś dziwnie.

Może to przez to dzwonięcie w głowie, pomyślała. Mimo to coś z tymi głosami było nie tak. Brzmiały, jakby ktoś mówił pod wodą. Bolały ją uszy. *Co się stało z moimi uszami?* Mimowolnie sięgnęła rękami ku głowie.

Zatrzymały się w połowie drogi.

– Już dobrze – odezwał się drugi głos. Należał do kobiety i słychać w nim było silny polski akcent. – To skutek eksplozji, wkrótce minie. Bębenki są co prawda uszkodzone, ale poza tym miała pani mnóstwo szczęścia. Wstrząśnienie mózgu i kilka stłuczonych żeber. Nic więcej. Wkrótce stanie pani na nogi.

Deborah słuchała jednym uchem. *Mogę zasnąć?*, pomyślała i znowu zamknęła oczy. Szybowała w powietrzu i chciała jeszcze przez chwilę nacieszyć się tym uczuciem, lecz rozum otrzeźwił oszołomioną duszę. W jej świadomość wkradło się słowo „eksplozja” i nagle wspomnienie uderzyło w nią z całym

impetem. „Marlene?”, chciała spytać, lecz z jej ust dobyło się jedynie ochryple charczenie. Gardło paliło ją żywym ogniem.

– To od dymu – wyjaśnił kobiecy głos i ktoś przystawił jej do ust szklanę z cudownie chłodną wodą. Deborah wypła kilka drobnych łyczków i skinieniem podziękowała kobiecie. Była to silna, nie pierwszej już młodości matrona z ogromną brodawką na twarzy, która zdawała się kołysać tuż nad głową Debory – tak blisko, że wyraźnie widziała wyrastające z niej trzy szczeciniaste czarne włosy.

– Marlene... moja przyjaciółka. Co z nią? – wychrypiała Deborah.

Z drugiej strony łóżka odezwał się głos Albrechta:

– Leży w sąsiedniej sali. Odniosła dużo cięższe rany niż ty. Kiedy was znaleziono, leżała na tobie, prawdopodobnie ochroniła cię przed najgorszym. Wielki odłamek szkła trafił ją w kark. Lekarze mówią, że może już nigdy nie będzie chodzić. Przykro mi. Ale teraz odpocznij. Wrócę wieczorem. – Albrecht wstał, na pożegnanie odgarnął z jej twarzy kosmyk długich czarnych włosów i wyszedł.

– Jak długo tu jestem? – spytała Deborah dziwnie skrzekliwym głosem, który zdawał się należeć do kogoś innego.

– Od wczoraj.

– Mogę ją zobaczyć?

– Oczywiście, ale dopiero jutro. Teraz proszę się zdrzemnąć. – Kobieta jeszcze raz podała jej szklanę z wodą. Była gorzka. Potem energicznymi ruchami poprawiła kołdrę po prawej i po lewej stronie rannej i zostawiła ją samą.

Oczy Debory wypełniły się łzami. Biedna Marlene. Znów poczuła się śmiertelnie znużona. Domyśliła się, że w gorzkiej wodzie był rozpuszczony środek nasenny.

Deborah przez kilka godzin spała głębokim i pozbawionym marzeń snem, aż do powrotu Albrechta, który przyniósł kosz ze świeżymi owocami i pralinkami oraz dobre wieści: lekarz pozwoli! Deborze opuścić szpital już następnego dnia – pod warunkiem, że przez jakiś czas będzie się oszczędzać. Przekazawszy tę nowinę, Albrecht szybko się pożegnał, tłumacząc, że szpital i choroby są dla niego nie do zniesienia, i obiecując, że nazajutrz około południa odbierze Deborę.

Kobieta z brodawką znów weszła do pokoju. Debora zauważyła jej tęskne spojrzenie skierowane na kosz z owocami i czekoladkami.

– Może je siostra wziąć, jeśli w tej chwili zaprowadzi mnie do mojej przyjaciółki – powiedziała, na co kobieta rozpromieniła się, jakby obiecano jej worek złota, i bez wahania pomogła Deborze wstać z łóżka.

Deborah czuła się niepewnie na nogach i miała zawroty głowy, lecz siostra trzymała ją wprawnym chwytem i po chwili szare linoleum przestało tańczyć pod stopami pacjentki. Kiedy po kilku minutach, wspierając się na ramieniu siostry, Deborah weszła do pokoju Marlene – a raczej obskurnej szpitalnej sali – uderzył ją odór wymiocin, uryny i jeszcze gorszych wydzielin. Wtedy zrozumiała, jakimi przywilejami cieszy się dzięki wysokiemu stanowisku i wpływowi Albrechta. Marlene dzieliła salę z co najmniej dwudziestoma kobietami. W niektórych łóżkach ułożono naprzeciw siebie po dwie chore, tak że ich nie najczystsze stopy spoczywały na poduszce obok głowy sąsiadki. Na szczęście Marlene dostała najlepsze łóżko – w głębi sali, pod oknem. Deborah z trudem oparła się pokusie otwarcia go i wypuszczenia do środka świeżego powietrza.

Widok Marlene wstrząsnął Deborą i sprawił, że wszystko inne stało się nagle nieważne. Jej pełna werwy przyjaciółka leżała wyciągnięta i nieporuszona niczym Madonna na poprzecieranym materacu, który właściwie nie zasługiwał na to miano. Szyja Marlene była zagipsowana, ciało przytwierdzono pasami do łóżka, a twarz wydawała się wychudła i zapadnięta. Kiedy Debora znalazła się w zasięgu wzroku przyjaciółki, ta uśmiechnęła się smutno.

– No cóż – odezwała się równie chrapliwym głosem jak Deborah. – Zdaje się, że koniec z miłosną akrobatyką. Nadaję się już tylko na szmelc.

– Nie mów tak – odparła Deborah bezradnie i poszukała wzrokiem krzesła, a nie znalazłszy go, usiadła na łóżku przyjaciółki i ujęła jej dłoń. Marlene natychmiast przeszła do rzeczy.

– Co z aparatem? Masz go? – spytała szeptem.

Deborah z przerażenia aż wytrzeszczyła oczy. *Aparat!* W całym tym zamieszaniu zupełnie o nim zapomniała.

Twarz Marlene zrobiła się jeszcze bledsza niż dotąd.

– Mną się nie przejmuj. Idź i zapytaj o swoje rzeczy. Jeśli torebka zniknęła, możemy mieć tylko nadzieję, że nie wpadała w niepowołane ręce. Potem wróć i powiedz mi, czego się dowiedziałas.

Deborah tak szybko, jak tylko pozwalał na to jej stan, wróciła do swojego pokoju. Kosz ze smakołykami zniknął. Gorączkowo przeszukała całe pomieszczenie, lecz nie znalazła ani ubrań, które miała na sobie poprzedniego dnia, ani torebki.

Zawołała pielęgniarkę i zapytała o swoje rzeczy, lecz ta wiedziała tylko tyle, że „ten miły pan”, który przyniósł pralinki, kazał spalić brudne ubranie „łaskawej pani”, która poza tym niczego przy sobie nie miała. To powiedziawszy, siostra wyszła, zostawiając Deborę zatroskaną o to, gdzie też mogła się podziać jej torebka. *Albo została skradziona jeszcze w kawiarni, rozważała, albo zniknęła tutaj, w szpitalu, co w sumie byłoby względnie najkorzystniejszą z możliwości. Bo jeśli aparat wpadł w ręce złodzieja, to ten będzie zainteresowany wyłącznie jego sprzedażą i nie będzie sobie zawracał głowy wywoływaniem filmów. A co, jeśli torebkę zabrał Albrecht, kiedy oddawano mu moje ubranie? Tylko czy wtedy nie zapytałby, skąd mam aparat? Może nie? A może wszystkie rzeczy znalezione w kawiarni zostały skonfiskowane? Przecież toczy się chyba jakieś śledztwo? Najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby aparat został zniszczony w wyniku eksplozji, albo przynajmniej uległ uszkodzeniu w pożarze. Jaką temperaturę wytrzyma taki aparat? A klisza fotograficzna?* Deborah nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z nurtujących ją pytań.

Nagle przypomniała sobie kanciasty przedmiot pod swoim biodrem. Była niemal pewna, że to musiała być torebka. Gdziekolwiek podział się aparat i filmy, jedno było pewne: jeśli wpadły w niepowołane ręce, to jej podwójna gra wkrótce wyjdzie na jaw.

Tak czy siak wszystkie wysiłki poszły na marne. Wrócili do punktu wyjścia, a w dodatku Marlene do końca życia pozostanie kaleką! Deborah przypomniała sobie o Jakubie. Musi się z nim koniecznie skontaktować! Jakub na pewno coś wymyśli!

Wróciła do czekającej niecierpliwie Marlene i przekazała jej przygnębiające wieści. Lecz Marlene chyba spodziewała się takiego obrotu spraw.

– No cóż. Pozostało nam tylko czekać, jak się to wszystko dalej potoczy – powiedziała tak cicho, żeby usłyszała ją tylko Deborah. – Jeśli twoją torebkę ma Albrecht albo gestapo, to wkrótce się tego dowiemy. Posłuchaj! Jeśli ktoś cię o to zapyta, musisz udąć absolutne zdumienie, tak jakbyś o niczym nie miała pojęcia. Udawaj głupiutką, naiwną dziewczynę. Naziści uważają kobiety za istoty z natury głupie, więc taka bądź! Słyszysz? Nie ma sensu, żebyśmy obie poszły na dno. Ze mnie i tak już niewiele zostało, a tobie mogą uwierzyć. Posłuchaj uważnie i zapamiętaj, co ci teraz powiem, bo od tego zależy twoje życie! Jeśli dojdzie do najgorszego, powiem, że uspiłam ciebie i Albrechta, a potem przejrzałam jego teczkę i sfotografowałam dokumenty. Kiedy zjawił się Greiff, przed opuszczeniem hotelu dyskretnie podrzuciłam ci aparat i filmy do torebki i zapłaciłam komuś, żeby poszedł za tobą do kawiarni i ją ukradł. Plan się nie powiódł z powodu zamachu. To wyjaśni, dlaczego aparat nadal znajdował się w twojej torebce. Musisz udąć kompletne zdziwienie, a jeszcze bardziej wściekłość. W końcu zostałam oszukana i wykorzystana przez rzekomą przyjaciółkę! Musisz to zrobić, jeśli chcesz, przeżyć. Mogę na ciebie liczyć?

– Ale... to tchórzostwo. Przecież nie mogę zrzucić całej winy na ciebie! – zaoponowała gwałtownie Deborah.

– Ciii – syknęła Marlene. – Nie tak głośno. To nie ma nic wspólnego z tchórzostwem, *chérie* – mówiła już łagodniejszym tonem. – Przeciwnie. Takie zachowanie wymaga od ciebie ogromnej odwagi. To bardzo ważne, żebyś w dalszym ciągu zachowywała się wobec Albrechta zupełnie normalnie, jakby nic się nie wydarzyło. Tylko miej się na baczności! Kiedy sytuacja nieco się uspokoi, musisz spróbować jeszcze raz. Idź do Pawła, da ci nowy aparat. – Marlene, wyczerpana przemową, umilkła.

Deborah nie mogła się nadziwić jej niezachwianej odwadze i żelaznej woli. Jej przyjaciółka leżała z bezwładnymi członkami, niepewna, czy kiedykolwiek będzie mogła chodzić, a mimo to już planowała następną akcję.

– Jesteś wyjątkową kobietą – szepnęła Deborah.

– W tej chwili to dla mnie marna pociecha, lecz mimo wszystko: *merci*. A teraz już idź, muszę odpocząć. Wróć jutro.

Deborah obudziła się w środku nocy z niespokojnego snu. Zbudził ją jakiś hałas, jakby ktoś otworzył i z powrotem zamknął drzwi. W pokoju panowała ciemność, choć oko wykol, nie paliło się żadne światło, a wieczorem siostra zasunęła kotary, tak że do środka nie wpadała nawet księżycowa poświata. Deborah kompletnie nic nie widziała, ale wyraźnie czuła czyjąś obecność.

– Jest tu kto? – zawołała półgłosem. W tej samej chwili wielka, ciężka dłoń zasłoniła jej usta. Natychmiast rozpoznała znajomy zapach garbowanej skóry. – Jakub! – szepnęła z ulgą. – Przyszedłeś.

Jakub cofnął dłoń i czule pocałował Deborę.

– Jak się czujesz, małeńka?

– Dobrze, ale Marlene... to straszne, ona... – głos ugrzął jej w gardle i z trudem powstrzymała łzy. Za nic nie chciała płakać w jego obecności, nawet jeśli w ciemności nie mógł tego zobaczyć.

– Wiem – odrzekł Jakub i odgarnął jej włosy z policzka. Uczynił to z nieporównanie większą czułością niż Albrecht, który przecież rano wykonał dokładnie ten sam gest.

– Udało nam się, Jakubie. Marlene wszystko sfotografowała. Miałam filmy w torebce. A potem kawiarnia wyleciała w powietrze i moja torebka zniknęła. A razem z nią aparat i zdjęcia – wyrzuciła z siebie gorączkowym szeptem.

Jakub znów odpowiedział jednym słowem:

– Wiem.

– Cały wysiłek na nic, a do tego Marlene... – Deborah urwała.

Chwileczkę, czy ja dobrze słyszałam?, pomyślała.

– Jak to... Skąd wiesz? Rozmawiałeś z Marlene?

– Nie. Za dużo świadków. Wiem o wszystkim od Osmana.

– Od Osmana? – Teraz Deborah była pewna, że się przesłyszała, lecz mimo to odruchowo spytała: – Od tego Osmana?

– Tak, od tego. Przyniósł mi aparat i oba filmy. Nie martw się – Jakub próbował uspokoić Deborę, choć w środku sam dosłownie kipiał z wściekłości. Przeklęty Zelko! Zamach na Cyganerię był zaplanowany dopiero na przyszły tydzień i Jakub uprzedził Marlene, by trzymała się wtedy z dala od kawiarni. Ale Zelko stracił zimną krew i postanowił działać na własną rękę. A przy okazji ucierpiała Marlene.

– Jak... nie rozumiem – wyjąkała Deborah.

– Osman poszedł za tobą do kawiarni. Brunnmann polecił mi, by cię nie spuszczał z oka. Dlatego był jednym z pierwszych, którzy ruszyli na pomoc rannym. To on znalazł ciebie i Marlene. W chaosie udało mu się wyjąć z twojej torebki aparat i filmy i przynieść do mnie.

– Ale skąd wiedział, gdzie cię znaleźć?

– Przecież ci powiedziałem: śledził cię, na rozkaz Brunnmanna. Ale najwyraźniej nienawidzi swojego szefa, za to ciebie darzy szczególnym sentymentem. Nie powiedział o nas Brunnmannowi. W dodatku wzięto go za Żyda, chociaż jest muzułmaninem. A publiczne obnażenie to największe upokorzenie, jakie może spotkać mężczyznę z jego ludu. W ten sposób naziści uczynili go swoim zaprzysięgłym wrogiem.

Coś takiego, pomyślała Deborah. *Osman?* Próbowwała sobie przypomnieć, w jakiż to sposób mogła sobie zyskać jego sympatię. Prawdę mówiąc, ledwie go zauważała. Raz czy dwa przyłapała go, jak

patrzył na nią z osobliwym wyrazem twarzy, wtedy jednak nie bardzo wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, i szybko o tym zapomniała. Dopiero teraz ją olśniło: to było współczucie! Oczywiście! Oboje byli zdani na łaskę Albrechta. Ona, półżydowska sierota bez środków do życia, i on, okaleczony przez starego Brunnmanna mężczyzna bez ojczyzny i bez przyszłości. Znów przypomniała sobie nauki ojca o zasadzie przyczyny i skutku: każdy czyn, dobry czy zły, pociąga za sobą konsekwencje. Osman zemścił się za to, że obcięto mu język!

– Posłuchaj, Deboro. Nie mam zbyt wiele czasu. Niemcy przetrząsają całe miasto. Muszę zniknąć. Chodzi o...

– Jak to... zniknąć? Gdzie? Jak? Zobaczmy się jeszcze? – Deborah przerwała mu ze wzburzeniem, wpijając palce w jego przedramię.

– Oczywiście – Jakub uśmiechnął się, a jego głos przepełniała pewność, której brakowało mu w sercu. – Ale teraz posłuchaj. Dokumenty, które sfotografowałyście... Wygląda na to, że 20 stycznia tego roku w Berlinie, nad jeziorem Wannsee, odbyła się ważna konferencja. W teczce Brunnmanna znajduje się protokół z tej narady. To dowód na to, że Niemcy postanowili wymordować wszystkich europejskich Żydów. Mówimy o milionach ludzkich istnień! Umieścili na liście nawet Żydów z Wielkiej Brytanii! Naziści nazywają ten plan ostatecznym rozwiązaniem i już rozpoczęli realizację tego szatańskiego dzieła! Wszędzie zakładają i rozbudowują obozy masowej zagłady. Uśmiercają Żydów gazem, a potem palą ich ciała. Czytałem raporty, w których mieszkańcy okolicznych wsi i miasteczek skarżą się na nieustanny swąd spalenizny. Dlatego musimy zdobyć oryginał protokołu. Sama fotokopia to za mało. Musimy wykraść prawdziwy protokół, przemyścić go do Londynu i przekazać polskiemu rządowi na uchodźstwie. Inaczej mocarstwa zachodnie nigdy nam nie uwierzą. Osman zaoferował się, że ukradnie teczkę Brunnmanna. Ale do tego będzie potrzebował twojej pomocy. Jesteś na to gotowa?

– Oczywiście. Co mam zrobić?

Jakub w kilku słowach wyłuszczył swój plan, a na koniec pocałował ją namiętnie i mocno przycisnął do piersi jej kruche ciało.

A potem świat nagle przyspieszył: ktoś gwałtownie otworzył drzwi, w pokoju rozbłysło światło i grupa mężczyzn z bronią gotową do strzału wpadła do środka. Za nimi wkroczył wysoki mężczyzna z opaską na oku.

To właśnie on krzyknął ostrym jak brzytwa tonem:

– Chcę go żywego!

Kiedy tylko zabłysła lampa, Jakub rzucił się na Deborę i chwycił ją za gardło, jakby chciał ją udusić. Zdążył jeszcze syknąć:

– Musisz zdobyć protokół. Obiecuj! Ratuj swój lud. Tylko to się liczy. Zapomnij o mnie.

Po chwili silne ręce oderwały go od Deborę i wyciągnęły na korytarz. Jakub nawet się nie opierał.

Tymczasem Deborah, zanosząc się gwałtownym kaszlem, z trudem chwytała powietrze. Miała wrażenie, że cały pokój zamienił się w krąg miliona wirujących punkcików światła. Jakub ścisnął ją naprawdę mocno, żeby atak wyglądał autentycznie. Deborah dotknęła dłonią szyi, choć dużo bardziej bolało ją serce. *Jakubie!*, głucho krzyczała jej zrozpaczona dusza.

Jednooki mężczyzna zbliżył się i stanął nad łóżkiem. W skórzanym płaszczu górował nad Deborą niczym czarna posępna wieża. Jego sprawne oko badawczo wpatrywało się w jej twarz, jakby próbowało się w nią wwiercić. Na jego widok przez głowę Deborę przemknęło jakieś mgliste wspomnienie, lecz nie była go w stanie uchwycić i szybko rozwiało się niczym pajęczyna na wietrze.

Wiedziała tylko jedno: chociaż nigdy wcześniej nie spotkała tego mężczyzny, to budził on w niej śmiertelne wprost przerażenie. A ponieważ nie była w stanie ani sekundy dłużej znieść jego spojrzenia, gwałtownie obróciła się na bok, skryła twarz w poduszce i zagryzła poszwę, by zdusić swój niemy krzyk.

W jej głowie niczym złowroga mantra raz za razem rozbrzmiewały słowa Jakuba: „Zapomnij o mnie. Zapomnij o mnie. Zapomnij o mnie...”.

Po chwili usłyszała dobiegające jakby z dali słowa:

– Wezwij lekarza. A potem sprowadź mi tutaj Brunnmanna. – To mężczyzna w płaszczu wydawał rozkazy jednemu ze swoich ludzi.

Lekarz zjawił się błyskawicznie. Był to niski, krągławy mężczyzna z wystraszoną obliczem skrytym za grubymi szklami okularów, które nienaturalnie powiększały jego oczy. Wprawnym ruchem zbadał szyję Debory, a następnie jej puls.

– No, moja panienko. Znów miała pani ogromne szczęście – odezwał się wreszcie, bez powodzenia próbując jej dodać otuchy uśmiechem. Deborah czuła, że doktor cały dygoce. Prawdopodobnie nie mógł się doczekać chwili, kiedy opuści pokój. Zresztą sama czuła to samo. Obecność jednookiego mężczyzny wypełniała pomieszczenie złowrogą aurą, która przejmowała ją lodowatym dreszczem i chęcią ucieczki. Oddałaby wszystko, byle tylko uwolnić się od intruza.

– Podam pani środek, po którym będzie pani mogła spokojnie zasnąć – rzekł lekarz i wyjął strzykawkę. Deborah nic chciała teraz spać. Zamierzała zaczekać, aż mężczyźni znikną, i natychmiast pobiec od Marlene. Musiała jej koniecznie opowiedzieć o tym, co się zdarzyło. Musiała ją ostrzec! Otworzyła więc usta, by zaprotestować, lecz niespodziewanie ubiegł ją jednooki:

– Chwileczkę! – powstrzymał lekarza, po czym podszedł do łóżka i władczy gestem nakazał doktorowi opuścić pokój. Ten uczynił to w takim pośpiechu, jakby gonił go diabeł.

Deborah niczego nie pragnęła bardziej jak tego, by zostawiono ją samą. *Kiedy ten pirat wreszcie stąd pójdzie?*, nienawidziła go za to, że zabrał jej Jakuba. Miała ochotę dotknąć swoich warg, poczuć na nich smak Jakubowego pocałunku. *Dokąd go zabrali? Co się z nim stanie?*, starała się zdusić te pytania w zarodku, bo za nic nie chciała usłyszeć odpowiedzi. Potrzebowała teraz trzeźwego umysłu i jasnych myśli.

Znów poczuła na sobie to okrutne spojrzenie. Mężczyzna, nawet na chwilę nie odrywając od niej oczu, niedbale zsunął ze swych ramion skórzany płaszcz, oddając go w ręce jednego ze swoich młodych towarzyszy, podczas gdy drugi usłużnie podsunął mu krzesło. Rozklekotany mebel jęknął pod ciężarem olbrzyma, odbierając nieco uroku choreografii, której mistrzowska nonszalancja zdradzała częste ćwiczenia.

Co to za człowiek?, pomyślała Deborah po raz nie wiadomo który. Przybysz budził w niej taką grozę, że czuła w ustach mdły posmak strachu. *Na co on czeka? Dlaczego o nic nie pyta, tylko patrzy, jakby mnie przejrzał? Weź się w garść*, napomniała się wreszcie. *Udawaj głupiutką, tak jak mówiła Marlene. To twoja jedyna szansa.* W końcu postanowiła wykonać pierwszy ruch.

– Dziękuję – szepnęła. Nie musiała udawać cierpiącej, bo czuła się naprawdę okropnie.

Brew mężczyzny minimalnie drgnęła. Poza tym na jego martwej twarzy nie było śladu emocji.

Zapadła długa cisza. *Twoja kolej*, pomyślała Deborah i posłała mężczyźnie nieśmiały uśmiech. Był w końcu jej wybawcą i musiała się zachowywać stosownie do sytuacji.

– Czego chciał od pani Jakub Wanda? – Z ust mężczyzny padło wreszcie pierwsze pytanie. Deborah z trudem ukryła przerażenie, słysząc, jak przybysz wymienia prawdziwe imię Jakuba.

– Słucham? – spytała z zakłopotaną miną. – Pan wybaczy, ale ten człowiek nie zadał sobie trudu, by się przedstawić, zanim zaczął mnie dusić. Jest pan z policji? – Dłoń Debory powędrowała ku szyi, by przypomnieć rozmówcy, że właśnie cudem uszła z życiem z rąk zamachowca. W gardle czuła piekielny ogień.

– Przyznaje pani zatem, że zna jego nazwisko?

– Skądże, przecież właśnie powiedziałam: widziałam go pierwszy raz w życiu. To pan wymienił jego

imię!

– Twierdzi więc pani, że nigdy wcześniej nie spotkała tego człowieka?

Dlaczego on mnie traktuje jak sprawcę, a nie jak ofiarę?, zastanawiała się Deborah. Niepostrzeżenie do strachu dołączyła niepewność. Na szczęście w jej głowie rozległ się głos Marlene, który podszeptną zbawienną radę: „Nie zaprzeczaj. Lepiej udawaj, że nic nie pamiętasz”.

– Nie wydaje mi się, żebym go wcześniej widziała, ale w pokoju było ciemno, a potem zapaliło się światło i pańscy ludzie szybko go zabrali. – Ponownie dotknęła szyi, wykrzywiając boleśnie twarz. – Czy mogłabym dostać wody?

Mężczyzna ledwie widocznie skinął głową i młodzieniec, który podsunął mu krzesło, natychmiast podał Deborze szklanę.

Ta znowuż, aby podkreślić swe osłabienie, pozwoliła nieznanemu, by przystawił jej szklanę do ust i podtrzymał głowę. Następnie podziękowała matowym głosem i opadła na poduszkę. Przy okazji pozwoliła się zsunąć kołdrze na tyle, by odsłoniła jej kształtne ramię. Młodzieniec zupełnie niewzruszony odstawił szklanę i z obojętną miną odszedł na bok, niechcący potrącając butem ustawiony obok łóżka blaszany basen. Głośny brzęk rozdarł nocną ciszę szpitala. Deborah wzdygnęła się przestraszona, podczas gdy żaden z mężczyzn nawet nie mrugnął okiem.

Z nimi jest coś nie tak, pomyślała. Wysłała wszelkie możliwe sygnały, jakie tylko kobieta ma w zanadrzu, lecz nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że wciąż nadaje na niewłaściwej częstotliwości. Przybysze jakby w ogóle nie zauważali jej wdzięków.

Do pokoju wszedł jeszcze jeden mężczyzna w rozwianym płaszczu. Energicznie zbliżył się do swego dowódcy i szepnął mu do ucha kilka słów. Deborah odniosła wrażenie, że w pozbawionej wyrazu twarzy jednookiego dostrzegła krótki błysk satysfakcji. Żałowała, że jej wrażliwe uszy doznały uszczerbku wskutek wybuchu, gdyż w przeciwnym wypadku z pewnością zrozumiałaby, o czym szeptał młodzieniec.

Mężczyzna z opaską nachylił się ku niej, tak że jego twarde oblicze znalazło się tuż nad jej twarzą, i odezwał się niemal przymilnym głosem:

– Ktoś z personelu szpitala widział, jak Wanda zakrada się do pani pokoju. Według zeznań tego świadka Wanda przebywał w pani pokoju co najmniej piętnaście minut. Jeśli zatem, jak słyszę, nie zna pani tego mężczyzny, to chciałbym się dowiedzieć, co tu tyle czasu robił, hm? Słucham!

Serce Debory na chwilę zamarło. Gorączkowo szukała jakiegoś wiarygodnego wyjaśnienia. W końcu odpowiedziała tonem naiwnej dziewczynki:

– Ale... skąd ja mam wiedzieć, co myśli morderca? Wiem tylko, że próbował mnie zabić i że uratował mnie pan w ostatniej chwili. Jestem panu za to winna serdecznie podziękowanie. A teraz proszę mi wybaczyć, źle się czuję i chciałabym trochę odpocząć. – Demonstracyjnie zaciągnęła kołdrę pod szyję i odwróciła twarz od palącego spojrzenia. *Idź sobie wreszcie*, rzuciła w duchu.

Lecz mężczyzna nie spełnił jej niewypowiedzianego życzenia, tylko żelaznym chwytem złapał ją za brodę i zmusił, by spojrzała mu w twarz.

– Nie tak prędko, młoda damo. Przejrzałem cię. Wiem, że coś ukrywasz, i zaraz mi powiesz co. Inaczej wyciągnę cię z tego ciepłego łóżeczka i spędzisz resztę nocy w zimnej, wilgotnej celi. No więc? Słucham!

– Proszę ją natychmiast zostawić w spokoju, sturmbannführer Greiff! – w drzwiach, na szeroko rozstawionych nogach, stał Albrecht Brunnmann. W dłoni trzymał pejcz.

Deborah, którą ledwie przed sekundą ogarnął śmiertelny strach, poczuła, jak na jego widok do oczu napływają jej łzy wdzięczności i ulgi.

Greiff spokojnie puścił jej brodę i odwrócił się w stronę drzwi.

– Ach, pan Obersturmbannführer wreszcie raczył się zjawić. W samą porę, jak sądzę. Ta mała

żydowska dziwka właśnie zamierzała wyjawić mi swoje sekrety.

– Będę wdzięczny, jeśli zaprzestanie pan nazywania mojej pasierbicy dziwką. Wolno spytać, co się tu dzieje?

Mówiąc to, Albrecht wszedł do pokoju i zbliżył się do Greiffa, na chwilę nawet nie odrywając od niego oczu, jakby spodziewał się po nim najgorszego. Mężczyźni stanęli naprzeciw siebie jak do pojedynku, świdrując się wzrokiem, jakby mieli za chwilę zaatakować. Byli mniej więcej równi wzrostem, a obopólna wrogość, która wręcz biła od ich postaci, kazała Deborahze dojść do jedynej możliwej konkluzji: ci dwaj znają się. I nie łączą ich bynajmniej więzy przyjaźni, lecz wznosi się między nimi prawdziwy mur nienawiści.

Deborah niepewnie spoglądała to na jednego, to na drugiego. O co tutaj właściwie chodzi?

– Taaak... Powiada pan: pasierbicy... A ja słyszałem coś innego, panie Obersturmbannführer. – Głos Greiffa ociekał szyderstwem.

– Nie interesuje mnie, co pan słyszał. Ostrzegam pana, Sturmbannführer. Naprawdę muszę panu przypominać, z kim pan ma do czynienia? No więc? Z jakiego powodu przesłuchuje pan moją pasierbicę? – Albrecht przez cały czas uderzał pejczem w lśniące cholewki swych oficerów, a jego mina zdradzała, że z przyjemnością dałby poczuć smak bata swemu adwersarzowi.

Greiff najwyraźniej nie przejął się specjalnie ani tym groźnym gestem, ani aluzją do swojej niższej rangi.

– Ta dziwka – dosłownie wypluł to słowo, wskazując wyprostowaną ręką na Deborahę – została przed chwilą przyłapana w trakcie spotkania z najniebezpieczniejszym bandytą w całym Krakowie i zaprzysięgłym wrogiem Rzeszy Niemieckiej. Właśnie próbowałem się dowiedzieć, nad czym tych dwoje radziło. Moje śledztwo nie dotyczy bynajmniej wysadzenia w powietrze jakiejś prowincjonalnej kawiarni, lecz ma związek z dokonanym wczoraj w Pradze tchórzliwym zamachem na Protektora Rzeszy dla Czech i Moraw, Obergruppenführera Reinharda Heydricha. Jakub Wanda jest jednym ze współorganizatorów tego zdradzieckiego ataku. Z wiarygodnych źródeł wiem, że do niedawna ukrywał zamachowców, Jozefa Gabčika i Jana Kubiša, a dziś w nocy zjawił się tutaj. Pytanie brzmi: po co? Czy naprawdę zamierzał zabić pańską pasierbicę, czy może chciał ją odwiedzić? Jakkolwiek brzmiałaby odpowiedź, jedno jest pewne: ta dziewczyna coś wie, więc proszę mi nie wchodzić w paradę, panie Obersturmbannführer.

Deborah dopiero teraz dowiedziała się o zamachu na Heydricha. Miała nadzieję, że drań nie żyje. Z drugiej strony czuła, że ten cały Greiff jest człowiekiem nie tylko przenikliwym, lecz również okrutnym, i uznała, że czas coś zrobić, zanim ją dostanie w swoje łapy i obedrze ze skóry. Widziała, jak słowa Greiffa sączą jad w duszę Albrechta, który już zmarszczył czoło. Nie, dłużej nie mogła zwlekać.

– Albrechcie, nie mam pojęcia, o czym ten człowiek mówi. Prawda jest taka, że ktoś zakradł się do mojego pokoju i próbował mnie udusić. Potem zjawili się ci panowie i mnie uratowali, a teraz ten człowiek twierdzi nagle, że miałam coś wspólnego z zabójcą. Proszę cię, Albrechcie, jeszcze nie doszłam do siebie, boli mnie szyja i jest mi niedobrze. – Błagalnie, z wilgotnymi od łez oczami wyciągnęła ku niemu rękę.

Albrecht, widząc bladość jej twarzy i sine wybroczyny na szyi, po raz ostatni spiorunował Greiffa wzrokiem i pośpieszył ku Deborahze. Objął ją ramieniem i przytulił, ona zaś, szukając w nim wsparcia, kurczowo się w niego wczepiła.

Greiff popatrzył pogardliwie na tę scenę, po czym rzucił szyderczym tonem:

– Doprawdy, jakież to wzruszające. Jak pan zacznie myśleć głową, może odzyska pan trzeźwość sądu, Obersturmbannführer – zakończył zjadliwie.

W odpowiedzi Albrecht, nie odwracając ku niemu głowy, rzucił przez ramię:

– Ciekawa uwaga z ust kogoś, o kim się słyszy, że sam nie ma nic przeciwko młodym żydowskim chłopcom.

– Nie sądziłem, że daje pan wiarę obrzydliwym plotkom, Obersturmbannführer.

– Tylko wtedy, gdy są prawdziwe. Niech pan już idzie, Greiff, i niech się pan nie waży zbliżyć do panny Malpran ani powtarzać swoich bezpodstawnych oskarżeń. Ostrzegam po raz ostatni, niech pan nie przeciąga struny!

Deborah kątem oka obserwowała, jak jej dręczyciel przez chwilę się waha, nienawiść zaś wykrzywia jego twarz w groteskową maskę. Po chwili jednak Greiff rozluźnił się raptem, jakby powziął nową myśl. Na jego obliczu pojawił się szatański uśmiech, a w oku zabłysł czarny płomień.

Serce Debory wypełniło złe przeczucie, po plecach przeszedł jej dreszcz. Domyśliła się, co planuje jej prześladowca: znajdzie sobie nową ofiarę. *Będzie torturował Jakuba!* Greiff władczo skinął na swoich ludzi i bez słowa opuścił pokój.

Ledwie zdążyli zniknąć, gdy niski lekarz zajrzał do środka, lecz na widok Albrechta szybko się wycofał. Brunnmann zauważył go jednak i kazał wejść do środka.

Lekarz, widząc, jak rozdygotana Deborah w dalszym ciągu wtula się w Albrechta, zaczął lamentować:

– Ach, biedna panienska, taki szok. Teraz może wreszcie panienska trochę odpocząć. – Lekko uniósł przygotowaną już strzykawkę, lecz zczekał, niepewny, czyjej towarzysz, który najwyraźniej budził w nim nie mniejszy respekt niż Greiff, pozwoli mu zrobić zastrzyk. Albrecht skinął leciutko głową i doktor wstrzyknął lek tak zręcznie, że Deborah nie zdążyła nawet zaprotestować. W ten sposób lekarz, aczkolwiek z pewnością miał dobre intencje, pokrzyżował plany Debory, która zamierzała tej nocy odwiedzić Marlene.

Po kilku sekundach ciało pacjentki ogarnęło przyjemne odprężenie, a jej umysł pogrążył się w błogim zapomnieniu. Albrecht został jeszcze kilka minut, patrząc na twarz śpiącej i studiując sine ślady na jej szyi. Potem wrócił pośpiesznie do hotelu i upewnił się, że cenne dokumenty leżą pieczołowicie zamknięte w sejfie.

Przebudziwszy się, Deborah poczęła powoli wyplątywać się z woalu zawikłanych snów. Była w pokoju sama, bolało ją całe ciało i przez kilka minut bezskutecznie próbowała uporządkować myśli. Miała wrażenie, jakby jakaś jej część nie chciała wrócić do rzeczywistości, a mimo to nie była w stanie przed nią uciec. Im bardziej próbowała zagłuszyć wspomnienia, z tym większym impetem na nią spadały.

Jakub!, zaszlochała bezgłośnie i bez reszty pogрузzyła się w żalu. Uświadomiła sobie, że jej ukochany jest całkowicie na łasce diabła w czarnym esesmańskim płaszczu, i rozpacz ścisnęła jej gardło.

Powoli zaczęła w niej kiełkować myśl o zemście. Usiadła, ocierając łzy. Wiedziała, że nie pomogą Jakubowi, ale sama poczuła się dzięki nim silniejsza. Ignorując sygnały płynące z obolałego ciała, wstała z łóżka. Chciała odwiedzić Marlene. Uczepiła się myśli, że jej przyjaciółka, która nigdy się nie poddawała, coś wymyśli. Że wspólnie ułożą plan działania.

Szpital dawno już zbudził się do życia i na korytarzach trwała poranna krzątanina. Wzdłuż ścian stały dodatkowe łóżka, na których w większości położono po dwóch pacjentów albo pousadzano jeszcze większą ich liczbę. Jęki i skargi towarzyszyły Deborze przez całą drogę do sali, w której leżała Marlene. Jakby kierowana niewidzialną ręką, mijała cierpiących, których twarze były bądź to zupełnie martwe, bądź wykrzywione z bólu. Ona jednak zupełnie ich nie zauważała, bez reszty pochłonięta myślą o Jakubie i pragnieniem ratowania go.

W końcu weszła do sali i zamarła: łóżko, na którym poprzedniego dnia leżała Marlene, było zajęte przez dwie kobiety, obie najwyraźniej w malignie. Żadna z nich nie zareagowała na pytania o blondwłosą niemiecką damę. Oczy Debory błędziły bezradnie po sali w poszukiwaniu Marlene.

– Zabrali ją w nocy, panienko – wychrypiął głos za jej plecami. Deborah odwróciła się. Staruszka z pozlepianymi w siwe strąki włosami z trudem dźwignęła się na swym łóżku. Miała ogromną, fioletową zmianę na policzku, a jej oczy błyszczały w gorączce.

Deborah zbliżyła się do niej z nadzieją, że dowie się może, dokąd przeniesiono Marlene.

– Zabrali? Kto?

Powykrzywiane artretyzmem palce staruszki niczym szpon zacisnęły się na przedramieniu Debory:

– Mężczyzna, w czarnym płaszczu, z jednym okiem! – zarechotała jak pomyłona.

Zdjęta paniką, Deborah niemal biegiem wróciła do swojego pokoju. Teraz już wiedziała, skąd się wziął jej niewytłumaczalny strach przed mężczyzną z przepaską na oku. Oczywiście, przecież już słyszała to nazwisko! Greiff! Tak zwracał się do niego Albrecht. Marlene wspomniała o nim wczoraj w hotelu. To był on, Hubertus von Greiff, zaprzysięgły wróg jej przyjaciółki! A teraz Marlene znów wpadła w jego ręce.

Deborah biegała po pokoju niczym kogut ze ściętą głową. *Myśl! Myśl!* Ścisnęła dłońmi skronie, jakby to mogło przyspieszyć bieg myśli. W końcu się zatrzymała. Wojowniczo zadarła brodę. *Albrecht! Muszę porozmawiać z Albrechtem. On również nienawidzi Greiffa. Jest jego wrogiem. Może da się coś ugrać tą kartą.*

Niecierpliwie zadzwoniła na pielęgniarkę, by poprosić ją o wezwanie taksówki. Po chwili drzwi otworzyły się, lecz w progu Deborah ujrzała nie siostrę, lecz Osmana. Miał ze sobą jedną z jej walizek podróźnych. Z wyciągniętymi ramionami wybiegła mu naprzeciw.

– Osmanie, nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że jesteś!

Szofer osunął się przed nią na kolano, ujął jej prawą dłoń i znów, tak jak kilka dni wcześniej, przycisnął ją sobie do czoła w geście całkowitego oddania. Deborah chwyciła go pod ramiona i podniosła z podłogi.

– Nie, Osmanie, zawstydzasz mnie. Chodź, musimy pomówić. – Wskazała, by usiadł na jedynym w pokoju krześle, a sama przycupnęła na brzegu łóżka. – Osmanie, ja...

Szofer przerwał jej, kładąc palec na swoich ustach, podbiegł zwinnie do drzwi, upewnił się, że są dokładnie zamknięte, i dopiero wtedy usiadł. Na jego twarzy odmalowało się kilka grymasów, podkreślonych żywiołową gestykulacją.

Deborah zrozumiała, że pytają, jak się czuje.

– Dziękuję, Osmanie, już ze mną lepiej. Mam tylko kilka siniaków i zdarte gardło, nic poważnego. – Nachyliła się ku Osmanowi, ściszyła głos i kontynuowała szeptem: – Przede wszystkim muszę ci podziękować za to, że uratowałeś aparat i oddałeś go we właściwe ręce. Niestety dziś w nocy stało się coś bardzo złego. Nasz przyjaciel – Deborah świadomie przemilczała imię Jakuba – został aresztowany. To samo spotkało Marlene. Jeśli jest coś, co pozwoli cię w jakikolwiek sposób połączyć z nimi, powinienes jak najszybciej zniknąć. Musisz się ratować!

Osman zdecydowanie pokręcił głową. Deborah nie potrafiła rozstrzygnąć, czy oznacza to, że Greiff nie zdoła natrafić na ślad kierowcy, czy też raczej to, że Osman odmawia ucieczki i opuszczenia jej w potrzebie. Tak czy siak poczuła ulgę i nie drążyła tego tematu.

– Nasz przyjaciel powiedział mi o waszym planie. Wiem, że chcesz ukraść oryginał protokołu, i zamierzam ci pomóc. A właściwie sama to zrobię. Twoje zadanie będzie polegać na dostarczeniu dokumentów w wyznaczone przez naszego przyjaciela bezpieczne miejsce. Potem musisz zniknąć. Dam ci na to wszystkie pieniądze, jakie uda mi się zdobyć.

Osman ponownie zaprotestował niemym gestem. Deborah rozumiała, że jego zdaniem przedstawiony przez nią plan przedstawia dla niej zbyt wielkie ryzyko.

– Pozwól, że sama o tym zdecyduję, Osmanie. Staraj się być w pobliżu. Dam ci znać, jak tylko uda mi się zdobyć protokół. Tyle że to może potrwać nawet kilka dni. A teraz odwieź mnie, proszę, do hotelu. Muszę jak najszybciej opuścić to miejsce, inaczej naprawdę się rozchoruję.

Już miała wstać i sięgnąć po walizkę z ubraniami, gdy Osman jeszcze raz ją powstrzymał. Wydobył z kieszeni munduru małą karteczkę i podał ją Deborze ze zgnębiającą miną. W liście Albrecht informował ją, że musi na dwa dni wyjechać, ale polecił Osmanowi i personelowi hotelu, by zatroszczyli się o jej wszystkie potrzeby.

– Do diabła! – Deborah nie potrafiła ukryć zawodu. Że też właśnie teraz musiał wyjechać. Tylko Albrecht mógł jej pomóc odnaleźć Marlene. Czowała, że nie przeżyje dwóch dni niepewności.

Jej umysł pracował na pełnych obrotach. *Może zwrócić się do Ernsta? W końcu to przyjaciel Marlene.* Deborah wiedziała, że Ernst naprawdę kocha jej przyjaciółkę i z pewnością nie opuściłby jej w nieszczęściu. Może wiedział, dokąd ją zabrano, i mógłby załatwić Deborze widzenie? Na samą myśl, że miałyby się spotkać z tym strasznym Greiffem, czuła, jak ogarniają ją nagła słabość i uginają się pod nią kolana.

Do diaska, gdziekolwiek się obróciła, wszędzie ślepa uliczka i czyhające za rogiem niebezpieczeństwo. Wiedziała, że sprawa Marlene przerastają i bez ojczyma niczego nie wskóra. Nie miała wyboru, musiała czekać. Dopóki Albrecht nie wróci, będzie miała związane ręce. Oczywiście, nie była aż tak naiwna, by sądzić, że zależy mu na losie Marlene w takim stopniu, by spełnić prośbę swej młodej kochanki i doprowadzić do uwolnienia jej przyjaciółki, ale przecież mógłby się przynajmniej dowiedzieć, co się z nią dzieje.

Deborah wróciła z Osmanem do hotelu. Dwa dni dzielące ją od powrotu Albrechta dłużyły się

niemiłosiernie. Dla istoty z natury impulsywnej i niecierplivej beczynne czekanie było istną torturą. Miała wrażenie, że czas jeszcze nigdy nie płynął tak wolno.

Spędzała godziny na fantazjowaniu i planowaniu zemsty na Greiffie. Ze wściekłością uświadomiła sobie, że nie ma absolutnie żadnej możliwości przyjść Jakubowi z pomocą. Była skazana na beczynność. Nawet nie wiedziała, czy Jakub jeszcze żyje! W końcu skoncentrowała się na planie zdobycia przechowywanych przez Albrechta dokumentów z konferencji w Wannsee. Protokół był kluczem do jej zemsty. Bez niego wszystkie poniesione dotąd ofiary poszłyby na marne. Godzinami okrążała szafę pancerną, rozważając najrozmaitsze pomysły i możliwości. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że Deborah zaklina sejf, by ten niczym sezam sam się przed nią otworzył. Raz po raz przystawała przed nim pogrążona w myślach.

Beczynność kompletnie wyjałowiła jej duszę i umysł. Czowała się głupia i bezużyteczna. Czowała się nikim. W końcu zdjeta wściekłością pchnęła lustro, zatraskując je z takim hukiem, że omal nie wypadło z ram. I wtedy dostrzegła jakiś świetlny refleks. Wstrzymała oddech, chwyciła za lustro i lekko je odchyliła, aż znowu pojawiło się to samo dziwne błysnięcie. Okazało się, że to odbicie stojącego na komodzie kubekka do mrożenia szampana. Nagle w jej głowie zaświtał pewien pomysł.

Przyniosła swoją walizeczkę z kosmetykami i odsunawszy wiaderko na bok, uniosła wieko kuferka. Po wewnętrznej stronie pokrywy znajdowało się niewielkie kwadratowe lusterko, najwyżej piętnastocentymetrowe. Deborah skierowała je w stronę szafy pancernej, a następnie przez kilka minut cierpliwie przemierzała szlak pomiędzy sejfem, komodą i łóżkiem, raz po raz korygując ustawienie kuferka. W końcu znalazła właściwą pozycję. Teraz, siedząc w łóżku, mogła dostrzec w ustawionym na komodzie lusterku tarczę szyfrową sejfu. Ponieważ zamek znajdował się na wysokości jej brzucha, Albrecht, który był postawnym mężczyzną, musiał przykłęknąć, by wprowadzić właściwą kombinację. Teraz wystarczyło zaczekać, aż jej kochanek będzie chował dokumenty do sejfu, i zapamiętać cyfry.

Przez resztę popołudnia i cały wieczór Deborah rysowała i odczytywała cyfry w lustrzanym odbiciu, aż w końcu uznała, że doszła do wystarczającej wprawy. Potem podała karteczki na drobne skrawki, splukała je w toalecie i uśmiechnęła się. Czasami warto dać upust wściekłości.

Trzeciego dnia, tuż przed północą, Albrecht wreszcie wrócił z objazdu. Deborah zawsze uważała się za osobę odważną, lecz teraz w jej życiu zapanował strach i stała się kłębkim nerwów. Mimo to przez wzgląd na Jakuba i Marlene wzięła się w garść i odegrała swoją rolę po mistrzowsku. Wyskoczyła nago z łóżka, wybiegła Albrechtowi naprzeciw i rzuciła mu się w ramiona. Jego powrót oraz poczucie, że nie jest już sama, napełniło ją taką pociechą i ulgą, że niewiele brakowało, a wybuchłaby płaczem.

Siłą woli powstrzymała się, by nie zarzucić Albrechta pytaniami o Marlene. On zaś otoczył młodą kochankę ramieniem i odprowadził do łóżka. Czuć było od niego alkoholem i cygarami, ale kryła się w tym zapachu jeszcze jedna nuta. Nie była ani przyjemna, ani odpychająca, raczej wydała się Deborze znajoma, choć w tej chwili nie potrafiła jej zidentyfikować.

– Widzę, że czujesz się lepiej. Mimo to wracaj do łóżka. Ja muszę wziąć kąpiel – powiedział Albrecht, po czym zdjął marynarkę munduru i rzucił ją niedbale na teczkę, którą po powrocie zostawił na krześle.

Po chwili z łazienki dobiegł szum wody. Deborah biła się z myślami. Teczka została w salonie. Czy powinna zaryzykować i zajrzeć do środka? Niepewna wymknęła się z łóżka i wróciła do salonu. Najpierw sięgnęła po marynarkę. Była wilgotna. Ostrożnie potarła ją i obejrzała palce. Były czerwone. Powąchała je. Już wiedziała, co to za zapach – to krew! Albrecht pachniał krwią! Czowała, że zbiera jej się na mdłości.

– Co ty robisz?

Deborah wystraszona spojrzała w stronę łazienki. Albrecht stał nago w progu.

– Chciałam odwiesić twoją marynarkę – odparła przytomnie. – Ale najpierw trzeba ją chyba oddać do

pralni. To krew, prawda?

– Porozmawiamy o tym jutro. Wracaj do łóżka, Mario. – Albrecht podszedł do krzesła, sięgnął po aktówkę i uważnie zmierzył Deborę wzrokiem, po czym wyjął teczkę z dokumentami i zamknął ją w sejfie.

Niestety po powrocie nie włączył światła, a Deborah zaświeciła jedynie lampkę nocną, toteż w sypialni było zbyt ciemno, by mogła odczytać kombinację cyfr. Była na siebie wściekła, że o tym nie pomyślała. Choć z drugiej strony i tak miała mnóstwo szczęścia. Niewiele brakowało, by Albrecht przyłapał ją, jak szpera w jego aktówce.

– Nie potrzebujesz czasem towarzystwa podczas kąpieli? – spytała, zmuszając się do uśmiechu.

– Nie, dziś koniecznie muszę się przespać. Następnym razem.

W końcu niecierpliwość wzięła górę nad rozsądkiem i Deborah, zapominając o wszystkich ostrzeżeniach, spytała:

– Słyszałeś, co się stało z Marlene? Ten jednooki gestapowiec jeszcze tamtej nocy zabrał ją ze szpitala. Nie rozumiem, co to wszystko ma znaczyć! Dlaczego on to zrobił? Marlene jest przecież ciężko ranna.

– Skąd wiesz, że on jest z gestapo? – w pytaniu Albrechta czaiła się podejrzliwość.

– Od lekarza. A ty skąd go znasz? I czego on właściwie ode mnie chciał? Byłam przerażona – Deborah nie musiała udawać strachu.

– Powiedziałem: porozmawiamy rano. A teraz daj spokój i wracaj do łóżka. Zaraz do ciebie przyjdę.

Następnego ranka Albrecht przez jakiś czas droczył się jeszcze z Deborahą, najpierw jednak przygniótł ją całym ciężarem i gwałtownie zaspokoił swą chuc.

Deborah domyślała się, że Albrecht dręczy ją z pełnym rozmysłem. Dopiero po obfitym śniadaniu, które zamówili do apartamentu, był gotów rozmawiać o Marlene.

– Marlene jest żydowskim szpiegiem. Naprawdę nazywa się Anna von Dürkheim. Jej matka była Żydówką, pracowała u Dürkheimów jako służąca i uwiodła młodego Dürkheima. Greiff jakiś czas temu aresztował Marlene *alias* Annę za działalność antypaństwową. Ukrywała w Berlinie Żydów i pomagała im potajemnie wyjechać z miasta. Na szczęście w porę ją rozpoznał. Biedny Ernst, obawiam się, że przeżywa właśnie ciężkie chwile. Greiff wziął go porządnie w obroty.

– Marlene jest żydowskim szpiegiem? To jakiś kompletny absurd! Przecież prawie zginęła w zamachu! To chyba wystarczający dowód, że nie ma z tym nic wspólnego! – wykrzyknęła Deborah.

– Bynajmniej, moja droga. To najwyżej dowodzi, jak chaotycznie i bez koordynacji działają polscy bandyci. Żałosna banda, która zabija własnych ludzi – rzucił Albrecht z pogardą.

– Mimo to, Albrechcie, jesteście w błędzie. Wierz mi, ten Greiff to szaleniec! Widziałeś, jak mnie traktował! On widzi szpiegów za każdym rogiem. – Deborah nie musiała wcale udawać wzburzenia. – Musisz natychmiast jej pomóc! Porozmawiaj z Greiffem, powiedz mu, że się myli. A przy okazji, wiesz w ogóle, gdzie ona jest? Jak się czuje? Mogłabym ją zobaczyć?

– Jest tam, gdzie jej miejsce, w więzieniu przy Montelupich. Jak się czuje? Ponieważ do tej pory nie odpowiedziała na pytania Greiffa, obawiam się, że nieszczęśliwie. Ale już wcześniej nie była przecież w najlepszym stanie – dodał Albrecht ze złośliwym grymasem. – Myślę jednak, że Greiff niepotrzebnie się trudzi. To nie jest głupia kobieta. Po pierwsze, ma złamany kręgosłup, a po drugie, wie doskonale, że Greiff tak czy siak ją zabije. Zresztą w obecnym stanie śmierć byłaby dla twojej fałszywej przyjaciółki prawdziwym wybawieniem. Chociaż... niewykluczone, że mogłabyś jej pomóc. Greiff ma pewien pomysł.

– Greiff? Czego on znów ode mnie chce? – spytała nieufnie Deborah. Na samą myśl o tym człowieku przechodziły ją ciarki.

– Chce, żebyś poszła do Marlene i z nią porozmawiała. Jeśli zdradzi ci, gdzie ukrywają się bandyci, którzy strzelali do Heydricha, Greiff pozwoli, by odwiedził ją lekarz.

– To znaczy, że ty też wierzysz, że ona miała coś wspólnego z zamachem na twojego szefa? – spytała Deborah, zastanawiając się, czy aby Albrecht jej nie podejrzewa i nie zastawił na nią pułapki. Do tej pory zdążyła się już dowiedzieć, że 27 maja w Pradze dokonano zamachu na Reinharda Heydricha, ale według lekarzy wyszedł z tego cało i jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Zasadniczo nie wierzę w nic, co nie znajduje potwierdzenia w dowodach. Co prawda Sturmbannführer von Greiff nie zalicza się do grona moich przyjaciół, ale obaj należymy do elity SS. Poza tym wiem, że zna się na swoim fachu i jeśli ktoś może odkryć prawdę o zamachu, to tylko on. Zresztą ja też chciałbym wiedzieć, kto stał za tą akcją. Porozmawiaj z Marlene i wyciągnij z niej wszystko, co wie.

Deborah próbowała wyczytać coś z twarzy Albrechta. Czyżby uwierzył w oskarżenia Greiffa i zaczął ją podejrzewać? Niestety mina jej kochanka była nieodgadniona. Przynajmniej tyle dobrego, że pozwolą

jej zobaczyć się z Marlene. Mogłaby z nią porozmawiać o aresztowaniu Jakuba. A może Marlene dałaby kontakt do kogoś z grupy? Cała reszta nie miała znaczenia.

– Dobrze – kiwnęła głową. – Porozmawiam z nią.

– Grzeczna dziewczynka. – Albrecht rzucił serwetkę obok talerza i wstał. – Ubierz się, zaraz ruszamy.

Drogę do więzienia przy ulicy Montelupich w północnej części Krakowa przebyli w milczeniu. W końcu auto zatrzymało się przed kompleksem dawnych koszar przy zbiegu Montelupich i Kamiennej.

– Nie idziesz ze mną? – spytała nerwowo Deborah, widząc, że Albrecht nie kwapi się z otwarciem drzwiczek po swojej stronie.

– Nie, mam jeszcze do załatwienia kilka spraw. Przyślę po ciebie Osmana, będzie czekał za godzinę przed bramą.

– Zostawisz mnie z Greiffem samą? – Deborah z trudem panowała nad głosem.

Albrecht uśmiechnął się władczo.

– Nie musisz się go obawiać, Mario, nie ma prawa cię skrzywdzić. Poleciałem, by traktowano cię odpowiednio. Wierz mi, nawet Greiff nie może sobie pozwolić na to, by ze mną igrać. A już na pewno nie z moim szefem. No, idź już i spraw się. Potem będę miał dla ciebie nagrodę.

Osman otworzył drzwiczki auta i Deborahze nie pozostało nic innego, jak wysiąść.

– Aha, i jeszcze jedno – zawołał Albrecht, a gdy Deborah zwróciła na niego pytające spojrzenie, uśmiechnął się krzywo i dokończył: – Musisz wiedzieć, że Marlene wiele straciła ze swej dawnej urody.

Deborah po raz pierwszy poczuła do niego prawdziwą nienawiść.

Strażnik szedł przodem w milczeniu, nie zwracając specjalnie uwagi, czy Deborah dotrzymuje mu kroku. Zbiegł po wąskich schodkach, przemierzył niekończące się, ciemne, cuchnące stęchlizną i wyziewami kanalizacji korytarze, które miejscami były tak niskie, że musiał schylać głowę, bez słowa otworzył zamknięte na klucz ciężkie drzwi i wpuścił Deborahę do środka.

– Zaczekam na zewnątrz – odezwał się wreszcie. – W razie potrzeby, proszę zawołać.

Deborah zmusiła się, by skinąć głową na znak, że zrozumiała, lecz drzwi zdążyły się już zamknąć i w zamku zazgrzytał klucz.

– Już się zastanawiałam, kiedy się zjawisz. Kto cię przysłał? Greiff czy Brunnmann? – Marlene leżała wyciągnięta na pryczy.

Chociaż Albrecht uprzedził Deborahę, to i tak była wstrząśnięta tym, co ujrzała. Marlene leżała we własnych odchodach. Ponieważ była całkowicie sparaliżowana, nie mogła skorzystać ze stojącego w kącie metalowego wiadra.

Deborah bezradnie rozejrzała się po celi. Nie było tu ani wody, ani papieru, ani nawet skrawka starego prześcieradła. Nic. Tylko brud, odór i robactwo.

– Tak, to nie Adlon – powiedziała cicho Marlene, gdy Deborah podeszła do pryczy. – Nachyl się, proszę. Ściany są wprawdzie grube, ale wolę nie ryzykować. Posłuchaj, Deboro, nie wiem, ile mamy czasu. Nie wyjdę stąd żywa. Musisz doprowadzić naszą misję do końca i ukraść Brunnmannowi oryginał protokołu. Potem przekaz go Osmanowi. On wie, komu go dostarczyć. Obiecuj mi, że to zrobisz. – Deborah nie odpowiedziała, tylko patrzyła w milczeniu na przyjaciółkę. Zrozumiała, że ciało Marlene zostało wprawdzie zmiażdżone, lecz jej wola jest twarda jak stal.

– Obiecuj!

– Obiecuję – wykrztusiła z trudem Deborah.

– Dobrze. Musisz mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę. Z oczywistych powodów – na twarzy Marlene pojawił się wymuszony uśmiech – nie mogłam użyć swojej kapsułki z cyjankiem. Greiff mi ją zabrał. Ale u ciebie w łazience ukryłam drugą, jest przyklejona pod szafką z ręcznikami. Musisz mi ją

przynieść i podać. Do ust – dodała z naciskiem.

– Słucham?

– Dobrze słyszałaś. Spójrz na mnie, jestem wrakiem! Poniżej szyi nic nie czuję. Nic! Nawet nasz jednooki przyjaciel nie ma ze mnie pożytku. Musisz ją przynieść, słyszysz?

– Mam ci ją przynieść, żebyś mogła się zabić? – spytała cicho Deborah.

– Mądra dziewczynka, tak właśnie masz zrobić.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”! Chcę umrzeć. Nie widzisz, że leżę we własnym gównie? Zrób to najszybciej, jak tylko możesz. Jeśli jesteś moją przyjaciółką, zrobisz to dla mnie.

Deborah patrzyła na Marlene niezdolna wykrztusić słowa. Czowała wściekłość i rozpacz.

– Proszę, obiecaj mi to. Proszę... – W głosie Marlene pojawiła się nowa, bolesna nuta, która przeszła serce Debory. Zrozumiała, że straci jedyną przyjaciółkę. I cokolwiek zrobi lub powie, nie zdoła odwieść Marlene od powziętego zamiaru. Zresztą, jeśli Marlene nie zabije się sama, zrobią to jej oprawcy.

– Obiecuję...

– Dobrze. W takim razie zdradzę ci teraz ważną informację na temat naszej grupy. Powiedz im, że jutro mam ci przekazać więcej szczegółów, wtedy znowu cię wpuszczą.

Marlene przekazała szeptem kilka fałszywych informacji, które miała w zanadru na wypadek aresztowania. Dzięki jej wskazówkom gestapowcy mieli znaleźć w starej fabryce kilka drobiazgów, jak choćby zdobyczne mundury niemieckiej policji, nie zdając sobie sprawy z tego, że ten magazyn został specjalnie przygotowany na taką właśnie okazję.

– Co się stało? Dlaczego tak na mnie patrzysz? – Przyjaciółka chyba dostrzegła wahanie na twarzy Debory. Najwyraźniej Marlene nie miała pojęcia o aresztowaniu Jakuba, a ona nie wiedziała, jak jej o tym powiedzieć. Marlene kochała Jakuba, który został aresztowany w jej, Debory, ramionach. W końcu zdobyła się na odwagę i wyszeptowała:

– Jakub został aresztowany.

– Wiem, ale nic na to nie możemy poradzić – twarz Marlene stała się nagle jakby wykuta z kamienia.

– Na pewno znasz ludzi z grupy. Może zdołaliby go uwolnić.

– Nie bądź naiwna. Mają dość własnych problemów.

– Ale...

– Żadnych „ale”. Jakub wiedział, czym ryzykuje. Nasze życie nie ma znaczenia, liczy się sprawa. Teraz ty musisz zająć jego i moje miejsce, Deboro. Gdyby tu był, powiedziałby ci to samo. Zrób to dla niego. A teraz idź i zdobądź protokół. Liczymy na ciebie. I nie zapomnij, co obiecałaś. Do jutra, przyjaciółko.

Kiedy Deborah wyszła, kamienna maska opadła z twarzy Marlene, ustępując miejsca czystej rozpacz. Greiff wygrał. Nic jej nie pozostało, nawet duma. Mogła już liczyć wyłącznie na to, że Deborah dotrzyma słowa i poda jej cyjankali – o ile ją wpuszczą do celi. Marlene chciała umrzeć. Postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała: kierowana złudną nadzieją, że w ten sposób uchroni Jakuba przed dalszymi torturami, zdradziła. Greiff przywiązał Marlene do wysokiego krzesła i kazał jej patrzeć, jak metodycznie dręczy Jakuba. Minuta po minucie, godzina po godzinie, przez całą noc.

Jakub natychmiast zrozumiał, po co jego oprawca sprowadził Marlene. Krzyczał, żeby trzymała gębę na kłódkę, że oni się nie liczą, ważna jest tylko sprawa. To jego słowa powtórzyła Deborze. Nad ranem Marlene nie wytrzymała. Greiff właśnie wykłuł Jakubowi oko. Jakub jęknął, ale nie krzyknął. Ani razu. Za to Marlene krzyczała za nich oboje, aż głos odmówił jej posłuszeństwa i ochrypla tak, że krzyk zamienił się w szept. I kiedy Jakub pierwszy raz stracił przytomność, szepnęła:

– Niech pan przestanie, Greiff! Powiem wszystko, co wiem, ale dopiero, kiedy Jakubem zajmie się

lekarz.

Greiff skinął głową i po kilku minutach zjawił się doktor. Gestapowiec nachylił się ku Marlene i rzucił:

– No więc? Słucham.

Wtedy Marlene opowiedziała mu wszystko, co wiedziała na temat następnej akcji.

Co ja najlepszego narobiłam!, wyrzucała sobie poniewczasie. Zdradziła wszystko i wszystkich: siebie, Jakuba, sprawę. Wszystko na darmo. Bo gdy skończyła, Greiff spojrzał na nią badawczo i rzekł:

– Dziękuję ci, Anno, żeś mnie nie okłamała. Przynajmniej ten jeden jedyny raz. Tylko że o tym wszystkim opowiedział mi wczoraj inny informator. Żałuję, ale chyba rozumiesz, że skoro nie dowiedziałem się od ciebie niczego nowego, nie czuję się związany naszą umową. – Mówiąc to, uśmiechał się do niej słodko. A potem odprawił lekarza i kontynuował swoje piekielne dzieło.

Drzwi celi ponownie się otworzyły. Marlene wiedziała, że to strażnik. Już wczoraj się do niej dobierał, a ona nie mogła się bronić przed jego obleśnymi łapami.

– Uuu, żydowska dziwka śmierdzi jak obora.

– Nawzajem. Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, wzięłabym kąpiel.

– Milcz. – Strażnik uderzył ją w twarz i Marlene poczuła na ustach krew. O dziwo, ból sprawił jej przyjemność. Pomyślała o Deborze, która sama sobie go zadawała. Jej przyjaciółka miała rację, ból może przynieść ulgę. Marlene nagle wybuchła głośnym śmiechem.

– Co jest? Dlaczego ona się śmieje? – Do celi wszedł jeszcze jeden mężczyzna, a za nim następny. Marlene nie widziała ich, gdyż zatrzymali się poza zasięgiem jej wzroku.

– Nie mam pojęcia, pewnie oszalała. Nie ona pierwsza i nie ostatnia. Czego tutaj szukacie? – spytał strażnik.

– Mamy ją zawieźć do szpitala. Sturmbannführer Greiff chce, żeby została przy życiu najdłużej, jak to możliwe.

– Dziwne – stwierdził strażnik. – Zwykle jest na odwrót.

W przeciwieństwie do wachmana Marlene w mig przejrzała motywy Greiffa. Wiedziała, że prowadzi z nią sadystyczną grę. Chciał, żeby jak najdłużej dręczył ją obraz skatowanego Jakuba. To była jej tortura.

Marlene zaczęła żałować, że skoro już ma pozostać przy życiu, to istotnie nie oszalała.

Deborah wzburzona podążyła za strażnikiem do wyjścia. Czuła mdłości – nie, nie z powodu odoru, który otaczał ją gęstą chmurą. Tym, co wywracało jej żołądek, była nędza tego świata. Ujrzała całą potworność otaczającej ją rzeczywistości, prawdziwe oblicze świata pozbawionego maski blichtru, który tak długo ją oślepiał. W prawdziwym świecie ludzie nie przemawiali pięknymi ariami i nie pili szampana. W prawdziwym świecie ludzie cierpieli i umierali – zabijani na froncie lub mordowani przez tych, którzy rozpętali tę wojnę.

Zdaniem Jakuba podczas konferencji w Wannsee Niemcy postanowili wymordować wszystkich Żydów. Miliony ludzi. Bo zgodnie z ich definicją stanowili niższą rasę, kategorię istot niegodnych życia. Marlene była pół-Żydówką, więc jedyną ucieczką była dla niej śmierć.

Pomścę cię, Marlene!, poprzysięgła Deborah w duchu. *Zapłacę za twoją śmierć!* Postanowiła zrobić wszystko, by zdobyć protokół i przekonać cały świat o odrażających planach nazistów. Powstrzymać apokalipsę szykowaną przez Hitlera i jego siepaczy!

Wyszła z ciemnego lochu na dziedziniec więzienia i oślepiona dziennym światłem zmrużyła oczy. W końcu ujrzała Greiffa. Stał na środku podwórza w towarzystwie swoich dwóch blondwłosych czeladników. W czarnym płaszczu wyglądał jak wcielenie szatana. Na widok jego złośliwego uśmiechu Deborah poczuła, że chociaż jej twarz rozgrzewają promienie ciepłego majowego słońca, to ciało

przeszywa lodowaty dreszcz. Greiff w milczeniu wskazał głową w bok. Deborah spojrzała w tamtym kierunku i jej serce zamarło.

W rogu podwórza stała szubienica, na której powieszono wysokiego mężczyznę. Choć jego ciało było niewyobrażalnie okaleczone, a zmasakrowana twarz spoglądała na nią pustymi oczodołami, Deborah rozpoznała ją w tej samej sekundzie, w której ją zobaczyła.

Jakub.

I wtedy coś w niej pękło. Osunęła się na kolana i zaczęła wyc. Jak zwierzę.

Kraków, Szpital Świętego Łazarza, marzec 1943 roku

Marlene obudziła się, a właściwie otworzyła jedynie oczy. Od dziewięciu miesięcy żyła jak we mgle. Nie odróżniała nocy od dnia. Był tylko niekończący się czas, w którym leżała zatopiona w bezruchu, patrząc na rozpad swojego ciała. I tylko jej myśli wędrowały jak dawniej. Nie umarła ani nie oszalała. Jednak jej ciało i dusza wypowiedziały posłuszeństwo woli. Bywały takie dni, że się poddawała, popadała w głęboką depresję i płakała. Płakała, póki starczyło jej łez, bez końca prześladowana przez obraz zmasakrowanego Jakuba. A potem przypominała sobie jego ostatnie spojrzenie i ukryte w nim nieme błaganie, by nie zdradziła ich sprawy.

Innym znów razem ogarniała ją nienawiść i bezsilny gniew. Jej myśli kotłowały się w głowie, krążąc wokół jednego pytania: jak zabić Greiffa. Na próżno. Nie mogła nic zrobić, nawet umrzeć. Greiff odniósł absolutne zwycięstwo.

Leżała w izolatce, z dala od innych pacjentów. Jej pokój, urządzonego w pozbawionym okien składziku, mierzył zaledwie cztery metry kwadratowe. Marlene nazywała go trumną. Jedyńm promykiem światła był starszy lekarz, który odwiedzał ją, kiedy tylko znalazł wolną chwilę. Rozmawiał z nią wtedy, nadając swemu głosowi przesadnie pogodny ton, jakby była małą dziewczynką, a on czytał jej bajkę. Kiedyś zresztą wspomniał, że Marlene przypomina mu przedwcześnie zmarłą córeczkę.

W pierwszych tygodniach Marlene nie reagowała na jego wizyty, chciała umrzeć w spokoju. On jednak nie dawał za wygraną. Ignorował jej milczenie i nieme żądanie, by zostawić ją sam na sam z myślami. Dbał o to, aby miała dobrą opiekę, aby regularnie zmieniano jej opatrunki i odwracano, by nie nabawiła się odleżyn, aby dostała dodatkową poduszkę i nie leżała zupełnie płasko, wpatrzona w sufit, a przede wszystkim o to, aby ją dobrze karmiono. Czasami sam pomagał jej podczas posiłku.

W pierwszych dniach Marlene odmawiała jedzenia, w nadziei, że się zagłodzi na śmierć. Lecz wtedy zaordynowano przymusowe karmienie, a lekarz szepnął, że „ten gestapowiec, Greiff żąda regularnych raportów na temat jej stanu i zagroził całemu oddziałowi drakońskimi karami, jeśli Marlene umrze. Wtedy uległa. Nie było sensu narażać personelu szpitala na gniew Greiffa.

Tego ranka właśnie ją odwrócono i leżała na plecach. Drzwi jej pokoiku były otwarte. Również to zawdzięczała swemu dobroczyńcy, który zadbał, by z korytarza wpadała choć odrobina dziennego światła. Albowiem Greiff zabronił zapalać w izolatce żarówkę. Chciał, by Marlene wegetowała w ciemności.

Oczy Marlene uważnie wędrowały po suficie. Jest! Od kilku tygodni nad jej łóżkiem wisiał pająk. Czasem zniknął na kilka godzin, a nawet dni, ale do tej pory za każdym razem wracał. Od czasu do czasu spuszczał się na nici i spacerował po łóżku Marlene, a wczoraj pierwszy raz po jej twarzy. Czują cudowne łaskotanie. Dobrze, że przynajmniej ten skrawek jej ciała może jeszcze odczuwać dotyk.

Pająk był brązowy, tłusty i miał włochate odnóża. Marlene uznała, że jest piękny, i szybko się z nim zaprzyjaźniła. Kiedy leżała na plecach, często z nim rozmawiała. Wtedy pająk zastygał w bezruchu obok upolowanej muchy.

– No, grubasku, znów coś złowiłeś? – Pająk siedział nieporuszony, lecz Marlene niezrażona mówiła dalej. Opowiadała mu o rolach, które grała w szkolnym teatrze, recytowała fragmenty *Romea i Julii*.

Wciąż znała cały tekst na pamięć. Skoro nie było jej dane oszaleć, to postanowiła, że nie pozwoli skarłowaciej swojej duszy. Gdyby nie Hitler i jego siepacze, z pewnością została by aktorką. Już od dawna nie myślała o tamtych dziewczęcych planach. Te marzenia przynależały do innego czasu, innego świata, innego życia. Życia, które już nigdy nie wróci.

Mimo to w ostatnich dniach jej duch jakby się nieco ożywił, a myśli po raz pierwszy od dawna poczęły się kręcić wokół zewnętrznego świata. Marlene powoli przestawała się zatracać w przeszłości czy snuciu nierealistycznych planów zemsty.

Nie było to zasługą przyjaźni z tłustym pajęczkiem, tylko doktora Hondla, który w końcu zdobył się na odwagę i wbrew zakazowi Greiffa przekazał Marlene najnowsze wieści ze świata. Życie jego podopiecznej do tej pory toczyło się w zupełnej izolacji i nie docierało do niej nic, co się działo poza jej „trumną”.

Od wydarzeń, o których opowiedział jej doktor, minęło wprawdzie już trochę czasu, lecz w niczym nie umniejszało to radości Marlene. Nazistowski reżim chylił się z wolna ku upadkowi. W Pradze czeski ruch oporu dokonał zamachu na Reinharda Heydricha, trzecią osobę w Rzeszy i człowieka odpowiedzialnego za „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” – zamachu udanego, gdyż po ośmiu dniach Heydrich zmarł wskutek powikłań pooperacyjnych. Później, w listopadzie 1942 roku, Amerykanie wreszcie włączyli się aktywnie w działania wojenne i w Afryce Północnej pokonali połączone siły Niemiec i Włoch. Brytyjczycy nie byli już osamotnieni w walce.

Na początku 1943 roku Niemcy ponieśli pod Stalingradem następną, wręcz druzgocącą klęskę. Widoki na to, że Rzesza Niemiecka przegra rozpętaną przez siebie wojnę, stawały się coraz bardziej realne. Marlene uznała, że mimo wszystko jeszcze nie jest tak całkiem otepiała, skoro odczuwa radość na wieść o tych wydarzeniach.

Spojrzała na przeciwległą ścianę, na której wisiał mały kalendarz ze zdzieranymi kartkami. Jeszcze jeden luksus, który od niedawna zawdzięczała doktorowi Hondlowi. Był 19 kwietnia 1943 roku – wigilia żydowskiego święta Pesach. Marlene skierowała wzrok na swój duży palec u stopy, który wystawał spod kołdry, niczym muszka celownika wskazując prosto na kalendarz. Siostra nie okryła dokładnie jej stóp kołdrą, która zresztą i tak była niepotrzebna, skoro Marlene nie czuła ani chłodu, ani ciepła. Ale przynajmniej skrywała jej przeraźliwie wychudzone ciało i stopniowo zanikające mięśnie.

Nagle Marlene usłyszała na korytarzu zbliżające się energicznie kroki. Podkute obcasy. Po chwili żandarm przekroczył próg izolatki, wszedł w zasięg wzroku pacjentki i zatrzymał się idealnie między nią a kalendarzem. W głowie Marlene kołatała tylko jedna myśl: *Może go nie zauważy i nie zabierze!*

Mężczyzna miał w ręku list.

– Anna von Dürkheim?

Już miała na końcu języka zjadliwą odpowiedź, lecz powstrzymała się i tylko powoli mrugnęła oczami – na znak potwierdzenia. Już w pierwszym miesiącu pobytu w „trumnie” nauczyła się, że w jej położeniu lepiej nie okazywać hardości. Wtedy to, podczas pierwszej wizyty złożonej jej przez żandarma, obrzuciła go szyderstwem, licząc, że ten wyciągnie pistolet i ją zastrzeli. On jednak sięgnął po nocnik i wylał jej na głowę jego zawartość. Siostra miała potem mnóstwo sprzątanina.

Żandarm pomachał kartką.

– Wiadomość z Berlina. Twój dziadek umarł z więzienia.

– Dziadek? W więzieniu? – powtórzyła z niedowierzaniem Marlene, raczej do siebie niż do żandarma.

– Przecież mówię wyraźnie. Twoja działalność antypaństwowa nie pozostaje bez konsekwencji. Majątek twoich dziadków został skonfiskowany, a on sam zaatakował urzędnika na służbie.

– Co z moją babcią? – spytała Marlene.

– A co mnie obchodzi twoja babka? – odszczeknął żandarm, po czym rzucił kopertę na łóżko i wyszedł.

zamykając za sobą drzwi. Marlene znów leżała w ciemności.

Kilka następnych godzin spędziła sam na sam z własnymi demonami. List leżał gdzieś na kołdrze. Wyobraziła sobie, że czuje jego ciężar. Kilka ton. Wiadomość o śmierci dziadka wstrząsnęła nią. *Co z babcią?*, zastanawiała się. *Czy to ona napisała ten list? Jeśli majątek dziadka został skonfiskowany, to na pewno musiała opuścić dom przy Unter den Linden.*

Niepewność przyprawiała Marlene o obłąd, zwłaszcza że trawiło ją poczucie winy. Oczywiście Greiff doskonale o tym wiedział. Nagle jednak zakiełkowała w niej niespodziewana myśl: *A jeśli to kłamstwo? Jeśli Greiff chce mnie tylko dodatkowo pogłębić?* Może dowiedział się, że lekarz opowiedział Marlene o niemieckich klęskach, i postanowił odebrać jej nadzieję, że dziadek i tym razem wyciągnie ją z więzienia. Taka perfidia byłaby podobna do Hubertusa von Greiffa. Ten sadysta doskonale potrafił niszczyć ludzi nie tylko fizycznie, ale również psychicznie. I rzeczywiście – i tym razem jego diabelski zasiew faktycznie zaczął już wschodzić: Marlene zaczęła się zdręzczać myślami, aż w końcu nabawiła się tak potwornej migreny, jakby za chwilę miała jej eksplodować głowa.

I wtedy poczuła łaskotanie. Musiała upłynąć dłuższa chwila, by zrozumiała, że to musi być pajak – i jeszcze dłuższa, by dotarło do niej, że czuje owo łaskotanie nie na twarzy, tylko na stopie. *Na stopie? Przecież to niemożliwe!*, pomyślała. Była pewna, że musiało jej się wydawać. *To pewnie sen. Albo w końcu naprawdę popadam w obłąd...*

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i wraz ze światłem do pokoju zawitał doktor Hondl. Marlene spojrzała na swoją stopę: pajak siedział na jej dużym palcu i zdawał się patrzeć jej prosto w oczy.

Lekarz podszedł do łóżka.

– Dobry wieczór, Marlene! Jak się pani dziś czuje? Słyszałem, że miała pani niedawno gościa.

– Nareszcie, panie doktorze. Na łóżku leży list, proszę mi go przeczytać.

Sięgając po kopertę, lekarz spostrzegł pajaka siedzącego na stopie Marlene.

– Fe, co za obrzydliwe stworzenie! – machnął ręką, by strącić intruza, lecz Marlene zawołała:

– Nie, proszę go zostawić. To mój jedyny towarzysz.

Doktor Hondl spojrzał na swoją pacjentkę, po czym uśmiechnął się, ale nie skomentował wyznania Marlene. Następnie wyciągnął spod łóżka stołek, który tam przechowywał, usiadł w nogach łóżka, tak aby Marlene mogła go widzieć, i wyjął list z koperty.

– Proszę mi najpierw pokazać pismo! – poprosiła Marlene. Lekarz podniósł kartkę na wysokość jej oczu. Marlene poczuła na twarzy uderzenie gorąca. Litery zostały skreślone ręką jej babki. – Proszę... – szepnęła słabo.

List istotnie zawierał wiadomość o śmierci dziadka.

A więc to prawda, pomyślała Marlene. Babcia nie wspomniała ani słowem o konfiskacie majątku, napisała tylko, że przeniosła się tymczasowo do krewnych. *Tak, babcia zawsze była dystyngowaną damą.*

– Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro, Marlene – powiedział lekarz i pogładził ją ze współczuciem po policzku. Z oczu Marlene pierwszy raz od dawna znowu płynęły łzy.

Doktor Hondl przez chwilę się wahał, ale w końcu zdobył się na odwagę.

– Jeśli sobie pani życzy, jestem gotów napisać w pani imieniu odpowiedź.

Marlene wielokrotnie prosiła doktora o pomoc w wysłaniu listu, lecz on, obawiając się Greiffa, odmawiał jej prośbom, toteż teraz spojrzała na niego z namysłem.

Greiff zabił albo przynajmniej doprowadził do ruiny wszystkich, którzy byli jej bliscy. Została jej tylko babcia, która miała już swoje lata. Do kogo mogłaby napisać, jeśli nie do niej? Krewni ze strony matki zostali deportowani z Krakowa już w kwietniu 1940 roku i nawet Jakub, który miał swoje kanały, nie

zdołał się dowiedzieć, dokąd ich wywieziono. Przepadli jak kamień w wodę. Marlene podejrzewała, że również w tym maczał palce von Greiff. Potem przypomniała sobie o Deborze. Od dawna nie myślała o przyjaciółce. Co się z nią stało? Czy zdołali z Osmanem ukraść protokół z sejfu Brunnmanna i wysłać go do Londynu? Nagle znów żywo zainteresowała się tą sprawą. Od śmierci Jakuba upłynęło dziewięć miesięcy. Obowiązki służbowe sprowadzały Brunnmanna co jakiś czas do Generalnego Gubernatorstwa; zresztą wizyta, którą złożył w Krakowie przed dziewięcioma miesiącami, nie była pierwszą. A gdyby tak poprosić doktora Hondla, by wypytał w hotelu, czy nie zatrzymał się w nim Obersturmbannführer Brunnmann?

– Prawdę mówiąc, miałabym inną prośbę, panie doktorze. Czy pamięta pan moją młodą towarzyszkę, którą przywieziono tu razem ze mną po zamachu na kawiarnię? Przyjaciółkę obersturmbannführera Brunnmanna?

Doktor nieznacznie skinął głową.

– Ciekawa jestem, czy jest obecnie w Krakowie. Jeśli tak, to zapewne zatrzymała się w Grand Hotelu przy Sławkowskiej. Czy byłby pan skłonny dyskretnie o to wypytać?

Od razu spostrzegła, że żąda od lekarza zbyt wiele. Napisać list i potajemnie go wysłać to jedno, a pójść do hotelu i wypytać o przyjaciółkę wysokiej rangi oficera SS, to zupełnie inna para kaloszy. Marlene zastanawiała się przez chwilę, jak przekonać doktora, i w końcu przysła jej do głowy pewna myśl.

– Mam pewien pomysł. Proszę zapytać w hotelu o Osmana, to szofer Brunnmanna. Może się pan podać za mechanika, wszystko będzie wyglądać zupełnie naturalnie. Proszę się nie zdziwić, bo Osman jest niemową. Kiedy go pan zobaczy, proszę mu powiedzieć, by przekazał Deborze, gdzie można mnie znaleźć. Zrobi pan to dla mnie, doktorze?

– Dobrze, zgoda – odrzekł z wahaniem lekarz. – Ale dopiero za kilka dni.

– Proszę się nie śpieszyć, mam mnóstwo czasu i nigdzie się nie wybieram. – Marlene uśmiechnęła się do doktora nieśmiało. – Byłabym również wdzięczna, gdyby wysłał pan list do mojej babki.

– Oczywiście. Teraz muszę iść obejrzyć pozostałych pacjentów, ale niedługo wrócę, przyniosę papier i pióro. – Lekarz uściśnął przedramię Marlene i wyszedł z pokoju.

Dziwne, pomyślała Marlene. Mogłaby przysiąc, że poczuła dotyk dłoni doktora. Powoli zaczynała się czuć nieswojo. Czyżby cierpiała na urojenia? Musiała to sprawdzić. Poszukała wzrokiem pająka. Siedział bez ruchu na jej dużym palcu.

– No, rusz się, grubasku, połaskocz mnie trochę.

W ciągu kilku następnych dni okazało się, że Marlene się nie myliła. Coraz częściej czuła mrowienie w różnych rejonach ciała. Była już pewna, że odzyskuje czucie! Powoli, ale niepowstrzymanie. Jak to możliwe? Nie wierzyła w cuda, lecz po kilku dniach była już w stanie lekko poruszyć palcem wskazującym prawej ręki. Prawdopodobnie mogłaby czynić dużo szybsze postępy, ale jej mięśnie były w zaniku i nie miała zupełnie siły.

Po tygodniu doktor Hondl przyniósł kolejną dobrą wiadomość. Wypytał hotelowego portiera o Osmana, ten zaś poinformował go, że szofer co prawda jest w tej chwili nieobecny, ale ponieważ „pan Obersturmbannführer za kilka dni ponownie zaszczyci hotel swoją obecnością, sądzić należy, że jak zwykle będzie mu towarzyszył osobisty kierowca”. O Deborze i jej ewentualnej wizycie portier nie wspomniał, a doktor Hondl nie miał odwagi o nią zapytać. Obiecał za to Marlene, że za tydzień wróci do hotelu i znów spyta o Osmana.

Tymczasem Marlene zaczęła ćwiczyć mięśnie. Kiedy tylko jakaś część jej ciała odzyskiwała czucie, zaczynała ją napinać i rozluźniać z takim zapamiętaniem, że aż występował jej pot na czole. Ćwiczyła z

zacięciem i w trzecim tygodniu była w stanie unieść prawą dłoń i poruszać palcami lewej. Również w stopach odzyskała już nieco czucia. Bez przerwy czuła w nich mrowienie i mogła już zginać palce. Była przekonana, że z pomocą doktora Hondla robiłaby dużo szybsze postępy, ale wciąż się wahała, czy powinna mu się zwierzyć z tego cudownego ozdrowienia.

W końcu któregoś dnia, około południa, w jej pokoju zjawił się Osman. Doktor Hondl dotrzymał słowa. Co prawda szofer nie miał zbyt wiele czasu – mógł zostać tylko dwie godziny, gdyż potem musiał odebrać Brunnmanna – ale zdążył przekazać Marlene, że tuż po śmierci Jakuba, jeszcze na więziennym dziedzińcu, Deborah próbowała zaatakować Greiffa nożem. Osman opisał wszystko nieco chropawym stylem w notatniku, który zawsze nosił w kieszeni: „Powstrzymałem ją, bo widziałem, co zamierza. Wchodzę pomiędzy nich. Nikt nie widział noża, Allahowi niech będą dzięki. Tylko Osman. Greiff bardzo rozbawiony. Zabieram Deborah do auta. Potem długo choruje. B. każe mi zawieźć ją do Monachium”.

– Dzielna dziewczyna! Szkoda tylko, że nie zabiła Greiffa, ale wtedy już by nie żyła. Jak się teraz czuje?

Na twarzy Osmana pojawił się grymas. Sięgnął po notes i napisał: „Źle. Pilnują jej, nie może wychodzić z domu, musi robić, co każe B., inaczej wyśle jej brata do obozu”.

– Świnia zawsze pozostanie świnia – rzuciła Marlene wzburzoną głosem. – To znaczy, że nawet nie próbowaliście ukraść protokołu?

Osman pokręcił głową i skreślił odpowiedź: „Jeśli spróbuję i złapią, wtedy D. sama. Ja chronię D. Ona jak córka!” Szofer energicznie podkreślił ostatnie zdanie.

– Rozumiem. Jak długo Brunnmann zostanie w Krakowie? „Siedem dni, potem Warszawa. Powstanie w getcie. B. mówi, że w maju z powrotem w Monachium”.

– Powstanie? W Warszawie? Wiesz coś więcej?

„Źle. Niemcy bombardują getto. Ale wojna coraz gorzej dla Niemiec”.

– Co jeszcze wiesz? Możesz mi przynieść gazetę? – Marlene dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest spragniona wiadomości ze świata.

„Spróbuję. Wrócę jutro”.

Ale nie wrócił. Marlene raz jeszcze poprosiła doktora Hondla, by zapytał o szofera w hotelu, ale tym razem lekarz odmówił. Uznał, że ryzyko jest zbyt wielkie.

Marlene znów ogarnęła niepewność. Aby jednak odpędzić posępne myśli, z tym większym zapamiętaniem kontynuowała codzienne ćwiczenia i na początku sierpnia była w stanie unieść obie ręce i lekko zgiąć lewą nogę. We wrześniu zaś siostra, zmieniając pościel w jej łóżku, zauważyła:

– Dziwne, wydaje mi się, że wygląda pani trochę lepiej. Jakoś tak bardziej krzepko. – Marlene omal nie dostała zawału. Ale ćwiczyła dalej.

Pod koniec października, około piątej rano, Deborah stanęła nagle przy łóżku Marlene. Miała na sobie zwykłe wełniane spodnie, marynarkę i kaszkiet.

Marlene nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Ty tutaj? – spytała z niedowierzaniem. Deborah natychmiast rzuciła się na przyjaciółkę, przygniatając ją całym ciężarem ciała, i zaszlochała:

– Och, Marlene!

Przez kilka minut nie potrafiła powstrzymać łez.

Marlene ucieszyła się na widok Debory bardziej, niżby się spodziewała. Z trudem się powstrzymała, by nie podnieść ręki i nie pogłodzić przyjaciółki po plecach. Nie chciała się przedwcześnie zdradzać z odzyskaną sprawnością. Poruszyła jedynie nieznacznie głową.

W progu stał Osman. Nie wyglądał na szczególnie ucieszonego.

Deborah w końcu się nieco uspokoiła. Otarła kołdrą łzy i wstała.

– Biedactwo.

– Jak tu trafiłaś?

– Przywiózł mnie Osman. – Deborah zdjęła marynarkę i rzuciła ją na łóżko.

– To widzę, ale ostatnim razem Osman wspominał, że Brunmann wywiózł cię do Monachium i nie wypuszcza z domu.

– Miałam dość zamknięcia. Odkąd Osman przekazał mi, że żyjesz i leżysz w Krakowie w szpitalu, robiłam wszystko, by cię zobaczyć. Miesiącami odgrywałam skruszoną owieczkę. Po co niby studiować aktorstwo, jeśli nie można go użyć w prawdziwym życiu, prawda? – uśmiechnęła się. – Albrecht połknął w końcu haczyk i tym razem pozwolił mi jechać.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Jest na to zbyt inteligentny.

– Owszem, dlatego nie wolno mi opuszczać hotelu. Albrecht jest w delegacji, z gubernatorem Krakowa Ottonem Jakimś Tam, ale przed drzwiami apartamentu postawił głupiutkiego strażnika. Dlatego wyszłam przez okno. – Deborah była szalenie dumna z tego postępu.

– Albrecht ulokował cię na parterze? – spytała Marlene z niekłamanym zdumieniem.

– Nie, na drugim piętrze, ale dokładnie obejrzałam fasadę hotelu. Jest tam mnóstwo ściennych występów i gzymsów. Nic trudnego. Wcześniej wszystko dokładnie sprawdziłam, dwa razy. Bez problemu wdrapałam się z powrotem. Wczoraj w swoje plany wtajemniczyłam Osmana. Czekał na mnie na dole i przywiózł tutaj. Ale dość o mnie, mów, co u ciebie.

– Niewiele tu do opowiadania. Leżę przez cały dzień w łóżku i marzę o tym, by umrzeć albo przynajmniej oszaleć. Moim jedynym przyjacielem był pająk, ale jakiś czas temu zniknął. Osmanie? – Marlene zwróciła się do szofera. – Czy mógłbyś zamknąć drzwi i obserwować, czy nikt się nie zbliża?

Osman skinął głową, a kiedy tylko drzwi się zamknęły, Marlene zwróciła się energicznie do przyjaciółki:

– Szybko, pomóż mi, chcę wstać z łóżka.

– Słucham? – Deborah była pewna, że się przesłyszała.

– Wiosną nagle poczułam łaskotanie na stopie. To był pająk! Szedł mi po nodze. Tak się zaczęło. Do tej pory odzyskałam czucie w całym ciele, ale mięśnie jeszcze się nie odbudowały. Mimo to chcę w

końcu poczuć ziemię pod stopami. Minęło tyle czasu! No już, pomóż mi! – Zaciskając zęby, Marlene z trudem zsunęła nogi z łóżka i jej stopy dyndały teraz kilka centymetrów nad podłogą.

– Ależ to cudowna wiadomość! Może niedługo zaczniesz chodzić – ucieszyła się Deborah, obejmując przyjaciółkę ramieniem i pomagając jej wstać.

Marlene ostrożnie zsunęła się z krawędzi łóżka. Pierwszy raz od przeszło osiemnastu miesięcy jej stopy dotknęły podłoża. Było to przemożne i niespodziewane uczucie. Po chwili przeniosła cały ciężar ciała na nogi i lekko odsunęła się od Debory. Niestety, mięśnie były jeszcze zbyt słabe, by ją udźwignąć. Na szczęście zanim osunęła się na podłogę, zdążyła z powrotem opaść na łóżko. *To dopiero początek*, pomyślała. *Gdybym tak miała kogoś, z kim mogłabym ćwiczyć!*

– Musisz ćwiczyć! – powiedziała Deborah w tym samym momencie.

– Owszem, ale potrzebuję pomocy. Wystarczyłyby choćby kule.

– Zdobędę je! W końcu to szpital, prawda?

– I niby gdzie je ukryję, głuptasie?

– Przekupię siostrę. Mam dość pieniędzy i kosztowności.

Marlene nie była przekonana. Zastanawiała się, czy może zaufać doktorowi Hondlowi. W ostatnim czasie ich relacje jeszcze bardziej się zacieśniły. Tak jak Deborah stała się dla Osmana córką, tak doktor był dla Marlene niczym przybrany ojciec. Do tej pory napisał już dwa listy w jej imieniu i wysłał je na podany przez babkę adres w Brandenburgu, ale Marlene nie miała pojęcia, czy dotarły do adresatki. W każdym razie nie otrzymała odpowiedzi. Niewykluczone, że jej korespondencję przechwycił Greiff, ale jeśli rzeczywiście tak było, to albo nie wiedział, że pomagał jej doktor Hondl, albo liczył na to, że w kolejnych listach znajdzie jakieś użyteczne dla siebie informacje.

– Jak wygląda sytuacja na froncie? – zmieniła temat Marlene.

– Wuj Leopold mówi, że nie ma widoków na ostateczne zwycięstwo. – Deborah wzruszyła ramionami. – Brytyjczycy coraz częściej dokonują nalotów na miasta, a w Monachium jest mnóstwo uciekinierów z prowincji. Wuj Leopold mówi, że wkrótce zaczną nas też bombardować Amerykanie, a wtedy zacznie się piekło.

– Kto to jest wuj Leopold?

– Starszy brat Albrechta. Odwiedza nas od czasu do czasu. Ci dwaj – Leopold i Albrecht – są jak dzień i noc. Sądzę, że Leopold ukrywa Żydów. To by do niego pasowało. Albrecht zawsze robi rzeczy, które nie podobają się Leopoldowi i na odwrót. Ale Leopold oczywiście o tym nie mówi. Domyślam się tylko, bo Albrecht kilka razy pozwolił sobie na dziwne aluzje.

– Brzmi ciekawie. Wygląda na to, że wybrałaś niewłaściwego brata.

– Leopold jest księdzem, więc nie ma o czym mówić – zaśmiała się Deborah. – Ale bardzo go lubię.

– *À propos*, dałaś dowód wielkiej odwagi, rzucając się na Greiffa. Wiem od Osmana.

Twarzy Debory nagle zrobiła się śmiertelnie poważna, a w jej oczach błysnęły łzy.

– Zobaczyłam na szubienicy Jakuba. Był kompletnie zmasakrowany, a Greiff tylko się śmiał. Śmiał się, rozumiesz? Cholerny sadysta. Chciał, żebym zobaczyła Jakuba, specjalnie na mnie zaczekał. Wtedy coś we mnie pękło. Osman powstrzymał mnie w ostatniej chwili. Potem chciałam się zabić. Spójrz... – Deborah podwinęła rękaw swetra i pokazała blizny na żyłach. – I znów uratował mnie Osman. Wcisnął mi do ręki karteczkę, na której napisał: „Musisz żyć. Dla zemsty”. Zrozumiałam, że ma rację. Dlatego żyję, dla zemsty. Któregoś dnia zabiję ich obu, Albrechta i Greiffa. Przysięgam!

– Nie – odparła hardo Marlene. – Greiff należy do mnie!

Na chwilę w izolatce zapadła cisza. Marlene spostrzegła, że Deborah już otworzyła usta, by coś odrzec, lecz w ostatniej chwili się rozmyśliła. Jej milczenie było jednak równie wymowne jak to, co Marlene wyczytała w jej oczach: *Jak chcesz to zrobić? Nawet nie możesz ustać na nogach!*

Deborah w zadumie gładziła się po przedramionach. Marlene uważnie śledziła te mimowolne ruchy. Przeraziła się, gdy Deborah podwinęła rękawy, nie z powodu blizn na nadgarstkach, lecz ze względu na mnóstwo świeżych ran. Można by odnieść wrażenie, że Deborah chce się kompletnie posiekać. Również jej paznokcie były obgryzione do krwi. Marlene pomyślała, że jej przyjaciółka chce upaść na samo dno, bo dopiero wtedy będzie w stanie podnieść się i udźwignąć ciężar życia. Zrozumiała, że entuzjazm Debory to tylko maska. Autentyczna była jedynie radość ze spotkania z przyjaciółką, reszta to była gra. Deborah wciąż udawała. O ile wobec Brunnmanna pozorowała skruchę i pokorę, o tyle teraz odgrywała rolę pełnej wigoru młodej dziewczyny. Była naprawdę świetną aktorką. Lecz w jej oczach Marlene ujrzała otchłań.

– Twoje ręce wyglądają strasznie – powiedziała w końcu. – Musisz sobie to robić?

Deborah energicznym ruchem zsunęła rękaw.

– Tak, to mi pomaga. Inni muszą się upijać, a ja muszę sobie zadawać ból. Poza tym rany szybko się goją. Leopold chciał mnie z tego powodu wysłać do lekarza, aleja nie chcę. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy uważają, że to coś złego. Nawet mój brat krzyczy na mnie i skarży Leopoldowi. Mały donosiciel! Co to komu szkodzi? – mówiła z przekorą w głosie. – O co tyle hałasu? O kilka ranek?

– To ci nie pomaga, Deboro. Wręcz przeciwnie.

– O mnie się nie martw, radzę sobie doskonale. Powiedz lepiej, jak się tutaj znalazłaś.

Marlene zaśmiała się sucho.

– Tak naprawdę chciałabyś spytać, dlaczego Jakub zginął, a ja nie, mam rację? Odpowiedź jest prosta: Greiff chce, żebym żyła jak najdłużej. Wie, że to dla mnie największa kara. Dlatego traktują mnie względnie dobrze. Wierz mi, tysiąc razy modliłam się o śmierć.

– Przepraszam, że wtedy nie wróciłam – przerwała jej Deborah. – Albrecht kazał Osmanowi natychmiast odwieźć mnie do Monachium. Wysłał ze mną nawet jednego ze swoich ludzi, który miał mnie pilnować.

– Nie rób sobie wyrzutów, chciałam...

– *À propos*, mam ze sobą tę kapsułkę, o którą prosiłaś – Deborah znów wpadła przyjaciółce w słowo.

– Nie uwierzysz, ale wciąż była przyklejona do szafki. – Deborah sięgnęła do kieszeni spodni i podała Marlene truciznę.

Marlene patrzyła na kapsułkę kompletnie osłupiała. Oto kres jej cierpień, na wyciągnięcie ręki. Lecz nawet przez ułamek sekundy nie poczuła pokusy. Pokręciła zdecydowanie głową.

– Nie. Ale przechowaj ją dla mnie.

– Oczywiście – odrzekła Deborah i schowała kapsułkę z powrotem do kieszeni. – W takim razie pomyślmy, jak cię stąd wydostać.

Marlene ponownie pokręciła głową.

– Nie, Deboro. I tak masz już dość kłopotów. Lepiej będzie, jak wrócisz z Osmanem do hotelu, zanim ktoś cię u mnie zobaczy.

– Aleja chcę ci pomóc! No i co z kulami, które miałam dla ciebie zorganizować?

– Dajmy temu spokój. Na oddziale pracuje pewien lekarz, już wiele razy mi pomógł. Powiem mu o wszystkim. To moja jedyna szansa, jeśli chcę znowu chodzić.

Deborah nie wydawała się do końca przekonana, lecz mimo to bez słowa sięgnęła po zakiet.

– Przyjdę jutro. Albrecht wróci najwcześniej za dwa dni. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Może przekazać komuś wiadomość?

Zmęczona Marlene lekko się uśmiechnęła.

– Kto raz zostaje szpiegiem, jest nim do śmierci! Nie, nie musisz niczego nikomu przekazywać. Ale jeśli uda ci się jutro przyjść, to przynieś mi, proszę, gazetę.

Deborah wśliznęła się z powrotem przez okno do apartamentu.

– Patrzcie, patrzcie. Tak właśnie myślałem. Kota nie ma w domu, więc myszy harczą. Wy, kobiety, jesteście takie przewidywalne. – Albrecht siedział w fotelu z nogą na nodze. Jego oblicze było nieprzeniknione, w przeciwieństwie do twarzy Debory, której mina wyrażała kompletną konsternację. Niewiele brakowało, a ugięłyby się pod nią kolana. Na sztywnych nogach podeszła do Albrechta.

– Albrechcie, ja...

– Milcz! Rozczarowałaś mnie, Mario. Ufam ci, zabieram ze sobą, a ty przy pierwszej okazji mnie oszukasz. Moje wątpliwości były uzasadnione. Ledwie wyjechałem, a ty już biegiesz do tej całej Kalten. Przeklęta żydowska agentka! A przecież surowo zakazałem ci wychodzić z pokoju. Powiedz, co mam o tym myśleć?

Deborah rzuciła się przed nim na kolana.

– Zrozum, Albrechcie, ona jest moją przyjaciółką. Nie wierzę, że jest prawdziwym szpiegiem.

– Już o tym rozmawialiśmy. Są na to niezbita dowody. Poza tym kwestia winy jest nieistotna. Dla mnie liczy się tylko to, że mi się sprzeciwiłaś. I jeszcze wciągnęłaś w to Osmana. Od blisko piętnastu lat służy mojej rodzinie, a teraz muszę go odesłać. I to przez ciebie! Tym razem jestem naprawdę wściekły, Mario.

Deborah była przerażona.

– Osman nie ma z tym nic wspólnego – próbowała bronić szofera, lecz Albrecht przerwał jej obcesowo.

– Milcz! Mam dość twoich wykretów. Oczywiście, że jest winny! Sprzeciwił mi się w nie mniejszym stopniu niż ty. Wiedział doskonale, że nie wolno mu zawieźć cię do szpitala. Powinien był cię natychmiast zawrócić do hotelu. Za karę wyślę go na front wschodni, tam będzie mógł służyć Führerowi. Nie życzę sobie, by mi dłużej usługiwał.

– Błagam cię, Albrechcie, nie każ mu płacić za moje winy. Pojechał ze mną, by mnie pilnować.

– Dość. Już postanowiłem. Zresztą Osman jest już w drodze na front. A ty się rozbieraj i idź do łóżka, Mario. Czeka cię kara. – Dopiero teraz Deborah zauważyła, że Albrecht trzyma w dłoniach swój pejcz.

– Nie, Albrechcie, nie chcę! – Dziewczyna cofnęła się w stronę okna.

– Naprawdę myślisz, że interesuje mnie, czego chcesz? Ale proszę, mogę zawołać strażnika, by cię przytrzymał. – Albrecht wstał i ruszył w kierunku drzwi. Deborah natychmiast wdrapała się na parapet. I wtedy spostrzegła, że na dole czatuje jeszcze jeden esesman. Droga ucieczki została odcięta.

Za plecami usłyszała śmiech Albrechta. Śmiech tak przerażający, że niemal rzuciła się z okna, lecz w ostatniej chwili przypomniała sobie swojego małego braciszka. Miał dopiero dziesięć lat! Nie mogła go zostawić na pastwę losu. Obiecała rodzicom, że będzie go chronić!

Zsunęła się z parapetu i powoli odwróciła w stronę pokoju. Dłoń Albrechta spoczywała na klamce. Nie powiedział ani słowa. Tylko patrzył. Deborah zaczęła się rozbierać. Nie bała się bólu, tylko upokorzenia.

Berlin, lipiec 1944 roku

SS-Obergruppenführer doktor Ernst Kaltenbrunner, następca Reinharda Heydricha na stanowisku szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, zniecierpliwiony podniósł oczy. Jego adiutant, Arthur Schitler, wszedł właśnie bez pukania do gabinetu.

– Melduję, że Sturmbannführer Hubertus von Greiff nie żyje. Został dziś w nocy zamordowany w swoim mieszkaniu wraz z... hmm... jednym ze swoich ludzi – z trudem wyjąkał Schitler. Musiał chyba biec, bo był okropnie zasapany.

Kaltenbrunner zerwał się z miejsca.

– Co to znowu za bzdury?

Adiutant wyprężył się jak struna.

– Śledztwo już trwa, panie Obergruppenführer. Kaltenbrunner zmierzył Schitlera gniewnym spojrzeniem.

Pracował z nim od niedawna. Niespełna trzydziestoletni Schitler był wcześniej adiutantem Heydricha i Kaltenbrunner pozostawił go na stanowisku ze względu na świetną znajomość struktury stworzonego przez Heydricha Urzędu.

Obergruppenführer przez chwilę rozważał otrzymaną wiadomość. Wiedział, że odrażające plotki na temat seksualnych upodobań Greiffa nie były wyssane z palca. Nowy szef RSHA znalazł stosowne notatki w szufladzie swego poprzednika. A mimo to Heydrich nazywał Greiffa swoim najlepszym psem i zawsze go bronił. Owszem, nikt nie mógł się pochwalić wyższym odsetkiem rozwiązanych spraw niż ten cholerny Greiff, lecz z drugiej strony było tajemnicą poliszynela, że jego okrucieństwo przekracza wszelkie granice. Greiff nie wahał się brudzić sobie rąk. A teraz nie żyje. Został zamordowany, tak jak jego niegdysiejszy szef.

Kaltenbrunner zmełł w ustach przekleństwo. Lista podejrzanych okaże się pewnie równie gruba jak książka telefoniczna Berlina. Co za bagno! Führer, z którym Kaltenbrunner był blisko zaprzyjaźniony i do którego jako jeden z nielicznych w jego otoczeniu miał prawo się zwracać po imieniu, wpadnie w słuszny gniew na wieść o tym skandalu. *Jakbym nie miał dość problemów na głowie*, pomyślał szef RSHA. Właśnie przestudiował raport, którego autor dawał między wierszami do zrozumienia, że środki przeznaczone na realizację planu „ostatecznego rozwiązania” są na wyczerpaniu. A przecież to kierowany przez Kaltenbrunniera urząd miał realizować to zadanie. On, Kaltenbrunner, osobiście odpowiadał za rozwiązanie kwestii żydowskiej...

– Zna pan szczegóły? Czy nie chodziło przypadkiem o... – Kaltenbrunner chrząknął – zbrodnię w afekcie? – Z jego punktu widzenia byłoby to najlepsze rozwiązanie. Wówczas mógłby szybko ukręcić sprawie łeb, zanim odbije się rykoszetem również na jego karierze.

– Tego jeszcze nie ustalono, panie Obergruppenführer. Pierwsze wyniki oględzin są niejednoznaczne. – Adiutant umilkł, przełknął ślinę i po chwili kontynuował: – Według raportu lekarza policyjnego drugiemu z zamordowanych poderżnięto gardło, skądinąd z chirurgiczną niemal precyzją, podczas gdy Sturmbannführer Greiff najprawdopodobniej był przez kilka godzin torturowany.

– Torturowany? Greiff? W jaki sposób? – czoło Kaltenbrunniera spowiły jeszcze ciemniejsze chmury.

Oprawca znalazł swojego oprawcę.

– Wykluto mu oko, a przyrodzenie odcięto i włożono mu w usta – wyrzucił z siebie Schitler. – Lekarz twierdzi ponadto, że Sturmbannführer Greiff zmarł wskutek zadławienia. Więcej będzie wiadomo po sekcji.

Kaltenbrunner opadł na fotel.

– Niech pan zadba o to, żeby okoliczności śmierci Sturmbannführera nie przedostały się do wiadomości publicznej. Proszę nadać sprawie klauzulę „ściśle tajne”.

– Melduję, że już to zrobiłem, panie Obergruppenführer.

– Znakomicie. Proszę mnie informować na bieżąco. Dziś wieczorem oczekuję na moim biurku wyczerpującego raportu, i to zanim udam się na kolację z Führerem. Proszę wracać do pracy, Schitler.

Adiutant strzelił obcasami, zsalutował i opuścił gabinet Kaltenbrunera. W sekretariacie bez słowa minął panie, które odprowadziły go zdumionymi spojrzeniami.

Gdy wrócił do swojego gabinetu, poinformował sekretarkę, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzano, i okopał się za swoim biurkiem. Serce waliło mu jak oszalałe. Położywszy dłoń na piersi, wyczuł w kieszeni kopertę dostarczoną mu przez gońca na chwilę przed złożeniem raportu szefowi. Do listu, wysłanego przez jego młodą kochankę Gretę, dołączono fotografię: Greta, odziana jedynie w mundurową czapkę Schitlera, salutuje mu, podczas gdy on leży w łóżku i wznosi toast kieliszkiem szampana. Przypomniawszy sobie jak przez mgłę, że w tym momencie był już mocno pijany. Na odwrocie można było przeczytać żądanie. Greta domagała się trzech paszportów: dwóch wystawionych na kobiecie nazwiska oraz jednego dla dziesięcioletniego chłopca. Miał przekazać dokumenty o siódmej wieczorem przed głównym wejściem do Tiergarten.

Schitler domyślił się, że paszporty mają pomóc w ucieczce trójce Żydów. Bardziej niż samo żądanie nurtowało go jednak pytanie o autora fotografii. Wszystko bowiem wskazywało na to, że Greta miała współnika, to zaś wiązało Schitlerowi ręce. Sądząc po perspektywie, z jakiej wykonano zdjęcie, współnik ów musiał się ukryć w szafie wynajętej garsoniery.

Wszelako najbardziej irytowała Schitlera własna głupota. Musiał chyba oszaleć, zadając się z tą kobietą! Próbował sobie przypomnieć, czy nie widział przypadkiem kogoś podejrzanego w jej otoczeniu, jednak nikt szczególny nie przychodził mu do głowy. Greta zagadnęła go w chwili, gdy zapalał papierosa, niedaleko od Prinz-Albrecht-Palais na Wilhelmstrasse, w którym miał swą siedzibę Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Była elegancko ubrana, bardzo ładna i szalenie pociągająca. Spytała go, czy nie poczęstowałby jej papierosem. Schitler uznał, że wyjątkowa zuchwałość, z jaką zagadnęła wysokiego rangą oficera – wszak palenie przez kobiety w miejscach publicznych nie było mile widziane – ma w sobie coś podniecającego. I tak zaczęła się ich znajomość. Poniewczasie uświadomił sobie, że Greta wszystko starannie ukartowała, a on jak ślepiec wpadł w jej sidła. Któż mógłby przypuszczać, że kobieta o aparycji wzorcowej Aryjki okaże się Żydówką?!

Schitler rzucił okiem na zegar. Jeszcze sześć godzin. Nabrał głęboko powietrza. Jeśli zostanie schwytany albo Greta go wyda, zapłaci głową za swoją lekkomyślność.

Nie pozostało mu wiele czasu, by wyciągnąć szyję ze stryczka, i musiał się dobrze zastanowić, jak się do tego zabrać.

Monachium, lipiec 1944 roku

Marlene już od dłuższej chwili obserwowała dom przy Prinzregeritenplatz. Jak dotąd nikt do niego nie wszedł ani go nie opuścił. Chociaż miała wygodne pantofle, bolały ją stopy. Wprawdzie dzięki żelaznej dyscyplinie i dziewięciu miesiącom wytrwałych ćwiczeń odzyskała dawną sprawność, lecz długie stanie w miejscu było dla niej męczące. Po raz nie wiadomo który przestąpiła z nogi na nogę. W dalszym ciągu nie mogła się nadziwić, że znowu chodzi. To był prawdziwy cud! Również doktor Hondl nie potrafił tego wyjaśnić – wyraził jedynie przypuszczenie, że wskutek obrzmienia kręgosłupa doszło do ucisku na rdzeń kręgowy, który z biegiem czasu samoistnie ustąpił.

Po tym, jak z pomocą dzielnego lekarza udało jej się uciec ze szpitala, Marlene ukrywała się w piwnicy, którą wcześniej przygotowała na wypadek, gdyby musiała na pewien czas zniknąć. Na szczęście kryjówka nie została odkryta przez Niemców. W środku były zgromadzone dokumenty, ubrania, a przede wszystkim pieniądze. W następnej kolejności nawiązała kontakt z towarzyszami z organizacji. Z ich pomocą udało jej się przedostać do Niemiec. Stary dobry doktor Hondl. Najpierw, ryzykując zemstę Greiffa, pomógł Marlene odzyskać dawną sprawność, a na koniec uspokoił ją, mówiąc, że z każdym kolejnym miesiącem ludzie jednookiego gestapowca coraz rzadziej pytają o jej stan. W przeciwieństwie do Marlene, która każdego dnia myślała o Greiffie, on zdawał się o niej powoli zapominać.

Nagle uwagę Marlene przykuł zbliżający się z przeciwległej strony placu ksiądz. Aby przyspieszyć kroku, podkasał sutannę. Choć dzieliło ich jakieś pięćdziesiąt metrów, Marlene poczuła na plecach ciarki. W pierwszej chwili była gotowa pomyśleć, że to sam Albrecht Brunnmann. *Tylko po co miałby się przebierać za księdza?*, przemknęło jej przez myśl i w tym samym momencie zrozumiała, kim jest ów sobowtór Brunnmanna: to Leopold, starszy brat Albrechta!

Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie. Ksiądz stanął właśnie pod numerem 10, kiedy za jego plecami zjawił się ciemny samochód i z piskiem zahamował tuż obok niego. Z auta natychmiast wyskoczyło dwóch mężczyzn.

Marlene zamarła z przerażenia. Gestapo! Ksiądz odwrócił tylko nieznacznie głowę i rozpoznawszy niebezpieczeństwo, natychmiast rzucił się do ucieczki. Biegł dokładnie w kierunku Marlene, goniony przez dwóch gestapowców, którzy krzyczeli, by się natychmiast zatrzymał. Po chwili obaj wyciągnęli broń. Marlene z walącym sercem jeszcze mocniej przywarła do ściany. Uciekinier przebiegł zaledwie kilka metrów od niej.

I wtedy padł strzał! Prinzregentenplatz był pełen ludzi, toteż natychmiast rozległy się krzyki przerażenia. Jakaś dziewczynka, ściskana przez matkę za rączkę, zaczęła głośno płakać. Ksiądz zatrzymał się, podniósł ręce do góry i nie stawiając oporu, pozwolił swoim prześladowcom odprowadzić się do samochodu. Po chwili Marlene zobaczyła, jak auto znika z placu.

Wobec takiego obrotu spraw zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej zrezygnować i wrócić następnego dnia, lecz w tym samym momencie drzwi kamienicy numer 10 otworzyły się i z domu wyszła korpulentna, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta. W ręku niosła kosz.

Marlene przyjrzała jej się uważnie. Czyżby to była Otilie? Deborah opowiadała jej o dobroduszej służącej, która od dwudziestu lat pracowała w domu doktorostwa, toteż Marlene wiedziała, że Otilie jest

osobą godną zaufania. Po chwili wahania postanowiła zatem wtajemniczyć ją w swój plan. Inaczej nawiązanie kontaktu z Deborah byłoby niemożliwe, a z całą pewnością zajęłoby mnóstwo czasu, Marlene zaś nie chciała zostawać w Monachium dłużej niż to absolutnie konieczne.

Wiedziała, że próba uwolnienia Debory i jej małego braciszka z rąk Brunnmanna wiąże się z ogromnym ryzykiem, i długo zastanawiała się, czy powinna – i czy jest gotowa – je podjąć. Zdecydowała, że tak. Z jakiegoś powodu polubiła tę szaloną dziewczynę.

Poza tym kochały tego samego mężczyznę. Jakuba.

Marlene dyskretnie ruszyła za domniemaną służącą. W końcu, po długim marszu, dotarły na targ, na którym co prawda niewiele było do kupienia, ale Otilie – o ile to była ona – najwyraźniej wiedziała, do kogo się zwrócić. No i miała pieniądze. Pieniądze Brunnmanna. Żydowskie pieniądze, pomyślała zjadliwie Marlene. Po chwili handlarz wydobył z kryjówki swoje skarby i nieosiągalny dla przeciętnego zjadacza chleba towar zmienił właściciela.

Marlene, zbliżywszy się do straganu, jakby chciała obejrzeć wyłożone na nim warzywa, usłyszała, jak handlarz zwraca się do kobiety:

– No, Otilie, co dziś na obiad?

Otilie! Marlene odetchnęła z ulgą. To naprawdę ona!

Kiedy służąca zapakowała zakupy do kosza i ruszyła dalej, Marlene zrównała się z nią krokiem i zagadnęła:

– Proszę wybaczyć. Pani Otilie?

– Taaak – odrzekła przeciągle służąca i nieufnie cofnęła się o pół kroku, po czym uważnie przyjrzała się ubranej w prostą letnią sukienkę kobiecie.

– Jestem przyjaciółką Debory... Poznałyśmy się w Krakowie.

– Jezusie Maryjo! Toż pani jest przecie Marlene, no jakże! – Ku zdumieniu Marlene Otilie odstawiła kosz, rzuciła jej się na szyję i wybuchła gwałtownym szlochem.

Marlene stała kompletnie zeszywniała, a w jej głowie kołatała się jedna myśl: *Do diabła, ostatnie, czego teraz potrzebuję, to takie sceny w miejscu publicznym!*

– Dobrze już, dobrze. Proszę się uspokoić. Może się kawałeczek przejdziemy? – Marlene rozejrzała niespokojnie ponad ramieniem Otilie. Handlarz ze straganu z warzywami i kilku innych gapiów przypatrywali się z zaciekawieniem niezwyklej scenie. Marlene uwolniła się z uścisku Otilie, chwyciła kosz i energicznie wciągnęła służącą w pobliską bramę.

– Na litość boską, żadnych imion! – syknęła.

– Proszę wybaczyć. Przecież ja wiem, że pani jest szpieg. Ale takem się ucieszyła...

Marlene przewróciła oczami. Może wciąganie Otilie w tę sprawę nie było jednak najlepszym pomysłem.

– Proszę posłuchać uważnie. Żadnych imion i ani słowa o szpiegach! Chce pani, żeby wszystkich nas areztowało gestapo?

Wzmianka o tajnej policji podziałała jak kubeł zimnej wody. Twarz Otilie zrobiła się trupio biała.

– Ojej, ma pani rację. To wszystko z radości. Pani Deborah tak dobrze o pani mówi. Ma pani jakiś plan? – Otilie najwyraźniej w końcu się otrząsnęła i zaczęła myśleć rzeczowo.

– Być może. Jak się czuje Deborah?

– Nie najlepiej. Biedaczka nie może wychodzić z domu, ale trzyma się ze względu na małego Wolfganga. Ten pan Brunnmann to zły człowiek. Żeby pani wiedziała, do czego zmusza panienkę Deborah... – głos ugrzązł Otilie w gardle.

Marlene słusznie obawiała się kolejnego potoku łez.

– Już dobrze, Otilie. Posłuchaj, mam tutaj list do Debory. Przynieś mi jutro odpowiedź. Będę czekać

na ciebie tutaj, w tym miejscu, o tej samej porze. Zrozumiałaś?

Otilie gorliwie skinęła głową.

Przyszła godzinę później, niż ustaliły. Marlene zaczynała się już niepokoić i właśnie zamierzała pójść na Prinzregentenplatz, kiedy służąca przybiegła zdyszana.

– Proszę wybaczyć, ale kiedym miała wychodzić, wrócił pan Brunnmann, chociaż zapowiadał się dopiero na przyszły tydzień! A że już było późno, ta nazistowska prukwa, znaczy się nasza kucharka, kazała mi lecieć do cukierni, zanim wszystko wykupią. Dlatego zara muszę wracać i mam mało czasu. Inaczej torty mi się roztopią w upale. – W trakcie tego monologu służąca wydobyła z fartucha złożoną kartkę i uroczyście wręczyła Marlene odpowiedź Debory.

Przyjaciółko najdroższa,

nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteś! Jesteśmy z Wolfgangiem zamknięci w swoich pokojach. Ja nie mogę wyjść, ale może zdołasz uratować mojego brata? Czasem udaje mi się przekupić którąś z zatrudnionych przez Brunnmanna służących, by zabrała Wolfganga na półgodzinny spacer. Spróbuję jutro po południu. Czekaj o drugiej przed naszym domem. Dziękuję! I proszę, nie miej mi za złe. Muszę zostać. Pamiętaj, co ci przyrzekałam w K.! W końcu nadarzy się odpowiednia okazja. Lecz będę ją mogła wykorzystać pod warunkiem, że mój brat będzie bezpieczny.

*Bywaj zdrowa
Twoja Deborah*

Marlene opuściła kartkę. Przypomniała sobie tamten ranek w krakowskim szpitalu, kiedy Deborah zjawiła się w jej pokoju i poprzysięgła zabić Brunnmanna i Greiffa. A ona odparła: „Nie, Greiff należy do mnie!”.

Ta dziewczyna jest naprawdę szalona! W końcu słowa to jedno, ale przekucie ich w czyn to coś zupełnie innego.

Marlene zastanowiła się, czy powinna zaryzykować próbę porwania jedenastoletniego brata Debory i wywiezienia go z miasta. Wolfgang nie zna jej i prawdopodobnie nie będzie chciał zostawić siostry. Marlene przypomniała sobie fragment Talmudu, który często słyszała w Krakowie z ust babki: „Kto ratuje jednego człowieka, świat cały ratuje”. Te słowa z kolei przypomniały jej Jakuba, który zwykł mawiać: „Zanim zechcesz ratować świat, Anno, najpierw naucz się, jak to zrobić”. A potem pokazał jej, jak się uzbraja bombę i obsługuje radiostację.

W ostatnim czasie dużo myślała o Jakubie, czasem nawet prowadziła z nim w duchu długie rozmowy. Dzięki temu udało jej się zawrzeć pokój z dręczącymi ją demonami. Obrazy torturowanego Jakuba stopniowo ustąpiły szczęśliwym wspomnieniom wiosny trzydziestego dziewiątego, pierwszych dni ich miłości. Jakub zginął, ale jej los darował nowe życie, z którego postanowiła zrobić dobry użytek. Tak, uratuje Wolfganga i zawiezie go do Brandenburga, do kuzynostwa, u których znalazła schronienie jej babka. Oni zaopiekują się chłopcem i ukryją przed Brunnmannem, podczas gdy ona, zamiast wrócić do Krakowa, gdzie jej twarz zbyt opatrzyła się żandarmom i gestapowcom, pojedzie do Francji i przyłączy się do tamtejszego ruchu oporu.

Pomysł ten poddała jej pani Szymańska, członkini polskiego ruchu oporu i żona ostatniego polskiego *attaché* wojskowego w Berlinie, z którą poznała się jeszcze przed wojną. W 1939 roku szef niemieckiego wywiadu, admirał Canaris, który już od dawna intrygował przeciwko nazistowskiemu rządowi, pomógł pani Szymańskiej uciec do Szwajcarii, gdzie została łączniczką między nim a rezydentem angielskiej Secret Intelligence Service oraz nawiązała kontakty z francuskim Deuxième Bureau.

Marlene ocknęła się i widząc, że Otilie zaczęła się niecierpliwić, uśmiechnęła się do niej uspokajająco.

– Deborah prosi, żebym najpierw wywiozła jej brata w bezpieczne miejsce. Zamierza przekupić służącą, żeby zabrała go na spacer. Powiedz jej, że się zgadzam. Niech uprzedzi chłopca, żeby się nie bał.

– Oj, biedne dziecko. Bez przerwy martwi się o swojego braciszka. Jutro wypada trzynasty. Oby to nie był zły znak – szepnęła zabobonna Otilie.

– A więc postanowione, jutro... – Marlene nie dokończyła zdania, bo w mieście zawyły syreny.

– Jezusie Maryjo! Znow alarm! Musza do domu! – Otilie złapała kosz i pędem ruszyła w kierunku Prinzregentenplatz.

Co za pech!, pomyślała Marlene. *Że też właśnie dziś musiało paść na Monachium!* Na szczęście nie musiała szukać najbliższego schronu, gdyż szybko porwała ją płynąca ku niemu rzeka ludzi.

Tego dnia Amerykanie przeprowadzili najcięższy ze wszystkich dotychczasowych nalotów. Przez kilka dni niemal bez przerwy bombardowali śródmieście bawarskiej stolicy. Sytuacja uspokoiła się nieco dopiero 20 lipca i mieszkańcy powoli wylegli ze schronów i piwnic. Wraz z nimi spod ziemi wychynęła również Marlene. Wstrząśnięta rozejrzała się wokół.

Centrum miasta wyglądało jak żywcem wyjęte z apokaliptycznej wizji. Całe kwartały ulic zniknęły z powierzchni ziemi, a wypalone szkielety domów sterczały wśród ruin niczym wygrażający niebu palec. Również dom wdowy, w którym zatrzymała się Marlene, został doszczętnie zburzony. Na szczęście nosiła wszystkie cenne przedmioty przy sobie, więc straciła jedynie walizkę i nieco ubrań, ale wielu ludzi utraciło dach nad głową i cały dobytek. Nie mówiąc o tych, którzy pod gradem bomb postradali życie.

Marlene przedzierała się przez spustoszone miasto. Na każdym kroku zrozpaczeni mieszkańcy przekopywali się przez ruiny, szukając bliskich. Najgorszy był swąd spalonego mięsa.

W końcu stanęła nad tym, co pozostało po kamienicy przy Prinzregentenplatz 10. Bomba musiała trafić prosto w dom, bo została z niego tylko sterta dymiących cegieł. Mimo to Marlene postanowiła porozmawiać z miejscowym dowódcą obrony cywilnej. Znalazła go dopiero następnego dnia, po długich poszukiwaniach. Była wyczerpana, głodna, spragniona i prawie już się poddała. Poprzednią noc znowu spędziła w dusznym schronie, wciśnięta w tłum bezdomnych monachijczyków.

– Przykro mi, młoda damo. Z tej kamienicy nikt nie ocalał – odpowiedział mężczyzna, po czym, przyjrzwawszy się uważnie Marlene, spytał: – Ale pani chyba nie mieszka w tej okolicy? Nigdy pani tu nie widziałem.

– Przyjechałam odwiedzić Otilie – odrzekła przytomnie Marlene. – Otilie jest... – zawahała się – była moją kuzynką.

– Tak, biedna Otilie. Taka sympatyczna kobieta. Zawsze można z nią było porozmawiać. Proszę przyjąć wyrazy współczucia – rzekł mężczyzna i odwrócił się do następnego pytającego.

Marlene po raz ostatni wróciła na Prinzregentenplatz. Nie, z tego domu nikt nie miał prawa ujść z życiem.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Czekala ją długa droga. Jej celem była francuska granica.

Rzym, październik 1945 roku

Wojenna zawierucha, która wstrząsnęła Europą, skończyła się cztery miesiące temu, wyrzucając na brzeg rozbitków naznaczonych piętnem niewysłowionego cierpienia i nędzy: mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy oprócz resztek uratowanego dobytku dźwigali również ciężkie brzemię wspomnień – zapis grozy i śmierci, które na zawsze wyryły się w ich pamięci. Była to armia wykorzenionych i wycieńczonych ludzi żyjących jednym tylko pragnieniem: uprzętać gruzy, w które obrócił się gmach ich życia, i wznieść go na nowo. Ulgę i pocieszenie znajdowali wyłącznie w zapomnieniu, toteż odwracali się od przeszłości, wkraczali na wąską ścieżkę nadziei i wczepiali się w ostatni pewnik, jaki pozostał im na tym świecie: życie.

Wszelako w ludziach tych, aczkolwiek dotkniętych niewysłowionym cierpieniem, kiełkowała również niepewnie radość. Wiedzieli bowiem, że należą do grona szczęśliwców, którzy ocalili z apokalipsy.

W tym tłumie tylko jedna młoda kobieta, wlokąc się noga za nogą, nie spoglądała z optymizmem w przyszłość ani nie odczuwała przemożnego pragnienia rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Przyszłość nie miała dla niej żadnego znaczenia, gdyż nie spłaciła jeszcze wojennych długów.

Złowrogi zasiew nienawiści wciąż trwającej osobistej wojny wzrastał w jej duszy. Straciła wszystkich, którzy byli jej bliscy. Nie zdołała uratować nawet brata, chociaż poświęciła dla niego wszystko. Zawiodła. Złośliwy los za każdym razem brał stronę wroga.

W przeddzień planowanego uprowadzenia Wolfganga Albrecht zjawił się nagle w mieszkaniu i wywiózł Deborahę z miasta. A potem spadły bomby i zrównały z ziemią dom przy Prinzregentenplatz. Długo nie miała o niczym pojęcia, gdyż Brunnmann, aby mocją nadal szantażować, zataił przed nią prawdę i dopiero w ostatnich dniach wojny opowiedział o bombardowaniu oraz o tym, że Wolfgang zginął pod gruzami kamienicy. Przy okazji wyznał, że ma na sumieniu jej ojca oraz Leopolda, swojego rodzzonego brata, którego kazał aresztować, gdy działalność antypaństwowa księdza zaczęła zagrażać jego karierze. Podczas gdy on, SS-Obersturmbannführer Albrecht Brunnmann, zajmował się organizacją „ostatecznego rozwiązania”, jego rodzony brat ukrywał i ratował Żydów. Albrecht i jemu podobni przegrali wojnę, ale on sam odniósł całkowite zwycięstwo nad Deborahą i zadawszy jej ostatni cios tym wyznaniem, z wyrazem tryumfu na twarzy zamknął ją w pokoju i zniknął.

Po pewnym czasie Deborahą zorientowała się, że pilnujący jej strażnicy również się ulotnili, lecz nie zdołała się sama uwolnić i dopiero kilka dni później, na wpół zagłodzoną, znalazł ją amerykański patrol. Była w Garmisch.

A potem ze zdumieniem dowiedziała się, że ktoś jej szuka.

Marlene! Kilka dni po kapitulacji jej przyjaciółka zjawiła się w Monachium wraz z oddziałem dowodzonym przez kapitana amerykańskiego wywiadu. Pomagała Amerykanom w identyfikacji nazistowskich zbrodniarzy. Na samym szczycie listy poszukiwanych widniało nazwisko Albrechta Brunnmanna.

Marlene przyjechała do Garmisch i zabrała przyjaciółkę do Monachium. To od niej Deborahą dowiedziała się, że Leopold został aresztowany przez gestapo pod drzwiami jej domu.

Poza tym Marlene zdradziła przyjaciółce, że ślady obersturmbannführera Albrechta Brunnmanna wiodą do Włoch, lecz więcej nie chciała powiedzieć. Przeciwnie, próbowała odwieść Deborah od planowanej zemsty. Przekonywała, że Brunnmanna spotka zasłużona kara, gdyż – jak się nieoficjalnie dowiedziała – Amerykanie planowali po wojnie powołać do życia międzynarodowy trybunał i zorganizować w Norymberdze publiczny proces niemieckich zbrodniarzy.

– Posadzenie na ławie oskarżonych i traktowanie na równi z pospolitymi przestępcami będzie dla Brunnmanna dotkliwszą karą niż szybka śmierć – tłumaczyła Marlene.

Na próżno. Deborah nie dała się odwieść od swojego zamiaru. Poza tym była przekonana, że to Marlene zabiła Greiffa. Albrecht wyraził takie przypuszczenie zaraz po śmierci gestapowca. Deborah spytała o to Marlene, lecz ta nie chciała się przyznać i tylko przez jej twarz przemknął ledwie widoczny uśmiech. Deborah była wściekła, że przyjaciółka, sama zakosztowawszy zemsty, chce teraz uniemożliwić jej zabicie Brunnmanna. W konsekwencji panie rozstały się w gniewie, a następnego ranka Deborah zniknęła.

Rzeka ludzi przetaczała się przez uliczki rzymskiego Zatybrza. Młoda kobieta pozwoliła się nieść nurtowi. Niektórzy z wędrowców, uwolniwszy się od ciężkiego brzemienia wojny, pełni energii, mijali ją, potrącając od czasu do czasu, inni zaś wlekli się noga za nogą. Uchodźcy, podobni do niej, wychudzeni, z bladymi twarzami, naznaczeni cierpieniem i lękiem przed nieznaną przyszłością.

Kobieta знаła drogę. Stawiała krok za krokiem, jak to czyniła od trzech miesięcy, dzień za dniem, godzina za godziną. Owszem, nie miała już w sobie wigoru, który przepełniał ją na początku podróży. Bolały ją stopy, straciła też but, który zwyczajnie się rozpadł.

Żadna z zajętych własnymi zmartwieniami postaci nie interesowała się obcą kobietą. W tych przepełnionych chaosem dniach nowego początku każdy szukał miejsca tylko dla siebie – tak w swoich planach, jak w swoim sercu.

Oczy kobiety, podobnie jak oczy większości uczestników tej osobliwej wędrówki, wpatrzone były w bruk, ułożony ongiś przez niewolników dawno upadłego Imperium.

Wojna, tak jak to bywało od początków cywilizacji, sprawiła, że pragnienia ocalonych ograniczyły się do zaspokojenia najbardziej elementarnych potrzeb: dachu nad głową, ciepłego posiłku i pracy, która pozwoliłaby zdobyć jedno i drugie.

Horyzont zawęził się i każdy myślał wyłącznie o sobie. Musiało upłynąć mnóstwo czasu, by wspomnienie tragicznych wydarzeń jęło się z wolna zasnuwać mgłą, a pole widzenia ocalonych zaczęło się znowu rozszerzać, by dawne przyzwyczajenia i zachowania zbudziły się do nowego życia i za każdym spełnionym pragnieniem znów czekało na spełnienie następne, większe od poprzedniego.

Kobieta dotarła do kresu swojej podróży. Na Via della Conciliazione wtopiła się w tłum tych, którzy zbliżając się do celu wędrówki, z każdym krokiem coraz wyraźniej dzielili się na dwie grupy: obdartych i wychudzonych oraz dobrze odżywionych i odzianych w nowiutkie stroje.

Kobieta patrzyła lśnącymi od gorączki oczami na rozciągający się przed nią plac Świętego Piotra. Nie dostrzegała otaczającej plac imponującej kolumnady ani nawet bazyliki, która w promieniach popołudniowego słońca prężyła ku blademu niebu swoją ogromną kopułę.

Jej uwagę przykuły mury Watykanu. Wiedziała, że właśnie tam znalazł schronienie człowiek, który był przyczyną i celem jej wędrówki. Człowiek, który zabrał jej wszystko: rodzinę, miłość, godność.

Ojciec dziecka, które nosiła pod sercem.

O, jakże nienawidziła tego bękarta! Dziecka ludobójcy. Jego dziecka, nie jej.

Szczupła dłoń po raz nie wiadomo który powędrowała pod wyświechtany płaszcz i wychudzone pałce odnalazły miejsce, tuż pod piersią, gdzie przechowywała swój skarb. Znajomy kształt pistoletu przyniósł

jej ulgę i dodał pewności. Zdobyła go – wraz z informacją o miejscu pobytu poszukiwanego mężczyzny – w zamian za ostatnią cenną pamiątkę: rubinowy pierścionek swojej matki.

Uspokajający chłód pistoletu towarzyszył jej w tej uciążliwej podróży jak obietnica. Obietnica zemsty. Zemsty za wszystko, co zniszczył, za wszystkich, których pozbawił życia. Zemsty za jej życie. Jej upokorzenie. Jej udrękę.

Zemsty za życie, które w niej wzrastało.

Przebyła tę długą drogę w jednym celu – aby go zabić.

Część V

Felicity i Martha

Współczesność

Rzym, maj 2012 roku

Felicity wstrząśnięta zamknęła laptopa. Spędziła na lekturze pół dnia i całą noc. Matce powiedziała, że musi pilnie przeczytać jakiś medyczny artykuł, lecz Martha była zbyt zaaferowana sortowaniem i sklejaniami wycinków, by zwrócić uwagę na niecodzienne zachowanie córki.

Po śniadaniu Felicity oświadczyła, że musi się przewietrzyć, po czym zeszła na dół i z holu zadzwoniła do ojca Simone. Nie zastała go, więc nagrała wiadomość na sekretarce, po czym wyszła na Via della Conciliazione i zanurzyła się w porannym zgiełku Wiecznego Miasta.

Ruszyła w kierunku placu Świętego Piotra, lecz zdążyła zrobić zaledwie kilka kroków, gdy zadzwoniła jej komórka. Dzwonił ojciec Simone.

– *Buon giorno, signorina Felicity*. Jak się panie czują?

– W porządku, dziękuję. Przeczytałam tłumaczenie i uważam, że ma ojciec rację. To nieprawdopodobna historia, wprost nie do pojęcia. Cieszę się, że babcia przedstawiła ją w formie powieści, bo nie wiem, czy miałabym dość sił, żeby czytać jej pamiętnik. Wiele razy wmawiałam sobie, że to tylko powieść, bo inaczej musiałabym przerwać lekturę. Prawdę mówiąc, jestem kompletnie rozbita i wściekła. Trochę się też obawiam, jak mama to wszystko przyjmie. Skoro ja jestem tak wzburzona... Moja matka jest... jak by to ująć... moja matka nie jest szczególnie zrównoważoną osobą... – Felicity zawahała się. I tak już powiedziała za dużo.

– Myślę, że rozumiem, co chce pani powiedzieć. Jako duszpasterz często mam do czynienia ze zranionymi duszami. Zauważyłem, że pani matka... no cóż, zdaje się, że niełatwo przychodzi jej okazywać matczyne uczucia. Teraz już wiemy, że sama nie zaznała w dzieciństwie matczynej miłości. Dziecko czuje, jeśli nie jest kochane przez rodziców. Dlatego pani matce z takim trudem przychodzi przyjmowanie i okazywanie miłości. Pani babka zamknęła się na wszystkie uczucia. Oczywiście, przeżyła straszne rzeczy, zaznała niewyobrażalnego cierpienia i zanurzyła się w otchłani największego zła, do jakiego zdolni są ludzie. Czy istnieje dusza, która wyszłaby z czegoś takiego bez szwanku? Niestety, zło z natury jest zaraźliwe i wpływa na losy następnych pokoleń. W tym wypadku na pani matkę i na panią, *signorina Felicity*. Sądzę, że pani matka do dziś czuje się niegodna miłości i przekazała ten emocjonalny brak pani... Przepraszam, zaczynam „księżyc”, jak mawia mój przyjaciel, ojciec Lukas. Proszę wybaczyć, dziś mam mnóstwo zajęć, ale mogę odwiedzić panie jutro wczesnym wieczorem. Wtedy wspólnie porozmawiamy z pani matką, *signorina Felicity*. Tymczasem proszę się nie zadręczać. Proszę mi wierzyć, że los się w końcu uśmiechnie do pani bliskich. *Arrivederci!*

Felicity wróciła do pokoju i poinformowała matkę o umówionym spotkaniu.

– Właśnie dzwonił ojciec Simone. Wpadnie jutro wieczorem.

– To znaczy, że skończył tłumaczenie? – spytała Martha podekscytowanym głosem.

– Tak, ale...

– Ale co?

– Ostrzegł mnie, że to bardzo smutna historia. Powiedział, że musimy się przygotować na ciężką lekturę. – Felicity zawahała się, czy nie powiedzieć czegoś więcej, ale ostatecznie zrezygnowała.

– Daj spokój, Felicity – odparła Martha, odrywając następny kawałek taśmy samoprzylepnej i łącząc dwa skrawki papieru. – Jeśli chodzi o twoją babkę, to jestem gotowa na najgorsze. Zaczynam myśleć, że całe jej życie było jednym wielkim kłamstwem. Zastanawiam się nawet, czy w ogóle jestem jej córką. Nigdy nie dała mi tego odczuć. Była z jednej strony bezradna, a z drugiej kompletnie niezrównoważona. Prawie nigdy nie było jej w domu, a jeśli już, to zaraz z niego uciekała. Wolała to swoje życie pianistko-śpiewaczki w nocnych klubach i barach od własnej rodziny. A mimo to ją kochałam. Tylko że ona nie chciała mojej miłości. W końcu to zrozumiałam i od tamtej pory miłość była dla mnie nierozdzielnie związana z bólem. Jedynie w religii znajdowałam pociechę i oparcie, dlatego wstąpiłam do zakonu. W klasztorze czułam, że odnalazłam swoje miejsce w życiu. Wspólnotę, której stałam się członkiem. To, czego zawsze szukałam. Musiałam dopiero spotkać twojego ojca, żeby zrozumieć, że miłość nie zawsze prowadzi do cierpienia. On mi pokazał, że życie to coś więcej. Dużo więcej. Nie wiem, czy to sprawi, że mnie zrozumiesz, Felicity, ale musisz wiedzieć, że przez większość życia czułam się wewnętrznie rozdarta.

Felicity słuchała matki z coraz większym osłupieniem. Martha pierwszy raz w życiu tak się przed nią otworzyła, a teraz, zdjęta nagłym zakłopotaniem, przerwała swoje zajęcie i podniosła oczy. Ich spojrzenia spotkały się i obie równocześnie ujrzały w oczach tej drugiej zdumienie.

Lecz było w tych oczach coś jeszcze: świadomość, że oto nadeszła chwila, w której nawzajem się odnalazły, moment głębokiego porozumienia. Krucha bliskość, która zaczęła kiełkować już kilka dni wcześniej, okrzepła, z każdą chwilą niwelując wieloletni dystans dzielący matkę i córkę.

Felicity przypominała sobie słowa wypowiedziane telefonicznie przez ojca Simone – te o miłości, naturze zła i jego skutkach. Tak, włoski zakonnik trafił w samo sedno! Czyż nie to samo rzekła przed sekundą jej matka? Może to nagłe wyznanie, słowa, które przed chwilą tak niespodziewanie wypowiedziała, były wyjaśnieniem, którego Felicity nieświadomie przez całe życie szukała? Bo przecież sama miała podobne wrażenie. Czuła, że matka zachowuje wobec niej dystans, tak jakby miłość była w oczach Marthy Benedict oznaką słabości. Owszem, Martha sumiennie wypełniała wszystkie matczyne obowiązki: dbała, by córka nie była głodna i by chodziła schludnie ubrana, pomagała jej w odrabianiu zadań domowych, przypominała, by sprzątała w swoim pokoju, i aż do dnia młodzieńczego buntu Felicity kilka razy w tygodniu ciągnęła ze sobą do kościoła, tak że w końcu nawet ojciec Pescatore delikatnie skarcił ją za tę nadgorliwość. A mimo to Felicity, choćby nie wiem jak się starała, nie potrafiła sobie przypomnieć, by jej matka chociaż raz w życiu ją przytuliła.

Kiedy Felicity skończyła piętnaście lat, w końcu zbuntowała się i oświadczyła stanowczo, że nie będzie już chodzić z matką do kościoła. W tej próbie sił poparł ją ojciec, za co była mu niewymownie wdzięczna. O ile bowiem Martha sumiennie wypełniała obowiązki wobec córki, nie okazując jej przy tym serdecznych matczynych uczuć, o tyle ojciec Felicity był najlepszym i najbardziej kochanym ojcem na świecie.

A teraz wszystko poniekąd się wyjaśniło: Martha Benedict została emocjonalnie odrzucona przez swoją matkę. Felicity pierwszy raz w życiu poczuła prawdziwą miłość do tej biednej kobiety i zapragnęła ją gorąco przytulić. Miała też w sobie dość uczciwości, by przyznać, że i ona nie ustrzegła się błędów. Była zbyt nieuważna, gorzej: zbyt wygodna. Zaakceptowała *status quo* w relacjach z matką, dopasowała się do jej sposobu bycia i zaczęła przedkładać milczenie nad szczerą rozmowę. Tak, bez wątplenia ponosiła część winy za ich trudne relacje. Zbyt długo była zamknięta – i w ten sposób nieświadomie zraniła również Richarda.

Felicity nigdy dotąd nie spojrzała na siebie i swoje życie z taką szczerością. Dlatego poruszona tym odkryciem, chciała podejść do matki, lecz ta znów zamknęła się w swoim świecie, z zaferowaniem szukając drugiej połowy jakiegoś zdjęcia. Czar prysł.

Monachium

– Panie profesorze – Grete nieśmiało wsunęła głowę do gabinetu. Wiedziała, że profesor nie lubi, by mu przed południem przeszkadzano przy pracy. Tę i inne zasady panujące w domu wpoila jej matka, której miejsce Grete zajęła kilka tygodni temu, a która z kolei przejęła obowiązki po swojej matce. Tym samym Grete była gosposią w trzecim pokoleniu, jako że już jej babka była na służbie u profesora.

– Słucham, Grete?

– Chciałby z panem rozmawiać niejaki ojciec Simone Olivieri.

Profesor zmarszczył czoło. To nazwisko nic mu nie mówiło.

– Powiedział, w jakiej sprawie?

– Wspomniał, że chodzi o pańską siostrę.

– Moją... siostrę? – Profesor spojrział na Grete kompletnie skonsternowany, nerwowo przeczesując palcami gęste siwe włosy. Wyglądał tak, jakby właśnie skończył dyrygować którąś z symfonii Beethovena. – Aleja... – przerwał, wstając energicznie z fotela. – Dobrze, wprowadź go, proszę.

– Przepraszam, panie profesorze, ale... Właśnie miałam wspomnieć, że ojciec Simone czeka przy telefonie – Grete weszła do gabinetu i niepewnie podała profesorowi aparat, ten zaś pokręcił głową, po raz kolejny uświadamiając sobie, że upłynie zapewne trochę czasu, nim nowa służąca dorówna swojej matce i babce, po czym sięgnął po bezprzewodowy telefon.

– Berchinger – przedstawił się nieco niepewnie.

– Czy rozmawiam z profesorem Wolfgangiem Berchingerem? Bratem pani Debory Berchinger?

– Tak, to ja. – Profesor czuł, jak jego serce mimowolnie przyśpiesza. Nie był to dobry znak, jako że cierpiał na nadciśnienie i każde wzburzenie zwiększało ryzyko wylewu. Przez tyle lat próbował dowiedzieć się czegoś o losie swojej siostry, lecz ta po wojnie jakby się zapadła pod ziemię. W ostatnich latach zaczął już tracić nadzieję, a teraz ten niespodziewany telefon...

– Nazywam się ojciec Simone Olivieri. Dzwonię z Rzymu...

Więcej zakonnik nie zdążył powiedzieć, gdyż profesor natychmiast mu przerwał.

– Czy moja siostra jest w Rzymie? – wykrzyknął wzburzony do słuchawki.

Ojej, ten biedak o niczym nie ma pojęcia! Chyba nawarzyłem niezłego piwa, pomyślał ojciec Simone, po czym chrząknął i odrzekł niepewnie:

– Niestety, jestem zmuszony przekazać panu smutną wiadomość. Pana siostra kilka dni temu odeszła z tego świata. Proszę przyjąć szczerze wyrazy współczucia.

– Nie rozumiem, umarła w Rzymie?

– Nie, w Seattle.

– W Ameryce? Moja siostra mieszkała w Ameryce? – Profesor, który do tej pory chodził niespokojnie po pokoju ze słuchawką przy uchu, opadł na fotel. *To znaczy, że Deborah przez wszystkie te lata żyła?*, pomyślał, czując nagle na barkach brzemie swych lat. – Jak ojciec mnie znalazł? – spytał matowym głosem.

– Przez pana siostrzenicę Marthę Benedict i jej córkę Felicity. O ile mi wiadomo, jest pan jedynym żyjącym krewnym swojej siostrzenicy.

To powiedziawszy, ojciec Simone wyłuszczył profesorowi powód, dla którego postanowił do niego zadzwonić.

Rzym

Około wpół do ósmej wieczorem rozległo się pukanie do drzwi.

– To pewnie ojciec Simone. – Martha podeszła do drzwi pokoju i nacisnęła klamkę.

Istotnie, w progu stał uśmiechnięty od ucha do ucha zakonnik.

– *Buona sera, signora Benedict.* To my.

– Proszę do środka, ojcie. – Martha zdziwiła się nieco owym „my”.

Ojciec Simone wszedł do pokoju i zwracając głowę ku drzwiom, rzekł:

– Przyprowaździłem gościa.

Ze względu na posturę zakonnika Martha w pierwszej chwili nie zauważyła stojącego za nim drobnego, starszego mężczyzny. Ten, lekko utykając, wszedł do środka i uśmiechnął się do niej niepewnie.

– Pani pozwoli – ojciec Simone ponownie przejął inicjatywę – profesor Berchinger. – Wskazał na gościa i po efektownej pauzie dodał: – Pani wuj Wolfgang.

– Wuj? To ja mam wuja? Matka nigdy nie wspominała, że ma brata! – Martha zupełnie skonfundowana spojrzała na starszego mężczyznę. Jej dolna warga wyraźnie drżała.

Felicity stanęła u boku matki i energicznie wyciągnęła do profesora rękę.

– Dobry wieczór, jestem Felicity Benedict. Proszę wybaczyć mamie. W ostatnich dniach sporo przeszła. Skoro jest pan wujem mojej matki, to znaczy, że ja jestem pana cioteczną wnuczką.

– Cieszę się niezmiernie, że mogę panie poznać. – Profesor uściśnął dłoń Felicity i najwyraźniej nie miał zamiaru jej puścić. Przyglądał się jej z takim wyrazem twarzy, jakby zupełnie nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nagle opadły go dawno pogrzebane wspomnienia i przez chwilę miał wrażenie, że oto znowu stoi przed nim Deborah. Felicity mogła mieć najwyżej kilka lat więcej niż jego siostra w dniu, w którym na zawsze go opuściła.

Deborah, jego starsza, utracona na zawsze siostra.

Felicity była do niej podobna jak dwie krople wody. Była może nieco mniej krucha, ale mogłyby uchodzić za bliźniaczki. W oczach profesora zabłyśły łzy. Od chwili, w której usłyszał głos ojca Simone, był rozdarty między radością a lękiem. Radością, że spotka córkę i wnuczkę swojej siostry i wreszcie pozna jej losy, a lękiem, jak zniesie ewentualne rozczarowanie, gdyby się okazało, że zaszła fatalna pomyłka. Raz po raz nawiedzała go obawa, że ojciec Simone się myli, że nie chodzi o jego ukochaną Deborahę. Mimo to – a może właśnie dlatego – przyleciał najbliższym samolotem do Rzymu. I oto odnalazł to, na co już nie miał nadziei.

Swoją rodzinę.

Felicity szalenie ujęło głębokie wzruszenie profesora. Również w niej spotkanie z wujem Wolfgangiem wzbudziło burzę uczuć, tym bardziej że jeszcze dzień wcześniej nie miała pojęcia o jego istnieniu. A przecież dzięki lekturze babcinych zapisków miała wrażenie, że zna go od lat.

Ponieważ pokój hotelowy był zbyt ciasny, by pomieścić cztery osoby, ojciec Simone zaproponował, by udali się do znanego już Felicity lokalu:

– Trattoria da Gino to miłe miejsce ze świetną kuchnią. Rozmawiałem już z właścicielem. Gino

przygotuje dla nas oddzielny pokój i, jak się wyraził, „coś na ząb”.

Propozycja zakonnika spotkała się z jednogłośnie aprobatą pozostałych uczestników niespodziewanego spotkania i wszyscy udali się do pobliskiego lokalu, w którym zabawili do późnej nocy, a właściwie do wczesnego ranka. Ojciec Simone przekazał Marcie przekład zapisków jej matki i pokrótce przedstawił zarys historii. Zdążył też do tej pory poszukać informacji na temat Raffaella Valerianiego, człowieka, którego do tej pory uważała za ojca, a który zginął tragicznie, gdy miała zaledwie czternaście lat.

– Pani ojciec spotkał Deborę, to znaczy pani matkę, zaraz po wojnie, w Rzymie. Pani matka doświadczyła strasznych rzeczy, *signora* Benedict. Albrecht Brunnmann zniszczył jej życie i odebrał wszystkim, których kochała. Kiedy jego żona, a pani babka, Elisabeth Malpran-Berchinger zmarła, ów Brunnmann uwiódł jej siedemnastoletnią wówczas córkę Deborę. O wszystkim przeczyta pani w tych zapiskach. Wtedy, w październiku czterdziestego piątego roku, pani matka przyjechała do Rzymu, ponieważ dowiedziała się, że Albrecht Brunnmann w ostatnich dniach wojny znalazł schronienie za murami Watykanu. W Kurii Rzymskiej urzędował wówczas pewien biskup, niejaki Alois Hudal, który pomógł wielu wpływowym nazistom uciec do Argentyny. Dzisiaj historycy nazywają ten szlak przerzutowy „szczurzą linią”. Tak czy siak, pani matka przybyła tu z jasnym postanowieniem. Chciała zabić Albrechta Brunnmanna. Nie udało jej się zrealizować tego planu, ale ciężko zraniła swojego prześladowcę. Poszperałem w archiwach i natrafiłem na stare protokoły, z których wynika, że w październiku czterdziestego piątego Deborah Berchinger została aresztowana pod zarzutem usiłowania zabójstwa. Zakradła się mianowicie do Ogrodów Watykańskich i próbowała zastrzelić Albrechta Brunnmanna, który rozmawiał właśnie z biskupem Hudalem. Strzeliła kilkakrotnie, ale trafiła Brunnmanna tylko raz, w ramię. Potem została obezwładniona i aresztowana przez członków Gwardii Szwajcarskiej. Ponieważ była w zaawansowanej ciąży, została przekazana włoskiemu wymiarowi sprawiedliwości. W tym czasie Raffael Valeriani, pani rzekomy ojciec, posługiwał jako kapelan w więzieniu, do którego trafiła pani matka. Jej los do głębi nim wstrząsnął. Pani, droga Martho, istotnie urodziła się w Rzymie. Wówczas Raffael zdobył dla pani i pani matki nowe dokumenty i zaplanował wspólną ucieczkę do Ameryki. Z zapisków pani babki wiemy, że przekonał ją, iż zdołała zabić Albrechta Brunnmanna. Oczywiście skłamał, lecz uczynił to w dobrej wierze, uznawszy, że w przeciwnym wypadku pani matka zapewne nigdy nie zgodzi się na wyjazd za ocean. I właśnie z tego względu poszukiwania pana profesora – ojciec Simone spojrzął na wuja Wolfganga – nieodmiennie kończyły się w ślepej uliczce: Deborah Berchinger zwyczajnie przestała istnieć. Jak pani widzi, *signora* Benedict, w życiu pani matki nie było niczego, czego musiałaby się wstydzić! Przeciwnie, pani matka była wyjątkowo dzielną kobietą. Była jedną z wielu ofiar nazistowskiego terroru. Jeśli zaś chodzi o Albrechta Brunnmanna, to w 1960 roku został porwany z Argentyny przez izraelskich agentów i przewieziony do Jerozolimy, gdzie skazano go na karę śmierci i dwa lata później stracono. Jak się dowiedziałem, pani matka była obecna na tym procesie i zeznawała przeciwko niemu.

Historię przedstawioną przez zakonnika uzupełnił wuj Wolfgang, od którego Martha i Felicity dowiedziały się, że Deborah aż do końca wojny była poniekąd niewolnicą Albrechta Brunnmanna i musiała spełniać wszelkie jego zachcianki.

– Robiła to dla mnie. Brunnmann groził jej, że w przeciwnym wypadku wyda mnie gestapo i jako Żyd trafię do obozu koncentracyjnego. Po wojnie próbowałem odnaleźć Deborę, lecz ona przepadła bez śladu. Zupełnie jak nasz ojciec, który zniknął w roku trzydziestym ósmym. Mnie uratowała Otilie, nasza służąca. W dniu, w którym po raz ostatni widziałem Deborę, alianci dokonali potężnego nalotu na Monachium. Brunnmann zabrał Deborę dosłownie kilka minut wcześniej. Kiedy zawyły syreny, służące zatrudnione przez Brunnmanna na chwilę spuściły mnie z oka. Wtedy uciekłem z domu i wybiegłem na ulicę. Z naprzeciwka biegła Otilie. Złapała mnie za rękę, ale tym razem zamiast do piwnicy, pobiegliśmy

wyjatkowo do schronu. Dzięki temu przeżyliśmy. Potem Otilie zabrała mnie do swojego rodzinnego gospodarstwa w Strasslach. To byli zacy ludzie. Było mi u nich dobrze... – Profesor zamyślił się na chwilę. – Chciałbym ci coś pokazać, Martho. Dostałem to od ojca, tamtego wieczora, kiedy widziałem go po raz ostatni.

Wolfgang Berchinger wyjął z portfela pozółkłą kartkę i miał ją właśnie podać Marcie, gdy nagle zmarszczył czoło.

– Przepraszam, zapomniałem zapytać. Znasz niemiecki? Ponieważ Martha i jej córka pokręciły głowami, profesor naprędcie przetłumaczył tekst na angielski:

*Czy to człowiek, czy zwierz,
Na czterech nogach czy dwóch,
Roślina czy kamień,
Woda czy duch –
Wszystko ma swoje miejsce W skarbnicy Boga.
Największym wszelako skarbem jest miłość!
Kiedy ją spotkasz, nie broń się przed nią,
Bo tylko miłość może ocalić świat.*

Ojciec Simone głęboko westchnął:

– Mój Boże, jakim cudownym miejscem byłaby ziemia, gdyby wszyscy ludzie stosowali się do tak mądrych rad. Czyż nie tego właśnie pragnął nasz Pan Jezus? Niestety, człowiek nie umie poprzestać na tym, co skromne i niepozorne, lecz chce więcej i więcej. W ten sposób sam staje się dla siebie największym ciężarem.

Na chwilę zapadła przy stole cisza. Każdy z obecnych rozważał w sercu kolejne wersety wiersza, pozwalając, by jego proste słowa zapadły w duszę.

W końcu Martha podniosła głowę i spojrzała na swoją córkę. Jej oczy lśniły od łez.

– *Mea culpa* – szepnęła pokornie i uśmiechnęła się do Felicity tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Uśmiechem, który wypływał z serca i odbijał się w wypełnionych miłością oczach.

Widząc to, Felicity poczuła, że na jej twarzy maluje się jeszcze zdumienie, lecz w duszy już kiełkuje nadzieja. Nadzieja, że spełni się obietnica lepszej przyszłości. Martha uniosła dłoń i czule pogładziła córkę po policzku. Był to gest od dawna wytęskniony, a zarazem pełen miłości, w jednej chwili znoszącej dystans, który nigdy nie miał prawa pojawić się między matką a córką.

– Co ty na to, córeczko, żebyśmy jeszcze kilka dni tu zostały i wspólnie zwiedziły Rzym? Skoro już przejechałyśmy pół świata ...

– Myślę, że to rewelacyjny pomysł, mamó! – Felicity z całego serca odwzajemniła uśmiech, a Martha wzięła córkę w ramiona i przytuliła tak mocno, jakby już nigdy miała jej nie wypuścić z tego uścisku.

EPILOG

Ja, Felicity

Na początku tej opowieści napisałam, że prawda rządzi się własnymi prawami: w końcu wypływa na powierzchnię i rzuca nam w twarz oskarżenie. Lecz to tylko jedna strona medalu, gdyż prawda nas również wyzwala. Zasklepia rany i zaprowadza pokój.

Wszyscy – ojciec Simone, wuj Wolfgang, moja matka i ja – poznaliśmy tamtej nocy prawdę o naszej rodzinie i jej losach. Wyobrażałam sobie moich pradziadków, ich miłość i szczęśliwy dom, który stworzyli, i myślałam o tym, że mieli nieszczęście urodzić się w niewłaściwych czasach. Padli ofiarami okrutnej i perfidnej ideologii, która jeden naród uwiodła, drugi zaś niemal doszczętnie starła z powierzchni ziemi. Jak to możliwe? Myślę, że na to pytanie ludzkość znajdzie odpowiedź dopiero wtedy, gdy nauczy się żyć w pokoju.

Pod wpływem impulsu spytałam wuja Wolfganga, czy nie wie przypadkiem, co się stało z Marlene, przyjaciółką mojej babki. W trakcie lektury babcinych zapisków ta silna i dzielna kobieta głęboko zapadła mi w serce. Wuj Wolfgang uśmiechnął się chytrze i spytał, czy mówi mi coś nazwisko Greta Jakob, jednej z najśłynniejszych aktorek swego pokolenia.

A potem opowiedział mi, że Marlene Kalten zrealizowała swoje młodzieńcze marzenie i została aktorką. Wuj dobrze ją znał, po wojnie zaprzyjaźnili się, przez lata ramię w ramię nie ustając w poszukiwaniach zaginionej siostry i przyjaciółki.

– Moja siostra chyba nie chciała, żebyśmy ją odnaleźli. Przypuszczam, że przeszłość była dla niej zbyt wielkim ciężarem. Przecież w każdej chwili mogła nawiązać kontakt z Marlene. Zresztą Greta wielokrotnie wspominała w wywiadach, że szuka zaginionej przyjaciółki, ale... – wuj Wolfgang nie dokończył myśli, a w jego głosie wyczułam bezbrzeżny ból. – Greta Jakob *alias* Marlene Kalten ma dziś ponad dziewięćdziesiąt lat – podjął po chwili – lecz jak na swój wiek cieszy się dobrym zdrowiem i odznacza wyjątkowo żywym umysłem. Dwadzieścia lat temu zeszła ze sceny i obecnie znów mieszka w Krakowie.

Na pożegnanie wuj podarował mi wiersz swego ojca, a mojego pradziadka, mówiąc:

– Ten wiersz to jedyne, co mi pozostało po ojcu. To mój największy skarb. Dlatego chciałbym, żebyś go przyjęła, na pamiątkę tych dwojga cudownych ludzi, którzy byli moimi rodzicami. Mój ojciec leczył nie tylko dłońmi, potrafił również uzdrawiać słowami. Wiele się od niego nauczyłem, lecz nauka, do której wracam najczęściej, to ta, że tylko miłość może ocalić świat. – Mówiąc to, mój cudem odnaleziony wuj patrzył na mnie swoimi mądrymi oczami, jakby wiedział, że w najbliższych dniach muszę sobie odpowiedzieć na kolejne ważne pytanie.

Jeszcze w tym roku mama i ja zamierzamy odwiedzić wuja Wolfganga w Monachium. Dom przy Prinzregentenplatz 10 został w czasie wojny doszczętnie zniszczony, ale wuj ma nam pokazać grób moich pradziadków. Trumna pradziadka Gustava jest pusta. Jego los, podobnie jak losy wielu innych ofiar, pozostanie na zawsze niewyjaśniony. Potem we trójkę pojedziemy do Krakowa, by odwiedzić Marlene. Mama i ja chcemy koniecznie ją poznać. Wuj Wolfgang już z nią rozmawiał i wiem od niego, że Marlene

nie może się doczekać spotkania.

O świcie, kiedy już pożegnaliśmy się z ojcem Simone, jeszcze raz przeczytałam wiersz pradziadka. A potem jeszcze raz. Wuj Wolfgang zapisał mi na kartce tłumaczenie, a potem po raz ostatni powtórzył:

– Tylko miłość może ocalić świat.

Pomyślałam o bliskich mi kobietach: prababci Elisabeth, babci Deborze i mojej matce. Każda z nich doświadczyła miłości w innym kształcie, i to miłość zdecydowała o ich losach. Dla nich miłość była czymś pełnym tęsknoty, potężnym żywiołem szarpiącym serce, niszczycielską siłą, która spalała je, zamieniając w kupkę zimnego popiołu. Taka miłość to ból. Lecz przecież miłość jest również czymś nieprzemijającym, zdolnym wszystko przetrwać. Poruszyć i uzdrowić serce nawet po kilkudziesięciu latach. Tak jak poruszyła i uzdrowiła mnie.

Tamtego ranka poczułam, że nagle opuszczają mnie wszelkie wątpliwości, i bez wahania sięgnęłam po komórkę.

Richard odebrał od razu, jakby czekał na mój telefon.

– Felicity, cudownie, że dzwonisz! Już wstałaś? W Rzymie musi być bardzo wcześnie. Twój ojciec właśnie mi powiedział, że znalazłaś mamę. Jak się czujesz, koch... – Richard ugryzł się w język. Pewnie pomyślał, że będzie się musiał przyzwyczaić do tego, że nie jesteśmy już narzeczeństwem.

– Znakomicie – odpowiedziałam. – Postanowiłyśmy z mamą, że zostaniemy w Rzymie do niedzieli. Potem wracamy do domu. Mam ci tyle do opowiedzenia! *À propos*, tata wspominał, że już dwa razy go odwiedziłeś. Dziękuję ci, jesteś kochany, Richardzie.

– Nie ma za co. Wiesz, jak bardzo szanuję twojego ojca.

Zapadła chwila ciszy, nim zebrałam się na odwagę i spytałam nieśmiało:

– Czy... czy twoja propozycja jest wciąż aktualna?

– Która? Posada w Children's Hospital czy oświadczyń? – Nawet przez telefon miałam wrażenie, że słyszę, jak serce Richarda przyspiesza.

Na ułamek sekundy zawahałam się, lecz szybko odrzekłam:

– Powiedzmy, że w tej chwili rozważam obie.

– A co z Kabulem i Lekarzami bez Granic? – wyrzucił Richard zduszonym głosem.

– Zrezygnowałam z wyjazdu. Niech ktoś inny ratuje świat. Moje miejsce jest w domu. Przy tobie. – Tym razem mój głos brzmiał pewnie i nie było w nim cienia wahania.

Znowu zapadła cisza. Trwała zaledwie kilka sekund, lecz dla mnie była niczym dzielący nas ocean. Raptem w moje serce wkradł się lęk, że Richard już mnie nie chce, że zbyt długo zwlekałam z decyzją. Jednak jego słowa zaraz zagłuszyły ponure myśli:

– Kochanie, nie mogę się doczekać twojego powrotu. Kocham cię.

– Ja ciebie też kocham, Richardzie.

A potem rozmawialiśmy jeszcze przez dłuższą chwilę, gdyż żadne z nas nie umiało zakończyć rozmowy. Snuliśmy plany na przyszłość, opowiedziałam Richardowi o moim cudem odnalezionym wuju i o tym, że moja rodzina pochodzi z Niemiec. W końcu pożegnaliśmy się. Rozłączyłam się i nagle poczułam się wolna, jakby z moich ramion spadło ogromne brzemię. Richard to naprawdę cudowny człowiek!

Pierwszy raz w życiu poczułam, jak smakuje prawdziwe szczęście.

Smakuje jak moje imię. Felicity.

Posłowie

Albrecht Brunnmann to postać fikcyjna, aczkolwiek nawiązuje do realnie istniejącej osoby: Adolfa Eichmanna (najbliższym współpracownikiem Eichmanna był Alois Brunner, stąd nazwisko bohatera – Brunnmann; podobny zabieg zastosowałam wobec adiutanta Kaltenbrunnera, który w rzeczywistości nazywał się Arthur Scheidler, lecz pokusa zamiany na Schitler narzucała się z taką siłą, że nie potrafiłam i nie chciałam jej się oprzeć).

Adolf Eichmann, dziś uważany za architekta Zagłady, odpowiadał za przygotowanie i praktyczną realizację planu eksterminacji europejskich Żydów: ustalał liczebność transportów, obliczał obciążenie wagonów kolejowych i przeliczał „moce przerobowe” komór gazowych i krematoriów. Był również głównym protokolantem podczas konferencji w Wannsee, w trakcie której zapadła decyzja o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”.

Eichmann i jego pomocnicy bez wahania podjęli się wykonania tego zbrodniczego planu. Z zimną biurokratyczną rzeczowością zadali sobie pytanie: w jaki sposób najsprawniej zamordować sześć milionów ludzi? Jaka metoda ich uśmiercenia będzie najbardziej ekonomiczna? Amunicja jest przecież droga i potrzebna na froncie! I jak rozwiązać problem usuwania zwłok? Kto miałby je grzebać? Czy da się wykorzystać jakieś pozostałości ciał? Włosy, jak wiadomo, służyły jako wypełnienie materaców. Więcej nie muszę chyba na ten temat pisać. Czytelnik wie, jak się to wszystko skończyło.

Adolf Eichmann, który po wojnie ukrywał się w Argentynie, w 1960 roku został uprowadzony przez agentów Mosadu i potajemnie przewieziony do Izraela. Wytoczono mu oficjalny proces karny w Izraelu, podczas którego izraelski wymiar sprawiedliwości orzekł karę śmierci, wykonaną w 1962 roku.

Postacią historyczną jest również Fritz Gerlich, reprezentujący w powieści wszystkich niezłomnych i wiernych swym przekonaniom dziennikarzy, dzień po dniu przeciwstawiających się szaleństwu niemieckiego dyktatora i jego reżimu, który chciał zagłuszyć głos prawdy – albowiem dyktatorzy niczego nie boją się tak bardzo jak prawdy. Fritz Gerlich początkowo był redaktorem dziennika „Neueste Münchner Nachrichten”, z którego wyłoniła się współczesna „Süddeutsche Zeitung”, a następnie 3 stycznia 1932 roku założył tygodnik „Der Gerade Weg”.

Istotnie, Fritz Gerlich niezachwianie i pewnie kroczył prostą drogą – aż do śmierci. Z względu na swoje przekonania przez szesnaście miesięcy był bity i torturowany, lecz do końca pozostał wierny sobie. Umarł, by dać świadectwo prawdzie.

Człowiekiem z krwi i kości był również chrześniak Hitlera, Egon Hanfstängl, pierwowzór powieściowego Egona Putzingera. Jego ojciec, Ernst „Putzi” Sedgewick Hanfstängl, do 1933 roku pełnił funkcję szefa Biura Prasy Zagranicznej w Berlinie. Złośliwi nazywali go wówczas „pianistą Hitlera” bądź „sekretarką Führera”.

Ernst „Putzi” Hanfstängl faktycznie studiował na Harvardzie i tam właśnie, w ekskluzywnym Harvard Club, poznał młodego senatora Franklina D. Roosevelta. Dwadzieścia lat później, po ucieczce z Niemiec do Szwajcarii, a stamtąd do Londynu, Putzi przypomniał sobie o tym fakcie i zręcznie wykorzystał dawną znajomość, gdy po wybuchu wojny jako obywatel wrogiego kraju został przez Brytyjczyków internowany. To właśnie na życzenie Franklina D. Roosevelta, który tymczasem objął urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Hanfstängl został zwolniony z internowania i udał się do

Waszyngtonu, gdzie po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny z Niemcami służył Rooseveltowi jako osobisty doradca. Po latach Putzi opublikował swoje wspomnienia pod tyleż kuriozalnym, co znamionym tytułem: *Zwischen Weißem und Braunem Haus* („Między Białym a Brunatnym Domem”).

W powieści Putzi stał się Bubim. Zmieniłam również nieco opis niektórych miejsc i otoczenia Hanfstängla/Putzingera. Nadto przyznaję się, że pozwoliłam sobie na jeszcze jedną, dalece poważniejszą zmianę względem prawdy historycznej: ze względów dramaturgicznych przesunęłam termin ukończenia budowy Nowej Kancelarii Rzeszy. W powieści Elisabeth Malpran przekracza jej próg w czerwcu 1938 roku, podczas gdy oficjalne oddanie gmachu do użytku nastąpiło dopiero 9 stycznia 1939 roku. Historycy mogą mnie z tego powodu odsądzić od czci i wiary, lecz łaskawy Czytelnik z pewnością wybaczy mi tę nieścisłość.

Pomysł napisania niniejszej powieści zakiełkował w mojej głowie w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy to w monachijskiej willi Tiefland poznałam syna Putziego, Egona Hanfstängla. Dopiero później dowiedziałam się, że była to ta sama willa, w której Adolf Hitler po zwolnieniu z więzienia w Landsbergu obchodził z rodziną Hanfstänglów święta Bożego Narodzenia roku Pańskiego 1924.

Kontakt z Egonem Hanfstänglem nawiązałam za pośrednictwem mojej ciotki Irene, która w połowie lat dziewięćdziesiątych wróciła z Seattle do Monachium, by zacząć nowe życie u boku Egona. Egon Hanfstängl był jej młodzieńczą miłością i po latach, gdy oboje stracili współmałżonków, postanowili spróbować rozniecić dawne uczucie. Ale to już temat na inną opowieść...

Kiedy przekraczałam wraz z Irene próg willi, nie miałam pojęcia, co mnie czeka. Z całą pewnością nie spodziewałam się spotkać człowieka, którego ojciec był bliskim towarzyszem i współpracownikiem Adolfa Hitlera, on sam zaś, jako chrześniak Führera, był rozpieszczany przez niego słodyczami i przesiadywał na jego kolanach.

Zastałyśmy Egona zajętego porządkowaniem pozostawionego przez ojca archiwum, w tym listów i manuskryptów przemówień z odręcznymi uwagami Hitlera. Gospodarz studiował i sortował dokumenty, jako że w tamtym czasie nosił się z myślą o napisaniu książki poświęconej nazistowskiemu dyktatorowi.

Tego popołudnia odbyliśmy wielogodzinną rozmowę, w trakcie której Egon pozwolił mi przeczytać kilka odręcznych zapisków Hitlera. Sam gospodarz okazał się wprawdzie typem człowieka, który zwykliśmy określać mianem „oryginała”, ale zarazem był też ważnym świadkiem historii i zapalonym gawędziarzem. We mnie zaś znalazł wdzięczną słuchaczkę.

Po pewnym czasie Irene wspomniała, że w 1959 roku matka Egona, Helene Hanfstängl (w książce Helga Putzinger), powiedziała do niej, wówczas narzeczonej jej syna: „Moim największym błędem było to, że zabrałam wtedy Hitlerowi rewolwer. Powinnam była pozwolić mu, by się zabił!”. Jak wiadomo, po nieudanym puczu w listopadzie 1923 roku Hitler szukał schronienia w wiejskim domu Hanfstänglów, gdzie też został aresztowany.

Właśnie tamtego dnia, podczas wizyty w willi Tiefland, zrodziła się we mnie pierwsza myśl o powieści, którą dziś oddaję w ręce Czytelnika.

Kilka słów od serca, czyli...

Podziękowania

Książka ta jest poświęcona małemu Simonowi, którego uśmiech na zawsze pozostanie w mojej pamięci. To dla niego napisałam historię o pierwszej mrówce, lecz zły los sprawił, że nie było mu dane jej usłyszeć.

Simon przeżył na tym świecie zaledwie sześć miesięcy, lecz miał szczęście spędzić swoje krótkie życie w kochającej rodzinie. Gdyby mógł z nami zostać, czekałaby go świetlana przyszłość.

Niestety, zbyt wiele jest na świecie dzieci, które od chwili narodzin nie mają żadnych perspektyw. Są ofiarami biedy, chorób lub wojen wywoływanych przez gardzące ludźmi ideologie. A przecież powinniśmy uczynić wszystko, by świat był dla naszych dzieci miejscem spokojnego i szczęśliwego rozwoju. Niestety, jak dotąd są to jedynie pobożne życzenia.

W pierwszej kolejności chciałabym podziękować mojemu mężowi, który odznacza się iście anielską cierpliwością. W podziękowaniu za niezawodne wsparcie, jakiego mi nieustannie udziela, ja posyłam go do mojego prywatnego piekła, każąc mu prowadzić naszą domową księgowość.

Dziękuję, Skarbie, że uwalniasz mnie od wszystkich przyziemnych trosk. Czymże bym była bez Twojej miłości! Buziaki!

Podziękowania należą się również moim sprawdzonym czytelniczkom i recenzentkom: Mamie, Christine, Ro, Ramonie, Caroline, Evie, Śnieżynce, Juliane, Laurze i Daphne; i rodzynkowi w tym gronie, Ludwigowi. Wasze wsparcie, krytyka i słowa otuchy są dla mnie wszystkim.

Następne w kolejce są Myriam i Heike. Myriam prowadziła mnie przez labirynt niemieckiej ortografii i wskazywała granice pisarskiej wolności, Heike zaś była moją literacką dominą. Uwagi kreślone przez nią na marginesach manuskryptu zapełniłyby oddzielną książkę.

Wiernie u mojego boku stał również mój przyjaciel Johannes. Johannes, jesteś i zawsze będziesz najzaciejszym człowiekiem, jakiego dane mi było spotkać. Dziękuję!

Gorące podziękowania należą się również mojej agentce Lianne Kolf, która od początku udzielała mi pomocy i wsparcia, i której zaangażowania oraz gorliwości nie jest w stanie poskromić nawet mój mąż.

No i jest jeszcze cudowna Julia Eisele z wydawnictwa Piper, którą niestety spotkałam zbyt późno na swojej drodze, lecz która od tej pory tym bardziej ubogaca me życie. Dziękuję Ci, Julio, że mnie odkryłaś i że pozwalasz mi się od siebie uczyć. Przy tej okazji dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Piper.

I wreszcie DZIĘKUJĘ wszystkim moim Czytelnikom. Proszę, piszcie do mnie na adres: mail@hannimunzer.de. Chętnie się dowiem, co Wam się w tej książce podobało, a co byście zmienili. Jestem Wam wdzięczna za wszelką krytykę, wsparcie i pomysły – albowiem bez Was, moi kochani Czytelnicy, jestem niczym, wy zaś jesteście dla mnie wszystkim. To dla Was piszę!

Wasza
Hanni M.
w styczniu 2015 roku